

Marcin Faliński

Marek Kozubal



OPERACJA SINGE

**PRZEDWOJENNE DOKUMENTY, SZPIEGOWSKIE INTRYGI
I ROZGRYWKA TRWAJĄCA OD POKOLEŃ**



CZARNA OWCA

OPERACJA SINGE

Marcin Faliński Marek Kozubal

**WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA**

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Posłowie

Redakcja: Jacek Ring
Korekta: Beata Wójcik, Bartosz Szpojda
Projekt okładki: Magdalena Kuc
Wydawca: Katarzyna Słupska

Copyright © by Marcin Faliński, Marek Kozubal, 2020
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8143-651-9

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5 | DZIAŁ HANDLOWY tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl
00-519 Warszawa | REDAKCJA tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl
www.czarnaowca.pl | SKLEP INTERNETOWY tel.: +48 22 77 55 705, www.inverso.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wstęp

Łódź (Polska) – jesień 2012

Prawy bok Wiktora Fiedotowa przeszył ostry, kłujący ból. W ustach wyczuł słodki, metaliczny smak krwi. Przez chwilę był oszołomiony po tym, gdy lekki samolot – nieco wysłużony polski Gawron – zamiast na polanie osiadł na gałęziach drzew. Mężczyzna gwałtownie otworzył drzwiczki szkolno-sportowej maszyny. W dole była ciemność. W nozdrzach poczuł intensywny, charakterystyczny zapach paliwa lotniczego.

– Iwan, gdzie ty się, kurwa, uczył latać? *Job twoju mat’...* Bierz sprzęt i wychodzimy – rzucił i powoli zaczął się wysuwać z kokpitu samolotu.

Zeskoczył na ziemię pokrytą gęstą warstwą zeschniętych bukowych liści. Nagle poślizgnął się na śliskiej zmurszałej gałęzi i upadł na plecy, po czym zjechał kilka metrów w dół. Zatrzymał się na wystającym kamieniu. Szybko się pozbierał, otrzepał i nieco poobijany wrócił pod samolot. Zapalił wojskową latarkę i omiótł snopem światła najbliższą okolicę. Na szczęście nie zauważył nic niepokojącego. Słyszał tylko jakby przytłumiony szelest powyginanych części maszyny i rozdartych płatów płóciennych pokryć skrzydeł, balansujących na gałęziach drzew trzy metry nad ziemią. Wyłączył latarkę. Zlustrował jeszcze raz okolicę. W oddali, gdzieś na górskich stokach, dostrzegł światełka nielicznych zabudowań.

Pilot Iwan, nazywany przez kolegów Słowakiem, który nadal siedział w kokpicie samolotu, wyrzucił ze swojej strony plecak i gładkolufową strzelbę Mossberg 500, a następnie linę, po której opuścił się na ziemię. Jego buty po

kostki zanurzyły się w miękkiej, błotnisto-liściastej mazi. Miał więcej szczęścia niż Wiktor. Stał stabilnie. Założył plecak i wziął do ręki trochę zabłoconą broń. W samolocie nadal siedział Andriej i cicho stękał, próbując się uwolnić z pasów, które po gwałtownym lądowaniu oplotły jego klatkę piersiową niczym macki ośmiornicy. Nie bez trudu wyszarpał ze skórzanej, czarnej pochwy nóż bojowy Kizlyar Stalker i przeciął krępujące go więzy.

– Pomóż mu się wygrzebać z tej plątaniny – rzucił do Słowaka Fiedotow.

Następnie wyjął z kieszeni bluzy smartfona, a z małej foliowej torebeczki nieużywaną jeszcze kartę SIM. Wsunął ją delikatnie do urządzenia. Po chwili uruchomił aplikację z mapą. Przyjrzał się jej dokładnie. Ich miejscem lądowania miała być duża, płaska polana u zachodnich stóp góry Kamienna Laworta, około trzech kilometrów od celu. Tymczasem byli kilkaset metrów od niej. Fiedotow już wiedział, że popełnili fatalny błąd, co mogło skutkować dekonspiracją. Wyłączył smartfona. Z drugiej kieszeni wyszarpał telefon satelitarny systemu Inmarsat. Odchylił krótką, grubą antenę i włączył urządzenie. Po kilku minutach pojawił się sygnał o zalogowaniu do systemu. Przyłożył aparat do ucha.

– To my. Problemy przy... *posadku*. Tak, tak, *nużna nam twoja pomoc*... – Fiedotow starał się powoli dobierać słowa, tak jakby chciał mówić w języku polskim i unikać rosyjskich słów. – Tak, *my w dierewni Łodyna*. *Wmiesto spotkania dwa jeden* – dodał po chwili. – *Poka* – zakończył, wyłączył telefon, złożył antenę i schował go do kieszeni kurtki.

W tym czasie Andriejowi w końcu udało się opuścić rozbity samolot. Podobnie jak Fiedotow, ciężko upadł na grubą warstwę mokrych liści, które pokrywały liczne gałęzie i kamienie. Leżał chwilę i z trudem oddychał.

– Andriej, co ci? – wyszeptał Iwan, który uklęknął przy nim i zaczął go obmacywać, szukając ewentualnego złamania czy rany.

– Nic. Noga i plecy, ale chyba wszystko na miejscu... Zaraz wstanę.

– Cel jest kilkaset metrów od nas. Idziemy – rozkazał Fiedotow.

Wiktor jeszcze raz omiół światłem latarki samolot i teren pod drzewami, w konarach których tak niefortunnie wylądowali. Nic podejrzanego nie

dostrzegł. Założył na ramię karabin wyborowy Wintoriez z celownikiem optycznym, tłumikiem dźwięku i drewnianą kolbą. Fiedotow lubił tę broń. Po złożeniu kolby łatwo mógł ją przewieźć na miejsce operacji specjalnej w zwykłej walizce.

Ruszyli łagodnym zboczem w dół, zostawiwszy za sobą wrak. Jedyne zapach paliwa lotniczego towarzyszył im jeszcze przez kilkadziesiąt metrów.

W tym samym czasie, na przeciwległym wzgórzu, zza zakrętu polnej drogi wyjechał szary, kilkunastoletni jeep grand cherokee. Jego obłoczone drzwi, kłapa silnika i szosowo-terenowe opony świadczyły, że pokonał już po drodze kilka trudnych miejsc. Nie wyróżniał się niczym specjalnym wśród innych tego typu samochodów kręcących się po bezdrożach Gór Słonnych i Bieszczadów. Kierowca zgasił światła. Powoli podjechał do wyznaczonego miejsca. Zatrzymał się, ale nie wysiadał. Za szybą było widać tylko żar palonego przez niego papierosa.

Po przejściu kolejnych kilkadziesiąt metrów Wiktor uniósł gwałtownie rękę. Wszyscy jak na komendę zatrzymali się i zastygli w całkowitym bezruchu. Dowódca grupy uklęknął i wycelował broń w kontur drewnianego domu, przypominającego mu nieco podmoskiewskie dacje kolegów ze służby. Odniósł wrażenie, jakby obok budynku na chwilę zapaliło się czerwone światło, ale szybko zgasło. „Chyba mam zwidy” – pomyślał, następnie cicho zwrócił się szeptem do swoich ludzi:

– *Ostrożno!*

Trzej mężczyźni po kilku minutach intensywnego marszu podeszli pod drewniany taras domu.

– Słowak, obejdiesz go z lewej, a ja idę tutaj. – Fiedotow wskazał głową i przeładował broń. – Ty zostajesz i zabezpieczasz cały teren wokół – dodał cicho do Andrieja.

Otaczała ich niemal absolutna ciemność, ale oczy już rozróżniały elementy budynku. Wokół panowała taka cisza, jakby w najbliższej okolicy nie

znajdowały się żadne żywe stworzenia. Jedynie co jakiś czas z odległego gospodarstwa dobiegało ujadanie psa.

Wiktor schylił się i przesunął w stronę okna. Spojrzał przez szybę. Nie zauważył ruchu. Cicho podszedł do drzwi, nacisnął klamkę. W drugiej ręce trzymał karabin. Szybko ocenił, że drewniane drzwi i jeden zamek nie będą stanowić specjalnej przeszkody w dostaniu się do środka. Ponownie przeszył go ból z prawej strony ciała. Złamana rura w samolocie przebiła kurtkę i weszła centymetr w ciało.

Iwan okrążył już dom i podszedł do Fiedotowa:

– *Ticho* – wyszeptał.

Fiedotow cofnął się, splunął i błyskawicznie wymierzył w drzwi potężny kopniak ciężkim wojskowym butem. Zamek puścił. Iwan wbiegł do środka, trzymając w ręku mossberga. Podwieszona do niego latarka rozjaśniła wnętrze snopem białego światła. Przeskoczyło ono z mebli na drewnianą podłogę, a następnie przesunęło się po ścianie. Łóżko znajdowało się w nieładzie.

– *Niet, nikogo.*

– Szukajcie jakiegoś schowka, dokumentów, zdjęć, komputera, telefonu – polecił Wiktor.

Nieco rozluźniony, wolno podszedł do kominka. Dotknął go dłonią.

– Jeszcze ciepły – powiedział i z całej siły uderzył pięścią w ścianę.

– Co tam mówicie, *towariszcz kapitan?* – zapytał Iwan.

– Do ciebie nic. Rób swoje – odpowiedział Fiedotow i wyszedł na zewnątrz.

W pobliżu domku letniskowego nic się nie zmieniło, tylko za wzgórzem na południu zaczynało się przejaśniać. Z doliny unosiła się gęsta jesienna mgła. „Bez trudu nie wyłowisz i rybki ze stawu” – przypomniał sobie przysłowie, które wiele razy słyszał od przełożonych jeszcze podczas swojej służby w GRU, w 161 Centrum Szkolenia do Realizacji Zadań Specjalnych. Uśmiechnął się do siebie. W tym momencie usłyszał trzask deski podłogowej.

– Mamy skrytkę! Ale... jest pusta – usłyszał głos dochodzący z wnętrza domku, najpierw pełen optymizmu, a po chwili zrezygnowany.

Zaraz potem na twarzy Fiedotowa pojawił się grymas. Dotknął dłonią prawego boku. Wydawało mu się, że ból jakby zelżał, ale palce w jego oliwkowej taktycznej rękawiczce były czerwone od krwi.

Wiktor, stojąc oparty o framugę wyważonych przez siebie drzwi, wciągnął głęboko w płuca ostre, poranne górskie powietrze. W pewnym momencie poczuł delikatny, charakterystyczny zapach surowej ropy, którą wciąż jeszcze wydobywano w tej okolicy. Woń ta od razu skojarzyła mu się z Baku i niedawną operacją specjalną, którą przeprowadzał, będąc już na etacie Służby Wniesznej Razwiedki.

– Na mój nos nic tu nie ma, *towariszcz kapitan*. Wyczyszczone, jakby ktoś się nas spodziewał czy co. *Chuj znajet* – powiedział z rezygnacją, ale i pewnością w głosie Iwan, podchodząc do Fiedotowa.

– Zbieramy się – rozkazał Wiktor, a latarkę, którą od kilku minut nerwowo ściskał w dłoni, skierował w miejsce, gdzie miał czekać samochód do ich podjęcia. Na miejsce oznaczone kryptonimem dwa jeden. Trzy razy ją włączył, odczekał chwilę i ponownie trzykrotnie błysnął światłem. Szary jeep powoli ruszył w kierunku drewnianego domu.

Fiedotow splunął na trawę. Był zły, bo nie wykonał zadania. Liczył, że odnajdzie w domku letniskowym oficera Agencji Wywiadu dokumenty niezmiernie ważne dla Kremla – listę terrorystów i ludzi wspierających organizacje dżihadystyczne, którzy przed laty współpracowali ze służbami bloku wschodniego, a dzisiaj zajmują eksponowane miejsca w koncernach energetycznych na Bliskim Wschodzie. W irackim Kurdystanie kilka miesięcy wcześniej polski oficer sprzątnął ją Rosjanom sprzed nosa ze skrytki. Fiedotow przed przybyciem do Polski otrzymał informację od przełożonych, że Marcin Łodyna nie poinformował o tym swoich przełożonych w AW. W Moskwie nie wiadomo jednak, jak chce ją wykorzystać.

Oficer SWR miał świadomość, że jego misja skończyła się kompromitującym fiaskiem. Zakładał, że Gawron kupiony od łotewskich przemytników niebawem

zostanie odnaleziony przez polską Straż Graniczną, a wtedy jego grupa będzie ścigana.

Jak najszybciej musiał się stąd ewakuować. Na szczęście mógł liczyć na pomoc krótko ostrzyżonego mężczyzny siedzącego w jeepie.

Rozdział 1

Lesko, Cisna (Polska) – lato 1939

Pies jak oszalały biegał wokół czarnego fiata 508, który objechawszy klomb, zatrzymał się przed frontowym wejściem do leskiego zamku Krasickich.

– Przepraszam za to nagłe przybycie, ale obowiązki służbowe, sam pan rozumie. Mam nadzieję, że telefonogram dotarł do pana hrabiego – powiedział głośno major Czakucki, gdy już wysiadł z samochodu i regulaminowo zasalutował gospodarzowi zamku.

Ten wyglądał, jakby właśnie zakończył jazdę konną. Ubrany był w ciemną, elegancką marynarkę w delikatną szkocką kratę, brązowe bryczesy i oficerki. Lekko uchylił maciejówkę, którą miał na głowie.

– *Trottel!* Zostaw! Spokój! – krzyknął do psa hrabia August Krasicki, a potem wyciągnął rękę na powitanie. – Zapraszam w nasze progi. Zakładam, że pan major spędzi z nami dzisiejszy wieczór. Poprosiłem już o przygotowanie pokoju z najładniejszym widokiem. Zapraszam na posiłek. – Uśmiechnął się. – Kuchnia zaserwuje dziczyznę z ostatniego polowania.

– Jak zawsze miło mi będzie spędzić u pana hrabiego kilka spokojnych chwil.

Mężczyźni weszli na ukwiecony ganek. Po kolumnach i podcieniach otaczających zamek wił się bluszcz, a na zewnętrznych ścianach budynku, obok wielkich donic z monsterą dziurawą i czerwonymi pelargoniami, wisały myśliwskie trofea. Hrabia był zapalonym myśliwym, ale też miłośnikiem roślin, dlatego zamek otaczała zieleń. Prowadził badania botaniczne i wyhodował nawet unikatową odmianę świerku leskiego, który nazwano jego nazwiskiem. W czasie

wielkiej wojny hrabia Krasicki służył w armii austriackiej, a potem w Legionach Polskich. Wykonywał zadania specjalne jako kurier. Rezydent szesnastowiecznego zamku, usadowionego na wzgórzu nad Sanem, był też rotmistrzem rezerwy przypisanym do dowódcy Okręgu Korpusu w Przemyślu.

Major Romuald Czakucki – oficer II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego – oraz hrabia Krasicki weszli do salonu poprzedzani przez służącego. Oficer ciężko usiadł na rokokowym krześle. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Na ścianach wisiały liczne portrety członków rodu Krasickich. Jego wzrok na moment przyciągnął obraz z charakterystyczną postacią Ignacego – biskupa, poety i bajkopisarza. Obok stał biały piec kaflowy przypominający grecką kolumnę oraz sekretarzyk, przy którym gospodarz pisał listy. Na stoliczku umieszczono oprawione zdjęcia uśmiechniętej Mai Sobańskiej z Guzowa w gustownym cylindrze i Jana Krasickiego, syna hrabiego, w kontuszu.

– Oryginalne. – Oficer wskazał palcem na zdjęcie.

– Fotografie zostały wykonane tutaj, w Lesku, przed trzema laty – wyjaśnił hrabia.

Tymczasem służba wniosła porcelanową zastawę na herbatę od Rosenthala i kieliszki na nalewkę.

– Co pana majora sprowadza?

– Wojna, a w zasadzie wojna na progu, panie hrabio. Jadę z Dynowa, ale wcześniej odwiedziłem też Ołykę. W majątku Radziwiłłów ustalałem szczegóły związane z ewentualnym wykorzystaniem zamku jako punktu etapowego dla pewnego przedsięwzięcia. Być może, gdyby – odpukać w niemalowane drewno – Hitler nas zaatakował, będą tam rezydować, oczywiście tymczasowo, prezydent albo premier i jego ministrowie. Może to być również punkt etapowy ewakuacji na przedmoście rumuńskie. Ale, panie hrabio, na razie to jest tajemnica państwowa – powoli cedził słowa Czakucki. Po chwili wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę, uchylił ją i zaproponował papierosa gospodarzowi. – Równie ważna pod tym względem może być rezydencja pana

hrabiego. Chciałbym przekazać, że gdyby jednak wojna wybuchła, może tutaj zagościć przedstawiciel najwyższych władz...

– Wszystko mi pan, majorze, opowie później. Widzę, że jest pan zmęczony. Trzeba się posilić – przerwał mu hrabia, a służba zaczęła nakrywać do obiadu.

Po prawie godzinnym posiłku obaj wstali i skierowali się do zamkowego parku. Lato 1939 roku było wyjątkowo słoneczne i suche. W ogrodzie wokół posiadłości unosił się zapach kwitnących róż i egzotycznych roślin sprowadzonych przez Krasickich z różnych regionów świata.

– Proszę usiąść, panie majorze – powiedział hrabia i wskazał na wiklinowe krzesła. Po chwili obaj patrzyli na powolny zachód słońca. Wokół wielkiej donicy z palmą zaczęły krążyć ćmy. Ich taniec przerwał służący, który przyniósł dwa kieliszki napełnione aromatyczną słodką wiśniówką.

– A pan, hrabio, niczego się nie obawia? Kraj już szykuje się na najgorszy scenariusz.

– A czego ja mam się bać, majorze? Cóż Niemcy mogą zrobić mnie, staremu oficerowi cesarsko-królewskiej armii? Mówi pan, majorze, że wojna tuż-tuż. Wie pan, skoro tak, to ja też miałbym do pana prośbę. Wcześniej o tym nie myślałem, ale gdy dostałem od pana telefonogram i po tym, co mi pan tu opowiedział o Olyce, ewakuacji, przedmościu, o Rumunii...

– Jak mogę panu pomóc?

– Czy zabrałby pan ze sobą nasze rodzinne dokumenty, między innymi potwierdzone notarialnie kopie nadań królewskich i aktów własności naszych majątków i przedsiębiorstw oraz pieczęcie herbowe?

– Naturalnie!

– I dołożyłbym spis naszych najcenniejszych dzieł sztuki. Wszystko zmieści się w pakiecie plombowanym sznurkiem i lakiem. Jak w przesyłkach dyplomatycznych.

– Panie hrabio, obiecuję, że zabezpieczę cały pakiet – odparł major i opróżnił kieliszek wiśniówki.

– Świetnie, przygotuję wszystko na rano. A teraz niech mi pan opowie, co tam w polityce światowej. Jak ten Hitler? Jak Mussolini? A nasi sojusznicy?

* * *

Następnego dnia po śniadaniu major Czakucki ruszył w dalszą podróż. Od Leska do Baligrodu droga była jeszcze przyzwoita jak na podkarpackie warunki, ale z Baligrodu do Cisnej zrobiła się wyboista i kręta. Nieubłaganie nadwerężała zawieszenie jego czarnego fiata. Ale major przyzwyczajony był do takich bezdroży. Od czasu gdy z ramienia Oddziału II SG WP prowadził szkolenie żydowskich bojowników w okolicach Andrychowa w Beskidach, a potem przerzucał ich wraz z uzbrojeniem do Palestyny przez Karpaty i Rumunię, miał doświadczenie w jeździe samochodem w takim terenie.

Droga nieco go nużyła. Czakucki cały czas się zastanawiał, czy wybór kościoła Świętego Wawrzyńca w Dynowie na miejsce tajnego schowka był właściwym rozwiązaniem. Ale nie miał wyjścia. Czas naglił. Musiał gdzieś ukryć dokumenty dotyczące całego przedsięwzięcia, które teraz wchodziło w fazę realizacji. Zawierały one opisy przygotowań do działań na Zakarpaciu, w Rumunii, na Węgrzech, a nawet w Ameryce Południowej i na Bliskim Wschodzie. Znajdował się w nich wykaz polskich obywateli i cudzoziemców, a nawet firm spedycyjnych, które pomagały w organizacji działań wywiadowczych na tych obszarach. Standardowo w dwóch specjalnych walizkach ukryto po jednej rolce dolarów amerykańskich różnych nominałów oraz po kilkanaście złotych dwudziestodolarówek.

Wracał także myślami do rozmowy z Augustem, do swojej rodzinnej Nowogródczyny, do Lidy, do synka. Przy desce rozdzielczej miał przyklejoną fotografię kobiety i kilkuletniego chłopca. Obok stał on sam, w galowym mundurze i rogatywce z granatowym otokiem korpusu piechoty.

Minął Jabłonki, a droga wzdłuż potoku zaczęła biec między wysokimi zboczami. Nagle z zamyślenia wyrwał go huk strzału karabinowego, potem drugi

i trzeci. Kule przeszły boczne drzwi i przednią szybę fiata. Oszołomiony major nie wiedział, co się dzieje.

– Co jest, do kurwy nędzy! – krzyknął zaskoczony.

Odruchowo schylił głowę poniżej bocznej linii szyby, mocniej naciskając pedał gazu. Auto gwałtownie przyspieszyło. To, co jeszcze do niedawna sprawiało mu udrękę, teraz ratowało mu życie. Samochód podskakiwał niekontrolowanie na boki, gdy mknął wyboistą drogą. Strzelec nie miał łatwego zadania i pociski chybiły, tylko jeden zrykoszetował o dach. Major co chwila spoglądał nerwowo przez przednią szybę, aby nie wpaść do rowu. „Na to zapewne liczą. Tam mnie dorwą i rozwalą. Ale kto? Rusini, Niemcy, zwyczajni bandyci?” – przelatywało mu przez głowę. Wilgotnymi dłońmi coraz mocniej ścisnął kierownicę. Pierwszy raz od wielu lat poczuł strach.

Po kilkunastu minutach oddalił się od napastników. Zwolnił nieco, bo obawiał się, że jego fiat nie wytrzyma dłużej takiej jazdy. Dotknął kabury z visem przywieszanej do wojskowego skórzanego pasa. W schowku miał dodatkowe magazynki. Włożył je do kieszeni spodni.

Wyjechał zza zakrętu na otwartą przestrzeń. Las miał za sobą. Postanowił na chwilę się zatrzymać. Wsiadł z samochodu, nie gasząc silnika. Nadal był jednak zdenerwowany, z czego zdał sobie sprawę, gdy zobaczył, jak mu się ręce trzęsą, kiedy otwierał papierośnicę. Stojąc w otwartych drzwiach, zapalił papierosa i mocno się zaciągnął. Zorientował się, że jest przed Habkowcami, a więc niedaleko Cisnej. Wziął z siedzenia pasażera lornetkę i przyłożył ją do oczu. Dostrzegł stojącą na wzgórzu trójdzielną cerkiew, a poniżej, wzdłuż Habkowskiego Potoku, wiejskie zabudowania. Przesunął nieco lornetkę w lewo i ujrzał murowany prostokątny budynek na skrzyżowaniu dróg prowadzących do Cisnej i w głąb wioski. Wyglądał na karczmę. Nie zauważył przy nim żadnego ruchu. Skierował lornetkę na polany nad wioską. Dostrzegł kilkanaście koni gnanych w dolinę od strony Jabłonek. Wokół nich krążyło trzech jeźdźców. Jeden z nich trzymał w ręku karabin Mauser w skróconej wersji, a reszta miała taką samą broń na plecach. Mężczyźni ubrani byli w brązowe rusińskie kurtki

i szare koszule z samodziału. Jeden z nich miał na głowie zimową skórzaną czapkę z opuszczanym na kark kołnierzem.

I w tym momencie Czakucki zauważył, że wszyscy jeźdźcy mają charakterystyczne wojskowe obuwie z opinaczami.

„Przecież to Schnurschuhe M37! Buty żołnierzy Wehrmachtu! I te mauzery”. Po chwili grupa „pastuchów” przecięła dolinę potoku za ostatnimi domostwami i zaczęła szybko wspinać się polami w kierunku lasu. Nie odrywając oczu od lornetki, zgasił papierosa i przydeptał tak silnie, jakby chciał go wbić podeszwą buta w nawierzchnię dziurawej drogi. Konie i jeźdźcy zniknęli między drzewami przed szczytem wzniesienia. „Pewnie jadą w kierunku granicy” – pomyślał.

Po kilku minutach fiat majora wjechał do Cisnej. Gdy minął podłużne chyże kryte grubą strzechą, Czakucki zobaczył kotlinę z polami dochodzącymi prawie pod same wierzchołki otaczających ją gór. Zwolnił. Przejechał obok wiejskich zagród, przy których po klepisku i resztkach trawy chodziły kury i gęsi. Zostawił za sobą niewielki kościółek w stylu neogotyckim, potem zaś stojące w równym szeregu domy. Z lewej strony, nad dachami dworskich zabudowań, otworzył się widok na podszczytowe polany tajemniczej góry Łopiennik.

Czakucki, gdy ostatni raz był w Cisnej, podjął decyzję o zorganizowaniu zapasowego schowka ewakuacyjnego zawierającego broń, amunicję, pieniądze, dokumenty, mapy, a nawet konserwy i ubrania. Jego lokalizację wyznaczył w sąsiedztwie majątku we wsi Żubracze u Jadwigi Kociatkiewiczowej, córki księcia Giedroycia. Przemawiała za tym bliskość granicy, filii posterunku polskich pograniczników i spore zabudowania dworskie. A poza tym majątek, a także samą rodzinę Kociatkiewiczów, polecił mu August Krasicki, który z ojcem Jadwigi, Władysławem, robił na Podkarpaciu i Galicji interesy na drewnie.

Na rozstaju dróg dostrzegł podłużny drewniany dom. Nieraz kupował tam wódkę u żydowskiego właściciela. Następnie skierował się na zachodni kraniec wsi. Poczł zapach wypiekanego chleba. Minął dom sołtysa, a po chwili, z lewej strony, na niewielkim wypiętrzeniu nad doliną Solinki dostrzegł duży,

trzy piętrowy drewniany budynek z poddaszem. Zaparkował przed nim samochód. Na jego dwóch rogach wzniesiono rodzaj wieżyc, a spadzisty dach przypominał architekturę zakopiańskich willi. Nad bramą widniała spora, podłużna tablica z napisem *Pensjonat*. Na werandzie w skrzynkach rosły wielobarwne kwiaty.

Czakucki zatrzymał się Pod Beskidem, który mieścił stację Towarzystwa Krzewienia Narciarstwa. Prowadzony był przez przemysłowca drzewnego Hugona Herczko i jego żonę.

Jak przystało na górskiego turystę, major zabrał ze sobą z samochodu płócienny plecak ze skórzanymi paskami i anorak – wysłużoną na niejednej wyprawie ulubioną kurtkę.

Poprawił przy pasie visa i wbiegł po pięciu stopniach szerokich schodów. Nacisnął kłamkę i wszedł do obszernego holu pełniącego jednocześnie funkcję jadłodajni.

– Melduję się w Bieszczadach, panie Władysławie. Serwus – rzucił do siedzącego przy stole wąsatego policjanta, komendanta miejscowego posterunku, a jednocześnie funkcjonariusza Defensywy Policyjnej. Podszedł do niego i uścisnął jego wielką dłoń.

– Nareszcie, panie majorze. Już się niepokoiiliśmy. Zaraz wszystkich zwołam na dół – powiedział Fijałkowski, wstając od stołu.

– Panie Władysławie! Strzelano do mnie! Za Jabłonkami, przed Habkowcami, w tym ciemnym lesie przy drodze – zaczął major, a następnie zrelacjonował, co go spotkało. – Jakby wiedzieli, kim jestem. Ja w przypadek nie wierzę. Psiakrew, jeszcze mi się ręce trzęsą.

– To nie pierwsza strzelanina w okolicy w ostatnim czasie. Ukraińcy, Słowacy, Rusini, Cyganie, koniokrady i cholera wie kto jeszcze. Ale powiem panu, obstawiałbym Madziarów. Chodzimy na przełęcz przy granicy i trochę z nimi czasami gawędzimy. Poza tym ludzie mi mówią, że oni się interesują różnymi sprawami. Kto jest bogaty, kto ma gdzie rodzinę, czy może w Ameryce, jaki ma majątek i takie tam. Jakby coś wisiało w powietrzu. Ale ja tu pana

zagaduję, a pan jest pewnie zmęczony drogą i głodny. Nasz Hugo przygotował porządną kolację.

– Nie ukrywam, że cała ta sytuacja kosztowała mnie sporo nerwów.

– Zaraz zadzwonię do naszej placówki w Lesku, żeby się rozejrzeli po okolicy.

– Panie Władysławie, zanim siądziemy do stołu, proszę do samochodu, bo mam sporo bagażu.

Kiedy major już rozpakował swoje rzeczy w przydzielonym mu jasnym, dużym pokoju, zszedł na dół i usiadł za solidnym drewnianym stołem. Po chwili zaczęły dochodzić do niego głosy kilku osób i dźwięki walenia butami o drewnianą podłogę w pokojach na piętrze. „Zawsze te same dźwięki, te same zapachy smażonej kiełbasy z cebulą z kuchni. Typowe schronisko w Karpatach” – pomyślał i zaczął wpatrywać się w duży, owalny portret w złotej ramie. Przedstawiał dystygowaną kobietę uczesaną gładko do tyłu, w czarnej sukience z głębokim dekoltem i dużym wisiosem na łańcuszku – panią Annę, żonę właściciela pensjonatu. Zwykle w wakacje kłębił się tu tłum letników, organizowano obozy i kolonie dla dziewcząt, słychać było gwar, chichot dziewczynek, tupot stóp ganiających się chłopców. Teraz wypoczywających próżno było szukać, bo Czakucki wynajął na kilka dni cały pensjonat.

Major wiedział, że zaraz spotka ludzi, których być może będzie widział ostatni raz. Niewykluczone, że wysyła ich na misję, która spowoduje rozłąkę z ich bliskimi na bardzo długo. Niektórzy z nich nigdy nie wrócą do domu. Nie miał wątpliwości, że wojna zbliża się z każdym dniem. Trzecia Rzesza podciągała wojska na wschód. Mnożyły się prowokacje, widoczny był ferment wśród Niemców zamieszkujących Polskę.

– Kazałem im się stawić za piętnaście minut! – krzyknął ze schodów Fijałkowski. Usiadł koło Czakuckiego i otworzył wysoką butelkę z miejscowym bimbrem. – Poleję, panie majorze, bo wychodzi na to, że możemy się jakiś czas nie widzieć. A panu przyda się na uspokojenie po tej strzelaninie.

Sprawnie rozstawił kieliszki i wlał do nich alkohol.

– Coś panu powiem. Był u mnie dzisiaj kolega z naszej komendy w Sanoku. Powiedział, że jak będzie się miało coś dziać, to przyjedzie do mnie kurier z rozkazami w zalakowanej kopercie. Podobno mamy ruszyć do Lwowa.

– Co zrobić, panie Władysławie, służba.

– Służba, służba. Pan wie. Zostawimy tu wszystkich i wszystko. Po tym, co się niedawno stało w Solince i odkąd Korpus Ochrony Pogranicza stacjonuje nad granicą w Roztokach, nie jest wesoło.

– Dlaczego?

– Tak. Propaganda ukraińska jest coraz mocniejsza. My tu, panie majorze, w Cisnej dobrze ze wszystkimi żyjemy. Ale pan wie, nastroje nienawiści podsycają OUN-owcy, nawet komuniści.

– Aż tak źle?

– A tak. Właśnie tak. Ostatnio od znajomego Żyda, tego, u którego pan wódkę zawsze kupował, dowiedziałem się ciekawych rzeczy. To porządny człowiek, można mu zaufać... Moja opiekowała się jego żoną, gdy ta chorowała na płuca ostatniej zimy. Niedawno odwiedził go kuzyn, który mieszka po tamtej stronie, w Bardejowie. Powiedział, że na granicy gromadzą się oddziały niemieckie i słowackie. To chyba ważne?

– Bardzo ważne, niech pan opowiada – zaciekawiał się Czakucki.

– Mówił, że u nich w mieście wojsko nawet po domach na kwaterach siedzi. Wspominał, że jak jeden słowacki oficer mocno popił, to gadał, że niedługo będą w Komańczy i Sanoku w defiladzie maszerować. – Policjant znowu wlał do kieliszków mętny alkohol.

– Nie wysyłał pan jeszcze meldunku?

– Nie, czekałem na pana. To na zdrowie. – Wychylili kieliszki wódki. – Panie majorze, co to, kurwa, będzie? A Sowieci się nie ruszą, nie wbiją nam noża w plecy za tysiąc dziewięćset dwudziesty rok? Aha, ten Żyd mówił też, że ciężkie czasy dla mojżeszowych nastają na Słowacji. Chciał nawet z rodziną do nas uciekać. Ale ja tak myślę, panie majorze, po co, skoro zaraz hitlerowskie ścierwo na nas ruszy.

Czakucki patrzył tępym wzrokiem na ponownie napełniony przez Fijałkowskiego kieliszek i milczał. Nagle podniósł go energicznie, wypił i poprosił o dolanie następnej porcji samogonu.

– Rozumiem, że schowek w Żubraczem jest już zabezpieczony i gotowy do wykorzystania? – zapytał, zmieniając temat.

– Tak jest. Wszystko gotowe, zgodnie z ustaleniami. Dotarł do nas ten młody porucznik z Warszawy, no, ten wysoki, z jasną czupryną.

– I co z nim?

– Jak co z nim? Tak jak pan major polecił, od razu wyekspediowałem. Poszedł z jednym przemytnikiem z Leska na Humenne, oczywiście z całym wyposażeniem. Zgodnie z rozkazami ma organizować tam punkt kontaktowy.

– To dobrze, bo stacja przerzutowa już działa. W takiej wsi koło Egeru. A gdzie, panie Władysławie, walizki?

– Walizki, zgodne ze specyfikacją, są u nas na posterunku. Na razie nie chciałem po wsi z nimi paradować. W nocy przierzucimy je tutaj. Bo wie pan, jak się coś zacznie, a że zacznie się, to pewne, wtedy rzucą się na posterunki policji, Straży Granicznej, czy KOP-u. Więc lepiej je tu... – Nie dokończył, bo do pomieszczenia zaczęli się schodzić uczestnicy spotkania.

Czakucki nieco ściszym głosem wyjaśnił zgromadzonym żołnierzom w cywilnych ubraniach, że prawdopodobnie niebawem wybuchnie wojna. Poinformował, że ich zadania będą polegały na utrzymaniu punktów kontaktowych i przerzutowych dla ludzi, którzy będą musieli się ewakuować na Węgry lub do Rumunii. Przypomniał, że zabiorą z sobą specjalny bagaż i że jeśli będą w poważnym niebezpieczeństwie, to mają go dobrze ukryć, oznaczyć oraz zanotować opis miejsca. Podkreślił, że nie można dopuścić, aby dostał się on w ręce wroga.

Po jego słowach wszyscy zamarli. Widział, jak młodzi mężczyźni patrzyli pytającym wzrokiem jeden na drugiego, jakby nie wierzyli, że przygotowują się do wojny. Major wyciągnął ze swojej torby papierowe pakiety, zalakowane i obwiązane cienkim biało-czerwonym sznurkiem. Złamał pieczęcie, rozciął

nożem sznurek. Otworzył je. Wyjął dokumenty legalizacyjne dla swoich ludzi, a następnie rozłożył płachtę kolorowanej mapy z naniesionymi punktami, przy których znajdowały się opisy miejsc i tras przemieszczania się. Następnie dobrał zgromadzonych w pięć dwuosobowych zespołów.

– Panowie, proszę bliżej... i przypominam, że to, co tutaj usłyszycie, nie ma prawa nikt powtórzyć komukolwiek, nawet matce czy dziwce z burdelu. Przypominam, że po odprawie idziecie zapoznać się swoimi nowymi danymi osobowymi, informacjami o sytuacji bieżącej w terenie, politycznej w krajach, gdzie możecie dotrzeć, i co najważniejsze, z mapami Wojskowego Instytutu Kartograficznego. Bo ze sobą zabierzecie jedynie mapy i przewodniki turystyczne. Wieczorem wszystkich przepytam, dokładnie! – rzucił tonem służbisty.

* * *

Po zakończonej odprawie Fijałkowski wraz z Czakuckim zostali w jadalni, zjedli pachnącą zalewajkę na maślanec, świeże proziaki prosto z gorącej blachy na piecu, a gdy na stole pojawiły się też fuczki – placki z kapusty kiszonej, major się rozluźnił. Lubił kuchnię południowego pogranicza. Zawsze twierdził, że styk kultur ma doskonały wpływ na kuchnię, obyczaje, a także urodę kobiet.

– No, panie majorze, jeszcze po jednym i idziemy na polowanie – powiedział komendant i konfidencjonalnie dodał: – Czeka na nas zaufany, który ma ciekawe obserwacje. To ten Janek Chojnacki, którego przenieśliście do wywiadu. Nie możemy się tutaj z nim spotykać, za dużo oczu i uszu we wsi.

Kilkanaście minut zajęło im przebranie się w stare, używane myśliwskie ubrania. Na ramię zarzucili błyszczące belgijskie strzelby Browning 125, które policjant zarekwirował niedawno słowackim kłusownikom. Czakucki przepasał się skórzanym pasem na naboje. Okrążyli pensjonat, pokonali w zakolu płytką o tej porze roku Solinkę i weszli do lasu. Po chwili przecięli tory kolejki drzewnej. Kilkadziesiąt metrów szli wzdłuż torowiska. Kierowali się na południe. Po ostrym podejściu major wyciągnął manierkę i pociągnął z niej łyk

wody. Przy okazji zlustrował okolicę. Sprawdził, czy ktoś za nimi nie ruszył. Pół godziny później stali na niewielkiej polanie. Fijałkowski rozejrzał się, przyłożył do ust dłoń i wydał dźwięk przypominający pohukiwanie puchacza. Odpowiedział mu krótki gwizd. W cieniu na pniu zwalonego przez wicherę drzewa siedział mężczyzna. To był Chojnacki, były funkcjonariusz Straży Granicznej, który przez kilka lat zajmował się rozpracowywaniem beskidzkich szlaków przemytniczych, ale jakiś czas temu został zmobilizowany i zaczął realizować zadania związane z wywiadem. Posługiwał się pseudonimem Mucha. Do jego głównych obowiązków należało zbieranie informacji o dyslokacji jednostek wojskowych na przedpolu granicy i powstających tam instalacjach militarnych.

– Oto i zaufany generała Czумы – przedstawił Muchę Fijałkowski.

– Czołem. Słyszałem, że ma pan ciekawe obserwacje. Coś niepokojącego dzieje się u naszych słowackich braci? – Czakucki powiedział to z nieukrywanym sarkazmem, akcentując słowo „bracia”.

– Wejdźmy bardziej w las, bo tu jesteśmy zbyt na widoku. Ostatnio różni się kręcą po okolicznych lasach.

Wyjaśnił, że Węgrzy zajęli tereny koło Użhorodu, które Czesi w 1936 roku ufortyfikowali. Magazynowali tam gazy bojowe. Na tym odcinku, jego zdaniem, było w miarę bezpiecznie. Ale Niemcy podchodzili od południa. W słowackich miastach byli już żołnierze przebrani w cywilne łąchy.

– Z tymi przebierańcami to pewne? – spytał Czakucki.

– Pewne, panie majorze! Co najważniejsze, transport kolejowy jest podporządkowany przerzutowi wojska, przez co cywile narzekają na opóźnienia. Niemcy dokonują rekonesansu na drogach i przeprawach mostowych. Mam informacje o budowanych schronach i magazynach polowych, które powstają pod nadzorem austriackich inżynierów. Termin zakończenia prac budowlanych określono na pierwszego września.

– A jak ruchy wojska?

Mucha zamyślił się.

– Ostre pogotowie jest już na przedpolu naszego Obwodu Jasło. Dojście do granicy z tego kierunku jest zamknięte. Zresztą tamtejsza Straż Graniczna jest odwoływana w głąb kraju i zastępuje ją wojsko. Na przykład ze wsi Hobgrat ewakuowano dzieci niemieckich kolonistów. – Mucha przerwał swoje sprawozdanie i spojrzał na rozmówców. – To mało?

– To za dużo! Dzisiaj rano, w drodze do Cisnej, za Jabłonkami, ktoś ostrzelał mój samochód. Potem widziałem, jak trzyosobowa grupa pastuchów, uzbrojona w krótkie mauzery, pędziła kilkanaście koni. Uważacie, że po naszej stronie mogą już działać grupy dywersyjne?

– Konie, mówi pan major. – Na twarzy Muchy pojawił się lekki uśmiech. – W trzydziestym szóstym zaobserwowaliśmy przemyt koni na dużą skalę. Okazało się, że rozpoczęła się wtedy rejestracja koni przez czechosłowacką intendenturę wojskową, a potem ich zakup na potrzeby armii. Hodowcy wpadli w panikę. Przeprowadzili konie na naszą stronę. Jeżeli weszliście na te konie na wysokości Jabłonek, to znaczy, że przekroczyli granicę w okolicach Solinki. Musieli mieć jakieś wtyki u naszych, bo tam została wzmocniona obsada.

– Czyżby ruszyła już po tamtej stronie akcja poboru koni do wojska? Tylko że ci jechali do granicy. I mieli buty z opinaczami, jakich używają w Wehrmachcie! O pieprzonych czechosłowackich wersjach mauzera nie wspominając – rzucił poirytowany major.

– Niewykluczone, że chcieli zmylić pościg. Ale sprawa bardzo ciekawa. Zgadza się, panie majorze, ta broń nie jest popularna wśród jakichś przemytników, pastuchów czy nawet zwykłych żołnierzy. Sprawdzę to. Ale zawsze to może być jakaś działalność bandycka, tak przy okazji, albo rozpoznawcza. Pan wie. Jest tu w okolicy parę bogatych rodzin. Dwór, tartak, sklepy. A wojna takie szumowiny zawsze uaktywnia. Ale żebyście byli świadomi, oni też wiedzą o naszej mobilizacji.

– Czyli najbardziej bezpieczny kierunek przerzutu to Węgry i prosto do Rumuni? – włączył się do rozmowy Fijałkowski.

– Zdecydowanie tak, panowie. Taka jest moja ocena sytuacji. I jeszcze jedno. Granicę naruszają słowackie samoloty zwiadowcze. Być może analiza ich tras lotów może wskazać kierunki planowanego uderzenia.

Informator spojrział w bok, zauważył bowiem jakiś ruch po drugiej stronie polany.

– Panie majorze, mieliśmy też na posterunku kilku dezertersów z armii słowackiej, a nawet Czechów. Zgodnie z instrukcją odesłaliśmy ich do Krakowa – dodał oficjalnym tonem funkcjonariusz defensywy.

– Mówisz pan, że pierwszego września kończą pracę przy umocnieniach? Czy wtedy wybuchnie wojna...?

– To wie chyba tylko Hitler, prawda, panie majorze? – odpowiedział nieco filozoficznie Mucha.

W tym momencie, cofając się ostrożnie, odszedł kilka metrów od dwójki pozostałych mężczyzn, wziął do ręki sztucer Mannlicher-Schönauer, który dotąd stał oparty o rozłożysty buk, skierował lufę w kierunku Czakuckiego, po czym przesunął broń w prawo i strzelił. Z oddalonej od nich o kilkanaście metrów gałęzi jodły spadł okazały kogut głuszca.

– Przepraszam, że z zaskoczenia, ale przecież poszedł pan major na polowanie.

* * *

Czakucki z Fijałkowskim pożegnali się i ruszyli w drogę powrotną.

– Panie majorze. Po drodze odwiedzimy naszego... wodzireja.

– Kogo?

– Andrzeja Drozda. Tak go tutaj nazywamy. Jego dom znajduje się ze sto metrów od tartaku. Porządny chłop. Pięć lat temu odszedł z policji i zajął się stolarstwem.

– On też był w Defensywie Policyjnej?

– Prosiłem, żeby miał oko na granicę. Poza tym podejźmy do tartaku, do Arona Sommera. Trochę z nim było problemów w ostatnich latach.

– A co on zaczął tu mącić?

– Ludzie się skarżyli. Strasznie ich wykorzystywał w robocie. Jakby miał mało pieniędzy. Bywało, że nie płacił robotnikom, tylko dawał kupony do realizacji w żydowskich sklepach. No i mieliśmy niezły ferment. Robotnicy i niemożeszowi handlarze zaczęli się burzyć. Ledwie to uspokoiliśmy! A mało to jest tu problemów? Niewiele brakowało, a od razu byłoby, że to antyżydowskie niepokoje. A po prawdzie to się robotnikom, również możeszowego wyznania, nie dziwię. No bo niech pan powie, jak tak można ludzi i ich rodziny traktować?

– Ma pan rację. Do naszej roboty potrzebny spokój i cisza. Tylko że to wygląda na ciszę przed burzą. Podejźmy potem na pocztę. Trzeba sprawdzić, czy nie ma przerw w łączności. Cholera wie, czy czegoś nie pocięli.

Po powrocie do pensjonatu Czakucki pogrążył się w rozmyślaniach. Widmo wojny, po informacjach od Fijałkowskiego i Muchy, nabierało realnych kształtów. Na chwilę zamknął się w swoim pokoju. Chciał odpocząć po wrażeniach z drogi, odprawie i górskiej wycieczce. Po godzinie napisał meldunek i poszedł z nim do Fijałkowskiego.

– Panie Władysławie, niech pan wyśle zaufanego policjanta po cywilnemu samochodem albo motocyklem do Sanoka z pakietem. Niech bezpośrednio idzie do zastępcy dowódcy 2 Pułku Strzelców Podhalańskich. Pan wie, tego majora, który odpowiada od czerwca za organizację Samodzielnego Batalionu Szturmowego do akcji dywersyjnych za granicą.

– Wiem, o kogo chodzi, było u nas paru chłopaków od niego. Za granicę chodzili.

– Niech natychmiastową szyfrówką wyślą meldunek do szefa Oddziału II w Warszawie. Oni tam mają mocną radiostację. Niech powie, że to ode mnie.

Fijałkowski odwrócił się, zamknął drzwi i szybko zbiegł na dół.

* * *

Wieczorem z krótkiej drzemki wyrwał Czakuckiego hałas na schodach i głośne pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął, zerwał się z łóżka, po czym drzwi do jego pokoju otworzył Fijałkowski i zaczął wnosić pięć sporych drewnianych walizek.

– Panie majorze, przywiózł je z miesiąc temu pan Waław. Ma dobre kontakty na Węgrzech, bo kiedyś tam pracował. Jechał z Częstochowy do Budapesztu, tak twierdził.

– Tak, znam sprawę.

– Naprawdę, świetna robota, panie majorze. Pan Waław mówił mi, że zostały wykonane w naszym specjalnym zakładzie w jednostce wojskowej w Myszkowie. Mają wzmocnione, numerowane zamki, okucia, gumowe uszczelki, uchwyty do pasków, żeby móc je nieść jak plecak. To ja się na razie odmeldowuję.

Czakucki zamknął na klucz drzwi pokoju. Zaczął przecinać sznurki i łamać plomby w workach, które przyniósł po przyjeździe z samochodu. Zawierały dokumenty najwyższej rangi, które mogły umożliwić normalne funkcjonowanie rządu polskiego na emigracji, a po wojnie stanowić dowód na ciągłość polskiej państwowości. Kierownictwo Dwójki obdarzyło Czakuckiego pełnym zaufaniem. Te dokumenty należało chronić za wszelką cenę.

Major rozpoczął od wypakowania wyprodukowanych przez Mennicę Polską urzędowych i sądowych pieczęci z charakterystycznymi, pomalowanymi na czerwono krawędziami i godłem Rzeczypospolitej. Włożył je do małych woreczków. Następnie układał w specjalnych tekturowych teczkach karty papieru z próbkami pisma prezydenta, premiera, szefa Sztabu Generalnego, kilku ministrów i szefów urzędów, a także prezydentów i prezesów sądów z największych polskich miast, między innymi Warszawy, Krakowa, Poznania, Wilna, Lwowa i Katowic. Do tego dołożył czyste karty papieru, który był wykorzystywany do sporządzania pism urzędowych. W pakowanych materiałach znalazły się też próbki papieru banknotowego i farb, a także wzory podpisów prezesa Banku Polskiego, naczelnego dyrektora oraz skarbnika. Czakucki

dołączył też klisze, które mogły posłużyć do produkcji polskich banknotów. Ponadto dorzucił spięte papierową banderolą pięć plików banknotów o nominale tysiącłotowym, które dotychczas nie pojawiły się w obiegu. Zgodnie z założeniami do każdej z waliz włożył po dwie banderolowane paczki dolarów amerykańskich – pieniądze, które miały pozwolić kurierom na w miarę bezpieczną podróż.

Nie zapomniał o teczce z trzema rysunkami Albrechta Dürera, które na przechowanie otrzymał od Andrzeja Lubomirskiego w czasie swego krótkiego postoju w Przeworsku. Rysunki pochodziły z prywatnej kolekcji księcia. Zostały kupione przed laty w Wiedniu. Ordynat przeworski poprosił Czakuckiego, aby wywiózł je z kraju. Sugerował Szwajcarię, gdzie mieszkała jego rodzina. Poinformował również majora, że reszta rysunków pozostanie w muzeum we Lwowie. Przed spakowaniem ich w sztywną kopertę zauważył, że dwa rysunki przedstawiają chyba jakieś postacie, być może biblijne. Jednak jeden zrobił na nim wrażenie. Piękny szkic oka oraz brwi z autoportretu Albrechta Dürera. Na karcie znajdował się charakterystyczny znak artysty, duża litera A z wpisaną literą D oraz datą 1499.

Na koniec położył na podłodze pakiet otrzymany od Augusta Krasickiego w Lesku. Posegregowane i ułożone materiały zajmowały całą podłogę pokoju. Następnie zaczął wszystko ostrożnie pakować w pięć brezentowych worków lekko nasączonych naftą, co miało eliminować bakterie i pleśń. Każdy z nich zawiązał biało-czerwonym sznurkiem i opieczetował. Trochę się przy okazji poparzył gorącym lakiem, podgrzewanym na elektrycznej maszynie w niewielkim garnuszku. Poukładał je ostrożnie w walizach, przymocował wewnętrznymi paskami, aby uniknęły przesuwania, i zamknął walizy, a ponumerowane kluczyki do nich schował do kieszeni, choć nie wiedział dlaczego. Może liczył, że kiedyś, po wojnie, po prostu je otworzy.

Czakucki zdawał sobie sprawę, jak ważny dla państwa polskiego, dla jego powojennego bytu, może być każdy pakunek. Zgodnie z planem miał je powierzyć sprawdzonym i mającym odpowiednie predyspozycje i umiejętności

żołnierzom. Przygotowania do tej delikatnej tajnej misji ruszyły wiosną 1939 roku. Wiedział, że zapewne nie jest jedynym, który prowadzi takie działania. W tym samym czasie generał Marian Kukiel w pobliskiej Sieniawie ukrywał najcenniejsze zbiory z kolekcji Izabeli Czartoryskiej. Major zastanawiał się, kto zajmie się ewakuacją złota z Banku Polskiego albo wawelskiego skarbcza i królewskich arrasów.

Rozdział 2

Altun Kupri, Rawanduz (Irak) – lato 1943

Major Romuald Czakucki przetarł podwiniętym rękawem bluzy mundurowej czoło wilgotne od potu. Siedział na drewnianym krześle przy wypełnionym dokumentami stoliku, na którym stał bukiet polnych kwiatów. Nad jego głową wisiała lampa naftowa, a przy drewnianej nodze stał gliniany, pokryty niebieskim, popękany szklivem dzbanek z wodą.

Major utkwiał wzrok w ciemnym punkcie rogu namiotu, w którym zasłonięte były wszystkie otwory. „To cholerne lato na pustyni. Gorąc nie do wytrzymania, nie do życia. Jak przetrwać to piekło!?” – pomyślał i lekko się uśmiechnął. Przypomniawszy sobie, co kilka lat temu powiedział mu po wizycie na Bliskim Wschodzie jego kolega, również oficer Dwójki, Jerzy Niezbrzycki: „Chłopie, tylko w zaciemnionym pomieszczeniu jakoś wytrzymasz. Wyjście na ostre słońce cię zabije!”. Niezbrzycki prowadził wtedy tajne rozmowy na temat szkolenia wojskowego żydowskich bojowników w Polsce. A potem negocjował niejawną operację ich przerzutu na teren Brytyjskiego Terytorium Mandatowego w Palestynie.

Major pociągnął duży łyk zimnej kawy. Jakby od niechcienia spojrzawszy na stojącego przed nim na baczność młodego żołnierza.

- Poruczniku Godlewski... – zaczął nieco oficjalnym tonem.
- Melduję się, panie majorze.
- Nie było ostatnio czasu porozmawiać dłużej. Potrzebuję tu paru bystrych i zaufanych chłopaków. Naczelne dowództwo po ujawnieniu w naszych

szeregach sowieckiej siatki wywiadowczej doszło do wniosku, że musimy wzmocnić działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze. Może niekoniecznie spodoba się to w pełni naszym angielskim sojusznikom, ale trudno. To dlatego zdecydowałem o przeniesieniu cię z Batalionu Przeciwdywersyjnego z Kirkuku. Podobnie jak Winieckiego, niech się oderwie od tych bagdadzkich luksusów...

Czakucki, który tego dnia miał na sobie galowy, jasny mundur Polskich Sił Zbrojnych, wziął do ręki papierośnicę, wyjął cygaretkę i powoli zapalił ją srebrną zapalniczką. Po namiocie rozszedł się siwy dym palonego tytoniu.

– Sojusznicy też zresztą na to naciskali. Zwłaszcza po zdjęciu przez nich niemieckiego szpiegowskiego towarzystwa z hotelu Maude w Bagdadzie. Zdajesz sobie sprawę, że to bardzo ważne...

– Tak jest, panie majorze.

– To świetnie. Szczególnie po zamieszaniu z Kleinerem i Konarską... – Zawiesił głos.

Czakucki miał świeżo w pamięci zabójstwo dokonane przez jego dawnego podwładnego z Dwójki – Mieczysława Kleinera. Poznał go jeszcze przed wojną w czasie szkolenia żydowskich bojowników w rejonie Andrychowa. Miał o nim doskonałą opinię. Kleiner wykonywał zadania specjalne. Jeszcze przed wojną, jako przemytnik na granicy wschodniej, przechodził nielegalnie granicę z ZSRR. Natomiast po wybuchu wojny realizował operacje wywiadowcze pod przykryciem. Podszywał się pod funkcjonariusza Trzeciej Rzeszy lub oficera Wehrmachtu. Po dekonspiracji przedarł się z okupowanej Polski przez Związek Radziecki na Bliski Wschód. Był dobrym żołnierzem, ale w niejasnych dla Czakuckiego okolicznościach zastrzelił w Bagdadzie Marię Konarską, która okazała się podwójną agentką, pracującą zarówno dla Sowietów, jak i Niemców. Myśli o Kleinerze rozproszył hałas przejeżdżającej obok wojskowej półciężarówki marki Leyland. Nad wewnętrzną drogą w polskim obozie w Altun Kupri uniosła się chmura kurzu, który spowił też okolice sztabowego namiotu. Major ponownie popatrzył na młodego oficera, który stał przed nim na baczność.

– Ale do rzeczy, Filip. Ustaliliście już z Winieckim, co z tym Zygutem? Siadaj. – Czakucki spojrział na szary karton teczki z nakreślonym ołówkiem napisem *Rozpracowanie operacyjne Singe*. Stuknął w nią palcem.

– Dziękuję, panie majorze. Melduję, że w marcu, w czasie obozów narciarskich w górach Kurdystanu, tam gdzie nasi prowadzili prace pomiarowe i przygotowywali umocnienia w okolicach Rajatu...

– Wiem, wiem, gdzie to jest – przerwał major.

– I w tej dziurze przed granicą perską, to znaczy przed przełęczą, porucznik Dariusz Zygut razem z innymi uczył kurdyjskie dzieci jazdy na nartach. Niech pan major sobie wyobrazi, że te dzieciaki pierwszy raz w życiu widziały taki sprzęt. Wtedy też skrzyknęli paru chłopaków pochodzących z Podhala i próbowali pokazać Kurdom, jak produkować sprzęt narciarski w domowych warunkach, a konkretnie narty i kijki.

– Filip, co ty mi tu pieprzysz! Czy coś ustaliłeś na temat jego pobytu na Węgrzech, w Rumunii i Libanie oraz tego, jak się tutaj znalazł i czy się z kimś zwał?

– A co? Panu majorowi znudziły się już narty? Nie tęskni pan do jazdy, do słońka na stoku...?

– Poruczniku Godlewski! Nie pieprzcie mi tu. Ogłuchliście? Do rzeczy!

– Bo to właśnie, to wszystko, panie majorze, się łączy.

– Skoro tak twierdzisz, słucham... – Powoli wypuścił dym z cygaretki.

– Ostatnio, jak byłem nad rzeką w Rawanduz, dobili do nas na przepustce chłopaki z żandarmerii. Pan wie, ci, co jeżdżą na motocyklach w obstawie generała Andersa. Opowiedzieli historię porucznika Olszewskiego, instruktora jazdy w plutonie motocyklowym.

– Jak mówisz? Olszewski?

– Tak jest. Nie tak dawno, w czasie testów amerykańskiego motocykla firmy Indiana, ten Olszewski wybrał się na daleką przejażdżkę właśnie z Zygutem. Ruszyli spod hotelu Farah w Sulajmaniji.

– Farah, Farah, cholera – przerwał major. – Był jakiś meldunek o tym hotelu i sowieckiej siatce. Wiem! To Kleiner miał cynk, że stamtąd *razwiedczyki* ruszyli w okolice Chanakinu do ich ukrytej radiostacji. Chyba tak. – Major sam sobie odpowiedział. – Ale mów dalej. Mów...

– Pojechali w kierunku granicy perskiej. Byli przed przełęczą i wtedy motocykl stanął. Silnik im się zagrzał. Musieli poczekać na jego schłodzenie. I wtedy otoczyli ich uzbrojeni ludzie. Wie pan, w tych ich śmiesznych szarawarach i w turbanach z biało-czarnych chust. Olszewski to podobno niezły kozak i nieraz miał z nimi do czynienia. Uniósł rękę do czoła i powiedział: *salam alajkum*. Ich herszt zapytał, czy są Anglikami. A ci mu odpowiedzieli: *we are Polish*. Wtedy Kurd uśmiechnął się, coś powiedział do swojej bandy i podał naszym papierosy. Na koniec wymienili się podarunkami. Kurd dostał od nich zegarek, a oni sztylety w futerałach...

– Filip, kurwa, i co z tego wynika dla naszej sprawy!? Wejść! – krzyknął.

Poły namiotu rozchyliły się gwałtownie. Wiszący przy wejściu bukłak na wodę niemal spadł na ziemię. Do środka wszedł jak zwykle rozpromieniony porucznik Piotr Winiecki, nazywany przez kolegów Armandem.

– Melduję się, panie majorze. Wszystko wiem! – dodał z nieukrywaną radością w głosie.

– Ty, Armando, co ty tam wiesz? Ten mi tu opowiada o miłośnikach nart i rajdów motorowych, a ty z miejsca, że wszystko wiesz. Popraw to, bo mi resztkę zimnego piwa wypłynie. – Wskazał na bukłak.

– Panie majorze, to ja tylko skończę – odezwał się Godlewski. – Chodzi o to, że oni wcale nie mieli jechać na żadne testy. Zygut namówił Olszewskiego, żeby go pilnie podwiózł do jakiejś doliny w górach. Dokładnie dwa kilometry nad Rajatem. Zygut chyba nawet mu zapłacił. Tak mi mówili. A że butelkę whisky jestem do tyłu w związku z uzyskaniem tej informacji, panie majorze, to moja strata...

– Dlaczego tam pojechał? Nie wiesz? Szkoda, cholera...

– Nie wiem, ale powiedzieli mi, że Zygut miał ze sobą jakiś większy bagaż. A potem, jak wrócił, to już go nie miał. Z Olszewskim nie udało mi się porozmawiać, bo on już jest w Palestynie. Więc pewnie tam go niedługo znajdziemy.

– Dobra... A jednak Filip nauczył się czegoś na tym kursie wywiadowczym u Angoli w Bagdadzie. A ty, Armando, czego się dowiedziałeś? – zwrócił się major do stojącego na baczność Winieckiego. – Spocznij. I siadaj.

– Wszystko się zgadza, a w każdym razie układa w całość, panie majorze – zaczął. – Ustaliłem dyskretnie przez naszych oficerów w obozie w Qizil Ribat, no i u nas w Altun Kupri, że Zygut koleguje się z niejakim podporucznikiem Ludwikiem Januszkiewiczem. To zaprawiony taternik. Znają się jakoś od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Na początku wojny Januszkiewicz prowadził jakieś schronisko w Tatrach i zajmował się przerzutem naszych żołnierzy uchodzących na południe.

– Czekaj, czekaj. No tak! Januszkiewicz! Teraz skojarzyłem, jak mi o tych Tatrach powiedziałeś...

– Januszkiewicz potem sam musiał uciekać w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku na Węgry, bo mu gestapo deptało po piętach. Przez Rumunię dostał się do Syrii. W ubiegłym roku byli z Zygutem na jakimś wspólnym wypadzie w Libanie. Nie wiadomo po co, ale miał zgodę ze sztabu.

– Robi się coraz ciekawiej, panowie – wtrącił Czakucki.

– Ale to jeszcze nie wszystko, panie majorze. Kilka dni temu Januszkiewicz uruchomił kurs wspinaczkowy. Ściągnął na niego ponad pięćdziesięciu chłopaków. Ten kurs odbywa się właśnie w okolicach Rajatu. Tak jak Filip mówił, blisko przełęcz na granicy z Persją.

– Tak, tak. Pamiętam. Tam gdzie Kleiner często jeździł robić pomiary.

– Jak ustaliłem u kierowców, co ich tam zawieźli, w transporcie jechał Zygut, ale na liście kursantów go nie było. Nie pamiętali, czy z nimi wrócił, bo jakieś osunięcie skał było i sakramenckie zamieszanie.

– Czyli podsumowując, panowie, Zygut dotarł do Januszkiewicza i od tego czasu słuch o nim zaginął.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedzieli razem.

– Januszkiewicz jest dzisiaj z kursantami w rejonie gardzieli Rawanduz. Chłopaki z kolumny transportowej przewieźli ich tam wczoraj – dodał Godlewski.

Czakucki się zamyślił. Wciągał w nos słodkawy zapach rozwiniętych już kwiatów, których bukiet w dużej puszcze po konserwie postawiła mu rano na stole Karolina z biura ewidencyjnego. Twierdziła, że to dla jego lepszego samopoczucia. „To ostatnie w tym roku” – zaznaczyła. Ich zapach mieszał się z dymem z cygaretki i lekką stęchlizną indyjskiego płótna wysłużonego namiotu. Major był dzisiaj w sentymentalnym nastroju. Czerwone zawilce z daleka przypominały polskie tulipany z okolic jego rodzinnej Lidy. Przypomniawszy sobie, jak jeździł z synkiem i jego matką na majówki nad Niemen.

– W porządku, panowie... – Ocknął się i mocno zaciągnął cygaretką, którą zaraz ścisnął dwoma palcami i wrzucił do metalowej popielniczki. – Pytajcie chłopaków o Januszkiewicza. Chcę o nim wszystko wiedzieć. Do roboty. Oczekuję meldunków na bieżąco.

– Tak jest!

– Sam ustalę, kto podpisał zgodę na ich wyjazd do Libanu i co mieli tam robić. Czas się panowie powoli zwijać z Iraku.

Gdy młodzi oficerowie wyszli z namiotu, Czakucki po raz kolejny otarł rękawem nieco spocone czoło. W dwa palce wziął niewielki kawałek soli i delikatnie wsunął go do ust – jakby obawiał się, że się pokruszy. Ssał go chwilę jak cukierek. Skrzywił się i przepłukał usta piwem imbirowym z glinianego naczynia. Major od kilku godzin czuł ból głowy. „To przez te pustynne upały. Jakoś w zeszłym roku tak mi nie doskwierały” – doszedł do wniosku.

Jego myśli coraz częściej zajmowała sprawa, która powoli układała się w pewną całość. Chodziło o Zyguta, oficera, którego przerzucił na Węgry latem 1939 roku. Pojawiał się w miejscach, które następnie nawiedzały różne

katastrofy. Do tego Zygut zniknął przełożonym. Już kilka miesięcy temu major rozkazał swoim ludziom wziąć go pod dyskretną obserwację i przeprowadzić rozmowy operacyjne z ludźmi, którzy mieli z nim styczność. Wszystko to jednak były przypuszczenia oparte tylko na poszlakach, że mógł dla kogoś pracować. „Tylko dla kogo? – zastanawiał się major. – Dla Sowietów? Niemców? A może w tym wszystkim grają teraz jeszcze jakąś rolę Brytyjczycy?”

Ponownie spojrzął na teczkę z napisem *Singe*, w której lądowały wszystkie meldunki dotyczące Zyguta.

Od miesięcy męczyła go niezwykle poważna sprawa, która dotychczas nie została solidnie rozpracowana przez wywiad. Chodziło o materiały ewakuowane we wrześniu 1939 roku na kierunku Cisna – Miskole – Eger, za które odpowiadał – a które zniknęły. Znajdowały się wśród nich pakiety zabezpieczone w specjalnych walizkach. Zaginięcie ich można było oczywiście wytłumaczyć ogólnym chaosem po wybuchu wojny, ale Czakucki nie miał takiej pewności. Czuł przez skórę, a miał dobrą intuicję, że ktoś za tym stał. Sprawę tę traktował ambicjonalnie, bo stracił z oczu też niezwykle cenne i unikatowe rysunki Dürera, które otrzymał w zaufaniu od Lubomirskiego. Zniknęła również walizka z pakietem przekazanym przez Augusta Krasickiego w Lesku, z jego dokumentami rodzinnymi. Dla niego była to zatem również sprawa honorowa.

– Zaraz, zaraz. No tak! Olszewski! Żandarmeria! Zygut! Gdzie to jest? – powiedział i nerwowo zaczął przeglądać jeden z segregatorów. Dopiero po półgodzinie dokopał się do tajnej notatki z dowództwa żandarmerii, jeszcze sprzed roku. Oparta była na informacjach porucznika Olszewskiego, który w 1940 roku był świadkiem nietypowej sytuacji w pobliżu dworca kolejowego Gara de Nord w Bukareszcie. Raportował, że jakiś mężczyzna dotkliwie pobił Polaka, który niósł solidną drewnianą walizkę. Zabrał mu bagaż i próbował uciec. Wtedy Olszewski obezwładnił napastnika. *W tym samym miejscu pojawił się porucznik Zygut. Powstało jakieś zamieszanie i sprawca napadu uciekł. Zygut zadeklarował, że pomoże napadniętemu i odprowadzi go do punktu medycznego na dworcu. Wziął też jego walizkę – czytał notatkę sporządzoną ręcznym*

pismem. – Psiakrew, że ja wcześniej tego nie skojarzyłem – pomyślał i włożył tę notatkę do teczki.

– Dyżurny! – krzyknął, a do namiotu wbiegł żołnierz z przewieszonym przez ramię stenem.

– Melduję się, panie majorze.

– Za piętnaście minut leyland i obstawa! Niech wpiszą w celu wyjazdu Rawanduz!

* * *

Po kilku godzinach jazdy wyboistymi górskimi drogami północnego Iraku, podczas której mijali kurdyjskie wioski, samochód Czakuckiego zjechał powoli krętą drogą w kierunku głębokiej doliny. Przejechał most ze stalowych kratownic i zatrzymał się nad słynną gardzielą Rawanduz. Szum rzeki był wyraźny. Jej wody niosły przyjemny chłód. W towarzystwie obstawy major poszedł do dużej grupy żołnierzy. Na pierwszej czujce zameldował się kapral, który poinformował go o tym, gdzie przebywa podporucznik Januskiewicz. Po pięciu minutach oficer na baczność meldował się Czakuckiemu.

– Spocznij. Proszę usiąść, podporuczniku. Mam do pana parę pytań.

– Rozumiem. Jak mogę panu majorowi pomóc?

– Jak pan dotarł na Bliski Wschód i gdzie pan poznał porucznika Zygota? – zapytał Czakucki nieco zdziwionego Januskiewicza.

– Razem z Jurkiem Włoczkowskim, taternikiem jak ja, w tysiąc dziewięćset czterdziestym przedzieraliśmy się przez Węgry. Tam zatrzymaliśmy się na kilka tygodni we wsi Bogacz koło Egeru. Takie madziarskie zadupie, ale wina z okolicznych piwniczek były wyśmienite. – Januskiewicz powoli zbierał myśli. Pot pojawił się na jego czole.

– W niewielkim pensjonacie koło kościoła, na wzgórzu? Tak?

– A skąd pan wie?

– To nieważne, po prostu wiem. Niech pan mówi dalej, podporuczniku.

– Warunki były ciężkie. Mieszkaliśmy po kilku w jednym pokoju. A że nie było łóżek, to spaliśmy na słomie przykrytej kocami. Stacją kierował były policjant, chyba z Podkarpacia...

– Rozumiem, ale co z Zygutem? – niecierpliwił się major.

– Po jakichś dwóch tygodniach dobił do stacji Darek, to znaczy porucznik Zygut. Był w dobrej kondycji. Tydzień później ruszyliśmy razem do Rumunii i Turcji. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku dotarliśmy do syryjskiego Hims i wstąpiliśmy do Brygady Strzelców Karpackich. Przeszliśmy jej cały szlak bojowy. Potem przetrzucili nas przez Kanał Sueski do Basry i do Qizil Ribat. Darek cały czas był ze mną.

Januskiewicz wytarł dłonią kropelki potu z czoła.

– To wszystko? – zapytał niepewnie Czakucki.

– Nie, ale przyniosę teraz, panie majorze, piwo. Już się pewnie schłodziło w rzece. – Januskiewicz wstał i po chwili wrócił z czterema butelkami. – Nie ma to jak między górskimi zboczami porośniętymi sosnami. I ten chłód, krystalicznie czysta rzeka... Coś jest, majorze, tu takiego, jak w naszych Tatrach czy Czarnohorze – dodał, otwierając butelkę.

– Całą drogę byliście razem?

Podporucznik zastanowił się, przygryzł lekko zębami górną wargę i pomasaował dłoń.

– Tak. Prawie całą. Tylko raz zgubiliśmy się w Rumunii – kontynuował. – Pamiętam, to było w Bukareszcie, chyba jakoś w okolicach dworca... Gara de Nord. Darek i kilku naszych inżynierów i techników, którzy jechali do zakładów lotniczych koło Ankary, nie zdążyli wsiąść do pociągu. Ale po kilku dniach się odnaleźliśmy. Jeszcze przed zaokrętowaniem w Konstancy na statek do Sambułu.

– A teraz tak między nami, podporuczniku. Niech mi pan powie, czy od czasu ucieczki z Polski kontaktował się ktoś z panem z naszych dawnych kolegów... z Dwójki – rzucił niespodziewanie major, czym wprowadził Januskiewicza w wyraźne zakłopotanie.

– Panie majorze, pan doskonale wie, że nie patrzą na nas tutaj przyjaznym okiem. Ja pracowałem na kierunku niemieckim i daleko mi było do tego, co się działo w naszym wywiadzie na Wschodzie. Nie chcę mówić o tych sprawach. Nie chcę, aby ktoś teraz wracał do mojej pracy dla Dwójki. Pan wie, jak jest? Ja mam teraz swoje zadania w Sztapie 3 Dywizji. Prowadzimy w kilka osób prace planistyczne związane z przygotowaniem do pokonywania przez jednostki szturmowe trudnych przełęczy górskich. A teraz w zasadzie pakujemy się już i pewnie zaraz ruszymy do Palestyny.

– Dobra, rozumiem. Panie podporuczniku, kiedy pan widział ostatnio Zyguta? Januszkiewicz spojrzął w bok. Zbierał myśli.

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba ostatnio w Kirkuku na motorze. Wcześniej spotykałem go czasami w obozie w Dżaluali i Qizil Ribat. On zawsze dużo się przemieszczał, zawsze było go pełno. W końcu był oficerem w Dowództwie Służby Geograficznej. – Januszkiewicz nie patrzył na Czakuckiego, jego wzrok błędził gdzieś w oddali.

– A jak pan dostał zgodę na wyjazd do Libanu w ubiegłym roku?

– Od generała Kopańskiego! Poprosiłem o zgodę na wyjazd w naszym konwoju. Chciałem wejść razem z dwoma chłopakami z baonu na najwyższy szczyt Antylibanu Dżabal asz-Szajch. Przekonałem generała, że to dla wprawy, że nam się to przyda w szkoleniach tutaj, w Iraku. A Zygut miał przygotować drożnię, pan wie, taki raport dotyczący systemu dróg Kirkuk–Damaszek. Dlatego się zabrał z naszą grupą. Zresztą, o ile pamiętam, Darek jeździł tam już kilka razy i dobrze znał drogę. A że za kołnierz nie wylewał i po francusku mówił, to było z nim wesoło. – Januszkiewicz urwał i zawahał się. – To zwykła rozmowa? Tak? To nie jest przesłuchanie, majorze? Z taką obstawą pan przyjechał!

– Na razie to tylko rozmowa. Skąd te przypuszczenia o przesłuchaniu?

– Skoro to nie przesłuchanie, to nie muszę panu odpowiadać.

– Nie, nie musi pan odpowiadać.

Januszkiewicz popatrzył na Czakuckiego, pokiwał głową. Milczał. Poprawił swój szeroki parciany pas i wstał.

– Panie majorze, zapraszam. Dołączmy do reszty chłopaków, bo mocniejszy alkohol czeka i się wietrzy. Przecież nie będziecie wracać po nocy! Ja jutro muszę się zameldować w swojej jednostce. To chyba mój ostatni piknik w gardzieli Rawanduz. Za kilka dni zbieramy się i przez Sulajmaniję do Qizil Ribat. A potem pewnie już dalej. Jak Niemcy dostali w dupę w Afryce, a Amerykanie i Anglicy wylądowali na Sycylii, to tylko patrzeć, jak my wejdziemy do akcji.

– Chyba ma pan rację.

– Sierzancie, gdzie jest ten lwowiak Kurtycz?! – krzyknął Januszkiewicz do żołnierzy siedzących przy ognisku. – Zanim go nam na dobre zabiorą do teatrzyku Konarskiego, niech nam pogra na gitarze. Aha, i przynieś z mojego jeepa porządną whisky dla pana majora, a nie żadną fałszywą ómagę pędzoną w nocy po namiotach.

Słońce chowało się za górskimi szczytami. Chłód nad rzeką działał rozleniwiająco. Czakucki podszedł do swojego leylanda i wyciągnął z niego skórzaną teczkę. Wyjął kilka kartek papieru. Zaczął pisać. „Najlepsza notatka jest sporządzona zaraz po rozmowie. Nic nie ucieknie. A jak jeszcze popijemy, to może się zatrzeć jakiś szczegół” – pomyślał. Wyjął niewielki nożyk i naostrzył nim ołówek. „Zygut jest zbyt tajemniczy. Za dużo jeszcze tych znaków zapytania, aby go jednoznacznie ocenić, ale ta rozmowa przybliżyła do prawdy”.

Część żołnierzy pływała, a inni tylko skakali do wody z nadbrzeżnych skał. Pozostali pełnili wartę. Nad ogniskiem wisiał spory kociołek z herbatą. Żołnierze leniwie popijali anyżkowy arak, whisky, angielskie ciemne piwo i grali w karty albo czytali „Orła Białego”. Zapadła ciemność. Blask ogniska zaczął rzucać na pobliskie skały cienie nienaturalnie wielkich, kanciastych postaci. Dźwięki gitary Kurtycza i śpiew żołnierzy niosły się po czarnych, spadzistych ścianach gardzieli Rawanduz. Ten spektakl uzupełniały strzelające iskry z palonego iglastego drewna.

Nagle ostry świst pocisków wyrwał wszystkich z błogostanu. Odgłosy strzelaniny dochodziły zza mostu. Żołnierze odruchowo przyglgnęli do ziemi.

– Co się tam, do cholery, dzieje?! – krzyknął Czakucki do Januszkiewicza.

– Sierzancie! To w okolicach drugiej placówki, powyżej mostu. Idźcie tam z patrolem! Natychmiast! – Nasłuchiwali jeszcze chwilę, ale strzały szybko ustały. Żołnierze wstali. Po chwili przybiegł zdyszany sierżant i zameldował:

– Panie majorze. Nasza czujka zatrzymała jakiś oddział konny. Tamci zaczęli strzelać. Jeden z chłopaków dostał w podeszwę, drugi kamieniem po rykoszecie. Innych strat brak.

W milczeniu słuchali zasapanego sierżanta.

– Dobra, wracamy do ogniska. Kurtycz, graj dalej. Jak to było, kapralu, z tym piątym przykazaniem? Nie odbijaj pestek z innych brygad! – zwrócił się Januszkiewicz do grającego na gitarze żołnierza, a pozostali roześmiali się chóralnie. – A ten, co te wiersze pisze, niech się przygotuje, to w końcu publicznie posłuchamy jego twórczości.

* * *

Następnego dnia o świcie, w czasie zwijania obozowiska, do Czakuckiego podszedł Januszkiewicz.

– Panie majorze, wszystko jasne. Po wschodzie słońca przyjechało do nas na koniach dwóch kurdyjskich przemytników. Przepraszali za wczorajszy incydent. Nie wiedzieli, że my Polacy. Na przeprosiny przywieźli kozicę i trzy butelki porządnej whisky. Przyda się na drogę do Ziemi Świętej. Odchodząc, mówili, że będzie teraz panować wieczna zgoda między nami a Kurdami. Ale pan wie, jak to z nimi jest... i tak nigdy nie wiadomo, co będzie następnym razem.

Rozdział 3

Altun Kupri, Sulajmanija (Irak) – lato 1943

Czakucki po powrocie do Altun Kupri znowu czuł się nie najlepiej, koszula kleiła się do rozgrzanego ciała. Oczy szczypały od soli, gdy z czoła kapał na nie pot.

W pewnym momencie bez pukania do jego namiotu, jak zwykle z rozmachem, wszedł Winiecki.

Wyglądał, jakby przed chwilą wynurzył się z kąpieli, zapachniało od niego wodą kolońską. Towarzyszył mu Godlewski. Ten z kolei miał za sobą ciężką noc. Był wymiętoszony, czuć było od niego jeszcze słodki zapach alkoholu.

– Panie majorze! Ustaliliśmy parę rzeczy – zaczął zdecydowanie Armando.

– Było wejść, poruczniku?!

– Przepraszamy, panie majorze. Chcieliśmy zameldować, co nam wyszło w sprawie tego Zyguta.

– Dobra, mówcie.

– Niektórzy zwracali nam uwagę na jego dziwne zachowanie. Że czasem to wyglądało, jakby on coś ukrywał... no, że trochę się konspirował. Poza tym potwierdziliśmy, że Zygut na pewno był w rejonie Rajatu w czasie szkolenia wspinaczkowego. I od tego czasu nikt go już nie widział.

Zamyślony Czakucki pokrótce opowiedział im, czego dowiedział się od samego Januszkiewicza. Wyglądało na to, że do końca sprawy jeszcze daleko.

– Teraz pozostaje nam wyjaśnić, z jakiego powodu Januszkiewicz kłamał i nie powiedział panu, że Zygut go odwiedził. No i jeszcze dziwna jest ta sprawa

z Libanem – podsumował Godlewski.

– Co masz na myśli, Filip?

– Nic szczególnego. Bo mówili mi, że jeździł tam regularnie i zawsze jęczał do kierowców, żeby załapać się do jakiegoś konwoju do Bejrutu.

– A w ogóle, panie majorze, to my się zastanawialiśmy z Filipem, dlaczego zajmujemy się naszymi, grzebiemy się w starych sprawach, gdy zaraz pewnie nas do Włoch wyślą.

Czakucki chrząknął. Nie było sensu dłużej tego przed nimi ukrywać.

– Latem trzydziestego dziewiątego pracowałem na południowym pograniczu Polski. Przygotowywaliśmy różne rozwiązania, w tym drogi ewakuacji i punkty przerzutowe dla szczególnie ważnych osób i rzeczy istotnych dla naszego państwa, dla ciągłości, kultury, systemu finansowego... Bo kiedyś ta kurewska wojna się przecież skończy...

– Niemcy w dupę dostają, a Sowieci się wykrwawiają – rzucił Armando.

– Właśnie wtedy do mojej grupy specjalnej dołączył taki lekko zgarbiony, wysoki blondyn, wtedy miał jasną, rzadką brodę. Pochodził z warszawskiej Pragi. To był porucznik Dariusz Zygut. Jego zniknięcie w górach Kurdystanu jest podejrzane i układa się w pewien obraz, niestety również w związku z jego wcześniejszymi zadaniami. Rozumiecie?

– Tak jest.

– A nie myśli pan major, że może był jakiś wypadek drogowy po pijaku czy bójka z Kurdami? Żandarmeria prowadzi trochę takich spraw – wtrącił Godlewski.

– Może? Sam jeszcze nie wiem wszystkiego... Jeśli nasze podejrzania, nie daj Boże, się sprawdzą, to Zygut naprawdę mógł nam napsuć krwi. Straty mogą być duże... Cholernie duże.

Siedzieli w milczeniu. Wszyscy zastanawiali się, czy zniknięcie Zyguta ma jakieś drugie dno, ale Czakucki nie nabrał jeszcze takiej pewności. Liczył na to, że jego podwładni przyniosą mu wreszcie twarde dowody.

Po chwili milczenia odezwał się Armando, który najwidoczniej był już myślami w Palestynie:

– Czy po dyslokacji będziemy mieli tam jakąś swobodę poruszania się. Bo wie pan, zabytki, Jerozolima, Betlejem, morze, plaże...

– Poruczniku, nie pierdolcie mi takich głupot. Doskonale się orientuję, co wam chodzi po głowie. Pamiętajcie, że jak zaczną coś grzebać w sztabie przy sprawie zaginięcia Kleinera i śmierci Marii Konarskiej, to nam wszystkim nogi z dupy powyrywają.

– Może nie powyrywają? Ale panie majorze, bo my z dziewczynami już się dogadaliśmy, że...

– Słuchajcie, chłopaki – zwrócił się do nich Czakucki już zupełnie innym tonem – Każdy z nas kogoś gdzieś zostawił, zgubił na tej pieprzonej wojence. Czy myślicie, że nie chciałbym kogoś, tak prywatnie, po ludzku odnaleźć? W Lidzie został mój syn, jego matka, rodzina, przyjaciele. Od czterech lat nie wiem, co się z nimi dzieje. A chciałbym. Ale to nie znaczy, że polecę zaraz liberatorem, skoczę ze spadochronem na Wileńszczyźnie i zacznę ich szukać po okolicy z jakimś wydzielonym do tego oddziałem polskiej Armii Krajowej!

– To nie końca tak, panie majorze – odezwał się w końcu Godlewski.

– Dobrze. Dzisiaj nic już chyba nie wymyślimy, a ja muszę dopilnować raportów z działań w okolicy Habaniji i Rutby na granicy z Cisjordaną. Możecie się odmeldować i teraz zapieprzajcie do Sulajmaniji, hotel Farah. Przyciśnijcie Januskiewicza. Po swoimemu.

* * *

Następnego dnia jeep z dwoma polskimi oficerami wyruszył na wschód. Z każdym kilometrem zbliżali się do wielkiej ściany gór. Widoki zapierały dech w piersiach, dlatego zatrzymywali się na krótkie postoje. Po kilku godzinach dotarli do miasta. Minęli najpierw długie ogrodzenie, za którym znajdował się obszerny, iście kolonialny budynek z kolumnadą – siedziba gubernatora.

Samochód zwolnił, aż w końcu zatrzymał się przed jedynym przyzwoitym hotelem.

Hamujący jeep Polaków wzbił w górę pustynny pył. Na sennej jeszcze o tej porze dnia ulicy pojawiali się już pierwsi handlarze w białych szarawarach. W wejściach do sklepów i warsztatów stali wąsaci Kurdowie, dumnie prezentując swoje zakrzywione kindżały nazywane handżarami, zatknięte za wojskowe brytyjskie pasy. W powietrzu unosił się zapach kawy z kardamonem zmieszany z dymem z szisz i wonią świeżego pieczywa z niewielkich piekarni. Panował jeszcze lekki, poranny chłód. Choć czyste niebo zwiastowało, że niebawem słońce będzie w zenicie i stanie się piekielnie gorąco.

Na podjeździe hotelu stało kilka wojskowych pojazdów. Parkowała też półciężarówka. Po napisach na drzwiach widać było, że należy do irańskiej firmy.

– Ty, patrz, Armando, jakiś znajomy z Pahlawi. Może wino od niego kupimy dla dziewczyn na drogę? – powiedział Filip, wskazując palcem na wypłowiwały napis na drzwiach samochodu.

– Dlaczego nie. Popytamy. Dawaj, szukamy tego Januszkiewicza.

Mimo wczesnej pory w recepcji hotelu panował spory ruch. Część gości siedziała na wielkich, obitych bordowym pluszem fotelach. Dziury na oparciach świadczyły o ich zaawansowanym wieku. Kamienną podłogę pokrywały granatowo-bordowo-rude dywany. Polacy skierowali się do hotelowej restauracji. Przystanęli w drzwiach i bacznie przyglądali się gościom. Kelnerzy roznosili kawę oraz zestawy śniadaniowe.

Przy stoliku w rogu sali siedział Januszkiewicz. Rozmawiał z cywilem, krótko ostrzyżonym brunetem średniego wzrostu o nieco orientalnych rysach. Kiedy podeszli bliżej, usłyszeli, jak siedzący obok Januszkiewicza mężczyzna mówi z akcentem z kresów wschodnich, z charakterystyczną miękką wymową głoski „l”, a nawet wtrącał słowa rosyjskie.

– Podporuczniku, mamy sprawę, musimy porozmawiać.

– Panowie prosto z drogi, jak widzę. Zapraszam. Czy my się już gdzieś nie widzieliśmy? – rzucił z uśmiechem Januskiewicz do młodych oficerów. – Proszę do nas.

– Panowie pozwolą, pan Kazimir Sokołow, nasz rodak właśnie dotarł do Iraku okazją z Pahlawi. A w zasadzie Kazimierz, bo to chyba właściwsze imię niż to mołdawskie.

Mężczyzna ubrany był w marynarską koszulkę w paski z podciągniętymi do łokci rękawami. Miał też szerokie ciemne spodnie, a na głowie nieco sfatygowaną czarną wełnianą czapkę. Obok leżał marynarski, płócienny, biały worek. Wyglądał na typowego marynarza albo robotnika portowego.

– Porucznik Winiecki.

– Porucznik Godlewski.

– Panowie może z naszego sztabu w Bagdadzie?

– Niestety już nie. Przenieśli nas do tej zasranej, a w zasadzie zasypanej piaskiem dziury Altun Kupri. Mieszkamy w namiotowym niby mieście. Daleko mu do takich pensjonatów jak tutaj – powiedział Armando, otrzepując furazerką bluzę munduru z kurzu.

– Nazywają je karawanseraje – wtrącił Sokołow i dalej obserwował nowo przybyłych.

– A dlaczego uważa pan, że z Bagdadu? – zapytał Godlewski.

– Liczyłem, że może macie jakieś wieści ze sztabu, kiedy ruszamy z Iraku? Pewnie nam powiedzą niebawem. Kawa? Miałem tu ze cztery miesiące temu nieprawdopodobne zdarzenie. Proszę sobie wyobrazić, że pewien żołnierz pełniący służbę u miejscowego dowódcy garnizonu, jakiś znajomy Darka Zyguta, może go znacie, zaprosił nas na poranną kawę. W czasie rozmowy żołnierz zaczął mnie wypytywać o Polskę. Myślałem, że Darek mu coś opowiadał. Ów żołnierz wiedział co nieco o Warszawie, Krakowie, o naszej historii. Wieczorem umówiliśmy się z nim w tym hotelu, nawet siedzieliśmy przy tym samym stoliku co teraz. Znajomy Darka przyszedł na spotkanie,

trzymając w ręku książkę wydaną w Bagdadzie w języku kurdyjskim pod tytułem *Bulonia*, to znaczy Polska.

– I co z tą książką? – zapytał nieco zniecierpliwiony Armando.

– Jej autorem, jak się dowiedzieliśmy, był kapitan armii irackiej, który zmarł jeszcze przed wojną – zakończył opowieść akurat w momencie, kiedy kelner stawiał przed nimi cztery pachnące kawy, a na spodkach filiżanek leżały kawałki chałwy.

– A jak się pan dostał do Iranu? Przecież Sowieci wstrzymali ruch pasażerski do naszego wojska – zwrócił się do Sokołowa Godlewski.

– To długa historia. Pracowałem przed wojną w rumuńskiej Konstancy. Mój ojciec był Polakiem, matka Mołdawianką. Stąd znałem rumuński. Studiowałem trochę na politechnice. Po wybuchu wojny zaciągnąłem się na turecki drobnicowiec i pływałem jako pomocnik mechanika do spraw łączności i elektryki. Kiedyś nasz statek burza rzuciła na skały gdzieś w Dardanelach. Ledwo z tego wyszedłem. Wróciłem do rodziców, którzy poważnie chorowali i w końcu zmarli na początku roku. Nic mnie już nie trzymało.

– Bardzo ciekawa biografia...

– Wykorzystałem znajomości. Popłynąłem do Trabzonu, a potem pojechałem do Pahlawi jako pracownik tureckiego spedytora. A tutaj dotarłem, korzystając z pomocy kurdyjskich handlarzy. No i chciałbym się zaciągnąć do naszego wojska. A w ogóle to ojciec nazywał mnie Andrzej, ale matka uparcie używała imienia Kazimir. – Upił łyk kawy.

– Wyobraźcie sobie, że pan Kazimierz zamiast do Bagdadu pojechał na granicę syryjską. I zanim się połapał, był w Syrii. Wiozący go handlarze zorientowali się, że on Polak i do naszej armii chce, a nie do Damaszku. I przywieźli go do Altun Kupri, a tam odesłali do Chanakinu. A tu się zatrzymał w drodze.

Poranna kawa przeciągnęła się prawie do pory lunchu. Każdy z nich miał sporo do opowiedzenia ze swoich tułaczycy historii. Około południa zaczęli schodzić się oficerowie brytyjscy, towarzyszyło im kilku irackich żołnierzy.

Kiedy minęło południe, Polacy zamówili butelkę whisky. Wszyscy przeszli na ty. Około pierwszej Sokołow zakomunikował, że musi coś załatwić z kierowcą, który go przywiózł. Przy okazji obiecał odkupić od niego skrzynkę wina. Zapowiedział, że wróci za godzinę.

– Słuchaj, Ludwik. My przyjechaliśmy specjalnie do ciebie – zaczął Armando.

– Pogadać z tobą... – przypomniał cel wizyty Godlewski.

Januskiewicz te słowa wytrąciły nieco z dobrego nastroju. Popatrzył badawczym wzrokiem na oficerów. Dolał whisky do szklanki i wypił do dna.

– Czego ode mnie chcecie? Kto was przysłał?

– Spokojnie. Nie masz co się unosić. Opowiedz nam o swoim kumplu sprzed wojny, Darku Zygucie, przecież wspominałeś o nim przed chwilą... – powiedział z naciskiem Armando. – Sam wiesz, że ta sprawa jest śmierdząca. Nie bujaj nas, proszę. Wiemy, że w porządku z ciebie chłop.

– Od Czakuckiego jesteście...

– Wiemy z całą pewnością, że spotkałeś Zyguta w górach koło Rajatu. Mamy świadków, którzy go z tobą widzieli – dodał z ponurym uśmiechem Godlewski.

* * *

Jeszcze tego samego dnia obydwaj oficerowie wrócili do swojego obozu i zameldowali się u Czakuckiego. Było już ciemno. Usiedli na drewnianych, zdezelowanych krzesłach.

– Bylibyśmy u pana po powrocie, ale gdzieś pan zniknął. W końcu major też ma prawo pójść do kantyny. Skoro dostał od Karoliny piękne kwiaty i załatwił jej przeniesienie z jednej dziury w Chanakinie do drugiej tutaj... – Winiecki zawiesił głos.

– Ty, Armando, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy... Do rzeczy.

– Panie majorze, Januskiewicz chyba się przestraszył. Po pierwsze opowiedział nam ciekawą historię z Bukaresztu. Jak spotkał Zyguta w porcie

w Konstancy, to miał on ze sobą dwie nietypowe drewniane walizy. Wcześniej miał tylko jedną.

– Dziwne, prawda? – wtrącił Filip.

– Potem zapytaliśmy go o tę sprawę z Olszewskim i wyjazdy Zyguta w góry. Okazało się, że w czasie tych wypraw Zygut czegoś szukał czy coś chował właśnie w rejonie Rajatu. Wiąże się to z jego wyjazdami do Libanu. Jeździł tam do jakiegoś miasta koło Bejrutu, zaraz... miałem zapisane... Sydon.

– Czyli Sajda – zwrócił im uwagę major.

– Chyba odwiedził kogoś w naszym konsulacie generalnym i jakąś polską rodzinę w Dekuane, która mieszka tam od paru lat. Mówił, że Zygut do Iraku wracał zawsze z bagażami i potem jeździł w góry. W końcu potwierdził nam, że spotkał Zyguta koło Rajatu. Ale nie wie, co dalej się z nim stało. Według mnie coś jeszcze kręci.

– Tak jak przypuszczaliśmy, okłamał pana majora – wtrącił Godlewski.

– I jeszcze jedno, majorze. Poznaliśmy w Sulajmaniji jednego Polaka. Przedzierał się chłop z Iranu. Ma trochę pojęcia o łączności. Może by go do 11 Batalionu w Qizil Ribat... ma pan tam dobre układy przecież, albo na kurs do Bagdadu... Pan wie, ten dla szyfrantów.

– Co ty mi, Armando, zawracasz głowę? Idź do sztabu, w kadrach pracuje taka wysoka dziewczyna o wielkich fiołkowych oczach. Powołaj się na mnie. Ona pomoże ci to załatwić.

Winiecki pokiwał głową.

– A co robimy dalej z tą sprawą, panie majorze?

– Teraz czeka nas, jak dobrze wiesz, Armando, relokacja do Palestyny. Tam wrócimy do tematu. Aha, załatwiłem w sztabie, że pojedziecie razem z tymi swoimi dziewczynami. Zgłóście się do ewidencji obozowej do tej... zresztą wiecie dobrze do kogo.

„Januskiewicz kłamał. Dlaczego? Może jednak coś wie o zaginięciu Zyguta?” Czakucki po wyjściu podwładnych zapalił papierosa. „Co ten Zygut robił w Libanie? To muszę ustalić. Po co jeździł w góry Kurdystanu?”

Wspinaczka to dobra legenda. Czy w tych walizkach mógł mieć...?” Mocno potarł dłonią rozpalone czoło. Miał przeczucie, że jest już coraz bliżej.

Rozdział 4

Brytyjskie Terytorium Mandatowe w Palestynie – jesień 1943

Dla majora Czakuckiego przeniesienie do Palestyny okazało się zbawienne. Temperatury już nie były tak wysokie. Wiał lekki wiatr, a w zielonych ogrodach pełnych owoców można było znaleźć przyjemny cień. Obraz zielonych gajów oliwnych i figowców był ulgą dla oczu po surowym pustynnym i kamienistym krajobrazie środkowego Iraku. Wysokie samotne cyprysy nadawały krajobrazowi śródziemnomorskiego kolorytu. W powietrzu unosił się zapach żywicy, który mieszał się ze słodką wonią migdałowców.

Miejscowość Julis, gdzie na początku rozlokowano sztab, znajdowała się w północnej części Brytyjskiego Terytorium Mandatowego w Palestynie. Jej zabudowania ciągnęły się po wzgórzach zachodniej Galilei. Namioty polskich żołnierzy ustawiono tradycyjnie w rzędach w pobliżu miasta, na ziemi wysuszonej słońcem. Wcześniej stacjonowali tam Australijczycy.

Czakucki wraz z innymi oficerami wyszedł z niewielkiego budynku wzniesionego z białego kamienia. W jego podcieniach, tworzonych przez niewielkie kolumny i ostro zakończone sklepienia, stało kilku uśmiechniętych mężczyzn w czarnych szarawarach, czarnych koszulach i w charakterystycznych białych czapczkach. Zakończyło się kurtuazyjne spotkanie z liderem miejscowych Druzów szejkiem Aminem Tarifem. Major był zaskoczony tutejszą gościnnością. Stoły uginały się od świeżych lokalnych owoców, orzeszków

i bliskowschodnich słodczy. Polskich żołnierzy zegnali uśmiechnięci mężczyźni z posiwiałymi długimi wąsami.

„Można żyć w zgodzie ze wszystkimi, Arabami, Żydami i tymi... Druzami. A u nas jeszcze do niedawna nasi żarli się między sobą” – pomyślał major i przypominał sobie, co ostatnio Armando opowiadał mu z życia obozowego: „Bo, panie majorze, to jest tak. Żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich nazywa się ramzesami, tych przerzuconych z wysp brytyjskich lordami, a tych, którzy wyszli do Persji i Iraku od Sowietów tak jak my, prawosławnymi”. Czakucki wsiadł do swojego jeepa i ruszył do sztabu. „Jakby było mało konfliktów pomiędzy piłsudczykami, narodowcami, ludźmi Sikorskiego oraz podziałami w samej Dwójce”. Zatrzymał się przed budynkiem, w którym miał tymczasowe biuro kompanii sztabowej 3. Dywizji Karpackiej dowodzonej przez generała Bronisława Ducha. W pomieszczeniu panował półmrok, bo okna zostały zasłonięte drewnianymi okiennicami. Dzięki temu w środku był miły chłód.

Porucznik Godlewski już na niego czekał. Zabijał czas, ćmiąc papierosy, i z nudów próbował odcyfrować arabskie napisy na tabliczkach w długim korytarzu.

– Przepraszam za spóźnienie. Rozumiesz, spotkanie się przedłużyło. Przejdźmy do rzeczy. – Czakucki zawiesił głos.

Chociaż był zmęczony, szybko uporządkował myśli. Wykorzystał krótką zwłokę, aby zastanowić się, od czego zacząć.

– Byłem wczoraj u Angoli w sztabie. Pułkownik Bolton poprosił o pomoc w pewnej sprawie. Niedawno koło Irbilu została zatrzymana niemiecka grupa dywersyjna. Zostali zrzućeni na spadochronach. Towarzyszył im przewodnik, Kurd. Oni uważają, że to jedna z grup skierowanych przez Abwehrę albo SD z lotniska w Atenach. Przy czym ta miała ustanowić jakiś nowy system łączności. Dlatego ty, Filip, najlepiej nadajesz się do tej sprawy. – Oficer skierował wzrok na słuchającego go Godlewskiego, który wcześniej służył w rejonie Kirkuku i Irbilu w północnym Iraku.

– Tak jest, panie majorze. Ale u mnie jeszcze nie najlepiej z angielskim. Chociaż intensywnie się uczę. To znaczy uczymy się, razem z Olą.

– Nie bądź taki skromny. Słyszałem, jak rozmawiasz. Anglicy mają w Palestynie obóz dla niemieckich spadochroniarzy. Dowiedzieli się w czasie przesłuchania, że ta grupa spod Irbilu była szczególnie ważna. Po pierwsze, akcję koordynowali przed wylotem w Atenach Arabowie, którzy uciekli z Iraku po powstaniu w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Grupa miała mieć bezpośrednie rozkazy od pozostających na niemieckim żołdzie Al-Husajniego i Al-Galjaniego. Po drugie, miała mapy Bagdadu z zaznaczonym hotelem, i teraz słuchaj... Maude.

– Panie majorze! Pamięta pan tego elegancika w smokingu pod szarawarami i z waltherkiem, tego, którego Kleiner zjął pod Kirkukiem? – Godlewski przypomniał to, o czym Czakucki doskonale wiedział.

– No właśnie, Filip...

– Przydałby się nam teraz Kleiner, panie majorze? – zapytał Filip, a major popatrzył na niego i wciągnął powietrze.

– Pojedziesz do brytyjskiego sztabu i pomożesz sojusznikom na tyle, na ile zdołasz. I nic, kurwa, nie wspominaj o żadnym Kleinerze. Jasne!? – Wstał. – Oni już tam na ciebie czekają. Zbieraj się.

– Panie majorze, ale może Niemcy chcą sprawdzić, co się stało w Bagdadzie z ich siatką albo zbudować nową? Bez łączności nie ma wywiadu!

– I bez pieniędzy, poruczniku, i bez pieniędzy. Musisz się spieszyć, Filip, bo lada dzień wyjeżdżamy do Egiptu i zapewne wejdziemy do walki na południu Italii. Ale jeśli ci się uda coś ustalić i sojusznicy będą mieli z ciebie pożytek, to zostaniesz dłużej w Palestynie.

– Tak jest! Tu inne życie, panie majorze. Trochę jak w Polsce – powiedział, a major popatrzył na niego nieco pytająco.

– Aha. Jak spotkasz Armanda, to powiedz mu, żeby do mnie przyszedł. Pojedzie ze mną do brytyjskiego więzienia w Jerozolimie – dodał po chwili

i przetań kark chustką. – Przesłuchamy tam takiego jednego czerwonego. Próbował wysłać ciekawy gryps. On może coś wiedzieć.

Do ust włożył kawałek kostki soli, następnie upił łyk ciemnego piwa.

– A właśnie. Znalazłem tego Olszewskiego z żandarmerii, który woził Zyguta w góry. Trzeba zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Czas, żebym jeszcze raz porozmawiał z Januszkiewiczem.

* * *

Iza siedziała przy stoliku i trzymała w dłoni porcelanową filiżankę z gęstą, słodką kawą. Zamknęła oczy, zmarszczyła lekko nos i wciągała jej aromat głęboko w płuca. Czuła się wspaniale. Cukiernia i kawiarnia Alaska w Jerozolimie niczym specjalnym nie różniła się od pozostałych, z wyjątkiem tego, że do ciastek podawali mrożoną kawę. W pewnym momencie do kawiarni wszedł młody oficer w brytyjskim mundurze z biało-czerwoną, półokrągłą naszywką na ramieniu z napisem *Poland*. Zamówił, jak wielu innych gości, taką samą kawę.

– Serwus, Iza! – powiedział do wyrwanej z letargu blondynki. Odsunął energicznie krzesło i usiadł przy jej stoliku.

– Cześć, Armando.

– Iza, nie byłoby lepiej, gdybyś pracowała w sztabie, bliżej byś była... – powiedział do dziewczyny z nasuniętym na tył głowy czarnym beretem z orzełkiem.

– Przestań pajacować. Coraz częściej się martwię przyszłością. Bo różnie u nas mówią. Nie wiem, co będę robić po wojnie, gdy wrócę do domu, do brata, do przyjaciół, do moich Baranowic.

– Liczysz na to? Naprawdę?

Armando z niedowierzaniem spojrział na Izę.

– Czemu nie?! Nie mogę się doczekać, kiedy nas w końcu przerzucą do Włoch. Nasze samoloty będą miały stamtąd blisko do Polski. Tęsknię,

rozumiesz? – Poprawiała z wdziękiem jasne włosy opadające jej na opaloną twarz.

– Ale my jesteśmy teraz tutaj. Do Polski jeszcze kawał drogi, kochana. Nie musisz się mazać, Iza. – Delikatnie wziął jej dłoń i czule pocałował.

– Aaaa tam! – zachnęła się. – Wozilał niedawno zaopatrzenie nad Jezioro Galilejskie na ćwiczenia naszych czołgów, piechoty i artylerii. Do dzisiaj czuję kurz w ustach. I wydaje mi się, że nie mogę go zmyć z włosów. Zresztą wszedł mi w każdy zakamarek ciała. Popatrz na mnie! Nawet wizyta w salonie Gersteina w Tel Awiwie nie poprawi mi zniszczonej fryzury. A plecy mnie bołą jak cholera. Przydałby mi się jakiś masaż. – Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i mrugnęła zalotnie.

– To może skoczmy na ten masaż i na plażę do Jaffy?

– Kuszące jedno i drugie.

– No widzisz.

– Jak wrócę do kwatery, muszę wysmarować się takim kremem... Leshnister, który podrzuciła mi Ola. Kupiła go w Maayan Stubie, takim dużym sklepie niedaleko. Mówiła, że będzie świetny na te moje pieprzone piegi – trajkotała.

– Ale ty i bez tego jesteś piękna. Zdecydowanie, zdecydowanie – powtórzył Armando, jakby dla podkreślenia spodziewanego efektu.

– A wiesz, jak my, kierowcy, mówimy na drogę z Jerozolimy do Tel Awiwu?

Mężczyzna lekko przechylił głowę i zmrużył oczy.

– Nie, ale rozumiem, że mnie zaraz oświecisz, kochanie.

– Droga siedmiu sióstr, bo ma siedem zakrętów pośród pardesów, jak to tutaj mówią. Teraz w tych sadach są zbiory pomarańczy. Tylko ta cholerna wilgoć czasem mnie po prostu wkurwia – rzuciła prawie jak rasowy szofer.

– Iza, co ci jest? Nie mów, że do końca wojny chcesz czyścić swoją delikatną rączką te żółtawe ciężarówki. W ogóle was nie poznaję. Olka jeździ po służbie do ośrodka żeńskiego w En Kerem albo do Julis do Szkoły Karpackiej, albo do Nazaretu, do tej szkoły młodszych ochotniczek dla Pestek. A jak się nie uczy, to ogląda przedwojenne filmy. Co się z wami stało?

– I bardzo dobrze. Co w tym złego, Piotruś?

– A tam! Ostatnio wpadła na pomysł, że pójdzie na kurs administracyjny organizowany przez Ministerstwo do spraw Środkowego Wschodu.

– Ja też zgłosiłam się na kurs księgowy. Pomyśl, człowieku, co będzie po wojnie? Co będzie z nami? Nie muszę przecież ginąć za Polskę. Potem przecież mogę dla niej pracować.

Iza wyjęła z torebki białą chusteczkę.

– Ale ty pracowita!

– A tak, właśnie tak. A ty co? Pewnie ci tylko w głowie, jak wyrwać się do burdelu w Rechowocie czy Tel Awiwie, a potem zjeść w żydowskiej knajpie schabowego z duszoną kapustą z zasmażką! Wiesz, ilu takich kochasi woziłam tam w swojej szoferce!

– Już się tak nie unoś, kochana. Wiesz, Iza... Bo ty masz takie swoje marzenia, a oni nas wszyscy sprzedali. Tak mówi Czakucki.

– O czym ty, Piotrek, gadasz? Wierzysz w szkopską propagandę?

– Mówię ci, że gówno będzie z tych twoich Baranowic. Oni już podzielili Polskę. Po wojnie nie będzie już taka, jaką pamiętasz. To będą Sowiety. W najlepszym razie wywiozą cię, jak twoją matkę, do Uzbekistanu i tam zgnijesz jak ona w jakimś łagrze. A jak wspomnisz o ojcu, co leży teraz zakopany w dole w Katyniu, to nawet może do tego Uzbekistanu nie dojedziesz, bo rozwalą cię na miejscu.

– Hola, hola chłopaczku! Ale ja czytam nasze gazety. Byłam na kilku pogadankach... – Dziewczyna leciutko wyduła usta.

– Izuniu, to jest cholerna propaganda, żeby utrzymać morale. Że niby żołnierze po wojnie dostaną gospodarstwa na Wileńszczyźnie czy koło Nowogródka... – cedził przez zęby ostre słowa. – Słyszałaś o tworzeniu w ZSRR przez Berlinga polskiej armii? Ja go nawet pamiętam z Krasnowodzka. A ty wiesz, co to oznacza? Ci uzurpatorzy wszystko ustalą ze Stalinem. Polska będzie siedemnastą republiką albo innym sowieckim rajem. Ale tego w naszych gazetach nie przeczytasz, bo są cenzurowane przez naszych i Anglików.

– To ja nie wrócę do domu? Co będzie ze mną, z bratem, z przyjaciółmi? Gdzie my się, do jasnej anielki, podziejemy? – Głos Izy łamał się, a po policzkach popłynęły łzy. Wyjęła chusteczkę i je otarła.

– Nie martw się, dziewczyno. Damy sobie radę. Gorzej niż u Sowietów nie może być. Podobno Wrocław ma być nasz. Może się tam z bratem przeniesiesz? A może trzeba będzie pożegłować za ocean do Ameryki, Kanady czy Argentyny. Mało to jest spokojnych miejsc na świecie? – Zawiesił głos i jakby na uspokojenie burzliwych myśli dziewczyny pocałował ją delikatnie w wilgotny policzek. – A plażę w Jaffie i masaż masz u mnie jak w banku.

Armando poprosił o rachunek arabskiego kelnera w białej marynarce. Wstali od stolika i wyszli z kawiarni. Przeszli przez bramę do ulicy Dawida i dalej przez bazar do Domu Polskiego. Tam postanowili spędzić noc, ciesząc się sobą nawzajem w małym pokoiku na piętrze. Leżąc w łóżku wtuleni w siebie, słuchając muezina nawołującego z minaretu i dzwonów zwołujących wiernych na wieczorne msze, myśleli o przyjaciółach oraz miejscach, których mogli już nigdy nie zobaczyć. Zasnęli.

* * *

Czakucki wyszedł zmęczony z kolejnego spotkania z brytyjskim majorem Boltonem w sztabie w Jerycho. Wspólnie uczestniczyli w ćwiczeniach z prowadzenia rozpoznania oraz organizacji łączności za linią wroga. Wsiadł do jeepa i ruszył na wschód do En Karem. Miał przed sobą godzinę drogi. Przy okazji chciał odebrać wiadomość ze schowka, który był częścią systemu łączności dla tworzonej nielegalnej rezydentury polskiego wywiadu na Bliskim Wschodzie. Kierował się do Betanii.

Z prowadzącej do Jerozolimy głównej drogi za drogowskazem skręcił ostro w lewo i gwałtownie zahamował. Jeepa spowił wszechobecny pył. Major bez problemu dostrzegł znajdującą się kilkanaście metrów od drogi niewielką skałę. Wyszedł z samochodu i ruszył wzdłuż piniowego gaju. Zapalił papierosa i plecami oparł się o jedyne w tej okolicy rozłożyste, wiekowe figowca.

Z nieukrywanym zachwytem spojrzął na pagórkowatą okolicę i oddaloną wioskę. Przesunął butem kamień wielkości pięści wciśnięty pod skałę. Był to znak od agenta, Aarona Lewina, że materiał do odbioru znajduje się w schowku.

Major wypalił papierosa, wszedł do samochodu i pojechał w stronę Betanii, gdzie przed granicą miasta znajdowała się niewielka grecka cerkiew. Zatrzymał pojazd przy kamiennym murku otaczającym budynek. Rozejrzył się po okolicy, ale nie dostrzegł nic poza pasącym się stadem owiec. Minął rzędy ciemnych, smukłych cyprysów. Nacisnął starą metalową klamkę. Drewniane drzwi zgrzytnęły. Wszedł do świątyni. Mroczne wnętrze rozjaśniały tylko cienkie woskowe świece ofiarne zapalone na prostokątnym stoliku. Ich zapach mieszał się z wonią mirry, kadzidła i stęchlizny starej cerkwi. W pomieszczeniu nikogo nie było. „Doskonała cisza jest najlepsza do pracy wywiadu” – pomyślał.

Podszedł do prawego rogu świątyni i przy ikonostasie przesunął kamień tworzący próg podłogi. Dłoń włożył w otwór i wyjął kawałek drewnianego kołka. Przekręcił go, jakby odkręcał butelkę, i wyjął ze środka kilka zwiniętych kartek. Schował je do kieszeni bluzy mundurowej. Zatrzymał się i spojrzął na twarze prawosławnych świętych. W słabym balasku płomieni wydawało mu się, że ich oblicza zmieniały swój wyraz. Oficer zapalił świeczkę za tych, którzy już odeszli, i za tych, którzy żyją. Wierzył, że odnajdzie swoich bliskich. Chwilę się pomodlił i wrócił do samochodu. Ruszył w kierunku Jerozolimy.

Zastanawiał się, czy legenda jego agenta Aarona będzie wiarygodna. Czy w jego nagłym wyjeździe z Iraku do Palestyny ktoś nie dopatry się jakichś nieścisłości. Czakucki zwerbował go do współpracy z Dwójką jeszcze przed szkoleniem Irgunu pod Andrychowem w 1939 roku. Aaron nosił pseudonim Jan Jagiński, od nazwiska swojego pradziadka, powstańca styczniowego, rotmistrza kawalerii i mistrza fechtunku. Agent znał dobrze rosyjski i angielski. Po wyjeździe z Iraku, gdzie operował wśród polskich żołnierzy o żydowskich korzeniach, został umieszczony w szwajcarskim domu spedycyjnym Ego w Tel Awiwie. Istniało bowiem podejrzenie, że Niemcy, a być może też Sowieci, będą

chcieli wykorzystać to miejsce do łącznikowania swojej agentury na Bliskim Wschodzie.

Czakucki dojechał do miejscowości, której nazwę tłumaczono jako Źródło Marii. Z daleka dostrzegł strzelistą wieżę kościoła Świętego Jana Chrzciciela. Zaparkował obok niewielkiego arabskiego zakładu szewskiego. Dopiero wtedy wyjął z kieszeni munduru meldunki od Aarona. Wśród nich był ten, na który czekał szczególnie:

...z uzyskanych informacji w środowisku komunistycznym na terenie Palestyny wynika, że w ostatnich miesiącach nasiliły się działania sowieckie. Koordynuje je kilkusobowa grupa, której członkami są również żołnierze polskiej armii. Według jednego źródła z tego środowiska, ma nią kierować sowiecki oficer przysłany z Moskwy, który pracował na kierunku polskim w Rumunii w 1939 roku. Jego ówczesnym zadaniem miało być wyłapywanie kurierów specjalnych. Wciąż ma rozpytywać o takie osoby. Oficer ten miał zaktywizować działania Sowietów także na terenie Iraku i Libanu...

Major wysiadł z jeepa i ruszył do internatu Ośrodka Dziewcząt Polskich. Obok kamiennej ściany i niskiego, zakończonego łukiem wejścia stała grupa ubranych na czarno Arabek trzymających na głowach dzbany z wodą. Jedna z nich ścisnęła w dłoni bukiet biało-niebiesko-fioletowych passiflor, potocznie nazywanych kwiatami męki pańskiej. Czakucki kupił je od dziewczyny.

Minął przystanek autobusowy linii numer 10 obsługujący pasażerów zmierzających do Jerozolimy. Podążał ulicą wzdłuż dwupiętrowych domów z drewnianymi, wystającymi kuczkami, które w kulturze żydowskiej miały przypominać suka, czyli szałas, na pamiątkę ich wędrówki przez pustynię ku Ziemi Obiecanej. Czakucki pamiętał podobne werandy z domów w polskich miastach zamieszkałych przez Żydów. Na wysokości budynku z solidnego kamienia i z wysokimi oknami w białych ramach zauważył mężczyznę, którego spotkał, kiedy wychodził z zakładu szewskiego. Ten zaczął mu się bacznie przyglądać. Ubrany był w jasny garnitur i białą koszulę bez krawata. Elegancik. Ale twarz jakaś niearabska, ale też nieeuropejska. Może z Kaukazu?

W tym momencie dostrzegł cel swojej podróży – jednopiętrowy, ale wyjątkowo wysoki budynek z płaskim dachem. W dawnym klasztorze Zgromadzenia Misjonarzy Afryki, czyli Ojców Białych, mieścił się internat polskiej szkoły. Budynek otoczony był rozłożystymi palmami, a całe wzgórze strzelistymi cyprysami, które tworzyły wrażenie, jakby budynek otaczała ściana wyjątkowo intensywnej, ciemnej zieleni. Z kolei pomiędzy migdałowcami rosły, jakby przyprószone srebrną szarością, drzewka oliwne.

Czakucki przyspieszył. Skręcił do internatu. Kątem oka dostrzegł, że obserwujący go mężczyzna zatrzymał się i zapalił papierosa. Został na zewnątrz budynku.

– Hej, mały, chodź tu! – krzyknął do arabskiego chłopaka kręcącego się z walizką przy drzwiach.

– Ja nie mały, ban. Ja Jusuf, ban.

– Pani Maria, wasza pielęgniarka, gdzie mogę ją spotkać?

– Bani Maria tam, bani na schody – tłumaczył z uśmiechem Jusuf i pobiegł do pobliskiego domu stojącego przy ulicy.

Czakucki znalazł się na dziedzińcu. Zobaczył kilkanaście dziewczynek w jednakowych granatowych sukienkach i białych podkolanówkach. Grały w klasy.

– Romek! Tutaj, tutaj! Witaj! – krzyknęła do niego uśmiechnięta kobieta o długich ciemnych włosach.

Padli sobie w ramiona.

Marysia Łacisz była jego współpracownicą z Dwójki jeszcze sprzed wojny. Teraz w trakcie wycieczek do Libanu, organizowanych dla dziewczynek z internatu, obsługiwała jako kurierka polską agenturę w tym kraju. Maria nosiła furażerkę z orłem, miała na sobie brytyjską bluzę mundurową zapiętą na metalowe, błyszczące guziki oraz regulaminową spódnicę za kolana. W dłoni trzymała niewielką ciemną torbę.

– To ty palisz fajkę? – zapytała po serdecznym powitaniu, gdy wyczuła od niego zapach wiśniowego tytoniu.

– To dla ciebie. Proszę. – Wręczył jej bukiet kwiatów. – Nie, do fajki nie dojrzałem. Spędziłem ostatnio sporo czasu z niejakim Boltonem, który całymi dniami pyka. Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

– Chodźmy do sypialni. Dziewczynki za chwilę będą miały lekcje. Nikt nie będzie nam przeszkadzał – zaproponowała Maria.

Weszli do wysokiej sali podzielonej łukowatą kolumnadą. W równym rzędzie stały pościelone łóżka, przykryte do połowy kocami. Przysiedli na jednym z nich.

– Romku. Spotkałam się ze wszystkimi. Byłam w naszym konsulacie generalnym w Bejrucie. Tak jak mówiłeś, coś mi tu nie gra z tym konsulem. Ale to już twoja decyzja, co dalej z nim zrobić. Wszystko opisałam w meldunku.

– A jednak! Niedobrze, Marysiu.

– Aha, jest też szczegółowy raport od naszych ludzi z Dekuane w Bejrucie i Sajdy.

– To doskonale. Jak zwykle mogę na ciebie liczyć.

– Ale chciałam ci coś jeszcze powiedzieć. Nie wiem, jak zacząć...

– Najlepiej powiedz po prostu, od razu, wszystko.

– Romciu, ja już nie mogę tam jeździć. Boję się, że coś mi się stanie, że ktoś mnie zdekonspiruje, że mnie znajdą. Rozumiesz? Ja mam dla kogo żyć. Proszę cię, powiedz, że rozumiesz... – rzekła zdenerwowana, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Z twarzy Czakuckiego zniknął uśmiech, a na jego czole pojawiły się bruzdy. Zasepił się. Był zaskoczony jej tak nagłą reakcją. Marię znał nie od dziś. Była silna. Często wykonywała zadania, którym niejednen mężczyzna by nie podołał. Zawsze mógł na nią liczyć. Nie rozumiał, co się dzieje. Coś mu nie pasowało. To nie Maria, to nie ona. Ale nie mógł jej tego powiedzieć. „Ta kurewska wojna wszystkich zmienia” – pomyślał.

– Marysiu, wszystko rozumiem. Chcesz zamknąć za sobą przeszłość, ale zrozum, że to ważne. Nikt w sztabie nie dowie się o tym, co robisz, ani o tym, co kiedyś robiłaś. Przestań się mazać – dodał delikatnie. – Zgadza się, ale pod

warunkiem że pomożesz mi kogoś znaleźć w Palestynie. Umowa stoi? – Czakucki objął ją ramieniem i mocno przytulił. Gdy poczuł, że się lekko uspokoiła, spojrzął na nią i kontynuował: – Chodzi o naszego byłego żołnierza. Ty masz wszędzie świetne kontakty. Zrób to chociażby ze względu na naszą dawną przyjaźń z Niezbrzyckim – poprosił.

Do wojny Maria współpracowała z Niezbrzyckim w referacie wschód. Rozpracowywali komunistyczne wpływy, jak to się wówczas określało, i sowiecką agenturę w Wojsku Polskim. Po klęsce wrześniowej Łacisz trafiła do jakiegoś obozu na wschodzie, a potem do więzienia. Po jej zwolnieniu, wraz z mężem i synem ewakuowała się do Iranu. O tym, co przeszła w Moskwie, nigdy z Czakuckim nie rozmawiała.

– W takim razie spotkajmy się za trzy dni w Tel Awiwie, w kawiarni Gdańskiej przy Javne. Znajdziesz ją bez trudu. Organizują w niej wieczorne potańcówki. Dużo tam naszych, więc łatwo będzie się schować w tym towarzystwie. Powiedzmy o siódmej wieczorem.

– W porządku. To jesteśmy umówieni.

Zapisał jej na kartce dane poszukiwanego żołnierza. Pocałował ją na pożegnanie w policzek, uściskał i szybkim krokiem zszedł na dziedziniec. Po wyjściu z budynku dyskretnie zlustrował okolicę. Zapalił papierosa. I wtedy kątem oka zauważył postać ukrytą za niską, ale wyjątkowo bujną palmą. Szybko ocenił, że nie jest to mężczyzna w jasnym garniturze, który go wcześniej obserwował.

Czakucki podszedł kilka kroków w stronę ulicy. Dopiero wtedy zobaczył stojącego przed budynkiem mężczyznę, który w ręku trzymał rewolwer. Zaskoczony facet zaczął szukać wzrokiem kogoś schowanego za okazałymi liśćmi palmy. Major wykorzystał moment jego zawahania, wypuścił z dłoni papierosa i błyskawicznie wyszarpnął z kieszeni spodni swojego colta 45. Przeładował go i jak kot skoczył do narożnika budynku, przy którym rosła palma i rozłożysty fikus. W tym momencie nad głową majora o mur uderzyły trzy pociski. Odruchowo rzucił się na ziemię i leżąc między krzewami na lewym

boku, oddał cztery strzały. Wydawało mu się, że wszystkie powinny osiągnąć celu. Ciało mężczyzny bezwładnie osunęło się po białych kamieniach niewielkiego murku, zostawiając na nim czerwone smugi krwi.

Przez głowę majora przeszła myśl, czy za palmą nie kryje się może ten mały Arab. Zawołał:

– Jusuf! Jusuf! To ty? Odezwij się!

Postać ukrywająca się za drzewem nie odpowiedziała. Za to padły stamtąd dwa strzały. Major powtórnie przyłgnął do ziemi. Po chwili trzy razy nacisnął spust colta. Zamek broni pozostał w tylnym położeniu. „Kurwa, gdzie wsadziłem drugi magazynek?” – pomyślał. Odwrócił się i wymacał go dłonią w kieszeni spodni. Podpiął, przeładował i chciał ponownie strzelać. „A może tam już nikogo nie ma?” Poczłogał się wzdłuż muru budynku. Po odczekaniu kilku sekund ostrożnie wstał. Nikogo nie zobaczył. Chwilę czekał z czterdziestką wycelowaną w rozłożystą palmę.

W tym momencie usłyszał charakterystyczny warkot przyspieszającego motocykla. Zerwał się i rzucił w kierunku odjeżdżającego. Ale się spóźnił. Dostrzegł jedynie, że motocyklista miał na sobie brytyjski mundur polowy. Wydawało mu się, że na jego ramieniu mignęła mu czerwona, półokrągła naszywka.

Podszedł szybkim krokiem do martwego napastnika. Spod czarnej czupryny wciąż sączyła się ciemna krew, tworząc wielką plamę na kamiennym podłożu. Przeszukał kieszenie jego garnituru, ale nie znalazł nic z wyjątkiem wizytówki kawiarni Orion w Jerozolimie. Kopnął z wściekłością enfielda leżącego obok dłoni zabitego. Rewolwer potoczył się kilka metrów.

– Ban! Ban! Co stało?! – dobiegł go krzyk małego Jusufa, który wybiegł z domu.

– Wracaj do budynku i nie wychodź. Potem powiedz pani Marii, co widziałeś. No już, zmiataj, zmiataj!

Ciężko usiadł na murku. Adrenalina jeszcze krążyła mu w żyłach, a serce wciąż szybciej biło. „Do kurwy nędzy, kto to jest? Dlaczego do mnie strzelał?

Muszę stąd zniknąć. Zaraz się zjawi policja”. Wstał i szybkim krokiem ruszył w kierunku samochodu. Zatrzymał się przy jeepie, wyjął papierosy i zapalił. Dopiero teraz dostrzegł, że w trakcie walki ubrudził mundur. Otrzeptał go. Pomasował bok, poczuł ból. Musiał się uderzyć podczas upadku. Pulsowanie w głowie ustawało i powoli o nim zapominał. Usiadł za kierownicą, wziął parę głębokich oddechów. Doszedł w końcu do siebie. W kieszeni spodni czuł wciąż ciepło lufy pistoletu.

Rozdział 5

Brytyjskie Terytorium Mandatowe w Palestynie – jesień 1943

Major Czakucki nieco nerwowo prowadził jeepa krętą drogą w kierunku Jerozolimy. Szybko dotarł do pierwszych zabudowań miasta. Skręcił na górę Syjon. Na wszelki wypadek nie zatrzymał się pod cmentarzem, gdzie był umówiony na spotkanie. Zaparkował samochód przed Wieczernikiem. Po sprawdzeniu, czy ktoś za nim nie jechał, wszedł do środka. Przy wejściu do dawnej kaplicy franciszkanów zapłacił za wstęp Arabowi. Ostrożnie wszedł na piętro, bo dolne pomieszczenia zamknięte były solidną kratą. Otrzepał mundur.

Usiadł na niedużych schodkach i popatrzył na strzeliste sklepienia podpierane czarnymi kolumnami. Był jakoś nadzwyczaj spokojny. Nie wiedział, czy to wyćwiczone opanowanie oficera wywiadu, czy tak kojąco na niego podziałało miejsce pierwszej mszy świętej odprawionej przez Jezusa. Potrzebował półmroku, aby się wyciszyć. Chciał też chociaż na chwilę uciec myślami od tego, co niedawno go spotkało. Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie w pewnym momencie o małym Romciu, który został w Lidzie z matką. „Czy żyje? Czy kiedykolwiek go spotkam?”

Po kilkunastu minutach energicznie wstał, naciągnął mocniej furazerkę i szybkim krokiem opuścił to wyjątkowe miejsce. Poszedł w stronę cmentarza, ale co jakiś czas odruchowo sprawdzał, czy nikt się nim nie interesuje. Zlustrował okoliczne domy, uliczki i miejskie zakamarki. Nikogo podejrzanego

nie dostrzegł. Wszedł przez solidną furtę na teren cmentarza i skierował się do zewnętrznego murku.

– Piękny widok na Dolinę Gehenny, nie uważa pan, podporuczniku? A kiedyś ta dolina była jednym wielkim wysypiskiem śmieci. To musiało być paskudne miejsce. Dzień dobry – przywitał się zdecydowanym głosem z Januszkiewiczem podziwiającym dolinę.

– Dlaczego pan major się ze mną umówił na tym cmentarzu? Nie można było się spotkać gdzie indziej, w kawiarni albo w klasztorze franciszkanów czy po prostu w sztabie? Stoję tutaj od pół godziny jak jakiś diabeł kalwaryjski. –

Januszkiewicz nie krył irytacji i wyszarpnął nerwowo z kieszeni bluzy mundurowej paczkę camel. – Miałem w radiu posłuchać koncertu szopenowskiego. A w ogóle myślałem, że ta sprawa jest już załatwiona po spotkaniu z pana ludźmi w Sulajmaniji.

– Poruczniku, to nie jest prosta sprawa. Pan to chyba wie najlepiej. Nie mylę się? Możemy o niej mówić tylko w bezpiecznym miejscu. Niech pan zrozumie, musiałem mieć pewność, że nikt za panem nie przyjdzie – powiedział Czakucki. – Zapraszam na obiad do restauracji Vienna przy Jaffa Road. To niedaleko. Polska kuchnia i muzyka. To dobry klimat na rozmawianie o polskich sprawach.

Ruszyli szutrową alejką między nagrobkami, na niektórych jakiś czas temu pojawiły się polskie napisy.

– Dotychczas wydawało mi się, że pan bardziej lubi jazz, zwłaszcza w Omanuth przy placu Dizengoff, gdzie występuje tancerka, jak jej tam... Antoszówna! – zażartował Czakucki dla rozładowania atmosfery, po czym zamknął za sobą metalową kratownicę cmentarnej bramy.

– To pan major dużo wie. Proszę zapalić. Prawdziwe, amerykańskie – zaproponował, ściskając nerwowo w dłoni paczkę papierosów.

– Nie, dziękuję.

– Obok tej restauracji na Jaffa Road, tam gdzie idziemy, jest świetny sklep z wędlinami Starnaua. Polecam. Szynekowa zupełnie jak u nas w Polsce. A ile

czasu zajmie nam obiad, bo mam zaproszenie od kolegów z sekcji oficerów kawalerii polowej? A wieczorem spotkanie w Cafe Orion przy Ben Jahoda.

– Widzę, że pan kolega bardzo zajęty towarzysko. Spotkanie zajmie najwyżej dwie godziny. O ile tym razem będzie pan ze mną szczery – zakończył z naciskiem.

Uliczkami starej Jerozolimy dotarli na miejsce. W restauracji zamówili wino Efrat i schabowego. Czakucki od razu przeszedł do tematu spotkania. Januskiewicz wyjaśnił, w jakich okolicznościach otrzymali zgodę na organizację czterotygodniowego kursu wspinaczkowego w rejonie Gelala i Rajatu. Streścił, jakie zadania miał wykonywać. Przyznał Czakuckiemu, że przyjął Zyguta na szkolenie bez wpisywania na listę. Tak po starej znajomości.

– W czasie zajęć pod szczytem Hadar Szehran moja grupa została napadnięta przez Kurdów. Zabrali nam pistolety i trochę sprzętu. Grozili, że zabiją, jak znowu pokażemy się w tej okolicy – tłumaczył. – Zgłosiłem formalnie napad policji, a potem naszej żandarmerii, ale pan wie, nikt nie miał wtedy do tego głowy. Uważam, że czekali tam na mnie.

– Na pana? To bardzo ciekawe.

– Według mnie to Darek Zygut napuścił na mnie Kurdów.

– Porucznik Zygut? On zorganizował napad? Czy panu coś się od tego upału nie pokręciło w głowie?

– Panie majorze, to powiem, jak było, bo...

– Cały czas na to liczę.

– Chodzi o to, że w tej dolinie koło Darbandu i Rajatu w czasie wspinaczki znalazłem dziwne rzeczy. Na pewnej wysokości była spora grotta z zamaskowanym wejściem, a w niej dwie duże walizki, zupełnie takie, jakby w Polsce kupione, wyjątkowo solidne. Tutaj takich się nie spotyka. Obok stały dwie skrzynki, a w nich... W jednej radiostacja, a w drugiej baterie i różny sprzęt. Klucz do alfabetu Morse'a. Przy radiostacji znalazłem zeszyt i mapkę z zaznaczonym przez kogoś miejscem napadu i tą grotą. Innych dokumentów nie było.

Januszkiewicz na stoliku położył niewielki zeszyt w miękkiej okładce z szarego papieru.

– Oto on, konspekt z moimi notatkami – dodał. – Na płycie głównej radiostacji obok zegarów były wytłoczone różne oznaczenia pisane cyrylicą...

– Sowiecka radiostacja Siewier do łączności z agenturą w terenie – powiedział od niechcienia Czakucki.

– Pewnie pan major spyta, czy nie mam wyrzutów sumienia. Dlaczego nie powiadomiłem o radiostacji? Doszedłem do wniosku, że to sowiecki złom. Ale walizki te widziałem wcześniej u Zyguta. Jedną na Węgrzech, w czasie ewakuacji w tysiąc dziewięćset czterdziestym, a drugą w Konstancy. Potem Zygut wracał z taką samą z Libanu. Opowiadałem panu, majorze, o tym wyjeździe.

– Tak, tak. Pamiętam.

– Poza tym o takich walizach opowiadał mi porucznik Olszewski z żandarmerii, który woził Darka w góry. Zebrałem to wszystko do kupy i wydaje mi się, a właściwie jestem pewien, że należały do Zyguta – zakończył ze smutkiem Januszkiewicz.

– I nikomu pan o tym nie powiedział? Naprawdę? To ciekawe!

– Majorze. Ja to już mówiłem, przed wojną tak jak pan byłem w Dwójce. Nie chciałem mieć problemów. W dowództwie o takich jak my zapomnieli. Już nie patrzą na mnie jak na najgorszego Piłsudczyka. Potem był ten napad na nas. No i postanowiłem...

– ...zabić porucznika Zyguta? – dokończył Czakucki.

– Nie... To zupełnie nie tak, panie majorze.

Rysy twarzy Januszkiewicza jakby się zmieniły. Podporucznik niczym na niemy rozkaz zaczął nerwowo wycierać spocone dłonie o nogawki spodni. Milczenie przerwał kelner, który przyniósł kolejną butelkę Efratu. Czakucki skinął głową, aby napełnił kieliszki winem. Jego woń rozeszła się nad stołem i zmieszała z zapachem podsmażanej młodej kapusty ze skwarkami z boczku.

– To co w końcu pan zrobił?

– On mnie zauważył, gdy byłem w tej grocie. Widział, że grzebię przy tej sowieckiej radiostacji. Stawiał się, groził mi, że mnie załatwi. No i tam były pieniądze, dużo pieniędzy. Powiedział, że podzieli się nimi ze mną, ale muszę trzymać język za zębami, zwłaszcza przed takimi jak pan – wykrztusił zdenerwowany Januskiewicz.

– Jak ja? Czy po prostu o mnie chodziło?

– O pana. On mówił, że pana zna.

– No to wychodzi, że jednak go załatwiliście, podporuczniku.

– Powtarzam, nie załatwiłem. Ja nie taki, majorze, jak pan może myśli. Jak Zygut szedł ze mną z dolną asekuracją, to w pewnym momencie odpadł od ściany. To się zdarza. Ale lina mu się nagle obluzowała i pewnie pękła. Materiał nie był pierwszej klasy. No i spadł ze sto metrów w dół. Nie było najmniejszych szans, żeby mu pomóc. – Spuścił głowę.

– Powiedzmy, że panu chwilowo wierzę w tę obluzowaną i cudownie pękającą linę asekuracyjną. Powiedzcie, podporuczniku, co ja mam z panem teraz zrobić?!

Januskiewicz wzruszył tylko ramionami. Milczał.

Major wiedział, że Zygut sporządzał dla Drugiego oddziału i służby geograficznej tajne materiały z trasami przejazdów dla czołgów i oddziałów zmotoryzowanych. Wyznaczał także potencjalne lądowiska oraz dogodne miejsca na obozy. Miał też informacje na temat opcjonalnych dróg ewakuacyjnych. A przede wszystkim, co sobie właśnie uświadomił, i wtedy dreszcz go przeszedł, miał informacje na temat polskiej agentury na Bliskim Wschodzie.

– Cóż. Dla pana bezpieczeństwa ważna jest teraz cisza wokół sprawy porucznika Zyguta. Morda w kubeł, nawet gdyby z pana pasy darli. Nie było tej rozmowy. Czy to jasne?

– Jasne, panie majorze. Jak słońce.

Restaurację wypełniały monotonne dźwięki dochodzące od ulicznego muzyka, który grał na instrumencie ud, przypominającym z wyglądu lutnię.

Nakładają się na nie rozmowy w języku angielskim, arabskim i hebrajskim. Z zaplecza dochodził nieco przytłumiony dźwięk obijanych naczyń. Przy stoliku Polaków panował cisza. Czakucki patrzył w sufit na obracający się wentylator i potakiwał nerwowo głową.

– A co się stało z tymi gratami w grocie? – przerwał milczenie Czakucki.

– Ech. Doszło w tym czasie do kilku osuwisk skalnych. W naszym obozie było spore zamieszanie. Wydaje mi się, że walizki Zyguta wraz z radiostacją pochłonęły góry – rzucił z pewną dozą niepewności Januszkiewicz i sięgnął po kieliszek. – Naprawdę wyśmienite to wino, panie majorze.

– Dobrze. Przyjmuję to do wiadomości. Na razie traktujmy to jako nieszczęśliwy wypadek w górach. I od tej chwili zapominamy o tej sprawie. Przed nami front. Niech pan uważa na siebie. Sowieci, jak coś wyniuchają, mogą panu nie odpuścić. W sztabie dywizji w ciągu kilku dni będzie czekać na pana rozkaz wyruszenia do portu w Aleksandrii.

– Jestem pana dłużnikiem, majorze. Wielkim dłużnikiem.

– Dobra, dobra. Może się pan odmeldować. A do mnie ma trafić dokładny opis trasy i miejsce znalezienia tych rzeczy w górach.

Gdy Januszkiewicz wyszedł z restauracji, Czakucki poczuł silny ból w klatce piersiowej. Pochylił się, jakby chciał go stłumić, i cicho mruknął sam do siebie.

– Kurwa, co ja mam z tym zrobić? Co ta pieprzona wojna robi z ludzi? – powiedział pod nosem.

Poszedł wolnym krokiem do jeepa i ostro ruszył w kierunku swojej kwatery. Dotarł do niej już po zmroku. Czuł się zmęczony. Chciał w końcu odpocząć i zapomnieć o wszystkich problemach, a czekało go jeszcze przesłuchanie w sprawie strzelaniny.

* * *

Choć początkowo generał Bronisław Duch twierdził, że ma dla Czakuckiego tylko kilkanaście minut, spotkanie się przedłużało. Na biurku pełnym dokumentów, luźnych kartek i kartonowych teczek leżał beret dowódcy 3

Dywizji Strzelców Karpackich. Na ścianie wisiały oznaczenia rozpoznawcze, charakterystyczna jodełka Karpaczyków, sztandar Samodzielnej Brygady Strzelców i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Oficerowie w obecności szefa sztabu omawiali wydarzenia ostatniej doby. Ciągłe nie wiedzieli, kto został zabity w pobliżu polskiej szkoły. A nie była to ostatnia ofiara tego dnia. W Tel Awiwie znaleziono ciało żandarma, porucznika Olszewskiego. Został zastrzelony i ktoś zabrał jego motocykl.

Generał kolejny raz czytał notatkę z tego zabójstwa, przygotowaną przez żandarmerię:

...po chwili poprzedzonej gwałtowną wymianą zdań pomiędzy dwoma mężczyznami doszło do sprzeczki. W pewnym momencie sprawca o nieco ciemnej karnacji, w polskim mundurze polowym, wyrwał z ręki oficera pistolet i strzelił mu w klatkę piersiową. Pocisk kalibru dziewięciu milimetrów uszkodził płuco i serce. Przyczyną natychmiastowej śmierci był krwotok wewnętrzny.

– Ciekawa sprawa. Co jeszcze? Aha. Jeden ze świadków usłyszał coś jakby słowo... Bakuresti? Porucznik jeździł na amerykańskiej indianie, której do tej pory nie odnaleziono – zakończył generał, patrząc na dokument z żandarmerii.

– Panie generale. Właśnie na takiej maszynie uciekł spod polskiej szkoły człowiek, który próbował mnie zastrzelić.

– Co ma wspólnego jedno z drugim? – zapytał generał.

– Nie mam pojęcia. Może znaleziona przy zastrzelonym wizytówka Cafe Orion w czymś nam pomoże. To jest popularne miejsce, szczególnie wśród naszych – ciągnął Czakucki.

– Dlaczego chcieli pana zabić, majorze?

– Nie wiem. Nikt napastnika wcześniej w tym miejscu nie widział. Ubranie, które miał na sobie, jak ustaliła nasza żandarmeria, nie zostało kupione w Palestynie. To nie był Arab.

– A może kluczem do tej sprawy jest to, czym się zajmujecie?

– Ale przecież pan wie, generale, jakie to sprawy. Niemcy mają w Palestynie słabe rozpoznanie naszych jednostek. Jeżeli już, to korzystają z pomocy

arabskich band. Brytyjczycy na szczęście jeszcze do nas nie strzelają, a Żydzi nie mają powodów, żeby to robić. Jest u nich przecież dużo naszych chłopaków.

– Więc kto jeszcze? Na kogo by pan stawiał?

– Są jeszcze bolszewicy. Jakbym miał obstawić, to właśnie oni. Być może łączy się to z zaginięciem naszego oficera w Iraku.

Czakucki nie chciał jednak tłumaczyć zawilości swojego śledztwa w sprawie Zyguta. Poza tym na świeżo miał w głowie raport Godlewskiego o niemieckich spadochroniarzach, którzy zostali złapani koło Irbilu.

– Zalecam ostrożność i... niezaognianie dyplomatycznych sporów. Nieważne, co pan myśli o Sowietach, zresztą pewnie to samo co ja, ale przynajmniej w tym momencie są naszymi sojusznikami – zakończył odprawę generał.

Czakucki pożegnał się z przełożonym i wyszedł. Wsiadł do jeepa. Po stronie pasażera siedział żandarm ze stenem na kolanach. Po ostatnich wydarzeniach majorowi przydzielono osobistą ochronę. Samochód ruszył i skierował się do więzienia w Jerozolimie, którego część została wydzielona dla aresztowanych żołnierzy. Czakucki umówił się przy nim z porucznikiem Winieckim. Gdy tylko zaparkował przed wejściem, podszedł do nich Armando. Jak zwykle wyglądał świeżo, z daleka czuć było od niego mocny zapach wody kolońskiej.

– Armando, ty służbowo tu jesteś czy na randkę z panną się wybrałeś?

– Nie, panie majorze, ale do sojuszników idziemy, to chciałem się dobrze zaprezentować. To co robimy?

– Idziemy przesłuchać pewnego więźnia. To niejaki Sadowski. Może nam coś rozjaśni w sprawie sowieckiej siatki, Brytyjczycy przechwycili gryps, który miał trafić do Partii Komunistycznej Palestyny. Może nam w czymś pomoże?

Major kilkakrotnie uderzył pięścią w metalowe drzwi więzienia. Parterowy budynek z bloków piaskowca w przeszłości służył jako obiekt sakralny. Znajdował się w nim dom dla chrześcijańskich pielgrzymów. Zbudowany został przez Rosjan, ale Brytyjczycy zamienili go w więzienie. Teraz na otaczającym go murze rozciągał się drut kolczasty. Ktoś uchylił judasza, a potem brytyjski strażnik przez chwilę przypatrywał się stojącym przed wejściem postaciom.

Zlustrował ich książeczki wojskowe i pismo od prokuratora z pozwoleniem na spotkanie z osadzonym.

Weszli do środka. Zostawili broń w depozycie, po czym zanurzyli się cieniu więziennych murów. Strażnik poprowadził ich szerokim korytarzem z półkolistym zwieńczeniem. Ze ścian odpadała farba. Czuć było stęchliznę starych cegieł i zapach moczu. Weszli do niewielkiego pokoju, który w przeszłości stanowił celę dla pielgrzymów. Teraz w oknie zamiast szyb wstawione były grube pręty. Usiedli przy stoliku i czekali. Major wyjął z podręcznej skórzanej teczki kilka kartek zapisanych na maszynie.

– *Stefan Sadowski, urodzony w tysiąc dziewięćset piątym roku w Ciechocinku* – czytał na głos. – *Uczestnik wojny z bolszewikami, no... jako ochotnik, o, nawet został ranny. Potem przyłączył się do komunistycznej bojówki w Bydgoszczy. W latach trzydziestych już jako członek KPP kilka razy aresztowany. Po wybuchu wojny na wschodzie wstąpił do naszej armii. Aresztowany za agitację komunistyczną. O, i mamy też ulotkę. – Czakucki, jakby od niechcienia, machnął przed nosem Winieckiego świstkiem papieru. – Co jeszcze? Ustalono, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku kontaktował się z grupą, która kradła żywność w Persji i sprzedawała miejscowym. Ale brak było dowodów na działalność niezgodną z prawem.*

W tym momencie drzwi się uchyliły i sierżant wprowadził do pokoju przesłuchań Sadowskiego. Stał przed oficerami na baczność.

– Tę ulotkę to mi ktoś podrzucił – zaczął niepewnie.

Armando podszedł do niego i z całej siły uderzył go pięścią w brzuch. Sadowski stęknął i upadł na kolana. Zaczął charczeć, zwymiotował.

– No kurwa, obrzygałeś mi buty.

– Wstawajcie, towarzyszu Stefanie. Sporo o tobie wiemy. Chodzi nam o twoje komunistyczne kontakty – rzekł cicho Czakucki.

– Ty, bolszewik, zastanów się, co odpowiesz. Nie kłam, bo nigdy nie wyjdiesz z tego pierdła. Zdechniesz tu, a twoje ścierwo zmiesza się

z wielbłądzim gównem na pustyni. – Armando jeszcze raz miał ochotę sprowadzić więźnia do parteru.

– Nic mi nie zrobicie...

Czakucki wyjął papierosa, zapalił go i podał więźniowi. Ten nie protestował i głęboko się zaciągnął. Potem zaczął gwałtownie kaszleć, jakby się dusił.

– Dawno nie paliłem – wytłumaczył, puszczając dym nosem.

– Towarzyszu Stefanie, knuj sobie dalej dla sowieckiej ojczyzny. Ale nie miej złudzeń. Czekaści już tam na ciebie czekają i rozwalą cię strzałem w potylicę, jak wielu twoich towarzyszy przed wojną. Mnie interesuje osoba, która niedawno przybyła do Palestyny i kieruje całym tym waszym bajzłem bolszewickim w naszej armii – sprecyzował żądanie major.

Sadowski milczał.

– Okej, to zapytam inaczej. Czy chcesz być zamieszany w zabójstwo oficera naszej armii? Chcesz zgnić w tym więzieniu?

– Nic na mnie nie macie. Jakie zabójstwo? – odpowiedział i splunął śliną zmieszaną z krwią i resztkami tytoniu.

– Słuchaj, bolszewicki towarzyszu, zabity został polski żandarm – wycedził major. W tym momencie Winiecki przyparł go całym ciałem do ściany i przybliżył żar swojego papierosa do jego oka. Więzień nie miał się gdzie cofnąć. Armando wyczytał z twarzy Sadowskiego paniczny strach. Takiej reakcji oczekiwał.

– Powiesz wreszcie albo wychodzimy, a ciebie przenosimy do arabskiej części więzienia, żebyś do końca swoich parszywych dni miał orientalną rozrywkę. – Czakucki był wyraźnie zmęczony brakiem postępu w czasie rozmowy z więźniem.

– Co mi możecie zaoferować?

Armando zwolnił uścisk.

– Nie wyjdiesz na wolność, ale możemy cię przenieść do obozu w Latrun. Tam warunki są lepsze. Nie odeślemy cię też do twoich towarzyszy w Sowietach – tłumaczył major.

– Ja za dużo nie wiem. Od jednego znajomego słyszałem, że jest tu jakiś przysłany ostatnio z Moskwy.

– Jakieś nazwiska? – zapytał ze spokojem major.

– Czyje?

– Kurwa, przecież nie moje ani pana majora! Tego, co ci powiedział, i tego z Moskwy – podniósł głos Armando.

– Nie pamiętam. Jak Boga kocham. Jakoś zaraz przed aresztowaniem popiliśmy w jednym burdelu koło Tel Awiwu, w Rehowocie. Tam dużo naszych przyjeżdża. Kiedyś zabawiał się taki, wie pan, jeden z tych ramzesów. Po pijaku w zaufaniu powiedział mi, że towarzysze radzieccy kontaktowali się z nim już wcześniej w Palestynie i Syrii. I właśnie od niego wiem, że ten przysłany z Moskwy też jest w naszym wojsku.

– Ty, bolszewik, jakim twoim wojsku! Ty to masz wojsko... – Armando przerwał i zwrócił się do Czakuckiego. – Panie majorze. Ja wiem, co to za miejsce. Szukanie tam kogoś to jak szukanie igły w stogu siana.

Więzień zakrył twarz dłońmi, tak jakby chciał ją obmyć i dać sobie czas na zrozumienie tego, co przed chwilą usłyszał. „Czyżby znowu zaczęły się jakieś czystki?” Nie potrafił ukryć przerażenia. W 1937 roku jego akurat ominęły, ale wiedział, że to, co powiedział major, było prawdą, że wielu jego towarzyszy przebywających w Związku Sowieckim zostało rozstrzelanych.

– To za mało, musisz nam jeszcze coś dać.

– Przyjechał z Pahlawi, niedawno, już po rozpoczęciu głównej ewakuacji. Aha, ma mołdawskie czy rumuńskie korzenie, jego matka czy ojciec stamtąd. Ale Polak.

– No i dało się jakoś porozmawiać. Nie można było tak od początku? Po co te nerwy? – Na twarzy Armanda pojawił się uśmiech, po czym poklepał lekko więźnia po lewym policzku.

– Słuchajcie, towarzyszu Sadowski. Zgodnie z umową przeniesiemy cię do obozu. Pilnuj się. Dobrze radzę... – Czakucki zakończył przesłuchanie.

Gdy wyszli z więzienia, major po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął. Był zaskoczony reakcją Armanda. Nie znał go od tej strony.

– Tak ostro do tego Sadowskiego... gdzieś się tego nauczył?

– Panie majorze, bo...

– A w ogóle to ty teraz w żydowskich burdelach gustujesz?

– Nie. Iza tam czasem podwozi spragnionych miłości. Pan wie, jak to jest.

Rozdział 6

Tel Awiw (Brytyjskie Terytorium Mandatowe w Palestynie) – jesień 1943

Marysia Łacisz trzymała w prawej dłoni kościane okulary przeciwsłoneczne z okrągłymi szklami. Siedziała w kawiarni Gdańskiej przy ulicy Javne w Tel Awiwie, przodem do wejścia. Z radia sączyła się sentymentalna muzyka, szlagiery przedwojennej Polski. Akurat teraz wsłuchiwała się w wyjątkowo smutny tekst piosenki Adama Astona o biednej Rebecce.

Łacisz była elegancko ubrana. Miała na sobie ciemną spódnicę i granatowy sweter, bo wieczory były już chłodne. Włosy związała czarną tasiemką. Mogła uchodzić za atrakcyjną trzydziestoparolatkę. Jednak zmęczony wzrok wskazywał na to, że coś ją gryzie. Ostatnio wiele razy płakała. Gdy w drzwiach pojawił się Czakucki, uśmiechnęła się i mu pomachała. Pocałował ją w policzek i usiadł naprzeciwko. Po chwili do lokalu wszedł żandarm – ochroniarz majora – ze stenem przewieszonym przez ramię. Zajął stolik obok wejścia.

– Czego się napijesz, Marysiu?

– Kawę i wodę poproszę.

Czakucki zamówił u kelnera dodatkowo jeszcze dla siebie szklaneczkę whisky. Poprosił też, aby żandarm otrzymał mocną herbatę i wodę.

– Byłam przesłuchiwana w sprawie tej strzelaniny koło nas, ale nic specjalnego im nie powiedziałam. Romek, to straszne, co się stało... – Głowę oparła na rękę i dłonią zakryła usta.

– No cóż, taka nasza służba. Nigdy nie wiesz do końca, jak będzie. Znałaś go? Tego zabitego...

– Nie. Jego nie, ale jak ci to wszystko opowiedzieć!?

– Marysiu, mów, przecież widzę, że coś cię męczy.

– Romeczku, przepraszam za to wszystko... – Głos się jej łamał, a z oczu popłynęły łzy, które rozmazały delikatny makijaż.

Wyjęła z torebki lusterko i śnieżnobiałą chusteczką dokładnie wytarła ciemne zacieki z policzków. Po chwili się uspokoiła. Nabrała powietrza w piersi i ciężko westchnęła. Czakucki czekał, bo widział, że Marysia uspokaja się i chce powiedzieć coś ważnego.

– Dzień wcześniej przyszedł do mnie taki młody żołnierz. Mocno zaciągał, jakby z Wołynia był albo z pogranicza rumuńskiego, i pytał, czy może wybierasz się do nas.

– Na pewno mu o mnie chodziło? Jesteś pewna? Z pogranicza rumuńskiego? Ciekawe.

Maria przytaknęła.

– A dlaczego akurat z tobą chciał rozmawiać?

– Bo mnie znał. Chociaż nie... dużo o mnie wiedział... – Łacisz ponownie otarła łzy.

– Skąd? Co ty opowiadasz?

– Ja ci tego nigdy nie mówiłam, bo się wstydziałam i bałam... Mnie wtedy w obozie u Sowietów w Griazowcu. Złamali mnie. – Twarz ponownie ukryła w dłoniach i zaczęła popłakiwać.

Obydwoje zamilkli. W tym momencie podszedł do nich kelner z zamówionym zestawem. Major sięgnął po szklanę whisky z lodem i pociągnął solidny łyk. Od razu zamówił kolejną.

– Odpowiadałam na ich pytania, bo grozili, że moja rodzina trafi na Syberię, a Karolka, mojego synka, zabiorą do domu dziecka. Mieli mnie w swoich łapskach. Nie dawali jeść, nie dawali spać. Romek, ja nie mogę z tym żyć... –

powiedziała niezwykle poważnym tonem. – Ja chcę z tym wszystkim skończyć. Nie mam już siły. Ja chcę normalnie żyć. Uwierz mi!

– Tak, wiem. Każdy chce. Dobrze. Jak najszybciej pozamykamy twoje sprawy. Ktoś inny przejmie obsługę schowków i twoje kontakty w Libanie. Odpoczniesz. Czy coś wiedzą o naszych sprawach tutaj? O systemie łączności?

Maria Łacisz podniosła do ust filiżankę z kawą. Czakucki zauważył na jej twarzy ulgę.

– Nic nie wiedzą. Czasami coś ode mnie chcieli, ale według mnie nigdy nie zorientowali się, że wciąż pracuję dla Dwójki. Oni mieli świetne rozeznanie, co się działo przed wojną w Referacie Wschód. Wiedzieli dosłownie wszystko. Ja im nic konkretnego nie przekazywałam. Czasami chcieli jakieś ustalenia. Ale wiesz, moja pozycja, daleko od sztabu. Co ja mogłam wiedzieć? Jak dotarliśmy do Palestyny, myślałam, że może o mnie zapomnieli. Ale nie...

– Czego chciał ten człowiek?

– Tylko pytał, kiedy u nas będziesz. Przysięgam, nic więcej, ale ja mu to powiedziałam.

– Przedstawił się?

– Tak, Sokolnik, może Sokolak, jakoś tak. Nie powiedział wyraźnie. – Opisała go w kilku zdaniach. – Ale mam dla ciebie też dobrą wiadomość. Poprosiłeś, abym się rozejrzała...

– Jest tutaj?! Naprawdę? – Czakuckiego przeszedł dreszcz emocji.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Wypił do końca bursztynowy trunek, pstryknął palcem na kelnera, uregulował rachunek i obydwójce wstali.

– On nie może tam pójść. – Wskazała wzrokiem na żandarma, który też szykował się do wyjścia.

Czakucki podszedł do żołnierza i szepnął mu, aby poczekał na niego w samochodzie i obserwował otoczenie.

Łacisz poprowadziła go kilkadziesiąt metrów wzdłuż białych parterowych budynków. Skręcili w wąską ścieżkę między domami i weszli na niewielkie kwadratowe podwórko, na którym bawiły się żydowskie dzieci. Podeszli do

pierwszych drzwi po prawej. Nacisnęła kłamkę. Weszli. Odsunęła ciemną kotarę zawieszoną przy wejściu do niewielkiego korytarzyka z pokojem na końcu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała i szybko wycofała się z pomieszczenia.

– Do widzenia, Romku.

– Dziękuję, Marysiu.

Pokój był skromnie wyposażony. Na środku stał solidny drewniany stół z czterema krzesłami, a pod ścianą kredens z drewna orzechowego. Na ścianach wisiały jakieś zdjęcia oprawione w grube ciemne ramki. W pomieszczeniu panował lekki zaduch i wyczuwało się stęchliznę. Na stole pokrytym okrągłą, ażurową, białą serwetą stała butelka szkockiej Talisker, dwie szklanki, wiaderko z lodem i karafka wody.

Po kilku minutach z sąsiedniego pomieszczenia do pokoju wszedł Kleiner. Ubrany był w czarne spodnie, jasną koszulę i wysłużone buty. Zapalił czarną brodę. Uśmiechał się.

– Mietek, brachu, ledwo cię poznałem. – Czakucki podszedł do kolegi, klepnął go w ramię i mężczyźni padli sobie w ramiona. – Zmężniałeś czy co? Widzę, że dbasz o kondycję.

Major uważnie przyjrzał się Kleinerowi.

– A ty, druhu, trochę się postarzałeś, ale widzę, że też się świetnie trzymasz. Opalenizna wprawdzie nie od górskiego słońca, ale z jakiejś plaży w Tel Awiwie, ale co tam. Siadaj, opowiadaj. – Zaśmiał się, wrzucił do szklanek po trzy kostki lodu i zalał je alkoholem. Po chwili kostki zaczęły pękać, a słodkawy zapach rozniósł się po całym pomieszczeniu.

– Co u ciebie słychać? Martwiłem się, że coś ci się stało – powiedział Czakucki.

– No cóż. Dalej działam na froncie, stary. Tak jak zawsze, tym ukrytym. A ty, majorze, nie masz co robić, tylko musisz mnie szukać po całej Palestynie? Już nawet dziewczyny o mnie pytały. Tutaj wszystko szybko się roznosi.

– Cóż, dziewczyny tęsknią, chłopaki wspominają. Mówią, że brakuje im ciebie.

– Ha, to były czasy. A co u nich?

Podniósł szklankę i stuknął o szkło majora.

– Jeśli chodzi o Armanda, to ten chyba do końca życia będzie lowelasem, chociaż oficjalnie podobno zakochany jest w Izie. Trochę stara się ciebie zastąpić, ale jeszcze do końca nie wszystko mu wychodzi. Razem z Godlewskim mam go przy sobie. Iza szaleje na ciężarówkach! Ola namiętnie się uczy. Renatka natomiast działa na froncie generalskim. Jak pewnie wiesz, występuje w Tel Awiwie. Ale chyba już niedługo, bo niebawem ruszamy do Egiptu, a potem dalej, do Italii.

– Przekaż im, proszę, że za nimi tęsknię.

– Oczywiście. Ale do rzeczy, Mietek. Winny mi jesteś kilka wyjaśnień.

– Co cię interesuje, majorze? – Z twarzy Kleinera nie zniknął uśmiech.

– Konarska...

Mietek pogładził brodę. Westchnął ciężko i upił solidny łyk alkoholu.

– Romek. To nie był dobry ruch, ja wiem. Dzisiaj bym tak nie zrobił. Po raz pierwszy dałem się ponieść emocjom, ale już tego nie odwrócę. Pracowała dla towarzyszy radzieckich i tysiącletniej Rzeszy. Polowała na mnie. Jeszcze w Sowietach zabiłem jej przełożonego, majora bezpieczeństwa, niejakiego Fiedotowa. Ale teraz tak sobie myślę, że można było ją przeciągnąć na naszą stronę.

– Myślisz, że była szansa?

– Wydaje mi się, że tak....

Pociągnął łyk whisky i poczuł jej charakterystyczny, jakby słonawy posmak. Na moment utkwiał wzrok w pustym dnie szklanki.

– A ty jak się czujesz? Strzelali do ciebie, wiem o tym. Ale nie pytaj skąd.

– Myślę, a nawet jestem tego pewien, że to czerwoni. Nie wiem tylko dlaczego.

– Dobrze myślisz. To Sowietci. Ustrzeliłeś niejakiego Miszę Trofimowa. Należał do dwuosobowego zespołu. Drugi czerwony jest w waszej armii. Ale nie

znam jego nazwiska ani funkcji czy stopnia. A może był to przypadek? Może im coś nie wypaliło i najzwyczajniej popełnili błąd? – dodał i zamyślił się.

– Mietek, tak myślę, że to chodzi o jedną ze spraw, którą prowadzimy. Jeszcze z Iraku, a tak naprawdę jeszcze sprzed września trzydziestego dziewiątego. Niedawno zamordowano oficera naszej żandarmerii, który jakoś się wiązał z tym wszystkim. A strzelanina pod szkołą? Może tak jak mówisz, ktoś nie wytrzymał.

– Też mi się tak wydaje. Jak się o tym dowiedziałem, też taka była moja pierwsza myśl. Dlatego przy tym trochę powęszyliśmy.

Kleiner nie powiedział, że informacje o ofierze otrzymał od brytyjskiego policjanta, który współpracuje z grupą żydowskich bojowników. Tym bardziej że policja nic podobnego nie przekazała polskiej żandarmerii. Nie wspomniała też o odnalezieniu motocykla Olszewskiego na wysypisku śmieci w Nazarecie.

– My!?! To znaczy kto?

– Majorze, Romku. My tu tworzymy podziemne struktury. Gdy przyjdzie czas, uderzymy z wielką siłą. Nie martw się. Polscy żołnierze są bezpieczni. Nasze cele są inne – odpowiedział wyjątkowo dyplomatycznie. – Jak się czegoś dowiem w twoich sprawach, dam znać. Wiem, jak cię znaleźć. Ty ze mną łap kontakt przez Aarona Lewina.

– No nie. Kurwa, Mietek. Podszedłeś mojego człowieka. Wiesz, czym to pachnie dla niego? – zirytował się Czakucki.

– Nie podszedłem, Roman... Przecież to Żyd. A poza tym jest bardzo lojalny wobec ciebie i Polski. Nic nie powiedział. Domyśliłem się, że może pracować dla nas... to znaczy dla ciebie.

Major otarł mokre czoło zieloną chusteczką.

– Czyli stara gwardia z Andrychowa gra pierwsze skrzypce?

– Nie zaprzeczę, majorze. Dobrze ich wyszkoliliśmy. To zostaje między nami. Wiesz, jak sprawy się mają. Albion nie przepada za nami. Zresztą wiesz sam najlepiej, co było z Brytolami w Iraku, jak się burzyli, kiedy zdjęliśmy sowiecką siatkę.

– Oni, Mieciu, nie mają przyjaciół. Oni mają tylko własne imperialne interesy. Sprzedadzą nas Sowietom, zobaczysz.

Potem Czakucki opowiedział Kleinerowi o sprawie związanej z Zygutem i jego śmiercią, przypadkowo znalezionej sowieckiej radiostacji, o przedsięwzięciu związanym z wywiezieniem polskich dokumentów w specjalnych walizkach przez przygotowane do tego pary kurierów oraz o tym, jak niektóre z nich dotarły na Bliski Wschód przez Rumunię i Turcję.

– Czyli, Romciu, wychodzi na to, że musisz jeszcze odwiedzić góry Kurdystanu. Bez tego trudno będzie ci wyjaśnić do końca sprawę. Ale chyba warto, bo to cenne rzeczy. Mogą jeszcze odegrać swoją rolę w historii.

– Na to wygląda, stary druhu.

Dopiero przed północą, gdy potańcówka w Gdańskiej zmierzała ku końcowi, przed lokalem pojawił się Czakucki. Był na lekkim rauszu i w doskonałym humorze. Dawno nie był tak rozluźniony. Poprosił żandarma, aby odwiózł go do kwatery.

Po spotkaniu Mietek Kleiner położył się na łóżku w sąsiednim pokoiku. Szumiało mu w głowie, nie tyle od alkoholu, ile od tego, co usłyszał od Czakuckiego. Zafrapowała go historia Zyguta i operacja specjalna Dwójki, o której opowiedział mu major, jako że razem z Zygutem pełnił służbę w jednostce kartograficznej w Iraku. Jednak nie podejrzewał w żaden sposób, że ten może pracować dla czerwonych. „Gdybym miał takie pieczątki i blankiety, to legalizacja dokumentów byłaby o niebo łatwiejsza” – rozmarzył się i uśmiech pojawił się na jego twarzy. Następnego dnia miał zaplanowane szkolenie bojowe w kibucu na północy, w rejonie Jeziora Galilejskiego. Musiał więc dobrze wypocząć.

* * *

W Cafe Orion najbardziej rzucali się w oczy klienci w polskich i brytyjskich mundurach. Nad pozornym rozgardiaszem panowali tylko uwijający się między stolikami kelnerzy, którzy w sprawny sposób przyjmowali zamówienia

i błyskawicznie je realizowali. Schodziło głównie piwo, wino oraz ostatnio mocno reklamowane w prasie likiery Wolfschmidta. Ale Januszkiewicz i Sokołow wlewali w siebie już drugą butelkę wódki. Obraz wokół nich powoli się rozmywał, a tematy rozmów były coraz bardziej banalne. Na początku starali się udowodnić sobie, kto z nich miał więcej kobiet, a potem kto był większym kozakiem.

Gdyby obok nich siedział ktoś z żandarmerii, odnotowałyby po kilkanaście przykładów spraw, za które mogliby beknąć, a którymi się chwalili. Opowiadali o jeździe ciężarówką po wypiciu butelki whisky, spożywaniu wódki w trakcie ostrego strzelania oraz lewiznach, czyli urywaniu się z jednostki przed zakończeniem służby. Wszystko było dobrze aż do momentu, kiedy pojawił się spór, który z nich jest odważniejszy. Januszkiewicz mógł zatem pochwalić się góorskimi wspinaczkami. Opowiadał o Tatrach, Alpach, górach Kurdystanu i Antylibanu. Potem Sokołow o sztormie u wybrzeży Grecji i katastrofie morskiej, swojej jeździe po pustyniach syryjskiej i irackiej.

Januszkiewicz, chociaż zatracił zdolność logicznego myślenia i wzrok miał mętny, nagle otrzeźwiał, jakby ktoś wylał na niego wiadro zimnej wody, gdy z otaczającego go zgiełku dotarło do jego świadomości nazwisko Zygut.

– Ludwik, widziałeś Zyguta w tych górach. A gdzie on był? – bełkotał Sokołow.

– Kaziu, ja nic nie wiem.

– Wiesz! Gadaj, kurwa!

– Nic nie wiem, Kazik. Daj spokój. Do czego ci ten Zygut?

– A... ja chciał powspominać stare czasy.

W tym momencie Januszkiewicz wstał i chwiejnym krokiem ruszył do toalety.

– Stój, kurwa! No stój, gdzie ty leziesz, suczy synu? – Sokołow chciał złapać kompana za rękę, jednak tylko się zamachnął i spadł z krzesła na posadzkę.

Januszkiewicz wszedł do toalety, stanął przed lustrem i zasalutował do swojego odbicia.

– Żegnaj, Ziemi Świąta. Ludwik! Spieprzamy stąd! Chyba nas znaleźli! – powiedział sam do siebie.

Włożył szyję pod strumień zimnej wody, po czym obmył twarz i wytarł ją rękawem bluzy mundurowej. Wyszedł z lokalu przez kuchnię. Po paru minutach dotarł na postój taksówek. Czuł się osaczony. Nie wiedział tylko, dla kogo pracował Sokołow.

* * *

Następnego dnia Januskiewicz obudził się w swoim pokoju z potężnym kacem. W głowie go łupało, jakby dostał kilka bokerskich ciosów. Żelaznym kubkiem zaczerpnął z wielkiego kotła ciemną kawę zbożową i wlał ją w siebie. Doprowadził się trochę do porządku i stawiał się przed dowódcą dyżurnym jednostki. Poprosił o dzień urlopu. Ten nawet specjalnie o nic nie pytał, bo trwały już przygotowania do przeniesienia do Aleksandrii.

– Poruczniku. Chyba już dawno powinienes wiedzieć, że w tym klimacie nie pije się wódki. Szanuj siebie i mundur. – Kapitan popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Potrzebuję, panie kapitanie, przepustki i jakiegoś transportu. Muszę pojechać na cmentarz oraz pożegnać się z kolegami, którzy są w górach.

Przed wyjazdem wysłał jeszcze kopertę z listem do Czakuckiego, dołączył do niej narysowaną ręcznie mapkę z dojściem do pewnej groty w górach. Nie była zbyt dokładna. „Mam nad nim przewagę, Czakucki ruszy za kilka dni” – pomyślał.

W trakcie kilkugodzinnej jazdy w kierunku Madźdal Szams i granicy syryjskiej alkohol wyparował, a w zasadzie został wypocony. Kilka razy się zatrzymywał, aby wypić kolejny litr wody. Przejechał dolinę z sadami jabłkowymi i wiśniowymi. Po drodze minął kilku Druzów w czarnych ubraniach, prowadzących załadowane osły.

Silnik jeepa zaczął ostro wyć, gdy droga stawała się coraz bardziej stroma. Był coraz wyżej. W końcu stanął przed grzbietem, na którym kilka tygodni

wcześniej prowadził ćwiczenia. Znał tę okolicę doskonale. Zmienił buty na podkute gwoździami. Bez trudu dotarł do niewielkiej jaskini, a właściwie dużej szczeliny skalnej. Wcisnął się w nią. Wnętrze oświetlił latarką. Wszystko było na swoim miejscu, tak jak je zostawili w czasie ostatniej wizyty: skrzynie z radiostacją i dwie solidne drewniane walizki. Tę z nadajnikiem otworzył, podważając wieko nożem. Zaczął uderzać w jej elektryczne elementy, kable, pokrętła, a następnie wypchnął ją z dużą siłą ze szczeliny. Poszybowała w dół, rozbijając się o skalne występy. Podobnie roztrzaskał się zasobnik z bateriami.

Nożem wyłamał również zamek w jednej z walizek. Potem w drugiej. Odpiął paski i wyjął z nich śmierdzące naftą brezentowe worki. Zabrał je ze sobą na dół do samochodu. Przy jeepie rozpruł je. Było w nich kilkanaście małych woreczków z pieczętkami oraz pakiety z różnymi dokumentami. W drugim worku dodatkowo znajdowały się jeszcze blachy drukarskie, duże klisze i pieniądze – cztery paczki amerykańskich dolarów. Januskiewicz wziął jedną z nich i rozerwał banderolę. Podrapał się po zmęczonej twarzy. „Zygut już nie skorzysta” – pomyślał. Pieniądze schował do kieszeni bluzy mundurowej i spodni. Na końcu wyjął tekturową, sztywną teczkę. „Lubomirski. Albrecht Dürer...” – przeliterował wykaligrafowany napis. Wyjął z niej plik starych rycin. Na jednej z nich zobaczył rysunek czyjegoś oka, a w rogu ręcznie wykonane oznaczenie, które przypominało jakby stempel.

Zapakował wszystkie rzeczy do jednej dużej skórzanej, ale sztywnej walizy z mosiężnymi krawędziami. Wyglądała raczej na podróżny kufer. Kupił ją kilka dni temu na targu staroci w Jerozolimie. Pakunek wrzucił na tylne siedzenie. Ruszył jeepem w dół.

Rozdział 7

Jaffa, Jerozolima (Brytyjskie Terytorium Mandatowe w Palestynie), pustynia iracka – jesień 1943

Wilys z Armandem, Godlewskim, Izą i Olą minął po prawej obudowany deskami i zadaszony szarym płótnem stragan z arbuzami. Na wysokiej tyczce kiwała się lampa naftowa. Wśród dorodnych zielonych owoców siedziało, a w zasadzie leżało dwóch Arabów w białych kefiach, przytrzymywanych przez czarne wężyki. Popijali aromatyczną kawę.

Samochód Polaków wjechał na przedmieścia nadmorskiej Jaffy.

– Armando. Masz mocne papiery, bo niedaleko minaretu Brytyjczycy zbudowali stanowiska ogniowe? Jak z Olką się tutaj kręciliśmy, to patrol nas sprawdzał.

– Skoro Czakucki kazał przyjechać dzisiaj do Jaffy, to przepustki mam w kieszeni.

– Tak pytam, bo wszyscy, odkąd zaczął się przerzut do Egiptu, są jacyś nerwowi.

– A ja jeszcze muszę na rozkaz starego pojechać do Iraku w góry coś sprawdzić – dodał Winiecki.

– Wszystko w porządku. Tylko dlaczego jedziemy na plażę o siódmej rano? – wtrąciła Iza.

Jeep zwolnił. Skręcił w wąską ulicę. Właściciele sklepów otwierali wysokie, zakończone łukiem drzwi i podnosili białe mansardy, podpierając je drążkami

o ściany budynków. Natomiast zamykały się otwarte dotąd okiennice w jednopiętrowych domach. Po ulicy niósł się dźwięk uderzeń o framugi okienne. Z pojedynczych balkonów zniknęło pranie. Nadmorskie miasto zaczynało żyć. Mieszał się zapach kawy z kardamonem, dymu z szisz, wypiekanego w tradycyjnych piecach arabskiego pieczywa.

– Popatrzcie, po prawej! – krzyknęła Iza. – Tam gdzie siedzi ta piątka Arabów na tych niziutkich taboretach. Mają wielki patefon! Ciekawe, czego słuchają?

Minęli z prawej kamienny łuk.

– Wiecie co? Byłoby całkiem sympatycznie, gdyby nie ta poranna wilgoć. Włosy mi się kręcą i potem nie mogę z nimi dojść do ładu – rzuciła Ola.

– Poczekaj. Jak dotrzemy do przystani, to poczujesz zapach wyciąganych sieci, schnących łodzi po porannym połowie, i zapomnisz o takich drobiazgach – odpowiedział Armando.

– To nie jedziemy na plażę? Po cholere z Olką wzięłyśmy nasze nowe dwuczęściowe kostiumy kąpielowe? – zapytała Iza.

Dotarli do głównego skrzyżowania w mieście. Na rogu, obok metalowego, ażurowego słupa telegraficznego, stał patrol brytyjskiej żandarmerii zajęty rozmową z dwoma mężczyznami ubranymi po europejsku – w białych koszulach i czarnych spodniach. Minęli parterowe budynki z rozłożonymi białymi, szarymi i brązowymi płóciennymi zadaszeniami. Poczuli zapach ryb.

– Tu jest za brudno. Na północ od Jaffy, już w Tel Awiwie, jest fajna plaża. Mało ludzi. Wczoraj zaczął się szabas, to będziemy mieli ją pewnie dla siebie. Z kolei Arabki na plażę nie chodzą.

Zwolnili. Ich oczom ukazały się dymiące kominy frachtowców stojących na redzie. Bliżej widać było kobiety wyciągające z wody sieci i czyszczące je po porannym połowie. Skręcili w lewo. Armando zatrzymał willysa na niewielkim placu obok sterty beczek. Przy kamiennym nabrzeżu panował spory ruch. Z kilku łodzi z masztami rybacy wynosili liny, skrzynki i beczki. Marynarze rolowali i zawiązywali białe żagle.

– Koniec jazdy, kochani. Idziemy na koniec nabrzeża, do tego kamiennego podwyższenia ze schodkami. – Armando wskazał ręką. – Chodźcie. Nie ma czasu.

– Ależ tu śmierdzi! Jak moje włosy będą tym cuchnąć i będą posklejane, to... nie wiem, co ci zrobię!

W momencie kiedy przechodzili obok budynku z głębokim podcieniem i nietypowym, szpiczastym zakończeniem, ktoś zawołał po polsku.

– Dziewczyny! Tutaj!

Wszyscy się odwrócili. W cieniu starego drzewa oliwnego stał oparty o mur mężczyzna. Ubrany był w ciemne spodnie i białą koszulę z podwiniętymi rękawami. Śmiał się. Dziewczyny zamurowało. Filip miał oczy jak spodki. Tylko Armando zachował spokój.

– Chodźcie, nie stójcie jak słupy – rzucił.

– Kurwa, Armando. Wiedziałeś i nic nie mówiłeś – odezwała się Iza.

– A co miałem mówić. Czakucki też mnie zaskoczył. No, ale... Miała być niespodzianka? I jest.

Dziewczyny pobiegły w stronę Kleinera i z piskiem rzuciły mu się na szyję. Uściskały go. Izie spadły z nosa okulary przeciwsłoneczne, a Oli noszony z fasonem czarny beret z orzełkiem.

– Tylko nie liczcie na wspólną kąpiel w wannie! Nie mamy takich luksusów jak w Bagdadzie. Filip, chodź tu. Uściskam cię, ty pogromco Brandenburczyków spod Kirkuku – powiedział wzruszony Kleiner. – Wejźmy do środka. Mamy tu swoje bezpieczne miejsce z dobrą whisky. Kochani, jak się cieszę, że w końcu was widzę.

– Mieciu, czym nas tym razem zaskoczysz?

– Opowiem wam o sobie, powspominamy stare żołnierskie czasy. Grill się pali, napoje na stole. Armando, zaparkuj tego willysa tutaj. – Wskazał palcem zaułek obok beczek.

* * *

Jeep, w którym siedzieli Czakucki i Winiecki, powoli poruszał się szutrową drogą w konwoju, w którym głównie znajdowały się wojskowe sanitarki Dodge wc54 z czerwonymi krzyżami na burtach. Kolumna medyczna wiozła do Palestyny ostatnich ozdowieńców z likwidowanego szpitala polowego u stóp gór Kurdystanu.

Major nie miał wesołej miny, milczał od dwóch godzin. Męczyła go myśl, czy zrobił wszystko, aby wyjaśnić sprawę zaginięcia Zyguta. Kierował się planem, który pocztą polową dostał od Januszkiewicza. Wiedział, że on sam już powinien być w drodze do Egiptu.

Dotarli pod wskazaną skałę, a w zasadzie na osuwisko. Nie trzeba było fachowca, aby stwierdzić, że doszło do niego niedawno. Było tam jednak na tyle niebezpiecznie, że nie mieli szans, aby cokolwiek wypatrzeć.

Czakucki nie odnalazł kawałków rozbitych skrzyń, radiostacji, ale przede wszystkim – pomimo wielogodzinnego poszukiwania wraz z Winieckim – także miejsca, gdzie mogło upaść ciało Zyguta. „Może szczątki rozwlekły zwierzęta? A może Januszkiewicz po prostu kłamał?”

Męczyła go myśl, od kiedy Zygut współpracował z czerwonymi, co miał w skrzyniach, z którymi kursował z Libanu do Iraku, pod granicę z Persją. Czy to był punkt przerzutowy, a Zygut był kurierem? „Cóż, chyba nigdy się tego nie dowiem”. Czakucki wyjął chesterfielda, zapalił go i podał porucznikowi, który kierował samochodem.

* * *

Sokołow mocno oparł ręce na drewnianym blacie solidnego stołu. Obok położył beret polskiego żołnierza.

– Nie tak to miało być. Wszystko się posypało! – krzyknął z wściekłością i sięgnął po kieliszek wódki, który nalał mu major Pogosjan. Siedzieli w niewielkiej lokalnej żydowskiej kafejce na peryferiach Jerozolimy.

– Po coś ty za nim jechał? Po co ta strzelanina? Zdekonspirowaliście się, towarzyszu kapitanie.

– Nikt mnie nie widział. Nie chodziło o tego majora, żeby go zlikwidować. On miał nas tylko doprowadzić do Zyguta. A nasz Misza to chyba spanikował i wyjął broń. Nie wiem dlaczego.

– Czy ty myślisz, że Polacy albo Anglicy są tacy durni?! Nie musieli cię widzieć. Wystarczy, że złączą kojarzyć fakty. Ale mniejsza o to. Teraz mają na głowie wyjazd do Egiptu. A ten drugi, żandarm?

– Olszewskiego to przez przypadek spotkałem na ulicy. Poznał mnie i skojarzył z naszą operacją w Rumunii. Towarzysz major wie. Chodziło o wyłapywanie ich kurierów z tymi rządowymi walizkami. Chciał mnie zaciągnąć na posterunek. Ja byłem szybszy... – Jeszcze raz wziął kieliszek i wychylił go do dna. – Po co wam, towarzyszu majorze, ten Zygut?

– Też miał szukać tak jak i wy kurierów i tych walizek. Są dla nas bardzo ważne. Kto ma kontrolę nad takimi materiałami, ten może nam wystawiać dobre dokumenty. I wszystko zgodnie z linią naszej partii i jej kierownictwa. Zresztą, co ja będę wam mówił... Zajmowaliście się już tym, towarzyszu, więc wiecie, jakie to jest ważne dla naszej służby i kraju. A wy mi *job wasza mat'* strzelaniny urządzacie!

– Jeszcze dzisiaj napiszę dokładny raport w tej sprawie. A nie będzie to łatwe.

To była dla Sokołowa druga misja wśród polskich żołnierzy w obozach Jangi Jul i Krasnowodzku, gdzie pracował w komórce NKWD odpowiedzialnej za niejawny nadzór nad sztabem generała Andersa. W 1939 roku Sokołow, mający opinię wyjątkowo zdolnego oficera, był rezydentem w Konstancji, gdzie wraz ze swoimi ludźmi polował na transporty ewakuujące polskie złoto, broń, dokumenty, pieniądze i dzieła sztuki. Pracował też wśród komunistów, którzy przebywali w Rumunii. Werbował agentów, którzy następnie mogli zostać przerzuceni do polskiej armii we Francji. Polskie sprawy znał od dawna. Doskonale wiedział, jak budować wśród nich sieć współpracowników.

– Pamiętajcie, towarzyszu Sokołow. Dla Polaków ważna jest historia i bieżąca gra polityczna. Nie umieją spoglądać w odleglejszą przyszłość, są krótkowzroczni – odezwał się po chwili milczenia Pogosjan.

– Dlatego warto korzystać również z członków Komunistycznej Partii Palestyny. Wstąpiło do niej wcześniej paru Polaków. Sprzyjają nam – próbował zabłysnąć Sokołow.

– Tylko przypominam wam, że nie może być znowu takiej fuszerki jak w Uzbekistanie.

Pogosjan spojrział na Sokołowa, a ten jakby stracił pewność siebie. Po powrocie z Rumunii był odpowiedzialny za założenie instalacji podsłuchowej w siedzibie generała Andersa w Jangi Jul. Okablowanie położył pod sufitem, pod niewielką warstwą tynku. Polacy znaleźli je i pocięli kable. – Przypominam, towarzyszu, że Centrala musiała odwołać po tej wpadce pułkownika Wołkonyskiego, który dzisiaj gdzieś koło Kurska przesłuchuje jakichś *giermanskich wojennoplennych*. A my musieliśmy, dla załagodzenia sytuacji, wysłać tam doświadczonego *razwiedczika*, towarzysza Tizkowa... Czy towarzyszu *wsio poniał*... kurwa!?! I jeszcze jedno. Łączność utrzymujecie przez szwajcarski dom wysyłkowy Ego w Tel Awiwie, przy ulicy Hess 1. Hasło i odzew bez zmian. To samo dotyczy Libanu. Przy czym, towarzyszu kapitanie, należy sprawdzić schowek kontaktowy na cmentarzu w Sajdzie.

– Tak jest, towarzyszu majorze – odpowiedział Sokołow.

– Zapamiętajcie! Cmentarz francuski, grób pojedynczy z nazwiskiem Zylievski, sierżant 6 REI, czyli 6 regimentu piechoty Legii Cudzoziemskiej. To ważne, bo wie o tym miejscu nasz *szpion* w polskim konsulacie w Bejrucie. Chyba Polacy nie obrażą się, że schowek mamy zorganizowany w kwaterze cmentarnej ich rodaka – dodał Pogosjan i roześmiał się rubasznie. Spochmurniał nagle. – Jeśli tego tam nie ma... to znaczy, że Zygut oszukał również nas. I wtedy będziemy musieli z powrotem zająć się waszym przyjacielem Januskiewiczem...

Rozdział 8

Wyspa Margarita (Wenezuela) – lato 2013

Lecący już od kilkunastu godzin z Frankfurtu airbus A340-300 w barwach Lufthansy powoli zaczął schodzić z pułapu dwunastu tysięcy metrów. Dobiegała końca podróż do Caracas dwojga oficerów Agencji Wywiadu – majora Marcina Łodyny i podpułkownik Magdaleny Sierpeckiej. Łodyna nie spał. Co chwila przeciągał się w swoim niebiesko-szarym, obszernym fotelu klasy biznes. Przez owalne okienko przyglądał się przez moment niebieskozielonemu bezmiarowi Morza Karaibskiego. Wrócił do otwartego na kolanach laptopa, w którym miał zeskanowane mapy, różne dokumenty z lat powojennych, w tym coroczne raporty konsularne polskiej placówki w Caracas dotyczące Polonii i list niejakiego Winieckiego, Polonusa z Argentyny, który prowadził także rozległe interesy w branży maszynowej i górniczej w Wenezueli. Łodyna wpadł na niego kilka miesięcy temu na spotkaniu z Polonią w Caracas. Teraz jednak poznawał losy człowieka, który wiele lat temu wyjechał do Ameryki Południowej. Wciągnęła go historia sprzed lat.

Spojrzał na monitor komputera, otworzył zeskanowany plik ze sprawozdania z działalności konsularnej ambasady PRL w Caracas z 1979 roku.

Ludwik Januszkiewicz (...) Emigracja 1948 rok, żołnierz 2. Korpusu, zatrudniony w firmie Ferrominera Orinoco, niewyjaśniony zgon na niewielkiej wyspie Margarita u wybrzeży Wenezueli (...) Taternik (...) Nigdy na nic się nie skarżał (...) Okaz zdrowia. O jego śmierci znajomych i firmę zawiadomił telefonicznie jeden z synów, z którym przebywał na wakacjach z urzędu

pocztowego w Juan Griego... Współpracownik i przyjaciel Januszkiewicza Piotr Winiecki, również żołnierz generała Andersa. Iran, Irak, Palestyna, kampania włoska... Sztab 2 Korpusu. W Argentynie osiadł na stałe w 1962 roku wraz z żoną i synem (...) Dużo podróżuje po regionie. Prowadzi interesy głównie w Wenezueli (...) Znany w kręgach Polonii wenezuelskiej. Placówki polskie w Caracas i Buenos Aires nie mają informacji na jego temat z okresu przed przyjazdem do Ameryki Południowej.

Łodyna znowu przerwał i popatrzył w okienko. Zamknął laptopa i poprawił na Sierpeckiej niebieski koc w żółte paski.

– Dzięki, Marcin, ale już nie śpię – powiedziała spokojnie Magda, nie otwierając oczu.

– Zastanawiam się, czy ta operacja nie może być trochę podobna do tej twojej z Sewastopola – wyszeptał Łodyna.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mam jakieś przeczucia co do Rosjan. Oni mają u Chaveza dobre wejścia. Ich możliwości są tutaj spore. Znacznie większe, niż myślą nasi amerykańscy partnerzy.

– Marcin. Zawsze jest takie ryzyko, jeśli zbliżamy się do rosyjskich celów, czy to na Bliskim Wschodzie, Ukrainie, czy tutaj. Najpierw plasują się politycznie, potem gospodarczo, a na końcu militarnie.

– Wiem, wiem. Tworzy się takie rosyjskie błędne koło, które zaczyna wirować.

– No właśnie. I w środku zawsze są ich służby. Nie lubię dalekich lotów. Nie mogę sobie nigdy poradzić z jet lagiem. – Sierpecka wygięła się w fotelu i poprawiała ciemnoblonde włosy opadające na ramiona.

– A co ja mam powiedzieć... – odparł Łodyna.

– Tak, tak... młody tatusiu. – Sierpecka się uśmiechnęła. – Nie daje spać mały Michał...

– Szkoda gadać. Nieraz nawet marudzi do trzeciej nad ranem. Ale najważniejsze, że wszystko z nim w porządku i jest zdrowy. A Ewa jest dobrą

matką – dodał.

Czterdziestopięcioletnia Magda poczuła uścisk w gardle. „Co tam z moim małym sreberkiem? Popłakiwała, jak się żegnałyśmy. Małgosi z dziadkami źle nie będzie. To w końcu ich oczko w głowie” – pomyślała o swojej pięcioletniej córeczce. Sierpecka nie była teraz z nikim związana po tym, gdy zostawił ją ojciec Gosi, oficer ABW. Od tego czasu miała kilka przelotnych romansów, ale na tyle przypadkowych, że niektóre zatarły się już w jej pamięci. Podczas samotnych letnich wieczorów w domu rozsuwała drzwi na taras, siadała na miękkiej kanapie z kieliszkiem wina w ręku, z wtuloną w nią pod kocem Małgosią, i słuchała muzyki klasycznej. Od jakiegoś czasu lubiła utwory Antoniego Dwozaka. Natomiast kiedy była w dobrym nastroju, uwielbiała *Cztery pory roku* Antonio Vivaldiego.

Ocknęła się i przypomniała sobie to, co kilka minut wcześniej mówił jej kolega.

– Sewastopol? – powtórzyła.

– Tak, nie wszystko wyszło, w zasadzie niewiele. Dlaczego? – zapytał Łodyna.

Sierpecka milczała. Kilka miesięcy temu uczestniczyła wraz z amerykańską NSA w operacji specjalnej na Krymie. Jej celem było zainstalowanie i uruchomienie tajnej stacji nasłuchowej w rejonie nachimowskim Sewastopola na wybrzeżu Morza Czarnego. Było to świetne miejsce dla kontrolowania całego rejonu czarnomorskiego i ruchów rosyjskiej floty. Urządzenia do nasłuchu miały zostać umieszczone na budynku mieszkalnym naszpikowanym na dachu antenami satelitarnymi i klimatyzatorami, tak aby nikt nawet nie wpadł na pomysł szukania w tym gąszczu odbiorników jakiejś instalacji, która w rzeczywistości gromadziła i przekazywała dalej dane wywiadowcze.

Sierpecka pracowała wtedy pod przykryciem w ukraińsko-polskiej firmie spedycyjnej. Akcją kierował ich wspólny znajomy i szef, którego doświadczenie i znajomość Wschodu powinny gwarantować powodzenie. Ale nie poszło tak, jak zakładano. Od momentu przyjazdu na Ukrainę, a w zasadzie od wylądowania

na lotnisku Kijów-Boryspol i przekroczenia bramek kontroli granicznej w terminalu D czuła, że ktoś ją obserwuje. Nie miała tylko pewności kto. Podobne wrażenie odnieśli jej współpracownicy, odpowiedzialni za transport urządzeń do Sewastopola służących gromadzeniu danych radiowych emitowanych przez okręty Floty Czarnomorskiej. Oni dotarli na miejsce pociągiem przez Kijów. Po kilkunastu dniach prowadzonej niekiedy bardzo bliskiej i często prowokującej obserwacji, popularnie nazywanej „na japońca”, szefostwo Agencji Wywiadu zdecydowało o zawieszeniu operacji i wycofaniu w trybie alarmowym swoich ludzi z Ukrainy. Ryzyko dekonspiracji i wpadki było zbyt duże.

Z przeprowadzonej później analizy sprawy i ustaleń operacyjnych służb polskiej i amerykańskiej wynikało, że przedsięwzięcie było rozpracowane przez rosyjską agenturę w ukraińskiej flocie oraz w samym Sztabie Generalnym w Kijowie. Założono, że Rosjanie posłużyli się ukraińskimi służbami, aby sparaliżować działania Polaków i Amerykanów. Wywiad nie miał pewności, czy to była robota GRU, choć Krym należał do obszaru ich działań. Podejrzane było to, że uzyskane agenturalnie przez Amerykanów informacje z SWR wskazywały, że ta służba doskonale wiedziała, kiedy operacja się rozpocznie i kto weźmie w niej udział. Rosja do czegoś się przygotowywała.

Po tamtym niepowodzeniu ich przełożony odszedł ze służby, a w zasadzie został do tego zmuszony. Niewielu wiedziało, że prawdziwym powodem zakończenia przez niego kariery był sprzeciw wobec indolencji szefostwa Agencji Wywiadu. Stanowisko straciła też Sierpecka. Przestała być szefową komórki operacyjnej i powróciła do pracy w terenie. To ona teraz kierowała przedsięwzięciem specjalnym w Wenezueli.

– Czego ty tam wypatrujesz w dole? Popatrz, jakie pyszne śniadanie nam przynieśli! Jak na „lufę”, to całkiem domowe – powiedziała Magda, odbierając od stewarda i przekazując Łodynie tacę z jedzeniem oraz pachnącą, świeżo zaparzoną czarną kawą.

– Jak miałem sześć lat, przeczytałem swoją pierwszą książkę w życiu. To była *Wyspa Robinsona* Arkadego Fiedlera. Jak zapoznawałem się na Miłobędzkiej z dokumentacją naszej sprawy, to zacząłem sobie przypominać miejsca akcji tej książki?

– Nie przypuszczałeś, że kiedyś w życiu je odwiedzisz?

– Dokładnie. Posłuchaj: *...wkraczał w nowy okres życia swego. Po jakiejże to żmudnej tułaczce los zapędził mnie na to wybrzeże Ameryki Południowej i co mi tu jeszcze gotował...* Łodyna zamknął i poklepał dłonią wysłużoną, żółtą okładkę książki.

– Całkiem nieźle się przygotowałeś. Żebyśmy tylko nie wylądowali wydymani przez ruskich na jakiejś bezludnej wysepce. – Magda się roześmiała.

– Nie przesadzaj. To byłby nawet ciekawy i stosunkowo udany, kolejny koniec wielkiej operacji wywiadowczej dwóch zaprzyjaźnionych agencji. Znacznie lepszy niż pospieszne zwijanie waszej firmy z Sewastopola i ucieczka jakimś tureckim frachtowcem.

– Nie zastanawiaj się nad tym chłopaczku. Od jutra czeka nas ciężka robota. Ale książkę pożyczę, na wieczór w towarzystwie szklanki Cuba Libre.

– Wiesz, myślę o pewnej sprawie sprzed wielu lat. O naszym koledze po fachu, ale zdecydowanie starszym.

– Chodzi o tę sprawę z Izraela? O to spotkanie z tym... Kleinerem?

– Poniekąd. Też związaną z Bliskim Wschodem.

– Posłuchaj. Jeśli ma to jakikolwiek wpływ na naszą operację, to chciałabym o tym wiedzieć teraz. A jeśli to tylko twoje przemyślenia i rozterki... to napij się czegoś mocniejszego. – Magda zajęła się swoim śniadaniem.

– To nie tak, muszę sprawdzić kilka śladów z przeszłości na prośbę wiceministra Wiatra. Wiesz, on ma hysia na punkcie historii. Wychodzi, że w Wenezueli mogą być niezwykle cenne przedwojenne dokumenty. Ale dla jasności, nasza operacja ma priorytet – wyjaśnił Łodyna.

To właśnie o tym czytał notatkę w trakcie lotu. Zastanawiał się, czy „Skarb Januskiewicza” – jak go nazwał Wiatr, istnieje i czy rzeczywiście, jak

twierdziło MSZ, ma kolosalne znaczenie dla państwa. Major służył w Agencji od dwudziestu lat, realizował misje w krajach Bliskiego Wschodu. W przeszłości przebywał dłuższy czas na delegacji służbowej w Wenezueli. Teraz po raz drugi miał zderzyć się ze sprawą, która dotyczyła tak bardzo dawnych lat.

Kilkanaście miesięcy temu na polecenie szefa AW oraz MSZ sprawdzał w Iraku trop dotyczący zaginionego w czasie wojny arcydzieła z kolekcji Izabeli Czartoryskiej *Portretu młodzieńca* Rafaela Santi. Jego śledztwo doprowadziło do pewnego posterunku w Kurdystanie. Obrazu wprawdzie nie znalazł, ale za to przejął dokumentację, która wyglądała na listę współpracowników jeszcze sowieckich służb uplasowanych w organizacjach dżihadystycznych i terrorystycznych na Bliskim Wschodzie. Została ona stworzona przez kuwejcki wywiad. O swoim odkryciu nie poinformował kierownictwa Agencji, zostawił ją sobie jako kartę przetargową, którą mógł wykorzystać w innych sprawach. M-lista – tak ją nazwał na własny użytek, bo pierwsze nazwisko, które na niej widniało, to był Murat, ukryta była w Warszawie.

Łodyna pomyślał o Ewie, pochodzącej z Ukrainy lekarce, którą poznał w czasie irackiej misji. Związał się z nią, ściągnął do Polski, pomógł zdobyć obywatelstwo, bo miała polskie korzenie. Ewa niedawno urodziła mu syna, to oni zajmowali mu cały wolny czas pomiędzy zagranicznymi wyjazdami.

Łodyna po powrocie z Iraku spędził jeden semestr jako wykładowca w ośrodku szkolenia wywiadu w Starych Kiejkutach. Wtedy planowano, że wyjedzie na placówkę do Bukaresztu. Kierownictwo AW doszło do wniosku, że ze względów bezpieczeństwa powinien zejść na pewien czas z kierunku bliskowschodniego oraz zniknąć Rosjanom z oczu. Jednak Amerykanie poprosili, co oznaczało delikatny, aczkolwiek stanowczy nacisk na szefostwo Agencji Wywiadu, aby uczestniczył w ich operacji w Wenezueli. Szef Agencji generał Czucha nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy. To uderzało w jego ego. Nie miał jednak wyjścia. Wiedział, że w razie odmowy sojusznicy mogli użyć innego sposobu nacisku. A notowania Czuchy w rządzie, w szczególności

u premiera, nie były wysokie. Zwłaszcza po słabej reakcji podległej mu służby na porwanie Polaka w Pakistanie.

Samolot zbliżał się do Caracas. Na horyzoncie ukazał się ląd z pasmem gór owiniętych lekkim szalem porannej mgły, która oddzielała lotnisko od miasta. Poniżej można było dostrzec, tuż nad brzegiem morza, szary pas płyty lotniska. Głuche uderzenie oznaczało, że samolot wyciągnął podwozie i zszedł poniżej tysiąca metrów. Łodyna, patrząc na przybliżający się południowoamerykański ląd, przypomniał sobie lądowania w Stambule, Rio de Janeiro, Baku i Algierze, gdzie realizował operacje specjalne. Maszyna delikatnie dotknęła betonu i powoli wyhamowała, a następnie potoczyła się w kierunku przeszklonego terminalu.

* * *

Odprawa paszportowa poszła szybko mimo tłumu turystów pragnących karaibskich plaż i taniego wenezuelskiego rumu. Transfer bagaży na lot wewnętrzny do Porlamar na Isla de Margarita odbył się sprawnie. Mieli przed sobą trzy godziny oczekiwania. Spędzili je, siedząc na zmianę w fotelu do masowania albo przyglądając się przez duże okna ruchowi samolotów na lotnisku. Marcin spojrzął do swojego laptopa, odwrócił się do Magdy i rzucił:

– Dostałem maila od mojej Ewy. Napisała... trzymaj się teraz... że Igor Pospiechow, ten, co go poznała w Irbilu, od dwóch miesięcy przebywa wraz z rodziną w Wenezueli!

– Słucham?! A skąd ona to może wiedzieć?

– Jest konsulem generalnym Rosji w Caracas! Tłumaczył się Ewie, że nie pisał do niej, bo wiedział, że ma pełno pracy z dzieckiem, a on był zajęty przygotowaniem się do nowej misji. Teraz już wiem, czemu mieliśmy problem z ustaleniem obsady placówki.

– Takie pieprzenie Ruska...

– Według mnie bał się, czy nie będziemy czegoś kombinować, a Jankesi nie zechcą mu zaszkodzić. Widocznie doszedł do wniosku, że niebezpieczeństwo

minęło.

– Kurwa mać. To już wiemy, dlaczego Amerykanie naciskali, żebyś wziął udział w tej operacji. Wiedzieli, że Pospiechow tu jest. Być może to on koordynuje tutaj działania *Służby Wniesznej Razwiedki*. Trzeba to wyjaśnić. A swoją drogą Ewa ma ciekawe znajomości... nie dziwi cię, że utrzymują kontakt?

Łodyna nie odpowiedział na zaczepkę.

Po chwili urocza señorita z personelu Lufthansy poinformowała, że samolot na nich czeka. Po wyjściu z klimatyzowanego terminalu poczuli uderzenie wilgotnego i gorącego powietrza. Wydawało się im, że nie mają czym oddychać. Jakby znaleźli się obok pieca hutniczego.

Na nagrzananej betonce czekała na nich niewielka dwusilnikowa maszyna linii Transaven. Po chwili let-L410 turbolet wzbił się ostro w powietrze. Po dziesięciu minutach osiągnął wysokość przelotową. Zielone wysepki, otoczone jasnymi koronkami rajskich plaży, na tle turkusowych karaibskich wód robiły wrażenie. Pasażerowie nie mogli oderwać wzroku od okien. Po ponad półgodzinie lotu miarowy, głośny dźwięk obu silników lekko przycichł. Samolot zbliżali się do Aeropuerto Internacional del Caribe General en Jefe Santiago Mariño.

– Popatrz. Widzisz tę wysepkę w kształcie jajka po prawej stronie? O tam, na drugiej?

– I co?

– To właśnie La Coche, Wyspa Robinsona. – Łodyna uśmiechnął się z satysfakcją.

– Teraz wiem, dlaczego upierałeś się przy tych fotelach. A skąd wiedziałeś, że tę La Coche będziemy mijać z tej strony?

– Wszystko sprawdziłem jeszcze w Warszawie. W końcu miałem się przygotować.

* * *

Terminal lotniska w Porlamar na wyspie Margarita był niewielki. Od morza wiał lekki wiatr. Stanęli w niewielkim, przeszklonym pomieszczeniu. Po chwili przyjechał pracownik obsługi lotniska z wózkiem załadowanym bagażami.

– Marcin, to gdzie teraz? Taksówka?

– Kochana. Wszystko pod kontrolą. Spójrz na przystojniaka w kolorowej koszuli, o tam. – Wskazał głową na pobliski parking. – Ma tabliczkę z napisem: *señor Martini*. Czeka na nas.

Polacy nie byli jedynymi pasażerami busa do hotelu Hesperia Playa el Agua. Jechała z nimi też rodzina z Kolumbii. Łodyna założył, że droga zajmie około czterdziestu minut. Szybko przekonał się, że będzie nieco dłużej. Przejeżdżając przez każdą osadę, kierowca zwalniał i szukał wzrokiem idących w pobliżu kobiet. Widząc je, włączał dodatkowy sygnał, który naśladował gwizdanie. Jechał wolno, dopóki młoda dziewczyna nie zareagowała pięknym uśmiechem. Pasażerom zupełnie to nie przeszkadzało. Wyglądało na to, że byli przygotowani na dłuższą podróż. Wyciągnęli butelkę rumu, colę i limonki. Szklanki się zapełniły. We wnętrzu busa rozszedł się charakterystyczny słodki zapach.

– *Bebida señor con nosotros* – powiedział Kolumbijczyk i podał Polakom kubki z Cuba Libre.

– *Gracias señor* – odpowiedział Łodyna.

– *Santa Teresa ron es un muy buen señor*. – Kolumbijczyk wskazał na litrową butelkę z czarną naklejką i czerwonym, stylizowanym gotyckim napisem *Santa Teresa*.

– Nie ma co, kolego. Całkiem sympatycznie. – Magda pociągnęła łyk alkoholu.

Do pasażerów przyłączył się kierowca. Umówili się, aby cały czas z głośnika leciała *La Camisa Negra* w wykonaniu latynoskiej gwiazdy muzyki pop, niejakiego Juanesa. Otoczyły ich słowa znanej chyba na całym świecie melodii:

...tengo la camisa negra, hoy mi amor esta de luto, hoy tengo en el alma una pena...

W końcu bus dotarł do hotelu. Do zachodu słońca, który na równiku był codziennie o tej samej porze, mieli dwie, trzy godziny. Jorge, boy hotelowy, zaprowadził ich do niewielkiego murowanego domku stylizowanego na meksykańską hacjendę. W środku mieściły się dwie sypialnie i duży salon z wygodnymi fotelami. Podłogę pokrywała chłodna w dotyku ciemnoruda terakota.

* * *

– Magda! Śpisz jeszcze? – Łodyna stukał palcem w drzwi sypialni.

– Nie. Biorę prysznic po basenie. Zaraz przyjdę – powiedziała i po chwili otworzyła drzwi. – Co ty! Myślałeś, że będę spać? Posiedziałam jeszcze pod palmą i posłuchałam papug i muzyki.

– Chodźmy na śniadanie.

– A oprócz zaproszenia na śniadanie stało się jeszcze coś, że tak waliłeś w drzwi?

– Tak. Mam coś, co powinno nas zainteresować.

– Okej.

Minąwszy wielkie drzewo z wiecznie czerwonymi kwiatami, przeszli do restauracji. Tłum wygłodniałych po nocnych imprezach turystów z różnych krajów i panujący wokół hałas stwarzały dobre warunki do rozmowy. Wybór spośród dwunastu soków wyciskanych ze świeżych owoców i liczne dania serwowane w bufecie dawały nadzieję, że hotelowe menu szybko im się nie znudzi. Zapach świeżo smażonych ravioli ze słonym serem był oszałamiający. Z pełnymi tropikalnych pyszności talerzami usiedli przy stoliku z widokiem na hotelowe baseny.

– Gdzie stacjonują Amerykanie?

– Hotel Hesperia Isla Margarita. Niecałe dziesięć kilometrów od nas, jakiś kwadrans drogi. Wypożyczę samochód. Ty gdzie będziesz? – rzucił, wstając od stołu.

– Przy barze nad głównym basenem, pod tym spiczastym trzciniowym dachem. Musimy wziąć się do roboty, i to z kopyta.

– Okej.

Niedługo potem czarne suzuki vitara ze zdjętym skajowym dachem wspinało się po krętej nadmorskiej drodze, która prowadziła wokół pokrytego tropikalnym lasem wygasłego wulkanu. W miejscach, gdzie dżungla ustępowała, pojawiały się niewielkie poletka uprawne i łąki. Widać było rudą ziemię, która kontrastowała z soczystą zielenią.

Łodyna myślał o Pospiechowie, którego poznał rok wcześniej w czasie służby w Iraku. Zastanawiał się, czy pojawienie się Rosjanina w Wenezueli było przypadkowe. „Czyżby sprowadziła go ta sama sprawa?” Spojrzał w lusterko, a potem daleko przed siebie. Nie widział żadnego ruchu. „W końcu to pora sjesty, ale ostrożności nigdy za wiele”.

– Patrz, Magda! Po prawej, to ten hotel. – Wskazał głową spory budynek składający się z trzech ramion i czteropiętrowej, sześciokątnej grubej wieży.

– Czytałam w przewodniku, że nazywają go Alcatraz. Faktycznie, coś w tym jest. Słuchaj. Na parkingu, jak się zatrzymamy, załóż dach w samochodzie, bo wyglądam jak Shireley MacLaine w *Czułych słówkach*.

Łodyna popatrzył na nią i zdjął nogę z pedału gazu. Dopiero teraz zauważył potargane przez wiatr włosy koleżanki i przekrzywione okulary przeciwsłoneczne.

– Rzeczywiście. – Roześmiali się.

Suzuki Polaków zatrzymało się na parkingu przed hotelem. Skierowali się do wejścia, dyskretnie lustrując otoczenie. Weszli do środka. Gruba wieża okazała się wewnętrznym patiem, w którym wiły się zielone pnącza tropikalnych roślin. Pośrodku rosła palma. Reszta wyglądała jak tradycyjny hol pięciogwiazdkowego hotelu.

– Gdzieś ma tu być restauracja, na zewnątrz... i stoły pod wiatą z trzciny.

Ruszyli w kierunku ogrodu.

– Już ich widzę.

– Witaj, Kate, witaj, Tom – powiedziała z daleka Sierpecka. Amerykanie podnieśli się od ciemnego drewnianego stołu.

– W końcu jesteście, już się niepokoiłiśmy.

– Musieliśmy wczoraj trochę odpocząć. Wiecie, od was to blisko, a nam właśnie włączył się jet lag.

– A my znowu nad basenem! Jak w Bagdadzie – powiedział do Montany Łodyna i przywitani się serdecznie.

– *Hi*, Marcin. No taki nasz los. Słuchajcie, proponuję lunch, a potem przeniesiemy się na plażę. Zarezerwowaliśmy domek z moskitierą. Wszystko nam doniosą – oznajmił jak zwykle energiczny Tom. Nikt nie protestował.

Cała czwórka zachwycała się widokiem morza oddzielonego od hotelu niewielkim tropikalnym zagajnikiem, małą laguną i basenem. Chwalili dobry klimat wyspy. Potem omawiali ostatnie wydarzenia w polityce Wenezueli i regionie, między innymi przekazywanie za darmo ropy naftowej Kubie. Kelner przyniósł krewetki w sosie z białego wina, czosnku, cytryny i oliwy. Wszystko było posypane świeżą kolendrą. Obok, w małych miseczkach, znajdował się słodki sos chili. Wymieszany z wonią pachnących, ciepłych bagietek, stanowił wyjątkową kompozycję zapachów pobudzających kubki smakowe. Całość posiłku dopełniły cztery butelki miejscowego, zimnego piwa Solera.

– Musimy coś wyjaśnić – zaczęła Sierpecka. – Chodzi o Igora Pospiechowa. Tylko proszę, nie wciskajcie nam gówna o tym, że nie wiecie, że tu jest... – Zawiesiła głos.

– Nie byliśmy pewni, jak do niego podejść. Wiecie, że nam na nim zależy. W Iraku nawiązaliśmy z nim dobrze zapowiadający się dialog operacyjny. Tak jak Marcin nam podpowiedział, wykorzystaliśmy jego animozje z wojskowymi z GRU. Ale albo on coś wyczuł, albo jego Centrala. A może to po prostu zwykły przypadek? Pospiechow dostał odwołanie i kontakt się z nim urwał. Możemy wam powiedzieć, że... – Kate na chwilę się zawahała.

– Jak to możecie? Wy, kurwa, musicie nam powiedzieć! To *joint operation*. A to do czegoś zobowiązuje! – przerwała poirytowana Magda.

– Pewne rzeczy nie zależą od nas. A jakie są relacje między naszymi służbami od paru lat, doskonale wiecie. Nasze kierownictwo, jak by to powiedzieć, podchodzi ostrożnie do... – starał się tłumaczyć Tom.

– ...ale wam i paru innym ufamy bez zastrzeżeń – przerwała mu Kate.

– No właśnie. I nie chciałbym więcej nic mówić. Czy to jasne? Proszę was, żebyście zrozumieli sytuację. I niech to zostanie między nami – dodał Tom i popatrzył na Polaków.

– Dla mnie to nie nowina. Nie wiem jak dla Magdy... – Łodyna popatrzył na Sierpecką. – Ona tu dowodzi.

– Rozumiem, że nie macie pełnego zaufania do kierownictwa naszej służby... – zaczęła i nie dokończyła.

– Nie chodzi o kierownictwo... – wtrąciła Kate i spojrzała na Toma.

– Chodzi o to, że u nas niektórzy uważają, że może być u was co najmniej jeden rosyjski kret, w dodatku prawdopodobnie wysoko uplasowany.

– Czy ja dobrze słyszę!? Marcin! Może jakieś konkrety?

– Nie mamy jeszcze dokładnych informacji na ten temat. Ewentualne szczegóły będą załatwiane, jak się domyślacie, na innym szczeblu. Wyżej niż wasz szef – dodała Kate.

Wiadomość ta jakby poraziła Polaków. Siedzieli w milczeniu. Łodyna i Sierpecka patrzyli to na siebie, to na dach. Tom mieszał nerwowo piwo w szklance. Kate grzebała widelcem w resztkach po krewetkach.

– Dobra – przerwał ciszę Łodyna. – Takie plotki trudno zweryfikować. Proponuję zatem pójść do tej chatki Robinsona na plaży, wziąć coś konkretnego do picia i dużo lodu. Tom, w Bagdadzie zawsze miałeś coś dobrego z Kentucky...

Omówienie założeń wspólnej operacji zaczęli od sprawy najważniejszej w wywiadzie, czyli komunikacji. Sierpecka objaśniła Amerykanom, że w sytuacji awaryjnej mają z Łodyną zabezpieczoną łączność szyfrową poprzez polską ambasadę w Caracas. W tym celu pion łączności AW wysłał w delegację dwóch swoich ludzi pod przykryciem techników MSZ. Dodała, że Łodyna ma

możliwość bezpośredniego kontaktu z polskim charge d'affaires. Zna go prywatnie i wizyta u niego przy Avenida Nicolás Copérnico nie wzbudzi szczególnego zainteresowania. Oprócz tego mają do dyspozycji dwa telefony satelitarne oraz kilka telefonów z miejscowymi kartami SIM. A także specjalnie przygotowane laptopy z programami szyfrującymi do łączności przez Internet.

Amerykanie tylko słuchali. Po zgrzycie na początku spotkania nie było już śladu. Wymienili się numerami telefonów, przypomnieli adresy mailowe, poinformowali, gdzie mieszkają i jakimi samochodami się poruszają.

– Wiemy, ale i zakładamy, że działania w Wenezueli SWR i GRU prowadzone są na szeroką skalę i ostatnio się zintensyfikowały – podjęła Kate. – Wiązą się z budową bazy na wyspie La Orchila. Przypomnę, że to około stu czterdziestu mil morskich na zachód od nas. Z naszego rozpoznania wynika, że Margarita jest obecnie logistyczną bazą Rosjan. Ustaliliśmy dwie tajne rosyjskie lokalizacje na wyspie. Pierwsza w rejonie lotniska w Porlamar i nad Bahia de Pampatar, a druga w okolicy starego fortu San Carlos de Borromeo.

– Macie ich dokładne dane lokalizacyjne, opisy i zobrazowania satelitarne albo zdjęcia z dronów? – zapytała Sierpecka.

– Tak, wszystko wam dzisiaj przekazemy. Co do dronów, to nie taka prosta sprawa. Nie wiemy, czy nie ma tam w rejonie systemów rozpoznawczych rosyjskich, a może nawet chińskich.

– Sądzymy, że za sprawy polityczne w Caracas odpowiada SWR. Ale za realizację i uruchomienie obiektu na La Orchila GRU. Jednak być może ze względu na szczególną sytuację wewnętrzną z Chavezem, całość koordynować będzie wywiad cywilny. Mamy nadzieję, że to ustalimy już w terenie.

– Rozumiecie, jak ważna jest dla nas ta operacja – podkreślił Tom.

– Otrzymaliśmy ciekawą informację z naszej stacji w Panamie. Dwa tygodnie temu osiemnastoosobowa grupa „kelnerów” z rosyjskiej ambasady, zamiast wracać do kraju, poleciała czarterowym samolotem Air Panama z lotniska Albrook w Ciudad de Panama do Porlamar. Więc właśnie tyle czasu jesteśmy za nimi.

– Kelnerów? – zdziwiła się Sierpecka.

– Tak ich nazywamy w Langley. Oficjalnie to kelnerzy, kierowcy, sprzątacze, ogrodnicy ambasady rosyjskiej w Panama City. Jednak wiemy, że to mieszana, rotacyjna grupa Specnazu SWR i GRU przeznaczona do ewentualnych akcji sabotażowych wymierzonych w instalacje śluz Kanału Panamskiego.

– Są z nimi problemy, bo musimy ich cały czas pilnować – dodał Tom.

– Obie służby razem? Ciekawe. Dobra. To w takim razie proponuję przypomnieć założenia pierwszej fazy naszej... wspólnej operacji – powiedziała spokojnym głosem Sierpecka. – Marcin?

– Pewna uwaga na początek. Jeśli Pospiechow został tak pilnie przysłany tutaj i wasze informacje o „kelnerach” są potwierdzone, to nie mamy czasu. Może jeszcze nie wszystko zabezpieczyli i wciąż są możliwości dotarcia do obu interesujących nas obiektów na Margaricie, ale przede wszystkim na La Orchila. Dlatego jutro rano...

* * *

Gdy po godzinie wychodzili z chatki, Łodyna delikatnie ujął Toma za łokieć i pociągnął do tyłu. Montana zrozumiał. Zwolnił. Przystanęli przy zielonych pnączach opadających po balkonach hotelowego patia.

– Dziękuję, Tom, za ściągnięcie mnie tutaj. Kiedyś ci wszystko opowiem. Nie pytaj teraz, bo to cholernie długa historia i ciągnie się od drugiej wojny – powiedział szeptem.

– *Sure!* Ale ja też liczę na pomoc z twojej strony. Chodzi mi o pewną listę, którą znalazłeś w Iraku. Rozumiesz? – rzucił krótko.

– O czym ty mówisz? – Major starał się zachować spokój.

– Marcin, nie ściemniaj, wiemy, co znalazłeś. My też mamy swoich ludzi wśród emirackich sojuszników. Wątpisz w to? Wiemy też, że nie pochwaliłeś się swoją wiedzą w Agencji. Dla porządku, nie interesuje mnie, dlaczego to zrobiłeś.

– Montana zawiesił głos. Obydwaj przyspieszyli, aby dogonić swoje towarzyszeki.

Wenezuela zmarłego niedawno prezydenta Hugo Chaveza, a także Nicolasa Maduro, zacieśniała stosunki w Rosję. Moskwa wykorzystała każdą okazję, aby przesunąć swoje siły i budować wpływy w krajach zlokalizowanych jak najbliżej USA. Rozwijała relacje gospodarcze oraz militarne z Wenezuelą. Sprzedawała temu krajowi broń. W jednym z wenezuelskich portów zacumował rosyjski okręt wojenny.

W drugiej połowie 2013 roku nastąpiło przesilenie w relacjach z Waszyngtonem. Prezydent Maduro zakomunikował w trakcie ceremonii wręczenia nominacji wojskowych, że jego kraj zrywa rozmowy z USA na temat normalizacji wzajemnych stosunków. Powodem, jego zdaniem, miały być „haniebne” wypowiedzi przedstawiciela amerykańskich władz.

Choć od 2010 roku stosunki amerykańsko-wenezuelskie były napięte, teraz wydawać się mogło, że wchodziły na nowy, bardziej konfrontacyjny tor. Dodatkowo sytuację zaogniała sprawa Edwarda Snowdena, ściganego przez amerykański wymiar sprawiedliwości za ujawnienie tajnych informacji. Niedawno przesłał on do Caracas wniosek o azyl. Do przyjęcia jego oferty władze Wenezueli zachęcał wpływowy szef komisji spraw międzynarodowych rosyjskiej Dumy.

Wzrastał „głód informacyjny” Waszyngtonu w odniesieniu do sytuacji w Wenezueli i zmian w sferze militarnej.

Rozdział 9

Wyspa Margarita (Wenezuela) – lato 2013

Sierpecka stuknęła pięścią w drzwi Łodyny, nie czekając na odpowiedź kolegi, nacisnęła klamkę i weszła. Spojrzała na biodra Marcina owinięte jasnym ręcznikiem i jego mokre włosy. Uśmiechnęła się lekko.

– Bądź pod telefonem. Jadę odebrać z cargo nasze zabawki. Dostałam właśnie maila od spedytora – powiedziała.

– Rozumiem, że bierzesz suzuki. Dach przymocowałem, żeby ci go nie zwiąło jak wczoraj. – Łodyna dopił szklanekę gęstego, żółtego soku z opuncji. – Wóz jest zatankowany do pełna, jak to na robocie. Jesteś pewna, że pojedziesz sama?

– Jestem...

– Jak uważasz.

– Marcin. Lepiej, żebyś nie kręcił się ze mną, jeśli nie ma wyraźnej potrzeby. Moja legenda specja od organizacji lądowisk dla małych samolotów jest mocna.

– Jasne.

On sam miał trzymać się wersji, że przebywa w Wenezueli towarzysko, jako konsultant znający miejscowe realia i mający układy w polskiej ambasadzie.

Sierpecka wyszła na hotelowy parking. Temperatura rosła.

W związku z przygotowywaną operacją specjalną w Wenezueli Sierpecka i Łodyna przebywali wcześniej w USA. Uczestniczyli w szkoleniu zorganizowanym przez Langley z zakresu obsługi urządzeń nasłuchowych. Przez dwa tygodnie specjaliści z firmy przykryciowej CIA, mającej siedzibę w Tyson

Corner pod Waszyngtonem, do znudzenia wpajali Polakom dane techniczne urządzeń, z którymi mieli pracować. W czasie pobytu Sierpecka i Łodyna sprawdzili, czy z wszystkich urządzeń usunięte są wszelkie numery, tabliczki lub inne dane, które mogłyby wskazać na kraj pochodzenia sprzętu, a co za tym idzie, pozwoliły namierzyć odbiorcę. Dlatego też przywieźli ze sobą za Atlantyk wiele fałszywych nalepek i tabliczek. Amerykanie początkowo się zdziwili, że Polacy poprosili w czasie szkolenia też o szlifierkę kątową oraz stężony kwas solny. Potem zrozumieli. To wszystko na wypadek zawsze możliwej dekonspiracji.

Dla Sierpeckiej, która specjalizowała się w przedsięwzięciach operacyjno-technicznych w krajach o dużym reżimie kontrwywiadowczym, była to piąta poważna operacja. Wykonywała między innymi zadania na Ukrainie, w Libanie i Syrii. Jednak w Damaszku, tak samo jak w Sewastopolu, doszło do dekonspiracji. Pracujące kilka lat instalacje nasłuchowe w pobliżu górującego nad miastem Mount Qasioun przypadkowo wykryli funkcjonariusze Generalnego Dyrektoriatu Bezpieczeństwa. Dostarczone później przez partnerów z Mosadu informacje wskazywały, że Syryjczycy dostali nieoficjalnym kanałem *via* Hezbollah informację o polskich planach od irańskiego VEVAK-u. Po głębszych ustaleniach okazało się jednak, że Irańczycy byli tylko pośrednikiem. Źródłem informacji była rosyjska SWR. I w tym wypadku, podobnie jak w sprawie ukraińskiej, Sierpecka odnosiła dziwne wrażenie, że nikomu specjalnie nie zależało na jej pełnym wyjaśnieniu. Sprawę zamknęto.

Magda, która miała na sobie jasną koszulkę z dużym czerwonym sercem, minęła La Asunción, Porlamar, skręciła w lewo i wjechała na szosę prowadzącą bezpośrednio w rejon lotniska. Uśmiechnęła się do siebie, gdy przypomniała sobie podróż bussem dwa dni wcześniej. Wolno minęła terminal. Z opisu przygotowanego przez Łodynę wynikało, że z lewej strony powinna dostrzec siedzibę Banco Tel Tesoro. Naprzeciwko znajdował się wjazd w małą uliczkę. Na jej końcu umieszczono biura urzędników celnych i niewielki magazyn cargo. Przedstawiła dokumenty kanadyjskiej firmy, która zajmuje się usługami

lotniskowymi dla samolotów sportowych i rolniczych. Dwie podłużne skrzynie nadane zostały w Ottawie. Na pierwszy rzut oka wydawały się nienaruszone. Po załatwieniu wszystkich formalności, co trwało ponad trzy godziny, Sierpecka ustaliła po angielsku z kierownikiem cargo, że skrzynie zostaną jeszcze kilka dni w magazynie, do czasu gdy zorganizuje transport. Pomogła w tym niewielka łapówka, a być może też płynąca z głośników suzuki *La Camisa Negra*.

Sierpecka chciała jeszcze wykorzystać czas i pojechać na rozpoznanie terenu w Pampatar. Gdy jednak była już w tej miejscowości, zmieniła zdanie i skręciła do La Asunción. Łodyna zachęcał ją do odwiedzenia w tym miejscu jednej z najstarszych katedr w Ameryce Południowej. „Pampatar i fort San Carlos de Borromeo zostawię na następny dzień” – zdecydowała. Ostro zatrzymała suzuki przy placu pokrytym kamiennymi płytami, z kilkoma drzewami z pomarańczowo-czerwonymi kwiatami. Spodziewała się katedry takiej, jakie oglądała w krajach europejskich, czyli okazałej. Zobaczyła jednak niewielki budynek przykryty dwuspadowym dachem z czerwoną dachówką. Jedynie wielkie drzwi w prawie pięćsetletnim portyku wskazywały, że to obiekt sakralny. Mijając ceglany murek, zatrzymała się i dopiero wtedy zauważyła, że prawie nie ma cienia. „W końcu to okolice równika”. Uśmiechnęła się do siebie. Wtedy wpadła na mniej więcej czterdziestoletniego mężczyznę, który z jakąś grupą wychodził ze świątyni.

– *Izwienitie pożałsta. It means... I am sorry* – powiedział z zakłopotaniem.

– *Never mind* – odpowiedziała również zaskoczona Sierpecka. – Widzę, że Rosjanie też odkryli tę wysepkę, tak jak Hiszpanie pięćset lat temu – dodała, śmiejąc się.

– Nie, nie... Nie jestem Rosjaninem. Jestem Estończykiem. Mówią na mnie Janek – wyrzucił z siebie jednym tchem mężczyzna. – Nic się pani nie stało? Jeszcze raz bardzo przepraszam.

Przez chwilę oboje stali i milczeli. Wysoki, o bujnej czuprynie i opalonej karaibskim słońcem twarzy Estończyk spojrzał na Magdę z zainteresowaniem.

Sierpecka podsunęła palcem wskazującym okulary przeciwsłoneczne, a potem odrzuciła i poprawiła włosy, aby odkryć całą twarz.

– Czy mógłbym panią zaprosić w ramach przeprosin do jednego z tych kolorowych barów przy plaży El Agua? – powiedział, przerywając krępującą ciszę.

– Bardzo chętnie, ale nie wiem, czy będę dzisiaj wolna. Mam sporo pracy. Niestety, nie jestem tutaj na urlopie...

– Rozumiem. Mieszkam w hotelu Portofino Mare Beach Resort. To zaraz za górką, za El Agua – powiedział mężczyzna, blokując przejście do drzwi katedry.

– To faktycznie niedaleko... Hmm, to może umówmy się dzisiaj, powiedzmy o dwudziestej, w Kavac Beach Restaurant. Robią tam fantastyczną piña coladę. Znajdzie pan?

– Oczywiście. To do zobaczenia.

Estończyk podbiegł do czekającej obok grupy kolegów, którzy robili zdjęcia katedrze.

„Ciekawe. Estończycy na Margaricie. Problem będzie wtedy, gdy okaże się, że są z Narwy – pomyślała. – To w końcu największe skupisko Rosjan w Estonii. Dobrze, że Marcin przygotował wszystko w szczegółach. Nawet gdzie jest najlepsza piña colada przy plaży”.

Wsiadła do auta i ruszyła w drogę powrotną do hotelu. I wtedy rozległ się dzwonek w jednym z jej wenezuelskich telefonów.

– Cześć. Wszystko w porządku? Nie odzywałaś się! – usłyszała w słuchawce nieco poirytowany głos Łodyny.

– Tak, tak. Już wracam. Wstąpiłam do La Asunción trochę się rozejrzeć.

– Czekam przy barze na plaży. – Łodyna się rozłączył.

Po powrocie do hotelu wzięła szybki prysznic. Przypomniała sobie sympatycznego Estończyka. Nie chciało się jej wychodzić z kabiny. Czuła lekkie podekscytowanie. Ale było to przyjemne uczucie. „Co ze mną? Marcin na mnie czeka”. Ocknęła się z letargu.

Włożyła kolorowe bikini, a na to białą, lekko przezroczystą tunikę przywiezioną z Włoch.

– O! Widzę, że koleżanka złapała już karaibskie klimaty. – Łodyna omiół wzrokiem Sierpecką.

– No raczej. Co proponujesz przed obiadem? Zauważyłam, że już nawiązałeś ciekawe kontakty.

Sierpecka wskazała na dziewczynę po drugiej stronie baru, która uśmiechała się do Łodyny.

– *Nos vemos, niña bonita* – rzucił z uśmiechem przez bar. – Opowiadaj, co załatwiłaś?

Sierpecka pominęła jedynie informację o planowanym wieczornym spotkaniu. „Nie wiadomo, jak długo tu będę. Dla zdrowia psychicznego mogę pogadać w końcu z kimś innym” – pomyślała.

* * *

– Tak w ogóle mam na imię Magda. Jestem z pochodzenia Polką, ale moi rodzice wyjechali dawno temu do Kanady. Robię tutaj różne pomiary. Pracuję dla kanadyjskiej firmy – powiedziała po przywitaniu z Estończykiem.

– A ja, jak już wcześniej mówiłem, nazywam się Janek. Pracuję dla skandynawskiej firmy spedycyjnej. Organizujemy magazyny w portach, chłodnie, bazy kontenerowe... Takie tam. Logistyka...

Sierpeckiej wydawało się, że jest jeszcze przystojniejszy niż przy pierwszym spotkaniu. Miał na sobie błękitną sportową marynarkę i biały, obcisły podkoszulek. Patrzyła na niego z widoczną sympatią.

– Pochodzę z Tallina – kontynuował – ale mój dziadek był Rosjaninem, a babcia Estonką. Ojciec był oficerem we Flocie Bałtyckiej, to i ja zostałem inżynierem od budowy obiektów portowych.

– To skomplikowane jest u was życie.

– Wiesz, taką mamy historię. W Estonii to taka mieszanka narodowościowa. Ale ciebie imię Janek nie powinno dziwić?

– Nie rozumiem? – odpowiedziała ze zdziwieniem, marszcząc opalone czoło.

– Moja mama uwielbiała taki polski serial *Cztery tankisty i собака*. Zakochana była w postaci dowódcy czołgu, Janku. Stąd moje drugie imię. A czym się ty zajmujesz na Margaricie?

Sierpecką zaskoczyło to pytanie, ale zrzuciła to na lekki szum w głowie po wypiciu drugiego dużego drinka.

– Od kilku lat jeżdżę na różne kontrakty. Czasem w Europie. Mam licencję pilota sportowego i rolniczego. Gasiłam pożary na Wyspach Kanaryjskich i w Portugalii. Kiedyś nawet opryskiwałam pola uprawne na Bliskim Wschodzie. Przy okazji pomagam organizować tymczasowe lądowiska dla samolotów uczestniczących w takich akcjach, albo po prostu dla kogoś, kto zapragnie mieć swoje małe prywatne lotnisko. Na Karaibach jest dobry rynek na takie usługi...

– To może kiedyś zabrałabyś mnie na wycieczkę takim małym samolotem?

– Naturalnie. Jak tylko przyjdą z Ottawy nowe zlecenia na usługi. A ma to być lada dzień.

Rozmowa z Estończykiem trwała ponad godzinę. Janek przekonał się, że Polka dobrze zna wyspę i zapewne przebywa tu długo. W tym utwierdziła go również jej oliwkowa opalenizna. Nie wiedział jednak, że przed wyjazdem Magda, za namową Marcina, spędziła w Warszawie sporo czasu w solarium. Sierpecka pamiętała, że o dwudziestej drugiej mają ustaloną łączność z Centralą i z Amerykanami, dlatego niechętnie, ale stanowczo pożegnała się z Jankiem. Ten na koniec dał jej kopertę i poprosił, aby otworzyła ją później. Na wierzchu napisał nazwę swojego hotelu i numer pokoju.

* * *

Magda wsiadła do samochodu zaparkowanego przy nadmorskim bulwarze i pojechała w kierunku Pampatar. Na wszelki wypadek zrobiła krótką trasę sprawdzeniową. Mocno improwizowała, aby skontrolować, czy ktoś za nią nie podąża. Przed La Asunción, przy stacji benzynowej, zawróciła w kierunku swojego hotelu. Pamiętała to miejsce, bo kilka godzin wcześniej, gdy tu

tankowała, jakiś miejscowy żigolak tak się na nią zapatrzył, trzymając pistolet saturatora paliwa, że sporo benzyny wylał na betonowy podjazd.

Łodyna czekał w domku. Uruchomił dwa komputery. Doładowywał telefony, w tym satelitarny. Potem zajął się wpisywaniem wielocyfrowych ciągów odblokowujących komputer do łączności z Centralą i Amerykanami.

– O, jesteś w końcu! Gdzie byłeś?

– Na rekonesansie. Wiesz, poza twoimi niezastąpionymi informacjami o sytuacji wywiadowczej terenu, muszę sama pojeździć po okolicy i złapać trochę tutejszego klimatu.

– Jest pilna informacja od Toma i Kate. Za trzy dni, na lotnisku w Porlamar, mamy zarezerwowany z Caribbean Charter Flights samolot cessna 172 – czytał.

– Musimy się udać do... Escuela De Capacitacion Aeronautica, do kapitana Santiago Gabaraina...

– Zapisz mi to na kartce, proszę. Chcę trochę odpocząć. – Magda usiadła w głębokim fotelu. – Marcin, co to jest ta *Escuela*... coś tam?

– To ośrodek Gwardii Narodowej. Obok jest hangar i tam podstawią ci tę cessnę. Dokumenty wystawione są na firmę z Ottawy, nie na twoje nazwisko. Więc nie zapomnij zabrać pełnomocnictwa ze sobą. I jeszcze jedno. Proszę, aby podjechać do nich jak najszybciej... bo chcieliby już jutro zacząć działania. Do zobaczenia za godzinę na plaży, piszą.

– Okej. To zbieramy się. Odpisz i potwierdź im. Idę wziąć prysznic.

– Rozumiem, że ważną informację o prysznicu pominąć.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne...

Łodyna wklepał informację i zaczął zamykać program szyfrujący.

* * *

Na drodze panował ruch, bo jak w każdy piątek miejscowi zjeżdżali się do barów na weekendowe balety. „Łatwo będzie się zgubić w tym tłumie pijanych turystów” – pomyślał Łodyna, mijając ludzi kłębiących się przed Supermercado Johnnie.

Montana i Kate czekali pod tą samą wiatą z moskitierą. Oficer CIA miał na sobie koszulkę koszykarza z NBA i krótkie spodenki, Kate włożyła tylko przewiewną sukienkę na jednoczęściowy kostium kąpielowy. Gdy się przywitani, Sierpecka opowiedziała im o pobycie na lotnisku.

– Czyli zaczynamy. Langley czeka na pierwsze raporty. Niecierpliwią się, bo sytuacja polityczna w Wenezueli jest niewyraźna, a zbliżenie z Rosją niepokoi Biały Dom – zaczął Tom.

Kate lekko zagryzła dolną wargę.

– Rozumiem, że jesteście gotowi. Weekend, a w zasadzie dwie noce, musimy wykorzystać na rozpoznanie obiektu w Pampatar i instalację urządzeń. Powinniśmy znaleźć odpowiednie miejsce na nasze zabawki i tam je zostawić. Magda będzie miała okazję rozpoznać obiekt przy lotnisku od poniedziałku, podczas drogi na cargo.

Montana zakończył briefing i popatrzył na pozostałych, czekając, czy ktoś coś dorzuci. Kate przejęła pałeczkę.

– Zgodnie z planem będziemy na miejscu niezależnie od siebie, ale łączność musimy utrzymywać cały czas. Dlatego będziemy używać tylko telefonów inmarsatowskich. Pamiętajcie, żeby bez przerwy były zalogowane do systemu.

– Działamy głównie na otwartej przestrzeni, więc nie powinno być z nimi problemu – wtrąciła Sierpecka.

– *Exactly*, Magda. Komórki do komunikacji pomiędzy nami zostawiamy dzisiaj w hotelach. Myślę, że najlepiej, gdyby pozostały włączone – dodała Kate.

– Proponuję spotkać się na stacji benzynowej przed La Asunción. Znajdziecie ją łatwo po prawej stronie zaraz przed miastem. Powiedzmy za sześć godzin, o czwartej – zaproponowała Sierpecka. – Zostaną ze dwie godziny do świtu. Towarzystwo będzie się jeszcze błąkać po nocnych imprezach.

– W porządku. Ale chcielibyśmy jeszcze z wami zamienić dosłownie kilka słów na temat Igora Pospiechowa – dodała Kate.

* * *

Suzuki powoli sunęło słabo oświetloną ulicą. Mieli rację. Wiele osób ciągle jeszcze imprezowało w otwartych przez całą noc barach. Dochodziły z nich odgłosy latynoskich przebojów.

– *Love all, serve all* – zwróciła się do Łodyny Sierpecka.

– Słucham? Ty do mnie czy tak do siebie?!

– Do ciebie. Za Hard Rock Cafe musimy skręcić w lewo, przy głównym skrzyżowaniu.

Magda znowu zamilkła. Starła się rozpoznawać punkty charakterystyczne dla topografii miasta, przekazane jej przez Amerykanów jeszcze w Warszawie oraz zidentyfikowane przez Łodynę.

– Jest! Po prawej. – Oboje spojrzeli w kierunku niewielkiej restauracji Portarossa. – Napis podświetlony. Czyli jeszcze czynna i impreza trwa.

Suzuki zatrzymało się na niewielkim parkingu przed jednopiętrowym budynkiem, otoczonym zielenią, z drewnianymi schodkami i podestami. Z wewnątrz dochodziła muzyka i gwar licznych rozmów.

Nagle zastygli i jak na komendę wcisnęli się głębiej w fotele, a w zasadzie zniżyli tak, jakby chcieli się stać niewidzialni. „Dobrze, że założyłem ten pieprzony dach” – pomyślał Łodyna i odwrócił się do Sierpeckiej. Objął ją mocno i pocałował w usta. Zareagował tak, gdy z restauracji wyszło trzech mężczyzn mówiących po rosyjsku. Na szczęście na tyle byli oszołomieni wypitym alkoholem, że minęli ich samochód, nie zwracając uwagi na siedzącą w środku parę.

– Pojebało cię. Co robisz?! – zachnęła się Sierpecka i odepchnęła kolegę.

– Sorry, ale nie miałem innego pomysłu. Wyskakujemy za nimi, bo zaraz nam spierdolą w tych zakamarkach.

Szybko sięgnął po butelkę białego rumu, odkręcił ją i oblał siebie oraz Magdę alkoholem. Chwilę potem obydwójce szli chodnikiem prowadzącym na plażę. Musieli nadrobić dystans do grupy. Szum morza stawał się wyraźniejszy.

– Ty, po jakiego... polależ mnie tym rumem?

– To nam może tylko pomóc ... Taki trik, ale z whisky, pozwolił mi zmylić rosyjską ochronę przed hotelem w Kurdystanie, po akcji w biurach Gazpromu. Ale wtedy zmarnowałem aż pół litra.

Szli wolno, jakby byli parą zakochanych, która wybrała się na nocną wycieczkę nad morze. Śmiali się do siebie i trzymali za ręce. Łodyna co chwila przystawiał butelkę rumu do ust, udając, że pociąga łyk alkoholu. Częstował też nim Magdę, zachodził jej drogę, przystawał, całował w policzki i nos. Czule głaskał jej rozpuszczone, znajdujące się w nieładzie włosy. Jednocześnie uważnie kontrolowali otoczenie. Idąc pośród niskich domów, z których za dnia sprzedawane były pamiątki i letnie ubrania, dotarli do morza. Cały czas mieli przed sobą trójkę mężczyzn. Gdy wyszli na otwarty teren, zwolnili, zwiększając do nich dystans.

– Myślisz, że to oni? Mielibyśmy aż takie szczęście? – zapytała ściszym głosem Sierpecka, oplatając dłońmi szyję Łodyny.

– Czuję, że to oni. Możesz bardziej namiętnie i dłużej mnie obejmować, bo nasi przyjaciele właśnie skręcili w lewo.

– Czekaj. Zapaliło się światło w budynku. Mamy ich, Marcin. Okej, idziemy.

– Dokąd?

– Ten biały, pod drzewem.

Mówił o domu pokrytym czerwoną dachówką z podcieniem i częściowo płaskim dachem. Budynek znajdował się przy zejściu do plaży obok kępy kaktusów.

– Oki, widzę. Idziemy do fortu.

Nie zwracając uwagi na dom, w którym zniknęli Rosjanie, dotarli do dawnego, hiszpańskiego fortu San Carlos de Borromeo.

Zaczynało świtać. Po kilkunastu minutach byli na szczycie zabytkowej budowli. Wyglądali jak jedna z wielu par. Weszli do niedużej wieżyczki strzelniczej. Łodyna wyjął telefon satelitarny, wybrał numer i podał aparat koleżance.

– Tak, jesteśmy w forcie. Wieża na południe, nad samą plażą. Widzicie? Tak, chyba mamy cel. O tej samej godzinie u was – dodała i rozłączyła się.

– Magda, gdzie oni są?

– W tym kilkupiętrowym budynku naprzeciwko betonowego mola czy przystani. O tam. – Wskazała głową. – Ze dwieście metrów od nas.

– Na dzisiaj to wszystko. Niech teraz oni popracują. Wracamy?

– A może zostaniemy jeszcze? Tyle, ile trwałby szybki numerek?

Łodyna nic nie odpowiedział. Popatrzył na koleżankę i uśmiechnął się. Po piętnastu minutach opuścili fort. Nie spieszyli się. Szli pod rękę. Wracali inną drogą.

W jednopiętrowych białych domach ukrytych pod rozłożystymi drzewami panował całkowity bezruch. O tak wczesnej porze jedynie korony drzew szeleściły. Słyszeć było również zabawy i śpiew ptaków w gęstych liściach i czerwonych kwiatach. Chwilę potem nałożyło się na nie skrzeczenie wielkich, kolorowych papug. Budził się dzień na karaibskiej wyspie. Poranny powiew bryzy dawał jeszcze orzeźwiający chłód. Po dwudziestu minutach dotarli do samochodu.

– Chyba nikogo nie było.

– Chyba. Ja poprowadzę. Ty wlałeś w siebie trochę rumu.

– Raczej na siebie.

Jazda do hotelu pustymi ulicami i nadmorską drogą zajęła im kwadrans. Nie zaobserwowali nic niepokojącego. Było już jasno, kiedy dotarli do hotelowej minihacjendy. Padali ze zmęczenia. Zasłonili okna w salonie i sypialniach.

– To wstajemy dopiero na lunch... – powiedziała Sierpecka.

– Tak. Około czternastej na kawie przy basenie. Miłych snów. Może ci się przyśnią jacyś smagli piraci i półnaczy poławiacze pereł? – zażartował Łodyna.

– Dobranoc – odpowiedziała i zamknęła drzwi od sypialni.

* * *

Poranna kawa tego dnia smakowała wyjątkowo dobrze. Siedząc w fotelach ustawionych na trawie, obserwowali pracowników hotelu, którzy ścinali żółtozielone kokosy wiszące na palmach.

– W barze mówią, że po południu w tych owocach będą serwowali piña coladę – powiedział rozleniwionym głosem Łodyna.

– Plażujemy? Mamy czas do wieczora. Nie wiadomo, ile nam zajmie dzisiejsza akcja. – Magda się przeciągnęła.

Kiedy Łodyna powiedział o piña coladzie, Sierpecka przypomniała sobie o Janku. Czy po tym jednym krótkim spotkaniu mogło pojawić się zauroczenie? Z taką nadzieją czuła się dobrze. W smartfonie wybrała suitę *Szeherzada* Nikołaja Rimskiego-Korsakowa. Zagłębiła się w cicho płynącą z niewielkiego głośnika bezprzewodowego muzyczną opowieść o miłości, podróżach i Bagdadzie.

– A właśnie. Słyszałam, że z kimś dzisiaj rozmawiałeś po hiszpańsku przez telefon. – Uniosła się lekko w fotelu i spojrzała na kolegę.

– Tak. To pewien straszny pan z tutejszej Polonii. Mieszka w Caracas bodaj od lat sześćdziesiątych. Poznałem go kiedyś przez jego syna. Ale dziadek chyba już nie za bardzo kojarzy.

– Ech, ty cały czas tkwisz albo w mrocznej historii, albo w sztuce. Nic się nie zmieniasz. Dziwię się, że chce ci się gadać z jakimś staruszką, a nie jakąś miejscową brunetką. Ale mniejsza o to. Sprawdzaleś, czy coś przyszło?

– Oczywiście. Nic nie ma. Myślę, że dopiero w poniedziałek będzie coś z Warszawy. W końcu i tam jest weekend. Chodźmy na plażę – dodał, wstając leniwie z fotela.

Przed nocnymi działaniami oboje relaksowali się nad morzem pod palmami kokosowymi. Sierpecka zaczytana była w książce Fiedlera, a Łodyna ponownie przeglądał na laptopie zdigitalizowane mapy i dokumenty. Czasami tylko rzucali się w wysokie spienione fale, po czym wracali na białe leżaki przykryte niebieskimi ręcznikami. Po plaży roznosił się kuszący zapach grillowanych

burgerów siekanych z całych kawałków wołowiny. Oboje poczuli się głodni i postanowili się na nie skusić.

* * *

Wieczorem ponownie ruszyli do Alcatraz. Amerykanie już wiedzieli, że budynek koło starego fortu jest wykorzystywany przez rosyjską firmę transportową Rusmorokspedition. Tom przekazał Polakom dokładny plan domu. Łodyna i Sierpecka domyślili się, że CIA musi mieć na Margaricie swoich agentów, a może również innych oficerów. Ustalili godzinę zero. Akcja miała ruszyć o pierwszej w nocy, gdy tłum pijanych turystów z Niemiec, Holandii, Kanady czy Wielkiej Brytanii przenosił się z baru do baru. Gorączka sobotniej karaibskiej nocy była ich sojusznikiem.

– Wszystko jasne? O tym samym czasie, co do minuty. Wy bierzecie na siebie dom, my instalujemy urządzenia na słupach między moło a fortem. Jakby były jakieś przesunięcia, to jesteśmy w kontakcie. Operujemy z tego samego budynku co ostatnio – zakończył oficer CIA.

– *Sure* – odpowiedział Łodyna.

* * *

Polacy tym razem zaparkowali suzuki z dala od lokali, w których odbywały się imprezy. Dzięki temu szybko mogli się ewakuować w trzech kierunkach: laguny i istniejących tam instalacji odsalających wodę, do La Asunción albo do Porlamar. Okolica kościoła Cristo del Buen Viaje i siedziby burmistrza z niską zabudową, zakamarkami, sklepikami prowadzącymi w głąb posesji, wąskimi przejściami, rozłożystymi, niskimi drzewami na skwerach, doskonale nadawała się do takiej akcji. Polacy przebrali się, założyli na plecy niewielkie czarne torby. Przez pół godziny obserwowali dom zbudowany w stylu kolonialnym, przypominający hiszpańską hacjendę. W środku budynku było ciemno. Jedynie zewnętrzne lampy oświetlały ściany i łuki werandy.

– Łatwiej nam chyba będzie od strony plaży – powiedziała Sierpecka, patrząc na budynek przez lornetkę. – Ale tam jest patio i jakiś basenik, nad którym mogą siedzieć kolesie.

– Daj, Magda, zobaczę.

Łodyna przez kilka minut przyglądał się celowi.

– Zgadza się. Wchodzimy od plaży. Najwyżej pokaleczymy sobie dupy kaktusami. Nie wiem jak ty, ale ja dam radę.

– Nie martw się o moją. Ma się dobrze – zachnęła się Magda. – Idziemy wzdłuż drzew i krzaków przy ogrodzeniu domu. Dalej jest chyba jakiś pensjonat, więc jakby ktoś się napatoczył, będziemy udawać zagubionych gości. Ruszamy!

– W tych ubraniach to na zakochanych nie wyglądamy. Trzeba było może iść w tamtych ciuchach.

Po kilku minutach stanęli pod białym murem podtrzymującym werandę domu. Schodzący do samej plaży bluszcz, rośliny oplatające drzewa i opuncje rosnące przy murze tworzyły dobrą kryjówkę. Do ich uszu docierał jedynie dźwięk szumu fal oraz odgłosy latynoskiej muzyki w dyskotekach. Czuli mocniejsze bicie serc. Naciągnęli na głowy czarne kominiarki, a na dłonie taktyczne rękawiczki. W tym momencie spod liści wybiegł tłusty szczur i pobiegł w kierunku śmietnika na sąsiedniej posesji.

– O kurwa! – Sierpecka drgnęła.

Po chwili wspięła się na mur i weszła na werandę, a za nią Łodyna. Nikogo nie widzieli. Podeszli do drzwi balkonowych. Wewnątrz też nikogo nie było. W pomieszczeniu dostrzegli jedynie biurka, krzesła, jakąś tablicę i komputery. Szarpnęli drzwi, ale te nie ustąpiły.

– Zobacz, następne, może Tom coś pokręcił – szepnęła Sierpecka.

– Okej, sprawdzę.

Schyleni podeszli do kolejnych drzwi.

– Otwarte. Mamy szczęście albo...

Odsunęli je i weszli do środka. Pomieszczenie przypominało biuro.

– Klimatyzator czy drukarka? Do laptopa nic nie wejdzie. Zresztą może lepiej ich nie ruszać – wyszeptała Sierpecka.

– Pozostaje jeszcze wentylacja w ścianie. Popatrz. Jest pewnie zasilanie. Zajmę się tym, a ty resztą. Mamy trzy urządzenia.

Po kilkunastu minutach oboje zastygli. Łodyna, stojąc na krześle i montując urządzenie w wentylatorze, i Sierpecka, klęcząc przy drukarce. Za oknem zauważyli zbliżające się światło latarki. Błyskawicznie schowali się za biurka stojące pod ścianą. Dostrzegli przez okno dwóch młodych mężczyzn, którzy sprawdzali coś w okolicach posesji. Słyszać było, że idą wzdłuż werandy, bo szarpali za klamki poszczególnych okien i drzwi.

– *Wołodia, prawieraj wsio, kak nam skazali* – powiedział jeden z nich.

– *Apiat' i apiat', job twoju mat'* – odpowiedział drugi.

Łodyna wyciągnął z kieszeni i powoli rozłożył pałkę teleskopową. Ścisnął ją w dłoni. To samo zrobiła Magda. Słyszał jej cichy, miarowy oddech. Oboje byli gotowi do ataku. Jeden z mężczyzn szarpnął klamkę drzwi do pomieszczenia, w którym się znajdowali. Drzwi się otworzyły. Latarką, jakby od niechcienia, omiótł wnętrze.

– *Snowa nasz komandir zabył zakryt'*.

– *Ja dumaju, Wołodia, szto on w chuja igrajet z nami* – odpowiedział drugi i zatrzaskał drzwi.

Polakom wydawało się, że jeszcze coś sprawdzają przy zamku drzwi balkonowych. Ale w końcu odeszli. Z dala dochodziła jeszcze ich rozmowa i dźwięk kolejnych szarpanych klamek. W końcu nastąpiła cisza.

– Kurwa, ja kiedyś zejdem na takiej robocie. – Sierpecka odruchowo otarła rękawem czoło i ze świstem wypuściła powietrze. Czuła pulsowanie krwi w żyłach.

– Poczekaj. Zaraz kończę. Cholera, stara ta instalacja i nie mogłem znaleźć zasilania. Pieprzone kabelki. Jeszcze chwila... tylko sprawdzę... Ty już zrobiłaś swoje?

– Już odpaliłam. Pospiesz się, cholera. Marcin! – szepnęła i podeszła do niego.

– Dobra, skończyłem. Spierdalamy.

Podeszli do drzwi. Sierpecka szarpnęła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Spróbowała jeszcze raz, nie drgnęły.

– One są zamykane z zewnątrz. Trzeba na rympał, koleżanko. Nie ma wyjścia.

– Ale oni się zorientują.

– Dobra, idziemy do innych, może nie będą mieli drugiego obchodu. No cóż, szkoda, że nie ma pod ręką kolegów złodziei z dawnego Biura Techniki – dodał i wyjął z plecaka dwa śrubokręty.

Jeden włożył do zamka. Mocno go przekręcił, tworząc z drugim dźwignię. W środku coś zgrzytnęło.

– Puścił! – wyszeptał.

Wyszli i zasunęli drzwi. Przeskoczyli murek i weszli na piasek. Zdjęli kominiarki. Pobiegli schyleni wzdłuż kępy kaktusów.

– Kurwa, opuncje pieprzone – zaklął po cichu Łodyna. – Wolę ich owoce niż kolce.

Wąskimi uliczkami dotarli do centrum miasteczka. Minęli kościół. Byli już blisko suzuki. Magda kątem oka spojrzała na jeszcze czynny, znajdujący się niedaleko butik z kolorowymi ubraniami i alkoholem. Zobaczyła znajomą sylwetkę. „Kurwa. Widzę duchy” – pomyślała.

– Jesteśmy blisko. Patrz, czy nikogo nie ma – powiedziała wciąż zdenerwowana.

Wsiedli do samochodu. Przebrali się. Znów byli turystami. Marcin miał na sobie koszulę w kolorowe palmy, przewiewne białe spodnie, a trekkingowe buty zamienił na niebieskie australijskie klapki Gumbies. Magda włożyła przezroczystą tunikę, a na stopy wsunęła czerwone włoskie szpilki. Ruszyli w kierunku hotelu.

* * *

Siedząc już w fotelach przed swoim domkiem, Magda zatelefonowała do Kate i Toma.

– Aaaaa my? Jesteśmy już u siebie. To świetnie, też się cieszę. Tak, rozumiem. *Fine, see you.*

Rozłączyła się, złożyła antenę i schowała telefon satelitarny do czerwonej lakierowanej torebki leżącej na jej kolanach.

– Zabawki działają! Nasze i ich. Wszystko okej. Tylko Tom spierdolił się ze słupa i jest trochę poobijany. W sumie trzymał się legendy podpitego Brytola. Nikt na niego nie zwrócił uwagi. – Uśmiechnęła się. Czowała, że emocje puszczają. – To co, nagroda nam się należy. Idźmy spać – zaproponowała.

* * *

Sierpecka i Łodyna znowu nie wstali na śniadanie. Po dwóch nieprzespanych nocach byli bardzo zmęczeni. Dopiero w porze lunchu pierwszy obudził się Łodyna i nie namyślając się długo, wskoczył do basenu. Po chwili usłyszał głośny plusk i do wody rzuciła się także jego koleżanka.

– Jakie masz plany na popołudnie? Dzień dobry.

Sierpecka wycisnęła z włosów wodę.

– Po pierwsze, jestem głodna jak wilk. Więc jak się nieco ogarnę, to myślę, że coś zjemy. – Na moment się zanurzyła.

– To daj mi chwilę. Sprawdzę, czy czegoś nie dostaliśmy od Kate i Toma. Wysyłamy coś do Warszawy?

– Tak.

– Kiedy? Teraz?

– No nie, po lunchu. Zresztą, czy ktoś to dzisiaj przeczyta? Ale w poniedziałek Czucha będzie miał się czym zająć i wystraszą go pierwsze sukcesy – dodała i przepłynęła kilka metrów pod wodą.

* * *

Po południu Sierpecka zdecydowała, że pojedzie do La Asunción na niedzielną mszę. Trochę to zdziwiło Łodynę, bo nie była wierząca, ale przyjął jej tłumaczenie. Chciała posłuchać *Barki* w karaibskim wykonaniu. On sam skierował się nad duży basen. Tam wziął od stojącego za barem Jorge świeżo rozłupanego żółtozielonego kokosa, wypełnionego białym rumem, lodem i sokiem z ananasów. Przez grubą słomkę pociągnął solidny łyk tropikalnego przysmaku. Czuł się wyśmienicie. Poszedł na plażę. Usiadł na leżaku w cieniu palm wyrastających z piasku i zaczął przyglądać się napierającym na brzeg spienionym falom. Niewidzialne drobinki wody docierały do jego nozdrzy i ust. Na twarzy osiadała sól. Na horyzoncie majaczyły wyspy: Morro de la Pecha i Fraile Grande.

Gdy po kilkunastu minutach się ocknął, otworzył książkę.

...na skutek tej śmiertelności Hiszpanie na Margaricie mieli za mało niewolników, więc nieustannie urządzali łowy na ludzi dookoła...

Nagle przerwał *Wyspę Robinsona*, bo usłyszał znajomy głos.

– *No dawaj, dawaj!* – mężczyzna przekrzykiwał huk fal i prowadził za rękę kilkuletniego chłopca.

Łodyna zastygł ze słomką w ustach. Nie wiedział, czy bardziej zmroziły go kawałki kruszonego lodu, które połknął, czy widok mężczyzny. To był Igor Pospiechow.

* * *

Popołudniowa msza w katedrze w La Asunción minęła Sierpeckiej wyjątkowo szybko. Była pod wrażeniem miejscowego kolorytu i żarliwej wiary wenezuelskich katolików, a polsko-hiszpański przebój, tak lubiany przez Jana Pawła II, dodawał temu miejscu jakiejś magii. Największe jednak wrażenie zrobił na niej Janek, stojący w drugiej nawie kościoła. „Czy przyszedł za mną, czy już tu był? Połowa mszy i dopiero go zauważyłam”. Janek obserwował ją i w pewnym momencie, przedzierając się przez rozśpiewany tłum, dotarł do niej i powiedział ściszym głosem:

– Estończycy to wprawdzie naród ateistów, ale ja lubię takie klimaty.

Nachylił się nad Sierpecką. Poczła wyraźny, korzenny zapach perfum Hermèsa.

– Nie wiedziałam – skłamała.

– Powtórzmy spotkanie na plaży? Musimy się przecież jakoś umówić na to latanie. – Sierpecka wyczuła w jego głosie zbytnią pewność siebie. Wydawało jej się, że był przygotowany na spotkanie z nią i wiązał z tym jakieś nadzieje.

– Okej, ale tym razem jakiś krótki spacer brzegiem morza. Jestem cholernie zmęczona. Mam samochód, możemy podjechać. Potem odwiozę cię do hotelu.

– Do hotelu nie. Ale mogłabyś mnie zawieźć niedaleko do Pampatar. Mamy tam wynajętą willę. Pięknie położona, nad samym morzem. Obok fortu San Carlos de Borromeo. Muszę wieczorem popracować.

Sierpecką zmroziło. Czy to przypadek? „Jak wytrzymać i się nie spalić?”

– Jasne, nie ma sprawy. Lubię tu jeździć samochodem – odpowiedziała, z jej ust nie zniknął uśmiech.

Spacer się przeciągnął. Po blisko dwóch godzinach wracali, rozmawiając o naszyjnikach z muszli i zębów rekina, rzeźbach z miejscowego kamienia nazywanego *serpentino*, wspólnym locie na nieodległą wysepkę. Mówili o muzyce. Okazało się, że ich gusta są podobne. Uwielbiali osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych klasyków. Było bardzo romantycznie. Estończyk starał się zauroczyć Magdę. Ona sama czuła się doskonale, jak każda adorowana kobieta.

– O tutaj! Za stacją benzynową przed La Asunción skręć w lewo. Potem będą dwa, jak to mówią miejscowi, *supermercado* i znajdziemy się prawie na miejscu – powiedział Janek do Magdy.

Sierpecka miała już pewność. Zostawiła Estończyka przed wejściem do willi, w której była ostatniej nocy.

* * *

Od kilku godzin urządzenia sigintowe zamontowane w nadmorskiej willi w Pampatar zbierały ulot, czyli wszelkie dane emitowane przez znajdujące się wewnątrz budynku urządzenia. Były to głównie laptopy, komputery stacjonarne i drukarki. Rejestrowany był też obraz z wnętrza biura.

Rozdział 10

Wyspa Margarita (Wenezuela) – lato 2013

– Marcin, jesteś tam!?! – krzyknęła Sierpecka i nacisnęła klamkę do drzwi sypialni Łodyny. – Kurwa, zamknięte! Gdzie on jest? – Wybrała numer na klawiaturze. – Odbierz kurwa, odbierz! – powtarzała, chodząc nerwowo po salonie. – No, w końcu! Jesteś gdzieś niedaleko naszej hacjendy?

– Tak. Nad basenem, czytam.

– Idę do ciebie.

Łodyna wyczuł, że coś się stało. Złożył laptopa i wstał powoli z leżaka. Zlustrował okolicę. Nie dostrzegł jednak nic niepokojącego. Nie spieszył się za bardzo, spokojnie mógł wtopić się w nieco jeszcze senny, wieczorny rytm hotelowego życia. Zakładał, że ktoś może obserwować jego zachowanie. Po paru minutach był na miejscu. Sierpecka gapiała się w okno wychodzące na basen.

– Mów, Magda.

Usiedli w wygodnych fotelach w salonie. Łodyna wysłuchał nieco zdenerwowanej Sierpeckiej. Gdy zakończyła opowieść o poznanym Estończyku, spojrzała pytająco na kolegę.

– Jesteś pewna, że wszedł do tego budynku? A w ogóle jak go poznałaś? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Co z tobą? Pojebało cię?

– Chciałam trochę się oderwać od tego wszystkiego, nabrać dystansu. Wiesz, nie układa mi się ostatnio w życiu. Do tego chorzy rodzice. Nieraz chciało mi się usiąść w kącie i wyć. Tylko Małgosia trzyma mnie w pionie. Rozumiesz? Tutaj chciałam trochę zapomnieć. Chciałam też poznać okolicę. No i tak wyszło...

– A mnie i Berdowi w Iraku zawsze wytykałaś, żebyśmy myśleli tymi głowami co trzeba. Pamiętasz?

– Jasne... Stało się. Głupio wyszło, nieprofesjonalnie – przyznała.

– Karaiby po prostu urzekają. Rozumiem cię. Opowiedz lepiej, jak go poznałaś, bo to cholernie ważne. No dobra, to gość z rosyjskiej ekipy... Ale jaka jest jego funkcja? Kim on jest? Może to ktoś zupełnie obojętny dla naszej sprawy?

– Nie wiem. Inteligentny i wykształcony... – Zawiesiła głos.

– Magda, mów po kolei, bo może obrócimy to jeszcze w sukces. A zmieniając na chwilę temat, jesteś głodna?

– Jestem, bo mnie nerwy zezarły.

– Okej. To poproszę coś do domku.

Łodyna wstał i przez telefon zamówił z restauracji hotelowej Guayamuri dwie porcje grillowanego tuńczyka oraz smażoną na głębokim oleju jukę i świeże warzywa. Czekać na obiad, Sierpecka opowiedziała, jak wpadła na Estończyka. Szczerze przyznała, że chyba spodobała się Jankowi, a on jej. Z każdym słowem jej napięcie słabło, Magda się odprężyła. Zażartowała nawet, gdy porównała tę znajomość do filmowego wakacyjnego romansu na wczasach FWP. Ale też zwróciła uwagę na pytania zadawane przez Janka, niepasujące do zwykłego flirtu. Jakby badał, kim ona jest.

– Pokaż mi zdjęcie, które od niego dostałaś.

Sierpecka przyniosła z sypialni kopertę ze wspólną fotografią spod katedry.

– Ożeż kurwa mać! Ja pierdołę! Magda! – Łodyna wbił się głębiej w fotel i na chwilę zamilkł.

Sierpecka spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nawet trochę nadpobudliwy Łodyna zwykle nie reagował w tak gwałtowny sposób.

– To Walerij Aleksandrow z GRU! Były pierwszy sekretarz ambasady rosyjskiej w Bagdadzie. Potem *persona non grata* w Kuwejcie. Pamiętasz informacje od Berda? Nie wierzę! Ale się wpierdoliliśmy! Idę zamienić

samochód na inny, bo *chuj znajet*, czy towarzysze nie podrzucili ci jakiegoś lokalizatora.

– Poczekaj! Zdązysz to zrobić później. Teraz mamy jasną sytuację. A może to jednak przypadek? Cholerny przypadek.

– Myślisz? To ja ci opowiem o drugim też interesującym. Dzisiaj na plaży widziałem Pospiechowa! Tak, tak. Tego samego. Pułkownika SWR. I co ty na to? Nie za dużo tych przypadków jak na jeden dzień na takiej małej wyspie!? *Fuck!*

Sierpecka wzięła głęboki oddech i oparła głowę na zaciśniętych pięściach.

– Marcin, albo spierdalamy stąd jak najszybciej, albo ciągniemy to dalej, przy dużym ryzyku. Czy ewentualne zyski są tego warte? Coś mi tu nie pasuje z tym Pospiechowem. Według Kate i Toma SWR miała odpowiadać za koordynację wszystkiego w Caracas. To co tu robi GRU?

W oknie mignęła jakaś postać. Usłyszeli stukanie do drzwi. Oboje poderwali się na równe nogi.

– Czekaj, otworzę. To chyba kelner.

– Marcin! Jesteś pewny?

Łodyna popatrzył na koleżankę, odsunął rozpiętą, białą bawełnianą koszulę i wyjął glocka zza paska pustynnych bojówek, przyciętych do kolan. Przeładował energicznie, zabezpieczył drzwi łańcuszkiem i kryjąc pistolet za sobą, delikatnie je uchylił. Na progu stał kelner z dużą tacą. Łodyna wpuścił go. Ten rozłożył talerze na stole i wyszedł.

– Kurwa, kurwa!

Sierpecka nałożyła sobie kawałki grillowanej ryby.

– Skończymy i walimy do Toma i Kate. Zadzwońię do nich. Idź, wymień ten samochód, tak na wszelki wypadek. A ja napiszę do Warszawy. Wykombinuję tak, żeby Czucha nie padł na miejscu na zawał, ani żaden z jego przybocznych.

* * *

– Zgadzam się z Magdą. Coś tu nie gra z tym Pospiechowem – zaczęła Kate.

– Rosjanie, jak to oni mówią, nie mieszają *chuja z palcom*. Wiedzieliśmy, że Pospiechow podróżuje dużo po regionie, ale że akurat będzie na Margaricie i w dodatku w tym samym hotelu? Ile osób u was wie o naszej *joint operation*? – dodał Tom.

– Co masz na myśli? – Sierpecka uważnie spojrzała na oficera CIA.

– Sama wiesz. Co jakiś czas coś nie wychodzi. Ta zabawa robi się niebezpieczna. Już u nas na górze to dostrzegają.

– Ej, *come on!* A skąd wiesz, że to nie u was wykluł się jakiś nowy Aldrich Ames?

– To przecież nie u nas ujawnia się nazwiska oficerów wywiadu czy lustruje ich współpracowników przy otwartej kurtynie. Macie wyjątkowy rozmach w destrukcji służb. I powiem ci... – Przerwała, bo do rozmowy wtrącił się Tom.

– *Girls!* Spokojnie, moje panie! Mniej emocji. Wróćmy do meritum – powiedział pojednawczym tonem.

– Zawsze może to być przypadek, jakiś zwykły, pierdolony przypadek. A może jednak...

„Kret w AW? Nie, nie dołączę do tego szaleństwa – pomyślał Łodyna. – Ewa? Nie, to niemożliwe. Kurwa, o co chodzi?”

– *Exactly.* Zgadzam się z Marcinem. Popatrzcie na drugą stronę medalu – kontynuował Tom. – Mamy dojście do, być może, kierującego rosyjską operacją tutaj i na La Orchile. Wiemy, że jest tu także jakimś dziwnym trafem Pospiechow, którego Marcin zna. Może podjąć z nim grę?

– Wykorzystajmy to, że obie rosyjskie ekipy nie przepadają za sobą – wtrącił Łodyna.

– Nie przepadają, ale mogą być wyjątki. Mamy przecież potwierdzone informacje o ich wspólnych operacjach. I to na poziomie operacyjnym czy agenturalnym – powiedziała Kate.

– Może zamówię mocną kawę i poproszę, żeby nam ją przynieśli w dzbanku? – zaproponował Montana. – Bo widzę, że przed nami jeszcze długa rozmowa. Filiżanki już mamy.

Wkrótce ciszę w salonie apartamentu Toma przerwało pukanie do drzwi.

– *Rooms service, señor.*

Intensywny zapach świeżo parzonej kawy wypełnił pomieszczenie.

– Przepraszam, trochę się uniosłam. Nie powinnam, ale nas też zaskoczyły te informacje – tłumaczyła się Kate i spięła w kok długie rude włosy.

– *Sorry*, ja też nie powinnam tak reagować. Ale mam nadzieję, że choć trochę mnie rozumiecie...

– To możemy wreszcie ustalić, co dalej robimy. – Tom się rozchmurzył.

* * *

Łodyna od rana wypatrywał na terenie hotelu Pospiechowa, aby podejść do niego we w miarę naturalny sposób. Jakby z zaskoczenia. Krążył trochę nerwowo między basenami, restaurcją i plażą. Zajrzał też do recepcji i zamienił parę zdań na temat jakości samochodów z wypożyczalni. Zakładał, że gdzieś powinien go spotkać. Dopiero idąc na plażę, kątem oka dostrzegł znaną mu z Iraku postać. Pospiechow szedł z Latynoską oraz kilkuletnim chłopakiem. Major odwrócił się, zatrzymał na środku chodnika, jakby wahał się, dokąd iść. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Rosjanina. Stali tak chwilę w milczeniu.

– Pan konsul! Nie mogę uwierzyć! To nie w Irbilu, ale tutaj! Pewnie na wakacjach?! – krzyknął Łodyna. Pospiechow się uśmiechnął. Postawił na chodniku torbę i zdjął biały kapelusz.

– A, witam pana. Pan, hmm... *poliskij diplomat* z Bagdadu! To bardzo daleko stąd. Znajomy naszej pani doktor Ewy z UNAMI – powiedział, a Łodyna wyczuł jakiś sarkazm w tym ostatnim stwierdzeniu. „Jakiej, kurwa, naszej, jakiej naszej” – pomyślał.

Zdziwiła go reakcja Pospiechowa, ten nie był bowiem zbyt zaskoczony tym spotkaniem.

– Panie konsulu. Na szczęście już nie na państwowym garnuszku. A że byłem tu kilka lat temu na placówce, to teraz trochę wykorzystuję stare kontakty i układy... Wie pan, jak to jest.

– Pan sam tutaj czy w towarzystwie? A może z rodziną?

– Nie! Skąd? Pracuję na kontrakcie na tym zadupiu. Dobrze, że chociaż są ładne plaże i kluby. No i ten hotel, całkiem w porządku. A to pewnie pański syn? A ta *bella morena*? – zapytał Pospiechowa.

– To syn drugiej żony. Sieriożka. Ona pojechała na wakacje do Rosji, a ja musiałem zostać, bo nie dostałem urlopu. A ta czarnulka to pomoc domowa.

– To chodźmy, panie konsulu, na plażę.

– Z wielką przyjemnością. Pogadamy i napijemy się czegoś.

* * *

Sierpecka czekała przed hangarem Gwardii Narodowej w białym suzuki vitara, które wypożyczył Łodyna. Wcześniej skontaktowała się z kapitanem Santiago Gabarainem prowadzącym kurs pilotażu dla gwardzistów. Oceniała, że kapitan może być współpracownikiem CIA. „Nieźle uplasowanie agentury, szczególnie w kontekście zainteresowań La Orchile” – pomyślała. Kapitan przekazał jej dokumenty i zasalutował. O szczegółach lotu miała jeszcze porozmawiać z pracownikiem technicznym.

– *Señora*, to tamten samolot. Normalnie stał tu cały czas, ale turyści wybrali się nad Orinoko, potem na Llanos. Chcieli też zobaczyć wodospad Salto Angel, no i dwa tygodnie go nie było – powiedział wąsaty mechanik. – A pani z Kanady, słyszałem. Co za zbieg okoliczności. Właśnie niedawno wróciłem z kursu z Montrealu u Bombardiera. Uczyłem się obsługi modelu Q 400, bo mają u nas latać na liniach Convisa.

Sierpecka poczuła niepokój. „Kurwa. Jeszcze tutaj znawcy Kanady mi brakowało”. Minęli hangar i szli wzdłuż rzędu kilku sportowych samolotów, aż doszli do cessny.

– Najpierw sama wszystko obejrzę, przymierzę się, a potem pana poproszę o pomoc.

– *Señora, por favor.*

Wąsacz otworzył drzwiczki samolotu i położył na siedzeniu pilota mapę, instrukcję obsługi samolotu i dokumenty z fakturą. Sierpecka wsiadła do środka i poczuła się jak w lotniczym raj. To uczucie zawsze jej towarzyszyło, gdy sadowała się za sterem. Wyczuła charakterystyczny zapach małych samolotów: paliwa, smarów i tapicerki foteli. Uśmiechnęła się do siebie i na chwilę zamknęła oczy.

– Gdzie jest spadochron? I drugi? – pytała sama siebie na głos.

„Licencja to jedno, a samolot to drugie. Muszę wszystko sprawdzić”. Z pomocą mechanika skontrolowała stan maszyny. Sprawdziła procedury lotniskowe, poznała charakterystyki podejść, korytarze i lądowiska na innych wyspach. Wracając do hotelu, przejechała obok drugiego miejsca na wyspie wykorzystywanego przez Rosjan. Nie spodobała się jej okolica, obiekt znajdował się na pustkowiu, bezpośrednio przy drodze na *aeropuerto*.

* * *

Pospiechow zdjął kapelusz, chusteczką przetarł spocone czoło. Na stoliku, który przyniósł barman Jorge, rozłożył szachownicę. Powoli otworzył drewniane pudełko i bez pośpiechu ustawił na nim w odpowiednim porządku pionki oraz figury.

– Wczoraj zauważyłem w barze szachy, a skoro mówił pan, że umie w nie grać, zagrajmy w cieniu tej palmy. *O twoju żizn'*, jak kiedyś mówili u nas czekałsi... *No niczego*, żartuję. – Uśmiechnął się i lekko przygryzł wargę. – Może będziemy mówić sobie po imieniu..

– Naturalnie. Marcin... – Wyciągnął rękę do pułkownika rosyjskiego wywiadu.

– Igor. Bardzo mi przyjemnie.

Pospiechow chwycił w dłonie biały oraz czarny pionek. Ręce schował za siebie i po chwili je wyprostował.

– Wybierz kolor.

Polak wskazał na lewą rękę. W dłoni Pospiechowa był czarny pionek.

– To znaczy, że ja gram białymi, a więc zaczynam.

Rosjanin lekkim ruchem, trochę jakby nonszalancko, uniósł rękę i przesunął biały pionek z pozycji e2 na e4.

– To gdzie teraz pracujesz? Teraz twój ruch.

Łodyna nie był mistrzem szachowym, chociaż w dzieciństwie tej gry nauczył go dziadek, który lubił wieczorami w gronie znajomych na ławeczce pod lipą rozegrać kilka partii. W czasie wypraw organizowanych przez dziadka do Lasku Młocińskiego nieraz zabierali szachownicę.

Na otwarcie podniósł czarny pionek i przesunął go z pozycji e7 na e5.

– Prywatna firma usług... powiedzmy transportowych z Kanady. Zbieramy zlecenia na usługi rolnicze, ale także organizujemy lokalnym bogaczom małe pasy startowe dla ich awionetek. Doradzam. Czasem latam do Caracas coś załatwić. A ty jak trafiłeś tutaj z Iraku? To zupełnie inny klimat polityczny, no chyba że się mylę.

– Naprawdę? Rzuciłeś dyplomację kulturalną? Niczego już nie szukasz?

Rosjanin przesunął białego gońca z pozycji f1 na c4.

– Szukam... szczęścia, pieniędzy i ładnych señorit. A czemu pytasz? Masz dla mnie jakąś propozycję?

Łodyna w dwa palce wziął i podniósł czarnego pionka, lekko zawahał się i przestawił go z kwadratu b7 na b6.

– Coś mi się nie chce wierzyć w to, co mówisz. Lata pracy w naszych *inostranych dziełach* nauczyły mnie, że nie wszystko wygląda tak, jak nam się wydaje i jak nam chcą przedstawić. – Pospiechow przesunął białego pionka z punktu d2 na d4 i po chwili zapytał: – Wykonujesz tu jakieś zadanie? Jesteś szpionem?

– Ha, ha, ha. *Szpionem* Amora co najwyżej. Wy chyba wciąż cierpicie na szpiegomanie. A ty co tu robisz?

Spojrzał badawczo na Rosjanina. Ciszę zakłócał jedynie monotony szum morskich fal. Łodyna chwilę się zawahał. Jego czarny pion z pozycji e5 zbił pionka przeciwnika z kwadratu d4. Odstawił białego piona poza pole gry.

Wydawało mu się, że ma przewagę. Po tych zaskakujących pytaniach zaschło mu w gardle. Czuł, że Rosjanin powoli go rozgryza. Sięgnął po szklankę z Cuba Libre, mocno ją przechylił i pił do momentu, aż jego ust dotknęły kostki lodu. Poczul ulgę.

– To inaczej. Czy współpracujesz z waszymi władzami w Warszawie?

Rosjanin nieśpiesznie przesunął białego hetmana z kwadratu d1 na f3 i spojrzał tak samo poważnym wzrokiem na Polaka. Wiedział już, że ma pełną kontrolę nad środkowym polem gry na szachownicy, ale nie wiedział, czy również nad rozmową prowadzoną z Polakiem. Łodyna ponownie się zastanowił. Dwoma palcami lewej dłoni podniósł skoczka i przestawił go z pozycji g8 na h6.

– *Posłuszaj, towarzyszu pułkownik, da?* Ja z nikim nie współpracuję. Wypisałem się z polskiej zaszrannej dyplomacji. Teraz jestem daleko od biurokratów i pieprzonych polityków. A tutaj señority, muzyka, kolorowe drinki. *Wot zizn' wiesielczaka.*

Łodyna zagrał *va banque*.

– Jorge, *extra drinko, amigo!* Dla mojego przyjaciela także! – krzyknął do kelnera.

– A może chciałbyś pracować dla rosyjskiej firmy konsultingowej albo naszego ośrodka analitycznego? Mamy tu swoje interesy i będziemy je wzmacniać przez najbliższe lata. Całkiem nieźle płacą. *No kak, bywsziz polskij diptomat?* – drażył Pospiechow.

Jego biały goniec przejechał po niewidzialnej linii na ukos szachownicy z pozycji c1 na h6. Zbity czarny skoczek Łodyny powędrował poza miejsce gry. Rosjanin szeroko się uśmiechnął i spojrzał na Polaka.

– Tak po starej znajomości z Iraku... zastanowię się.

Przestawił pionka z pozycji g7 i zbił białego gońca z pozycji h6. Figurę odstawił za szachownicę z takim impetem, że potrącona sturlała się z blatu stolika i upadła na gorący karaibski piasek. Pospiechow schylił się i chwilę

ważył w dłoni białego gońca. Odstawił go i płynnym ruchem przesunął hetmana z pozycji f3 na f7.

– Szach-mat. Przegrałeś. Ale powiem ci. Nie wszystko jest takie, jak ci się wydaje. Ja myślę, że wcale nie jesteś tu po to, o czym mówiłeś, i również nie po to, po co cię tu wysłali... Marcin.

Pospiechow spojrział na niego trochę zmęczonym wzrokiem. Ponownie otarł pot z czoła. Łodyna dostrzegł w nim kogoś innego. Kogoś, kto pierwszy raz był z nim szczerzy, a przede wszystkim jakby dużo wiedział. Pomyślał, że to bardziej osobista rozgrywka, w której nie ma ani AW, ani SWR, Miłobędzkiej czy Jaseniewa. Są tylko oni i jakaś tajemnica sprzed lat. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, że Pospiechow to niebezpieczny przeciwnik i trzeba na niego uważać.

– To chodźmy się wykąpać. Susanita i Sierioża chyba się już rozpuścili w wodzie. – Wskazał na opiekunkę i pasierba.

– Jak to brzmi, Susanita. Niezła dupeczka, Igor. Dasz jej dzisiaj wolne?

– Zapomnij! Ale możemy zjeść wspólnie kolację w Guayamuri. Przyjdź z jakąś *prijatielnicą*! – zaproponował i w tym samym momencie rozpędził się i rzucił się w spienioną morską falę.

* * *

Niebieski szyld ze znakiem Mercedes Benz można było dostrzec z daleka. Skład kilkudziesięciu samochodów działał pod nazwą MB San. Posesja otoczona była betonowym murkiem i metrową siatką. Ale wokół teren był odkryty.

„Wjazd do środka zapewne pozostaje pod kontrolą «kelnerów» z Panamy. To byłoby zbyt ryzykowne” – pomyślała Sierpecka.

Minęła wolno obiekt zajmowany przez Rosjan. Trzysta metrów dalej, z lewej strony, zauważyła przydrożną spelunkę pomalowaną na jaskrawoniebieski kolor. Zatrzymała się. Kupiła w barze zimne piwo Polar. Usiadła przy stoliku. „Surrealistyczne. Białe niedźwiedź na Karaibach”. Popatrzyła na etykietę na

butelce. Słońce przebijało się przez gęstą koronę drzew. „Wiem” – pomyślała, dopiła piwo i wstała.

Zawróciła samochodem. Minęła obserwowany obiekt. Po przejechaniu siedemdziesięciu metrów zobaczyła starą konstrukcję do wieszania billboardów. Była oddalona ze dwadzieścia metrów od drogi i nieużywana. Zrobiła kilka zdjęć. Nie zatrzymała się, tylko podjechała na pobliski parking Budget Rental Car. „Tom i Kate się ucieszą” – pomyślała.

– *Buenos dias* – zwróciła się do tkwiącej za ladą Latynoski w obcisłej różowej bluzce z dużym dekoltem. – Chciałam wypożyczyć jutro jakiegoś dwuosobowego pikapa z dużą, odkrytą skrzynią do przewozu większego ładunku.

– *Señora*, w zasadzie nie mamy takich samochodów, ale jeśli pani zależy, to mam starą toyotę land cruiser 4.2D. Czasami wozimy nią części zamienne z cargo. Niestety może być dopiero pojutrze.

– *Bien*. Będę w takim razie pojutrze około południa. A to za pomoc.

Sierpecka położyła na blacie dziesięć dolarów.

* * *

Po południu Magda z Marcinem usiedli w fotelach przed swoim domkiem. Musieli ustalić, co ma się znaleźć w informacji wysłanej do Centrali. Zastanawiali się, jak podejść do tematu Aleksandrowa i Pospiechowa, bo ta sprawa stawała się coraz bardziej zawiła i niejasna. Wiedzieli, że napisanie wszystkiego spowodowałoby u kierownictwa AW lekki popłoch. Nikt z szefostwa służby na Miłobędzkiej nie miał takiego doświadczenia wywiadowczego, aby przeanalizować sytuację i racjonalnie zareagować. Choć tego nie wyartykułowali, cały czas mieli na uwadze to, co powiedzieli im wcześniej partnerzy. A to tylko utwierdzało ich w przekonaniu, że nie mogą ufać do końca decydentom w Centrali. Postanowili pominąć wątek spotkanych Rosjan, ukrywając pierwszego pod ogólnym pojęciem *nawiązanie pod legendą kontaktu bezpośredniego z osobą mającą dostęp do obiektu w nr. 1*, a drugiego

pod określeniem *wejście w legendowany dialog operacyjny z osobą pozostającą na styku z rosyjskimi celami w regionie*. Na razie to załatwiało sprawę w Warszawie. A Langley i tak wiedziała wszystko.

– Magda, Ewa mi mówiła na Skypie, że Pospiechow nie wspomniał jej, że mnie spotkał. Dotychczas pisywali sobie o różnych prywatnych pierdołach. Dziwne, że nie wykorzystuje takiego kanału do podjęcia jakiejś gry.

– Ach, i znowu ta twoja Ewa... Ale masz rację, to dziwne. Czy tyle wie, czy tyle ukrywa? Ale przed kim ukrywa? Jak myślisz? Znasz go trochę w końcu... Pojutrze musisz jednak jechać ze mną na cargo. I działamy. Pracowite dni i noce czekają nas w najbliższym czasie.

– Magda, na kolacji wspomnę Igorowi, że pracuję dla ciebie i że... sypiamy ze sobą. Bo to, że razem tu przyjechaliśmy, to pewnie i tak ustalili. I zapewne od razu po tym, jak mnie spotkał. Zobaczymy, czy może to go sprowokuje do napisania czegoś do Ewy. Może chwyci przynętę.

– A co? Wyglądam na taką, z którą można sypiać w delegacji? Tylko żebyś sobie nie narobił kłopotów z Ewą.

– Widzisz, nie można jej tego wcześniej powiedzieć, bo ona musi zareagować w sposób naturalny.

– No właśnie.

– Ale wiesz, ta opalenizna, to jeszcze mokre, pomarańczowe bikini pod tuniką, wilgotne włosy. Bardzo interesujący image. Oczywiście w sensie operacyjnym to mówię – powiedział i oboje się roześmiali.

– No chyba nie myślisz, że tak pójdę na spotkanie z Jankiem?! A w ogóle to zadzwonię zaraz do Ewy i opowiem, jakie są twoje typy na wakacyjną garderobę i dlaczego.

– Jak to pójdiesz na spotkanie z Jankiem?!

– Normalnie. Nie mogę tak nagle wyjść z gry. Trzeba ją ciągnąć. Dobrze o tym wiesz.

– Wiem, i co z tego!?

– Marcin, posłuchaj, co zrobisz. Pójdiesz na północ wzdłuż plaży. Mniej więcej na wysokości wysepki Bebedro wchodzisz na cypel... Puento Varadero. Ustawisz się tam z lornetką. Ja będę w hotelu Aleksandrowa wcześniej i położę się na leżaku nad basenem, blisko baru. Tak żebyś mnie widział. Wezmę ze sobą czysty telefon, na wszelki wypadek. Ty też taki weź. Okej? Rejestrator dźwięku wsadzę do torebki.

– Tak to sobie wykoncypowałaś. Dobra. Ty tu dowodzisz, kochana. A co z moim spotkaniem z Pospiechowem?

– Przełożysz je na późny wieczór. Powiedz mu, że jedziesz do Porlamar na spotkanie z jakimś zleceniodawcą budowy lądowiska na tej twojej La Coche. Trochę dezinformacji nie zaszkodzi. Spotkasz się z nim później na plaży w jednym z klubów. W tym z tymi trzema ścianami. Wtedy może ja wejdę do akcji, a może nie będzie takiej potrzeby i sam sobie z nim poradzisz. Dzwonię do sojuszników, żeby zabezpieczyli spotkanie od strony parkingu i hotelu.

– To się John Bober ucieszy, że będzie miał lądowisko. No, ten Robinson od Fiedlera...

Sierpecka podczas pobytu Łodyny w szkole w Starych Kiejkutach pomagała Ewie. Zaprzyjaźniły się. Poza pomocą w opiece nad dzieckiem namiętnie uczyła ją jazdy samochodem. Łodyna okazał się słabym nauczycielem pod tym względem. Nie przypuszczała, że taki układ będzie pomocny w realizacji zadania w Wenezueli. Ewa mogła być istotnym elementem w dialogu operacyjnym, prowadzonym z doświadczonym pułkownikiem rosyjskiego wywiadu.

* * *

– Janek, przepraszam, że wcześniej przyjechałam, ale miałam dzisiaj sporo roboty i chciałam odpocząć przed spotkaniem z tobą – wyrzuciła z siebie Sierpecka, gdy tylko zobaczyła Aleksandrowa.

– Dobry wieczór, Magda. Nic nie szkodzi. Też miałem sporo pracy. Musiałem odebrać pracowników, którzy przylecieli z Panamy. Szefostwo zdecydowało, że z całego regionu będą ściągać specjalistów. Podobno niższe koszty – wyjaśnił

i rozłożył ręce. Z pękatego kieliszka koktajlowego pociągnął Daiquiri. Zaczęli rozmowę o urokach nocnego życia na Margaricie. – Magda, a ty sama tu jesteś? I gdzie w ogóle mieszkasz?

– Za górką, niedaleko, w hotelu Hesperia Playa el Aqua. Mamy tam kilka pokoi wynajętych na stałe. Koszty nawet niewysokie. Niedawno dotarł do mnie kolega.

– Poważnie?

– Poważnie, że tam mieszkam, czy poważnie, że przyjechał kolega? A co? Znasz tam kogoś? Też wynajmujecie tam pokoje dla swoich?

Pytanie Polki po raz pierwszy wprawiło Janka w zakłopotanie.

– Yyy... Nie, no tak tylko pytam. Nie, nie...

– To lecisz ze mną? Muszę sprawdzić trzy wyspy w okolicy Margarity. Wynajęliśmy już samolot. Cessnę. Chyba się nie boisz? Na połowie mocy ma zasięg ponad tysiąc dwieście kilometrów.

– Chętnie. To kiedy? Wiesz, mam dużo pracy. Wszystko musi być na czas i pod linijkę, więc najwcześniej mógłbym w piątek. – W jego głosie wciąż była wyczuwalna jakaś niepewność.

– To widzę, że u ciebie w pracy rygor iście wojskowy.

Sierpecka celowo włożyła kij w mrowisko.

– Wiesz co, napiję się chyba mrożonej wódki. Już mi niedobrze po tych karaibskich słodkościach. A ty zostajesz przy swoim *Havana cocktail*? Może przynieść ci coś innego?

– Nie. Wzięłam podwójny, a może i potrójny. On jest nieco kwaskowy dzięki limonce, nie taki mdły.

Sierpecka wpatrywała się w błękitną wodę podświetlanego basenu. Była wyjątkowo opanowana. Żarty się skończyły i teraz toczyła się poważna gra. Wiedziała, że Rosjanie często korzystają w pracy operacyjnej z różnych specyfików chemicznych wrzucanych do alkoholu, aby odurzyć przeciwnika. Nie mogła sobie pozwolić, aby Janek przyniósł jej jakiegokolwiek drinka i żeby straciła nad sobą kontrolę. Wiedziała również, że ze wzgórza obserwuje ją cały

czas Łodyna, który zwykle wyłapuje dziwne zachowania innych osób. Dzięki czasem wyśmiewanym w firmie przeczuciom widział też często więcej niż inni.

* * *

Łodyna, siedząc z lornetką na resztkach murku, czekał na spojrzenie lub zachowanie Aleksandrowa, które by go zdekonspirowało. Gdy Estończyk stanął przy barze, spojrzął w kierunku hotelu oraz uchylonego okna na piętrze. Wziął od barmana butelkę wódki, postawił na barze i sam nalał do kieliszka. Wtedy okno gwałtownie się zamknęło. „Na randce nie gapi się na jakiegoś koleżkę w oknie – pomyślał Łodyna. – Mam cię, *towariszcz!* Trzeba było wymyślić lepszą wymianę znaków”. Nie był jednak pewien, czy każdy z ruchów Rosjanina rzeczywiście coś oznacza.

* * *

– To co, Janku? Rozumiem, że jesteśmy umówieni na lot po wysepkach. Mam nadzieję, że nie boisz się lecieć z kobietą? – zapytała kokieteryjnie Magda.

– Z tak uroczą i piękną żadne burze na morzu i w powietrzu mi niestraszne. Tak jak rozmawialiśmy, będę o siódmej przed halą lotniska. Rozumiem, że stamtąd już niedaleko? A teraz porozmawiamy może o nas? Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór?

Aleksandrow wymownie zmierzył wzrokiem opalone nogi Sierpeckiej, po czym przeniósł wzrok na jej dekolt podkreślony opinającym piersi czarnym stanikiem, delikatnie wystającym spod czerwonej obcisłej sukienki.

– A co proponujesz?

* * *

– Tom? Mam ich. Po powrocie do hotelu wyślę ci zdjęcia i opis sytuacji... Tak, tak. Na pewno wymienili się znakami. Ma obstawę... Wszystko będziecie mieli. Uważajcie, bo wygląda mi na jednego z waszych „kelnerów”. Może być ich

więcej. Może są na parkingu? *Fucking shit*. Jeszcze się nie żegnają... Jeszcze nie. Działajcie. Potem u nas. Tak, tak. Trzecia buda od baru hotelowego na plaży, bez zmian.

Łodyna się rozłączył. Dalej obserwował basen. Magda i Aleksandrow wstali i weszli do hotelu.

„Kurwa mać, chyba nie pójdzie z nim do łóżka? Na Karaibach baby czasem głupieją niezależnie od tego, czy są oficerami wywiadu, czy zwykłymi turystkami. Natura tego nie rozróżnia”. Łodyna nie wiedział, że Sierpecka właśnie żegnała się z Rosjaninem, odgrywając scenę lekko oszołomionej spożytym alkoholem oraz urokiem przystojnego mężczyzny.

* * *

– *Señor Martini, señor Martini!* – zawołał Jorge z plażowego baru, kiedy Łodyna minął wbite w piasek kolorowe deski surfingowe.

– *Buenas tardes*, Jorge. Coś się wydarzyło?

– *Señor*. Ten gość, z którym grał pan w szachy, prosił przekazać, że musiał polecieć do Caracas. Jakieś służbowe sprawy. Przepraszał. Mówił, że za parę dni wraca i się odezwie.

– *Muchas gracias*, Jorge – Łodyna uśmiechnął się, położył na barze pięć dolarów i zadzwonił do Toma.

Potem poszedł do recepcji wynająć inny samochód. Tak było dla nich bezpieczniej. „O ile wcześniej wymiana samochodu to prewencja, teraz to już w pełni uzasadnione działanie – ocenił. – Będzie w końcu dzień odpoczynku i okazja, żeby może spróbować posurfować na tych falach. Magda zaraz pewnie wróci z randki, więc będzie o czym pogadać”.

– *Señor*, proszę uważać na kierowców. Jeżdżą szybko, nawet sto kilometrów na godzinę – powiedziała recepcjonistka wypisująca zlecenie na kolejne suzuki.

– *Mi linda*, Luisa. Ale dach zerwał mi się dopiero przy stu trzydziestu. – Mrugnął zalotnie do Latynoski.

Rozdział 11

Wyspa La Orchila, Wyspa Margarita (Wenezuela).

– lato 2013

Aleksandrow stał przed wejściem do hali lotniska w Porlamar. Sierpecka dostrzegła go bez trudu. Wyglądał na nieco spiętego, może nawet zdenerwowanego.

Ona od piątej rano była na lotnisku przy swoim samolocie. Dzień wcześniej, w czasie spotkania z oficerami CIA ustaliła, że w trakcie rozpoznawczego lotu cessną powinna wykonać podstawowe pomiary i zrobić zdjęcia. Dlatego zamontowała odpowiednią aparaturę. Pozostała część sprzętu czekała na nią wciąż na cargo.

– *Buenos dias*, Janku – powiedziała przez uchyloną szybę toyoty do zaskoczonego Aleksandrowa. – Wsiadaj. Czego się tak dziwisz? Myślałeś, że inżynierowie jeżdżą białymi porsche carrera cabrio ze skórzaną tapicerką?

– Nie, no nie myślałem. Zapamiętałem twój obraz w czerwonej, obcisłej sukience... jakoś mi...

– Wsiadaj. Dzisiaj nie będzie seksownej sukienki. Tylko umazany smarami kombinezon.

Po szybkim rozbiegu cessna z Sierpecką i Aleksandrowem wzniosła się ostro w górę i skierowała na zachód. W dole ukazał się szmaragdowy kolor Morza Karaibskiego i biały wianuszek plaż wokół Margarity. Pogoda była doskonała, a widoczność po horyzont.

– Z lewej pojawi się niedługo słynna Tortuga. Mamy tam zamówione instalacje nawigacyjne. Potem odbijemy nieco na północ w kierunku La Orchila i wracamy.

Pokazała Estończykowi trasę na mapie lotniczej rozłożonej na kolanach.

– Ładnie ci w tych słuchawkach. Zupełnie jak jakiś czołgista. Byłeś w wojsku, Janku? – dodała po chwili milczenia i popatrzyła na niego uważnie.

Aleksandrow z każdą chwilą lotu się uspokajał. Zapadło kilkuminutowe milczenie, a Polka zaczęła sprawdzać ustawienia awioniki samolotu.

– Nie. Nie kręci mnie to. W ogóle nie lubię mundurowych. A czemu pytasz?

– A tak, po prostu. Takie skojarzenie z tymi słuchawkami. Popatrz, to już La Orchila. Widzisz tę górę? To punkt orientacyjny. Poniżej jest niewielka przystań.

– Tak. Widzę.

– Tam wyżej, w kierunku zachodnim, na wzgórzach stoi radiolatarnia i jakieś maszty, których nie ma na mapach. Nie wiem, co to jest. O, popatrz tam! Kilka mil za wyspą! Jakie piękne katamarany – kontynuowała. Obserwując Aleksandrowa od ponad pół godziny, doszła do wniosku, że zachowuje się nienaturalnie. Postanowiła zaryzykować: – A co ty taki ponury? W hotelu byłeś bardzo rozmowny. Teraz siedzisz jakiś taki markotny. Boisz się? Masz lęk wysokości? O czym myślisz? Co cię trapi, Estończyku w tropiku? Przecież dzisiaj piątek! Margarita będzie głośna od śpiewu, tańca i muzyki.

– Nie za dobrze się czuję.

– *Pista de aterrizaje de la Isla de la Orchila* – przeczytała na głos napis na mapie. – Mają tu nawet niezły betonowy pas, duże miejsca postojowe dla samolotów, jakieś baraki czy wielkie namioty. Jak na bezludną wyspę, również spore nabrzeże. Widocznie jest tutaj jakiś ruch.

– Nie znam się na pasach startowych. Trudno mi powiedzieć. Ale nabrzeże zwyczajne. A te baraki to chyba jakieś magazyny dla kutrów rybackich.

– Muszę popytać, co się tutaj znajduje. – Skupiła wzrok na odległym, wąskim pasku na zachodnim końcu wyspy.

W tym momencie usłyszała w słuchawkach komunikat w języku angielskim. Podciągnęła mocno wolant do siebie i gwałtownie położyła maszynę na lewe skrzydło. Wzniosła się i zmieniła kurs. W kabinie pojawił się wyczuwalny zapach spalin paliwa lotniczego.

– Co ty wyprawiasz!?! – krzyknął Aleksandrow, wbity w fotel z powodu przeciążenia.

– Kazań nam się stąd wynosić i to jak najszybciej. To jakiś obszar zamknięty czy co?

Sierpecka przekrzykiwała głośny dźwięk silnika cessny.

– Nie, to nie! Wracamy do Porlamar. Miałeś pietra? Powiedz! Po drodze zajrzę jeszcze na tę małą wysepkę La Coche. Wiesz, ten klient, o którym ci mówiłam...

Aleksandrow milczał. Był nieco oszołomiony przebiegiem powietrznych manewrów. Dalsza podróż minęła już bez specjalnych emocji. Sierpecka opowiadała pasażerowi o pomiarach pasów startowych, przenośnych urządzeniach nawigacyjnych oraz majątnych właścicielach niewielkich lądowisk na Karaibach. Rosjanin uważnie ją obserwował, ale nie mógł nic wyczytać z jej zachowania. Zastanawiał się, czy ostatnie zdarzenia były przypadkowe, czy ktoś je tak poukładał. „Czy Polacy w dobie tak zaognionych wewnętrznych sporów byliby w stanie coś takiego zaplanować? A jeśli tak, to w jakim celu? Czego mieliby tutaj szukać? A może jednak to tylko zwykły przypadek?” – zastanawiał się, wsłuchując w miarowy dźwięk silnika.

* * *

– Muszę was rozczarować, kochani – zaczęła Kate. – Analiza, którą otrzymałam dzisiaj z Langley, niczego nie wykazała. To jakieś plandeki przykrywające sprzęt budowlany, baraki robotników, magazyny. Żadnych śladów wskazujących na ich militarne przeznaczenie. Tak wynika z analizy obrazowań satelitarnych. Również w eterze żadnych sygnałów.

– Operacyjnie ustaliliśmy, że te radiolatarnie i maszty łączności to sprzęt nawigacyjny dla marynarki wojennej Wenezueli. Jeśli coś tam jest, podkreślam jeśli, to cholernie dobrze zakamuflowane – włączył się Tom. – Biorąc pod uwagę brak sygnałów, to nawet by się zgadzało. Według mnie nasz rosyjsko-estoński przyjaciel przekazał rozkaz wyłączenia wszelkich urządzeń i wprowadzenia skomplikowanego kamuflażu. Ale to tylko moja hipoteza – dodał.

– No tak. Przecież powinniśmy zebrać chociażby emisję ze zwykłych maszyn budowlanych czy agregatów. A tu nic, jakby wszystko odłączyli od prądu. Ale nie można zaprzeczyć, że rosyjskie obiekty na Margaricie są aktywne. Oni coś tu kombinują, i to na dużą skalę. Potwierdzają to materiały schodzące z obu punktów – dodała Kate.

– Czyli, jak rozumiem, mój lot z Aleksandrowem nie poszedł na marne. Wciąż jednak brakuje nam czegoś, co będzie zrozumiałe dla Białego Domu. – Sierpecka pociągnęła łyk wody.

– Musi tam coś być. Magda odebrała przecież komunikat o zamkniętej strefie lotów, a wcześniej żadnej oficjalnej informacji o tym nie było. Dodatkowo ta reakcja Aleksandrowa – wtrącił milczący dotąd Łodyna.

– No właśnie. Rozumiem, niedługo znów tam lecę. Tym razem z urządzeniami docelowymi. Musi to być jednak inny samolot. Tym razem weźmiemy ich od północy z kierunku wyspy La Blanquilla. Rozumiem, że Marcin i Tom lecą ze mną, a Kate zabezpiecza nam tyły.

– Oczywiście. Przecież nie puszczę cię samej...

– Oj, Marcin. Proszę cię. Musimy być teraz bardziej skupieni, a czasu może być mniej, niż zakładaliśmy. Teraz reakcja kontroli ruchu może być szybsza.

Amerykanie przytaknęli i zamyślili się. Milczenie przerwał Łodyna:

– Madziu, rozumiem, że dezinformację Aleksandrowa weźmiesz na siebie? Musimy to zrobić z zaskoczenia.

Sierpecka zmarszczyła brwi i ledwie widocznie się uśmiechnęła.

– Tylko nie mów do mnie Madziu! Proszę.

– Samolot mamy zabezpieczony, więc proponuję za dwa dni. Do tego czasu Magda doposaży go na lotnisku. Pogoda cały czas piękna, więc w niedzielę lecicie – powiedziała po dłuższej chwili Kate i spojrzała na Toma.

– Jeśli założymy, że Rosjanie przygotowali się do twojego lotu nad La Orchila, to chyba dla nas wszystkich jest jasne, że mogą coś podejrzewać albo co gorsza rozpracowywać cię. Tak, Magda?

– Zgadza się, Tom.

– Musisz uważać. Tak czy inaczej żarty się skończyły i z miłego Janka robi się przeciwnik, którego nie można lekceważyć. Marcin wie, bo nadepnął im na odcisk w górach Iraku. O mało nie skończyło się to tragicznie.

– Rosjanie mogli skojarzyć kilka kwestii. Nie sądzę, żeby przepływ informacji operacyjnej u nich był doskonały. Bo jeśli tak by było, to Aleksandrow już dawno poskładałby wszystkie puzzle. Coś mi tu nie gra. Niemniej musimy się bardziej kontrolować. Przygotuję trasę sprawdzeniową dla nas wszystkich w północnej części wyspy. Tam jest parę ciekawych miejsc. Na przykład dawny klasztor – wtrącił Łodyna.

– W porządku. Tylko pamiętajcie, że Rosjanie mają tu znaczne siły i środki. Zgadzam się z Marcinem, że od teraz musimy się lepiej pilnować – podsumowała Kate.

* * *

Przycisnął pedał gazu wynajętego suzuki, tym razem szarego. Pojazd jechał pod górę z lekkim wyciem silnika. Potem już gładko pomknęli w dół. Mijając zjazd w kierunku hotelu Aleksandrowa, odruchowo spojrzeli na siebie. Łodyna zaczął wpatrywać się w lusterko wsteczne. Zauważył światła samochodu, który zwolnił przy wjeździe do hotelu Portofino, a później pojechał dalej. Łodyna odruchowo wcisnął pedał gazu. Samochód zniknął za pagórką. Suzuki Polaków zjechało ostro w lewo, na parking za *supermercado*. Łodyna gwałtownie się zatrzymał i wyłączył silnik.

– Co się dzieje? Myślisz, że to za nami?

– Nie wiem, ale mam takie przeczucie. Ostrożności nigdy za wiele. Wiesz co, tak się zastanawiam, gdyby Pospiechow opowiedział o nas Aleksandrowowi, to nie musieliby nas śledzić. Myślę, że Pospiechow chce coś załatwić, o czym twój Janek na razie nie wie.

– O czym ty myślisz, Marcin?

– Rozważam różne warianty.

Sierpecka знаła go wiele lat i wyczuła, że coś ukrywa. Po kilkunastu minutach postoju ruszyli. Po chwili dotarli do swojej minihacjendy. Napięcie i ostatnie wydarzenia spowodowały, że byli zmęczeni.

– Całą sobotę będę na lotnisku. Jak coś wyłapiesz, to daj znać. Wyruszam z hotelu zaraz po świcie. Będzie jeszcze chłodno. Zakładam, że przy sobocie nie będzie tam żadnego ruchu. Dobrych snów, Marcin.

– Dobranoc. Widzimy się po południu. Zobaczę jeszcze, czy coś do nas nie przyszło. Może Ewa coś napisała?

* * *

Drogę do Porlamar już znała. Szeroką arterią w kierunku lotniska jechała nieco wolniej niż zwykle. Jeszcze raz chciała spojrzeć na tajny rosyjski obiekt oraz konstrukcję banera, na którym Amerykanie zainstalowali już urządzenia sigintowe. W końcu dotarła do terminalu cargo, który bardziej przypominał niewielki magazyn. Senna atmosfera poranka powodowała, że celnik, policjant i magazynier w ogóle się nią nie zainteresowali. Po przybiciu ostatnich pieczętek na dokumentach przewozowych magazynier w kilka minut załadował wszystkie skrzynie na pakę wysłużonej toyoty land cruiser 4.2D.

– *Gracias, amigo* – powiedziała i wcisnęła do kieszeni kolorowej koszuli młodego mężczyzny dziesięć dolarów. Dodatkowo obdarzyła go pięknym uśmiechem.

Gdy magazynier pakował ładunek, wzrok Sierpeckiej spoczął na jednej ze skrzyń. Niewielkiej, nieco podłużnej. Wydawało jej się, że nie jest to żadne z urządzeń, z którymi zapoznawali się w Stanach. Kobiecie włączył się zmysł

szpiega. Czują, że musi to zaraz sprawdzić. „Kurwa, co to? – zastanowiła się. – A jeśli to jakaś prowokacja? Ktoś coś podrzucił?” Kiedy mężczyzna odszedł, zerwała pomarańczowe plastikowe plomby i otworzyła pojemnik. W środku był niewielki wykrywacz metalu. „Po kiego czorta to zapakowali? Muszę spytać Marcina albo Jankeśów”. Tak gwałtownie zamknęła skrzynkę, że aż strzeliły dwie metalowe klamry.

Toyota Sierpeckiej ospale ruszyła w kierunku bazy lotniczej Boliwariańskiej Gwardii Narodowej. Podjechała pod bramę. Polka pokazała wartownikowi dokumenty. Zaparkowała obok hangaru, gdzie stał wynajęty dla niej niewielki beechcraft z firmy Los Roques Airlines. Obok kręcił się mechanik, którego już wcześniej poznała. Nadal było chłodno, a w powietrzu wyczuwało się bryzę znad morza.

– *Buenos dias, señora* Magdalena.

– *Buenos dias, señor* Santiago.

Sierpecka otworzyła klapę paki toyoty, która z hukiem gwałtownie opadła.

– No to do roboty – powiedziała, biorąc do ręki pomarańczowy kombinezon.

– *Señora*, o tej godzinie to ja zapraszam do naszego biura na dużą, mocną kawę. Kto by pracował o tej godzinie?! Poza tym czeka na nas ze śniadaniem *señor capitan* – powiedział z uśmiechem mechanik i zaciągnął się zapachem świeżo pieczonych kukurydzianych placków faszerowanych fasolą, warzywami i serem.

– Okej, faktycznie jeszcze wcześniej. Chodźmy!

Ruszyli do wąsatego kapitana. Śniadanie z mechanikiem, kapitanem i kilkoma pilotami Gwardii trochę się przeciągnęło. Magda nie lubiła tego typu spotkań. Mimo przygotowanej legendy i opanowania elementów sytuacji wywiadowczej terenu zawsze obawiała się, że coś mogłoby ją zdekonspirować. Jednak w miarę upływu czasu atmosfera się rozluźniała. Na szczęście nikt nie zadawał kłopotliwych pytań. Tego dnia nie planowano żadnych lotów. I stało się to, czego Sierpecka nie przewidziała. Towarzyszący jej przy posiłku piloci okazali się prawdziwą kopalnią wiedzy na temat wyspy La Orchila oraz

szczegółów dotyczących warunków lotu w tych okolicach. Wspomnieli również o pojawiających się rosyjskich maszynach. Mówili o wzmożonym ruchu na wyspie i transportach jakichś inżynierów z lotniska w Porlamar. Sierpecka starała się wszystko zapamiętać. Wiedziała, że trzeba to będzie spisać i wysłać do Centrali.

„Gotowe. Wszystko było tak jak na szkoleniu w Stanach” – pomyślała po prawie sześciu godzinach pracy.

– Powieszę go na ścianie w moim gabinecie. Będzie jak znalazł jako moje szpiegowskie trofeum – powiedziała z dumą pod nosem, rzucając ubrudzony pomarańczowy kombinezon na sąsiednie siedzenie.

Uruchomiła diesla i w tym momencie usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a. Sprawdziła. Pisał Marcin:

Zaraz będę w Alcatraz. Musiałem zobaczyć coś jeszcze koło Juan Griego.

* * *

Szarość i pierwsze fragmenty wyłaniającego się na horyzoncie pomarańczowego słońca zachwycaly trójkę pasażerów wysłużonego pikapa, którzy sunęli wąskim bulwarem wzdłuż Playa El Agua. Łodyna zdecydował, że lepiej później wjechać na główną drogę. Zakładał, że Rosjanie ustanowili strefę obserwacji wokół hotelu Playa El Agua. Mogli jednak przeoczyć polną drogę między zabudowaniami, która kończyła się półtora kilometra od wyjazdu z hotelu. Jego założenie okazało się słuszne. Trzy pozostałe kierunki były obstawione.

– Uwielbiam tę poranną woń tropików – zwrócił się Łodyna do Toma, który trzymał głowę w otwartym oknie samochodu.

– Ja też. Jak zamknę oczy, to wyobrażam sobie, że jestem na jachcie na morzu.

Montana po raz kolejny wciągnął chłodne morskie powietrze.

– A myślałem, że widzisz szeroką dolinę przed ranczem w Montanie?

– Tam czuć zapach świerkowego lasu, wysuszonego siana i... końskiego łajna.

– Zatrzymajmy się na chwilę. Muszę się przebrać z tego plażowo-imprezowego stroju w kombinezon – wtrąciła się Sierpecka.

– Okej, ale dopiero za Porlamar. Musimy jak najszybciej wyjechać ze strefy, którą Rosjanie mogą jeszcze patrolować. Na wszelki wypadek zboczę z głównej drogi. Tam zrobimy krótką przerwę.

Wjechali w gęsto zabudowane, kolorowe osiedla mieszkaniowe, składające się z parterowych budynków, które powoli zaczynały budzić się do życia. W powietrzu czuć było wyraźnie wilgoć znad morza. Wciąż panował lekki chłód, choć z każdą chwilą temperatura rosła. Gdy Sierpecka wyglądała już jak pilot mechanik, Łodyna rozlał wszystkim kawę z termosu, po czym wyjął z turystycznej lodówki przygotowane wcześniej kanapki.

– O rany, Marcin. Jak miło, że o wszystko zadbałeś. Spójrz, Tom. Typowo polskie bułeczki z sałatą, żółtym serem, majonezem i plasterkiem pomidora. Jaki zapach! Pycha. Częstuj się.

Po przerwie trójka oficerów ruszyła w kierunku lotniska. Wartownik leniwie sprawdził dokumenty i otworzył bramę. Łodyna zaparkował samochód dalej niż wcześniej robiła to jego koleżanka. Zakładał, że ten teren Rosjanie mogą obserwować z zewnątrz. Teraz stali przed zgrabnym, eleganckim beechcraftem baronem.

– Szkoda, że nie jest to mój ulubiony An-2. Choć osobiście wolę Morze Karaibskie niż Morze Kaspijskie – powiedział Łodyna i mrugnął do Sierpeckiej.

– Panowie, nie zachwycajcie się elegancją samolotu, tylko ładujemy się. Aparatura nasłuchowa jest w luku bagażowym, w dziobie samolotu. Usiądźcie za mną. Są tam cztery fotele, więc spokojnie możecie wszystko rozłożyć. Jest zasilanie. Kable na fotelach prowadzą z dziobu i wystarczy je wpiąć w komputery. Lecimy! – Założyła słuchawki na uszy. – Wschód zobaczymy w powietrzu. Słońce będzie za naszymi plecami. To nam może tylko pomóc.

Sprawnie weszli do samolotu i założyli słuchawki interkomu. Montana i Łodyna w milczeniu rozstawili laptopy i inne urządzenia. Wszystko podłączyli.

Sierpecka uruchomiła samolot. Po rozgrzaniu silników baron rozpoczął kołowanie na początek pasa startowego. Po kilku minutach był wysoko w górze.

– Popatrz, Tom. Tam po lewej. Taka mała wysepka otoczona białym wianuszkiem plaż.

– Pięknie wygląda na turkusowym tle morza...

– To La Coche. Kiedyś polski podróżnik umieścił na niej akcję swojej książki. Sierpecka uśmiechnęła się, gdy kolejny raz usłyszała tę opowieść. Po dotarciu w rejon wyspy La Blanquilla samolot skręcił na zachód.

– Panowie! Zaczynamy! Mamy do celu pół godziny, ale już powinniśmy coś łapać.

– Zgadza się. Sporo już tego w eterze. Z każdą minutą coraz więcej! *Fuckin' shit*, to charakterystyki *wozdusznego fłota!* – krzyknął Tom. – Popatrz, Marcin, takie same. – Wskazał na swój laptop.

Montana i Łodyna w milczeniu wpatrywali się w monitory. Operacja na La Orchila wchodziła w najważniejszą fazę.

– Chyba coś się zbliża od wschodu, coś dużego. Oczywiście transpondery wyłączone, jak u was nad Bałtykiem – w interkomie popłynął głos Montany. – Magda, zejdź jak najniżej.

– Okej. Tam są wzgórza i nie ma żadnych radarów, tylko maszty antenowe i radiolatarnia, więc nas trochę przykryją. Jest szansa, że za wcześnie nas nie zobaczą.

Atmosfera w samolocie się zagęściła. Wszyscy byli maksymalnie skupieni. Wiedzieli, co mają robić. Ćwiczyli to pod Waszyngtonem do znudzenia, więc teraz działali jak automaty. Montana co chwila sprawdzał, czy wszystkie sygnały z różnych pasm właściwie się zapisują. Nie mógł sobie pozwolić nawet na najmniejszy błąd. Drugiej szansy nie będzie.

Tom, Kate i Polacy, przystępując do realizacji wspólnego przedsięwzięcia specjalnego, zdawali sobie sprawę, o co idzie walka. Wiedzieli, że Departament Stanu wykorzysta to w swojej polityce bezpieczeństwa nie tylko w rejonie Ameryki Południowej, ale i w relacjach z Rosją. Stawka była wysoka.

– Tam są rosyjskie samoloty bojowe! – krzyknął Łodyna wpatrzony w ekran aparatu fotograficznego i stuknął w ramię Toma.

– Żeby nam Ruscy tylko z czegoś nie przypierdolili...

– Są jeszcze jakieś instalacje. Wszystko zamaskowane. Magda, zejź jak najniżej. Wszystko będziemy mieli.

– Uwaga! Na czwartej samolot podchodzi do lądowania! Jakiś dziwny. Nie widzę dokładnie. Marcin, spójrz z ostatniego okna!

– Słuchajcie. Jakiś gruby, nietypowy, nie widzę dokładnie. Kurwa, co to jest?! Jakiś ruskie UFO?! – krzyknął Łodyna, robiąc zdjęcia.

– Ja pierdołę! Mają nas! Każą lądować na La Orchila. Zawracam. Będziemy się martwić potem – rzuciła Magda, wypchnęła przed siebie wolant i mocno przekreśliła go w prawo. Samolot zrobił ciasny zwrot.

– Kurwa, Magda, prawie widzę ryby w morzu! Rozpierzdolimy się!

– Spokojnie. Spójrz na te wysokie maszty kilku katamaranów. Polecimy między nimi. Może na chwilę się pogubią. To nam wystarczy. Jak spotkamy jakiś samolocik albo helikopter, przytulimy się i urwiemy im.

Tom milczał. Patrzył tylko nerwowo to na Sierpecką, to na monitory. Mimo że nie wiedział, o czym dokładnie mówią, częściowo ich rozumiał. W tym momencie ich baron minął o włos grupę katamaranów, a Sierpecka ściągnęła do siebie wolant i skierowała samolot w prawo, na południe. Oba silniki beechcrafta mocno zawyły. Wszyscy wciśnięci w swoje fotele czekali niecierpliwie na oczekiwany efekt, czyli wyrównanie na tysiącu metrów. Gdy samolot osiągnął pułap, emocje i adrenalina zaczęły opadać. Po chwili zobaczyli niewielką cessnę krążącą w pobliżu. Zbliżyli się do niej na tyle blisko, aby zobaczyć twarze zaciekawionych turystów. Po krótkim locie na wspólnej ścieżce Sierpecka gwałtownie odbiła w lewo, wypchnęła wolant i po chwili ponownie ściągnęła do siebie.

– Panowie, kierujemy się na Tortugę, jak by powiedział kapitan Jack Sparrow. Niedługo tam będziemy. Sprawdźcie wszystko i rozpocznijcie wysyłkę uzyskanych danych. Potem pozbywamy się sprzętu. Myślę, Marcin, że

podrzucimy to do twojego znajomego Robinsona na La Coche. Dajcie znać, jak będziecie gotowi do zrzutu.

– *Fucking shit*, ja pierdołę – wyrzucił z siebie Tom jednym tchem, pierwszy raz od podejścia pod La Orchile.

– Trafnie to ująłeś, Tom. Bardzo trafnie. Zostało nam ze czterdzieści pięć minut. Do roboty, *my friend* – powiedział spokojniejszy już Łodyna.

Beechcraft z trójką oficerów zbliżał się do La Coche.

– Magda, wszystko gotowe. Możemy zaczynać.

– Dam znać kiedy. Wszystko sprawdziłeś?

– Tak. To, co mogłem wypalić kwasem i połamać – zrobione. Kable wyciągnięte. Karty i dyski podmienione. Wszystko czyste – meldował spokojnie.

– Pamiętaj, Magda. Urządzenia dziobowe są zgodne z legendą i służą do pomiarów. Zostawiam ci tu podłączonego laptopa z takimi zapisami. Teraz zwolnij maksymalnie i zejź troszkę niżej, bo mi głowę urwie – powiedział Tom i po chwili lekko uchylił drzwi. – Wszystko jest już u... John Bober!

– Chlup, chlup – dodał głośno Łodyna, patrząc, jak dowody ich szpiegowskiej działalności lądują w wodach okalających wyspę. – To teraz przygotujmy się na maglowanie na lotnisku. Albo i nie...

Po dwudziestu minutach wylądowali w Porlamar. Do samolotu podjechał samochód z dwoma mundurowymi, którzy poprosili pilota o udanie się do budynku lotniska celem złożenia wyjaśnień. Samolot został zaplombowany. Pasażerami, wyglądającymi na brytyjskich albo niemieckich turystów, zupełnie się nie zainteresowali. Kate czekała na Toma i Łodynę w samochodzie przed bramą. Gdy wsiedli, spokojnie odjechała. Nie zauważyli, aby ktoś ich obserwował.

– Nie martwcie się o Magdę. Dostanie jakiś mandat albo ostrzeżenie o możliwości zakazu lotów w Wenezueli, a w najgorszym razie cofną jej licencję. Samolot i ona są czyści. Jakby co, mam rękę na pulsie... – powiedziała Kate.

– Jesteś pewna? Może powinniśmy być w pobliżu albo pójść z nią? Od czasu kontaktu z Aleksandrowem trochę się o nią boję.

– Marcin. Wszystko pod kontrolą. Pamiętajcie, że jutro się widzimy i ruszamy na trasę sprawdzeniową. Zabierz broń.

– Zobaczymy, za kim podążą. Może za nami, a może za wami. Bo to, że będą, to macie jak w banku – wtrącił Tom.

– Teraz musicie odpocząć. Myślę, że jutro przekażą nam informacje zwrotne z Langley. Sprawa priorytetowa, więc nasi pracują z NSA. Teraz pojedziemy dookoła, aby nie nadzieć się przypadkowo na Rosjan koło La Asunción.

– Marcin, może dobrze, że jesteś teraz sam – powiedział po kilku minutach jazdy Tom.

– Nie rozumiem.

– Mamy do ciebie pewną sprawę. Wszystko ci wyjaśnimy. Wstąpmy na lunch w San Juan Bautista. Tam jest fajna restauracja La Casona. Zgadzasz się?

– Mam jakieś inne wyjście? Pewnie, że wszystko mi wyjaśnicie, bo brzmi to słabo.

Czarny volkswagen tiguan powoli wtoczył się na hotelowy parking, który okalała gęsta ściana wysokich palm, urozmaicona amarantowymi i pomarańczowymi kwiatami krzewów. W oddali majaczyła ciemna zieleń drzew porastających zbocza gór Parku Narodowego Cerro El Copey. Zabudowania miały styl hacjendy z jasnymi ścianami, przykrytej czerwoną dachówką. Poszli do stojącej pod zadaszeniem ciężkiej drewnianej ławy. Łodyna z daleka poczuł zapach przyrządzanych owoców morza, czosnku i zapiekane sera, który mieszał się z wonią limonkowo-oliwnego sosu do polewania grillowanych ryb.

– Gdy czuję takie zapachy, robię się jeszcze głodniejszy – rzucił Tom i skinął ręką na kelnera.

– Mamy zatem trochę czasu. Powiem krótko, o co chodzi – zaczęła trochę niezdecydowanie Kate. – Posłuchaj. Wiemy, że miałeś dostęp do listy, która zawiera niezwykle interesujące nas dane.

– Aaaa, o to wam chodzi! Zaczynam teraz rozumieć te niby przesunięcia na styku naszych... sojuszniczych służb. – Łodyna się uśmiechnęła.

– Marcin, wiesz, jakie to dla nas cholernie ważne, zwłaszcza w kwestii programu atomowego Teheranu i ich rosnących wpływów w Syrii, Libanie czy Iraku – kontynuowała Kate. – Przekonasz się, że w najbliższych latach cała nasza polityka będzie się kręcić właśnie wokół tych spraw. Poza tym zdajesz sobie sprawę, że tymi dokumentami są zainteresowani również Rosjanie. – Przerwała i popatrzyła na Toma.

– Dlatego mamy do ciebie pytanie – powiedział Tom i popatrzył na Kate.

– Jako doświadczony oficer wywiadu rozumiesz, co znaczy przejęcie akt operacyjnych. Nie muszę przypominać historii z trzydziestego dziewiątego roku. Wiemy przecież, co się stało z dokumentami waszego wywiadu i ilu oficerów czy agentów wpadło w ręce służb niemieckich i sowieckich. Czy jesteś pewny, że twoja agencja jest szczelna, a politycy zdołają wykorzystać takie informacje? Jestem przekonany, że o tym wiesz, bo na razie jest w twoich rękach.

– Mocno bijesz, Kate. Widzę, że przygotowałaś się do tej rozmowy. To dobrze, że oficerowie CIA interesują się polską historią.

– Oj, nie pieprz. Sam wiesz, co się dzieje i co może się wydarzyć w najbliższych latach. Nieraz dostałeś po dupie i zapewne jeszcze dostaniesz. Taki jesteś. Ale powiem ci coś jeszcze. I to akurat powinno cię zainteresować. Właśnie ciebie.

– Nie rozumiem, Kate.

– Moglibyśmy na przykład pomóc dotrzeć do poszukiwanych przez was z takim rozmachem dokumentów, takich dla was ważnych. Nie tylko u nas, w Stanach, ale też tutaj, w Wenezueli? Zastanów się... Proszę cię jako kolega i oficer CIA – dodał Tom.

– Jestem pod wrażeniem tej waszej troski o moją ojczyznę. I waszej wiedzy, dużo wiecie, za dużo. Masz rację, Tom, moja służba przecieka – odpowiedział Łodyna z sarkazmem.

– Posłuchaj, ta sprawa jest naprawdę kurewsko poważna. Tak poważna, że ten wasz Czucha faktycznie dostał sugestię z Langley, aby właśnie ciebie włączyli w operację w Wenezueli. To nie był przypadek.

– Rozumiem. Wcześniej się co najwyżej domyślałem.

– Więc zdajesz sobie sprawę, że nie skończyło się na jednej delikatnej sugestii. Bo nie tylko chodziło nam o Pospiechowa. To sprawa ważna, ale w tym wypadku drugorzędna. Poza tym zakładamy, że nie tylko my się tym interesujemy. Inni też mogą wpaść na taki pomysł, jeśli się dowiedzą, że masz te dokumenty. To może być niebezpiecznie – rzucił zdecydowanym tonem Tom.

– Co do innych zainteresowanych, jak rozumiem Rosjan, to macie nieaktualne informacje, moi drodzy. Już zadziałali, i to aktywnie.

Łodyna następnie opowiedział im o niewyjaśnionym rozbiciu się samolotu w rejonie Kamiennej Laworty i włamaniu do jego domu letniskowego w Górach Słonnych. Dodał, że z całą pewnością intruzi odkryli i przeszukali schowek, który na szczęście został przez niego wcześniej opróżniony.

– *Fucking shit! Job twoju mat'!* – rzuciła Kate.

– Ja pierdolęęę. *You did it!* Ale masz wciąż listę! – dorzucił Tom.

Milczenie przerwał kelner, który przyniósł na tacach kilka talerzy z pachnącymi frutti di mare.

Rozdział 12

Wyspa Margarita (Wenezuela) – lato 2013

– Widzę, że w końcu odpoczęłaś. – Łodyna wsiadł do samochodu na hotelowym parkingu.

– Tak, dostałam trochę wczoraj w kość. Ale myślałam, że i tak bardziej się wkurwią.

– Kiedy cię maglowali, Kate zapewniała, że trzyma rękę na pulsie.

– Taką miałam nadzieję. No, ale potem naczekałam się w tym piekle na taksówkę. Ogarnęłam się i dotarłam w końcu do Alcatraz, a wieczorem musiałam jeszcze napisać raport do Czuchy. Przyznam, że jestem wypluta. Pomógł mi dojść do siebie relaks w basenie. Prawie zasnęłam w wodzie.

– Nie wiem tylko, czy klakierzy z siódmego piętra u nas coś z tego zrozumieją i czy się nie przestraszą. Co do przesłuchania, to powiem ci jeszcze, że to jednak są Latynosi. Oni mają szczególny stosunek do kobiet. Ale i tak cały czas denerwowałam się jak cholera.

– Tak? To miłe, że ktoś się martwił... Powiem ci, że odkąd tu jestem, inaczej patrzę na ten region. Te karaibskie klimaty naprawdę urzekają.

Szare suzuki vitara Polaków ruszyło w kierunku Alcatraz, tam został wyznaczony punkt początkowy trasy sprawdzeniowej. Kate i Tom mieli stamtąd rozpocząć ruchomą kontrobservację.

– Marcin, zastanawiam się nad tym, co mówiliście. Wydaje mi się, że na tym terenie Pospiechow nie ma kontaktu z Aleksandrowem na poziomie operacyjnym. Nie zdziwił się, że tu jesteś. I te aluzje...

– Co masz na myśli?

– On prowadzi z tobą dialog operacyjny. W coś gra. Ale w co, to nie mam pojęcia. Dlatego nie pisałam o tym do Centrali. No bo jak im wytłumaczyć wszystkie elementy układanki. Aha, i powiedz mi, po cholere w Stanach spakowałeś wykrywacz metalu? Coś będziemy robić w ziemi? Nie przypominam sobie.

– Wykrywacz pasuje do legendy. W końcu masz tu przygotowywać lądowiska. Magda, nie za dużo ostatnio rozmyślasz przed snem?

– A na poważnie?

Łodyna na chwilę odwrócił głowę.

– Dobra. Ale niech zostanie to między nami. Przynajmniej na razie.

– A jednak! Jakaś tajemnica.

– Mówiłem ci o tym. Wiatr chciał, żebym sprawdził jeden wątek przedwojennych dokumentów... Pamiętasz, rozmawiałem niedawno z synem tego Polaka, który osiadł po wojnie w Ameryce Południowej.

– A ty znowu o tej historii, Marcin, błagam...

– Nie przerywaj, proszę. No i w czasie wojny te materiały zaginęły. Jakaś ich część zabrał ze sobą z Bliskiego Wschodu pewien polski taternik. Nazywał się Januskiewicz. On był żołnierzem armii generała Andersa.

– No i...

Marcin z uwagą spojrział na samochód, który właśnie minęli.

– No i w czterdziestym ósmym, po demobilizacji, Januskiewicz wyemigrował z Anglii do... Wenezueli. – Łodyna przyspieszył. – Założył firmę górniczą czy poszukiwawczą w miejscowości Piar. I... słuchaj uważnie. W niejasnych okolicznościach zmarł na atak serca w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, gdy spędzał urlop z synem... na Margaricie.

– Co!?! Tutaj?!

– Tak. Na tej samej, na której my jesteśmy. Od Winieckiego, dawnego przyjaciela Januskiewicza, tego bardzo leciwego pana, z którym rozmawiałem

przez telefon, wiem, że kręciła się wtedy przy nim jakaś atrakcyjna kobieta. Ukrainka, może Rosjanka. Na pewno spotkał się z nią tutaj kilka razy.

– Dobra, i co to dla nas oznacza?

Magda sięgnęła po butelkę z wodą.

– Ano to, że właśnie tutaj przed śmiercią Januszkiewicz ukrył jakieś walizy czy skrzynie. Mogły być w nich właśnie te materiały. Być może, i tak zakładam, również Rosjanie mogą się nimi interesować. Właśnie teraz.

– Gdzie to mógł ukryć?

– Mam pewne podejrzenia, ale dokładnie jeszcze nie wiem. Liczę, że niebawem dostanę jakieś konkretne wskazania od syna Winieckiego. Grzebie w rodzinnych szpargałach. Wie, że było tam trochę notatek i map Januszkiewicza.

– Dlaczego oni to dla ciebie robią?

Sierpecka spojrzała na kolegę.

– Może po prostu z sympatii? Trochę się znamy. Poza tym pomogłem im załatwić parę spraw tutaj w ambasadzie i w kraju. I jak wspomniałem, o tym wie też MSZ.

– Marcin, znasz nasze priorytety. Żebyś mi tylko, kurwa, nie uwalił operacji, szukając jakichś skarbów. Te twoje zamiłowania... – powiedziała, patrząc przez uchyloną szybę na białą sylwetkę hotelu. – Mamy obserwację?

– Nic nie widzę. Zaraz miniemy zjazd do hotelu. Tom z Kate jadą czarnym volkswagenem tiguanem.

– Dam znać, że jesteśmy, i przypomnę, że od teraz obowiązuje cisza w eterze. No, chyba że coś wyłapią. Czas się zgadza co do sekundy, jak nie przymierzając przy błyskawicznym przekazaniu materiałów. Więc zaczynamy...

Po ponad dziesięciu minutach zaparkowali przy plaży w centrum Juan Griego. Ruszyli pieszo do fortu La Galera. Zachowywali się jak para ludzi zainteresowanych bardziej sobą niż otaczającymi ich zabytkami. Jednocześnie dyskretnie obserwowali osoby znajdujące się w pobliżu. Ta sama twarz czy tak

samo ubrana postać powtarzająca się w kilku miejscach mogła być wskazówką, że ktoś ich obserwuje. Starali się także wyłuskać jakieś nienaturalne zachowania.

Po półgodzinie wrócili do zaparkowanego przy plaży samochodu. Wsiedli i pojechali dalej. Mijali przylądek Puenta Maria Libre, gdy w telefonie Sierpeckiej rozbrzmiał dzwonek. Na małym wyświetlaczu pojawiła się litera K. Polka przycisnęła symbol zielonej słuchawki.

– Tak... Tak... Rozumiem... Okej... Miejsce bez zmian. Trzymamy się trasy – powiedziała i rozłączyła się. – Kate twierdzi, że srebrna fiesta jechała za nami już przed zjazdem do ich hotelu. Siedzieli w niej dwaj kolesie w białych koszulkach. Namierzyli ich potem, jak w Juan Griego robili sobie zdjęcia przy armacie na forcie La Galera. A potem kręcili się na plaży przy łódkach rybackich, tych białych z niebieskimi i czerwonymi paskami. To tam, gdzie zaparkowaliśmy – dodała.

– Faktycznie, pamiętam, że byli tam jacyś dwaj, ale w koszulkach z jakimiś lokalnymi napisami, w porcie już ich nie widziałem. Czyli co? Przebrali się w samochodzie?

– Marcin. Jedziemy zgodnie z planem, nic nie zmieniamy.

Trasa Polaków prowadziła w kierunku nieco pustynnej, niezamieszkanego części Margarity z dzikimi plażami i kaktusami.

– Jeśli jadą za nami tą fiestą, to będą mieli problem.

– Jak się wpieprzą w jakieś rozpadlisko, to będziemy mieli ich z głowy. Amerykanie będą czekali na nas na przystani laguny Restinga. Mam nadzieję, że pół godziny nam wystarczy, żeby zgubić towarzyszy. A wiesz, Magda, że to za tobą jadą? Wiesz, że to właśnie ten twój przystojny Janek ich nasłał?

– Tak myślisz?

– Pospiechowa nie biorę pod uwagę, bo chyba doszliśmy już do wniosku, że oni razem nie pracują. Przynajmniej na tym poziomie. Zapnij pasy, bo będzie rzucać.

– Okej.

Po chwili suzuki skręciło z głównej drogi na szutrowy trakt, który po kilkuset metrach zniknął między kaktusami i suchymi krzakami. Samochód omijał niektóre dziury, a w niektóre wpadał. Nagle spod kół strzeliły drobne kamyki i uderzyły głośno w błotniki samochodu. Suzuki zatrzymało się gwałtownie.

– Co się dzieje!?! Koniec safari?

– Koniec. Za tą górką jest morze. Idziemy zbierać muszle. Może znajdziemy też jakiś krąg kręgosłupa wieloryba? Coś musisz... musimy mieć do legendy i na pamiątkę, prawda?

Łodyna dyskretnie wyciągnął zza paska spodni glocka, którego dostał od Toma. Wypiął magazynek i zważył go w dłoni. Popatrzył na lśniące, wystające pociski, po czym podpiął go ponownie. Broń z powrotem powędrowała za pasek, pod bawełnianą białą koszulę Esprit. „Tyle szczęścia przyniosła mi wtedy na górskich drogach irackiego Kurdystanu” – przypomniał sobie, wkładając ją tego dnia w hotelu.

– Wezmę ręcznik, bo musimy w coś schować te nasze trofea!

Skierowali się na brzeg, który pokryty był owalnymi, białymi kamieniami, resztkami rafy koralowej i dużymi muszlami.

– Marcin, to jakieś morskie cmentarzysko! – krzyknęła zachwycona Sierpecka, zbiegając do morza.

* * *

Po piętnastu minutach wrócili do samochodu. Gdy wrzucali na tylne siedzenie swoje zdobycze, usłyszeli głośne uderzenie i zgrzyt metalu. Hałas dochodził z za niewielkiego nadmorskiego wzgórza. Łodyna odruchowo sięgnął po pistolet. Jego wilgotna od słonej wody dłoń objęła nieco chropowatą rękojeść glocka. Wytarł rękę o spodnie i znowu chwycił broń. Nasłuchiwali w milczeniu, ale nic więcej nie zakłóciło szumu morza. Przez głowę Łodyny przeleciał obraz z gór północnego Iraku, kiedy biały bus nissana wyskoczył z za zakrętu, a on zobaczył skierowaną w jego stronę lufę kałacha. „Czy zaraz pojawi się srebrna fiesta?” – przez ich głowy przeszła ta sama myśl. Ale nic się nie działo.

Jak na komendę równocześnie wsiedli do suzuki. Ruszyli po bezdrożach w kierunku głównej drogi. W odległości kilkudziesięciu metrów znów usłyszeli hałas, ale nieco inny. Na jednym ze wzgórz mignął im przez moment biały pikap – ford ranger. Samochód wyglądał na mocno wyeksploatowany, brudny i poobijany. Na pace miał jakieś beczki i skrzynki. Cały ładunek podskakiwał. W środku siedzieli miejscowi *hombres*. Sierpeckiej wydawało się, że twarz jednego z nich, wąsacza, była jej znajoma. Ale nie mogła się dokładnie przyjrzeć, bo wszystko to trwało tylko ułamki sekund, a poza tym odległość była duża. Polacy wyjechali w końcu na wzgórze, z którego widać było już drogę w kierunku laguny Restigna.

– Marcin! Popatrz w prawo, na piętej. To chyba fiesta! Zdaje się, że urwali koło.

Dwóch mężczyzn kręciło się obok samochodu i gestykulowało. Z daleka wyglądało to tak, jakby się kłócili.

– Chyba są wkurwieni – dodała.

– To ci turyści z Juan Griego. Spierdalamy. Jaki czas?

– Wszystko zgodnie z planem.

* * *

Łódki na przystani w lagunie Restigna były zacumowane przy drewnianym pomoście. Tom i Kate czekali w jednej z nich. Widząc Polaków, pomachali im. Kate miała na sobie żółtą bluzkę z rysunkiem łodzi podwodnej z filmu o Beatlesach i trzymała dużą torbę plażową w kolorowe tropikalne kwiaty. Tom z kolei włożył czarną bejsbolówkę z żółtym daszkiem Los Angeles Lakers i koszulkę z Kobe Bryantem, całości dopełniał mały turystyczny plecak i przewieszony przez ramię aparat fotograficzny. Wyglądali jak zwykli turyści z USA.

Po kilku minutach płynęli wzdłuż namorzynowego lasu laguny. Mangrowce prawie zupełnie zasłaniały niebo, tworząc swoisty, naturalny tunel. Słyszeć było

jedynie śpiew ptaków i dźwięk wody rozcinanej przez kadłub drewnianej łódki oraz miarowo, ale cicho pykający diesel na rufie.

– Udało się. Byli, ale mieli wypadek. Myślałam już, że będzie ostro – powiedziała po kilku minutach milczenia Sierpecka, nachylając się do Kate.

– A białego pikapa widzieliście? – odpowiedziała pytaniem Kate.

– Tak!

– Abyście mogli urwać się Rosjanom, spowodowali kolizję z ich samochodem.

– No to teraz wszystko jasne.

– Mogliście, kurwa, powiedzieć! Co z wami!?! – rzucił nerwowo Łodyna do siedzącego obok Montany.

– Nie chcieliśmy was niepotrzebnie denerwować. To była ostateczność. Takie rozwiązanie chyba cię nie dziwi. To przecież szkoła waszej obserwacji z lat osiemdziesiątych. U nas na Farmie do dzisiaj o tym uczą – odpowiedział spokojnie Tom.

Łódka dopłynęła do długiej drewnianej przystani otoczonej drzewami wyrastającymi z piaszczystej wydmy. Od niej mieli jeszcze kilkadziesiąt metrów do szerokiej plaży La Restigna. W momencie cumowania dotarł do wszystkich wyraźny zapach morskiej bryzy zmieszany z wonią grillowanych morskich specjałów i mięsa, dochodzącą z jednego z plażowych barów. Wysiedli z łódki i przeszli pomiędzy rzędem drewnianych budynków, a w zasadzie bud. Minęli tablicę informującą, że są w La Portillo de Leonardo. Po paru minutach spaceru byli na plaży. Z każdym krokiem po gorącym białym piasku coraz bardziej się uspokajali. Dotarli do baru przykrytego dachem z wysuszonych liści palmowych. Barman wręczył im karty z menu.

– Już wszystko okej? – zapytał Tom.

– Okej – powiedziała Sierpecka.

– Zanim opowiem, co widzieliśmy, poinformuję o efektach wczorajszego lotu nad La Orchila. Mamy już zwrotkę z Centrali. Na tej wyspie bez żadnych wątpliwości istnieje rosyjska baza wojskowa – zaczęła Kate.

– A jednak! – Sierpecka rozsiadła się w rattanowym fotelu.

– Zidentyfikowaliśmy trzy bombowce taktyczne Su-34. Wyobraźcie sobie, że Rosjanie zastosowali sprytne rozwiązanie. Su-34 przyleciały pod osłoną samolotu transportowego An-124 Rusłan.

– Kate?! Rusłan?! Jesteś pewna, że chodziło o Rusłana?! – Tym razem przerwał Łodyna.

– Pamiętacie ten dziwny samolot, który krótko przed naszą ucieczką leciał ze wschodu? No właśnie, to jeden z antonowów. Pod spodem były suchoje i dlatego wyglądało to jak jakiś dziwny obiekt latający – odezwał się Tom.

– Ale on nie wylądowałby na tak krótkim pasie!

– Zgadza się, Magda. Bo tylko zamarkował lądowanie i poleciał do Caracas. Bombowce przemieszczały się... jakby piętrowo, pod maszyną transportową, aby przesłonić obraz z radarów i satelity. One wylądowały na wyspie. Niedawno Rosjanie wydłuzili jeden z pasów o kilkaset metrów. No i wyłapanie przez was wszelkie sygnały elektroniczne oraz rosyjskie komunikaty pilotów i personelu kontroli lotów jednoznacznie świadczą o ich wojskowej misji.

– A to cwaniaki!

– Teraz to niech Biały Dom i Pentagon decydują, co i kiedy z tym zrobić. Zastanawiam się tylko, dlaczego zastosowali taki manewr? – dodała Kate.

– Bo ja wiem. Może chcieli pokazać, że w taki sposób potrafią przerzucać swoje siły na dalekie odległości – powiedziała Sierpecka.

– A swoją drogą to macie zgryz, bo mogą z tej strony wpakować się wam w miękkie podbrzusze – dodał Łodyna.

– Trzeba będzie coś z tym zrobić. Ale to już nie nasze zadanie. A teraz ustalmy, co dalej z naszymi przyjaciółmi z rosyjskich służb.

– Jedno jest pewne, Kate. Nie możemy natychmiast wyjechać z Wenezueli bez działań dezinformujących.

– Też tak uważam. Z naszych danych wynika, że Rosjanie poprosili o pomoc miejscowe służby. Nie sądzę, żeby zorientowali się, kim jest Marcin. Trochę się zmieniłeś od czasu pobytu w Iraku.

Łodyna miał kilkutygodniowy zarost, dłuższe, rozjaśnione od słońca włosy oraz opaloną twarz. – Wyglądasz jak facet z reklamy sieci Tommy Bahama, a nie sklepów 5.11. – Kate się uśmiechnęła.

– Gdyby cię zidentyfikowali, to sprawa byłaby dla nich oczywista. Wiedzą jedynie, że ktoś pomaga Magdzie. Macie jakieś propozycje? – zapytał Montana.

– Możemy kupić trochę czasu. Dzisiaj spotkam się z Aleksandrowem...

– Chyba zaszkodziło ci to karaibskie słońce. Pojebało cię! Teraz?! Naprawdę uważasz, że cały ten Janeczek da się jeszcze wciągnąć w jakąś grę?

– Spokojnie, Marcin. Dam sobie radę. Myślę, że oni nie mają jeszcze poskładanych do kupy wszystkich elementów. Może nie wiedzą o twoim istnieniu, oczywiście jako uczestnika naszej operacji. Ale mnie cały czas zastanawia postawa Pospiechowa.

– Co dokładnie masz na myśli? – zapytała Kate. – Przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Przede wszystkim dlaczego nie zdekonspiował Marcina przed Aleksandrowem? Co może być ważniejsze niż ustanowienie rosyjskiej bazy powietrznej na Karaibach? Może robi tu zupełnie coś innego. Może odwala jakąś prywatę.

– Może do tego dochodzą jakieś urażone ambicje? Pamiętacie jego zachowanie i stosunek do ekipy GRU w Iraku? – wtrącił Łodyna.

– Bez odpowiedzi na pytanie, co pułkownika SWR sprowadza na Margaritę, nie powinniśmy stąd wyjechać. Poza tym nie przepuście chyba okazji, aby poważnie z nim porozmawiać?

– To niebezpieczny i wymagający przeciwnik. Sądzę, że wie więcej, niż nam się wydaje. Jak z nim rozmawiałem, to odniosłem wrażenie, jakbym rozmawiał z kimś przeniesionym w czasie. Często wracał do spraw z dalekiej przeszłości. Pozornie taki typ gawędziarza. Nie sądzą, żeby teraz udało wam się do niego podejść...

– Słuchajcie. Mam pewien pomysł. Zagrajmy z nim. Nie mamy nic do stracenia. Zobaczymy. Marcin jeszcze dzisiaj nawiąże kontakt z naszymi ludźmi

w Caracas, żeby byli w każdej chwili gotowi na naszą ewakuację.

– Okej, Magda. Omówmy w takim razie szczegóły – zakończył Tom.

* * *

Był już wieczór. Mieszkańcy hotelu Hesperia Playa el Agua pomалу ruszali do baru Caroni nad basenem, inni sadowili się na krzesłach, czekając w muszli koncertowej na występ tancerek wystrojonych w pióra.

Sierpecka czekała na Aleksandrowa przy zarezerwowanym stoliku w restauracji Guayamuri. Spokojnie patrzyła na obracającego się na różne prosiaka, co chwilę polewanego tłuszczem przez kucharza w wysokiej białej czapie. Zapach był obłądny. Gwar gości przerywały odgłosy papug z klatek hotelowego minizoo. Towarzyszyły im milczące spojrzenia tukanów o wielkich pomarańczowych dziobach.

Wcześniej Łodyna przekazał polecenia dla kolegów w ambasadzie w Caracas. Uciał sobie długą rozmowę z kumplem Pawłem, który sprawował w polskiej placówce funkcję charge d'affaires, czyli zastępcy ambasadora. Musiał wysłuchać opowieści o przygotowywanej przez niego płycie, na której umieści skomponowane przez siebie utwory. Byli też w kontakcie z Kate i Tomem, którzy zabezpieczali ich w Hesperia Playa el Agua.

– Dobry wieczór, Magda. – Sierpecka usłyszała znajomy głos za swoimi plecami. Nie spodziewała się, że Aleksandrow przyjdzie od strony plaży.

– Jak się przemknąłeś obok strażnika z shotgunem?

– Powiedziałem, że czeka na mnie piękna dziewczyna.

Magda miała na sobie seksowną czerwoną sukienkę i biały kwiat we włosach. Aleksandrow wręczył jej czerwonego storczyka.

– Dziękuję, Janku. Nie spodziewałam się. Usiądź, proszę. Może tym razem zamówimy po kieliszku wina.

– Bardzo chętnie. A wiesz, jak po hiszpańsku nazywają storczyka? – zapytał, a Sierpecka popatrzyła na niego z zainteresowaniem. – *La orquídea*. Ale słyszałem, że nazywają go także... *La orchilla*.

Magdzie zrobiło się gorąco, ale ani drgnęła.

– Niestety, nie znam dobrze hiszpańskiego, więc trudno mi się do tego odnieść. A i kwiatów od mężczyzn za często nie dostaję, więc tym bardziej doceniam ten gest. Czy już opadły ci emocje po naszym wspólnym locie?

– Po tym z tobą już tak!

– A właśnie, à propos wycieczek. W przyszłym tygodniu wybieram się na wysepkę La Coche. Tym razem niewielkim statkiem. Może popłyniesz z moją ekipą. Będzie kolega, trochę ustosunkowany w Wenezueli, i dwójka naszych inżynierów z Kanady. Mówiłam ci, to lądowisko dla jednego bogatego klienta – kłamała jak z nut.

– Bardzo chętnie. To co mamy dzisiaj w planach kulinarnych?

– W końcu coś z naszego regionu. Dzisiaj w restauracji dzień rosyjski. Może bliny z kawiolem?

Sierpecka w trakcie rozmowy z Aleksandrowem cały czas czekała na sygnał od Łodyny. Dwie kolejne wibracje w jej niewielkiej torebce oznaczały, że Walerij nie jest sam, tylko że są obserwowani przez jego ludzi. Trzy wibracje natomiast stanowiły sygnał, żeby szybko zatelefonowała do Łodyny.

Po półgodzinie kelner przyniósł do ich stołu dwa talerze z ciepłymi blinami. Obok postawił dwie miseczki z kawiolem. Nagle poczuła w torebce dwie następujące po sobie wibracje w telefonie. Podniosła wzrok znad talerza i spojrzała na Aleksandrowa. Wiedziała, co to znaczy. Po chwili wyczuła jednak trzy kolejne wibracje. Tego się nie spodziewała. „Coś musiało się, kurwa, wydarzyć. Marcin bez powodu nie wysłałby dwóch znaków zaraz po sobie” – pomyślała.

– Przepraszam, Janku. Muszę na chwilę cię opuścić. – Wskazała na toaletę.

Gdy weszła do pomieszczenia, sprawdziła wszystkie kabiny, po czym wyjęła smartfona i wybrała numer do kolegi.

– Co się dzieje? – rzuciła do słuchawki ściszone głośnie.

– Jest z nim kilku ludzi. Nasi znajomi z safari też.

– To pewne?

– Mam potwierdzenie od Toma i Kate. Siedzą przy barze. I słuchaj. Spotkałem Pospiechowa. Ma zarezerwowany stolik w waszej restauracji. Jest teraz koło wieżowca w barze Orinoko i czeka, aż Sierioża wyjdzie spod sztucznego wodospadu. Uważaj na ich reakcję. Mamy fart.

– O kurwa!

– No właśnie. Jestem umówiony później z Pospiechowem na plaży.

– Okej. Spadam. – Rozłączyła się.

Wróciła do stołu. Przypomniała sobie sprawę pewnego dyplomaty w Mińsku, któremu miejscowe służby wrzuciły coś do wódki w czasie spotkania z ich oficerem, a potem nagrały i opublikowały cały materiał na YouTube. Skandal był spory, bo oprócz spotkania z oficerem KGB nagrane zostały także usilne próby surfowania na rozłożonej na podłodze skórze niedźwiedzia.

– Wiesz, Janku. Wydaje mi się, że do kawioru bardziej pasuje szampan albo musujące wino. Może po prostu prosecco. Przepraszam cię za zamieszanie. Poproś proszę kelnera.

– *Señor, por favor!* – krzyknął i machnął ręką.

W tym momencie Sierpecka ujrzała Pospiechowa, który wraz z Sieriożą i Susanitą szli wąskim chodnikiem wzdłuż szpaleru wiecznie kwitnących na czerwono drzew. Aleksandrow go nie zauważył, bo był zajęty zamawianiem alkoholu. Pospiechow jednak dostrzegł go błyskawicznie. Stał jak wryty. Z jego miny wynikało, że nie spodziewał się go spotkać, i to w towarzystwie znajomej oficer polskiego wywiadu. „Jorge mnie nie zawiódł. Miał rację, że ci Polacy są razem, choć nie wyglądają na parę – skonkludował. – Mieli, durnie, siedzieć na dupie w swoich dziurach koło lotniska, a nie wrywać panienki po hotelach!” Ruszył do stolika w głębi Guayamuri.

Pułkownik SWR powoli odsunął krzesła, dyskretnie obserwując Sierpecką i Aleksandrowa. Był zadowolony z miejsca nieco ukrytego za bufetem i kucharzami, stojącymi przy rożnie. Zdawał sobie sprawę, że jego przeciwnikiem mogą być zarówno polscy oficerowie, jak i rosyjski wywiad wojskowy.

– Sieriożka, co chciałbyś zjeść? Tylko mówię od razu, że żadnych hamburgerów czy pizzy. Susanita, a tobie co zamówić?

„A jeśli polski wywiad prowadzi tu jakąś operację, to muszą być i Jankesi. Bo co Polaczki mają do roboty na Karaibach? A może jestem przewrażliwiony? Ale co robi ta dupeczka z Walerijem?!” W tym momencie Pospiechowa coś tknęło. Miał szansę na zagrywkę *va banque* z Polakiem, i to dzisiejszej nocy na plaży.

Tom i Kate zarzucili na plecy białe hotelowe ręczniki i ruszyli w kierunku bulwaru, tą samą drogą, którą przeszedł Pospiechow. Minęli restaurację, w której liczba szpiegów przekroczyła już wartość krytyczną. „*Fuck*. To nigdy dobrze się nie kończy”. Kate mocniej ścisnęła w dłoni kokosa z lodem, sokiem ananasowym i mdławym mleczkiem.

– Widziałś tych dwóch na ostatnich leżakach nad basenem? Nic nie pili! Jacyś obcy w tym rozbawionym towarzystwie. Chociaż... nieźle ich dobrali, wyglądają jak miejscowi, prawda? – wyszeptał Tom.

Amerykanie dostrzegli Łodynę w pobliżu minizoo.

– O! I pechowcy z fiesty. Są przy niebieskim słupie z natryskiem. Wysyłam informację do Marcina. – Tom wyjął telefon i odruchowo pomacał pistolet HK USP pod kolorową, hawajską koszulą.

Łodyna, karmiąc tukany i papugi ziarnem, obserwował gości restauracji. Widział wściekłego Pospiechowa oraz Toma, który mijając go, dotknął dłonią swojej broni. Polak podszedł do baru Caroni przy basenie i wmieszał się w tłum rozbawionych Kolumbijczyków, podpitych Anglików i Niemców, stojących w kolejce przy barze.

– *Extra drinko, señor Martini?*

– *Si amigo, si amigo* – odpowiedział, nie spuszczać z oka dwóch mężczyzn.

Dwójka podrabianych Latynosów, o nieco kaukaskich rysach, nagle wstała. W tym momencie Łodyna usłyszał sygnał telefonu. Spojrzał na ekran. Pojawiła się litera *M*.

– *Buenas tardes, puedo hablar con el señor ingeniero* – usłyszał Sierpecką. – Tak, tak, wszystko aktualne, potwierdzam. Będzie z nami jeszcze znajomy

z Estonii – dodała po chwili przerwy już po angielsku. – A dzisiaj co robię? *Ay, señor ingeniero*, zamierzam iść na spacer po plaży. A więc jutro czekam na potwierdzenie wyjazdu na La Coche. – Rozłączyła się. – Dokończmy kolację i chodźmy. Straszne tłumy. Mam ochotę posłuchać morza – powiedziała do Aleksandrowa, uśmiechając się zalotnie.

– Widzę, że szybko się uczysz hiszpańskiego.

Po skończonym posiłku ruszyli w stronę morza. Przed wejściem na plażę Aleksandrow schylił się i zdjął buty. Sierpecka zrzuciła włoskie czarne szpilki z czerwoną podeszwą. Stanęli na mokrym brzegu. Aleksandrow objął ją, przytulił, po czym oparł dłonie na jej biodrach. Dotknął ustami lekko rozchylnych, pokrytych czerwoną pomadką warg Magdy. Trwali w pocałunku kilkanaście sekund. W końcu odchyliła głowę do tyłu i dotknęła dłonią jego opalonej, gładkiej twarzy. Stali w milczeniu. Przez chwilę Sierpecka zapomniała, gdzie jest. Czowała, że dłonie Aleksandrowa powędrowały niżej, po jej obciśniętych czerwoną sukienką pośladkach. Przyjemne uczucie jednak szybko minęło, gdy przypomniała sobie, że jest obserwowana. Czowała się jak aktorka na scenie. Tyle że widzami byli zarówno oficerowie rosyjscy, jak i amerykańscy, zaskoczeni zapewne takim rozwojem sytuacji. Rosjanie, widząc stojącą na brzegu parę, byli pewni, że ich dzień pracy już się zakończył. Natomiast Kate i Tom nie rozumieli, co się dzieje. Tom zatelefonował do polskiego kolegi.

– Marcin?! Widzisz?!

– Tak. Wszystko pod kontrolą. Teraz pewnie się wykręci menstruacją i obieca mu, że dokończą rozmowę w czasie wyjazdu na La Coche. Tak jak mówiła, kupiła u niego trochę czasu. *Is that clear?*

– *Yeah*. – Tom się rozłączył.

* * *

– No, jesteś w końcu! Nie dzwonisz i nie dzwonisz... Jak poszło? – zapytał Łodyna Magdę przez telefon.

– Jesteśmy już w naszej hacjendzie. A on wrócił do hotelu. Zaraz siadamy z Kate i Tomem i piszemy. Czekaemy na ciebie. Tylko nie naśladowuj mnie na spotkaniu z Pospiechowem. – Roześmiała się.

– Magda, a nie pomyśleliście, że ekipa Janka mogła zostać? Że będziecie pod obserwacją?

– Na razie nic na to nie wskazuje, ale mogli namierzyć ciebie albo towarzysza konsula. Poza tym musimy się stąd zbierać jak najprędzej.

* * *

Łodyna, siedząc na drewnianych schodach jednej z tancbud na plaży, ze spokojem obserwował czarną czeluść morza. Było kilka minut po północy, gdy dołączył do niego Pospiechow. Miał na sobie lniane białe spodnie i jasną koszulę. Zdjął buty i zanurzył stopy w piasku. Przez chwilę milczeli, wpatrując się w rząd pochodni ustawionych na plaży. Za ich plecami piszczwały dziewczyny. Co chwila któraś zrzucała buty, aby wygodniej zatańczyć na parkiecie z drewnianych desek. Didżej José Alejandro podgrzewał atmosferę.

– Czego się napijesz, *Poliak*?

– *Towaryszcz pułkownik*, piwo proszę. Solera. Tylko nie otwieraj go, proszę. – Popatrzył wymownie na Rosjanina. Ten roześmiał się głośno. Po chwili wrócił z kilkoma butelkami.

– Wybieraj, którą chcesz.

Syk gazu otwieranej butelki rozładował atmosferę.

– Powiedz mi, czego tu szukacie? – Rosjanin wlał w usta złocisty, mocno schłodzony napój.

– My? Tutaj? Jaśniej proszę.

– Nie doceniasz mnie. Ty i ta twoja dupcia, która pewnie nie jest twoją dupcią, bo wasi świętojeblowi szefowie nie dopuściliby podczas roboty do takich układów, możecie innych robić w chuja, ale nie mnie. To po pierwsze.

– Igor! Dalej nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz. Pewnie już wiecie, że mamy tu bombowce taktyczne. Ja to mam w dupie. Powiem ci coś. O twoim pobycie i głównym zadaniu, jakie otrzymałeś w Iraku, wiedziałem od człowieka... z Agencji Wywiadu. Podobnie jak o planie wystawienia mnie CIA. Ale tego chyba nie ustalałeś z Miłobędzką? Bo gdyby się o tym dowiedzieli, toby cię nasz... człowiek obsmarował na wszystkie sposoby. Mam rację?

– Nie wiem, czy masz rację. Ja słucham, ty mówisz. Dobrze ci idzie. A co oznacza... wasz człowiek?

– Oznacza to, że to nasz agent u was. Nie miałeś nigdy problemów z waszą wewnętrzną bezpieczeńką? Jakichś dziwnych, niewyjaśnionych spraw? Miałeś, miałeś... Zaskoczyła mnie tylko twoja obecność na Margaricie. Nie musisz mi odpowiadać, bo doskonale wiem, że mam rację, a ty wszystko rozumiesz.

– Grasz w otwarte karty, Igorze. Dlaczego mi to mówisz? Czego oczekujesz?

– Operację nadzoruje SWR. Takie polecenie przyszło z góry, a z Władimirem Władimirowiczem się nie dyskutuje. Zresztą w ostatnich miesiącach kilku oficerów przeszło z GRU do nas.

– Aleksandrow też?

– Nie, on nie. On jest bezterminowo oddelegowany do nas, w tym do tej operacji. Formalnie podlega mnie. Tak jak mówiłem, nie mieli wyjścia. W sumie, godząc się na takie rozwiązanie, tanim kosztem mogli też coś ugrać dla siebie na Kremlu.

Łodyna czuł, że Rosjanin nie zamierza pracować dla Polaków ani dla Amerykanów i że nie o to idzie gra. „Być może celowo mnie dezinformuje, aby przykryć jakieś działania. Skoro Pospiechow nie wiedział o moim pobycie tutaj, to może kreta jednak nie ma w Centrali, a może już nawet nie pracuje w AW? W końcu wywalono ostatnio sporo oficerów. A może chodzi mu tylko o to, abyśmy szukając kreta, wywalali kolejnych?” – kombinował Łodyna.

* * *

– No to nam się wyjaśniło, jaka służba odpowiada za działania w Wenezueli. Cwanie to wymyślili. Wychodzi na to, że notowania SWR idą w górę na Kremlu – zaczęła Kate. – Przechodząc do najważniejszych spraw. Zgadzą się, że nie możecie przekazać teraz informacji o rosyjskim agencie u was w Centrali. Zostawcie to. Tę sprawę weźmiemy na siebie.

– Poza tym wybory się wam zbliżają i może być tylko gorzej. Jeszcze ktoś wpadnie na pomysł, aby dobrać się do was, tak jak do waszych służb wojskowych, opublikować dane osobowe, informacje o operacjach specjalnych, a na koniec przypierdolić najmocniej – zabrać emerytury! – dodał Montana.

– Dobra, dobra. Spokojnie – wtrąciła, widząc, że Łodyna już miał odgryźć się Amerykaninowi. – Ustalmy tak. Sprawa pułkownika SWR na Margaricie zostaje między nami. Co do waszych planów werbunkowych wobec Pospiechowa, to już wasza sprawa. Nas już do tego nie mieszajcie, ale raczej nic z tego nie wyjdzie. –

Spojrzała na Łodynę. – Najpóźniej jutro w południe, a w zasadzie dzisiaj, zbieramy się stąd. Informacje wyślemy już z Caracas. Zamykamy dotychczasowe kanały łączności.

– A mnie mimo wszystko zastanawia, co naprawdę robi tutaj Pospiechow. Coś mi tu wciąż nie gra – rzucił Łodyna do wychodzących Kate i Toma.

– Marcin, odpuść go. Mało mamy na głowie? Teraz musimy uważać na tych tutaj. Rozumiesz? – powiedziała Sierpecka, ale nie była pewna, czy Łodyna zrozumie.

* * *

Łodyna minął Juan Griego. Z lewej strony drogi górowała nad okolicą wieża kościoła. Zwolnił. Po chwili dostrzegł tablicę z napisem *Museo Pueblos de Margarita*. Skręcił w szutrową drogę. Zatrzymał suzuki przed wjazdem do skansenu. Nie dostrzegł żadnego ruchu, ale nie dziwiło go to, bo była szósta rano. Słońce dopiero wschodziło. „Wyglądam jak żeglarz” – pomyślał, spoglądając na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Założył na nos okulary przeciwsłoneczne Mont Blanc w metalowej oprawie i z niebieskimi szklami.

Z tylnego siedzenia wziął worek żeglarski z białego płótna, w którym schował wykrywacz metalu. Kupione w La Asunción maczetę, łopatę, kilof i łom zostawił w bagażniku. Wokół parterowych domów rosły kaktusy. Nad zabudowaniami górowała dzwonnica dawnego klasztoru franciszkanów. Łodyna jeszcze raz przypomniał sobie opis tego miejsca, które przesłał mu dzień wcześniej syn Winieckiego. Wszedł po drewnianych schodach w podcienie zabudowań. Obszedł dookoła dawny klasztor. Zbliżył się do muru. Zrzucił worek na ziemię i zaczął coś obliczać. Porównał otoczenie z mapą zapisaną w smartfonie. I w tym momencie kilkanaście metrów przed sobą zobaczył świeżo wykopany dół, wielkości mniej więcej metr na metr. Stanął nad nim.

– Kurwa! Kurwa! – krzyknął, bo zrozumiał, co się stało.

Schówek był opróżniony. Łodyna odbezpieczył pistolet. Lufę glocka skierował w zarośla na wzgórzu. Ostrożnie się rozglądał i nasłuchiwał.

Bziit, bziit... – w mur klasztoru wbił się pocisk, potem drugi i trzeci.

Major odruchowo padł na ziemię i wczołgał się do dołu. Poczł woń stęchlizny i starego drewna. Nasłuchiwał. Po kilkunastu sekundach do jego uszu dotarł dźwięk uruchamianego silnika samochodu. Poderwał się. Ściskając w dłoni pistolet, pobiegł w tamtym kierunku. Usłyszał kamienie uderzające o błotniki i wycie silnika na wysokich obrotach. Minął budynki i kilkadziesiąt metrów od siebie dostrzegł samochód, który szybko odjeżdżał. Wycelował broń, choć wiedział, że to za duża odległość do oddania celnego strzału. „Daleko. To nie strzelnica w Starych Kiejkutach i nie walę z kałacha”. Mimo to pociągnął za spust. W dwustrzałowych sekwencjach opróżnił prawie cały magazynek. Dwa ostatnie pociski dosięgły bocznej szyby pojazdu, która zupełnie się rozleciała. Toyota hilux, z dwiema drewnianymi walizkami i starym kufrem z mosiężnymi okuciami na pace, lekko się zakołysała. Wydawało się, że zjedzie do rowu. Ale nie. Kierowca w ostatniej chwili odbił i nacisnął na gaz. Marcin biegł jeszcze chwilę. Nie dał rady. Samochód się oddalał. Łodyna zdołał jeszcze dostrzec przez pusty otwór po szybie przestraszoną twarz kierowcy. Nie miał wątpliwości, kim był napastnik. Stanął i z wściekłością kopnął jakąś starą puszkę.

* * *

– *Komandir, posmatri!* – Młody mężczyzna wszedł do obszernego pokoju z widokiem na cypel po drugiej stronie zatoki i oświetlony promieniami zachodzącego słońca fort San Carlos de Borromeo.

Wyprostował się jak struna i położył na biurku pułkownika Walerija Jana Aleksandrowa tablet z wyświetlonymi zdjęciami. Oficer nieco ospale popatrzył na nie. Przeciągnął się. Wciąż był myślami na plaży z dziewczyną z Kanady. W głowie układał sobie wspólny wyjazd na małą wysepkę. Delektował się zimną Cuba Libre. Trzymając delikatnie szklanekę w dłoni, kołysał nią tak, aby kostki lodu głośno obijały się o jej ścianki. Lubił ten słodki zapach coli, ciemnego rumu i kwaśnej woni świeżej limonki. Podniósł wyżej drinka i popatrzył przez niego na słońce, kryjące się w ciemnościach morza.

– Co to jest, kapitanie Fiedotow?

– Zdjęcia z dzisiaj rano. Tak jak *towariszcz komandir* rozkazał. Jak namierzyliśmy wczoraj pułkownika Pospiechowa w rejonie hotelu tej pańskiej *krasawicy*, to siedzieliśmy na nim do jego wylotu z Margarity.

– No i co *mołodcy* wypatrzyliście? Co nasz pułkownik narozrabiał? – zapytał nieco żartobliwie.

– *Towariszcz komandir, posmatri.* Niezłe strzelanie sobie urządził dzisiaj z rana. Tylko nie wiedzieliśmy, dlaczego próbował odpalić jakiegoś *marika*.

– Jakie, kurwa, strzelanie? Co wy mi tu pierdolicie, kapitanie? To ja się teraz dowiaduję, że pułkownik SWR strzela do kogoś w czasie naszej operacji specjalnej! I ja o tym nic nie wiem?! – krzyknął.

– Nie było *towariszcza komandira* cały dzień. Poza tym chcieliśmy wszystko poskładać. Zawsze *towariszcz komandir* mówi, żeby z byle gównem do niego nie przychodzić i żeby zrobić wstępną analizę. I my ją zrobiliśmy.

– Dobra, mów!

– To było zaraz po tym, jak pułkownik Pospiechow coś wyniósł zza budynków takiego muzeum za Juan Griego. Pewnie jakaś kontrabanda. Czy ja

wiem? I chodzi o to, że ten *maria*k... no tak go nazwaliśmy, wywalił cały magazynek do pułkownika! Ale to jeszcze nic. Cały dzień pracowaliśmy nad materiałem filmowym i zdjęciowym i wychodzi, że ten *maria*k to Polak i mieszkał w hotelu... z tą *krasawicą komandira* – powiedział kapitan z kamiennym wyrazem twarzy.

Zamilkł i popatrzył na Aleksandrowa. Ten zbladł i uniósł się, opierając mocno na biurku zaciśnięte pięści.

– No! I co dalej!?

– Przed południem oboje się wymeldowali i jak ustaliliśmy, pojechali do Porlamar na lotnisko, skąd lokalnym lotem polecili do Caracas.

– Pokaż, który to ten Polak? – krzyknął i wziął do ręki tablet. – *O job twoju mat’*.

„Skąd ja go znam? Już wiem! Irak. Kurdystan. Impreza Gazpromu! Wtedy, jak ten *durak* na warcie został odpalony. To ten *chrien* z Bagdadu, który był z tą banderowską blond *krasawicą!*” – myślał, a potem przycisnął palcem zdjęcie Łodyny i opadł spokojnie na fotel.

– Magda, *wot bliat’...*

– *Komandir pułkownik*, czy to nie ten, po którego byliśmy w Polsce? Zgadza się? Jakie rozkazy?

– Rano lecimy do Caracas. Skontaktuj się natychmiast z zastępcą pułkownika Pospiechowa w naszej ambasadzie. Poinformuj o zdarzeniu koło Juan Griego! Tylko jego! Rozumiesz?! Wyślij też zdjęcia Polaków, jej i jego, może się przy okazji czegoś dowiedzą. Niech uruchomią wszystkie kontakty operacyjne na miejscu. Zwłaszcza na wylotach na lotnisku w Caracas. Natychmiast, kurwa! Potem chcę mieć szczegółowy opis sytuacji. Od wszystkich członków twojej ekipy – rozkazał i ciężko opadł na fotel.

Rozdział 13

Caracas, Mamo (Wenezuela) – lato 2013

- Marcin, chodź do mnie bliżej z leżakiem, nie będę krzyczała przez cały basen!
- zawołała Sierpecka. Obydwoje byli w hotelu Eurobuilding.
 - A ja myślałem, że mam się przysunąć, bo czujesz się samotna. Moment...
 - Dzwoniła Kate. Nasi rosyjscy przyjaciele mieli niezłą zadymę w swojej dziupli. Amerykanie ściągnęli niepełną korespondencję między Aleksandrowem a ich rezydenturą w Caracas. Pojawia się między innymi nazwisko Fiedotow. Kojarzysz?
 - Fiedotow, Fiedotow... Być może z jakichś odległych czasów. Może zbieg okoliczności.
 - W każdym razie wpadli we wściekłość. Jutro stąd spieprzamy. Zostawimy sprzęt u chłopaków w ambasadzie.
- Sierpecka ponownie założyła okulary przeciwsłoneczne i wyciągnęła się na białym leżaku. Leżeli oboje w milczeniu, patrząc na wyraźnie oświetlone zachodzącym słońcem góry. Przez ich głowy przebiegały strzępki wspomnień ostatnich wydarzeń. Po dłuższej chwili Łodyna odwrócił się na bok do Sierpeckiej i ściszym głosem powiedział:
 - Na mój nos to już ostatnie dane spływające z tych urządzeń. Gdybym był na miejscu Rosjan, następnym krokiem byłaby zmiana obu lokali konspiracyjnych.
 - Też tak myślę. Kiedy wyjeżdżasz na placówkę w Bukareszcie?
 - Podejrzewam, że w ciągu czterech, pięciu miesięcy. Pewnie skończy się tak, że pojedę dopiero na początku roku.

– Dobrze, że Ewa dostała nasze obywatelstwo, bo chyba musiałbyś iść na emeryturę. I z wyjazdu do Rumunii byłyby nici. W wewnętrznym by ci nie odpuścili. Wiesz, jaka jest teraz ekipa u Romańczuka. Miejmy nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży. Jak tam będziesz, odwiedzę cię. Pojeżdżę na rowerze po karpackich ścieżkach. A może nawet służbowo.

– Coś konkretnego?

– Tak. Już są wstępne ustalenia. Wiesz, Krym, Naddniestrze, Morze Czarne...

– To stąd te rozmowy z Rumunami?

– Marcin, zmieniając temat, kiedy umówiłeś się z tymi Polonusami?

– Wczorom mają podjechać do naszego hotelu. Zjemy kolację razem w Solysombra. Możesz iść posiedzieć w jacuzzi w tym czasie.

– Dziękuję ci za zorganizowanie wieczoru. Faktycznie przyda mi się przed jutrzejszą podróżą. Zamów po drodze w recepcji rano taksówkę na Avenida Copérnico.

– Po kolacji wpadnę i powiem ci, czego się dowiedziałem.

* * *

Łodyna wpatrywał się a to w menu hotelowej restauracji, a to na spowijaną tysiącami świateł dolinę z rzeką Rio Guaire. Przykładał do ust zimną butelkę piwa Solera.

– Proponuję pabellón criollo! Już jesteśmy.

Polak odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn podchodzących powoli do stolika. Jednego rozpoznał. Mimo już bardzo podeszłego wieku miał roześmianą twarz. Opierał się na lasce. Siwe włosy miał równo zaczesane do tyłu. Uśmiechnął się do niego. To był Piotr Winiecki. Drugi, szczupły, o blond włosach i jasnoniebieskich oczach pięćdziesięciolatek wyglądał na jego syna. Łodyna wstał energicznie.

– Panie Piotrze, dobry wieczór. Pamięta mnie pan? Spotkaliśmy się jakiś czas temu w Caracas, w naszej ambasadzie. Marcin Łodyna.

– W moim wieku, młodzieńcze, już niewiele się pamięta. Ale pana akurat zapamiętałem. Podobają się panu miejscowe señority? Niech pan przyzna. I dobrze, trzeba żyć, bawić się, póki jeszcze są siły. Bo potem to będziesz miał taką laskę jak ja i wizyty u młodych pielęgniarek dwa razy w tygodniu, tylko że na dializach! Pamiętaj, *life is bordello*! Tak kiedyś powtarzałem, jeszcze w wojsku.

– Tato, usiądź, proszę. Panie Marcinie. My się znamy tylko z rozmów telefonicznych. Nazywam się Felipe Winiecki.

– Jaki Felipe synu!?! Filip! Z Izą, to znaczy z mamą, daliśmy ci na imię Filip. A twojej siostrze Elżbieta, a nie żadna Isabel.

– Tak, tato, tak. Przepraszam, ale ojciec jest pryncypialny w wielu sprawach. Panie Marcinie, pozwoli pan, że zamówię dla nas te pabellón criollo. To wołowina z fasolą, ryżem i warzywami. Tu chyba robią najlepsze w Caracas.

Młody Winiecki zawołał kelnera i złożył zamówienie. W tym czasie jego ojciec nerwowo kręcił się na krześle i rozglądał po wnętrzu budynku.

– Pamiętam ten hotel. Nasza firma robiła tu badania geologiczne po osunięciach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Przez kilka lat bali się go tutaj postawić. To co cię tu sprowadza z Polski?

– Panie Piotrze. Jak pan wie, chodzi o pana kolegę Ludwika Januszkiewicza.

– A jaki to mój kolega! Miałem go znaleźć i znalazłem. To fakt, naszukałem się, bo zaszył się w dżungli nad Orinoko. Ale znalazłem. Nawet mu wtedy wygarnąłem, że nas oszukał z Czakuckim. Ale było, minęło.

W tym momencie kelner rozstawił zamówione dania.

– Tata z panem Ludwikiem prowadzili wspólne interesy. Aż do jego nagłej śmierci – wtrącił młody Winiecki.

– A tak! Chodzi o te rzeczy ukryte przez niego na Margaricie. Nigdy nie powiedział, gdzie je schował. Potem już nikt się tym nie interesował. Aż do znalezienia tych jego szkiców, map i jakichś tam zapisków.

– Znalazł je pan, panie Marcinie?

– Sprawa jest poważna. Znalezione przez pana notatki i mapy po Januszkiewiczu były wyjątkowo dokładne. Ale ktoś mnie uprzedził i opróżnił schowek. Między nami mówiąc, tego samego dnia.

– Ja to nawet wiem, kto to podpieprzył! To tylko oni, tylko oni.

– Tato, jacy oni?! Co ty opowiadasz?

– Jacy? Sowiecka swołocz. Ja ich dobrze znam.

– Tato, Związku Radzieckiego już dawno nie ma. Jacy Sowieci!? Co ty bredzisz?!

– Synku, ja nic nie bredzę. Swoje wiem. To byli Sowieci czy jak tam ta czerwona zaraza teraz się nazywa. Bo po co komu takie materiały!? Tylko im.

– Panie Piotrze, czy pan wie, co w tych kufrach czy skrzyniach było?

– Pewnie, że wiem. W końcu tyle się ich naszukałem w Iraku!

Łodyna i młody Winiecki popatrzyli na siebie.

– Aleście się zdziwili, chłopaki? – roześmiał się stary. – Co tam było, pytacie? Powiem wam. Na pewno przedwojenne dokumenty, wzory urzędowych druków, pieczęcie sądowe i ministerialne, a nawet z kancelarii prezydenta Mościckiego. Były tam też jakieś kopie umów notarialnych oraz niezwykle cenne rysunki. Wiecie, takie stare, z prywatnej kolekcji. No i wzory podpisów.

– Tato, jesteś pewien? I myślisz, że to Rosjanie ukradli? Ale jak? Tutaj? W Wenezueli?

– Obawiam się, panie Filipie, że pański ojciec ma rację.

– Oczywiście, że mam rację. Ja też coś kiedyś w jednym kościele wyjąłem z takiego schowka. Ale to było nasze. Ale oni nie swoje wzięli. Pyszne te pabellón criollo. Dawno już takich nie jadłem. U nas w Argentynie nie robią takiego dobrego jedzenia. Tylko te wielkie steki wołowe, nawet bez marynaty. Iza robiła pyszną marynatę. Zawsze mówiła, że to taka trochę kresowa. Jak wrócimy, to mi mięso zrobisz na ruszcie w marynacie twojej mamy.

– Tak, tato. Zrobię.

– Singe...

– Nie rozumiem.

– Singe, pod takim kryptonimem ta sprawa była rozpracowywana w Iraku, Palestynie, we Włoszech. Czakucki, mój dowódca, major, wziął to słowo chyba z kurdyjskiego.

– Nigdy o tym nie mówiłeś. – Filip pochylił się nad ojcem.

– Teraz zadźwięczało mi to słowo w uszach. – Winiecki się uśmiechnął. I po chwili zastanowienia ze złością zwrócił się do Łodyny: – To mówisz, że cię Sowietci uprzedzili. To swołocz. Pamiętam ich dobrze. To jest im na pewno do czegoś potrzebne. Zobaczysz, młody człowieku. Wspomnisz moje słowa. Tak zawsze myślał major Czakucki. Obsesyjnie poszukiwał tych dokumentów. Bał się, że te materiały mogą być wykorzystane przeciwko nam.

Po ponadgodzinnej kolacji Łodyna odprowadził Winieckich na szeroki, oświetlony hotelowy podjazd. Taksówka, biała toyota avensis z żółto-czarnym paskiem, już czekała.

– Panie Marcinie, jak czegoś będzie pan potrzebował, to proszę pisać albo telefonować. Ja czasem jestem w Wenezueli, bo firmę i interesy tutaj przejąłem po ojcu. Ale powiem szczerze, że sytuacja jest coraz trudniejsza i chyba zwinę tu działalność, i sprzedam mieszkanie w Caracas.

– Trudniejsza, bo Sowietci tu mieszkają, ja ich znam...

– Tato, prosiłem cię. Daj spokój z tymi... Sowietami.

Łodyna popatrzył na starego Winieckiego i uśmiechnął się. Wydawało mu się, że jego pomarszczona twarz odpowiedziała serdecznym grymasem. Uścisnął jego wątłą dłoń. Mężczyzna z trudem usiadł w samochodzie. Jakby ze złością rzucił swoją laskę na siedzenie.

– Panie Piotrze, dziękuję za wszystko.

– To była dla mnie przyjemność pomóc Polsce. Choć nic nie udało się odnaleźć. Zapraszam, panie Marcinie, do nas, do Buenos Aires. Tam dużo jeszcze naszych.

* * *

Pospiechow zaparkował samochód na terenie zamkniętego ośrodka Marynarki Wojennej Wenezueli w Mamo. Jeździł tam zwykle na weekendowe wypadki wraz z żoną lub Sieriożą, albo w towarzystwie kolegów z ambasady. Tym razem jego grafitowy chevrolet orlando miał wyjęte tylne siedzenia. W środku znajdowały się dwie solidne drewniane walizki i stary kufer z mosiężnymi okuciami.

Pospiechow miał chwilę do spotkania z pięćdziesięcioletnim pułkownikiem Siergiejem Sokołowem z moskiewskiej centrali SWR. Usiadł na leżaku pod trzciniowym parasolem i zamówił zimne piwo. Potem ruszył na spacer brzegiem morza. Ciemny piasek pochodzenia wulkanicznego błyszczał drobkami krzemu. Po kilku minutach doszedł do niewielkiego wyniesienia, które zamykało od zachodu zatoczkę z plażą klubu Mamo. Na jego szczycie znajdowała się pusta budka ratownika, przykryta dachem z wysuszonych liści. Wszedł do niej i przez dobre pięć minut wpatrywał się w plażę i wygięte od morskiego wiatru lekko pożółkłe od dołu palmy. Mimo że nic nie spostrzegł, miał wrażenie, że jest obserwowany. „Czyżby Polacy mnie tu namierzili? Może pomagają im Amerykanie?” – zastanowił się. Czas przekazania materiałów się zbliżał. „Jak znam Sokołowa, już pewnie tu gdzieś jest”. Po kilkunastu minutach wrócił do leżaka. Usiadł. Chwilę później usłyszał sygnał telefonu.

– *Buenos dias, towarzyszc pułkownik.*

– No, nareszcie jesteś, Siergiej. Wydaje mi się, że mamy towarzystwo.

– Igor, *niczego, niczego.* Przecież zakładaliśmy, że tak może się wydarzyć. Stawka jest wysoka. Zainteresowanych może być wielu. Ruszaj zgodnie planem. Jadę za tobą.

– Rozumiem, Siergiej, że nasza niezastąpiona Nadia wszystko tutaj i w Stanach ustawiła? Zorganizowała transport na wyspę?

– Wszystko dopięte. Nic bez nas nie zrobi. W ogóle masz od niej pozdrowienia i ucałowania. Ma do ciebie słabość, ten nasz *żenskiej sowieckij gieroj.* Masz dla mnie dokładny opis działań na Margaricie?

– Tak jest. Zabezpieczony pendrive jest w skórzanej zawieszce Lufthansa, przymocowanej do kufra.

– To ruszamy za piętnaście minut. I do zobaczenia już niedługo na zakupach przy Piątej Alei. – Sokołow się rozłączył.

Podeszli do swoich samochodów. Wsiedli i sprawdzili czas. Jakby na komendę wyjęli z telefonów miejscowe karty SIM i złamali je. Zniszczyli też telefony. Wiedzieli, że muszą się ich pozbyć w jakimś martwym polu. Ruszyli. Chevrolet Pospiechowa pierwszy, za nim w niewielkiej odległości czarny ford explorer Sokołowa.

* * *

– ...ruszył. Jedzie za nim czarny ford. Chyba się go trzyma. Nie wiem, kto jest w środku, bo ford ma ciemne szyby... – podał Fiedotow.

– Rozumiem. Za nimi. – Aleksandrow przekazał rozkaz do pozostałych członków ekipy SWR, w pojazdach ustawionych w strefie obserwacji w Mamo.

Samochody Pospiechowa i Sokołowa jechały wzdłuż zabudowań. Po prawej minęły bramę wjazdową z napisem *División de Infantería de Marina Simon Bolívar*, a potem skręciły w prawo w *Avenida la Armada*.

– ...jadą chyba w kierunku lotniska. Nie! Czekać! Skręcają w lewo, w małą uliczkę dojazdową... – Aleksandrow usłyszał w radiu podniesiony głos kapitana Fiedotowa.

– Jedźcie za nimi. Reszta ustawia się w strefie. Coś kombinują.

Aleksandrow cały czas zastanawiał się, co się dzieje. Choć był tylko oddelegowany na czas operacji w Wenezueli do SWR, to wiedział, że są w jej szeregach różne grupy wpływu skłonne skompromitować wewnętrznego przeciwnika. Znał doskonale ten proceder z GRU. W dodatku dostał rozkaz od zastępcy Pospiechowa, aby objąć obserwacją pułkownika. Jeszcze jedna myśl nie dawała mu spokoju: jaka w tym wszystkim była rola Polaków? „Kto tu co odpierdala?” – zastanawiał się. Pomyślał o Magdzie.

– ...wjeżdżają chyba gdzieś do środka... – usłyszał komunikat z radia.

Oba samochody oficerów SWR równocześnie, prawie niewidocznie, przyspieszyły i wjechały na olbrzymi parking obok hotelu Aeropuerto Simon

Bolivar.

– *Bliat'*, jechać za nimi! Nie mogą wam zniknąć z pola widzenia. Zrozumiano?! – krzyknął do radia i uderzył ze złości kilka razy słuchawką w kierownicę.

Jednak ford i chevrolet zniknęły. Wjechały w martwe pole. Dopiero po dwudziestu minutach poszukiwania ekipa obserwacyjna je odnalazła. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na rozwój sytuacji.

– *...idzie! Widzimy go, komandir...* – po godzinie popłynął głos Fiedotowa z radia.

– Pilnujcie. I czekajcie na tego z forda. Na obydwu!

* * *

Pułkownik Igor Pospiechow otworzył drzwi. Usiadł wygodnie w swoim chevroletcie i odjechał w kierunku lotniska. Skręcił w prawo w stronę nadmorskiego pasma gór, oddzielającego Caracas od wybrzeża. Droga szybkiego ruchu poprowadzona tunelem wyprowadziła go na drugą stronę gór, porośniętych tropikalnym lasem. Minął kolorowe miejscowe dzielnice biedy i skierował się do centrum miasta, tam gdzie znajdowała się rosyjska ambasada. Nie sprawdzał, czy ma ogon. Teraz nie miało to już sensu. Jako doświadczony oficer rosyjskiego wywiadu zawsze zakładał, że jest obserwowany. To go nakręcało. Samolot już na niego czekał.

Po dwóch godzinach do czarnego forda podszedł młody mężczyzna. Otworzył pilotem samochód, uruchomił go i odjechał w kierunku lotniska. Na kombinezonie miał napis *ACO Rent a Car Maiquetia*. W tym samym czasie pułkownik Siergiej Sokołow, w srebrnym dodge'u calibrze, był już w drodze na lotnisko La Chinita w Maracaibo, gdzie też czekał na niego niewielki samolot marki GippsAero GA8 Airvan. Z Sokołowem jechały dwie drewniane walizki i stary kufer. Miał do pokonania jeszcze ponad pięćset kilometrów. Głowę mu zaprzętało tylko jedno: czy Nadia właściwie przygotowała działania dezinformacyjne związane z przerzutem skrzyń na Arubę?

* * *

Sierpecka i Łodyna wsiadali do wieczornego samolotu American Airlines, który miał odlecieć z Caracas do Nowego Jorku, gdy w tym samym momencie otrzymali SMS-y. Spojrzeli na smartfony. Magda nie zareagowała. Popatrzyła na kolegę, który zacisnął zęby i zaklął w myślach. Nadawca ukryty pod literą K informował:

...Dzisiaj w wypadku lotniczym samolotu czarterowego marki Pilatus PC-12 linii Caribbean Air Charters, na trasie Caracas–Aruba, w niewyjaśnionych okolicznościach w rejonie wyspy Curaçao zginął konsul generalny Rosji Igor Pospiechow, inni pasażerowie i pilot. Samolot wpadł do morza.

Łodyna błyskawicznie zapytał SMS-em:

Był sam? Miał jakiś bagaż? – i nacisnął ikonkę wyślij.

Do samolotu wsiadał tylko z niewielką podręczną torbą – zobaczył na ekranie odpowiedź od Kate.

Odetchnął z ulgą. Popatrzył na Sierpecką. „Może nie wszystko stracone” – pomyślał i usiadł ciężko w szarym skórzanym fotelu.

Rozdział 14

Loken, Aalborg (Dania) – jesień 2013

Kjell Carlsson, elegancki sześćdziesięcioośmioletni mężczyzna, wciągnął w płuca wilgotne, ale ciepłe powietrze. Spojrzał przez szybę na zbliżające się nadbrzeże portu Friederikshavn. Prom Stena Line kończył trzygodzinny rejs z Göteborga. Wysoki mężczyzna dopił latte, zjadł ostatni kęs bułki cynamonowej, zapłacił sto trzydzieści koron szwedzkich i wstał z wygodnego niebieskiego fotela w barze. Podarł bilet, za który zapłacił trzydzieści euro, i wrzucił go do kosza na śmieci. Nikt nie powinien wiedzieć, w jaki sposób dostał się do Danii. Przeszedł korytarzem pomiędzy szpalerem foteli lotniczych, w których drzemali jeszcze niektórzy pasażerowie. Zapiął marynarkę w kratę, odgarnął dłonią z czoła rozwiane od wiatru siwe włosy i włożył popielaty tweedowy kaszkiet. Poprawił brązowe rogowe okulary i pogładził się dłonią po kilkudniowym zarostie. Na chwilę jeszcze wyszedł na odkryty pokład, aby przyjrzeć się pasażerom. Stał przy pomarańczowym kole ratunkowym z napisem *Göteborg Stena Jutlandica*.

W tym momencie usłyszał huk wystrzału. Spojrzał na nadbrzeże. Przy pękatej, białej wieży, która w przeszłości pełniła funkcję twierdzy broniącej wejścia do portu, zauważył grupkę osób. Kiloro przebranych było w historyczne stroje z początku osiemnastego wieku. Mieli na sobie krótkie czarne spodnie do kolan i białe podkolanówki oraz białe koszule, a głowy przykryte kapeluszami w kształcie pieroga. Ponownie ładowali niewielką armatę

czarnym prochem, aby po raz kolejny z niej wystrzelić. Obok zgromadził się tłum turystów.

Kjell poszedł do wyjścia. Przed zejściem na betonowe nabrzeże jakiś duński marynarz przywitał go:

– *God morgen.*

– *Hej* – odpowiedział zdawkowo Carlsson, ominął go i skierował się w prawo.

Doszedł do zabytkowej Wieży Prochowej, w której znajdowało się muzeum. Obok ciągle trwał historyczny spektakl. Ponownie usłyszał głuchy strzał, a następnie krzyk dzieci. Poczł zapach prochu. Z drewnianej ławki wstało dwóch aktorów i zaczęli się pojedynkować na szpady. Kjell na chwilę zatrzymał się i stanął w tłumie. Obserwował jednak ludzi, a nie tak widowiskowo walczących mężczyzn. Po chwili przeszedł przez ulicę i wszedł w Fladstrangsgade. Minął zamknięty kościół, następnie wykonany z rudej cegły budynek Escape Denmark i wszedł na deptak. Skręcił do pierwszego napotkanego sklepu z pamiątkami. Na ścianach wisały duże, reklamujące uroki Danii plakaty stylizowane na lata trzydzieste. Carlsson przez moment popatrzył przez witrynę, czy ktoś nie kręci się w pobliżu sklepu. Chodząc spokojnym krokiem po niewielkim pomieszczeniu, oglądał różne drobiazgi, a w rzeczywistości sprawdzał, czy nie jest obserwowany. Po kilku minutach wyszedł ze sklepu i wrócił w kierunku portu. Stanął przy budce z hot dogami i zamówił jednego z białą, cienką kiełbasą i jasnożółtą musztardą. Zapłacił dwadzieścia koron. Usiadł obok na ławce. Jadł powoli, a twarz wystawił w stronę intensywnie jeszcze operujących promieni słońca. Nie przestawał lustrować otoczenia.

Carlsson obsługiwał tajne schowki organizowane na terenie Danii i Norwegii, a także w północnych Niemczech. Ponieważ wielokrotnie realizował podobne zadania z zakresu łączności bezosobowej, to czuł się w tym fachu ekspertem. Każdorazowo musiał zrealizować trasy sprawdzeniowe, obsłużyć schowek oraz przenieść złożony w nim materiał z punktu A do punktu B. Czasami jego

czynności kończyły się niebezpośrednim, błyskawicznym przekazaniem materiałów. Ale nawet w tej sytuacji Kjell nie widział, komu je dostarcza. Wszystko odbywało się z zachowaniem pełnej konspiracji. Zwykle odgrywał rolę szwedzkiego turysty na emeryturze. Dlatego miał ze sobą papierową mapę, przewodnik i aparat fotograficzny. W szwedzkim Örebro, gdzie mieszkał od kilku lat, wśród sąsiadów uchodził za emerytowanego urzędnika, który swoje stare lata postanowił spędzić nad wodami rzeki i jeziora w pobliżu rezerwatu Tysslingen.

Kjell zwerbowany został przez radziecki wywiad ponad trzydzieści lat temu, gdy układ geopolityczny w tej części Europy był zupełnie inny. Pracował wtedy w sztokholmskim urzędzie spraw migracyjnych. Pewnego dnia wiosną 1981 roku podeszła do niego na ulicy atrakcyjna kobieta, turystka z Finlandii, która prosiła go o wskazanie drogi do hotelu. Po krótkiej rozmowie poszli razem na kawę. Spotkanie było na tyle wciągające, że następnym lokalem, który odwiedzili, to był bar z alkoholem. Pamięta, że pił czerwony, lekko gorzkawy aperol z lodem i kawałkiem pomarańczy, uzupełniony pięćdziesiątką czystej wódki. Następnego dnia obudził się nagi w swoim mieszkaniu. Nikogo przy nim nie było, a w głowie miał kompletną pustkę. Nic nie pamiętał i czuł się źle. Wymiotował i musiał wziąć wolny dzień w pracy.

Kilka dni później ponownie spotkał na ulicy tę samą kobietę. Miała na imię Cristine. Znowu poszli na kawę. Gdy usiedli, kobieta bez słowa wyjaśnienia rzuciła na stół szarą kopertę. Gdy ją otworzył, zbladł. To były zdjęcia aktów seksualnych z nim i jakąś kobietą. Jednak na żadnym zdjęciu nie było widać jej twarzy. Carlsson był zaskoczony tym, co zobaczył. Po chwili, gdy emocje nieco opadły, Cristine wyjęła z teczki kopię akt osobowych członka Schutzstaffel, czyli nazistowskiej SS. Carlsson nie miał wątpliwości, że dotyczą jego obecnie bardzo schorowanego ojca, który był po zawale i z podejrzeniem choroby nowotworowej. Przyjrzał się im szczegółowo i nie był w stanie uwierzyć.

Per Jacobsen, bo takie widniało nazwisko na dokumentach, należał do DNSAP – duńskiej partii nazistowskiej. Później wstąpił do pułku Waffen SS

Nordland. Na jednym z załączonych zdjęć stał w mundurze SS obok Fritsa Clausena, przywódcy duńskich nazistów. Jacobsen z wyróżnieniem ukończył szkołę SS w duńskim Høvelte i został skierowany na front wschodni. Z akt wynikało, że nie tylko uczestniczył w walkach z Armią Czerwoną, ale także w działaniach o charakterze policyjnym. Asystował członkom Einsatzgruppen w zabójstwach sowieckich jeńców i ludności żydowskiej. Brał udział w likwidacji tysięcy Żydów w Taganrogu nad Morzem Azowskim. „Jakim cudem zachowało się to zdjęcie?” – zastanawiał się i patrzył na fotografię ojca na tle dołu pełnego powyginanych, nagich ciał. W 1944 roku został ranny i wrócił do Danii. Po rekonwalescencji zaczął współpracę z grupą składającą się z weteranów Waffen SS, nazywaną grupą Petera, która na polecenie niemieckiej policji bezpieczeństwa dokonywała morderstw na duńskich cywilach. Z opinii jego przełożonych wynikało, że w czasie całego przebiegu służby był wyjątkowo zaangażowany. Karierę zakończył w stopniu Untersturmführera ze srebrną odznaką Za rany.

– Skąd wiedziałaś? – wydukał z siebie, ciągle miętosząc dokumenty.

– O czym? Że będziesz sam w mieszkaniu? Cóż, nie zostałeś wylosowany. Wiemy o tobie sporo. Wiemy, gdzie pracujesz, czym się zajmujesz. – Cristina zapaliła papierosa. – Wiemy także, że ujawnienie tego, co mamy, mogłoby złamać twoją karierę urzędnika szwedzkiego – dodała z naciskiem.

– Czego chcecie?

– Abyś się przespał z tym tematem i jutro zatelefonował pod ten numer. – Podała mu karteczkę. – Pamiętaj, że jeżeli coś pójdzie nie tak, materiały te trafią do odpowiednich osób. – Wstała i wyszła.

Kjell Carlsson następnego dnia zadzwonił pod wskazany numer. Na kolejnym spotkaniu dostał półtora tysiąca amerykańskich dolarów. Dwa miesiące później miał pojechać do Finlandii, na niewielką wyspę Kuusisto na południe od Turku. Tam w niewielkim gospodarstwie rybackim, na kompletnym odludziu, odbył krótkie szkolenie wywiadowcze. Dowiedział się, jakie ma wykonywać zadania, w jaki sposób z wykorzystaniem schowków kontaktowych przekazywać

informacje i jak budować trasy sprawdzeniowe. Potem okazało się, że Kjell był na tyle zdolnym agentem, iż zdecydowano o jego dalszym przeszkoleniu. Służby radzieckie interesowały na początku spisy uciekinierów z tak zwanych krajów demokracji ludowej, a potem zeznania konkretnych osób składane przed urzędnikami imigracyjnymi. Za przekazywane informacje otrzymywał od kilkuset do półtora tysiąca dolarów. To pozwoliło mu przeznaczyć dodatkowe pieniądze na terapię ojca. Dzięki temu wsparciu – był tego pewien – przedłużył mu życie o ponad dziesięć lat.

Po przejściu na emeryturę Kjell przeniósł się do Örebro i zajmował się już tylko obsługą schowków. Nabrał dużej praktyki i wyrobił w sobie takie nawyki, które pozwalały mu szybko rozpoznawać sytuacje odbiegające od normy, mogące świadczyć o zainteresowaniu się nim osób trzecich, czy nawet miejscowych służb. Opanował do perfekcji ocenę tego, co może być dla niego niebezpieczne. Tylko raz, krótko przed przejściem na emeryturę, podejrzewał, że stał się celem zainteresowania szwedzkiej policji bezpieczeństwa SAPO. Wtedy ustalonym kanałem łączności alarmowej poinformował o tym swoich moskiewskich mocodawców. Zdecydowano, że przez rok nie będzie podejmować żadnych czynności. Kiedy zakończył pracę zawodową, nikt się już nim nie interesował.

Kjell jeszcze raz się rozejrzył. Nie zauważył nic podejrzanego. Wstał z ławki i wolnym krokiem ruszył deptakiem na południe. Przy Urmager skręcił na wschód, minął Handelsskole i wszedł na parking znajdujący się obok budynku publicznej szkoły. Zatrzymał się przy czarnej toyocie avensis i nachylił przy przednim, prawym kole samochodu. Dotknął lewą dłonią opony. Wydawało się, że sprawdza, czy rysa na niej nie jest pęknięciem. Wyprostował się. Chwilę potem otworzył kluczykiem drzwi pojazdu, wsiadł za kierownicę i ruszył. Ominął miasto od wschodu. Początkowo jechał na północ, ale w Elling skręcił w lewo i wąską, praktycznie nieuczęszczaną drogą, sprawdzając, czy ktoś przed nim albo za nim nie jedzie, dotarł do drogi numer 35. Jechał wolno na zachód. Nie spieszył się. Do odtwarzacza włożył płytę ze składanką utworów z lat

osiemdziesiątych. Gdy słuchał *Bohemian Rhapsody* zespołu Queen, minął Sønderskov, a potem Hjørring. Zaraz za tym miastem skierował się na południowy zachód. Po kilkudziesięciu minutach był już w Løkken. Na rondzie odbił w kierunku kościoła i plaży.

Zatrzymał samochód w miejscu, gdzie asfaltowa droga przechodziła w piasek. Nie miał ochoty wjeżdżać na plażę. Bał się, że może się zakopać. Wysiadł z toyoty. Z siedzenia pasażera zabrał swój mocno wypłowiały i obszerny niebieski plecak. Podszedł do budynku toalety, znajdującego się po prawej stronie drogi. Odkręcił zewnętrzny kran z wodą zdatną do picia, obmył ręce i twarz. W okolicy nikogo nie było. Wszedł do budynku. W jednej z kabin za rezerwuarem znalazł przyklejone taśmą dwa klucze z przywieszką z numerem 3. Schował je do kieszeni i spuścił wodę. Zszedł na plażę. Zdjął buty i skarpety oraz podwinął końcówki brązowych sztruksowych spodni. Mocniej wcisnął na głowę czapkę. Morze Północne tego dnia było wzburzone, gdyż wiał mocny wiatr. Oznakowany na żółto posterunek ratowników wodnych był pusty. Sezon kąpieli dawno się zakończył.

Mężczyzna podszedł do brzegu morza i ruszył na południe. Co kilka metrów sięgał ręką po małe muszelki. Przeszedł pięćset metrów i odwrócił się. Nikogo nie zauważył. Jedyne w oddali dostrzegł wyciągniętą na brzeg łódź rybacką. Carlsson wrzucił do morza garść zebranych muszli, obejrzał się i zawrócił. Szło mu się ciężko. Nogi mu się zapadały, a silny wiatr chłostał twarz i obsypywał go ostrym piaskiem. Spojrzał na zegarek. Minęła trzynasta. Dotarł do rzędu białych domków plażowych ustawionych przy wydmie. Rozejrzał się. Skierował się do trzeciego z kolei, obszedł go od prawej strony, wyjął klucz i otworzył boczne drzwi. Wszedł do środka. Panował półmrok, bo białe okiennice były szczelnie zamknięte. Podszedł do niewielkiej szafy na ubrania, otworzył ją i odgarnął leżące na jej dnie stare ubrania. Wyjął z kieszeni niewielki składany nóż Fällikniven pc. Podważył ostrzem sklejkę. Uniósł ją. Pod spodem natrafił na dwa solidne metalowe kółka spięte dużą kłódką. Włożył kluczyk i przekręcił go.

Kłódka puściła. Pociągnął za uchwyty. Kłapa, z lekko piszczącymi zawiasami, otworzyła się i odkryła spory schowek.

Kjell wyjął z plecaka latarkę i włączył ją. Jasny, zimny snop światła skierował na pakunki owinięte w szary papier i przewiązane sznurkiem. Wyjął je, jeden po drugim. Rozciął sznurek nożem i odwinął papier. Były to cztery obrazy. Przeniósł je na łóżko. Obejrzał i sprawdził, czy mają odpowiednie nalepki i sygnatury wskazujące, kto przed laty był ich właścicielem. Nie interesował się specjalnie tym, co przedstawiają te płótna. Zwrócił jedynie uwagę, że są to jakieś krajobrazy. Z plecaka wyjął folię bąbelkową i owinął nią każdy obraz. Następnie wyjął złożony, nieużywany szary papier i zapakował przedmioty. Paczkę zabezpieczył srebrną taśmą klejącą. Grubym, czarnym flamastrem napisał adres: *Nadia Chodkowsky Frederick, Maryland (MA), USA*, nazwa ulicy i numer domu. Na papierze przybita była już pieczęć nadawcy: *Lindholm Høje Museum*.

Powtórnie sprawdził schowek. I dopiero teraz zauważył na jego dnie kartkę. Skierował na nią światło i przeczytał: *Musimy się szybko spotkać. E.* Schował ją do kieszeni. Wziął paczkę pod pachę i skierował się do wyjścia. Wyszedł z domku i zamknął drzwi. Zlustrował otoczenie. Było bezpiecznie. Przechodząc przy narożniku domku, zatrzymał się. Popatrzył na piękny nadmorski krajobraz. Pod lekko odstającą deskę wcisnął klucze. Zrobił to tak, aby paczka zasłoniła wykonywaną czynność, tworząc martwe pole dla ewentualnych obserwatorów. Wrócił do samochodu i włożył paczkę z obrazami do bagażnika toyoty. Usiadł za kierownicą. Z kieszeni marynarki wyjął smartfona i przez specjalnie zainstalowany w nim komunikator wysłał krótką informację. W zakodowany sposób potwierdził odbiór przesyłki oraz dodał, że Eric wyznaczył pilne spotkanie.

Ruszył na południe w kierunku Aalborga. Na peryferiach miasta znalazł się po półgodzinie. Przejechał most nad fiordem, a po kolejnych kilkuset metrach zjechał w kierunku uniwersyteckiego szpitala Nord. Po krótkiej chwili poszukiwań znalazł miejsce do parkowania. Wyjął paczkę i skierował się na Reberbansgade.

Wszedł do utrzymanego w pomarańczowej stylistyce punktu DinPcPartner. Młody mężczyzna przyjął paczkę i wypisał rachunek z adresem. Kjell rozmawiał z nim po angielsku. Starał się, aby sprzedawca nie wyczuł jego szwedzkiego akcentu. Za nadanie przesyłki do USA zapłacił trzy tysiące koron duńskich. Wszedł, rozejrzał się i podszedł do baru Pita Mix. U arabskiego sprzedawcy zamówił falafela i colę. Gdy wychodził, przed bar z rykiem silników podjechały dwa czerwone ferrari, z których wysiedli mężczyźni wyglądający na Arabów. Głośno gestykulowali, ale Kjell ich nie rozumiał. Poczł za to od nich intensywny zapach palonej marihuany. Usiadł na chwilę przy drewnianym stoliku obok baru i dokończył kanapkę. Wrócił do samochodu i ruszył w kierunku Frederikshavn. Musiał zdążyć na powrotny rejs promu do Göteborga. Miał dwie godziny.

* * *

Białe volvo v40 wjechało w bramę przy ulicy Vesterbro. Mężczyzna zatrzymał się na zapleczu hotelu, na obskurnym parkingu, który w przeszłości pewnie pełnił funkcję warsztatu. Miał ze sobą tylko niewielką torbę. Wszedł do recepcji hotelu Gestus w centrum Aalborga. Dzień wcześniej zameldował się tutaj, podając ukraiński paszport na nazwisko Naryszkin. Wszedł po schodach na piąte piętro. Kartą z chipem otworzył swój jednoosobowy pokój. Podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy stało dwóch podpitych Inuitów w puchowych kurtkach, którzy coś do siebie mówili.

Zasłonił okno i włączył światło. Z torby wyjął lateksowe rękawiczki i maseczkę ochronną na twarz. Założył gogle. Na kawałku grubej czarnej folii postawił metalowy kieliszek z wygrawerowanym dwugłowym czarnym orłem, a z niewielkiego, hermetycznie zamkniętego pudełka ostrożnie wyjął szklaną buteleczkę z atomizerem. Nacisnął i spryskał wnętrze kieliszka. Odczekał, aż opar swobodnie opadnie. Potem włożył kieliszek do foliowej torebki strunowej. Pozostałe rzeczy wrzucił do zwykłej reklamówki. Uruchomił starą nokię i wybrał numer z pamięci. Połączył się z Lindholm Høje Museum.

Eric Sørensen, czterdziestoletni brodacz, poprawiał w gablocie ozdoby przeznaczone na sprzedaż w muzealnym sklepiku. Przed chwilą wrócił z pobliskiego prastarego cmentarzyska wikingów, po którym oprowadzał wycieczkę Irlandczyków. Godzinę chodzili pomiędzy setkami kamieni, pod każdym znajdowały się szczątki wojowniczych synów tej ziemi, którzy tysiąc lat temu – co wynikało z ekspozycji – wprowadzali nowoczesne metody uprawy roślin i hodowli zwierząt.

Dzwonek telefonu na biurku usłyszał, gdy był w sąsiednim pokoju. Podszedł, podniósł słuchawkę i bez zastanowienia zapytał:

– *Hej, hvordan kan jeg hjælpe dig?*

– Eric?

– Tak – odpowiedział.

– Otrzymaliśmy informacje, że chciałeś się pilnie spotkać – usłyszał w języku angielskim.

– Tak. Musimy porozmawiać.

– Dobrze. Gdzie? – zapytał mężczyzna.

– Może po prostu u mnie na jachcie? Cumuję na przystani przy Standpark, na lewo od mostku.

– O której?

– Może być o siódmej.

– Okej. Mam dobrą wódkę, napijemy się.

– Do zobaczenia.

Naryszkin odłożył nokię na szafkę i wyciągnął się na łóżku przykrytym niebieską narzutą. Nie zdejmował butów. Miał przed sobą dwie godziny snu. Zjawił się w tym duńskim prowincjonalnym mieście tylko po to, aby zabezpieczać zadanie, które miał wykonać Carlsson.

* * *

Granatowy sztormiak, czarne spodnie, gumowe buty i obcisła czapka. Dla przypadkowego przechodnia mężczyzna mógłby wyglądać jak rybak, który

niebawem ruszy na nocne łowy swoim kutrem. Samochód zostawił kilkaset metrów przed przystanią. Postawił go na pustym o tej porze dnia parkingu przy placu zabaw na Gadegårdsvej, w takim miejscu, aby w pobliżu nie było kamer. Jadąc na miejsce spotkania z Erikiem, zatrzymał się przy pobliskim Lidlu i do kontenera na śmieci wrzucił zwiniętą reklamówkę.

Ruszył wolnym krokiem parkową ścieżką w kierunku brzegu fiordu. Po kilku minutach dojrzał światło na przystani. Miał szczęście. Cumował tam tylko jeden jacht. Była to niewielka jednostka zbudowana pod koniec lat siedemdziesiątych w brytyjskiej stoczni Cornish Crabbers.

– Jurij? – Z kokpitu wysunęła się głowa brodacza.

– Nie. Eric?

– My się nie znamy. – Na twarzy duńskiego muzealnika pojawił się niepokój.

– Prosiłeś o pilne spotkanie. Jurija tutaj nie ma. Ja jestem zamiast niego – odpowiedział łagodnie mężczyzna.

– W takim razie zapraszam.

Mężczyzna w granatowym sztormiaku wszedł na jacht i usiadł na drewnianej ławie na rufie. Rozejrzał się. Sørensen wystawił niewielki turystyczny stoliczek. Postawił na nim półlitrową butelkę absoluta i dwa kieliszki. Usiadł obok.

– Nie wypływamy?

– Nie. Nie miałem takich planów – odpowiedział Duńczyk.

– Wywołałeś spotkanie. O czym chciałeś porozmawiać?

Eric odkręcił butelkę i nalał wódkę do kieliszków. Podniósł jeden i podał gościowi.

– Za nasze ostatnie spotkanie – powiedział.

– Ostatnie, mówisz?

– Tak, nie chcę już mieć z wami nic wspólnego.

– To taki wielki wysiłek robić zdjęcia wpływającym do portu okrętom zamiast na przykład ptakom? Przecież dostajesz za to pieniądze.

– Co to za pieniądze.

– Ale jednak.

– Z mojej strony to już koniec. Nie chcę tych waszych pieniędzy. Nie chcę, abyście się ze mną kontaktowali.

– Dlaczego?

– Po prostu. Nie chcę mieć z wami więcej do czynienia.

– Ale co się stało? Wysłucham wszystkiego. Ktoś cię przestraszył? Czegoś się boisz? Jeśli tak, to mogę ci pomóc. – Gość Sorensena opróżnił kolejny kieliszek wódki.

– Doskonale wiesz, że nie były to tylko zdjęcia, ale również umieszczanie obok tych okrętów jakichś urządzeń. Nie wiem, do czego służyły, ale ktoś mógł mnie zauważyć. Boję się, żeby się mną nie zainteresowali.

– Nie przesadzasz?

– Nie. Poza tym to już nie jest tak jak kiedyś.

– To o co ci chodzi?

– Po prostu nie podoba mi się to, co robicie. Słyszę, co się wokół was dzieje, i nie chcę w tym uczestniczyć.

– A co? Odezwał się w tobie duński patriota? Zacząłeś znowu kochać biało-czerwone chorągiewki?

– Nie wkurzaj mnie. Mierzi mnie ta wasza propaganda. Kiedyś to była jakaś ideologia, a teraz tylko prostacki imperializm.

– Komunizm ci się podobał? Poważnie?

– Nie chcę brać udziału w tych waszych ciemnych sprawach, a potem trafić do więzienia. Tylko tyle i aż tyle. – Eric ponownie nalał wódki.

– Co zamierzasz?

– Co planuję? Robić swoje. Zajmować się archeologią. W każdym razie przekaż dalej, że to koniec współpracy.

W tym momencie Naryszkin gwałtownie wstał i przewrócił stół. W ostatniej chwili Eric złapał przewracającą się butelkę. Oba kieliszki jednak rozbiły się o tekową podłogę. Gość, udając niezdarność, zmiażdżył je podeszwą gumyaka.

– O, *fuck*, potłukły się – zaklął Duńczyk.

– Trudno. Dobrze więc. Skoro nie, to nie. Usiądź, dokończymy butelkę.

– Ale to były ostatnie dwa kieliszki.

– Nie martw się, mam swoje!

Mężczyzna wyjął z kieszeni sztormiaka dwa metalowe kieliszki. Postawił je na podniesionym stoliku, wyjął butelkę z ręki Sørensen a i nalał wódki. Podniósł jeden z nich.

Duńczyk spojrział na odbicie księżyca w wodzie.

– Musisz sobie kupić takie jak moje. Nie tłuką się. – Zaśmiał się. – To co, na zakończenie, z podziękowaniem za dobrą współpracę. Ile to było lat?

– Za dużo... – Eric wziął kieliszek z wygrawerowanym czarnym orłem i podniósł go do ust. Przez kolejne kilka minut Naryszkin spokojnie obserwował, jak jego rozmówca stopniowo zastyga. W świetle nadbrzeżnej lampy wyglądał, jakby powoli zamieniał się w manekina. Sørensen zaczął się bezgłośnie dusić. Nie był w stanie nic zrobić ani wydobyć z siebie słowa. Po chwili, widząc stan Duńczyka, Rosjanin wstał i nogą mocno pchnął bezwładne ciało za burtę. Wpadło do fiordu z głośnym pluskiem i szybko zniknęło w ciemnej otchłani. Przez pewien czas w miejscu tym wydobywały się jeszcze pęcherzyki powietrza.

Naryszkin podniósł ostrożnie kieliszki i schował je do plastikowej torebki strunowej. Następnie starannie zebrał kawałki pokruszonego szkła. Wziął do ręki butelkę i wytarł ją. Podobnie zrobił z miejscem, gdzie siedzieli. Dodatkowo spryskał pokład jachtu znalezionym w kokpicie płynem do czyszczenia toalet, po czym zszedł na ląd i zniknął w ciemności.

Rozdział 15

Dynów, Warszawa (Polska) – wiosna 1961

Armando umówił się z Mietkiem Marszałkiem w Dynowie, niewielkim miasteczku między Rzeszowem a Sanokiem. Usiedli w pobliżu rynku po wyjściu z lodziarni, którą prowadził znajomy Marszałka, Szajnik. Między kwadratowe wafle włożone były dwie kulki o smaku śmietankowym. Przed sobą mieli kolumnę z pomnikiem króla Władysława Jagiełły, który podobno odwiedził te okolice zaraz po bitwie pod Grunwaldem. Siedzieli w centrum rynku, wokół którego stały podniszczone piętrowe pożydowskie kamienice. Obok starsza kobieta sprzedawała wodę z saturatora. Zwiastowało to rychłe nadejście lata. Winiecki przyjechał swoją syreną 101, którą kupił niedawno z zakładowego przydziału w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu, gdzie pracował jako inżynier w biurze projektowym.

– Co się stało, Mietek? Przez telefon nie mogłem cię zrozumieć. Gadałeś jakoś bez ładu i składu. A wiesz, że nie jest mi tak łatwo wyrwać się tutaj ze stolicy. To kawał drogi po tych wertepach – rzucił Winiecki.

– A jak ci miałem powiedzieć?! Nigdy nic nie wiadomo, kto słucha. Co chwila u nas w PKP kogoś przepytuje bezpieka po powrocie z trasy do Wiednia. Wiesz, że kuszetkowy na trasie międzynarodowej to intratna posada. Nie chcę się w coś wpieprzyć, choć i tam mają mnie na oku. W każdej chwili mogę przestać jeździć na trasach międzynarodowych – odpowiedział podenerwowany Marszałek.

– Dobra. Co tam masz dla mnie?

– List od Romka Czakuckiego. Zastanów się, czy odpowiesz. – Wręczył złożoną kartkę papieru, wstał i podszedł do saturatora.

Na twarzy Armanda pojawiła się bruzda, czytał z uwagą. Jego dawny przełożony informował, że w końcu przygotował dla niego i jego żony drogę przerzutu z Polski na Zachód. Ale jeszcze przed ucieczką poprosił, żeby odnalazł jego syna. Dodał, że może nosić nazwisko matki albo przybranego ojca.

– Coś odpiszesz? Co mam odpowiedzieć Czakuckiemu? – zapytał Marszałek.
– Bo jak wchodzisz w to, to mam drugi list ze zdjęciami.

– Dla jego syna?

– Tak.

– Dawaj. Bezpieczniej będzie, jak mu powiesz, że znajdę go, jeśli żyje. A potem z Izą pryskamy.

– Kontakt utrzymujemy jak dotychczas?

– Tak. Uważaj na bezpieczeństwo, zwłaszcza tych z Departamentu I MSW. To nie są idioci.

– Uważam. Przecież wiem, jak jest.

– Mają podobno w Wiedniu kilkuosobową rezydenturę.

– Zorientowany jesteś, Armando!

– A jestem. A ty ciągle te swoje małe interesiki robisz z tymi, co wyrwali się od czerwonych?

– Wiesz, jakie mam przebicie na dżinsach, pończochach, tranzystorach? O listach i różnych przesyłkach nie wspomnę...

Armando nachylił się do Marszałka i dodał szeptem:

– Dobra. Nie pieprz, tylko pamiętaj, że jak wpadniesz, to wszyscy będziemy mieli przejebane: ty, ja, Czakucki i parę innych osób. Niewykluczone, że będziesz musiał jeszcze coś dla nas przerzucić. Jesteś naszym najpewniejszym kanałem.

– Byłem, Armando, byłem. Powtarzam ci, czuję, że ci z SB mają na mnie oko. A tak z ciekawości, co by to było?

– Pamiętasz, jak trzy lata temu tutaj, w kościele Świętego Wawrzyńca, wyciągaliśmy z krypty dwie drewniane walizki?

– Spod zachodniej kruchty! Dobrze, że je sprzątnęliśmy, bo mówią, że generalny remont kościoła ruszy niebawem.

– Tak. Te same.

– To cholernie trefny towar, Armando. Mogę być za krótki, a ryzyko teraz też za duże.

– Mietek. To bardzo ważne. Dam ci znać, kiedy się widzimy. Serwus, Mieciu.

– Uścisnął dłoń Marszałkowi, który właśnie wypił resztki czerwonego napoju ze szklanki.

Winiecki wsiadł do beżowej syrenki. Musiał rano być w pracy na Żeraniu.

W 1944 roku rząd polski w Londynie otrzymał od zachodnich aliantów dziesięć milionów dolarów amerykańskich, z czego osiem i pół miliona wysłano do pewnego miasteczka na południu Włoch. Utworzono tam tajny ośrodek działający pod kryptonimem Elba, który podlegał operacyjnie SOE – Special Operations Executive. Jego zadaniem było organizowanie zrzutów dla AK. Dowodził nim podpułkownik Marian Dorotycz-Malewicz, posługujący się danymi legalizacyjnymi Ryszard Hańcza. Był zaufanym człowiekiem generała Stanisława Tatara.

Na początku 1945 roku było oczywiste, że o pieniądze upomną się służby Jej Królewskiej Mości. W tym czasie trzech oficerowie Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza zawiązali tajny tak zwany Komitet Trzech, którego zadaniem było ukrycie funduszy z Elby. W skład komitetu weszli generał Tatar, pułkownik Nowicki i podpułkownik Utnik. Część pieniędzy schowano w utworzonej specjalnie w tym celu Szkole Radiotechnicznej w Rzymie. Resztę środków, w wysokości pięciu milionów dolarów, przekazano do dyspozycji polskiego rządu na uchodźstwie.

Wiosną 1945 roku prezydent RP zlecił generałowi Andersowi przejęcie pieniędzy pozostałych z Elby. Anders kazał Hańczy udostępnić wszystkie fundusze i przekazać je pod opiekę służb wywiadowczych 2. Korpusu. Hańcza

nie zgodził się na to. W zamian zaproponował oddanie pieniędzy pod opiekę stacjonujących w Niemczech 1 Dywizji Pancernej i Samodzielnej Brygady Spadochronowej. W czerwcu polecono Andersowi zorganizowanie transportu pieniędzy z Rzymu do brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Tymczasem Anders zlecił wywiadowi 2 Korpusu operacyjne rozpracowanie Hańczy celem ujawnienia miejsca ukrycia przez niego pozostałych pieniędzy. Szybko ustalono, że w Rzymie pozostało ponad milion dolarów w ramach funduszu o kryptonimie Drawa. Hańcza, podejrzewając, że coraz intensywniej prowadzone będzie jego rozpracowywanie, postanowił ukryć pieniądze Drawy u polskich zakonników w klasztorze bonifratrów na Wyspie Tyberyjskiej w Rzymie. W końcu Hańcza został pilnie wezwany do siedziby generała Andersa koło Ankony. W tym czasie oficerowie wywiadu zajęli budynek Szkoły Radiotechnicznej, potem wkroczyli do klasztoru na wyspie i zabezpieczyli przechowywane tam pieniądze. Hańcza został aresztowany. Osadzono go w areszcie domowym sto kilometrów od stolicy Włoch. Po kilku dniach uciekł i wrócił do swojego rzymskiego mieszkania. Jednak było ono już wtedy pod stałą obserwacją oficerów wywiadu. W pewien październikowy poranek do jego mieszkania wszedł patrol żandarmów celem powtórnego aresztowania. Padł strzał. Według zeznań żandarmów Hańcza popełnił samobójstwo.

Tymczasem w Londynie generał Tatar postanowił przeznaczyć część pieniędzy z Elby, jak to określił, „na odbudowę zniszczonego kraju”. Natomiast pozostałą kwotę w 1947 roku przewieziono do Warszawy razem z FON – Funduszem Obrony Narodowej.

Czym kierowali się przekazujący aktywa finansowe władzom w Warszawie? Ustalenie tego spadło na Armanda, wtedy już kapitana, Piotra Winickiego. W miarę możliwości miał rozpoznać, czy mogły za tym od początku stać radzieckie służby specjalne. Winicki wraz z Godlewskim prowadzili sprawę Hańczy. Na polecenie podpułkownika Czakuckiego dowodzili akcją w Szkole Radiotechnicznej, weszli do mieszkania Hańczy oraz znaleźli pieniądze w klasztorze. Koordynowali działania również wtedy, kiedy Hańcza kończył

swoje ostatnie w życiu śniadanie, a oni siedzieli kilkadziesiąt metrów dalej w willisie zaparkowanym przed kościołem Santa Prisca. Armando czuł się wtedy trochę jak kiedyś w Iraku pod Chanakinem, kiedy namierzyli radziecką radiostację.

Kiedy Winiecki wyjeżdżał do Polski, cały czas pamiętał rozmowę w Rzymie z Czakuckim i Filipem. Czakucki twierdził, że wcale nie był pewien, czy to brytyjskie MI6 nie stało za sprawą Komitetu Trzech i polskimi rękami chciało coś ugrać z Moskwą. Dlatego o jego misji wiedzieli nieliczni. Niedługo po powrocie do Polski Winiecki wpadł w ręce bezpieki. W 1951 roku został skazany za szpiegostwo. Kiedy wyszedł z więzienia po ogłoszeniu amnestii, nie przestał badać tej sprawy. Miał dowody na to, że w całą tę operację zamieszane było NKWD.

* * *

Było ciepłe wrześniowe niedzielne popołudnie. Dzwon w wieży obok katedry Świętego Jana wybił szóstą. Armando powoli wchodził na trzecie piętro staromiejskiej kamienicy przy ulicy Piwnej 7 w Warszawie. Kilka miesięcy zajęło mu znalezienie informacji o synu jego dawnego przełożonego z 2 Korpusu. Pomogło mu szczęście. W liście przekazanym przez Marszałka Czakucki pisał o kamienicy w Lidzie przy Białogrudzkiej 29, w której mieszkała matka jego syna. W tym samym domu mieszkała również kolejarska rodzina Judyckich, którzy mieli dwóch chłopców, rówieśników jego syna. Armando założył, że jeśli przeżyli wojnę, to powinni dalej pracować na kolei. Ich adres poznał od znajomego zawiadowcy z nastawni kolejowej na Żeraniu. Kosztowało go to wprawdzie parę części zamiennych do syrenki i warszawy, ale było warto. Odnalazł ich na Śląsku, w Gliwicach. Jeden pracował w Okręgowej Dyrekcji PKP.

Teraz stał przed dużymi, ciemnymi drzwiami w warszawskiej kamienicy. Zadzwoił dwa razy. Armando, który zwykle był opanowany i niejedno przeżył,

nagle zaniemówił. Stał jak zamurowany. Chciał coś powiedzieć, ale tylko otworzył usta.

– Słucham pana – powiedział wysoki, przystojny mężczyzna w wyjściowym mundurze oficera Wojska Polskiego w randze podpułkownika.

– Czy pan... czy pan Romuald... Dragun? – w końcu wydukał i wymienił nazwisko jego matki, które Czakucki podał w liście.

– Tak, a co chodzi?

– Nie wiem, czy mogę o tym mówić na korytarzu. Chodzi o pana ojca... pana imiennika. – Mówił to niepewnym głosem, ale szybko zrozumiał, że mężczyzna błyskawicznie skojarzył.

– Zapraszam – powiedział.

Weszli do przedpokoju, a potem skręcili w lewo do salonu.

– Proszę spocząć. Haniu, zrób nam herbatę, zanim z Anią wyjdziecie na spacer! – krzyknął do krzątającej się po kuchni młodej kobiety. – Słucham pana. Co pan wie o moim ojcu? – zapytał podpułkownik.

– Zanim wszystko opowiem, to mam dla pana list. Nie wiem dokładnie, co w nim jest, ale myślę, że nim porozmawiamy, powinien go pan przeczytać.

Oficer wziął kopertę. Rozerwał energicznie jej brzeg. Był nieco zdenerwowany. Wyjął kilka kartek papieru i przedwojennych zdjęć. Armando dostrzegł na jednym kobietę z kilkuletnim chłopcem. Obok, jak mu się wydawało, stał chyba młody Czakucki w mundurze galowym. Oficer czytał w skupieniu o tym, co wiedział tylko on i jego matka Anna i czego nie podał w żadnej ankiecie personalnej. I o tym, że naprawdę urodził się w innym roku, miesiącu i dniu, dlaczego musiał uciekać z Nowogródzczyzny i ukryć się w Wojsku Polskim. Oficer miał pewność, że taką wiedzę piszący mógł mieć tylko od jego matki. Dragun słabo go pamiętał. Razem jeździli nad rzekę. Kojarzył jego mundur galowy i rogatywkę z granatowym otokiem korpusu piechoty. Potem coraz rzadziej ich odwiedzał. Później wybuchła wojna.

– Czy mam wezwać patrol Wojskowej Służby Wewnętrznej? – zapytał oficer.

– Myśli pan, że jestem prowokatorem? Tak, to u was normalne, ta chora podejrzliwość. Może pan wzywać, czemu nie? Ja też dużo ryzykuję, przychodząc do pana. Tylko co wtedy, gdy WSW zwinie mnie z tymi papierami? To chyba spotkamy się na Rakowieckiej. Był pan tam kiedyś?

– Byłem. W czterdziestym siódmym. Zamknęli mnie, bohatera spod Białogardu, gdzie rozwaliliśmy trzydziestu dwóch werwolfowców. Wielu też uchroniłem przed zbirami z UPA.

– A za co pana zgarnęli?

– Bo byłem zbyt naiwny, zbyt młody i głupi...

Oficer dłuższy czas milczał. Spoglądał to na Armanda, to na zdjęcia. Widać było, że intensywnie myśli. Jego żona postawiła na stoliku dwie filiżanki z gorącą herbatą.

– Ładnie pachnie? Gruzińska! Przywiozłem niedawno ze Związku Radzieckiego. Dobrze pan znał mojego ojca... panie Winiecki, zgadza się? – zapytał i spojrzał w oczy Armanda.

– Tak, dobrze go znałem. Był moim dowódcą. Był i jest prawdziwym oficerem, z krwi i kości. Zawsze dbał o ludzi. Cieszył się autorytetem u podwładnych i przełożonych. Koleżeński i lubiany. Choć czasem porywczy. Zna się na robocie. Ale najbardziej w nim cenię to, że ma dystans do rzeczywistości, w jakiej się znaleźliśmy. W armii był nawet krytyczny w stosunku do swoich przełożonych, zwłaszcza pod koniec wojny, kiedy stało się jasne, że wszyscy na Zachodzie nas zostawili, a czerwoni nazwali zdrajcami. Bo byliśmy, jak to u was mówiono... psami łańcuchowymi Andersa.

– Rozumiem, że razem pracowaliście... w służbach informacyjnych?

– Tak, to była Dwójka. To chyba major napisał?

– Nie, nie napisał. To jak ty się... Winiecki tu wpakowałaś? Mogłeś zostać w Londynie albo gdzieś tam...

– Mogłem, ale powiedzmy, że dostałem taki rozkaz.

– Od kogo ten... powiedzmy rozkaz? Od nieuznawanych oficerów, zgorzkniałych generałów, gabinetowo-kanapowych polskich polityków

w Londynie?

– Od pańskiego ojca! Coś panu powiem, pułkowniku. Z żoną wróciłem statkiem do Gdyni we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Dwa lata później mnie aresztowali. Przesiedziałem trochę razem z banderowcami i hitlerowskimi zbrodniarzami. Należałem do tych szczęśliwców, którym nie była pisana kulka w łeb. Nic na mnie nie mieli. O swojej przeszłości nic nie mówiłem, to mnie w końcu zostawili w spokoju. Potem dokończyłem studia na Politechnice Warszawskiej i poszedłem do pracy w FSO na Żeraniu. Myślałem, że może coś się zmieni w pięćdziesiątym szóstym, ale nic takiego się nie stało. Pański ojciec zawsze przestrzegał mnie przed perfidią czerwonych. Już się wyleczyłem z Polski Ludowej. Teraz chcę żyć normalnie. Chcę stąd pryskać z żoną. Nie wiem jak, nie wiem kiedy...

– Szczery pan jesteś, panie Winiecki – odpowiedział oficer.

– Nie mam wyjścia, panie pułkowniku. Czy może powinienem powiedzieć, towarzyszu pułkowniku.

Dragun przeczesał dłonią krótką grzywkę. Uśmiechnął się.

– Koszty nie grają roli – dodał Winiecki.

Armando z Izą od pół roku zbierali pieniądze na ucieczkę. Sprzedali niedawno kawalerkę w Warszawie. On wymówił pracę na Żeraniu. Mieli lada dzień przenieść się do Leska, gdzie zatrudnić się miał w Sanockiej Fabryce Autobusów Autosan. Załatwił już odpowiednie dokumenty. Iza miała zapewnioną pracę jako księgowa w ośrodku wypoczynkowym dla górników, mieszczącym się w dawnym zamku Krasickich. Chcieli być bliżej granicy i nie rzucać się w oczy.

– Powiedz mi pan, jak mnie znalazłeś? – zapytał oficer i odetchnął głęboko.

Armando przyznał, że poszukiwania Draguna trwały prawie trzy miesiące.

– To widzę, że czegoś cię tam, panie Winiecki, Anglicy nauczyli na tych kursach. W jakim stopniu zdemobilizowałeś się pan?

– Kapitana. Mówi pan tak, jak kiedyś pana ojciec mówił do mnie i do kolegi w Bagdadzie. To było we Włoszech.

– Jak chcecie uciec z Polski?

– Przejść granicę w Bieszczadach. Potem może dotrzemy do Koszyc albo Preszowa i stamtąd na Węgry... A może spróbujemy przez zieloną granicę? Jeszcze tego nie ustaliliśmy.

– Za dużo tych może, kapitanie, za dużo...

Podpułkownik wstał z kanapy i podszedł do okna. Rozpiął mundur. Poluzował krawat. Zaczął patrzeć na wewnętrzne, puste podwórko kamienicy graniczące z odbudowanymi murami obronnymi Starówki. W salonie zapadła cisza. Podszedł do szafki i wyjął butelkę gruzińskiego koniaku. Nalał dwa pękate kieliszki. Postawił je na stoliku.

Przesunął jeden do Winieckiego i stuknął go delikatnie swoim.

– Posłuchajcie, kapitanie. Kierunek przez góry jest dobry. Ale musicie mieć motocykl na rzeszowskiej rejestracji, a jego wydech należy maksymalnie wytłumić. Musicie szybko przemieścić się ze stref nadgranicznych: polskiej i czeskosłowackiej. Droga piesza odpada.

– Sami możemy jakiś motocykl przerobić z żoną.

– To kim jest pana żona? – Uśmiechnął się Dragun.

– W czasie wojny Iza zrobiła kilka kursów dla mechaników samochodowych. Była szoferem, prowadziła ciężarówki, jeszcze w Palestynie. Zna się na tym. Panie pułkowniku, rozumiem, że nie możemy zabrać ze sobą poza dwoma plecakami żadnego bagażu?

– Co ma pan na myśli?

– Na przykład dwóch walizek...

– Wykluczone, kapitanie. Za duże ryzyko. Nie możecie wyglądać jak uciekinierzy. Termin... Trzeba to zrobić szybko, jesienią, ale jeszcze przed pierwszymi śniegami. Pojedziecie z Leska motocyklem do Cisnej. Myślę, że powinniście tam wcześniej spędzić trochę czasu, żeby się do was przyzwyczaili. Jakieś sobotnio-niedzielne wypady turystyczne. Trochę ludzi po szlakach górskich zaczyna się już kręcić. Potem ruszycie na Humenne w Czechosłowacji. W Koszycach wsiądziecie w pociąg do Pragi, ale pojedziecie do Wiednia.

Dostaniecie ode mnie dokładną trasę, tak aby ominąć czechosłowackie patrole, a także informację o najlepszym dniu i porze wyjazdu.

– Tak po prostu do Wiednia? Pociągiem?

– Nie tak po prostu, kapitanie. Skontaktuję pana z moim znajomym z Dyrekcji Okręgowej PKP w Katowicach. On wszystko panu wytłumaczy, gdzie, kiedy i z kim się spotkacie. W jaki sposób będziecie podróżować. Musi pan jak najszybciej jechać do niego, do Gliwic.

– Czy chodzi o pana... Gerarda... Judyckiego? Czy pan pułkownik od niego wiedział, że pana szukam?

– Słyszałem, że ktoś o mnie pyta, ale nie miałem pojęcia kto i dlaczego! Aha, trzeba się z nim rozliczyć, bo będą wydatki. Ale to jedyny człowiek, któremu można zaufać. Znamy się ponad trzydzieści lat. To niebezpieczne przedsięwzięcie... Ale to najlepszy sposób. Nie ma innego wyjścia, kapitanie.

– A pieszo...? Przez zieloną granicę z Austrią?

– Wykluczone. Kilka lat temu zbudowali na granicy ogrodzenie elektryczne. Niedawno postawili już trzeci rząd tego ogrodzenia. W rozciągniętej na drewnianych słupach siatce napięcie wynosi wiele tysięcy woltów. W niektórych miejscach system uzupełniony jest pułapkami minowymi – pomiędzy dwoma barierami zasieków położono radzieckie miny przeciwpiechotne POMZ-2. Do tego na granicy operują tysiące funkcjonariuszy różnych służb. Mieliśmy już kilkunastu Polaków, co tam się spalili... Chce pan, żeby żona też zawisła zwęglona na zasiekach, a pan obok niej?

Dragun widział zdjęcia zabitych przy przekraczaniu elektrycznej zapory – jak ją nazywali czechosłowaccy pogranicznicy. Z materiałów informacyjnych WOP-u wynikało, że niektórzy uciekinierzy do butów mocowali gałęzie albo deski. Próbowali przechodzić między drutami na czworakach lub przetaczali się na leżąco. Byli i tacy, którzy próbowali pokonać je trójskokiem, na szczudłach albo skacząc o tyczce.

Dragun dodał, że pogranicze czechosłowacko-austriackie zostało oczyszczone. Wsie wysiedlono, a budynki mieszkalne i gospodarcze wyburzono,

aby nie stały się kryjówką dla uciekinierów. Oszczędził jednak Winieckiemu szczegółów. Wiedział od swoich kolegów z WOP-u, że w te pułapki wpadali też funkcjonariusze graniczni. Wielu zginęło porażonych prądem, inni postrzeleni przez kolegów. Niektórzy wybrali to miejsce do popełnienia samobójstwa.

Rozdział 16

Sanok, Cisna, Roztoki Górne (Polska), Koszyce
(Czechosłowacja) – jesień 1961

Czarna wołga GAZ-21, którą podpułkownik Romuald Dragun podróżował z Warszawy, przejechała most na Sanie w Sanoku. Skręciła w lewo. Była w dzielnicy Olchowce i zatrzymała się przed bramą 24. Batalionu Czołgów Średnich. Oficer ustalił, że samochód zostawi na terenie jednostki i pobierze GAZ-a 69. Dowódcę 9. Dywizji Piechoty, w której skład wchodził sanocki batalion, znał jeszcze z okresu walk z UPA. Jako młody porucznik zwiadu w Grupie Operacyjnej *Lublin* miał stały kontakt ze sztabem GO *Rzeszów*. Wtedy pierwszy raz spotkał generała Jana Drzewieckiego. Potem wielokrotnie z nim współpracował. Bardzo go cenił. Zwłaszcza po tym, gdy w memorandum z 1956 roku domagał się większego uniezależnienia operacyjnego polskich Sił Zbrojnych od sojuszników oraz nadania im charakteru narodowego.

Do dzisiaj jego słowa tkwiły mu w uszach: „Bardzo dobrze, Romuś, że mu przypierdoliłeś w ryja na tym balu w Krakowie. Jakby się mój przełożony dowalał tak bezczelnie do mojej pięknej żony, to też bym tak zrobił. I nie ma znaczenia, że to było po pijaku”.

Po powrocie z półrocznego szkolenia w Akademii Wojsk Rakietowych w Leningradzie trafił do Sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego na stanowisko starszego oficera operacyjnego. Dawało mu to swobodę podróżowania. Jako dawnego zwiadowcę i liniowca ciągnęło go w teren. Teraz miał do załatwienia inną sprawę.

Do spotkania w Cisnej miał jeszcze kilka godzin. Wiedział, że kręta i wyboista droga zajmie dużo czasu. Dragun nieprzypadkowo wybrał termin wypadu w Bieszczadach. Umówił się z kumplem Bronkiem – oficerem dowództwa 3 Karpackiej Brygady Wojska Ochrony Pogranicza. Znali się jeszcze z okresu służby w WOP na Suwalszczyźnie. Dragun doskonale wiedział, że Broniek przebywał na corocznej kontroli karpackich placówek. Operował między Wetliną, Roztokami Górnymi i Łupkowem. No i Broniek, tak jak on, był zapalonym myśliwym.

Draguna najbardziej interesowała 33. placówka WOP w Roztokach Górnych.

GAZ wjechał do Cisnej. Wieś robiła przygnębiające wrażenie, jakby działania wojenne dopiero się zakończyły. Puste pola, miejsca po spalonych gospodarstwach. Tylko gdzieś tam było widać nowo powstające domy pracowników leśnych. Dopiero gdy minął po lewej niewielki kościółek, zauważył przedwojenne zabudowania. Nie było ich dużo. Na wzgórzu dostrzegł resztki dawnych umocnień posterunku Milicji Obywatelskiej, którego funkcjonariusze odpierali ataki sotni Ukraińskiej Powstańczej Armii. Dotarł do skrzyżowania dróg. Naprzeciwko stała podłużna chałupa, a po lewej cel jego podróży – bar Leśny.

Podjechał pod budynek, którego frontową ścianę wykonano z pruskiego muru, przez co przypominał domy spotykane na Mazurach. GAZ-a zaparkował obok studni przykrytej dwuspadowym daszkiem. Niedaleko stał czarny motocykl marki Harley-Davidson WLA. Mocno wysłużony, ale zadbane, zapewne z demobilu. Dragun sięgnął po pokrowiec z dubeltówką i skórzaną torbę myśliwską. Na to, że był żołnierzem, spadochroniarzem i zwiadowcą wskazywały brązowe, wysoko sznurowane buty z wyraźnym protektorem i spodnie z kamuflażem w deszczyk z dodatkowymi kieszeniami na udach. Miał też na sobie ściągniętą wojskowym pasem myśliwską ciemnozieloną kurtkę.

Sprężystym krokiem ruszył do baru. Wewnątrz zastał znudzoną bufetową, a przy kwadratowym stoliku siedział Armando. Bujał się beztrosko na dwóch tylnych nogach metalowego krzesła. Wyglądał jak turysta. Jego twarz była

ogorzała od wiatru i słońca, a przerzedzone włosy lekko przyprószyła siwizna. W ręku miał oczyszczony nożem z kory kostur, który zapewne brał ze sobą na wędrówki leśnymi ścieżkami. Winiecki wyjął z plecaka metalowy termos z herbatą, odkręcił go i nalał do kubka. Odpakował z papieru kanapkę z masłem, serem i kiełbasą.

– Można się przysiąść? – zapytał mężczyzna, który podszedł do stolika.

– Proszę, miejsca jest sporo.

– Wygląda pan na turystę. Tak sam w górach? Z daleka?

– Nie sam. Z żoną. Poszła do piekarni obok po pieczywo i na plebanię popytała o jakąś kwaterę dla znajomych na następną sobotę. Nie z daleka, z Leska. Przyjeżdżamy tu od końca lata. Piękna okolica, choć pusta. A pan na polowanie?

– Tak, umówiłem się z kolegą myśliwym na jakiegoś koziołka albo sarenkę. Może się napijemy. Ja stawiam.

Na październikowy blat stolika wjechała podana przez bufetową wódka nalana w dwie poobijane musztardówki. Rozmawiali o górach, walkach z UPA, nadchodzącej zimie. Kiedy bufetowa stwierdziła, że nie mówią o niczym ciekawym, wytarła leniwie lepki od rozlanego wcześniej piwa blat i poszła na zaplecze.

– Wiesz, pułkowniku, że twój ojciec, gdzieś w tej okolicy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku organizował specjalne schowki ewakuacyjne?

– Coś o takich miejscach słyszałem. Znajomy z WOP-u mi opowiadał. Podobno jeden odkryli tu niedaleko, w Żubraczem. Była tam nasza polska broń, kilka visów, amunicja, trochę wypłowiałych ubrań cywilnych i konserw. Wszystko dobrze zabezpieczone. Aż dziw bierze, że nie odkryli go ani Niemcy, ani banderowcy po wojnie.

– I co, pułkowniku? Niedługo będę mógł panu powiedzieć „do zobaczenia w wolnej Polsce”, jak to się u nas mówiło na pożegnanie w 2. Korpusie. – Armando przygładził włosy potargane podczas jazdy motocyklem.

Dragun ostrożnie spojrział na Winieckiego i krótko rzucił:

– Pojutrze o piątej rano ruszacie na przełęcz i na Humenne. Ale godzinę jeszcze potwierdzę. Mapy i szkice mam w torbie. Weź ją pan. Są tam też dla was bilety kolejowe do Pragi oraz parę drobiazgów przydatnych w podróży turystycznej po Czechosłowacji. Wszystko sprawdźcie. A jutro, powiedzmy tak o dwunastej w południe, widzimy się tutaj. Przekażę panu bieżące informacje o tamtej stronie granicy. Ubrania macie przygotowane?

– Tak, choć nie było łatwo je zdobyć.

– W porządku. Legendę dla was przygotowałem. Jest płytka, ale dla czechosłowackich milicjantów starczy. Pomógł mi w tym dobry kolega, który był na szkoleniu w hucie.

– W hucie? Jakiej hucie?

– Tak, w hucie. Wszystko jest opisane. Gdzie się zatrzymaliście?

– Tak jak zawsze w domu nadleśniczego.

– Bardzo dobrze.

– Panie pułkowniku. Niech pan pamięta. Te rzeczy, które panu zostawiłem, są bardzo ważne. Ktoś po nie się zgłosi...

– Nie martw się, chłopie. Przekaż ojcu, że będę ich pilnował jak oka w głowie. Zamuruję w piwnicy domu na mojej działce koło Chynowa. Pamiętaj, że osoba, którą po to przyślecie, ma się powołać na pana, na ojca i musi mieć ze sobą zdjęcie. To, na którym jestem razem z mamą i ojcem na majówce nad Lidą.

W tym momencie do baru weszła szczupła blondynka o delikatnych rysach, mrużąc oczy, tak jak to robią małe kotki. To była Iza, żona Armanda.

– To ja się pożegnam. Życzę udanego pobytu w Bieszczadach.

Dragun odszedł sprężystym krokiem. Wsiadł do GAZ-a, a potem ruszył w kierunku Majdanu.

– Armando, kto to był? Znasz go? – spytała Iza.

– Jakiś myśliwy. Postawił wódkę, trochę pogadaliśmy. Ale ten chleb pachnie. Kupiłeś dwa bochenki?

– Tak. Przecież więcej do plecaka mi nie wejdzie.

* * *

Samochód Draguna powoli piął się pod górę. Po prawej stronie rozpościerał się widok na dolinę dawnej wsi Roztoki Górne, po której nie było już śladu. Jedynie drzewa owocowe i krzewy wskazywały, że stały tu kiedyś gospodarstwa. W końcu z daleka, przy samej drodze, zauważył trzykondygnacyjny murowany budynek kryty blachą. Znalazł się na miejscu. Podjechał pod bramę. Z budki wartowniczej wyszedł żołnierz WOP-u i zasalutował. Dragun zatrzymał samochód obok dwóch motocykli M-72 z koszem, trzech GAZ-ów i produkowanej w Polsce na radzieckiej licencji ciężarówki marki Lublin-51. Ruszył na schody prowadzące na wysoki parter. Wielkie drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich niewysoki mężczyzna w mundurze podpułkownika.

– Romek, chłopie! Kopeć lat cię nie widziałem! Dobrze, że już dotarłeś! Pójdziemy jutro przez przełęcz na Jasło. Może jakiegoś koziołka uda nam się ustrzelić na kolację. Dali mi znać z nadleśnictwa, że jedziesz.

– Ale ja nikomu nic nie mówiłem.

– Wiesz, sieć informatorów i różnych uchołi to podstawa pracy operacyjnej na granicy. Zapomniałeś?

– Jasne. Skoczę wieczorem do Cisnej po wódkę, to im podziękuję za opiekę w drodze – odpowiedział.

– Daj spokój. Chodź. Wódki u nas pod dostatkiem. Fakt, to zwykła berbelucha pędzona po domach. Ale mamy tu ulubionych dostawców. Niektórzy obdarzeni są talentem gorzelniczym.

– Wolałbym na tego koziołka iść pojutrze. Pewnie popijemy, a jestem zmęczony drogą.

– Jak sobie życzy pan pułkownik.

Mężczyźni minęli oficera dyżurnego i skierowali się do pokojów gościnnych placówki.

– A powiedz mi, Romeczku, bo nigdy nie było okazji cię o to spytać. Jak sobie poukładałeś życie po tej sprawie na granicy litewskiej? Wiesz, oni kazali

nam wtedy różne rzeczy podpisywać. Że jesteś niełojalny wobec przełożonych, że nie interesujesz się zagadnieniami doby obecnej, że jesteś niekonsekwentny, zarozumiały, nieobowiązkowy, o wygórowanych ambicjach, że łatwo ulegasz obcym wpływom i takie tam pieprzenie. Po prostu, żeby cię obsmarować i uwalić – powiedział Bronek, nalewając kolejny kieliszek wódki.

Dragun popatrzył na niego chłodnym wzrokiem. Uśmiechnął się. Pokiwał głową, ale nic nie mówił.

– Romeczku. Nie zapomnę ci, że nie sypnąłeś mnie z tym Kuprajtisem. Człowiek był głupi i naiwny. Miało się nie wydać. – Wychylił kieliszek. – W każdym razie jestem twoim dłużnikiem – dodał.

– Widzisz, Bronek, jakoś się poukładało. Skończyłem Wyższą Szkołę Piechoty na kierunku zwiadu, a potem Rembertów. Przez rok 3. Dywizja Piechoty, kurs wyszkolenia spadochronowego i tworzenie 9. i 16. batalionu powietrzno-desantowego w Krakowie. I ta pieprzona aferka z żoną... Wiesz która. Usadzili mnie w sztabie w Warszawie. A teraz mam niespodziankę. Wróciłem niedawno z Leningradu. Mam coś dla ciebie. – Postawił na stole pękatą brązową butelkę. – Ormiański ararat. Będziesz miał na święta, stary – dodał.

– Dziękuję, byku! W wielki świat ruszyłeś, jak widzę!

– Poza tym szczerze. Nie wiem, czy te działania nie były odpryskiem sprawy generała Kuropieski, naszego dowódcy w 15 Dywizji Piechoty. Może szukali niepasujących im oficerów. Miałem szczęście, ale słyszałem, że ktoś się miał za mną podobno wstawić. Może ten generał ze Szczecina... Jaruzelski? Zналиśmy się z okresu walk z UPA i z tymi leśnymi spod Hrubieszowa. Nie wiem, stary. Nie wiem. W aktach kadrowych nic nie ma na ten temat. Udało się. Bronek, a jak tu jest. Jak sytuacja?

– W tej placówce jest ponad pięćdziesięciu żołnierzy. Mamy czasem problemy, bo wyobraź sobie, że oni tu urządzają jakieś potańcówki, a nawet dziwki sprowadzają. Ja wiem, służba ciężka, prawie siedemnaście kilometrów

granicy do pilnowania. Głusza, a jak zasypie śniegiem, to szkoda gadać. Trzeba czasem oko przymknąć na różne sprawy. Rozumiesz?

– Tak. Ale ja nie o tym. Jak ruch na granicy i po tamtej stronie? Na kierunku na Preszow i Koszyce.

Bronek popatrzył na Draguna. Chyba wiedział, o co chodzi. Nie pytał.

* * *

– Nareszcie! Jesteśmy już w Koszycach! – Iza krzyknęła z tylnego siedzenia do skupionego na jeździe Armanda. – Zatrzymaj się! Sprawdzimy mapę.

Zaparkowali harleya na przedmieściach miasta, przy zniszczonym ogrodzeniu. Oboje zdjęli z twarzy radzieckie gogle wojskowe.

– Co tak śmierdzi? Czujesz?

– To jakaś sadza w powietrzu czy coś?

Mieli za sobą ponad sto osiemdziesiąt kilometrów kluczenia po wschodniej Czechosłowacji. Ciche i niezauważone dotarcie z Cisnej zajęło im prawie dwanaście godzin. Byli zmęczeni górskimi drózkami, dziurawą drogą od Sniny i deszczową pogodą, która im pomogła ominąć patrole. Każdorazowo, gdy zbliżali się do jakiejś miejscowości, zatrzymywali się i obserwowali teren. Pułkownik dobrze wybrał im marszrutę. Omijali miejscowości, gdzie były duże posterunki VB – czyli czechosłowackiej milicji. Tylko raz, w okolicach Humennego, widzieli na drodze niebieską skodę 1202 z białym paskiem z napisem *Veřejná bezpečnost*. Ale albo nie wzbudzili ich zainteresowania, albo po prostu milicjantom nie chciało się wychodzić na deszcz. Wtedy Armando sprawdził, czy otrzymany od Draguna vis dobrze się trzyma za pasem pod kurtką. Oboje zdawali sobie sprawę, że jak zostaną zatrzymani przez taki patrol, to mogą skończyć w rękach miejscowej bezpieki. Wiedzieli, że jak *Státní bezpečnost* sprawdzi ich dokumenty, to się już nie wywiną i zgniją w więzieniu, zapewne pod zarzutem szpiegostwa.

– Popatrz, Piotr. Stoimy chyba tutaj. – Iza pokazała na mapie palcem w niebieskiej skórzanej rękawiczce napis *Židovský Cintorín*. – Czyli do stacji

kolejowej zostały nam jeszcze ze trzy kilometry.

– Iza, powinniśmy się gdzieś przebrać, bo wyglądamy jak partyzanci po akcji w tych brudnych kurtkach, przemoczeni... Musimy prezentować się jak para inżynierów z Huty Warszawa.

Ustalili, że w razie legitymowania mieli opowiedzieć, że są na miesięcznym szkoleniu w walcowni metali kolorowych na obrzeżach Koszyc. Armando miał być inżynierem technologiemi walcowania, a Iza obróbki chemicznej na wytrawialni. Z Warszawy przyjechali pociągiem przez Zebrzydowice. Mieszkają w hotelu pracowniczym. Codziennie do pracy dojeżdżają kolejką podmiejską. Teraz jadą na dwudniową wycieczkę do Pragi.

– Piotruś, popatrz na moje włosy. Muszę coś z nimi zrobić... – Zaczęła wpychać je pod zawiązaną pod szyją chustkę.

– Cholera, trzeba gdzieś ukryć motocykl. Może tutaj? – Wskazał na mapie napis *Železničná nemocnica*. – Przez ten park będziemy mieli z siedemset metrów. Odjazd mamy o szóstej czterdzieści pięć. Za godzinę będzie ciemno.

– Piotruś, skąd masz takie dokładne mapy i bilety kupione w Czechosłowacji?

– Mam. Po prostu.

– Najbardziej podobają mi się czechosłowackie wiśniowe, lakierowane półszpilki. Nie mogę się doczekać, żeby je włożyć. No i też te czechosłowackie niebieskie śpioszki w pajacyki... Za sześć miesięcy się przydadzą.

– Jak to się przydadzą?! Komu?!

– Nam.

– Iza! Kochana! Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

– Bo chcę urodzić nasze dziecko w wolnym kraju. Gdybym ci powiedziała, to kazałbyś mi czekać. Ja już nie mogłam. Dusiałam się w tym komunistycznym bagnie.

Armando przytulił Izę. Ucałował ją w głowę. Wsiedli na harleya. Uruchomił go i pokręcił manetką kilka razy.

– Ruszamy, kochanie!

Po kilku minutach dostrzegli obskurny dwupiętrowy budynek. Przejechali przez zardzewiałą, uchyloną na stałe bramę. Byli na tyłach szpitala kolejowego. Nikogo nie dostrzegli. Armando ustawił motocykl za beżowym ambulansem Škody. Na podwórku zauważyli niewielki budynek gospodarczy. To była kotłownia. Weszli do środka, aby się wysuszyć i przebrać. Nie mogli być za wcześnie na dworcu. Wiedzieli, że skład podstawiany jest mniej więcej pół godziny przed odjazdem.

* * *

– Ustrzeliłeś niezłą sztukę. I kto by pomyślał. Weszliśmy na Jasło i nic. Zeszliśmy na Okrąglik i nic. Na przełęcz i nic. Dopiero na Roztokach... Chłopaki z placówki podjadą po niego GAZ-em. Tylko zaznaczę miejsce jakąś gałęzią z kawałkiem szmaty! – rzucił Bronek, przekrzykując północno-wschodni wiatr.

– Kucharz niech zrobi gulasz – odpowiedział Dragun.

– Romek, dzisiaj żaden patrol nie ruszył w góry, jak prosiłeś. Rozumiem, że lubisz ciszę na polowaniu. A tak serio. W co ty grasz, chłopie? Chcesz się w coś wpieprzyć?

– Bronek, pamiętasz sprawę z Kuprajtisem? Pamiętasz, co mi mówiłeś u Rytwińskiego w Rewelach? O co prosiłeś?

– Pamiętam, Romeczku.

– To nie był mój były akowski dowódca z Wileńszczyzny, tylko twój. Czasem są sprawy ważniejsze. A poza tym dobrze wiesz, że jakby coś się wtedy wydało, to ciebie by tu teraz nie było. Wszyscy, którzy byli związani z przedwojennym Korpusem Ochrony Pogranicza, Strażą Graniczną czy wojskiem, po pięćdziesiątym pierwszym roku wylecieli z WOP-u. Niektórzy prosto do więzień.

– Wiem...

Bronek jakby uciekł myślami. Po chwili dodał:

– Mam nadzieję, że im się udało.

– Komu?

– Dobra pogoda. Po tamtej stronie leje...

Dragun popatrzył na kolegę, uśmiechnął się serdecznie, klepnął go w ramię i rzucił głośno w jego stylu:

– No, wracajmy, robi się ciemno. Niech no chłopaki po tego koziołka jadą, bo zaraz wilki się do niego dobiorą.

– Romeczku. Może jutro przestrelimy te visy?

– Możemy.

– Pytałeś mnie wczoraj o ten przedwojenny pensjonat w Cisnej, o jego właścicieli. Co cię na takie wspominki wzięło?

– A tak jakoś. Ktoś mi coś o nim niedawno opowiadał.

– To dziwna historia. Mówił mi jeden przedwojenny policjant, że na samym początku września trzydziestego dziewiątego do Cisnej przez przełęcz weszli żołnierze węgierscy. Najpierw ograbili tartak Sommera, potem dwór, a na końcu pensjonat Pod Beskidem. Właściciela, pana... Herczkę, zabrali na opuszczony przez naszych posterunek policji. Tam podobno podciął sobie gardło brzytwą.

– Samobójstwo? Pewnie torturowali go, żeby zdradził, gdzie ukrył pieniądze.

– Też mi się tak wydaje. Żonę jego wywieźli później do Auschwitz, nie wróciła stamtąd. Jakimś cudem przeżyła ich trzyletnia córeczka. Miejscowi ją ukryli. Reszta też nie miała szczęścia. Sommera rozwalili krótko potem Niemcy w Zagórzcu wraz z wieloma Żydami z tych okolic. Modrzewiowy dwór, tam gdzie jest bar Leśny, spalony został przez UPA już po wojnie.

– Faktycznie tragiczna i smutna historia.

– Romciu, powiem ci, stary byku, przydałbyś się tutaj. Tu nikt nie pytał o legitymację partyjną, czy się jest z MO, z wojska, czy z WOP-u. Tu wszyscy byli razem, nawet rodzina jednego Włocha, który prowadził sklep w Cisnej, nawet Rusini. Tu wróg był tylko jeden. Każdy chciał przeżyć.

Rozdział 17

Warszawa, Katowice (Polska) – jesień 1961

Dwudziestopięcioletnia Nadia Chodkowska miała przed sobą drugie poważne zadanie w służbie sowieckiej ojczyzny. Warszawa była jej pierwszą placówką zagraniczną po zakończeniu kursu wywiadowczego zorganizowanego w ośrodku szkoleniowym KGB – Komiteta gosudarstwiennoj biezapastnosti pod Moskwą.

Założyła nogę na nogę. Miała na sobie ciemnoróżową sukienkę z marszczeniami i dekoltem w łódkę. Całości stroju dopełniały nylonowe pończochy, plastikowe białe klipsy i bransoletki oraz buty na niewysokim obcasie. Ponieważ zaczynały się już powoli jesienne chłody, Nadia włożyła krótki rozpinany sweterek barwy wrzosu. Na niewielkiej ławie położyła długie białe rękawiczki oraz kapelusz z szerokim rondem – ostatni krzyk mody wśród paryżanek. Poprawiła tapirowane, upięte w kok i usztywnione lakierem włosy.

Na stoliku stał niski, pękaty kieliszek z brązowym ormiańskim koniakiem, a obok niego prawie pełna butelka araratu.

– A wie, towarzyszka, że nie zawsze był taki smak – powiedział generał major Michaił Szyrkow, szef Grupy Łącznikowej KGB przy polskim MSW i przeczesał dłonią szpakowate włosy. Następnie uniósł kieliszek.

– Jak to, przecież to nasz specjał?

– To prawda. Nawet Churchill się nim zachwycił. Ale tylko do czasu.

– Do czasu?

– Towarzyszko, Churchill dostał w czasie wojny zapas araratu. Pewnego dnia poskarżył się Stalinowi, że stracił on swoją jakością, dobry... bukiet, jak mawiają

Francuzi. Towarzysz Stalin zainteresował się tym tematem i okazało się, że niejaki Margar Sedrakian, główny technolog wytwórni, został aresztowany. Towarzysz Stalin osobiście nakazał go uwolnić i przywrócić do pracy. I tak ten skarb – wskazał na kieliszek – odzyskał wyborny smak. A jaka płynie z tego nauka?

Nadia milczała. Patrzyła tylko w butelkę koniaku.

– Wszelkie decyzje trzeba podejmować rozważnie, bo mogą mieć wpływ nawet na relacje międzynarodowe – zakończył Szyrkow i opróżnił zawartość kieliszka.

Młodszy porucznik Nadia Chodkowska gościła w jego gabinecie w willi przy ulicy Belwederskiej 44 a w Warszawie. Przez okno mieli widok na okazały budynek ambasady ZSRR, mieszczący się po drugiej stronie ulicy.

– Czy jesteście gotowa, towarzyszko? – Generał zmienił ton.

– Tak, towarzyszu generale.

– No i dobrze. W sumie to jest proste zadanie. Jesteś kurierką, no, może z nietypową przesyłką. Pamiętaj, nie nawiązuj kontaktów z polskimi służbami. Oni pewnie będą w tym pociągu, bo to głównie ich towar wyjeżdża na Zachód. Jeśli zdarzy się, że wejdiesz przypadkowo z nimi w kontakt, to zachowaj ostrożność. Oni mają taką skazę... Nie są wobec nas zawsze do końca uczciwi.

– Nie są lojalni?

– Tak, tak. – Pogładził podbródek. – Z czasem nabierzesz doświadczenia i stracisz tę naiwną wiarę w ludzką życzliwość. Co zrobić? Decyzja o wykorzystaniu tajnej operacji polskiego wywiadu do realizacji naszych zadań zapadła na wrześniowej naradzie kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i KGB w Moskwie.

– To jaki jest z nimi problem?

– Ich feler polega na tym, że nie o wszystkim nam mówią. A przede wszystkim mają w swoich szeregach wciąż zbyt dużo Żydów, a to, jak pokazuje praktyka, niepewny element – ciągnął generał.

– Nie dochowują tajemnicy?

– O to, to, towarzyszeko. W dodatku co chwila któryś z polskich *jewriejskich* *razwiedzczikow* wybiera syjonistyczną ojczyznę i zabiera z sobą swoją wiedzę.

– Ale to przecież głównie starzy, sprawdzeni komuniści. Wielu szkolonych u nas.

– To prawda, ale jest jeszcze jeden problem, taka polska naleciałość... Im się wydaje, że mogą prowadzić własną politykę. Spójrz, towarzyszeko, jak pobłażają klerowi, prywatnej inicjatywie. Społeczeństwo w znacznym stopniu jest antysowieckie. Wszędzie są rewizjoniści i nacjonałiści. To nie służy dobrze naszym relacjom.

– No tak. Pewnie towarzysz generał ma rację.

– A pamiętacie tego, no jak mu tam... Michała Goleniewskiego?

– To ten ich pułkownik, co niedawno uciekł do Amerykanów?

– Tak, towarzyszeko. Pułkownik wywiadu. A miał być taki „najwierniejszy z wiernych, oddany przyjaźni z ZSRR, pewny politycznie”. A tu co mamy? Zwykły zdrajca. Ilu ludzi przez niego będzie teraz cierpiało? No bo jako człowiek nam bliski dużo wiedział.

– Pewnie na kontaktach z nami budował swoją pozycję w polskich służbach. Trzeba go będzie jakoś uciszyć?

– Trzeba będzie... Ta sprawa może mocno nadwerężyć polski wywiad, on znał nazwiska kilkudziesięciu agentów w Niemczech, USA i innych krajach. Nadiu, spójrz jeszcze raz na te zdjęcia. – Popchnął ręką po śliskim stoliku plik fotografii.

– A kto to? – Wskazała palcem na zdjęcie przedstawiające mniej więcej pięćdziesięcioletniego elegancko ubranego mężczyznę.

– To jest ten Barylczyk, polski Żyd. W czasie wojny był w tej ich faszystowskiej Armii Krajowej, opłacanej przez rząd londyński. Nie nawiązuj z nim lepiej kontaktu, bo to w zasadzie kryminalista. Przynajmniej ja tak uważam. Obserwuj go, to wystarczy. Może kiedyś w Wiedniu trzeba będzie się do niego zbliżyć, ale jeszcze nie teraz. Tym zajmie się nasza wiedeńska rezydentura – powiedział.

– Czy on robił coś dla ich wywiadu?

– Tak. Pomógł im przy sprawie tego ich kapitana, który zdradził we Francji.

Nadia, do której przyjaciele zwracali się Dinka, pochodziła z ukraińskiej chłopskiej rodziny zamieszkałej na Wołyniu. Wydarzenie, które do końca życia zapisało się w jej pamięci, rozegrało się późną wiosną 1948 roku w małej miejscowości w rejonie rówieńskim. Do domu, w którym mieszkała wraz z dwójką rodzeństwa i rodzicami, weszła sotnia UPA. Toporem zarabali całą czwórkę tylko za to, że ojciec, który wcześniej pomagał OUN – Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, zgodził się na założenie gospodarstwa kolektywnego. Nadia zdołała się ukryć przed zabójcami w piwnicy, która była wykopana pod podłogą drewnianego domu. Przez szczeliny pomiędzy deskami słyszała przebieg masakry, a potem widziała tylko spływające strugi krwi. Banderowcy zostawili kartkę wbitą bagnetem w kark jej ojca z napisem *śmierć informatorom NKWD*. Na ścianie chałupy wymalowali napis *seksoty*, czyli donosiciele. Gdy wreszcie przerażona wyszła ze swojej kryjówki, cała była umazana krwią. Miała zaciśnięte pięści, ale z oczu nie płynęły już łzy. To zmieniło jej życie. Nastoletnią sierotą zaopiekowali się funkcjonariusze sowieckich służb bezpieczeństwa. Początkowo chcieli oddać ją do sierocińca, ale postanowili wykorzystać do swoich celów.

Grupa operacyjna NKWD, do której trafiła Nadia, wyłapywała zrzuconych z brytyjskich samolotów banderowskich dywersantów, którzy wcześniej przechodzili specjalistyczne szkolenie w obozie dla dipisów w niemieckim Mittenwaldzie. Zwykle mieli oni przy sobie broń oraz fałszywe dokumenty i dolary amerykańskie. Gdy pomimo tortur złapany nie chciał mówić, wkraczali ludzie przebrani za Służbę Bezpieczeństwa OUN, pozorując odbicie więźnia. Umieszczali go w ziemiance i tam już spokojnie odpytywali jako swoi. „Uwolniony” przez przebierańców na ogół bez problemów podawał swoje kontakty. A Nadia, jako dziewczynka, która sprzątała, przygotowywała i podawała posiłek odbitemu, uwiarygodniała funkcjonariuszy sowieckiej bezpieki.

Znając doskonale język ukraiński i realia ukraińskiej społeczności, jeszcze w trakcie kursu wywiadowczego zgłosiła się do zadania specjalnego.

W październiku 1959 roku na dworcu kolejowym w Monachium spotkała się z Bohdanem Staszyńskim i przekazała mu niewielki pakunek ze specjalnie wykonanym dwulufowym pistoletem. Następnego dnia Staszyński poszedł do pewnej kamienicy. Gdy na klatce schodowej pojawił się Stepan Bandera, wystrzelił mu w twarz dwoma pociskami z cyjankiem. Mechanizm skruszył szklane pojemniki z gazem. Po chwili *prowidnyk* OUN już nie żył, a zabójca bez przeszkód się oddalił. W tym czasie Nadia była już w Berlinie Wschodnim i wsiadała do pociągu relacji Paryż – Moskwa.

Gdy Nadia opuściła gabinet warszawskiego rezydenta wywiadu KGB, ten podszedł do telefonu, który służył do bezpośredniej łączności z moskiewską Centralą. Podniósł słuchawkę i powiedział tylko:

– Wszystko dobrze. Zrozumiała. Będzie z niej świetny *razwiedczik*, towarzyszu generale.

Nadia weszła jeszcze na chwilę do swojego pokoju. Zabrała niewielką torebkę i włożyła rozszerzany rudy płaszcz zapinany na duże plastikowe guziki. W dłoni ścisnęła rondo swojego paryskiego kapelusza. Minęła wygłuszone pomieszczenie niewielkiego aresztu i wyszła z budynku, na którym znajdowała się mosiężna tabliczka biura handlowego radzieckiej ambasady. Zszedł z nią kierowca dźwigający dwie duże walizki, który sprawnie włożył je do bagażnika i zatrzasnął klapę. Nadia wsiadła do białej wołgi GAZ-21 na warszawskich numerach.

– Na Dworzec Gdański – powiedziała.

Już się ściemniało. Od kilku godzin siał z przerwami jesienny deszcz. Ruszyli prawie pustymi ulicami polskiej stolicy. Po dwudziestu minutach podjechali pod wejście nowoczesnego, przeszklonego budynku, obłożonego szarym i różowym piaskowcem. Dworzec pachniał jeszcze nowością. Panował na nim spory ruch. Przed dworcem parkowały trzy szare taksówki – Warszawy M-20, dwie wojskowe ciężarówki Star 66 i milicyjny GAZ-69 ze sterczącym

niebieskim kogutem nad przednią szybą. Do uszu dochodził warkot silników miejskich autobusów w nieodległej zajezdni. Na mokrym bruku słychać było stukot ciężkich, podkutych butów żołnierzy KBW – Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Szeregowcy z 1. Specjalnego Pułku – Pułku Ochrony Rządu, pchali przez przejazd i obniżenie od strony wiaduktu wypełnione niewielkie wózki pocztowe. Potem przenosili z nich przez rozsunięte boczne drzwi pierwszego wagonu pocztowego różnej wielkości drewniane skrzynie, zrolowane dywany, a także meble.

Nadia weszła do budynku dworcowego. Uchyliła szklane drzwi do restauracji i usiadła przy stoliku nakrytym białym obrusem. Kierowca postawił obok niej dwie walizki.

– Jesteście wolni. Wracajcie.

Wyjęła z torebki i rozłożyła czasopismo „Dookoła Świata”. Gdy zaczęła je przeglądać, stanął przy niej kelner. Odłożyła magazyn na krzesło. To był znak dla obserwującego ją oficera KGB. Do odjazdu pociągu miała jeszcze godzinę, dlatego zamówiła kotlet schabowy z gniecionymi ziemniakami i kapustą oraz herbatę. Gdy kelner odszedł, do jej stolika przysiadł się oficer moskiewskiej Centrali KGB – pułkownik Sokołow.

– Nie wstawajcie – powiedział spokojnym, przyciszonym głosem.

– Tak jest, towarzyszu.

– Tak jak się spodziewaliśmy, Polacy urządzili cyrk. Nie wiem, po co tu tyle wojska. – Położył na stoliku szarą kopertę. – To bilet i dokumenty przewozowe dla poczty dyplomatycznej, i na wszelki wypadek, gdyby coś się skomplikowało, pozwolenie wydane przez polskiego konserwatora zabytków i ministra kultury. Macie przy sobie paszport?

– Oczywiście.

– No dobrze. Miejsce do spania macie w wagonie numer dwa, w drugim przedziale. W następnym będzie czuwał nasz Igor. Znacie go z ambasady. W razie problemów pomoże, ale w czasie podróży się nie znacie – przypomniał zasady konspiracji, mówiąc ciągle przyciszonym głosem.

– Tak jest, towarzyszu pułk...

– Ciii... – przerwał Nadii.

Wtedy do restauracji wszedł Barylczyk. Kobieta bez najmniejszego trudu go rozpoznała. Miał na sobie popielaty płaszcz i ciemny kapelusz. Na jego twarzy malowało się skupienie. Postawił walizkę, a z ramienia zdjął skórzaną torbę. Usiadł przy stoliku obok.

– Posłuchajcie. Mam was odprowadzić do przedziału. Potem Igor was przejmie – kontynuował pułkownik.

W tym momencie kelner przyniósł zamówiony posiłek i zwrócił się do nowego klienta.

– Panie ober, co pan proponujesz? – Nadia usłyszała tubalny głos Barylczyka.

– Może taki sam zestaw jak dla tej młodej pani: schabowy, ziemniaczki i kapustka. Może być jeszcze zupa pomidorowa, jarzynowa lub rosół ... – Kelner stał przed nim lekko nachylony.

Na jego ramieniu wisiała wykrochmalona biała serwetka, a w ręku trzymał notatnik i ołówek.

– No to poproszę zestaw z rosołem i dwie czyste. Tylko szybko, szybko.

– Służę uprzejmie, szanownemu panu – powiedział kelner i odszedł.

Nadia bez pośpiechu zjadła obiad. Spojrzała na namalowaną na ścianie scenę przedstawiającą dziewczyny w kolorowych spódniczkach, z parasolkami w rękach. Rysunek ten przypomniał jej bajki dla dzieci oglądane w polskiej telewizji. Zostawiła na stoliku piętnaście złotych i wyszła z Sokołowem na peron. Było już zupełnie ciemno. Mdłe światła lamp odbijały się w niewielkich kałużach deszczu, zalegających na płytach chodnikowych peronów dworca.

Obok wagonu pocztowego kręcili się celnicy. Pilnował go też żołnierz KBW w zielonym mundurze, z pistoletem maszynowym na ramieniu. Nadia z Sokołowem podeszli do drugiego, ciemnozielonego wagonu, który miał ją dowieźć do Wiednia. Na płycie peronu, na wysokości uchylonych drzwi, stał w niebieskim mundurze kolejarskim pracownik WARS-u.

– Zapraszam, szanowną panią, proszę o bilecik – rzucił ze służbową serdecznością Mietek Marszałek.

Uśmiechnął się do kobiety i wziął od Sokołowa dwie walizki.

– *Poka, towariszcz pułkownik* – szepnęła z wdziękiem do ucha Sokołowa i pocałowała go w policzek, po czym ruszyła za kuszetkowym.

Lekko wspięła się na metalowe schodki wagonu. Marszałek zaprowadził ją do przedziału numer 2. Wrzucił na półkę walizki.

– Cholernie ciężkie, szanowna pani.

Chodkowska uśmiechnęła się i wsunęła mu do kieszonki dziesięć złotych. Po chwili usiadła na dolnej kanapie, na której leżała biała pościel z napisem WARS oraz pomarańczowy koc. Po kilku minutach wyjrzała na wąski korytarz. Igor stał kilka metrów od niej i przy otwartym oknie palił papierosa. Odwrócił się do niej, puścił oko, po czym znowu zapatrzył się w ciemność warszawskiego dworca. Deszcz jakby zaczął padać intensywniej. Najbliższa latarnia raz gasła, raz rozjaśniała się bladym światłem.

Na korytarzu pojawił się Barylczyk. Nadia nie zdążyła się schować do przedziału. Pięćdziesięciolatek spojrział na nią i uśmiechnął się.

– To pani jedzie z nami?

– Tak jakoś wypadło. – Popatrzyła na niego uważnie.

– Pani z kresów. Wyczuwam charakterystyczny, jakże śpiewny akcent...

– Tak jakby – odparła Nadia i wycofała się do przedziału.

Po kilku minutach jasnozielony, kanciasty elektrowóz pociągnął gwałtownie cały skład. W czasie szarpnięcia Nadia odruchowo złapała się krawędzi wyższego łóżka. Była sama w przedziale. Położyła się. Zaczęła wsłuchiwać się w równy stukot kół, ale nie miała ochoty na sen.

Po prawie dwóch godzinach jazdy Chodkowska wstała. Wyszła, zamknęła swój przedział na klucz i skierowała się do wagonu restauracyjnego. Przechodząc obok przedziału Igora, stuknęła plastikowymi bransoletkami w jego drzwi. Zatrzymała się. Zapaliła papierosa, czekając na swoją obstawę.

W restauracyjnym siedziało kilka osób. Z ich rozmów wynikało, że niektórzy nie jechali do Wiednia, ale do Częstochowy, Sosnowca, Katowic albo jakiejś czechosłowackiej miejscowości. W wagonie unosił się gęsty zapach papierosów i piwa. Dominująca była jednak charakterystyczna tylko dla takich miejsc woń mokrego, zardzewiałego metalu, podkładów i tłustego smaru wagonowych wózków.

Usiadła i zamówiła kawę. W tym momencie, kołysząc się od ściany do ściany, do wagonu wszedł Barylczyk. „Ten gość mnie prześladowa” – pomyślała Chodkowska.

Ten jakby odczytał jej myśli i skierował się do jej stolika.

– Mogę towarzyszyć szanownej pani? Można się przysiąść?

– Proszę – powiedziała. Nie miała innego wyjścia.

– A pani tak sama podróżuje? A dokąd to, jeśli można zapytać? Zakładam, że do Wiednia.

– Jak pan zgadł?

– No, tak ubierają się tylko światowe kobiety. Jak to się teraz nazywa? Aha, *young look*. U nas ten styl jeszcze mało popularny.

– Jest pan spostrzegawczy. No, no. I ta znajomość zachodniej mody. To rzadkość u mężczyzn.

– Zajmuję się trochę pokrewnymi tematami – powiedział i uśmiechnął się. – To jesteśmy skazani na siebie w tej podróży – dodał po chwili.

– Tak?

– Tak. Przynajmniej do Wiednia.

W tym momencie do WARS-u wszedł na oko trzydziestoletni mężczyzna z ciemnymi wąsami, bujnymi czarnymi włosami i w czarnej skórzanej kurtce. Rozejrzał się po wagonie. Wzrok zatrzymał na Barylczyku. Zamówił żywiecki Special w wąskiej butelce i usiadł przy kontuarze barowym. Co chwilę dyskretnie spoglądał na pięćdziesięciolatka. Nadia od razu wyczuła, że to może być jego opiekun z polskiej Służby Bezpieczeństwa. Ciemna kurtka tak opięła ciało, że z boku wystawał mu kawałek kabury.

– W celach zawodowych? – zapytał po chwili Barylczyk.
– Przepraszam, nie słuchałam. Jakich celach?
– Pytam, czy jedzie pani do Wiednia w celach zawodowych?
– Aaaa tak. Poniekąd... a pan? – Nadia już wiedziała, że nie uniknie rozmowy z człowiekiem, z którym nie powinna nawiązywać kontaktu.

– Zje coś szanowna pani?

– Nie, dziękuję. Jadłam obiad na dworcu.

– A ja bym jeszcze coś przekąsił. Pozwoli pani, że zamówię.

– Proszę bardzo – odpowiedziała Nadia.

„Plan legł właśnie w gruzach” – pomyślała. Barylczyk poszedł do bufetowego. Zamówił półlitrową butelkę jarzębiaku. Poprosił też o dwa kieliszki i garmażerkę w postaci białej kiełbasy i zimnych nóżek. Przy okazji szepnął coś do wąsatego trzydziestolatka. Ten jakby się zmieszał, wstał i rozpiął kurtkę, tak aby zakryła wystającą kaburę.

Nadia wiedziała, że rozmawiając z Barylczykiem, trochę ryzykuje.

– A pan sam podróżuje czy w towarzystwie? – zapytała z nutą kokieterii.

– W zasadzie sam. Nie licząc mojego licznego bagażu – odparł z uśmiechem.

– Bo ja, szanowna pani... repatriuję z Polski i wiozę z sobą część majątku.

Podniósł butelkę kolorowej wódki i nalał do kieliszków.

– Pozwoli pani, że tak bez zbędnych ceregieli, Cezary jestem. – Ujął dłoń Chodkowskiej i delikatnie dotknął jej ustami.

Była zaskoczona, ale nie traciła kokieteryjnego wyrazu twarzy.

– Nadia – odparła jakby z wahaniem. – To pan, panie Czarku, ucieka z Polski?

– Nie uciekam, tylko przenoszę się z nadzieją, że nadal będę pracował dla Polski. Jestem marszandem – odpowiedział spokojnie Barylczyk i ponownie nalał wódki do kieliszków. – A pani, pani Nadiu, czym się zajmuje?

– Pracuję... w polskiej misji dyplomatycznej w Wiedniu. Zajmuję się dyplomacją kulturalną – zaryzykowała, korzystając z bardzo płytkiej legendy.

– No proszę. To jesteśmy pokrewnymi duszami! Napijmy się za to!

Nadia doskonale wiedziała, jaki był cel jego podróży. Barylczyk dostał zgodę resortu bezpieczeństwa na wywóz majątku zgromadzonego między innymi na spekulacji z Żydami, od których często kupował za bezcen zabytkowe meble, biżuterię i dzieła sztuki. Teraz skrzynie z obrazami najznamienitszych polskich autorów: Chełmońskiego, Gierymskiego, Brandta, Matejki, Mehoffera i Siemiradzkiego oraz porcelaną miśnieńską i cennymi woluminami jechały w pierwszym wagonie pocztowym na początku składu.

Zgoda na wyjazd była swoistą nagrodą od komunistycznych władz. Barylczyk pomógł bowiem namierzyć miejsce zamieszkania we Francji byłego kapitana polskiego wywiadu MSW Władysława Mroza. W pierwszej połowie 1959 roku Mróz wraz z całą rodziną wyjechał za zgodą Centrali do Paryża. Tam miał prowadzić działania szpiegowskie. Niebawem jednak zdradził i nawiązał współpracę z francuskim kontrwywiadem DST – Direction de la Surveillance du Territoire. Mróz przekazał Francuzom wiele informacji dotyczących wschodnich siatek szpiegowskich, między innymi w Wielkiej Brytanii i Izraelu, ale też o kierunkach wywiadowczego zainteresowania państw bloku wschodniego, o polskich agentach i nielegalach. Kierownictwo MSW postanowiło go zlikwidować. Barylczyk miał go odnaleźć. Wykorzystał do tego swojego znajomego, francuskiego marszanda, który współpracował z polską Desą przy różnych transakcjach związanych z dziełami sztuki. Dzięki temu kontaktowi Barylczyk wystawił Mroza. O tym, że został on zabity na zlecenie polskiego wywiadu, od razu rozniosło się w resorcie spraw wewnętrznych. Informacja ta trafiła też do rezydenta wywiadu KGB w Warszawie.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Barylczyk ponownie stuknął o kieliszek Nadii i ze swojej skórzanej torby wyjął manuskrypt oprawiony w czerwoną skórę, z bogatymi złoceniami.

– Oto dowód – ciągnął swoją opowieść. – Nadiu, spójrz, jaka piękna księga. Manuskrypt wenecki. Szesnastowieczny – powiedział.

– Skąd go masz, Czarku? – zapytała.

– Kupiłem od właściciela – skłamał. Doskonale wiedział, że wolumin ten należał do Muzeum Narodowego w Warszawie.

– Rzeczywiście piękny. Powiedz mi, jak się zostaje marszandem?

– Taką pozycję trzeba sobie wypracować. Do tego potrzebne są też wrodzone zdolności handlowe i artystyczne. Cóż, Nadiu, wojnę spędziłem w wojsku. Potem pracowałem w antykwariacie. Była bieda, a ludzie pozbywali się różności. Ot, zwykły handel. Tanio kup, drożej sprzedaj – ciągnął i widać było, że czuł się coraz swobodniej.

Żyd. W czasie okupacji niemieckiej żołnierz podziemnego, londyńskiego wojska, który po wojnie został zastępcą kierownika wydziału kwaterunkowego w Warszawie. Krążył po opuszczonych mieszkaniach, głównie pożydowskich, i zabierał, co się dało. Wśród nich były również kolekcje obrazów. Potem został rzeczoznawcą dzieł sztuki w antykwariatach w centrum Warszawy – odtwarzała z pamięci treść notatki, którą ledwie kilka godzin wcześniej czytała w siedzibie rezydentury radzieckiego wywiadu przy Belwederskiej.

– I co, sprzedasz to? – Z kobiecym wdziękiem pogładziła dłonią okładkę woluminu.

– Tak. Będę chciał w pierwszym rzucie. A może chcesz kupić? Niedrogo sprzedam, za kilkaset dolarów... Żartuję! – Roześmiał się i połał wódki.

Kieliszki znowu brzdęknęły.

– Co będziesz robił w Wiedniu?

– Planuję otworzyć galerię sztuki, która będzie specjalizowała się w polskim malarstwie – odpowiedział z błyskiem w oku.

– To może się zaprzyjaźnimy? Pewnie kiedyś podrzucę ci coś do sprzedania.

– Zapraszam z całego serca, Nadiu.

– Planujesz otworzyć antykwariat, ale skąd będziesz brał towar? To chyba nie jest takie proste.

– Mam znajomych kolekcjonerów, miłośników historii sztuki.

– Rozumiem. Nasze Polonusy... Powiedz mi, jak udało ci się załatwić wyjazd na Zachód? Polskie władze musiały być dla ciebie wyjątkowo łaskawe.

Barylczyk jakby się zaciął.

– Co masz na myśli?

– To przecież nie jest takie normalne, w otaczającej nas rzeczywistości, że bogaty marszand bez problemu wyjeżdża z socjalistycznej ojczyzny. Prawda? – Spojrzała mu prosto w oczy.

– Ach, ty o tym! Przyznam ci w tajemnicy... ale nie powtarzaj nikomu!

– No skąd. Komu miałabym powtórzyć? – Nadia znowu się uśmiechnęła.

– To mnie dużo kosztowało, oczywiście w wymiarze materialnym. – Puścił oko i potarł kciukiem o palec wskazujący. – Komu trzeba było posmarować, to posmarowałem – mówił powoli. – Mam wszelkie niezbędne dokumenty. – Przechylił kieliszek.

Nadia uśmiechnęła się i przypomniała sobie dalszy ciąg notatki o rozmówcy. *Dostał zgodę na otworenie antykwariatu, aby sprzedawać w nim przemycone dzieła sztuki o niepewnym pochodzeniu. Zebrane środki mają zasilać fundusz operacyjny MSW. Ma też gromadzić wokół siebie środowiska polonijne, aby łatwiej można było je rozpracowywać.*

Pociąg ruszył. Nadia zarejestrowała tylko kilkupiętrowy ceglany budynek i ciąg stalowych, ozdobnych słupów podtrzymujących długi dach nad peronem. „To musi być jakaś większa stacja” – przemknęło jej przez głowę.

– Szanowni państwo, minęliśmy już Częstochowę. Niedługo Katowice. Zapraszam do swoich przedziałów. Od Katowic zaczyna się kontrola celna i graniczna – tubalnym głosem oznajmił szef wagonu restauracyjnego.

– No to na nas czas. Bardzo mi było miło cię poznać. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. – Barylczyk ujął dłoń Nadii i pocałował, po czym z trudem wstał i kiwając się na boki, ruszył do swojego wagonu, a za nim jego ochroniarz.

Rozdział 18

Zebrzydowice (Polska), Hranice na Morave
(Czechosłowacja), Austria – jesień 1961

Po półgodzinnym postoju w Katowicach, przeznaczonym również na zmianę lokomotywy elektrycznej na tradycyjny parowóz, pociąg ruszył. Znaleźli się w nim także inni pasażerowie. Do składu weszli celnicy, pogranicznicy z psem i jacyś kolejarze. Nadia po kilkunastu minutach usłyszała w przedziale obok głuchy trzask i jakiś rumor. Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Zobaczyła dwóch mundurowych ubranych na zielono oraz trzymanego na krótkiej smyczy owczarka niemieckiego. Za żołnierzami stał celnik.

– Szanowna pani wróci do przedziału! – krzyknął żołnierz w stopniu plutonowego, a pies odwrócił się do niej i wyszczerzył kły.

– No, panie Mietku. Proszę wejść do środka. Proszę o listę pasażerów. Ma pan coś u siebie niezgłoszonego? – zapytał pogranicznik.

– Panie poruczniku, no nic, jak rany Boga. A bo ja tu jakiś obcy czy co? Ja miałbym się narażać na utratę takiej pracy? Żeby was matka rodzona nie poznała! Co wy myślicie? – tłumaczył się w swoim stylu kuszetkowy.

– Mamy tu kontrolę z DOKP z Katowic. Ma być wszystko na glanc. Rozumiemy się? – dodał krótko celnik.

* * *

W Zebrzydowicach peronowa lampa bujała się na wietrze, a jej światło omiatało wagon i peron, na którym stali dwaj kolejarze.

– Gerard, co ja ci mam mówić? Skoro wymyśliłeś sobie, że akurat dzisiaj mamy zrobić kontrolę, to musimy to odfajkować po całości, i już – powiedział kolejarz w długim eleganckim ciemnym płaszczu.

Judycki poprawił czapkę, wyjął papierosy, poczęstował kolegę i rzucił:

– No przecież wiesz, że musieliśmy ją zrobić zgodnie z planem. Żeby się w dyrekcji w Warszawie nie czepiali.

– Ale w taką pogodę, Gerard, w taką pogodę? Ach...

– Ja też nie lubię przyjeżdżać do tych drewnianych baraków w Zebrzydowicach. Nawet nie ma gdzie się zagrzać. Jutro stawiam ci, pieronie, duże piwo po szychcie. – Klepnął kolegę mocno w ramię.

Pociąg do Wiednia wjechał na stację graniczną. Judecki wciągnął w płuca chłodne, wilgotne powietrze. Zapalił papierosa. Na stacji pojawili się już także czechosłowaccy kolejarze i celnicy. Peron minął sapiący parowóz, który skręcił do miejscowej lokomotywowni.

– Przejdziemy teraz do sypialnych i zobaczymy, jak to wygląda? – zaproponował stojący w drzwiach kolega Judeckiego. – Jeszcze WOP-iści i celnicy tam są. Chodźmy, Gerard, szkoda czasu.

Weszli do wagonu numer 2. Przy drzwiach trafili na Mietka Marszałka. Kuszetykowy był zdenerwowany i nie ukrywał tego.

– Panowie z DOKP w Katowicach? – zapytał na ich widok.

– Tak. Będziemy panu tu trochę sterować.

– Co? No zlitujcie się. Wszystko mi już sprawdzili. Rozebrali prawie przedział i nic. I jak ja sobie teraz z tym wszystkim poradzę? Takiego kipiszu to nigdy tu nie było – narzekał.

– Panie Marszałek. Znamy pana nie od dziś. Nie narzekaj pan, nie narzekaj. Ma być tak sprawdzone, żeby nasi czechosłowaccy koledzy na granicy z Austrią nie mieli nic do roboty – powiedział spokojnym głosem Judecki, który uważnie obserwował mundurowych kontrolujących przedziały.

– Mamy tutaj dwie osoby z paszportami dyplomatycznymi! – rzucił do celnika porucznik, który sprawdzał paszporty. – Nadia Chodkowska... tak,

paszport Związku Radzieckiego. A tu mamy Igor Bałan. Też obywatel radziecki.

Celnik najpierw podszedł do przedziału, w którym na dolnym łóżku siedziała kobieta. Obok niej leżał kapelusz z szerokim rondem.

– Wyjazd służbowy?

– Tak.

– Dokąd?

– Wiedeń.

– Coś ze sobą wieziecie? Który to wasz bagaż?

– Te dwie duże walizki. Informuję towarzysza, że mam ze sobą pocztę dyplomatyczną. Oto list kurierski. – Podała mu papier z czerwonym paskiem.

– Ale tu, na tym liście kurierskim, są jeszcze wymienione worki i skrzynia.

– No chyba nie myślicie, że wiozłabym skrzynię i jakieś worki w przedziale?!

Reszta jest w wagonie pocztowym!

– Rozumiem. Możemy sprawdzić walizki?

– Proszę sobie sięgnąć.

Celnik zdjął walizki.

– Proszę je otworzyć.

– Nie mogę. Są zaplombowane. Nie widzicie?! Sprawdźcie numery i porównajcie je z listem. – Poirytowana Chodkowska wskazała na białe naklejki z pieczęciami zakrywającymi zamki.

– Proszę się nie denerwować, obywatelko. Takie mamy rozkazy. Wszystko się zgadza.

– Obywatel Igor Bałan jedzie z wami? – wtrącił się stojący na korytarzu porucznik WOP-u.

– Nie, nie znam go – skłamała. „A co cię to obchodzi, Polaczku”.

– Dziękujemy. Spokojnej podróży – powiedział celnik, który odłożył walizki na półkę. W bagażu dyplomatycznym Chodkowska przewoziła kasetę ze złotymi monetami, które Armia Czerwona znalazła w 1945 roku w zamku Seichau. To była część kolekcji Potockich. Przed wybuchem wojny ukryto monety w piwnicy pałacu Pod Baranami w Krakowie. Na skutek donosu Niemcy szybko je

odnaleźli. Skrzynie zdeponowali na Wawelu. W 1944 roku ewakuowali kolekcję na Dolny Śląsk. Tam znaleźli ją czerwonoarmiści.

Nadia miała ze sobą też obrazy, które nie zostały wywiezione w 1945 roku do ZSRR. Zdeponowano je w Legnicy, w specjalnym magazynie Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Zapomniano o nich, aż do 1958 roku, gdy przeprowadzono inwentaryzację. Nie chciano kolekcji oddawać Polakom, bo znalazły się w niej rysunki Dürera, obraz Cranacha i Rembrandta, które pochodziły z dawnych polskich kresów, a te uznawane były za ziemie radzieckie. Nadia miała je dostarczyć do punktu zbornego w Wiedniu. Stamtąd specjalnym pociągiem wraz z innymi dziełami sztuki pojedą do Moskwy do Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina. Ślad po nich zostanie na zawsze zatarty.

– Panie kolego, mamy problem – powiedział porucznik i po wejściu do kolejnego wagonu sypialnego wręczył celnikowi paszport.

– Barylczyk Cezary, austriacka wiza... jest. W czym problem? – zapytał celnik.

– Mienie przesiedleńcze. Dość dużo tego. W pierwszym pocztowym. Wychodzi, że z pół wagonu.

– Chodźmy tam. Zobaczymy. Plutonowy! Przyprawdźcie nam tam tego Barylczyka!

Pięćdziesięciolatek pojawił się po kilku minutach. Robił wrażenie zdenerwowanego.

– Obywatelu, kontrola graniczna i celna – powiedział porucznik.

– Co tutaj wieziecie? – odezwał się celnik.

– Wie pan porucznik, meble, jakieś obrazy, porcelana, książki. Na wszystko jest zgoda, a cło zapłacone. Zgoda urzędu konserwatorskiego, ministra kultury. A lista rzeczy jest tutaj. – Wskazał palcem dokumenty trzymane przez oficera.

– To co? Otwieramy? – zapytał oficer. – Zawołam paru chłopaków. Plutonowy, i niech przyniosą łom.

Do wagonu sprawnie wskoczyło dwóch żołnierzy w mundurach polowych i w czapkach z zielonymi otokami. Na plecach mieli pistolety maszynowe.

– Otworzyć! O, tę skrzynię. – Celnik wskazał palcem.

Żołnierz z widocznym na twarzy wysiłkiem podważył sporą drewnianą klapę. Podniósł ją i przesunął. Spojrzeli do środka. We wnętrzu stały ustawione w rzędzie obrazy, owinięte grubym papierem i związane sznurkiem. Celnik wyjął jeden z nich, przeciął nożem sznur, rozpakował i spojrzął. W blasku lampy sufitowej pocztowego wagonu oraz w błyskach ręcznych latarek lśniła gładka powierzchnia płótna, które przedstawiało scenę walki kozaków. W dole, po prawej stronie, znajdował się napis: Józef Brandt, a z tyłu naklejka: Muzeum Narodowe w Warszawie.

Celnik spojrzął na listę wywożonego inwentarza.

– Nie mogę znaleźć...

– O tu, proszę pana! – Barylczyk wskazał palcem. – To obraz przedstawiający wzięcie w jasyr, kopia.

– To znaczy, że to jest kopia?

– Tak, tak, wszystko to są repliki...

W tym momencie w kierunku wagonu pocztowego ruszył wąsaty mężczyzna w skórzanej kurtce.

– Obywatelu, co wy tutaj robicie? Proszę natychmiast wrócić do siebie do wagonu! – rzucił krótko plutonowy.

– Plutonowy, dajcie tu na chwilę porucznika. Tylko migiem. – Pokazał żołnierzowi legitymację.

Ten zasalutował i podszedł do otwartych drzwi wagonu pocztowego.

– Obywatelu poruczniku. Jakiś gość do obywatela. To pilna sprawa!

Z wagonu zeskoczył na peron oficer WOP-u. Podszedł do wąsacza.

– Wy do mnie? O co chodzi?

Ten podsunął mu pod nos podłużną, składaną legitymację służbową SB. Palcami jednej dłoni otworzył ją i przedstawił się:

– Kapitan Jerzy Meller, Służba Bezpieczeństwa. Poruczniku, proszę natychmiast zakończyć ten spektakl z obywatelem Barylczykiem. To prośba od towarzyszy z ministerstwa w Warszawie. Zrozumieliście?

– To nie jest takie proste. Muszę to, obywatelu kapitanie, zgłosić do oficera dyżurnego u nas w 4 brygadzie w Gliwicach. Oni to przekażą dalej do Warszawy.

W tym samym momencie z wagonu numer 2 wyszli kolejarze, zauważyli zamieszanie. Spojrzeli na siebie.

– Gerard, co tu się odpięrdziela?

– Nie wiem, pieronie, i chyba nie chcę wiedzieć.

– Poruczniku, wy macie swoich przełożonych, a ja swoich. Powtórzę. Mam prośbę o odstąpienie od dalszej kontroli obywatela Barylczyka. Na razie, jak słyszycie, proszę – powtórzył. – Uprzedzam, że możecie mieć później problem. Chcecie wylądować w jakiejś głuszy pod radziecką granicą?

– Kapitanie, jesteście uparci. Sugerujecie, żebyśmy puścili przez granicę przemyt?

– Ja nic nie sugeruję. Wykonuję tylko rozkazy. Miałem bezpiecznie doprowadzić ten transport do granicy. Lepiej dla was, jak nie będziecie utrudniać sprawy. Dlatego zabierajcie dupę z tego peronu i natychmiast skontaktujcie się telefonicznie ze stanowiskiem kierowania w MSW w Warszawie. Macie tu w tym baraku bezpośrednią linię. W końcu to placówka WOP-u drugiej kategorii – nie odpuszczał kapitan.

– Skąd wiecie?

– No skąd? Zastanówcie się – odpowiedział kapitan.

– Dobrze, chodźcie. Zapraszam. Podejdźmy do nas.

Ruszyli, a wcześniej porucznik kazał plutonowemu z owczarkiem niemieckim i dwóm szeregowcom pilnować wagonu pocztowego. W tym momencie do Judeckiego, któremu zgasł papieros, podszedł Marszałek i podstawił benzynową zapalniczkę.

– No i łapiemy planowe opóźnienie. Już dobrze ponad godzinę, a będzie chyba więcej?

– Tak. Ale to dla was, Marszałek, chyba dobrze. Dyspozytor przekaże naszym czechosłowackim towarzyszom, że pociąg na naszej granicy został porządnie

skontrolowany. Pewnie poinformują o tym dyżurnego z posterunku granicznego w Breclav.

– A dlaczego mam się z tego cieszyć? – Bacznie przyjrzał się kolejarzowi z DOKP.

– A jak myślicie, dlaczego?

Po piętnastu minutach porucznik wrócił z Mellerem.

– Mówiłem wam, poruczniku, że zbierzecie opierdół. Uprzedzałem.

– Dobra, panowie, odjazd. Wychodzić z wagonu. Plombować wszystko. Lokomotywa czechosłowacka już podpięta! – krzyknął do swoich ludzi.

„Kurwa, ale mają opóźnienie. Ale może to i dobrze. Będą mieli więcej czasu, jakby Koszyce się spóźniły” – pomyślał Judecki, spojrzawszy na zegarek i rzucił niedopałek papierosa na betonową płytę.

– Gerard, chopie, a co ty tak pod tą sypialną dwójką łąziłeś po ćmie?

– Jo zech jest, pieronie, porządny kolejarz z Nowogródzczyzny. Zapomniałeś?

– Niech bydzie. – Roześmiał się.

* * *

Lokomotywa z boczną tabliczką, z napisem na czerwonym tle ČSD – Československé státní dráhy wyraźnie zwolniła. Wśród niewysokich wzgórz ciągnęła za sobą skład z Koszyc. Od ponad siedmiu godzin zielony wagon pocztowy, cztery niebieskie wagony sypialne, a na końcu kilka ciemnozielonych wagonów ze zwykłymi przedziałami przemierzały Czechosłowację ze wschodu na zachód. Nocny pociąg zbliżał się do stacji Hranice na Morave. W przedziale sypialnym drugiej klasy opuściło się okno, z którego wyjrzał mężczyzna o włosach przyprószonej siwizną. Do wnętrza wpadło zimne, rześkie powietrze pomieszane z charakterystycznym, wyraźnym zapachem podkładów kolejowych. W pewnym momencie mężczyzna wyjął zza paska pistolet. Broń poleciała przez okno do płynącej pod mostem rzeczki Ludina, nad którą przejeżdżał pociąg. Za pistoletem poleciało kilkanaście naboju wyjętych z kieszeni spodni.

– Iza, zbieramy się! Zaraz powinniśmy mieć następny pociąg. Jak dobrze pójdzie, to za pięć godzin będziemy wolni. Naprawdę wolni – powiedział Armando do zaspanej żony.

– Dobrze. Wolałam tamto ubranie. Znów wyglądamy jak jacyś partyzanci. – Sięgnęła po plecak pachnący jeszcze chlebem z piekarni w Cisnej.

„Te Hranice to faktycznie straszna dziura, jak mówił pułkownik” – pomyślał Armando, który wyglądał przez uchylone okno. W mroku w oddali majaczyła wieża ewangelickiego kościoła zakończona kopułą i szpiczastą wieżyczką, wysoki, ceglany komin i spadziste dachy pojedynczo stojących, trzypiętrowych domów mieszkalnych. Gdzieś tam rozrzucone były niskie domy, kryte czerwoną dachówką. „To miasto to w zasadzie duży węzeł kolejowy”.

Pociąg powoli wtaczał się na niewielki dworzec. Zapiszczały hamulce i zatrzymał się. Niemal natychmiast do uszu Polaków dotarł dźwięk otwieranych z łoskotem drzwi wagonów. Po chwili i oni stali na kamiennej posadce peronu. Zegar dworcowy pokazywał godzinę 2.05. Spóźnienie nie było wyjątkowo duże, bo kilkunastominutowe.

Opóźniony o ponad dwie godziny pociąg z Warszawy powoli wjechał na peron w Hranicach. Marszałek czekał na ten moment. Uchylił drzwi wagonu, nie od strony peronu, lecz od sąsiednich torów. Dwa razy zapalił latarkę, na którą nałożone było czerwone szkło.

W tym momencie od niewielkiego murowanego budynku oderwały się dwie postacie. Mężczyzna i kobieta. Susami zaczęli przeskakiwać w ciemnościach przez tory. Mężczyzna dźwigał spory plecak. Wbiegli zziębnięci po schodkach wagonu sypialnego.

– Serwus. Już myśleliśmy, że nie doczekamy się tego cholernego pociągu. Jesteście sporo po czasie – szepnął Armando do Marszałka.

– Dobra. Dajcie mi bagaż na przechowanie. Nie macie nic trefnego? Armando, żadnej broni czy czegoś takiego?

– Nie, no coś ty, stary! – Uśmiechnął się. Iza popatrzyła na niego ze złością.

– Wrzucę wszystko do jednego worka. Mam taki specjalny, na pogubione przez pasażerów rzeczy. Rozumiem, że macie ubrania, buty...

– Wszystko zagraniczne, trochę używane – odpowiedział Armando.

– Dobra. Nie ma czasu... partyzanci. Ty, Armando, tu. – Wpuścił go do swojego przedziału służbowego. – A Iza za mną. Tylko cicho.

Minęli kilka przedziałów. W połowie wagonu kolejarz otworzył specjalnym kluczem pustą, zasłonił okno i zapalił światło. Pomieszczenie wykorzystywane było tymczasowo jako składzik na poszwy, koce i poduszki, które w drodze powrotnej miały zostać zamienione na zużyte przez pasażerów.

– Ale tu burdel. – Iza się zaśmiała.

– Taki zrobili na granicy. Może i lepiej. Ale nic. Ładuj się na sam koniec, bokiem do tego. – Wskazał na schowek na podłodze. – Połóż sobie pod głowę poduszkę, a koc na podłogę. Jak zamknę klapę, to cię jeszcze przykryję kocami i resztą. Trochę potem poukładam, żeby było w miarę uporządkowane. Tylko uważaj! To cienka i trochę przegniła podłoga. Żebyś nie wyleciała na tory, bo zostanie z ciebie miazga. Jak nie będzie psa, to nie powinni cię znaleźć. Dobrze, że mała jesteś.

– Rozumiem. Mam się nie wiercić.

– Właśnie. I pamiętaj, że ja cię zamykam na klucz. Zaworek, mam nadzieję, masz wytrzymały – dodał.

– Niestety, od dwóch miesięcy nie. Ale wytrzymam.

– Mniejsza o to. Częściej sprawdzają górne półki, a dolne i podłogę nie. Poza tym słabe światło jest w tym schowku.

Marszałek zamknął klapę. Po kilku minutach wrócił do swojego przedziału służbowego.

– Robimy tak. Wsuwaj się pod moją kanapę. Tam jest cholernie mało miejsca, więc będzie ci ciężko i gorąco. Zamaskuję cię taką sklejką na wymiar, obciągniętą firmowym skajem. Przymocuję ją śrubami. Będzie ciemno. Módl się, żeby wszystko poszło dobrze, bo jak to wyjdzie, to ja też pójdę siedzieć. Musisz być cicho. Przez ścianę mamy pasażerkę – dodał.

* * *

Pół godziny później, gdy skład do Wiednia rozpędził się, starając się nadrobić opóźnienie, Nadię obudził hałas dochodzący z sąsiedniego przedziału. Poderwała się. Wyszła na korytarz i zapukała. Po chwili drzwi uchylił kuszetkowy. Był zaskoczony jej obecnością. W ręku trzymał śrubokręt.

– Coś uderzyło – powiedziała.

– Przepraszam szanowną panią. Musiałem uporządkować trochę tę salonkę, no i wpadłem na czajnik. – Marszałek uchylił mocniej drzwi. Faktycznie na podłodze przy łóżku leżał brązowy czajnik z napisem WARS i przewrócona butla z gazem.

Kobieta zauważyła we wzroku kuszetkowego coś niepokojącego, jakby desperację. Zupełnie jak u niektórych ludzi, z którymi w przeszłości miała styczność. Wycofała się. Nie wiedziała, jakiej reakcji może się spodziewać u mężczyzny. „Przewrażliwiona jestem albo przemęczona” – pomyślała i wróciła do swojego przedziału.

Trzy godziny później w pociągu zjawili się czechosłowaccy pogranicznicy, którzy głośno zaczęli krzyczeć w korytarzu:

– *Pohraniční stráž. Ovladani! Grenzkontrolle!*

Kilku funkcjonariuszy w zielonych mundurach rozpoczęło kontrolę. Jednak swoje czynności ograniczyli tylko do rutynowego sprawdzenia paszportów i pobieżnego skontrolowania przedziałów. Wiedzieli, że pociąg ma duże opóźnienie. Otrzymali również informację od polskich kolegów, że wszystko było wyjątkowo dobrze sprawdzone. Nie zauważyli nic, co mogłoby ich zaniepokoić.

– *Pozor. Zakazane pasmo. Wstup zakazan.* – Stojący w otwartym oknie Marszałek przeczytał na głos czarny napis z białej metalowej tablicy.

„Kurwa, już niedługo. Jeszcze trochę. Szybko im idzie ta kontrola...”

Na zewnątrz robiło się już jasno. Pociąg z Warszawy mknął wzdłuż pól pokrytych równymi rzędami krzaków winogron, pozbawionych teraz żółto-

czerwonych liści. Byli już w Austrii.

Rozdział 19

Wiedeń (Austria) – jesień 1961

Sud Aviation SE 210 Caravelle – dwusilnikowy odrzutowiec pasażerki szwajcarskich linii lotniczych Swissair kołował wolno na wyznaczone miejsce postoju. Ubrany w jasny kombinezon pracownik lotniska z dwoma dużymi lizakami stał nieruchomo. W pewnym momencie skrzyżował je nad głową. Samolot się zatrzymał. Po kilku minutach z jego tylnej burty opuściły się schodki. Z pokładu zaczęli wychodzić pasażerowie.

Kleiner ubrany był w jasny garnitur i krótki grafitowy płaszcz z postawionym kołnierzem. Miał ze sobą jedynie bagaż podręczny – niewielką skórzaną walizkę. Nałożył na głowę kapelusz z wąskim rondem. Nad przeszklonym, nowoczesnym, lekko łukowatym długim budynkiem świecił się neon: *Flughafen Wien*. Budynek kończyła ponad siedmiopiętrowa wieża kontroli ruchu z kręcącym się na dachu radarem.

Mężczyzna wciągnął chłodne powietrze, które miało wyraźny zapach paliwa lotniczego. Jakies sto metrów obok samolot Electra L-188 holenderskich KLM zaczynał rozruch czterech turbośmigłowych silników. Ponieważ maszyna z Genewy, którą przyleciał Kleiner, podkołowała przed terminal, pasażerowie poszli do odprawy pieszo. Obok stał lotniskowy niebieski volkswagen transporter. Kleiner zatrzymał się, przepuszczając czerwoną kolejkę wiozącą w odkrytych wagonikach pasażerów z innego samolotu. Przeszedł pas zieleni i skierował się do przeszklonego wejścia. Popchnął drzwi i skierował się do kontroli paszportowej. Gdy wyszedł przed budynek dworca, zapalił

chesterfielda. Zaciągnął się. Rozejrzał się za taksówką. Machnął ręką. Podjechał czarny mercedes 180 ponton. Do jego chłodnicy przyczepiona była srebrna podkowa. „Dobry znak” – pomyślał. Na chromowanym zderzaku samochodu widniała czarna tablica z numerem zaczynającym się od litery „W”. Kleiner usiadł na miękkiej kanapie.

– *Auf der Elizabethstrasse, bitte.*

– *Javohl! Sir...*

Dla Kleinera zabrzmiało to i groźnie, i śmiesznie, na pewno surrealistycznie. Zamknął oczy. Wiedział, że ten pobyt w Wiedniu też będzie wiązał się z jakimiś wspomnieniami. A wydawało mu się jeszcze niedawno, że ta epoka bezpowrotnie minęła. Dziesięć lat temu złamał pewne zasady konspiracji i dzięki kontaktom Levi Mazowera w Polsce udało się załatwić wszystkie papiery repatriacyjne rodziców, którzy przetrwali wojnę dzięki pomocy Marszałka. Ściągnięcie ich do Izraela nie było ani łatwe, ani tanie. „Ciekawe, czy on wciąż pali te swoje kurewsko aromatyzowane papierosy” – uciekł myślami.

Mimo wielu lat pracy w Izraelu, szczególnie od 1948 roku, kiedy wydział polityczny został wyprowadzony ze struktury MSZ i przemianowany na Ha-Mosad le-te’um, czyli Instytut Koordynacji, Kleiner często wracał myślami do lat wojny. Nawet praca na styku z jednostką numer 131 do zadań specjalnych nie przynosiła mu takich doznań. Może to wynikało z tego, że jego dom był pełen fotografii z przyjaciółmi z 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych i zapachów polskiej kuchni. A może także z widoku krzątającej się kochanej żony Ruty, którą poznał w czasie ucieczki z Bagdadu w 1943 roku? Z zadumy wyrwał go głos kierowcy w czarnej czapce z daszkiem, typowej dla wiedeńskich szoferów:

– *Bitte, sir. Wir sind hier. Elizabethstrasse.*

– *Danke.*

Kleiner dał mu dziesięciodolarowy banknot. Wysiadł i trzasnął drzwiami mercedesa, który szybko odjechał. Stał przed czteropiętrową, typową wiedeńską kamienicą. Ruszył do drewnianych drzwi, zakończonych łukiem, a potem schodami na piętro. Na klatce nikogo nie było. Nacisnął mosiężną klamkę

w drzwiach z numerem 5. Nie pukając, wszedł do środka. Mieszkanie było wysokie. Pokój umeblowano gustownie i nowocześnie. Na niewielkim stoliku stała butelka whisky i dwie kryształowe szklanki.

– Mój stary, ale się zmieniłeś! Czas robi swoje, ale wyglądasz niezłe. – Czakucki ryknął i serdecznie uścisnął Kleinera.

– A myślałeś, że zawsze będziemy młodzi? Ale ty, Romuś, też się dobrze trzymasz. I pewnie cały czas masz nadzieję, że młodość da się ocalić, co? Narty w Alpach czy leżaczki na stokach Tyrolu? Bo na te nasze karpackie to chyba nie mamy co liczyć. Chociaż może kiedyś.

– Bez tej nadziei nie byłoby po co żyć... – Czakucki puścił do niego oko i usiedli na czerwonych skórzanych fotelach z metalowymi nogami.

– Niezłe mieszkanie. Nowoczesne.

Spojrzał na fotele na chromowanych nóżkach, stół długi niczym jamnik i lampy na cienutkich mosiężnych pałkach.

– Miałem się z tym mieszkaniem. Architekt jest jego właścicielem. Fotele jakiegoś Johannes Spalta, a te lampy w stylu Kalmara. Ta podłużna drewniana ława to amerykański projekt Acclaim Series. A drewniana etażerka, gdzie stoją kieliszki, to projekt niejakiego Jensa Risoma. Ja mam to nawet wyszczególnione w umowie najmu. Mówię ci...

– We współczesnym wzornictwie jesteś na bieżąco!

– Żebyś wiedział, Mieciu!

– No dobra. A co cię tu sprowadza, Romek?

– Posłuchaj teraz. Czekam tutaj na starych znajomych... Armanda i Izę.

– Jak to? Tu, w Wiedniu?

– Tak – odparł Czakucki i opowiedział Kleinerowi o ich przerwaniu z Polski.

Po kilkunastu minutach rozmowy o przeszłości Kleiner wstał i podszedł do okna. Dyskretnie obserwował przez okno ulicę i pobliski skwer.

– Boisz się czegoś?

– Nie, ale w Wiedniu wszystko jest możliwe. Sowietci czują się tu jak u siebie w domu. Sam wiesz, jak jest. Austriacy nie mają ani sił, ani chyba ochoty

uganiać się za szpiegami. Słyszałem, że jak coś jest poważnego, to proszą o pomoc ten nowy niemiecki twór: BND – Bundesnachrichtendienst. Przyjeżdżają ich grupy operacyjne i działają. Zapewne są też Amerykanie, Brytyjczycy...

– Też mi się coś obilo o uszy.

– A wiesz, co nasi, to znaczy Polacy... Cholera, nie wiem czasem, jak to ująć... Jak ci z Departamentu I MSW tu stoją?

– Z mojego rozpoznania wychodzi, że jest to raczej teren do obsługi agentury z kierunku niemieckiego i pionów, jak to oni nazywają, walki ideologicznej. Coś takiego. Ale zakładam, że PRL teraz potrzebuje najbardziej...

– ...technologii.

– Pewnie działają oficerowie odpowiedzialni za ich nielegalne pozyskiwanie. Ale ty mnie pytasz, a sam powinieneś wiedzieć lepiej. Mówi się, że sporo funkcjonariuszy ich wywiadu poczuło w sobie żydowską krew i wybrało nową ojczyznę. A za nimi podążyły do was ich kontakty, agentura, nielegalowie na Zachodzie. Niezły drenaż... Ten system na Wschodzie kiedyś się zawali...

Kleiner przytaknął.

– Zorientowany jesteś, Romuś. Dobrze by było z tobą pracować.

Roześmiali się.

– Dobra, zostawmy rozterki wielkim tego świata. Co porabiasz? Masz rodzinę? Opowiadaj, Mieciu.

– Tak. Ruta, moja żona, urodziła syna. Ma dziesięć lat. Mieszkamy w Tel Awiwie. Chłopak interesuje się żaglami. Może kiedyś będzie marynarzem? Pracuję dla rządu. Chyba jakoś w końcu poukładało mi się w życiu. A ty? Co robisz poza byciem dobrze poinformowanym człowiekiem?

– Widzisz. Jak nas sojusznicy wystawili do wiatru, Londyn stał się stolicą Polski. Ja jeszcze, powiedzmy, pracuję dla tego rządu, ale nie widzę świetlanej przyszłości. Frakcje, skłócone partie kanapowe, taki polski grajdołek, ach... –

Machnął ręką. – W dodatku politycy podpuszczani i rozgrywani przez

Warszawę i Moskwę. Mówię ci, żrą się niemiłosiernie. I wszędzie zdrada. Co chwilę wychodzi, że ktoś z nich współpracuje z komunistyczną bezpieką.

– Co dla nich robisz?

– Staramy się pomagać naszym ludziom. Wiesz, prowadzimy takie amatorskie osadnictwo. Można by rzec, że budujemy Polskę na obczyźnie. Często bardzo dalekiej obczyźnie...

– Roman! Powiedz szczerze. Masz dla kogo żyć?

– Tak. Ułożyłem sobie życie w Anglii. Ale cały czas myślę o synu, którego nie widziałem od lat. Nawet nie wiem, jak teraz wygląda. Co ja, kurwa, mówię, Mieciu?! Ja przecież nawet nie wiem, czy on w ogóle żyje!

– A ile miałby lat?

– Hmm. Ponad trzydzieści pięć! On został z matką i jej rodziną na Wileńszczyźnie. A wiesz, jaka tam była sytuacja. Sowiecka partyzantka, niemieckie i litewskie SS... Kilka lat temu dostałem informację z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, że syn jakby zniknął, rozpląnął się. A jego matka i jej cała rodzina wywieziona została przez Sowietów na Wschód. Tam zginęli. Wcześniej wymordowano prawie całą kamienicę w Lidzie.

Czakucki kolejny raz podniósł butelkę alkoholu i nalał do szklanek. Pół nocy spędzili na wspomnianiu dawnych czasów. Czakucki przypomniał szczegóły związane z przedwojenną operacją Dwójki, a potem jej wątkiem bliskowschodnim, wspominał o Zygucie, niewyjaśnionym zaginięciu walizek. Opisał mu też rolę w tej sprawie Sokołowa, który został rozpracowany przez polskie służby dopiero we Włoszech. Jednak udało mu się uniknąć aresztowania i osadzenia w jednym z więzień podległych pod polski 3 Korpus. Zapewne został ewakuowany przez NKWD.

– Popatrz, Mieciu, cały czas tego szukam. To dla mnie cholernie ważne. Rozumiesz?

Czakucki wyjął z koperty złożoną na czworo kartkę zawierającą krótką listę i fotografię rysunków. Kleiner zwrócił uwagę na szkic oka Dürera.

– Romciu, czy to nie jakaś twoja obsesja?

– Nie, ja to muszę po prostu znaleźć!

– Daj to, stary druhu, może zdołam ci jakoś pomóc. Mam jutro spotkanie z pewną osobą. To swego rodzaju ekspert w dziedzinie handlu dziełami sztuki. Choć geszefciarz.

* * *

– Witajcie kolejowe szczury w wolnym świecie! – powiedział szeptem Marszałek do Armanda i Izy, siedzących już w jego przedziale służbowym. –

Słuchajcie, kochani. Udało się. Napijmy się, cholera. Nerwy jeszcze mnie trzymają. To nie jakiś tam gówniany przemycik, to była poważna sprawa. –

Nalał do trzech kieliszków jarzębiaku, który przyniósł z wagonu restauracyjnego.

– Mietek, która godzina?

– W Wiedniu powinniśmy być po ósmej. Mamy ponad czterdzieści minut opóźnienia. Trochę nadrobiliśmy zamieszanie z naszej granicy.

– Jakie zamieszanie?!

– A, nic takiego. Za sukces!

– Tak, tylko jakiego kraju obywatelami będziemy? – Iza posmutniała, a po jej policzkach popłynęły łzy.

– Jakoś to Izka będzie. – Armando wziął ją za rękę. – Mamy tylu przyjaciół. Czakucki coś wymyśli. Poza tym mamy dobry fach w ręku. Zawsze coś dla siebie znajdziemy. Mówiłem ci to kiedyś w Palestynie. Mieciu, polej jeszcze, bo nie wiem, kiedy znowu będę pił polską wódkę!

– Chłopie, jeszcze się zdziwisz. To najlepszy polski towar eksportowy! Na pohybel czerwonym!

– Będziemy twoimi dłużnikami do końca życia.

Lokomotywa zaczęła zwalniać. Ptaki poderwały się z peronu, z którego co kilkanaście metrów wystawały niewysokie latarnie z podłużnymi lampami. Przymglone szyby w zadaszeniach w kształcie odwróconej litery „L” zasłaniały widok na miasto. Pociąg wjechał na stację Wien Südbahnhof. Był to największy

dworzec w stolicy Austrii. Przyjeżdżały tam między innymi pociągi z żelaznej kurtyny z Polski, Węgier, Czechosłowacji.

– Oczekajcie kilkanaście minut – powiedział Marszałek, który wrócił właśnie do przedziału służbowego ubrany w niebieski mundur kuszetkowego. –

Wszyscy pasażerowie wprawdzie wyszli, ale jakieś ruskie były obok. Na wszelki wypadek lepiej uważać. Poza tym może ktoś był z ambasady polskiej – powiedział szeptem Marszałek. – Wskoczę i zobaczę, czy wszystko w porządku.

– Jasne. Czekaamy.

Po chwili znowu odsunęły się drzwi przedziału służbowego.

– W porządku. Możecie iść. Do waszych toreb wrzuciłem wszystko, jak leciało. Przepraszam, Iza, ale nie czas na porządki. Płaszcz w miarę niepogniecione.

– Jakoś dam radę. Znajdę wszystko.

– Pamiętajcie. Macie czekać przy rzeźbach lwów w głównej hali. No, idźcie już, bo... się wzruszyłem.

Iza rzuciła się na szyję Marszałka i pocałowała go w policzek.

– Bywaj. Serwus – dodał Armando.

Wysiedli i stanęli na peronie. Po sąsiednim torze przemknęła mała czerwona lokomotywa spalinowa, która pchała wagon na bocznice. Głowa maszynisty wystawała przez niewielkie boczne okienko. Przy innym peronie stał pociąg z napisami na burtach: *Schlafwagen*. W tym momencie pod polski wagon pocztowy podjechały wózki bagażowe ciągnięte przez niewielki, trzykołowy elektryczny pojazd z owalnym przodem. Siedzieli na nich robotnicy w szarych kombinezonach z czarnym, stylizowanym nadrukiem *ÖBB – Österreichische Bundesbahnen*. Przed wagonem stał mężczyzna. Miał na sobie popielaty płaszcz i ciemny kapelusz.

Barylczyk gestykulował:

– *Meine Herren, seien Sie vorsichtig! Vorsichtig!*

„Ciekawe, na co mają tak uważać?” – pomyślał Armando.

Chwycił Izę za rękę. Niektórzy pasażerowie szturchali ich walizkami, inni, przeciskając się, wołali:

– *Entschuldigung!*

Szli powoli. Nie zwracali na nikogo uwagi. Starali się zachowywać naturalnie. Chcieli wyglądać na zwykłych pasażerów. W dłoniach ściskali dwie torby – ich cały majątek wywieziony z ojczyzny. Doszli do hali głównej. Kolejarz w czerwonym kepi właśnie zmieniał metalowe tablice z godzinami odjazdów pociągów. Dalej stał rozkład jazdy, na którym umieszczone były nazwy miast, numery peronów, symbole łóżek i foteli oznaczających rodzaje wagonów, a nawet rysunki przedstawiające lokomotywy. Dworcowy okrągły zegar wskazywał godzinę 8.20. Minęli niewielką restaurację. Między stolikami nakrytymi białymi serwetami przedzierał się kelner, niosąc piwo z pianką w wysokich szklankach na stopkach.

– Jesteśmy na miejscu, kochanie.

– I co dalej? Na kogo czekamy?

Armando odstawił torbę na posadzkę. Wyjął z prawej kieszeni czarnego płaszcza paczkę marlboro kupioną od handlarza na bazarze Różyckiego. Odchylił kciukiem sztywne tekturowe wieczko, wyciągnął papierosa i włożył do ust.

– Chodź! Idziemy!

– Jak to idziemy? Mieliśmy tu na kogoś czekać. Tak mówił Mieciu.

– Mówię ci, chodź. Wszystko w porządku.

Ruszyli do wyjścia. Iza rozpięła rozszerzany kloszowo krótki wiśniowy płaszcz. Miarowo stukała półszpilkami po kamiennej posadzce. Wyszli na zewnątrz. Armando delikatnie i niezauważalnie powstrzymał Izę. Stanęli pod płaskim, szerokim dachem. Wyjął benzynową zapalniczkę z lewej kieszeni płaszcza i lewą dłonią zapalił papierosa. Wypalił go do połowy, po czym rzucił na posadzkę i zgniótł podeszwą czarnego skórzanego pantofla firmy Bata. Buty te kupili w komisie w okolicach placu Komuny Paryskiej w Warszawie. W innym nabyli dla Izy długie, niebieskie skórzane rękawiczki i modny płaszcz.

Natomiast spodnie dla Armanda Iza zamówiła na miarę, według wzoru z niemieckiej „Burdy”, na bazarze Różyckiego.

– Mamy iść w lewo, minąć parking, przejść na drugą stronę i czekać na tramwaj linii trzynaście.

Zeszli szerokimi schodami w dół, na poziom ulicy. Zostawili za sobą kwadratową bryłę dworca. Usłyszeli dzwonek tramwaju. Przeszli przez ruchliwą ulicę. Dostrzegli odjeżdżające już podwójne czerwone tramwaje z białymi obramowaniami okien i szarymi dachami. Doszli do przystanku. Stali obok innych osób na niewielkim podwyższeniu. Po chwili nadjechał tramwaj z okrągłą czarną tablicą i białym numerem 13. Pod oknem motorniczego znajdowała się pozioma tablica z napisem: *Südbahnhof*.

Nagle za plecami usłyszeli:

– Armando, blondyneczka Iza... Tylko nie podskakujcie ze szczęścia!

Zanim się odwrócili, już wiedzieli, kto do nich mówi.

* * *

W tym czasie Kleiner obserwował ruch wokół pociągu. Widział z daleka wychodzących z wagonu Armanda z Izą. „Iza wypiękniała” – pomyślał. Po paru minutach mignęła mu też jakaś znajoma twarz z czasów wojny. To był Mietek Marszałek. Kleiner w pierwszym odruchu chciał podbiec i uściskać go z radości, ale wiedział, że nie może. „Niebieski mundur polskiego kolejarza. Czyli nieraz tu jeszcze będzie. Zawsze wiedział, jak się ustawić w życiu”.

Kleiner zachowywał spory dystans. Na wózki bagażowe powoli i ostrożnie ładowane były drewniane skrzynie, meble, dywany. Ciągnięty przez elektryczny pojazd skład ruszył do stojącej przed dworcem ciężarówki. Barylczyk kierował ruchem robotników. Pomagała mu w tym żona, która pojawiła się na dworcu. Od pewnego czasu przebywała już w Wiedniu.

W tym samym momencie, pod nadzorem dwóch mężczyzn, z wagonu pocztowego warszawskiego składu wypakowywano też zaplombowane worki i skrzynie. Przewieziono je pod wagon, który miał być dołączony do pociągu

odjeżdżającego do Budapesztu. Po rodzaju oznaczeń, czerwonych paskach i lakowych pieczęciach w wielu miejscach, można było domyślić się, że była to poczta dyplomatyczna.

Kleiner stał pod prostym dachem wiedeńskiego dworca i obserwował parking. Gdy ciężarówka z meblami odjechała, podszedł do Barylczyka.

– Pan Cezary Barylczyk?

Zaskoczony mężczyzna spojrzał na niego.

– Tak, o co chodzi? Czy ja pana znam?

– Nic się pan, panie Barylczyk, nie zmienił od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku.

– Nie rozumiem. Kim pan jest?

– Ma pan pozdrowienia od Aarona Levina.

– Ach tak – mruknął Barylczyk. – Czym mogę służyć?

– Mam sprawę. Chciałbym z panem porozmawiać o dawnych czasach i wspólnych znajomych.

– To było dawno. Ja już nie mam z tym nic wspólnego. Sam pan widzi. Jestem teraz zajęty. Muszę tu wszystkiego dopilnować. Ciężarówka i ludzie kosztują. Muszę za to płacić z własnej kieszeni.

– Panie Barylczyk. Sprawa jest prosta. Jak już się pan domyśla, przyjechałem z Izraela. Porozmawiajmy spokojnie. Powiedzmy...za dziesięć minut. W restauracji dworcowej, w hali głównej.

– Dobrze.

Kleiner poszedł do restauracji. Usiadł przy stoliku i zamówił jasne piwo. Po kilku minutach dosiadł się do niego Barylczyk, który wyglądał na zmęczonego.

– Jak się pan domyśla, chodzi o pomoc, której nam pan udzielił w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku i w latach następnych. Pańskie informacje były dla nas bardzo cenne i precyzyjne – zaczął Kleiner.

– Przyleciał pan do Wiednia, żeby mi po tylu latach podziękować? Dalej nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

– Pan doskonale wie, co nas interesuje. Nic się pod tym względem nie zmienia... od lat. – Kleiner zawiesił głos.

Wiedział, że przy odmrażaniu dawnych agentów sytuacja może różnie się ułożyć. Jednak gra warta była świeczki. Barylczyk mógł ponownie stać się ich źródłem informacji. Aaron Levin, którego nazwisko padło, był wieloletnim podwładnym Kleinera w izraelskim wywiadzie. To on prowadził przez kilka lat Barylczyka. Pierwszy kontakt Levin nawiązał z nim jeszcze w 1948 roku w trakcie szkolenia bojowego organizowanego przez II Oddział Sztabu Generalnego WP dla członków żydowskiej Hagany. Było ono prowadzone w Bolkowie. Barylczyk odpowiadał tam za sprawy gospodarcze. Żydów, którzy mieli zostać przerzuceni do Palestyny, ćwiczono w technikach dywersyjnych. Mieli oni walczyć głównie z arabskimi grupami zbrojnymi. Ponieważ w tamtym czasie nie było jeszcze jasności, jaki ustrój przyjmie państwo Izrael, polscy komuniści liczyli na to, że sprzymierzy się on z obozem państw socjalistycznych.

Kolejne informacje Barylczyk przekazał Levinowi w 1949 roku, kiedy pracował już w warszawskim wydziale lokalowym i dostał zadanie dostarczenia mebli z pustych mieszkań na Pradze do willi w Zalesiu Górnym przy ulicy Przebudzenia Wiosny 32. Organizowany miał być tam kurs „Ż”, czyli żydowski, dla polskich agentów, którzy mieli zostać umieszczeni na terenie Izraela. Barylczyk zaprzyjaźnił się wtedy z majorem Majerem Zysmanem. Od niego właśnie dowiedział się, że pod legendą Ośrodka Leczniczego Wojennych Urazów Psychiczych działa inny ośrodek przygotowujący żydowskich bojowników – tak zwana Szkoła Agentów. W kursie uczestniczyło kilkanaście osób. Uczyli się języka angielskiego, radiołączności, technik fotograficznych, szyfrowania i deszyfrazu. Ćwiczyli ju-jitsu. Kiedy grupę przygotowano już do przerzutu, Barylczyk przekazał informacje Levinowi, a ten wysłał ją do Izraela. Dzięki temu cała grupa została zatrzymana przez wywiad brytyjski na Cyprze. Nikt z polskich służb nie miał pojęcia, co było powodem tak spektakularnej wyspy. To spowodowało także pewien paraliż tworzonej intensywnie

rezydentury polskiego wywiadu cywilnego i wojskowego na terenie Izraela, która miała bazować głównie na członkach partii komunistycznej. Jednak zaciskała się pętla polskiego kontrwywiadu wokół siatki izraelskiej. Levin musiał ewakuować się z Polski. Kontakt z Barylczkiem się urwał.

– Mam do pana też inną sprawę – powiedział Kleiner i przesunął do Barylczyka po blacie stołu kopertę.

Barylczyk ją otworzył. Wyjął ze środka kartkę i kilka fotografii. Przyjrzał się uważnie zdjęciom i przeczytał tekst.

– To jest lista tytułów oraz zdjęcia rysunków Albrechta Dürera – oznajmił po chwili.

– Tak, zgadza się. Wiemy, że zakłada pan w Wiedniu galerię sztuki.

– Macie dobre informacje. Czego ode mnie chcecie? – Machnął ręką.

– Chciałbym, aby skontaktował się pan ze mną, gdyby uzyskał pan jakiegokolwiek informacje o tych rycinach. To dla nas bardzo ważne.

Barylczyk był nieco zaskoczony, że izraelski wywiad interesuje się takimi rzeczami. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

– Hmm. Doszły mnie słuchy, że w tej sprawie prowadzi intensywne badania Stefan Zamoyski. On jest mężem księżnej Elżbiety Czartoryskiej. Choć według mnie chyba więcej energii i czasu traci na poszukiwania *Portretu młodzieńca* Rafaela. Przynajmniej tak wynikało z ostatniej mojej z nim rozmowy – ciągnął marszand.

– Mówi pan, że hrabia Zamoyski szuka *Portretu* Santiago – podchwycił Kleiner.

– Tak. Interesował się tym, kto go miał, a kto go teraz może mieć – mówił Barylczyk.

– A Zamoyski mówił coś konkretnego, czy tylko pytał?

– Odniosłem wrażenie, że niewiele wie. Wydaje mi się, że zważał się z Amerykanami. Być może z ich służbami. No i ma spore pieniądze. To pomaga. Nawet bardzo. Podobno przesłuchuje Niemców, którzy mieli styczność z różnymi dziełami sztuki. Może kiedyś mu się uda... – Mężczyzna potarł

policzek. – Nic więcej nie wiem. Ale jakby się pojawiły jakieś informacje, to powiadomię.

– No dobrze. Świetnie, że się rozumiemy. To życzę panu powodzenia i czekam na informacje. Tu jest moja wizytówka. Proszę zatelefonować albo napisać pod ten genewski adres – powiedział Kleiner.

Uprzejmie uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

* * *

Kleiner wrócił do swojego pokoju w Pension Wild, który dopiero od 1960 roku stał się hotelem. Wcześniej był to po prostu kameralny, rodzinny pensjonat w prestiżowej dzielnicy Josefstadt prowadzony przez panią Marię. Kleiner chętnie się tu zatrzymywał. Lubił atmosferę przypominającą mu nieco przedwojenne lwowskie hotele. Poza tym nie zwracał tam na siebie uwagi. A to w jego profesji było najważniejsze.

Usiadł za niewielkim stołem. Wyjął z teczki papeterię z kopertami z niebiesko-czerwoną obwódką i napisem *par avion* oraz plik cienkich, nieco błękitnych czystych kartek. Wziął w dłoń pióro Pelikan, które ojciec wywiózł jeszcze ze Lwowa w czasie wojny, i zaadresował kopertę. Następnie do stojącej na biurku maszyny do pisania wsunął papier. Włączył niewielką lampkę. Po chwili zastanowienia zaczął pisać.

Tel Awiw, 1961 rok

Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie

Nazywam się Moshe Kleiner, mieszkam obecnie w Izraelu. W czasie wojny byłem żołnierzem polskiego podziemia. W 1942 roku postanowiłem przedrzeć się do armii tworzonej w ZSRR przez generała Andersa. Potem wraz z nią trafiłem do Iranu i Iraku. W 1943 roku uciekłem do Palestyny i zaciągnąłem się do Hagany walczącej o wolność Izraela. Brałem udział w walkach z żołnierzami

brytyjskimi, a po utworzeniu państwa Izrael wstąpiłem do jego sił obronnych. W 1951 roku uczestniczyłem w tworzeniu Instytutu Koordynacji.

Kierując się miłością do mojej pierwszej ojczyzny Polski oraz poczuciem honoru polskiego żołnierza, chciałbym poinformować, że w 1942 roku otrzymałem od swoich przełożonych z konspiracji zadanie wywiezienia z Polski niezwykle cennego obrazu pochodzącego z kolekcji XX Czartoryskich w Krakowie. Był to Portret młodzieńca Rafaela Santi. W Bagdadzie, przed ucieczką do Palestyny, poprosiłem mojego przyjaciela, szejka z rodu Az-Za'abich o opiekę nad nim i zwrot tego obrazu prawowitemu właścicielowi, narodowi polskiemu. Rodzina ta jest poważana i znana w Iraku i Kuwejcie. Zapewne zwrócą to dzieło na żądanie polskich władz, co przyrzekł mi swoim słowem honoru szejk Az-Za'abi.

Kleiner popatrzył na list. Przez chwilę przeleciały mu przed oczami wszystkie obrazy, które zapamiętał z czasu wojennej tułaczki przez Ukrainę, Iran, Irak i Palestynę. Natalia, jego wielka miłość z ukraińskich stepów, koledzy z polskiego wojska w Iranie i Iraku, blondyneczki Iza i Ola, poczciwy szejk Al-Zaabi, a nawet Konarska, jej zakrwawione ciało i unoszący się zapach słodkich perfum, który pamiętał do dzisiaj. Twarze przyjaciół i wrogów. Po chwili ocknął się, złożył list i włożył do koperty wraz ze swoim zdjęciem.

* * *

Wieczorem Kleiner dotarł do mieszkania przy Elizabethstrasse. Cieszył się na spotkanie z Armandem i Izą. „Tyle lat, tyle lat. W końcu!” – myślał, wbiegając po schodach. Wszedł do mieszkania bez pukania. Czakucki stawiał akurat na stole butelkę Johnnie Walkera.

– Iza! Armando! Kochani! – Podbiegł do nich i uściskał oboje naraz.

– Mieciu! Nie wierzę! Żyjesz! – Iza piszcziała z radości jak mała dziewczynka.

– Kleiner, ty cholero! Roman, dlaczego nam nie powiedziałeś!? Jak dobrze cię widzieć! – gadał Armando.

– Bo mnie udusicie. Psiakrew! Roman! Szklanki!

Po przywitaniu i pytaniach o zdrowie i podróż usiedli przy długiej ławie.

– Jako gospodarz. Zdrowie gości. – Czakucki podniósł wypełnioną whisky szklanę.

– Zdrowie – odpowiedzieli wszyscy.

– Zanim popijemy i zaczniemy opowiadać o sprawach dawnych i obecnych, to formalności – zaczął po chwili euforii Czakucki. – Wiecie, *Bestellung muss sein!*

– Jasne, mów – odpowiedział Armando, a Iza pokiwała głową.

– Zgłosicie się jutro do najbliższego komisariatu policji, aby poprosić o azyl polityczny. Najpewniej traficie do obozu dla uchodźców. Jest taki niedaleko Wiednia. Armando, pamiętaj, że Austriacy są skrupulatni i będą o wszystko pytać.

– Rozumiem – Winiecki próbował skupić się na tym, o czym mówił jego starszy kolega.

– W miarę możliwości będą sprawdzali wasze informacje, dlatego lepiej nie kłamać – instruował ich dawny dowódca, gdy już kończyła się pierwsza butelka szkockiej

– Ale, ale... w tle będą Amerykanie i ta ich CIA – dodał Kleiner. – Musicie wiedzieć, że na tych rozmowach odbywa się regularny, czasem ordynarny, werbunek do współpracy z nimi.

– No tak... Ja to, szczerze mówiąc, mam dość tego szpiegowania i chciałbym w końcu zająć się moją kochaną żoną. – Armando pogłaskał Izę po głowie.

– No właśnie. Co z nami dalej będzie? – zapytała.

Armando podszedł do okna, wyjrzał na ulicę. Po drugiej stronie całowała się jakaś para.

– Posłuchajcie, kochani – powiedział po chwili zastanowienia Czakucki. – O pieniądze się nie martwcie. Generał Anders już w czasie wojny miał pewne

fundusze. Zdecydował, aby je wykorzystać na uruchomienie firm, dużych gospodarstw rolnych dla naszych oficerów we Francji, Włoszech, Afryce Południowej i w Ameryce Południowej. Choć największe dochody, jak oceniam z perspektywy lat, przyniosły nieruchomości, których wartość w powojennych latach szybko rosła. O tym, że jakieś pieniądze są, to Armando wie. – Czakucki puścił do niego oko.

– Nie bardzo rozumiem, panie pułkowniku – wtrąciła Iza.

– Piotruś później ci to wytłumaczy – odpowiedział i uśmiechnął się do niej.

Iza cmoknęła męża w policzek.

– On ma tyle do tłumaczenia, że będzie potrzebował bardzo dużo czasu – odpowiedziała rezolutnie.

– Myślę, że podróż przez ocean zajmie wam trochę czasu.

– Jaka podróż, panie pułkowniku?

– Już tłumaczę. Armando, pamiętasz, że w ramach operacji związanej z funduszem Drawa przejęliśmy ponad milion dwieście tysięcy dolarów? Dzięki temu powstały farmy w Afryce Wschodniej oraz zakupiono kamienice w Londynie.

– A co my do tego mamy? – zapytała Iza.

– Bo wiesz, mamy dla was taki dom na granicy... Argentyny z Chile.

– Co!?! Gdzie?! – krzyknęła Iza.

– Nie martw się, będzie dobrze. Pamiętacie nasze Tatry albo Podhale?

Iza robiła wrażenie kompletnie zaskoczonej. Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Tak, kiedyś tam byliśmy na wczasach. Mieliśmy nawet wspólne zdjęcie z białym niedźwiedziem...

– Pamiętam jak dziś. Dostałem w nagrodę za wdrażanie projektu syrenki skierowanie z Rady Zakładowej do jakiegoś ośrodka Funduszu Wczasów Pracowniczych w Zakopanem – dodał Armando.

– Ale co to ma do jakiegoś domu na końcu świata!?! W Argentynie! – powiedziała ze zdziwieniem Iza.

– Kochani moi. Tam jest osada w górach, podobnych do naszych Tatr. Powstała w tym miejscu, bo naszym żołnierzom spodobał się tamtejszy krajobraz i klimat. Mieszkają w niej wyłącznie Polacy. Na pewno wam się spodoba. Zbudowaliśmy duży tartak i fabrykę mebli. A co najważniejsze, jest spokój. A tego wam teraz najbardziej potrzeba. Agentura ani oficerowie Departamentu I MSW szybko tam nie dotrą. Ale żeby nie było tak słodko, to Armando dostanie pewne zadanie. – Czakucki się zaśmiał. – Ale o szczegółach opowiem wam za chwilę. Chciałem tylko, żebyście się oswoili z myślą wyjazdu tak daleko.

– Znając cię, to zapewne masz coś ciekawego – powiedział Armando.

– Ano mam. Tak jak Ola z Filipem, przed wyjazdem do Afryki Południowej, dostaniecie jedno nietypowe zadanie. Otóż będziecie dyskretnie penetrować lokalny, regionalny rynek dzieł sztuki. Chodzi o skradzione w czasie wojny przez obu okupantów polskie dzieła sztuki. Macie gromadzić też wszelkie, jak to nazywają fachowcy, polonika. Rozumiecie?

– Rozumiem. A jak coś namierzemy, to co mamy robić? – zapytał Armando. Iza na chwilę wyszła z pokoju.

– Wtedy trzeba to zabezpieczyć. Zresztą gdy będziecie już coś mieli, to wtedy się zastanowimy, co dalej. Ale to nie jedyne zadanie. Pamiętasz tego Januskiewicza z Iraku, ze sprawy Singe? Tego tatarnika.

– Tak. To w związku z tą sprawą tego, jak mu tam, Sokołowa szukaliśmy we Włoszech. Pamiętam, poznałem go osobiście w Sulajmaniji. Napsuł nam skurwiel krwi. Urwał się zaraz po lądowaniu naszego korpusu na Półwyspie Apenińskim.

– Cieszę się, że masz taką dobrą pamięć, Armando. Musisz go odnaleźć. Wiem tylko, że jest w Wenezueli. Jasne?

– Jasne. A jak odnajdę, to co?

– Jak odnajdziesz, to dasz mi znać. Na razie tyle.

– Jasne.

– Pułkowniku, mówisz cały czas o wszystkim, o nas, tylko nie o sobie. A co u ciebie? Jak ułożyłeś sobie życie na obczyźnie?

– Co u mnie, pytasz. Po waszym wyjeździe do Polski, gdy leżałem w szpitalu Royal Navy w Plymouth, po tym dziwnym zdarzeniu w czterdziestym ósmym, wtedy właśnie, jak ekspediowałem naszych ludzi w świat...

– Powiedz im lepiej od razu jak było, Romuś – wtrącił Kleiner, który stał przy oknie i patrzył na ulicę.

– Co się stało? – zainteresował się Armando.

– Ano w porcie w Plymouth załatwiałem różne sprawy u spedytorów. Takich związanych w przerzucie naszych ludzi w świat. A sami wiecie, że to portowe towarzystwo jest często szemrane.

– Sowieci pewnie nie odpuścili i mieli tam swoich ludzi. W końcu to największa baza brytyjskiej marynarki wojennej – włączył się Kleiner.

– No i w porcie, pewnego deszczowego wieczoru, kiedy wracałem do kwatery w mieście, nieznani sprawcy, jak stwierdziła brytyjska żandarmeria, strzelali do mnie. Zostałem poważnie ranny.

– Mówię ci, że cię namierzili. Może jakieś dawne porachunki? – wtrącił Kleiner.

– A tam! To już było tak dawno.

– Nie zapominaj, że Sowieci myślą wiele lat do przodu. Sam to zawsze mówiłeś. Są w dodatku mściwi. Choć to nieracjonalne w tej branży.

– To pułkownik wciąż był na wojnie! – Iza nagle stanęła w drzwiach. Była blada. Przed chwilą z wymiotowała w łazience.

– Ano, na wojnie. Tylko wtedy w czterdziestym ósmym i teraz jest ona brudniejsza. Bo nie wiadomo, kto swój, a kto obcy.

– Co u pułkownika prywatnie, ja się pytałam.

– W szpitalu poznałem taką piękną Elizabeth – kontynuował Czakucki. – Przez kilka miesięcy dobrze się mną opiekowała. Pochodziła z rodziny z długimi tradycjami wojskowymi, więc jakoś mnie zaakceptowali. Po wyjściu ze szpitala

pobraliśmy się. Urodziła nam się Agnes. Teraz ma trzynaście lat. Też taka ładna, po matce, bo nie po mnie. – Uśmiechnął się i wskazał na siebie palcem.

– O, to pan pułkownik miał chyba bardzo intensywną rehabilitację w tym szpitalu, jak wychodzi z moich szybkich rachunków – rzucił Armando.

– Zawsze mówię mojej Eli, bo tak ją nazywam, że wygląd ma słowiański i charakter naszych górali spod... saamiuśkich Tater. Bo uparta czasem... – Uśmiechnął się. – Po urodzeniu Agnes rodzice Elizabeth szybko się przenieśli na tamten świat, więc zamieszkaliśmy w ich domu koło Torcross w hrabstwie Devon. Choć mamy też dom w londyńskim Hammersmith, nad samą Tamizą. To taka nieco artystyczna okolica. Ela bardzo ją lubi. Potem urodził się James. Ma pięć lat.

– Tak, widok to ty tam masz, Romuś, piękny w tym Devon. Mówię wam. Wysokie klify, kanał La Manche. Cudnie – dodał Kleiner i nalał wszystkim whisky.

– Roman, miałeś ostatnio kontakt z kimś ze znajomych z Bliskiego Wschodu czy z Włoch? – drążyła Iza.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku wysyłałem do Australii naszego byłego rotmistrza żandarmerii. Popłynął do siostry do Brisbane, w Queenslandzie. Ona tam wcześniej dotarła z sierotami z Iranu, przez obóz przejściowy w Indiach. Mieciu, może ją kojarzysz, zajmowała się szkołą i przedszkolem w Isfahanie.

Kleiner pokiwał głową.

– Chyba tak.

– Rotmistrzowi zostały zdolności do robienia pieniędzy. Jest jednym z dyrektorów tamtejszego banku... i po cichu pilnuje naszych spraw. Karolinę i Warszawiaka wysyłałem do Rodezji, ale Warszawiak nie mógł tam długo usiedzieć. Kombinował, gdzie by tu postrzelać. W końcu po latach wrócili do Belgii i tam... Wiecie już, co robią.

– A Olka i Filip? – niecierpliwiła się Iza.

– Mieszkają w Kapsztadzie. Przed wyjazdem Ola zaczęła nawet studia medyczne na Oksfordzie. Już w Palestynie zawsze nosiła książki pod pachami. Zdolna dziewczyna. Pomogliśmy jej finansowo. Zresztą Mieciu niech opowie. Był u nich ostatnio. Jego nowa ojczyzna mocno zacieśnia więzy z Afryką Południową.

– A co z naszą Renatką Bogdańską? – zapytał Armando. – Po jej występie na ruinach klasztoru Monte Cassino i pięknie zaśpiewanych *Makach* jakoś zniknęła z horyzontu.

– O to też Mietka pytajcie. On jest przecież wielbicielem jej talentu. Prawda, Mieciu? W końcu to ty się podkochiwałeś w Irynce jeszcze przed wojną, we Lwowie.

Kleiner jednak nie dał się wciągnąć w opowieść o Bogdańskiej. Nie chciał wracać do czasów, gdy był zauroczony piosenkarką, która po wojnie została żoną generała Andersa. Kojarzyła mu się z tragiczną sprawą Marii Konarskiej.

– A tam. Dawne czasy. We Włoszech, jak wpadła na amen w objęcia generała, to chyba i talent na tym ucierpiał. Romek żartuje, ale to on spotyka ją co jakiś czas w tym polskim grajdołku w Londynie.

– Tak. Nie lubię tego towarzystwa. Żyją tylko przeszłością i za dużo tam agentów komunistycznej bezpieki. Wiecie... napijmy się za tych, którym się nie powiodło. Za tych, którzy zginęli w południowych Włoszech, na Monte Cassino, w Ankonie, Bolonii.

Tylko Iza siedziała w milczeniu, ze łzami w oczach. Po czym powiedziała:

– Wypijcie za naszych, których Sowieci wywieźli na Syberię, którzy gnili w ubeckich katowniach, za nasze rodziny na kresach, na których grobach nie możemy nawet zapalić świeczki. Brat i rodzice leżą tam gdzieś w ziemi, na jakimś kołchozowym polu... – Rozpłakała się na całego. Armando mocno ją przytulił.

– Kochanie, Izuniu, my przeżyliśmy. Musimy żyć, chociażby dla niego. – Poglaskał ją delikatnie po brzuchu.

– Armando, masz coś dla mnie? – zapytał Czakucki po chwili.

– Tak. Wszystkie sprawy załatwiłem. Choć trwało to, ile? Dwanaście, trzynaście lat. Tyle, ile ma twoja Agnes. Zawartość schowka w Dynowie opróżniłem. Choć nie bez trudu. Wszystko zabezpieczone... u twojego syna, Romuś. Oto list i jego zdjęcie. Pomógł nam. Mam nadzieję, że nie narobił sobie kłopotów. Resztę opowiem później, bo to dłuższa historia. Aha, i jeszcze sprawa funduszy i Komitetu Trzech. Mam tu...

Czakucki wziął do ręki z namaszczeniem grubą kopertę. Otworzył ją. Wyjął z niej okrągły szwajcarski zegarek Atlantic z czarnym cyferblatem i czarnym skórzanym paskiem. Na kopercie zegarka wygrawerowano: *Dla mojego ojca Romualda. Syn Romuald.* Czakucki po przeczytaniu dedykacji wstał i wyszedł z salonu do sypialni. Zamknął drzwi.

– Chce być sam. Nie dziwcie się mu – powiedział Kleiner.

– Potrzebujemy pewnego kanału przerzutu paru rzeczy z Polski na Zachód. Bardzo trefnych – dodał po chwili zastanowienia Armando i opowiedział o roli Mietka Marszałka w ich ucieczce z Polski. Zamilkł na chwilę i jakby przeniósł się gdzie indziej myślami. Po chwili powiedział: – Czułem, cholera, jak mi opowiadał, że może się nim interesować SB. – Nie można go narażać – podsumował krótko.

– Posłuchaj, jak Romek wróci i przetrawi temat osobisty, to się zastanowimy. Mam jedną możliwość. Tym bardziej że chcę ściągnąć parę rzeczy rodziców z Polski. Głównie pamiątki rodzinne jeszcze ze Lwowa. To byłaby dobra legenda dla tego, kto miałby to realizować. No i chciałbym przekazać pewien list do Ministerstwa Kultury w Warszawie.

Kleiner potarł dłonią czoło i zamyślił się.

– Czy to pewny kanał?

– Pewny. Jak i to, że towarzysze z KGB czy SB lubią dolary amerykańskie. Zwłaszcza jak dostają je od swoich agentów, którzy robią różne geszefty z obu stron żelaznej kurtyny.

– Mieciu, a co to za list? Nie możesz go wysłać pocztą?

– To dawna sprawa. Chodzi o pewien obraz, który miałem ze sobą w drodze z Polski na Bliski Wschód. Wolałbym, żeby ten list dostarczono osobiście do ministerstwa. Będzie napisany z Tel Awiwu. Do tego akurat Marszałek wciąż może się przydać.

Rozdział 20

Traiskirchen, Wiedeń (Austria) – jesień 1961/zima 1962

Droga z kamienicy przy Elizabethstrasse do stacji Oper zajęła Izie i Armandowi zaledwie kilka minut.

– Wiesz, kochanie. Czakucki to cwany lis. Wynajął to mieszkanie specjalnie dla nas – rzucił Armando przy dużych, brązowych drzwiach wejściowych czteropiętrowej kamienicy. – Blisko do kolejki podmiejskiej. Dziesięć minut samochodem z dworca kolejowego. Samo centrum. Kawiarnie, hotele...

– Świetna lokalizacja. I do tego park, cisza, boczna uliczka – dodała Iza.

Mocniej ścisnęła Armanda za rękę. Co chwilę przytulała głowę do jego ramienia i uśmiechała się, jak zawsze marszcząc nos. Po wyjściu z kamienicy skręcili w lewo i nie spiesząc się, szli wąską ulicą z gęstą zabudową. Wzdłuż chodnika w rzędzie stały zaparkowane samochody.

– Piotruś. A może poszlibyśmy zobaczyć katedrę? To niedaleko stąd. Oglądałam jej zdjęcia jeszcze w szkole, w Nazarecie. Ten Traiskirchen może poczekać. Nie ucieknie. Nigdy nie myślałam, że będę w... innym świecie.

– Izka, daj spokój. Nie ma czasu. Musimy najpierw załatwić, jak mówił stary, formalności. Tyle się wczoraj nasiedzieliśmy na komisariacie. Sama miałaś dość tego niemieckiego szprechania. Chcę mieć to już za sobą. Jak najszybciej. Dobrze, że zgodzili się, żebyśmy sami pojechali do tej dziury.

– Mnie też wymęczyły te austriackie Niemiaszki. Nasza znajomość niemieckiego i angielskiego zrobiła na nich duże wrażenie. Może dlatego nam

zaufali. A pamiętasz, jak w Palestynie śmiałeś się z Olki, że tyle się uczy?

– A tam, dawne czasy.

– Dawne... Ona zawsze mówiła, że niemieckiego uczyć się trzeba na wojnę, a angielskiego na pokój. Ciekawe, co teraz u niej i Filipa? – dodała ze smutkiem, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Tylko od tego czasu sytuacja się zmieniła. Obiecuję, kochanie, że po tym wszystkim zabiorę cię do ogrodów królewskich Pałacu Schönbrunn. Czakucki mówił, że ze wzgórza nad pałacem jest piękny widok na całe miasto. Zaproszę cię na lody.

– Wiesz, jestem szczęśliwa. – Jeszcze bardziej przycisnęła jego ramię do siebie.

Znalezienie monumentalnego, neorenesansowego budynku Wiedeńskiej Opery Państwowej nie nastręczyło Armandowi i Izie trudności. W pobliżu tego gmachu na pasażerów czekały niebiesko-beżowe wagony lokalnej kolejki elektrycznej Lokalbahn z Wiednia do Baden. Wsiedli do jednego przez rozsunięte drzwi. Kupili bilety u konduktora. Do odjazdu mieli kilka minut. Iza, siedząc, oparła głowę o szybę. Wpatrywała się w wiedeńską ulicę, kolorowo ubranych ludzi, witryny sklepów, uśmiechniętych ludzi. „Jakże inny świat od polskiej szarości i smutku. Jak dobrze, że nasze dziecko...” – nie dokończyła myśli. Zasnęła.

Armando okrył ją swoim płaszczem. Wzrok utkwił w oknie. Zachwycał się garbatymi volkswagenami, czerwonymi i niebieskimi zwinnymi fiatami 500, elegancko sunącymi mercedesami W-111. Co jakiś czas pomiędzy tym płynącym, wielokolorowym potokiem wytworów zachodniej motoryzacji powoli przemieszczała się dorożka z gromadką dzieci, z eleganckimi kobietami próbującymi je uciszyć i woźnicą na koźle w szarym płaszczu i meloniku. Przejeżdżający obok owalny, z półokrągłymi oknami przy dachu, bordowo-biały autobus przywołał mu na myśl jego ostatnie miejsce pracy w Polsce – sanocki Autosan.

Ocknął się, gdy kolejka ruszyła. Początkowo jechała wiedeńskimi ulicami, a potem przedmieściem. Po półgodzinnej jeździe zatrzymała się na stacji Traiskirchen. Byli w rejonie Baden w Dolnej Austrii, około dwudziestu kilometrów na południe od Wiednia. Na zachód od Traiskirchen za łagodnymi wzgórzami zaczynały się Alpy. Na horyzoncie widać było ich wyższe partie. Z planu, który otrzymali na posterunku policji, wynikało, że muszą przejść kilkadziesiąt metrów na południe, a potem skręcić w Pfaffstätten Strasse i skierować się na zachód. Zapewniali, że z daleka dostrzegą Bundesbetreuungsstelle, czyli Federalne Centrum Pomocy, mieszczące się w dawnej szkole kadetów cesarsko-królewskiej artylerii.

Z daleka widać było czteropiętrowy gmach z wysokim parterem, z półokrągłymi zwieńczeniami okien i przykryty czerwoną dachówką. Na ulicy stały autobusy z dużymi napisami *Austrobus* i kilka samochodów osobowych. Wydawało się, że panuje tu ruch jak na dworcu. Kręcili się ludzie z pakunkami, walizkami, wózkami dziecięcymi. Pomagali im austriaccy żandarmi w zielonych mundurach i czapkach z daszkiem typu *Bergmütze*.

Dawne koszary i ich bezpośrednie otoczenie podupadły po wojnie. Do jesieni 1955 roku stacjonowały tam jednostki Armii Radzieckiej – pancerne, artylerii i łączności. W 1955 roku wycofali je do Węgier. Oczywiście miejsce to znajdowało się wtedy pod lupą CIA. Miejscowi współpracownicy informowali o znajdującej się na terenie koszar infrastrukturze, ale też o ruchach wojsk. Szczególnie interesujące okazały się piętnasto-, dwudziestometrowe maszty i rozciągnięte przewody do łączności dalekiego zasięgu. To zainteresowanie ze strony zachodnich służb nie uległo zmianie, a wręcz zintensyfikowało się, bo po opuszczeniu tych obiektów przez Sowieców miejsce to zostało przystosowane do przyjęcia uchodźców. Pierwsza duża grupa pojawiła się jesienią 1956 roku. Byli to uciekinierzy z Węgier.

Iza i Armando przeszli przez solidną bramę główną. Przy wejściu stał policjant w skórzanej kurtce i z pistoletem przy pasie oraz żandarmi. Polacy pokazali funkcjonariuszowi zaświadczenia wydane w wiedeńskim komisariacie

policji, a ten od razu je zabrał. Pod strażą zostali zaprowadzeni do biura w budynku głównym. Weszli do obskurnego, zaniedbanego gmachu, który w środku robił upiorne wrażenie. Wydawało im się, że nagle znaleźli się w więzieniu. Zapach smażonego mięsa, dochodzący ze stołówki, mieszał się z odorem ze starej instalacji kanalizacyjnej. Policjant wprowadził ich na trzecie piętro do niewielkiego pokoiku i dokładnie przeszukał. Na szczęście nie potrzebowali tłumacza, aby się z nim porozumieć. Funkcjonariusz zabrał im wszystkie rzeczy osobiste, plecak i torbę Izy, którą to wszystko zaniepokoiło. Nie tak wyobrażała sobie ten „nowy, wolny, wspaniały świat”. Korytarze poprzedzielane były kratami, przy których stali strażnicy. Następnie policjant bez słowa zaprowadził ich do osobnych pomieszczeń. To, gdzie znalazł się Armando, przypominało mu sypialnię w koszarach. Stały w niej wysokie żelazne prycze, stół i drewniane krzesło. W środku znajdował się już jakiś Węgier, Serb i ciemnoskóry uciekinier z Afryki.

Po godzinie Armando i Iza zostali zaprowadzeni do lekarza, który pobieżnie sprawdził ich stan zdrowia. Iza w czasie wywiadu przyznała, że jest w ciąży. Doktor Manfred Hoffman, korpulentny pięćdziesięciolatek, spojrział na nią i zrobił notatkę w karcie zdrowia. I powiedział coś, co Izę zastanowiło.

– Jeżeli będziesz szczerą i twój chłopak też, to otrzymasz właściwą opiekę zdrowotną. Rozumiesz?

– O co panu chodzi?

– O to, że tutaj trzeba współpracować z władzami. Bo inaczej można zostać na ulicy – ostrzegł.

Po posiłku, który zjedli na wspólnej stołówce, który składał się z ziemniaków z węgierskim gulaszem, podanych na metalowych talerzach, musieli się zapoznać z regulaminem pobytu w ośrodku. Za nocleg i wyżywienie musieli płacić szylinga dziennie. Policjant ostrzegł ich, że każde wykroczenie będzie karane, włącznie z możliwością odmowy pobytu na terenie Austrii i deportacją do Polski. Nie wiadomo, czy była to tylko groźba, ale Iza po raz kolejny tego dnia miała łzy w oczach. Potem pobrano od nich odciski palców oraz wykonano

fotografie, takie jak na policji, z boku i en face. Przyszedł czas na pierwsze przesłuchanie. Z każdym z nich rozmawiano osobno. Działania administracji ośrodka były takie same wobec wszystkich uciekinierów. Musieli udowodnić swoją tożsamość i jak najwięcej o sobie opowiedzieć.

Armando i Iza, siedząc w osobnych pokojach, usłyszeli z ust urzędnika taką samą formułkę:

– Podstawą prawną przesłuchania jest ustawa o Policji do spraw Cudzoziemców. Masz obowiązek udzielenia wszelkich informacji. Możemy wydać zakaz pobytu lub dokonać zatrzymania i umieszczenia w areszcie do czasu wydalenia z Austrii. Zobowiązany jesteś do przestrzegania austriackich przepisów prawnych, z zaznaczeniem, że jakiegokolwiek wykroczenie przeciwko nim lub przeciwko porządkowi domowemu i obozowemu spowoduje wydanie zakazu pobytu i natychmiastowe wydalenie z terenu Austrii. Zrozumiałeś?

– Tak – odpowiedział Armando.

– To proszę tu podpisać – powiedział funkcjonariusz.

– Ciężki był wczoraj dzień... – Winiecki próbował rozładować atmosferę.

– *Was ist los!?* Milczeć i słuchać! – odburknął policjant.

Armando odwrócił głowę do okna. Za ogrodzeniem ośrodka dostrzegł wielkie pole krzaków winorośli. Nie było już na nich granatowych owoców. Opadały ostatnie, pożółkłe liście. Funkcjonariusz przejrzał jego polski dowód osobisty i zapytał, czy ma jeszcze jakiś dokument. Potem usłyszał serię innych pytań. Policjant notował odpowiedzi. Armando musiał podać swoje personalia, datę wjazdu do Austrii, pobytu w tym kraju wcześniej, dane do rysopisu, wykształcenie oraz przebieg pracy zawodowej.

– Rodzina w Austrii?

– Nie – odpowiedział automatycznie.

– Bliscy krewni mieszkający w krajach zachodnich?

– Nie.

– Służba wojskowa?

– Tak, Wojsko Polskie od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego do tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

– Podać przebieg służby.

W tym momencie Armando, nie wchodząc zbyt w szczegóły, opisał, w których jednostkach służył w czasie wybuchu wojny, potem na Bliskim Wschodzie i w końcu we Włoszech. Nie wspominał, że był w wywiadzie. Pomimo to policjant długo coś notował. Widać było, że nad tą częścią formularza skupia się najbardziej.

– Czy masz zamiar zostać w Austrii i starać się o azyl polityczny?

– Nie. Nie chcę tutaj zostać – odpowiedział Polak. – A o azyl, w zasadzie mógłbym się starać ... – dodał po chwili.

– To znaczy?

– W PRL-u od pięćdziesiątego pierwszego do pięćdziesiątego szóstego siedziałem w więzieniu z powodu przynależności do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

– Dokumenty, które na to wskazują, lub nazwiska świadków. – Policjant spojrział na Armanda.

Ten wyjął z wewnętrznej kieszeni świstek papieru wydany przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego o zwolnieniu z zakładu karnego przy ulicy Rakowieckiej w Warszawie, a także że wniósł do sądu o uchylenie wyroku i rehabilitację. Policjant zabrał je, choć nic z nich nie rozumiał, bo były wypisane w języku polskim.

– Prześladowany z powodów religijnych lub narodowościowych?

– Nie.

– Kraj, do którego zamierzasz wyemigrować?

– Argentyna.

Przesłuchanie trwało ponad godzinę. I okazało się pierwszym z serii. Po kolejnych dwóch godzinach pobytu w zamkniętej sali ponownie został wezwany na badanie prawdomówności. Tym razem inny urzędnik kazał mu własnoręcznie napisać szczegółowy życiorys. Musiał w nim również uzasadnić, dlaczego chce

się starać o azyl i kto może potwierdzić stosowane wobec niego represje. Protokół z tego przesłuchania podpisał w trzech egzemplarzach. Jego dokumenty miały trafić do Grupy C Policji Państwowej i Centralnej Dyrekcji do spraw Operacyjnych. Tam miały zostać przeanalizowane.

– Przez następne kilka dni obowiązuje cię kwarantanna. Będziesz odizolowany od innych – ostrzegł urzędnik.

– Czy mogę zobaczyć się z żoną?

– Nie. Na razie nie. W odpowiednim czasie dowiesz się, co dalej.

Armando jeszcze kilka razy był wzywany na przesłuchania. Musiał uzupełniać informacje podane w życiorysie. Odniósł wrażenie, że urzędników najbardziej interesowały kwestie jego służby wojskowej i pobytu w więzieniu. Policjanci traktowali go w oschły sposób, z wyższością. W zamkniętym pomieszczeniu przebywał sam. Do toalety, na stołówkę oraz na rozmowy z urzędnikami był doprowadzany przez uzbrojonego policjanta. Ale najbardziej niepokoił go brak kontaktu z Izą. Nie wiedział, co się z nią dzieje i jak się czuje. Na dodatek obawiał się o jej zdrowie w związku z okropnymi warunkami sanitarnymi panującymi w obozie. Nabrał też przekonania, że to miejsce jest wyjątkowo niebezpieczne. Wielokrotnie w dzień i w nocy słyszał pokrzykiwania. Nawet raz widział z okna bójkę pomiędzy uchodźcami. Jeden z nich, wyglądający na Turka albo Araba, został ugodzony nożem. Sprawca został brutalnie pobity pałkami przez policjantów, następnie skuty kajdankami i wywieziony poza teren ośrodka policyjną furgonetką. Widział również niemal codzienny obrazek, gdy grupy uchodźców, które wyglądały na rodziny, wsiadały do autobusów i były gdzieś transportowane. „Czyli jest jednak jakaś nadzieja. Trzeba być twardym. To tylko uciążliwa konieczność. Zło konieczne” – powtarzał w myślach.

Po sześciu dniach izolacji policjant zaprowadził go na kolejne przesłuchanie. Tym razem w pokoju na trzecim piętrze było dwóch mężczyzn. Jeden z nich, w szarym garniturze w kratę i z fajką w ustach, przypominał mu amerykańskiego aktora Freda Astaire’a, z którym film kiedyś widział. W pokoju przesłuchań było

biurko, a na nim dzwonek do przywoływania ochrony. Obok stały dwa fotele, dwa krzesła, w tym jedno bez oparcia. Na ścianie znajdowało się spore lustro. Kazali mu usiąść.

– Azyl polityczny przyznajemy niechętnie – powiedział ten z fajką, mówiący z angielskim akcentem. – Rozsądna jest twoja propozycja dalszej emigracji. Argentyna to dobry kierunek.

– Czegoś potrzebujesz? Czegoś ci brakuje? – zapytał drugi.

– Tak, chciałbym zobaczyć żonę.

– Ach tak? Dobrze. – Pstryknął palcami do wielkiego lustra. Po chwili drzwi się uchyliły i stanęła w nich zapłakana Iza.

Armando podszedł do niej, pocałował ją w usta i przytulił.

– Wszystko w porządku? – wyszeptał.

– Tak, ale ja już dłużej tu nie wytrzymam bez ciebie. Co z nami będzie, kochanie? Boję się...

W tym momencie podszedł do nich policjant i polecił jej wyjść.

– Iza. Proszę cię. Wytrzymajmy jeszcze trochę. Wszystko będzie dobrze. Kocham cię – rzucił jeszcze do wyprowadzanej na korytarz żony.

– Usiądź, proszę. Opowiedz nam jeszcze raz o służbie wojskowej – kontynuował przesłuchanie mężczyzna z fajką.

Armando powtórzył to, co już wielokrotnie opisywał. Co jakiś czas dopytywano się jednak o szczegóły.

– Sztab 2 Korpusu, tak? – przerwał w pewnym momencie Polakowi. Ten zastanowił się i po chwili przytaknął.

– Dlaczego to ukrywałeś? Trzeba było tak od początku i byłoby nam łatwiej. Pamiętaj, tylko prawda jest kluczem do wolnego świata.

Mężczyźni przepytывali go przez następne pięć godzin. Najdłużej zastanawiał się nad odpowiedziami dotyczącymi organizacji ucieczki z Polski. Zgodnie z przyjętą legendą opowiedział o jeździe motocyklem przez granicę oraz podróży pociągami przez Czechosłowację. Wspomniał także o znalezieniu schowka w pustym przedziale sypialnym.

Kolejnego dnia przesłuchanie było kontynuowane już od rana. Pytali o kontakty rodzinne w Polsce, nazwiska i adresy bliskich. Szczegółowo wypytywali o jego pracę w Fabryce Samochodów Osobowych w Warszawie, a potem w Autosanie w Sanoku. Interesowały ich nowinki techniczne, wynalazki, patenty, a przede wszystkim, czy zakłady te produkują podzespoły dla innych partnerów zza żelaznej kurtyny. Odpytywali też, czy fabryka mogłaby zmienić profil produkcji i wytwarzać samochody ciężarowe dla wojska. Armando był zmęczony. Nie był już w stanie myśleć. Po raz kolejny powtarzał te same odpowiedzi. Stosunek urzędników do Polaka zmienił się od momentu, gdy ten narysował na kartce schemat FSO na Żeraniu, a potem na mapie dokładnie wskazał drogę, którą pokonał, uciekając z Polski. Po krótkiej naradzie zakomunikowano mu, że zaraz zostanie przewieziony do urzędu policji XV rejonu Wiednia przy Tannengasse.

Po blisko półgodzinnej jeździe trafił tam policyjnym volkswagenem transporterem z zaciemnionymi szybami. Tym razem rozmowa prowadzona była w wygłuszonym pomieszczeniu bez okien.

– Jestem pracownikiem I Wydziału Urzędu Policji Bezpieczeństwa Państwowego. Nazywam się Hans Kobel. A to jest Henry White z amerykańskiego wywiadu.

– *Well, well, mister* Winiecki. Chcielibyśmy zaproponować ci pracę, oczywiście po odbyciu specjalnego kursu informacyjnego. Gwarantujemy, że twoje sprawy zostaną szybko załatwione. Otrzymasz pomoc materialną i amerykański paszport, a on umożliwi ci wyjazd do kraju, w którym chcesz przebywać, a poza tym dobrą pensję. Praca znajdzie się też dla twojej żony, a wiemy, że ona potrzebuje... stabilności, opieki lekarskiej i twojej codziennej troski – powiedział White.

– A co miałbym konkretnie robić?

– Po przeszkoleniu... pracowałbyś na kierunku polskim.

Armando spojrział na nich zmęczonym wzrokiem.

– Nie, panowie. Nie mam siły. Chcę spokojnie żyć, opiekować się żoną i dzieckiem. Dla mnie wojna już się skończyła. Chciałbym osiedlić się w Argentynie, pracować. Nie chcę się już szarpać i naprawiać świata. Beze mnie i tak dacie sobie radę.

– To twoja ostateczna decyzja?

– Tak, wybaczcie panowie. Chcę z tym skończyć.

– Rozumiem. I tak nam bardzo pomogłeś. Dziękujemy za szczerość – odparł White.

Jeszcze tego samego dnia, po powrocie do ośrodka, Armando i Iza zostali przeniesieni do otwartej części obozu. Nie byli już pod strażą. Otrzymali również kartę pobytu, która pełniła funkcję przepustki umożliwiającej im swobodne poruszanie się po terenie. Z Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża otrzymali niewielki zasilek. Ubrań od Caritasu jednak nie wzięli, gdyż mieli swoje. Dostali jedno piętrowe łóżko w drewnianym baraku. Warunki tam panujące były fatalne. Pomieszczenie było przepełnione uchodźcami z krajów śródziemnomorskich, Węgier i Jugosławii. Następnego dnia rano skontaktował się z nimi argentyński konsul i jeszcze tego samego dnia umówił na spotkanie. Przeprowadził wywiad, a oni wypełnili wszystkie dokumenty niezbędne do wydania wizy. Do czasu otrzymania zgody na wyjazd do Argentyny mogli przebywać poza ośrodkiem.

Zamieszkali w wynajętym przez Czakuckiego mieszkaniu przy Elizabethstrasse, ale co trzy dni musieli się meldować w ośrodku w Transkirchen. Na czas oczekiwania, dzięki urzędnikowi filii Urzędu Pracy dla rejonu Baden, która znajdowała się w obozie, Armando znalazł zatrudnienie. Został skierowany do warsztatu samochodowego na peryferiach Wiednia w Liesing. Z tytułem inżyniera Politechniki Warszawskiej był zaledwie pomocnikiem mechanika, ale zarobione pieniądze pozwoliły im dobrze egzystować. W wolnych chwilach odwiedzali ogrody i pomarańczarnię pałacu Schönbrunn. Armando za każdym razem zapraszał wtedy Izę na lody. Innym

ulubionym kierunkiem ich niedzielnych wypraw stało się też wzgórze Kahlenberg.

Czasami jednak, jadąc rano do pracy, Winiecki odnosił wrażenie, że jest obserwowany. „Sprawdzają mnie. I tak nic z tego nie wyjdzie. A może to po prostu nerwy i przywidzenia” – pomyślał, gdy po raz kolejny zaobserwował tego samego mężczyznę z wiedeńską gazetą w dłoni. Z Czakuckim przez cały czas pobytu w mieszkaniu utrzymywali kontakt telefoniczny.

* * *

Na początku stycznia 1962 roku dostali wiadomość z konsulatu argentyńskiego, że mają już wizy i mogą ruszać za ocean. W niedzielne popołudnie, zaraz po ostatnim spacerze po pałacowych ogrodach, Armando z Izą wsiedli w tramwaj na Wien Südbahnhof, a tam zajrzeli do skrytki bagażowej numer 17. Otworzyli ją kluczykiem, który zostawił im Czakucki. W środku był plik z kilkoma tysiącami dolarów i butelka whisky Talisker.

– Kochany... – Iza się wzruszyła.

Po kilku dniach wyruszyli pociągiem do Monachium. Z oczywistych względów nie mogli skorzystać z najszybszego połączenia nocnym ekspresem Vindobona przez Czechosłowację i NRD. Po dwóch dniach znaleźli się w Hamburgu. Spędzili kolejne dwa dni w niewielkim hotelu w okolicach portu. Odpoczęli i nabrali sił przed transoceanicznym rejssem. Czwartego dnia podróży wsiedli na statek. Byli w drodze do Argentyny. Do swojego nowego, nieznanego domu.

Rozdział 21

Nowy Jork (USA), Żyrardów, Warszawa (Polska) –
jesień 2013

Pod niewielki szeregowy dom, w którym mieszkała Nadia Chodkowsky, podjechało czarne kombi z napisem *Dulles Airport Taxi*. Nadia zakładała, że dotarcie na stację na popołudniowy pociąg z Waszyngtonu do Nowego Jorku wystarczą jej trzy godziny. Do odjazdu Amtraka miała jeszcze sporo czasu, ale stare przyzwyczajenia pozostawały. Na lotnisku Dullesa zaplanowała przesiadkę w inną taksówkę, która miała ją zawieźć wprost do Union Station w centrum amerykańskiej stolicy. Wolą być wcześniej na dworcu, niż potem niepotrzebnie się denerwować.

Miała ze sobą niewielką walizkę pokładową z rzeczami osobistymi oraz sporą, płaską torbę, w której schowane były zabezpieczone cztery obrazy. W Nowym Jorku planowała spędzić jedynie dzień. Hinduski kierowca pomógł jej przenieść bagaż do samochodu. Powoli wsiadła do taksówki. Była zmęczona pakowaniem i ubieraniem się. Czuła, że ma coraz mniej siły.

Nadia wysiadła z pociągu na Pennsylvania Station w Nowym Jorku. Bagażowy odprowadził ją do żółtej toyoty prius, która Ósmą Aleją przywiozła ją do jej ulubionego hotelu Ritz-Carlton. Lubiła go, bo z jego okien otwierał się wspaniały widok na Central Park. Czasem wypożyczała w recepcji stylową mosiężną lunetę, przez którą obserwowała parkową wyspę w centrum miasta. Kiedyś wieczorami chodziła do hotelowej strefy Spa & Wellness, gdzie poddawała się różnym zabiegom pielęgnacyjnym. Stawiało ją to na nogi,

zwłaszcza przed spotkaniami przy długim i bogato zaopatrzonym barze. Z wiekiem wolała wygodne fotele i kanapy w lobby. Zawsze zatrzymywała się w tym miejscu, kiedy musiała coś załatwić na Manhattanie. Poza tym miała blisko do domu aukcyjnego Doyle'a. Jeszcze kilka lat temu, kiedy siły jej na to pozwalały, przed wizytą u Doyle'a robiła sobie prawie godzinny spacer przez park. Teraz nie zawsze się na to decydowała. Ale za to zazwyczaj prosiła kierowcę taksówki, aby jechał Piątą Aleją. Dzięki temu przez szybę auta mogła podziwiać drzewa rosnące w jej ulubionym parku. Ich korony pokrywały żółte i czerwone barwy. Jedynie iglaste sosny pozostawały ciągle zielone.

Formalności w domu aukcyjnym zajęły jej godzinę. Oddała na sprzedaż cztery obrazy, które niedawno przysły do niej z Danii. Robiła to już tak wiele razy, że pracownicy Doyle'a ją rozpoznawali. Zawsze siadała w wygodnym skórzanym i pikowanym fotelu, a pracownik odpowiedzialny za daną aukcję pytał ją kurtuazyjnie o zdrowie, korki na ulicy, obsługę hotelu, w którym się zatrzymała.

Wprawdzie Chodkowsky nie wstawiała nigdy obrazów, które osiągały oszałamiające, milionowe ceny, ale zawsze miała ze sobą coś, co budziło zaciekawienie, a czasem nawet pewien rodzaj niepokoju. Były to obrazy, ryciny, akwarele, które zostały jakby wyjęte z wehikułu czasu. Zwykle ostatnia wzmianka w fachowych periodykach dotycząca ich losów kończyła się na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych poprzedniego wieku. Potem na wiele lat jakby trafiały do jakiejś zamrażarki. Albo ktoś o nich zapomniał, albo znajdowały się w nieznanej prywatnej kolekcji, z której co kilka miesięcy trafiały na sprzedaż. Dokumenty towarzyszące tym przedmiotom Chodkowsky miała zawsze w porządku. Wynikało z nich, że zostały kupione właśnie w latach trzydziestych lub na początku lat czterdziestych w Austrii lub Szwajcarii. Były one na tyle wiarygodne, że dom aukcyjny nigdy nie musiał podejmować działań, które kończyłyby się wycofaniem ich z aukcji. Na przykład, kiedy pojawiłyby się jakieś roszczenia prywatnego właściciela lub państwa, które miałyby je na liście dzieł utraconych. W ofercie, którą zazwyczaj składała, miała malarstwo

holenderskie i włoskie siedemnasto- i osiemnastowieczne. Pojawiały się też dzieła niemieckich artystów z tego samego okresu. Kilka razy sprzedawała ryciny Rembrandta. Co jakiś czas zdarzały się też obrazy polskich dziewiętnastowiecznych artystów, którzy jednak przyporządkowywani byli przez ekspertów domu aukcyjnego do galerii malarstwa rosyjskiego.

Cztery obrazy, które wstawiła tego dnia Nadia, zostały przyjęte bez niepotrzebnej zwłoki. Sprawdzono jedynie, czy nie widnieją w bazie skradzionych dzieł sztuki *Stolen Works of Art*, udostępnionej przez Interpol. Na nic podejrzanego nie natrafili. Wykonana została zatem ich dokładna dokumentacja fotograficzna. Wkrótce zdjęcia i stosowny opis wstawiono na stronę internetową Doyle'a. Nadia odczekała dwie godziny, zanim zaczęły spływać pierwsze oferty kupna.

Zadowolona i rozluźniona Nadia poczuła w sobie jakby cudowny przypływ energii. Dlatego tym razem, tak jak kiedyś, spacerkiem powróciła do swojego hotelu. Po drodze kilkanaście razy przysiadła na parkowych ławeczkach, aby odpocząć i obserwować jesienne rośliny oraz słuchać śpiewu ptaków. W takim miłym nastroju dotarła w końcu bardzo zmęczona do hotelu. Nad wejściem, smagane przez lekki wiatr, powiewały gwieździsty sztandar i granatowa firmowa flaga ze stylizowaną głową lwa i nazwą hotelu. Szybko dotarła na swoje piętro. W pokoju położyła się na łóżku. Dopiero teraz poczuła zmęczenie.

Po godzinie Nadię coś wyrwało z popołudniowego snu. Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Wstała z szerokiego, dwuosobowego łóżka. Spojrzała przez wizjer. Otworzyła. Przed nią stał mężczyzna średniego wzrostu, z postawionym wysokim kołnierzem ciemnogramatowego płaszcza. Na głowie miał czarną baseballówkę z haftem NY – symbolem drużyny Jankesów. Na jej zmęczonej twarzy pojawił się szczerzy uśmiech. Mężczyzna serdecznie przytulił kobietę i pocałował w oba policzki.

– Witaj, Nadiu. Widzę, że jesteś w dobrej formie. Świetnie wyglądasz – powiedział pułkownik Siergiej Sokołow, zdejmując płaszcz.

– Witaj, Sieriożka! Nareszcie cię widzę. Opowiadaj, co nowego? Kiedy dotrze do nas mój ulubieniec Igor Pospiechow? Nie widziałam go chyba z rok!

Sokołow podszedł do okna. Odchylił lekko firankę i popatrzył na park. Nabrał powietrza i odwrócił się. Złapał ją za obie dłonie i spokojnym ciepłym głosem powiedział:

– *Posłuszaj, Dinka. Nie chciałem ci mówić. Ale Igor...*

Chodkowsky zbladła. Wyrwała dłonie z delikatnego uścisku Sokołowa. Podeszła do wielkiego fotela odwróconego do okna. Usiadła. Poprawiła swoją szarą żakardową sukienkę. Milczała, ale po jej pomarszczonych policzkach popłynęły łzy. Wytarła je delikatnie chusteczką. Zawstydziała się. Nie chciała, żeby Sokołow zobaczył ją w takim stanie. Nigdy wcześniej nie widział u niej łez.

– Kto? – zapytała krótko, nie odwracając głowy.

– Wypadek. Po prostu cholerny wypadek lotniczy – odpowiedział i podszedł do lodówki. – Whisky czy wódka?

– Wódka, Sieriożka, zimna wódka... Pułkownicy wywiadu nie giną w wypadkach.

– Być może...

Sokołow widział, że informacja o śmierci Pospiechowa poważnie nią wstrząsnęła. Przez kilka minut nic nie mówił. Czekał, aż Nadia się uspokoi.

– Sieriożka, obiecuj mi, że dowiesz się, kto to zrobił i dlaczego. I że go za to ukarzesz.

– Obiecuję, Dinka.

– Coś cię jeszcze sprowadza? – zapytała po chwili już spokojnym głosem.

– Mam dla ciebie pewne zadanie. Wyobraź sobie, że udało nam się zdobyć kilka rysunków Albrechta Dürera. Co prawda to nie *Czterej jeźdźcy Apokalipsy*, ale są jednak bardzo dobre i co najważniejsze, unikatowe. Nie były w obiegu przez ostatnich siedemdziesiąt lat. Pochodzą, powiedzmy... z polskiej kolekcji. No i... nieźle można na nich zarobić. Zasady się nie zmieniły. Dzielimy się uczciwie.

– Rozumiem. Nie boisz się, że *Poliaki* coś wreszcie zwęszą? Tylko patrzeć i wezmą się za mnie. Wiesz przecież, że dwa razy próbowali mnie podejść i nic im nie wyszło. Ale teraz to nie *szpionskie dzieło*, a handel dziełami sztuki! Chcesz, żebym miała problemy?!

– Dinka, rozumiem cię. Ale teraz to co innego. To są rysunki nigdzie nierejestrowane. Od zakończenia wojny ojczyźnianej nikt ich nie widział. Świadkowie zapomnieli, poginęli albo pomarli. Sprawa bezpieczna. To w zasadzie Igor miał z tobą załatwić, ale...

– *Choroszo*, ale robię to wyłącznie dla mojego Igora. Gdzie je masz?

– Jutro ci przyniosę.

– One były w tym ładunku, który przerzucaliście przez Arubę?

– Tak. Z Margarity. Nic nie ruszałaś? Nie otwierałaś skrzyń?

– No coś ty! Zgodnie z zasadami i naszymi ustaleniami schowałam je na poddaszu i poprzykrywałam różnymi szpargałami... Są w trzech oplombowanych, używanych skrzyniach Hardigga.

Nadia nagle jakby się ożywiła. Jej twarz pojaśniała, a oczy błysnęły.

– Ach, ta urokliwa Wenezuela. Piękna i tajemnicza wyspa Margarita. A wiesz, Sierioża, że byłam tam pod koniec lat siedemdziesiątych? Załatwialiśmy tam poważną sprawę. Miałam dostarczyć specjalną przesyłkę z Centrali naszym towarzyszom na miejscu... *No choroszo*.

– Ojciec kiedyś mi o tym opowiadał.

– *Posłuszaj*, Sierioża. Jutro planowałam powrót do domu. A twoja sprawa wymaga spotkania i porozmawiania u Doyle'a. Masz mocne dokumenty?

– Dinka, nie przychodziłbym do ciebie, gdybym ich nie miał. Przecież nie narażałbym cię na skandal czy jakąś konfrontację z wymiarem sprawiedliwości. Za kogo ty mnie masz? Mam najlepsze na świecie dokumenty. Oryginalne!

– Jak to oryginalne?

– A tak, Dinka! Teraz wszystko możemy zrobić. I powiem ci, z oryginalnymi pieczęciami, na oryginalnym papierze, na oryginalnych drukach. Nawet podpisy mamy oryginalne.

– Polskie?

– Polskie, Dinka. Napijmy się za spokój duszy Igora. To jego zasługa. Ale i twoja...

– Moja? A co ja takiego zrobiłam? Zorganizowałam tylko bezpieczny kanał przetrzutu...

– To właśnie ta stara sprawa. Wtedy, pod koniec lat siedemdziesiątych, jak byłaś na Margaricie i przeprowadzałaś z moim ojcem tę operację, której celem był polski inżynier, chodziło właśnie o to.

– Jak to? Tyle lat to trwało?

– Wiesz, ojciec służył w V Zarządzie KGB, zmienionym potem na Zarząd Z. Jednostka ta odpowiadała za ochronę porządku konstytucyjnego.

– Dysydenci, walka ideologiczna...

– On akurat był w 10. Dyrekcji zajmującej się przestępczością gospodarczą. Odpowiadał za przeciwdziałanie szmuglowi zakazanych dóbr. Głównie dzieł sztuki. Miał dobre rozeznanie na świecie, w galeriach, na aukcjach, u antykwariuszy.

– Tak, pamiętam. Przeprowadzaliśmy razem parę operacji na Zachodzie i u sojuszników.

– Dinka. On miał informacje o pewnych rzeczach ukrytych na Margaricie. Nie wiem skąd. To jakieś stare dzieje. Komu mógł zaufać z naszej *razwiedki*? Tylko mnie i innym sprawdzonym towarzyszom, takim jak ty czy później Igor. Teraz rozumiesz?

– Rozumiem...

Sokołow nalał zimnej wódki do kieliszków. Popatrzyli na siebie. Stuknęli się i wypili.

– I wiesz, teraz to dopiero będziemy mieli możliwości. Polacy sami siebie zagryzą politycznie.

– Ale ty jesteś dzisiaj tajemniczy. Znowu nie bardzo rozumiem. Władimir Władimirowicz coś wymyślił?

– Skąd! Ale... jak przedstawiliśmy propozycję nowej operacji, to aż podskoczył z radości. Trzymaliśmy to na odpowiednią chwilę. Dotąd czasami tylko coś wyprodukowaliśmy i wypuszczaliśmy, a *Poliaki* to łykali. Ale teraz sytuacja może się diametralnie zmienić. Pracujemy nad tym. Teraz możemy na pęczki wytwarzać ich oryginalne dokumenty. Produkcja ruszy w różnych dziedzinach: polityka, nieruchomości, gospodarka, historia. Na nowo im ją napiszemy. Nie pozbierają się. Takiego mętliku im narobimy, że za kilka lat nikt nie będzie pewny, kto był właścicielem ziemi, atrakcyjnych działek w Warszawie, czy w ogóle domów w *Polszy*, a nawet kto wywołał wojnę w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku!

Sokołow podniósł do połowy opróżnioną butelkę stolicznej i ponownie napełnił kieliszki.

– To co wy macie?

– Ich przedwojenne archiwum. A chemię to sobie sami dorobimy.

– I to się ma udać?

– Tak. Ale coś ci jeszcze powiem, Dinka. Nie widzę przeszkód, abyśmy przy tej okazji sami na tym nie skorzystali. Stąd ten Dürer. *Poniała, dziewczuszka?* – Przytulił kobietę do ramienia.

– *Poniała, poniała. Wsio poniała, towariszcz połkownik.*

* * *

Marek Kościuszko, konsul generalny RP w Nowym Jorku, jeszcze raz obejrzał dokumenty, które przyniósł ze swojego biura do mieszkania przy Ósmej Alei. Choć był już zmęczony całodziennym użeraniem się z polskimi obywatelami, ich zagmatwanymi sprawami prawnymi, postanowił sprawdzić prywatną pocztę. Chciał poczytać o tym, co się dzieje w kraju, i spojrzeć w internetowy katalog najbliższych aukcji u Doyle'a. Nalał bourbona do grubej szklanki z rżniętego szkła. Dorzucił wielką kostkę lodu. Przesunął torbę z dressem i butami przyniesionymi z meczu koszykówki, który rozegrał z kolegami ze Stałego

Przedstawicielstwa RP przy ONZ. Pilotem włączył telewizor i ustawił ulubiony program o lidze NBA.

Usiadł wygodnie przed ekranem komputera. To był jego niemal codzienny rytuał na koniec każdego dnia pracy. Dyplomata zawsze interesował się sztuką i po cichu liczył na to, że wreszcie trafi na jakiegoś świętego Graala, czy chociażby *Portret młodzieńca* Rafaela Santi. Był jednak świadomy, że akurat taki obraz nie ma prawa pojawić się na aukcji.

Wszedł na stronę domu sprzedażowego i jednocześnie otworzył okienko bazy dzieł poszukiwanych przez Ministerstwo Kultury w Warszawie. Metodycznie kopiował nazwiska autorów i opisy obrazów i wklejał je do bazy. Strona ministerstwa co jakiś czas się zawieszała. Odkąd pamiętał, zawsze była nieprzyjazna dla osób, które chciały cokolwiek w niej sprawdzić. Zastanawiał się, co za informatyk mógł zrobić tak nieintuicyjną wyszukiwarkę. Kościuszko nic nie znalazł, ale dla świętego spokoju postanowił jeszcze przejrzeć same obrazy według określonego klucza: malarstwo polskie i holenderskie. Tym bardziej że jeden z obrazów przypominał mu dzieło Fałata. Zresztą i tak wolał polegać na własnej głowie i pamięci niż na felernej wyszukiwarce.

W pewnym momencie coś go zaniepokoiło na tyle, że energicznie wstał do stolika i nalał sobie nową porcję bourbona, tym razem większą.

– Jest! – powiedział cicho do siebie, patrząc na czarno-białą fotografię.

Po chwili jeszcze raz porównał obraz z aukcji ze zdjęciem na stronie internetowej polskiego ministerstwa. Tak. To była akwarela *Nagonka na polowaniu w Nieświeżu* z 1891 roku. Kościuszko zaczął czytać na głos opis. „Obraz pochodzi z przedwojennych zbiorów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Po wybuchu wojny został przewieziony do Muzeum Narodowego. W drugiej połowie 1944 roku ślad po nim zaginął”. Tylko tytuł się nie zgadzał... O co tu chodziło?

Konsul skopiował informacje dotyczące tego obrazu. Odeszła mu ochota na sen. Nie zaprzestał oglądania kolejnych dzieł wystawionych na aukcji. Po chwili trafił na drugi. Tym razem patrzył na obraz holenderskiego malarza z drugiej

połowy XVII wieku, Jana van der Bendta *Krajobraz z ludźmi i stadem*, który, jak przeczytał w przedwojennych dokumentach, był opisywany jako *Krajobraz pasterski*. „Dzieło to pochodzi z kolekcji doktora Jana Popławskiego, która została zgromadzona w latach 1885–1924 w Petersburgu. W 1935 roku część zbioru została wykupiona i trafiła do depozytu Muzeum Narodowego w Warszawie. W czasie wojny została zrabowana przez Niemców. Po wojnie z kolekcji Popławskiego do muzeum wróciło tylko pięćdziesiąt obrazów” – czytał szczegółową informację.

– To wystarczy! – powiedział, tym razem głośniej.

Wyjął z torby służbowego laptopa. Włączył go. Po chwili zalogował się przez VPN do systemu intranetowego MSZ i napisał zwięzłą notatkę o swoim odkryciu. Skopiował do niej odpowiednie linki do stron domu aukcyjnego w Nowym Jorku i ministerialnej bazy. Po ukończeniu dokumentu załączył go do e-maila i wysłał do Centrali na Szucha w Warszawie. Głównym adresatem był wiceminister Wiatr. Postanowił jednak dodać jeszcze do listy odbiorców dyrektora Departamentu Konsularnego MSZ.

Był zadowolony ze swojego odkrycia. Postanowił dokończyć drinka na szerokiej kanapie przed telewizorem. Właśnie leciały skróty meczów Konferencji Zachodniej NBA. Jednak coś jeszcze nie dawało mu spokoju. W końcu podniósł służbowego smartfona. Z pamięci wybrał numer i nacisnął zieloną słuchawkę.

– *Hi, Bonnie*. Przepraszam, że tak późno, ale trafiłem na coś. Potrzebuję twojej pomocy... Okej. To jutro o dziewiątej rano w Starbucksie na rogu Madison i Wschodniej Trzydziestej Szóstej. Tak, tam gdzie zawsze. Jeszcze raz przepraszam, dobrej nocy.

Bonnie Barrois pracowała w agencji DHS/ICE Homeland Security Investigations. Wiedział, że może liczyć na tę młodą agentkę. Wcześniej, dzięki jej kontaktom, udało się zablokować kilka aukcji z dziełami sztuki, co do których pochodzenia były poważne wątpliwości. Niedawno pomogła mu

w odzyskaniu cennych rękopisów Fryderyka Chopina, które pojawiły się w niewielkim domu aukcyjnym w Bostonie.

* * *

Wiceminister spraw zagranicznych, Bogdan Wiatr, sączył poranną kawę z mlekiem i przeglądał korespondencję z polskich placówek zagranicznych. Ta z nowojorskiego konsulatu generalnego od razu przykuła jego uwagę. Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział:

– Pani Krysiu, proszę zadzwonić do pani Moniki Sehn. Niech jak najszybciej do mnie przyjdzie. A potem niech mnie pani umówi na wizytę u naszej pani doktor Marty. Bo coś źle się czuję. Jakby grypa... Ale dopiero po wizycie generała Czuchy – powiedział do słuchawki.

Po kilkunastu minutach do jego gabinetu weszła drobna historyk sztuki.

– Siadaj, proszę, Moniko. Kawa, herbata?

– Nie, dziękuję. Jestem już po jednej, a poza tym mam sporo pracy. – Doktor Sehn zdjęła okulary i spojrzała uważnie na wiceministra. Przeczynała, że niebawem i tak będzie musiała wszystko odłożyć, aby zająć się tym, o czym za chwilę ją poinformuje. Od kilkunastu lat, wraz z profesorem Marianem Nowojką, zajmowała się restytucją polskich dzieł sztuki utraconych w czasie wojny. Koordynowali działania w tym zakresie polskich dyplomatów.

Wiatr podał jej już wydrukowaną notatkę sporządzoną przez konsula Kościuszkę. Sehn szybko ją przeczytała.

– Wiesz, co masz zrobić?

– Tak. Na szczęście odkrył to Marek. Znając go, to już uruchomił swoje kontakty na miejscu. Niemniej prześlij mi tę korespondencję. Sprawdzę linki, czy wszystko się zgadza. – Wstała i wyszła z gabinetu.

Sehn musiała jak najszybciej zebrać informacje i dotrzeć do wszelkich dokumentów na temat akwareli Fałata oraz obrazu der Bendta i natychmiast wysłać je do konsulatu generalnego w Nowym Jorku. Zdawała sobie sprawę, że

czas grał istotną rolę. Chodziło o to, aby zablokować ich sprzedaż. I tak stracili już kilka godzin z powodu różnicy czasu.

Wiatr wybrał numer do konsula w Nowym Jorku.

Dzwonek służbowego telefonu wyrwał Kościuszkę z głębokiego snu. W pierwszym odruchu chciał zbagatelizować wibrujący na nocnej szafce smartfon. Gdy wreszcie się zainteresował, kto o tej porze wszczyna alarm, szybko odebrał.

– Dzień dobry, Marku. Wiem, która jest u ciebie godzina, ale już działamy. To trzeba dyskretnie i szybko załatwić, żeby nam ktoś nie sprzątnął tematu sprzed nosa. Rozumiesz? – powiedział jednym tchem Wiatr.

– Bogdan... słuchaj. Z samego rana jestem umówiony ze znajomą agentką z DHS/ICE. Mam nadzieję, że namówię ją od razu, aby wejść do Doyle'a. Porozmawiam wcześniej z ich dyrekcją. Zwykle w takich sytuacjach wstrzymują aukcję.

– W porządku. To działaj i na bieżąco informuj mnie o sprawie. Aha. Jak będziesz coś pisać na ten temat, to rozszerzaj korespondencję na Sehn i Nowojkę.

Kościuszko odłożył smartfona. Postanowił, że jeszcze pośpi. Spodziewał się, że dzień może być długi i wyjątkowo wyczerpujący.

* * *

Kilka godzin później, gdy tylko Kościuszko wrócił do konsulatu, zdjął płaszcz, rzucił go niedbale na skórzany fotel i od razu sięgnął po telefon. Wybrał numer do Warszawy, na Szucha, do centrali MSZ.

– Boguś? Sprawa wygląda następująco. Fałata udało się wstrzymać, ale der Bendt niestety... poszedł już do klienta.

– Cholera! Nie zdążyliśmy! – Wiatr nie był w stanie ukryć irytacji.

– Dziwisz się? Sprzedali go zaledwie za siedem tysięcy dolarów. Pojechał podobno do Włoch. Może uda nam się za jakiś czas ustalić, gdzie trafił. Ale to

potrwa. Sam wiesz, jak nam się współpracuje z włoskimi władzami w tym zakresie. To jakaś porażka – dodał konsul.

– Sehn od rana kompletuje dokumentację. Jak skończy i zeskanuje wszystko, to zaraz ci prześle. Powinieneś wszystko mieć w skrzynce mailowej do południa. Oryginały polecą do ciebie jak najszybciej pocztą kapitańską. Ekspedyt kurierski poinformuje cię mailowo i telefonicznie, którym lotem i od kogo odebrać. Sprawa jest na *cito*.

– Boguś, ale jest jeszcze coś w tej sprawie... – Kościuszko ziewnął. – To niejedynie obrazy.

– Słucham?! O czym ty mówisz?!

– Tak. Mamy jeszcze z tego samego źródła *Portret damy* Getziusa Geldropa, flamandzkiego malarza z przełomu szesnastego i siedemnastego wieku. Obraz wykonano na dębowej desce techniką olejną. Do powstania warszawskiego był w magazynie Muzeum Narodowego. Poszedł do jakiegoś kolekcjonera w Los Angeles. Ale to sprawa, na szczęście, w zasięgu mojej Bonnie.

– Kogo?

Kościuszko cicho zakasłał. Siegnął ręką po kryształową szklanę i upił łyk wody.

– Mówiłem ci o niej wczoraj. Bonnie Barrois. To moja znajoma, agentka z DHS/ICE. Widziałem się z nią dzisiaj rano i podjechaliśmy razem do Doyle'a. Ale wyszło, jak wyszło.

– Jasne.

– Geldropa sprzedali za trzy tysiące dolarów. No i mamy *Czerkiesów* Januarego Suchodolskiego, ale tego już, moim zdaniem, straciliśmy. Pojechał do Sankt Petersburga. Kupił go niejaki Aleksander Sorokin za osiem tysięcy dolarów. Za grosze.

– O co tu chodzi, Marek?! Co to za wysyp naszych zaginionych obrazów?!

– Jeszcze nie wiem. Wszystkie obrazy łączą pewne elementy. Po pierwsze, bardzo niska cena. Za niska jak na warunki panujące na tutejszym rynku dzieł sztuki. Po drugie, wszystkie one do powstania warszawskiego znajdowały się

w Muzeum Narodowym w Warszawie. A po trzecie, dokumenty potwierdzające autentyczność...

– To znaczy...

– Według mnie te wszystkie obrazy miały bardzo dobrze spreparowane dokumenty. To nie amatorzy. Falszermom chodziło między innymi o to, aby utrudnić ewentualne sprawdzenie, czy widnieją w naszej bazie. Dlatego podali fikcyjne nazwiska autorów, tytuły, opisy, czas powstania, a nawet wymiary – referował Kościuszko. – Na przykład sprzedany do Rosji Suchodolski został zatytułowany *Bitwa z Szamilem*. Z kolei Geldrop był opisany tak, jakoby został wykonany w manierze Paulusa Moreelse. No i jeszcze ceny wywoławcze były bardzo niskie i oscyływały wokół pięciu tysięcy dolarów za sztukę. Zdaniem Bonnie komuś mogło zależeć, aby szybko je sprzedać. Być może testowali nowy kanał przerzutu i sprzedaży zrabowanych w czasie wojny dzieł sztuki?

– A źródło pochodzenia? Coś ustaliłeś?

Kościuszko chrząknął.

– Nic. To nie jest takie proste... Tajemnica handlowa i droga sądowa. To może potrwać. W naszym zasięgu jest sprawdzenie, czy te wszystkie obrazy nie były na przykład w jednej skrzyni w Muzeum Narodowym w Warszawie.

– A nie uważasz, że może sprawdzali, czy je wyłapiemy? Że to był rodzaj testu?

– Myślisz, że wypuszczą więcej?

– Nie wiem. Tak czy inaczej warto obserwować i ustalić ich źródło. Ta Amerykanka ci pomoże?

Konsul uśmiechnął się pod nosem.

– Tak. Zdecydowanie tak. Wracam do konsulatu. Dostaniesz szczegółową notatkę. Dołożę też informację o pozostałych. Niech pani doktor Sehn ma pełną informację.

– Potrzebujesz pomocy?

– Wiesz, że jestem sam i nikt inny nie kiwnie nawet palcem. Siedzą tylko w swoich okienkach konsularnych... Posłuchaj, Boguś. A może nasi

z Miłobędzkiej podpracowaliby jakoś z tym tematem? Masz z nimi dobry kontakt?

– Mam, mam. – Wiatr się uśmiechnął. – Miałem okazję poznać jednego przy okazji sprawy *Młodzieńca*. W dodatku sprawdzał dla mnie ostatnio jeden temat w Wenezueli. Co prawda ich szef jest mocno bojaźliwy, ale to niech już Jaskólski bierze na siebie.

* * *

Wysoki pięćdziesięciopięciolatek z krótkimi wąsami i jasnymi, nieco już przerzedzonymi włosami uczesanymi na jeża wszedł do drewnianej szopy. Zamknął drzwi na skobel, tak aby nikt mu nie przeszkadzał. Zresztą gdyby ktoś się pojawił w pobliżu, pierwszy podniósłby alarm owczarek belgijski, który pilnował posesji.

Jego jednorodzinny dom stał nieco na uboczu, na obrzeżach Żyrardowa. Z kieszeni spodni wyciągnął lateksowe rękawiczki i naciągnął je na dłonie. Ze stosu pociętych drewnianych klocków wyjął jeden, który był oznaczony w taki sposób, że tylko on bezbłędnie mógł go rozpoznać. Z ledwo widocznego otworu wyciągnął paznokciem długą szpilkę. Wziął kawałek drewna w dłonie. Następnie przekręcił go z dużą siłą w przeciwnych kierunkach, na jego krótszej osi. Rozsunęły się dwie części. W jednej z nich znajdował się wydrążony podłużny otwór. Było w nim plastikowe, hermetycznie zamykane pudełko. Wyciągnął je i otworzył. Z wnętrza wyjął smartfona. Włączył go. Po zalogowaniu się telefonu do sieci spojrzął na ekran. „Muszę go zaraz trochę podładować” – pomyślał. Następnie otworzył aplikację Viber. Otrzymał wiadomość tekstową: VV, AH, LP. Podkreślone były litery VV. Poniżej wyświetlona była data i godzina. Zapisał wszystko na karteczce.

Wyłączył smartfona i go schował. Zapomniał go doładować. Pudełko wsunął do otworu, przekręcił dwa kawałki i zabezpieczył możliwość otwarcia długą szpilką. Odłożył kawałek drewna i wcisnął w puste miejsce od strony ściany.

Przykrył go kilkoma kawałkami porąbanego, normalnego drewna. Do wiklinowego koszyka włożył kilka szczapek. Wrócił do domu.

– Kochanie, zaraz napalę w kominku – powiedział i postawił koszyk w salonie.

– Dobrze, bo już marzłam. Pójdę się wykapać, a potem będziemy mieli czas tylko dla siebie – usłyszał z sąsiedniego pokoju.

Wrzucił kawałki drewna do kominka i podpalił je długą zapalką. Płomień pojawił się szybko. Drewniane klocki były porządnie wysuszone. Uchylił drzwi do łazienki. Marta, jego żona, właśnie weszła pod prysznic. Mężczyzna skierował się do swojego gabinetu. Spojrzał na kartkę. Usiadł do uruchomionego komputera. Ekran wyświetlał jego skrzynkę mailową. Skasował wiadomości, w tym tę, która oznaczała polecenie uruchomienia kanału łączności. W synchronizowanym z jego skrzynką mailową smartfonie również zniknęły te same informacje.

Do momentu nawiązania łączności miał jeszcze kilkanaście minut. Odczekał. Wszedł następnie na ikonę *Battlefield: Bad Company 2*. Gra się uruchomiła. Do wyboru, zgodnie z założeniami, miał trzy operacje: *Valparaiso Village*, *Arica Harbour* i *Laguna Presa*. Dzisiaj otrzymał polecenie VV, czyli *Valparaiso Village*. Z prawej strony ekranu zobaczył pionową listę innych graczy, wśród nich aktywną ikonę z *nickiem*: Brix79. Kliknął na ikonę i zaprosił Brix79 do gry. Prowadzona przez niego postać pojawiła się na polu bitwy. Postać żołnierza amerykańskiego miała napis: Brix79. Dodatkowo jego karabinek M-16 miał leśny kamuflaż. To był sygnał o gotowości do nawiązania rozmowy w języku angielskim. Kliknął literę „L”. Uruchomił się czat.

Po kilku minutach mężczyzna wylogował się z gry i wyłączył komputer. Przeczytał jeszcze raz zapisane na kartce informacje.

– Znowu to samo?! Uwzięli się czy co?! Muszę to wyjaśnić na najbliższym spotkaniu – burknął pod nosem.

Wszedł z gabinetu. Do kominka w salonie wrzucił dwie kartki papieru, na których zanotował czas nawiązania łączności i otrzymane polecenie.

Z metalowego stojaka wyjął pękatą butelkę czerwonego macedońskiego wina Vranec. Otworzył ją i postawił na małym stoliku obok dwóch szklanych kieliszków na wysokich stopkach. Usiadł w wygodnym fotelu typu *lazy boy* i wyciągnął nogi na podnóżku. Słyszał, że żona już suszy włosy. Wziął do dłoni smartfona zabezpieczonego przez techników Agencji Wywiadu. Wysłał zaszyfrowaną wiadomość do swoich zastępców oraz do kierownictwa Agencji: *Potwierdzam. Jutro na odprawie.*

* * *

Okno w gabinecie generała Czuchy, szefa Agencji Wywiadu, było uchylone.

– Musiałem przewietrzyć, bo klimatyzacja nie działała. Mają naprawić po południu – powiedział generał do sekretarki. Podeszedł do okna i je zamknął.

Czucha siedział w swoim gabinecie na siódmym piętrze. Czuł się źle, jakby łapała go grypa. Raz przeszywał go dreszcz, innym razem pojawiały się poty. Na jego biurku, oprócz kolorowych teczek z dokumentami oraz komputera, stało kilka opakowań różnych leków. Gdy właśnie połykał tabletki, przez podwójne drzwi, obite skajową, wygłuszającą wykładziną, gęsiego zaczęli wchodzić jego najbliżsi współpracownicy. Sekretarka wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Pułkownik Marek Matecki, zastępca do spraw operacyjnych, usiadł najdalej od szefa, za stołem ustawionym poprzecznie do jego biurka, tak jakby obawiał się złapać jakąś chorobę od przełożonego. Drugi zastępca, pułkownik Paweł Koźlak, zajął krzesło obok Mateckiego. Wcześniej rzucił na stół swoją ulubioną gazetę – „Przeгляд Sportowy” – od której zaczynał każdy dzień pracy. Pomędzy nimi a Czuchą zasiadł szef pionu bezpieczeństwa wewnętrznego, pułkownik Tomasz Romańczuk, oraz zastępca szefa do spraw informacyjnych, podpułkownik Dominik Gajda.

– Przepraszam, panowie, za mój stan. – Czucha zakaszła, a Matecki, jakby odruchowo, odwrócił głowę do okna, obawiając się, że zarazki w pierwszej kolejności właśnie jego dosięgną. – Zaraz po odprawie idę do lekarza. W razie zwolnienia obowiązki przejmie Marek. – Wskazał na zastępcę.

Ten zaraz podniósł rękę i powiedział:

– Tak jest. Proszę się nie martwić i spokojnie zdrowieć.

Czucha zdawał sobie sprawę, że leczenie w domu może nie przebiegać w spokoju. Wiedział, że i tak, jakby cokolwiek się zdarzyło, to premier zadzwoni do niego. I to on będzie musiał jechać do KPRM-u i świecić przed nim oczami za jakieś sprawy, nie zawsze wynikające z jego winy. A nie miał u premiera wysokich notowań. Wynikało to z niechęci szefa rządu do służb specjalnych.

Pół godziny zajęło im omówienie bieżących spraw realizowanych przez oficerów Agencji za granicą. Przejrzeli i przedyskutowali najpilniejsze szyfrogramy. Czuchę szczególnie interesowały działania na kierunku ukraińskim i rosyjskim. Sytuacja polityczna w Kijowie związana z wyborami komplikowała się, a sygnały, które docierały do AW, wskazywały na wzmożenie działań podejmowanych przez rosyjskie służby specjalne. Nie chodziło tylko o SWR i GRU, ale także o FSB, której funkcjonariuszy przerzucano w strefę nadgraniczną. Tak jakby oczyszczano przedpole przed jakąś poważniejszą operacją wojskową.

Paweł Koźlak omówił z kolei działania prowadzone przez podległych mu oficerów wraz z amerykańskimi partnerami w Wenezueli.

– A teraz ty, Tomku. Nie wiem, po co wszczyłaś ten alarm, że twój udział jest niezbędny. – Czucha cicho zakasłał i wytarł nos.

– Mamy, panowie, poważne podejrzenie zdrady w naszych szeregach. Od pewnego czasu obserwujemy zachowanie i kontakty kilku naszych oficerów. Trwa ich rozpracowywanie. Obserwacja, kontakty zagraniczne, niezgłaszane dochody i tak dalej – powiedział Romańczuk.

– Ho, ho, ho! A ty co? Zaczynasz od wysokiego C. I zaraz opowiesz o spisku, tak? – Czucha drwił ze starszego kolegi. – Jakieś dowody. Bo te, które Nożycoręki wyprodukuje na wariografie dla ciebie i tej pani, którą nam wrzucili z Rakowieckiej, mnie nie interesują.

– Tomek. A wiesz, co mówią o tym twoim ulubieńcu, który nadzoruje tę sprawę u ciebie? – zapytał z końca stołu Matecki.

– Nie, nie wiem. A skąd wiesz, kto prowadzi tę sprawę?

– A wiem! Więc mówią na korytarzach i w bufecie, że na tyle gryzie, na ile mu smyczy poluzujesz!

W gabinecie Czuchy poniósł się gromki śmiech. Jedynie Romańczuk milczał.

– Jakie masz dowody? – spytał Czucha.

– No tak... Na razie to tylko skąpe, niepotwierdzone, przeważnie jednoźródłowe informacje operacyjne. Ich szczegółów nie mogę ujawnić, bo nie mamy jeszcze pewności...

– To o co ci, kurwa, chodzi, Tomek? Nie mam czasu na pierdoły. Ja jestem chory. A pewnie czeka mnie przed położeniem się do łóżka jeszcze wizyta w KPRM-ie i niespecjalnie miła rozmowa z premierem. Rozumiesz? Konkrety! – naciskał Czucha.

„Szkoda, że nie jest takim kozakiem, jak rozmawia z premierem” – pomyślał z ironią Gajda, który czasami towarzyszył szefowi AW w prezentacjach dla ministrów czy posłów z sejmowej komisji do spraw służb specjalnych.

Romańczuk odwrócił głowę do okna, spojrzął na drzewa, wokół których krążyło stado wron.

– Mam nadzieję, że przedstawię je niebawem. Dodam, że informacje mamy również od amerykańskich partnerów.

– Czyli co? Jankesi będą nas rozgrywali? Coś ci się chyba pomieszało pod sufitem – rzucił Koźlak.

– No nie. Efekty operacji w Syrii, na Krymie, a może i w Wenezueli, nie są, najogólniej mówiąc, zadowalające. Dla nas i sojuszników. Rodzi się więc pytanie: dlaczego?

– Ja za swoich ludzi ręczę. Nie słyszałem żadnego złego słowa na temat Sierpeckiej i Łodyny. A o nich przecież mówisz. Wcześniej Sierpecka odpowiadała za Sewastopol i Damaszek – odpowiedział Koźlak.

– Skąd u ciebie taka ocena tych spraw? O co ci chodzi? Materiały spływające do pionu informacyjnego ocenialiśmy bardzo wysoko. Szły często na najwyższy rozdzielnik w państwie. Coś mi tu nie pasuje. Nie jestem takim operacją jak inni

tutaj, ale coś mi śmierdzi w takich podejzeniach. A tę dwójkę znam... od zawsze – wtrącił się Gajda.

– Panowie, spokojnie, to nie jest klatka MMA. – Czucha był coraz bardziej rozdrażniony, a na jego czole pojawił się pot.

– No, na razie nie ma twardych dowodów, ale są poszlaki, że mamy kreta – powiedział Romańczuk.

– Jaja sobie robisz? Na jakiej podstawie tak twierdzisz? – rzucił Matecki, który jak zwykle siedział z nogą założoną na nogę.

Romańczuk zbladł i powtórzył oschle:

– No, jak mówiłem. Na razie nie mogę ujawnić źródeł, ale takie są poszlaki.

– Czyli co proponujesz? – zapytał Czucha.

– Biorę ich pod ścisłą obserwację. Trzeba na nich uważać. Ja na razie tylko ostrzegam. – Romańczuk to ostatnie zdanie wymówił z naciskiem.

– Szybko wyłapią takie działania. Plotka się rozejdzie i smród będzie krążył nie tylko po wszystkich piętrach naszego budynku, ale i na najdłuższej ulicy świata – dodał Matecki.

– Chcesz ich odsunąć od realizowanych spraw? Zawiesić? Wszczęć postępowanie dyscyplinarne? – dociekał Czucha. – Przypominam, że Łodyna przeszedł już wszystkie procedury i na początku roku jedzie na naszego łącznika do Bukaresztu.

Romańczuk milczał, ale mięśnie jego twarzy lekko drgały, jakby miarowo zaciskał zęby.

– Na razie nie. Trzeba po prostu na nich uważać, gdy będą przeprowadzali zadania specjalne.

– No dobrze. Do jego wyjazdu do Rumunii dużo tego nie będzie... – Czucha wypuścił głośno powietrze, a Matecki ponownie odwrócił się do okna. – Ale najpóźniej za cztery miesiące mam mieć na biurku cały materiał, i to bez niedomówień i jakichkolwiek wątpliwości. Jeżeli mam z tym pójść do ABW. – Spojrzał na Romańczuka.

– Rozumiem, szefie.

– Niech zrozumie to też twoja zastępczyni, a zwłaszcza ten... od gryzienia. Zalecam elastyczne podejście do sprawy.

Romańczuk przytaknął. Spotkanie dobiegło końca, w gabinecie pozostał już tylko Matecki.

– Aha, właśnie. Rozmawiałem na Szucha z Wiatrem – odezwał się Czucha. – Ma do nas bardzo pilną prośbę. Chodzi o jakąś sprawę związaną z rynkiem dzieł sztuki w Stanach. Dobrze się składa, Sierpecka i Łodyna tam lecą. Tu są szczegóły. – Czucha przesunął po biurku w kierunku zaskoczonego Mateckiego teczkę z kilkoma notatkami z MSZ. – Dostaną dodatkowe zadanie. Marek, zadzwoń do nich i przekaż im to, jak już wylądują.

– Tak jest. Powinni być niebawem w Nowym Jorku. Ale czy my jesteśmy od spraw kryminalnych? – zapytał powątpiewająco Matecki, a następnie wziął teczkę z dokumentami.

– Nie, ale co ja mam odpowiedzieć Wiatrowi? No co? Kto inny może to sprawdzić? Jakbym odmówił, to poszedłby do Jaskólskiego, który wisi cały czas u premiera na telefonie.

– W sumie dobrze się złożyło, bo będą pojutrze w Langley. Muszą omówić z partnerami efekty operacji w Wenezueli. Amerykanie naciskali, aby oboje przylecieli jak najszybciej. Trochę za mocno – dodał Matecki, zbierając się do wyjścia.

Rozdział 22

Waszyngton DC, Langley VA (USA) – jesień 2013

Drzwi czarnego GMC savana odsunęły się szybko. Z busa energicznie wyskoczył Montana i podszedł z uśmiechem do Polaków.

– Jak *shopping*? Udał się, czy jedziemy jeszcze do Tysons Corner? A inne sprawy na Manhattanie?

Magda uśmiechnęła się na wspomnienie ostatniej podróży. Ich wieczorny samolot do Nowego Jorku przyleciał prawie punktualnie. Nad północnym Atlantykiem i Nową Funlandią wyjątkowo nie trafili na turbulencje. Do Stanów dotarli spokojni i wypoczęci. Krótki przystanek w Nowym Jorku również dobrze im zrobił, choć Magda nie przepadała za hałasem i pędem Wielkiego Jabłka.

– Spoko, ale zawsze możemy coś uzupełnić. Wieczorkiem, jak zdążymy, to skoczmy do naszego ulubionego sklepu w Aleksandrii. A jak nie, to jutro... albo pojutrze – odpowiedziała Sierpecka, schylając głowę przy wchodzeniu do samochodu. – Inne? O! Kate! Ty też przyjechałaś?

– Tak. Miałam tu sprawę na Uniwersytecie Georgetown.

– Cześć, Kate, cześć, Tom. Dzięki za ten hotel. Wszędzie mamy blisko. Tyle filmów tu kręcili. Czuję się prawie jak w Hollywood – przywitał się Łodyna, który miał więcej problemów z wejściem do niewysokiego pojazdu.

– A gdzie moja ulubienica Christina? – zapytał Montana.

– Jestem, jestem, kowboju – odpowiedziała rezolutnie wychodząca z hotelu Krystyna Ostrowska, łączniczka Agencji Wywiadu w Waszyngtonie.

GMC ruszył spod hotelu Holiday Inn Rosslyn w Arlington w kierunku Langley aleją George'a Washingtona. Po dwudziestu minutach skręcili w prawo w las, a po chwili podjechali pod pierwszy posterunek kontrolny kwatery głównej CIA. Po niezbędnych formalnościach ruszyli wąską alejką wzdłuż wysokiego ogrodzenia pod napięciem zakończonych koncertiną. Następnie zatrzymali się na posterunku K-9, gdzie zostali obwąchani przez psa. Po kilku minutach znaleźli się na dużym parkingu. Skierowali się do głównego wejścia.

– Chcecie może fotkę pod gwiazdkami i na okręgu? – zapytał Montana.

– Mamy już z dziewczynami. Kilka lat temu nam robiliście. Ale zawsze chętnie jakiś *upgrade*... To wasze standardowe pytanie PR-owskie? – odpowiedział z uśmiechem Łodyna.

Skręcili w lewo i weszli do sali konferencyjnej z dużym stołem na środku. Mieli tu podsumować dotychczasowe rezultaty działań w Wenezueli i porozmawiać na temat wspólnej operacji wywiadowczo-technicznej w południowej Mołdawii. Pierwszego dnia przewidziano konsultacje z udziałem grupy polskiej i amerykańskiej, a za dwa dni mieli dołączyć do nich oficerowie rumuńskiego wywiadu SIE – Serviciul de Informații Externe. To Bukareszt miał odpowiadać za kontrwywiadowcze zabezpieczenie ich kolejnej wspólnej operacji.

* * *

Kate przywitała gości i przedstawiła Polakom innych uczestników spotkania – oficerów CIA, którzy będą zaangażowani w przedsięwzięcie. Następnie zabrała głos.

– Ze spraw organizacyjnych. Dzisiaj do lunchu podsumujemy naszą *joint operation* w Wenezueli, a po południu przejdziemy do operacji czarnomorskiej, jak ją roboczo nazywamy. Zobaczymy, na kiedy będą gotowi nasi analitycy z materiałami ze zobrażeń satelitarnych.

– Rozumiem, że pojutrze mamy dzień wolny? Muszę wiedzieć, bo nasz ambasador o coś mnie prosił – powiedziała Krystyna, a Kate pokiwała głową.

– Tak jak przewidzieliśmy, Rosjanie zmienili oba lokale konspiracyjne. Pierwszy koło fortu San Carlos de Borromeo, a potem ten przy drodze do lotniska w Porlamar. Słusznie założyli, że możliwość penetracji tego pierwszego była łatwiejsza. Być może skojarzyli również inne fakty. Jednak wszystkie dane, które stamtąd spłynęły, dały nam pełny obraz ich aktywności na wyspie La Orchila.

– Niestety nie wszystko dało się odczytać, zwłaszcza z rejestratorów audio. Potem Rosjanie urwali wszelką komunikację, co potwierdzałoby to, o czym wspomniała Kate. Mamy tylko strzępy informacji, właściwie jakiejś awantury z ich dziupli w Pampatar. Padały nazwiska: Fiedotow i Pospiechow. Mówili o jakiejś strzelaninie – wtrącił Montana.

– Może wiecie, co tam robił pułkownik SWR Igor Pospiechow, oczywiście poza nadzorem nad wszystkimi działaniami Rosjan w Wenezueli, grą w szachy z Marcinem i opieką nad pasierbem oraz nad *bella morena*?!

Sierpecka i Łodyna popatrzyli na siebie, a to nie uszło uwadze Kate.

Oboje wiedzieli, o jaką awanturę chodziło.

– To teraz przejdźmy do szczegółów *joint operation*, a po lunchu zaczniemy omawiać sprawy mołdawskie – powiedziała Kate. – Aha, mam pytanie. Marcin, kiedy jedziesz do Bukaresztu?

– Na początku roku. Jestem po wszystkich badaniach lekarskich. Muszę jeszcze zrobić jakieś praktyki w MSZ i uporządkować parę spraw w wydziale.

– Po poligrafie też jesteś? – wtrącił Montana.

– Tak. A co, jakiś nagły spadek zaufania?

– Nie, ależ skąd! Znam cię. Nie wiem tylko, czy znają cię też wasi specjaliści od testów wariograficznych. – Oficer CIA obrócił w żart pytanie Marcina.

– *Very funny, very funny*. Ale o coś konkretnego ci teraz chodzi? Czy tak w ogóle? – Łodyna się zachnęła.

– Nic. Tak po prostu pytam.

– W każdym razie na pewno jadę po świątach. Sami rozumiecie.

– Rozumiemy. Dlatego zapraszamy was jutro wieczorem na mecz hokejowy Washington Capitals z Detroit Red Wings. Wiecie, przyjeżdża chyba najbardziej utytułowany klub w całej lidze. To u nas wielkie wydarzenie. Zarezerwowaliśmy rodzinny stolik w Capital One Arena.

– Okej, dziękujemy. Ale mam do was prośbę. Tak przy okazji. Kiedy wylądowaliśmy w Nowym Jorku, dostaliśmy prośbę z naszego MSZ. Chcą, żebyśmy zbadali sprawę pewnego przemytu dzieł sztuki ukradzionych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Wiecie, formalnie to sprawa MSZ, ale nie mogliśmy odmówić. Wiecie, jak to jest... z politykami.

– *Well, well.* Chyba nie chcieliście odmówić, co, Marcin? Polubili cię po tym *Młodzieńcu*. – Montana nie tracił humoru.

– Mamy nazwisko kobiety, która wstawiła obrazy na aukcję w Nowym Jorku do Doyle'a. Niejaka Nadia Chodkowsky z Marylandu, starsza kobieta. O, tu jest wszystko napisane – dodał i podsunął Montanie kartkę.

Ten zanotował dane.

– Okej, poszukiwaczu zaginionej Arki. Sprawdzimy. Rozumiem, że to będzie taka nasza przysługa, taki wkład w przyjaźń przed realizacją przedsięwzięcia specjalnego w Mołdawii?

– Tak, można to tak nazwać – wtrąciła Sierpecka.

– Słuchajcie. Proponuję lunch. Wybrałam coś z pogranicza – zakomunikowała Kate.

* * *

Czarny GMC podjechał pod narożny budynek przy Wilson Bulvard w Arlington. Nad niewielkim balkonikiem widniał stylizowany napis *Buena Vida*. Weszli do nowocześnie urządzonego wnętrza.

– Kochani. To restauracja, gdzie ponoć spotyka się tradycja kuchni południa i północy – powiedziała Kate i wskazała na zarezerwowane miejsca.

Po chwili kelnerka przyniosła pięć pokrytych kropelkami zimnej wody smukłych butelek, z żółtymi naklejkami piwa Pacific. Nie minęło kilka minut,

a na akacjowym blacie zostały ustawione różnej wielkości talerzyki z nachos, krewetkami w kolendrze i limonkach, salsą, guacamole przystrojonymi plasterkami awokado, czy w końcu z kawałkami różnych mięs z czerwoną fasolą i kukurydzą. Nad stołem unosiły się wspaniałe zapachy kuchni meksykańskiej i teksańskiej.

– Marcin, pamiętasz o naszej rozmowie z Margaritą? – zwrócił się nieco konfidencjonalnie siedzący obok Montana.

– Tak. Chodzi o M-listę.

– Tak. Są naciski z góry. Musimy najdalej w ciągu kilku miesięcy mieć całość dokumentów z rezydencji Az-Za'abich w Kuwejcie.

– Aż tak!

– Tak, Marcin. Nie będę ci w kółko powtarzał. Wiesz, że w kontekście tego, co się zaczyna dziać na Bliskim Wschodzie, te informacje są dla nas szczególnie cenne.

– Ja o tym doskonale wiem. W końcu mogą one wam pomóc rozwiązać kilka zagadek i otworzyć kilka drzwi. I to nie tylko nad Zatoką Perską, ale być może i w Moskwie.

– Chłopaki, a co wy tam knujecie? – wtrąciła się Krystyna.

– Nie knujemy, tylko wymieniamy poglądy o naszych ranczach. Tyle że Toma w Montanie jest o jakieś dwa tysiące arów większe od mojej działeczki w Górach Słonnych – odpowiedział Łodyna. – To może zdrowie gospodarzy. – Podniósł butelkę piwa, a reszta się przyłączyła.

– Za kolejny sukces, kochani – powiedziała Sierpecka i skupili uwagę na potrawach wnoszonych na wzorzystych talerzykach.

– Pamiętasz, Tom, co wam mówiłem na Margaricie, że już ktoś próbował się do nich dostać? – wrócił do rozmowy Łodyna.

– Tak, mówiłeś, ale bardzo ogólnie. Że to wygląda na robotę Rosjan. Przynajmniej tak zakładałeś. Coś się zmieniło?

– Nie! W rejonie tego mojego małego rancza z małym domkiem w górach, blisko granicy ukraińskiej, pewnego dnia wylądował samolot szkolno-sportowy.

Jednak pechowo, bo na drzewach w lesie. Wyszli z niego uzbrojeni ludzie. Szybko stamtąd wyjechałem, bo byłem tam akurat z moją Ewą. Mówiłem wam, że po jakimś czasie okazało się, że dom został splądrowany. Znaleźli i przeszukali skrytkę, ale była pusta, bo przed wyjazdem zdążyłem z niej zabrać wszystkie dokumenty. Tam właśnie przechowywałem M-listę.

– Jak myślisz, kto to mógł być? Poza tym, że podejrzewasz o to Rosjan – drążył Tom.

– Mogę tylko przypuszczać. Ta ekipa miała moje zdjęcie wykonane w irackim Kurdywanie na jednej z imprez Gazpromu. W hotelu Khanzad.

– Słyszę, że zmieniliście temat na Irak? – wtrąciła Kate.

– Tak, nie inaczej. Kate, znasz hotel Khanzad? To miejsce koło Irbilu, w irackim Kurdywanie – odpowiedział Łodyna.

– Nie. Nie kojarzę.

– Wiecie. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego czterdzieści hektarów terenu dokładnie ogrodzono siatką. Zbudowano lądowisko dla śmigłowców, zorganizowano mój ulubiony sklep PX, stację benzynową i dobrze umocnioną wartownię – zwrócił się już głośniej do wszystkich Łodyna.

– No i do jakich doszedłeś wniosków? – zapytała Amerykanka.

– No nie róbcie takich zdziwionych min. Od razu udało mi się ustalić, że wasze służby i wojsko koordynowały stamtąd działania przed drugą wojną w Zatoce. – Popatrzył na pozostałych niczym jakiś odkrywca. – Macie rozmach – dodał.

– Marcin, kiedy dokładnie to było? Ta akcja w twoim domku w górach? – Tym razem Montana wrócił dyskretnie do rozmowy.

– Dwa, może trzy dni po spotkaniu u nas w Centrali z Rumunami z SIE, w trakcie którego wstępnie omawiana była sprawa zabezpieczenia przez nich operacji w Mołdawii. Datę tego spotkania macie w notatce. Magda ją spisała, bo była na nim. Sprawdzisz sobie...

* * *

Piątka znajomych usiadła przy stoliku poprzecznie ustawionym do lodowiska, na wysokości jednej z bramek. Na czteroekranowym telebimie, zawieszonym nad środkiem lodowej tafli, migąły ujęcia z szatni zawodników. Po tłumnie zapełnionej arenie Washington Capitals przesuwały się światła. Nagle zgasły i zrobiło się ciemno. Błyski tysięcy fleszy ze smartfonów zapowiadały, że zaraz na lodowisku pojawią się obie drużyny. Na tafli zaczęto wyświetlać olbrzymie wizerunki graczy i symbole klubów. Po kilkunastu minutach takiego show rozpoczęło się spotkanie.

Montana wyjął zapełnione drukowanym tekstem kartki.

– Posłuchajcie, co nam się udało ustalić w związku z waszą prośbą. Nadia Chodkowsky – zaczął.

– Szybko! – Łodyna nie ukrywał zaskoczenia.

– Tak, zrobiliśmy to specjalnie dla was. – Uśmiechnął się.

– To dawaj, Tom! Co wiesz? – powiedziała podniesionym głosem Sierpecka, jakby chciała wpisać się w atmosferę rozemocjonowanych kibiców.

– No więc ta Chodkowsky wygląda nam niewyraźnie... – zaczął tajemniczo Montana.

– To znaczy?! Co z nią jest nie tak?! – kontynuowała Sierpecka jakby w kibicowskim transie.

– Nasza Nadia urodziła się w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku. Przyjechała do Stanów w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym. Zarejestrowana była przez urząd imigracyjny w Nowym Jorku. Mieszka obecnie we Frederick, w Marylandzie. W dokumentach napisała, że emigruje z Ukrainy. Wskazywała na swoje ukraińskie korzenie i działalność w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów... – Przerwał.

Tłum kibiców Capitals wiwatował po pierwszej zdobytej bramce przez ich ulubieńców. Telebim migął setkami świateł. Wielki kocioł ryczał tysiącami gardeł. Arena jakby cała drgała.

– ...dokumenty miała bardzo dobre. Parę lat po zakończeniu wojny jej rodzina została zamordowana – czytał notatkę Tom. – Od tamtego czasu była

aktywna w środowisku ukraińskiej emigracji. Współpracowała z Harvard Ukrainian Research Institute, który zajmował się naukowym minimalizowaniem roli nacjonalistów w czasie Holocaustu i pogromów Polaków na terenie Galicji.

– Gloryfikowali Bandereę, publikowali książki, gazety. Wiecie, w czasach zimnej wojny byli dla nas bardzo wygodni – wtrąciła Kate, wykazując się sporą wiedzą historyczną na temat Europy Wschodniej.

– Co zatem jest takiego niewyraźnego w tej Chodkowsky? – zapytał tym razem Łodyna.

– A to, że od dawna sprzedaje dzieła sztuki. Nie wiemy, skąd je ma, kto je dostarcza i co robi z pieniędzmi z ich sprzedaży. Bo majątek ogólnie ma skromny. Niczego się nie dorobiła. Ot, domek na przedmieściu Frederick. Wartość posesji, czekajcie... to marne dwieście czterdzieści tysięcy dolarów. Dom trzy poziomowy, dwa garaże, trzy łazienki, mały ogródek. Standard.

– Skromnie, jak na działalność w obrocie dziełami sztuki. Jakiś słup czy co? Pewnie jak tu przyjechała, mogła nazywać się Chodkowska – wtrąciła Sierpecka.

– Frederick to z sześćdziesiąt kilometrów od Langley. Taka dziura. Senne, nudnawe miasteczko. Byłam tam kiedyś – dodała Krystyna.

– Ale wyobraźcie sobie, że ostatnio wystawiane przez nią obrazy zostały przysłane z Danii. Co więcej, z naszych szybkich ustaleń wychodzi, że ktoś profesjonalnie spreparował dokumenty nadania, aby wynikało z nich, że zostały wysłane z Muzeum Wikingów niedaleko Aalborga. – Tom znowu zaskoczył ilością zdobytych informacji.

Trójka Polaków popatrzyła na siebie z nieukrywanym zdziwieniem. Nie umknęło to uwadze gospodarzy.

– Nie dziwcie się. Duńskie cieśniny Sund zamykające Bałtyk wciąż pozostają w naszym zainteresowaniu. To jedyna droga dla naszych morskich działań w rejonie krajów bałtyckich, no i okno na świat Floty Bałtyckiej. Na Kanał Kiloński, jakby co, zapewne nie będzie można liczyć. Dlatego wszelkie dziwne zdarzenia w tym rejonie wciąż nas interesują – dodała Kate.

– A kiedy to było? To znaczy, jakie daty nadania są na tej sfałszowanej dokumentacji? – dopytywał się Łodyna. – Czy to jakieś półtora do dwóch miesięcy temu?

– Tak! – odpowiedział po krótkim sprawdzeniu notatki Montana. – A skąd wiesz?! Sierpecka i Krystyna popatrzyły badawczo na Łodynę.

– To jeszcze nie wszystko. Przez cały jej pobyt na terenie USA FBI dwa razy podejmowało wobec niej działania sprawdzające. Nie przyniosły one jednak żadnych rezultatów. Ostatnio w rozmowie z agentami DHS/ICE Homeland Security Investigations Chodkowsky nie ujawniła, na czyje zlecenie wystawiła obraz na sprzedaż. Nie potrafiła również udowodnić, że legalnie wwiozła go na teren Stanów Zjednoczonych. Wobec tego płótno zostało zatrzymane. To tyle – zakończył Montana.

– Ale to jeszcze nie wszystko. Przed przyjazdem na mecz uzyskałam informacje, że jej interesy reprezentuje niejaki Mark Kotkow – wtrąciła Kate.

– Rosjanin? – spytała Sierpecka.

– Jesteś blisko. Rosyjski Żyd, który za byle poradę bierze dziesięć tysięcy dolarów. I zwykle reprezentuje rosyjskich oligarchów, gdy mają u nas jakieś kłopoty.

– Chodkowsky jest zatem dla nich ważna...

W tym momencie podszedł do nich kelner, który zaczął rozstawiać na stoliku sałatki, kawałki grillowanego mięsa, żeberka w sosie barbecue i tacos. Syrena ryknęła przeciągle. Nagle trybuny jakby się uspokoiły. Ogłoszono pierwszą przerwę.

– Kurwa, to się w takim razie nie trzyma kupy! – rzucił po kilku minutach Montana. – Słuchajcie. Ukrainka związana z banderowcami i broniona przez mecenasa ludzi Kremla! – dodał.

– To kim ona jest? – zapytała Sierpecka.

– No właśnie? I co u nas robi? – dodała Kate.

* * *

– Kurwa. Możesz mi powiedzieć, Magda, o co tu chodzi!?! – rzuciła Ostrowska.
– Dzisiaj wieczorem na meczu Kate i Tom jakoś dziwnie na was patrzyli. Co jest, kurwa?! Znam ich. Coś jest nie tak!

– Zaraz wszystko będziesz wiedzieć. Ale tylko ty – odpowiedziała jej przyjaciółka i wychyliła do dna szklanek whisky w barze na ostatnim piętrze hotelu Holiday Inn Rosslyn w Arlington.

Sierpecka wzięła Ostrowską pod rękę i zaprowadziła ją do swojego pokoju. Kobiety położyły się na wielkim małżeńskim łóżku i zaczął się babski wieczór. Magda opisała koleżance operację szpiegowsko-romantyczną na Margaricie – jak ją nazwała. Ze szczegółami opowiedziała o spotkaniach z Aleksandrowem. Szczerze przyznała się koleżance, że się jej spodobał. Od czasu zakończenia szkolenia w Kiejkutach, gdzie przez rok dzieliły jeden pokój, niczego przed nią nie ukrywała. Niektórzy nawet podejrzewali je o coś więcej niż tylko zwykłą przyjaźń.

W tym czasie Łodyna postanowił trochę ochłonać na spacerze przez Francis Scott Key Memorial Bridge, przerzuconym wysoko nad Potomakiem, a potem na klimatycznych uliczkach dzielnicy Georgetown. Po godzinie, z kubelkiem lodu, przyłączył się do babskiego wieczoru w pokoju Sierpeckiej. Na prośbę Magdy dorzucił jeszcze parę zawilości związanych z Januszkiewiczem, Kleinerem, z poszukiwaniami *Portretu młodzieńca* Rafaela Santi i roli Pospiechowa w tych wydarzeniach.

– Powiem ci coś, Marcin! Ta cała Nadia śmierdzi mi starym radzieckim nielegałem. W tamtych czasach, jak ją tutaj plasowano, nie było problemu z zatajeniem faktów z życiorysu, które mogłyby wskazywać na sowieckie służby.

– To wygląda jak jedna z klasycznych spraw, które wykorzystujemy do szkolenia młodych na kursie w Kiejkutach – dodał.

– Jutro musimy powiedzieć o tym partnerom. Niezależnie od tego, czy nas teraz słuchają, czy nie. Może doszli do takich samych wniosków jak my albo dostali jakąś informację, o której nam nie powiedzieli – dodała, patrząc na śpiącą

już na jej szerokim łóżku przyjaciółkę. – No to mam towarzyszkę na dzisiejszą noc.

– Zwróciłaś uwagę, co mówili o Danii? Nie uwierzę, że interesują się jakimiś obrazami wysyłanymi stamtąd do USA. Może chodziło im o coś innego?

– Zgadza się.

– Dobra, Magda. Jutro na śniadaniu o dziesiątej. Proponuję zaliczyć basenik przed jedzeniem. Chyba metrem na ten *shopping* ruszymy? – powiedział z uśmiechem w drzwiach, wskazując na pochrapującą Kryśkę.

– Chyba tak. Dobranoc.

Po wyjściu kolegi Sierpecka padła ciężko na łóżko. Dziewczyny odruchowo wtuliły się w siebie. Szybko zasnęła.

Rozdział 23

Aalborg (Dania) – zima 2013/2014

Łapał lekki przymrozek, ale i tak ścieżki były pełne rowerzystów. Każdy, kto po raz pierwszy przybywał do Aalborgu, mógł zakładać, że miasto znajdujące się niemal na wysokości szwedzkiego Göteborga czy rosyjskiego Sankt Petersburga w połowie grudnia powinno być zasypane śniegiem. Nic bardziej mylnego. Na klimat tego miasta wpływała bliskość Morza Północnego, cieśniny Kattegat oraz fiordu z łagodnie zarysowanymi brzegami. Klimat tu był typowo morski, podobny do tego z Wysp Brytyjskich. Tego dnia siąpił drobny deszcz ze śniegiem, szarpany silnym północno-zachodnim wiatrem. Ludzie chowali się pod parasolami i kapturami płaszczy. Liczne bary i niewielkie restauracje zapępiały się spragnionymi porannego posiłku marynarzami, pracownikami portowymi oraz wszystkimi, którzy chcieli przełamać nieco depresyjny nastrój.

Konsul Marta Bednarek, trzecia sekretarz ambasady RP w Kopenhadze, która zajmowała się również sprawami dyplomacji publiczno-kulturalnej, minęła recepcję hotelu Gestus i wyszła na ulicę Vesterbro. Młoda dziewczyna ze słuchawkami na uszach przejechała obok niej na rowerze. Prawdopodobnie zmierzała na zajęcia w znajdującym się nad fiordem nowoczesnym budynku uniwersyteckim. Po chwili Martę minęło kilku rowerzystów, którzy zmagali się z ciężkimi warunkami atmosferycznymi i zbyt często używali dzwonek.

Bednarek przeszła na drugą stronę ulicy. Obok seks shopu weszła w niewielki prześwit pomiędzy budynkami, których ściany pokryte były graffiti. Wydawało się jej, że znalazła się w wielobarwnym tunelu. Doszła do sporego miejskiego

parkingu. Obok wejścia do klubu nocnego, stało trzech czarnoskórych mężczyzn w niebieskich pikowanych kurtkach. Gestykulowali i głośno rozmawiali w jakimś nieznanym jej afrykańskim języku. W parkomacie zapłaciła za postój i wsiadła do swojej toyoty auris na pięciocyfrowych tablicach dyplomatycznych.

Marta Bednarek przyjechała dzień wcześniej z Kopenhagi. Wyruszyła jeszcze przed godzinami zakończenia pracy polskiej placówki. Ponieważ popołudniowo-wieczorna droga z Kopenhagi do Aalborgu zajmowała około czterech godzin, wiedziała, że będzie za późno, aby cokolwiek załatwić. Założyła więc, że zostanie na następny dzień. Na prośbę Centrali MSZ polski ambasador zlecił jej dokonanie pewnych sprawdzeń. Chodziło o przesyłkę z obrazami nadaną z Danii do USA. Bednarek zapoznała się wcześniej z informacją przekazaną przez wiceministra Wiatra. Wynikało z niej, że obrazy te należały do Muzeum Narodowego w Warszawie.

Polski ambasador, zlecając Bednarek to zadanie, wiedział, że jej możliwości są ograniczone i że może tylko pytać, liczyć na pamięć i dobrą wolę rozmówców na miejscu. Również jej status oficjalny narzucał pewne ograniczenia. Gdyby jednak udało się jej czegoś dowiedzieć, polski MSZ za pośrednictwem ambasady miał wystąpić do duńskich władz o udzielenie pomocy prawnej w ustaleniu danych personalnych osób zamieszanych w tę sprawę.

Marta podjechała toyotą pod szpital uniwersytecki Nord. Zaparkowała samochód, przeszła kawałek do Reberbansgade i weszła do niewielkiego punktu DinPcPartner. Młody mężczyzna, który na głowie miał słuchawki, siedział przed laptopem i coś wystukiwał na klawiaturze. Miał jasnoniebieskie oczy, blond włosy i brodę, a także zupełnie niepasujący do niego sweter z reniferem. Spojrzał na Martę.

– *Hi*, Carsten. – Kobieta przeczytała imię z niewielkiej tabliczki stojącej na blacie.

– W czym mogę pomóc? – odpowiedział.

– Mam do ciebie prośbę. Przyjechałam specjalnie z Kopenhagi. Pracuję w polskiej ambasadzie – zaczęła Bednarek i położyła na blacie wizytówkę

z wytłoczonym orłem i czerwonym paskiem. – Chodzi o pewną przesyłkę, którą około trzech miesięcy temu wysłano z tego punktu do USA. Czy jest możliwość ustalenia, kto ją nadał?

Carsten podrapał się po brodzie i odpowiedział tak, jak niemal każdy Duńczyk.

– Cóż, to było tak dawno. Trudno mi cokolwiek powiedzieć. Poza tym, jeśli było to coś nielegalnego, to policja powinna o tym wiedzieć.

– Nie, to nic takiego, o czym mówisz. Żadne przestępstwo. Po prostu sprawa rozwodowa i podział majątku. Wiesz, żona jest Polką i oskarżyła męża, że coś przed nią ukrywał i że ktoś mu w tym pomagał. Sprawa jest w sądzie. Ale mamy z tym w konsulacie zamieszanie. Szef mnie prosił, a wiesz, jak to jest z szefami. Proszę cię, Carsten, to dla mnie bardzo ważne – mówiła, kokietując Duńczyka. Oparła się jeszcze mocniej o blat, nachylając się i pokazując duży dekolt z kształtymi piersiami pod obcisłą bluzką.

– Hmm... – Carsten wciąż się wahał.

– Wiemy tylko, że została wysłana przez pracownika Lindholm Høje Museet z Nørresundby. – Marta nie odpuszczała.

– To z moich rodzinnych okolic. Mieszkam w pobliżu. Nic takiego sobie nie przypominam. – Mężczyzna odchrząknął i kliknął na monitorze w dokument w Excelu.

– Paczka musiała być nietypowych rozmiarów. Płaska. Jakby w środku miały być na przykład obrazy – opisywała Polka.

– Co trzecia jest nietypowa. Czego ci ludzie do siebie nie wysyłają. Ostatnio ktoś nadał rower do Kanady. Jakby tam rowerów nie było! To była dopiero nietypowa paczka!

– Ale do Nowego Jorku chyba za często nie wysyłają?

– Zdarza się, ale na ogół rzadko. – Carsten przeglądał rejestr.

Marta już traciła nadzieję, że dowie się czegokolwiek. Rozejrzała się po pomieszczeniu, w którym jednocześnie sprzedawane były akcesoria do telefonów i komputerów.

– O mam! Może to ta? Przyjąłem taką przesyłkę do Nowego Jorku dwudziestego trzeciego września. Faktycznie nadawcą było muzeum. Ale nie przypominam sobie, aby był to ktoś ze znajomych mi osób. A jak mówiłem, mieszkam niedaleko od urodzenia. No, ale może to jakiś pracownik naukowy, który akurat przebywał w muzeum. Czasami przyjeżdżają tam na jakieś staże Norwegowie, Szwedzi, Islandczycy.

– Carsten, a pamiętasz może, jak wyglądał? To może być znajomy tego damskiego boksera.

– Czyj znajomy?

– No tego, co się rozwodzi. Parę razy policja przyjeżdżała do nich do domu na Amager Øst w Kopenhadze i okazało się, że wiesz...

– No tak, rozumiem. *Helvede!* Poczekaj. Był w tym czasie jakiś starszy facet, po sześćdziesiątce, może około siedemdziesiątki. Siwy, na twarzy krótki zarost, okulary. Wysyłał paczkę za granicę, ale nie jestem pewien, czy akurat tę do Nowego Jorku. – Chłopak jakby zbierał myśli.

Marta cierpliwie czekała.

– Aha, ten stary mówił po angielsku z silnym akcentem szwedzkim... To wszystko. Więcej ci nie pomogę...

– Dziękuję, Carsten. Bardzo ci dziękuję. Jak będę znowu w Aalborgu, to zapraszam na piwo. – Marta uśmiechnęła się do Duńczyka i wyszła.

Przewaga deszczu nad śniegiem jakby się zwiększyła. Wiatr się trochę uspokoił. Wsiadła do samochodu. Na gorąco zanotowała wszystko, co usłyszała. Marta chciała się wykazać przed ambasadorem, placówka w Danii była jej pierwszą. Wcześniej pełniła służbę w pionie finansowym Agencji Wywiadu, ale po konflikcie z dyrektorem została oddelegowana do Biura Administracji MSZ, żeby przygotować się do wyjazdu za granicę. W czasie służby w AW skończyła zaocznie z dobrą lokatą kurs operacyjny. Miała dość nepotyzmu i niewłaściwego postępowania w kierowaniu finansami Agencji przy realizacji zamówień publicznych. Wskazała na kilka zaniedbań, wśród nich na najpoważniejsze w ostatnich latach, kiedy z kasy zginęło kilkadziesiąt tysięcy dolarów

amerykańskich i oskarżono o to wyłącznie kasjera. Sytuacja ta negatywnie wpływała na jej psychikę. W końcu zdecydowano, że musi na pewien czas zniknąć z Centrali. Dla dobra jej samej oraz Agencji. Tego w MSZ nie wiedzieli.

Uruchomiła toyotę i ruszyła na północ, na drugą stronę fiordu. Przejechała Hjørringvej, potem skręciła w lewo w Vangen. Po lewej mijała osiedla piętrowych domów. Z Gammel Hvorupvej skręciła w szutrową drogę Vendilavej. Zatrzymała się. Zostawiła samochód na parkingu i ruszyła pieszo do Lindholm Høje Museet. Po przejściu kilkudziesięciu metrów minęła po lewej wejście na teren cmentarza z okresu epoki późnego żelaza, na którym pod głazami narzutowymi złożone były szczątki kilkuset wojowników. Niedaleko znajdowało się niewielkie nowoczesne muzeum. Ściany parterowego budynku pokryto płytami z jasnego piaskowca. Dach z kolei był szklany, co powodowało, że w środku jasno było przez cały dzień. Część muzealna znajdowała się na poziomie minus jeden. Budynek naszpikowany był elektroniką i multimedialnymi gadżetami. Dzięki nim można było na przykład razem z wikingiem odbyć podróż łodzią po jeziorze. Wystarczyło tylko założyć okulary do wideo systemu 3D.

Marta weszła przez obszerne szklane drzwi. W muzeum poza personelem nie było nikogo. Panowała cisza. Minęła niewielki sklepik z pamiątkami i skręciła do biura. Była umówiona z dyrektorem muzeum Thomasem Hansenem, z którym skontaktowała się telefonicznie dwa dni temu. Siedział w niewielkim gabinecie. Po powitaniu szef placówki zaproponował jej kawę, a na stole postawił cynamonowe ciasteczka. Marta położyła na biurku służbową wizytówkę.

– Co panią do nas sprowadza? Była pani taka tajemnicza, że mnie to bardzo zafrapowało – powiedział po angielsku Duńczyk.

Korpulentny pięćdziesięciolatek miał na sobie czarny, obcisły golf oraz brązową marynarkę. Przesunął na bok biurka kuwety z kilkoma fragmentami skorup naczyń, a także kamienną siekierkę.

– To nasze ostatnie znaleziska – wyjaśnił i ponownie spojrzął na Martę. – Pani konsul... Widzę, że również zajmuje się pani sprawami kultury – mówił, patrząc przez okulary na wizytówkę Polki.

– Tak, panie dyrektorze. Wszystko wyjaśnię. We wrześniu tego roku z pańskiego muzeum została wysłana paczka do Nowego Jorku. Niewykluczone, że mogły być w niej obrazy. To bardzo ważna sprawa dla naszego kraju. Podejrzewamy, że może chodzić o nielegalny handel dziełami sztuki. W dodatku zrabowanymi w czasie drugiej wojny światowej.

– Zrabowane dzieła sztuki z drugiej wojny!? Z naszego muzeum? Mało prawdopodobne, w zasadzie niemożliwe. Jeśli chodziłoby o łódź wikingów czy ich miecze, tarcze, elementy biżuterii i tak dalej, to co innego. Ale obrazy?! To jakiś absurd, pani konsul. Niczego takiego sobie nie przypominam, a każda taka wysyłka przechodzi przeze mnie. To nie jest duże muzeum – dodał i wypił łyk kawy.

– Panie dyrektorze. Mnie też się tak wydaje, ale takie były dane przewozowe – odpowiedziała Polka.

– Proszę chwilę poczekać. Zaraz wszystko wyjaśnimy. Zapytam mojego współpracownika odpowiedzialnego za współpracę międzynarodową. Poproszę także o informację z administracji. Oni są odpowiedzialni za korespondencję i wszelkie wysyłki oraz odbiór eksponatów wypożyczanych na wystawy czasowe.

Hansen podniósł słuchawkę telefonu i przekazał polecenie.

– Pani konsul, zaraz się dowiemy. Proszę powiedzieć coś więcej. Jestem historykiem sztuki... Tyle lat po wojnie – dodał.

W skrócie opowiedziała mu, co znalazło się w przesyłce.

Po chwili rozdzwonił się stojący na biurku telefon. Hansen odbierał połączenia jedno za drugim. Dopytywał, kiwał głową.

– Niczego nie wysyłaliśmy do Stanów – powtórzył, gdy skończył rozmowę. – Z całą pewnością. Zresztą zwykle, gdy wysyłamy eksponaty, transportem zajmuje się wyspecjalizowana firma. Jadą samochodem, a w ostateczności

pociągiem. Nie możemy sobie pozwolić, aby w czasie podróży coś zaginęło. To musi być jakaś pomyłka. Proszę mi powiedzieć, kiedy to się miało stać? Jaka data była na dokumentach przewozowych?

– Zostały wysłane dwudziestego trzeciego września. Do odbiorcy w USA dotarły na początku października.

W tym momencie Thomas Hansen uciekł wzrokiem na bok, gwałtownie wstał od biurka i podszedł do półki z książkami oraz zdjęciami oprawionymi w ramki. Wziął jedno z nich.

– Powiedziała pani dwudziestego trzeciego września? Hmm... To był wyjątkowy dzień. Wtedy zaginął nasz pracownik, Eric Sørensen. To on. Tutaj na zdjęciu. Jego ciało zostało wyłowione w marinie przy Standpark. Niedaleko stąd. Ta sprawa do dzisiaj jest niejasna. Nie możemy zrozumieć, co się stało. Policja nic nie znalazła. Po prostu się utopił. A przecież tak doskonale pływał... – Zawiesił głos i posmutniał.

Hansen przeprosił, wstał i wyszedł z gabinetu. Marta wyjęła smartfona i szybko wykonała zdjęcie zmarłego pracownika. Wydawało jej się, że z pustego pomieszczenia obok dochodzi odgłos rozmowy telefonicznej. Gdy dyrektor wrócił, nie kontynuował już tematu zmarłego kolegi. Zaproponował Marcie oprowadzenie po ekspozycji. Polka chętnie na to przystała. Pokazując jej elementy obrazujące życie wikingów i znaczenie tego miejsca w ich historii, ciągle spoglądał na zegarek. Polka wyczuła, że się denerwuje. Po ponadpółgodzinnym zwiedzaniu skierowali się do drzwi. Marta się pożegnała.

Z daleka zauważyła, że obok jej toyoty zaparkował czarny saab 9-3 Aero. Znała ten model doskonale, bo mąż przed wyjazdem zawracał jej głowę, aby przy zjeżdżaniu z placówki kupili taki samochód. Z auta wyszedł mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna w krótkiej skórzanej kurtce. Kiedy go mijała, usłyszała:

– *Undskyld*, pani Marta Bednarek?

– Tak. A o co chodzi?

– Inspektor Ole Jansen, *Politiets Efterretningstjeneste*.

– W czym mogę panu pomóc, panie inspektorze?

– Chciałbym zapytać, czego pani tutaj szuka i dlaczego interesuje się pani śmiercią pracownika muzeum Sørensen?

„Hansen musiał ich zawiadomić!” – pomyślała. Zmierzyła policjanta ostrym spojrzeniem.

– Pan wie, że nie muszę odpowiadać na pańskie pytania.

– Wiem, ale może mi pani ułatwi pracę. Po co angażować w to inne osoby i wtajemniczać je niepotrzebnie w sprawę? Będę musiał napisać notatkę do komendy głównej, tamci do naszego Protokołu w MSZ, Protokół do jakiegoś ich departamentu, departament napisze do ambasady i zacznie się wymiana niepotrzebnej ani mnie, ani pani korespondencji. Może siądziemy gdzieś na chwilę i pogadamy? Zapraszam panią na pokład Prinses Juliana, to przy Vestre Havnepromenade. Powinno być już otwarte. Proszę jechać za mną.

– W porządku – odpowiedziała krótko Marta.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu. „Faktycznie, ładny ten saab” – pomyślała. Weszli na zacumowany przy nabrzeżu fiordu żaglowiec. Zeszli po schodach na niższy pokład. Usiedli na miękkich krzesłach przy dwuosobowym stoliku.

– Czym mogę służyć? – usłyszeli głos kelnera.

– Poproszę herbatę, taką owocową, zimową – powiedziała.

– To ja też – dodał Jansen.

Kelner zniknął tak samo szybko, jak wcześniej się pojawił.

– To jeszcze raz, pani konsul. Co panią sprowadza w te strony? Przecież Sørensen to nie był obywatel Polski.

– Panie inspektorze. Pewnie nie zdążył pan sprawdzić, ale poza funkcją konsula zajmuję się w naszej ambasadzie sprawami dyplomacji publicznej i kulturalnej. Proszę – powiedziała i wręczyła mu wizytówkę.

– Tak. Hmm... – Duńczyk nie krył zakłopotania.

– O śmierci tego Sørensen nie wiedziałam wcześniej, bo co on mógł mieć wspólnego z moją sprawą. Powiedział mi o tym dopiero dyrektor muzeum. To

nieporozumienie albo niedopatrzenie z pana strony.

– A jaka to sprawa?

– Co mam powiedzieć, aby i pan uniknął biurokratycznej korespondencji, a na koniec, żeby pan nie zebrał... pan wie czego, od przełożonych. Nota dyplomatyczna naszej ambasady mogłaby w tym pomóc – mówiła pewniejszym już głosem. – Ale myślę, że możemy sobie odpuścić. Niech to zostanie między nami. Okej?

– Świetnie.

– Panie inspektorze, wyjaśniam okoliczności wysłania z Danii do Stanów Zjednoczonych skradzionych w czasie wojny na terenie Polski dzieł sztuki. Po rozmowie z panem Hansenem doszłam do wniosku, że ktoś mógł sfałszować dokumentację przewozową, aby zatrzeć ślady. Wychodzi na to, że tą osobą mógł być na przykład ten Sørensen. – Spojrzała na inspektora, który słuchał jej uważnie. – A teraz ja pana, inspektorze, o coś zapytam. Skąd to zainteresowanie moim przyjazdem do Aalborga?

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Sørensen. Właśnie dostałem raport z naszego laboratorium z Kopenhagi, że w ciele denata znaleziono mikroślad wysoce toksycznej, nieznannej substancji. Aby określić dokładny jej skład, potrzebna będzie pomoc zagraniczna.

– To interesujące. To znaczy, że ktoś go otrul?

– Nie wiemy. Być może.

Kiedy wypili owocową herbatę z kawałkami pomarańczy, pożegnali się. Duńczyk wręczył Polce swoją wizytówkę i poprosił o kontakt telefoniczny, jeśli ambasada uzyskałaby jakieś informacje, które mogłyby się wiązać ze sprawą śmierci Sørensen. Zaprosił Martę, aby przyjechała tutaj wiosną na weekend, jak będzie już ładniejsza pogoda. „Czyżby był w tej sprawie jeszcze jakiś wątek?” – zastanawiał się, wsiadając do swojego saaba. Jansen wiedział, że czeka go teraz notatka do szefa oddziału w Aalborgu oraz do wojskowych z Forsvarets Efterretningstjeneste.

Marta wyszła z restauracji po niewielkim trapie. Solidnie otuliła się płaszczem, bo zaczęło mocniej wiać. Wsiadła do samochodu, wyciągnęła notatnik. Musiała zredagować informację dla ambasadora i MSZ. Wiedziała już, co się w niej znajdzie. Na pewno nie wspomni w niej o rozmowie z inspektorem duńskiej PET. Spojrzała na mapę w smartfonie i wprowadziła nazwę przystani przy Standpark. System wyznaczył jej drogę: *osiem minut, dwa i pół kilometra*. Ruszyła. Przejechała ponownie most zwodzony Limfjordsbroen. Kluczyła wąskimi drogami obok terenów ogrodzonych wysoką siatką z żółtymi tablicami ostrzegającymi, że jest to teren wojskowy. W pobliżu znajdowało się też lotnisko. Podjechała na parking sąsiadujący z placem zabaw. Podeszła do pustej o tej porze roku przystani, weszła na pomost i wykonała zdjęcia tego miejsca. Spojrzała na fiord. W oddali płynęła duńska fregata typu Iver Huitfeldt o oznaczeniu F361. Zrobiła zdjęcie i wróciła do samochodu.

Po kilku minutach, gdy ponownie przejechała most nad fiordem, w ostatniej chwili gwałtownie skręciła w prawo, w kierunku szpitala uniwersyteckiego. Tym razem bez problemu znalazła miejsce do parkowania przy Reberbangade. Gdy ponownie weszła do punktu usługowego, Carsten nie krył zaskoczenia. Bez słowa podeszła do niego, wyjęła telefon komórkowy i pokazała mu zdjęcie.

– To znowu ty?

– Tak. Czy ten człowiek, o którym mówiłeś, to mógł być ten? – zapytała.

– Nie. On parę miesięcy temu się utopił. Pisali o tym na portalach lokalnych. Policja prosiła o pomoc.

– Dziękuję – rzuciła krótko i odwróciła się.

– A mówiłem, żebyś policję pytała!

Marta miała coraz większe przeczucie, że nie była to zwykła śmierć i że wiąże się ona ze sprawą przesyłki do USA.

Rozdział 24

Tel Awiw (Izrael) – zima 2013/2014

Łodyna założył okulary przeciwsłoneczne i spokojnie rozglądał się po parkingu przy terminalu numer 3 w pobliżu lotniska Ben Guriona w Tel Awiwie. W tym miejscu umówił się z Aaronem. W oddali zauważył wysokiego mężczyznę w granatowej bejsbolówce izraelskich sił morskich i w niebieskim swetrze.

Chociaż zbliżały się święta Bożego Narodzenia, czyli sezon pielgrzymek, samolot marki boeing 747 izraelskich linii lotniczych El Al nie był pełny. Po powrocie ze Stanów Łodyna wziął kilka dni urlopu. Musiał nacieszyć się coraz rzadziej widywaną Ewą oraz małym Michałem. Na szczęście dziecko dobrze się rozwijało. Ewa, jako lekarka, która na licznych misjach miała do czynienia z przeróżnymi przypadkami medycznymi, tym razem w prywatnym życiu zdobywała kolejną specjalizację – pediatrię. W opiece nad dzieckiem czasami pomagały jej znajome „ciotki” – tak nazywała swoje przyjaciółki.

Łodyna w kadrach złożył niejako awansem oświadczenie, że jedzie na weekend do Izraela, z pielgrzymką do Ziemi Świętej. Nikt się temu w AW nie dziwił, bo wszyscy słyszeli jego opowieści o znajomych biskupach czy nuncjuszach na Bliskim Wschodzie. Chociaż nie było wiadomo, na ile to było związane ze sprawami wiary, a na ile z pracą. W rozmowie z Sierpecką był wyjątkowo tajemniczy. Powiedział jej tylko, że musi coś sprawdzić. Ta była pewna, że wie, co robi. Miała zaufanie do swojego kolegi nawet wtedy, gdy odniosła wrażenie, że ludzie z pionu wewnętrznego coraz bardziej interesują się Łodyną. Czowała na sobie ich spojrzenie, w rozmowach pojawiały się półsłówka

i niewypowiedziane pytania o to, co ostatnio robił, gdzie był, z kim się spotykał. Magda wyjątkowo oszczędnie odpowiadała na tak stawiane pytania. Podzieliła się swoimi spostrzeżeniami z kolegą. Marcin nie krył wściekłości. Nie miał pojęcia, o co chodzi ludziom Romańczuka. Co na niego mają. „Jaką pętlę chcą mi założyć na szyję” – zastanawiał się.

Po przylocie do Izraela Łodyna czuł się jednak wyjątkowo wyluzowany, tak jakby niewidzialne napięcie zostawił za sobą, w Polsce.

Aaron, syn Mieczysława Kleinera, stał przy białym nissanie pathfinder. Pomachał do polskiego przyjaciela, a na jego oliwkowej twarzy pojawił się szczery uśmiech. Łodyna, lekko przygarbiony, z nieodzownym czarnym plecakiem SOC, serdecznie się przywitał.

– Wspaniałe słońce, idealna temperatura, a w Polsce śnieg i mróz. Życ, nie umierać, Aaronie!

– Życ... to prawda. Teraz mamy dwadzieścia stopni Celsjusza. Zapraszam na lunch. Wynająłem dla ciebie pokój w sąsiednim domu. Będzie ci wygodnie. Ojciec nie mógł się doczekać twojego przyjazdu.

Aaron ruszył na północny wschód w kierunku Yehuda HaMaccabi. Do pokonania mieli ponad dwadzieścia kilometrów.

– Bardzo mi miło. Jak on się czuje?

– Jak człowiek po dziewięćdziesiątce. Poszczególne organy przestają funkcjonować. Ma problemy z nerkami i musi być dializowany. Powoli odchodzi do Pana i jest tego w pełni świadomy.

– Tak bardzo z nim źle?

– Nie. Normalna kolej rzeczy. Miałem okazję poznać jego kolegów, którzy zakładali nasze państwo, a niektórzy przeszli obozy... I mimo takich strasznych doświadczeń ciągle byli niezwykle żywotni, wręcz długowieczni. Pewnie jest jakaś prawda w tym, że jeżeli przeżyli piekło, to na niebo długo poczekają. To wyjątkowo silne pokolenie.

– Aaron. Muszę z nim porozmawiać o pewnej poważnej sprawie. Mogę? Czy on jeszcze kojarzy?

– Możesz próbować, bo umysł ma dość sprawny. A o co chodzi? Możesz powiedzieć?

– Wiesz, czym się zajmuję. Depczą mi po piętach Rosjanie. Zrobiło się niebezpiecznie. Chodzi o pewien spis nazwisk z waszego regionu.

– Rozumiem.

– To długa historia. Uważam, że nasze państwo tego właściwie nie wykorzysta. Nie wiem, co zrobić.

– Porozmawiaj z nim. Jakby co, to ja też mogę pomóc.

– Dziękuję. A jak twoja mama?

– Dobrze się trzyma, chociaż nie jest jej lekko. Prawda jest taka, że gdyby nie ona, ojciec już dawno by odszedł. Oni wzajemnie się tak wspierają. Wiesz, Marcin, jak się poznali?

– Znam tę opowieść. Gdy twój ojciec uciekł z Iraku, z naszej armii, ona była przewodniczką grupy, która przerzucała ludzi do Palestyny. Odprowadziła go do kibucu w Galilei, ale po jakimś czasie brytyjska policja zrobiła tam nalot. Pan Mieczysław musiał uciekać. Traf chciał, że ukrywał się w kibucu, w którym mieszkała Ruta.

– Tak. Młodzieńcza miłość. A potem połączyła ich walka o państwo – dodał Aaron.

– Długo służył w Mosadzie?

– W zasadzie jeszcze do niedawna służył pomocą organizacji, chociaż formalnie jest na emeryturze. Co jakiś czas ktoś wpadał, radził się, szukał wskazówek. Młodzi koledzy zapraszali go do siebie. Ale wiesz, on już nie ma sił i od pewnego czasu zaczęliśmy odmawiać. Nie chcieliśmy go męczyć. Zwłaszcza matka oponowała.

Aaron zaparkował nissana przy ulicy za budynkami w stylu bauhaus. Wysiadł z samochodu, uchylił furtkę i wprowadził gościa na teren ogrodu, w którym rosły drzewka pomarańczowe i cytrynowe. Boczne wejście prowadziło do niewielkiego pokoju z łazienką i kuchnią.

– Rozgość się. Tu zostawiam klucz. – Położył go na stoliku. – Tam jest łazienka, tu kuchnia. – Wskazał ręką. – Właściciel domu wynajmuje ten pokój turystom. Wszystko załatwiliśmy. Nie musisz się o nic martwić. Jesteś naszym gościem. Zapraszam do nas za, powiedzmy, pół godziny. Wiesz, to tutaj, po sąsiedzku. – Emerytowany komandor izraelskiej marynarki wojennej wyszedł i zamknął drzwi.

– Miło z ich strony – powiedział do siebie Łodyna i otworzył plecak. Wyjął białą koszulę i jasne, eleganckie spodnie. Włączył żelazko, rozstawił deskę i przeprasował lekko pogniecione rzeczy. Potem odświeżył się pod prysznicem. Po półgodzinie wyszedł i ruszył do domu Kleinera. Po drodze wstąpił do kwiaciarni. Na miejscu powitał go Aaron. Gdy wszedł do środka, poczuł gamę bliskowschodnich zapachów, wyrazistej mieszaniny mocnych ziół i duszonego mięsa. Łodyna wyłapał także woń curry, kminu i goździków. Z głośnika sączył się klezmerski jazz.

– To The Klezmatics z fenomenalnym Davidem Krakauerem. – Aaron jakby odczytał myśli Łodyny i wprowadził go do salonu, w którym ten już kiedyś był.

Na ścianie wisiała namalowana na desce doskonała kopia *Portretu młodzieńca* Rafaela. Obok zaś oprawione zdjęcia z okresu służby Kleinera w Armii Polskiej na Wschodzie oraz z pierwszymi przywódcami Państwa Izrael. Łodynę przywitała uśmiechnięta Ruta. Dał jej bukiet róż, które kupił wcześniej.

– Pani Ruto, to ja może wstawię je od razu do wazonu. – Uśmiechnął się, a żona Kleinera wskazała mu turkusowy wazon, który stał na półce nad kominkiem.

Następnie Łodyna przekazał Aaronowi drewniany trójpak z trzema butelkami białych win z winnicy Dolina Sanu, który kupił kilka tygodni temu w Sanoku. Pan Mieczysław siedział na fotelu obok stołu. Nie miał siły, aby się podnieść. Łodyna podszedł do niego i przywitał się. Poczował ciepło i siłę jego dłoni. Uścisk był zdecydowany i mocny.

– Witaj ponownie, młody człowieku z Polski. Długo się nie widzieliśmy. Jesteś sam?

– Tak. Ewa musiała zostać z synem w Polsce.

– A tak, Ewa... Minęło już wiele miesięcy.

Kleiner od ostatniego ich spotkania wychudł. Skóra na twarzy stała się jeszcze bardziej pomarszczona, a do tego miała żółty odcień. Nie trzeba było fachowca, aby dojść do wniosku, że nerki i wątroba nie pracowały dobrze. Na stole stały już przystawki w miseczkach, różnokolorowe humusy zrobione z mieszanek ciecierzycy i innych warzyw. Jeden był żółty z pieczonym batatem, a inny czerwony z dodatkiem pomidorów, a także z pieczoną papryką i sporym dodatkiem czosnku. Pastę można było nakładać na kilka rodzajów pieczywa.

Aaron nalał do kieliszków czerwone wino z doliny Bekaa.

– Chateau Kefraya. Znajomy przywiózł z wypadu do Libanu – wyjaśnił. Tylko Kleiner pił zwykłą wodę. Na nic innego nie mógł sobie pozwolić.

– Wybacz – zwrócił się do Łodyny. – Już tyle w życiu wypilem, że teraz już nie mogę. Mój limit się wyczerpał – starał się tłumaczyć.

– Rozumiem, panie Mieczysławie. Wypiję za pana. Przywożę z sobą też pozdrowienia, od pana znajomego, Piotra Winieckiego...

– Armando. Boże, co on porabia? – Staruszek się ożywił.

– Nie Armando, Piotr... – zaniepokoił się Łodyna.

– Myśmy go nazywali Armando, bo ciągle ganiał za dziewczynami.

– Jasne. Jest w Argentynie. Pomógł mi w pewnej sprawie.

– Zawsze był trochę narwany, ale dobry był z niego żołnierz. Pierwszy raz po wojnie widziałem go chyba w Austrii, potem wyjechał za ocean. A potem... – Kleiner urwał. – Iza, jego żona, jeszcze żyje?

– Nie, już zmarła. Mają syna i córkę.

– A tak, pamiętam. To była piękna dziewczyna, potem jeszcze piękniejsza kobieta. Opowiedz mi teraz, co u ciebie. Jak sobie poukładałeś te swoje sprawy.

Popijając libańskie wino i przegryzając przystawkami, Łodyna opowiadała o dziecku, Ewie, sytuacji w kraju. Kleiner mimo swojego wieku interesował się wszystkim. Dopytywał o sytuację w Europie, w szczególności o Rosję i Niemcy. W pewnej chwili zapytał:

– Wiecie, czego żałuję? – Ruta, Aaron i Łodyna spojrzeli na niego z uwagą. – Że nie było nas stać, a może po prostu nie było takiej determinacji, aby dopaść doktora Mengele. Podejrzewaliśmy, gdzie może się ukrywać, ale nikt nie chciał ryzykować kolejnej operacji w Ameryce Południowej.

Kleiner zmienił temat, jakby zapomniał, kto go odwiedził.

– Ojciec uczestniczył w porwaniu Eichmanna. To był nasz największy sukces – wyjaśnił Aaron. – Efekt był oszałamiający. To był szok dla wszystkich ukrywających się nazistów. Diaspora żydowska dostarczała nam mnóstwo informacji na ich temat.

– Tak. Niestety nie kontynuowaliśmy tego na odpowiednią skalę. Świat się zmieniał. Trzeba było działać na innych frontach, młody człowieku. Palestyna, Egipt, Syria. Były rzeczy ważniejsze – wtrącił Kleiner.

– Kochani, czy możecie skończyć już z tymi okropnościami? – wtrąciła w końcu poirytowana Ruta.

– Kochanie, nie pamiętasz, jak to było?

– Pamiętam, Mosze. Pamiętam. Wojna to najgorsze laboratorium na żywym organizmie. Z jednego człowieka wychodzi bestia, z innego dobro – odpowiedziała.

– Masz rację, mam. Weźmy się do tej gęsiny – powiedział Aaron.

Ruta wstała od stołu i poprosiła Aarona o pomoc. Po kilku minutach na talerzach przynieśli gorące gęsie pipki – szyjki nadziewane farszem z tartych ziemniaków i cebuli.

– Pamiętaj, Mosze. Możesz zjeść najwyżej jedną pipkę.

– Dziękuję, kochanie. – Kleiner pogładził żonę po dłoni.

Po zakończonym posiłku Ruta i Aaron zaczęli sprzątać talerze. W tym momencie Łodyna nachylił się do Kleinera i powiedział:

– Panie Mieczysławie, mam do pana ogromną prośbę. Chciałem się poradzić w pewnej sprawie. Czymś z naszej wspólnej branży.

– Mów, mów, młody człowieku. – Wydawało się, że Kleiner się ożywił, że na ułamek sekundy ponownie błysnęła w jego oczach wywiadowcza iskra.

– Chodzi o te materiały, które znalazłem w irackim Kurdystanie. Te skradzione przez Irakijczyków z domu Al-Zaabiego w Kuwejcie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Nazywam je M-listą.

– Tak, pamiętam. Mówiłeś o tym. To jest lista agentury i członków różnych organizacji dżihadystycznych w krajach Zatoki Perskiej. Cenna rzecz. Ale pamiętasz. Ostrzegałem cię przed zbyt pochopnym jej wykorzystaniem.

– Tak, pamiętam, pamiętam. Pilnuję tego jak oka w głowie. Tym bardziej że u mnie w firmie taka informacja szybko mogłaby pójść w świat.

– Aż tak źle? Macie przeciek?

– Tak podejrzewam, nie mam pewności, ale coś jest nie tak.

W tym momencie weszli Ruta i Aaron.

– Może jakiś deser? Kawa? – zapytała.

– Chodźmy, mamó. Przygotujemy coś słodkiego w kuchni. Widzę, że nasz gość ma ważną sprawę do ojca – dodał Aaron, widząc pochylonego nad Kleinerem Łodynę. – Nie przeszkadzajmy im.

– Mosze, czy ty na głowę czasem nie upadłeś? Ile ty masz lat? Przecież Abraham miejsce dla ciebie ma naszykowane i zastanawia się, co ten mój Mosze tam jeszcze robi na ziemi. A Mosze jak to Mosze, wciąż o jakichś operacjach, szpiegach, porwaniach! Oj, Mosze, Mosze... – powiedziała Ruta, wychodząc do kuchni.

– Głupio gadasz. Podajcie lepiej coś słodkiego. Ale takiego naszego, jak z cukierni Zalewskiego we Lwowie.

– Słyszysz, Aaron, jakie zachcianki ma twój ojciec? Marcepanowych babeczek mu się zachciewa.

– A tak. I nie zapomnij, żeby były wypełnione zrumienionymi orzechami laskowymi zmieszany z czekoladą. A nie jakies jak te arabskie czy żydowskie ulepki – dodał Kleiner.

– Ach, Mosze. Tak całe życie z tobą. Lwów, Polska, wojna, Izrael. Jak ja cię dobrze znam. Kupiłam dzisiaj rano na Żabotyńskiego twoje ulubione babeczki – odpowiedziała już z kuchni Ruta.

– Panie Mieczysławie – podjął Łodyna, gdy zostali sami. – Rosjanie deptają mi po piętach. Amerykanie dają do zrozumienia, żeby im to przekazać. Proponują mi nawet w zamian różne rzeczy albo informacje. Nie mam za bardzo komu zaufać u nas w firmie. Mam podejrzenia, że może być u nas rosyjski agent. I to wysoko. Znalazłem się w klinczu.

– Powiem tak. Nie podejrzewam, żeby Al-Zaabi miał wielki wpływ na działanie tej tajnej stacji w Kuwejcie. Ale znając go, to gromadzili tam między innymi dane na temat wrogów zjednoczenia świata arabskiego. To była jego idée fixe. Jedno wielkie państwo, zbudowane na brytyjskich wzorach. Marcin, podaj mi mój polski album – poprosił i wskazał na półkę. – Taki z wizerunkiem białego orła na okładce.

Łodyna wstał i wyciągnął go z szeregu albumów. Podał go Kleinerowi, a ten otworzył i wyjął zdjęcie, na którym został sfotografowany w mundurze armii polskiej razem z wysokim Arabem, ubranym w brytyjski mundur. Fotografia została wykonana w jakimś tradycyjnym arabskim wnętrzu przy stole, na którym leżała nietypowa, używana walizka. Łodyna znał już to zdjęcie.

– Weź to, młody człowieku. Zachowaj je na pamiątkę. – W oczach Kleinera znowu pojawił się błysk.

– Dziękuję. To dla mnie wielki zaszczyt. To kawał polskiej, nieznannej historii i historii Bliskiego Wschodu. A wracając do M-listy. Co z nią zrobić? – zapytał Łodyna.

– Ta lista agentury jest dla ciebie niebezpieczna. Jeśli macie przeciek, Rosjanie wiedzą, że tylko ty ją widziałeś. Będą mogli uderzyć bezpośrednio w ciebie bez wzbudzania niczyjzego zainteresowania. Ale kiedy dowiedzą się, że na przykład Amerykanie ją mają, będziesz bezpieczny. Tylko muszą się o tym dowiedzieć. Najlepiej od Amerykanów. Pamiętaj, że Rosjanie zawsze działają racjonalnie. Ale możesz ją również wykorzystać jako swoją ostatnią polisę ubezpieczeniową. Tylko to ryzykowna gra.

– Rozumiem, panie Mieczysławie.

W tym momencie z kuchni przyszli Aaron i Ruta z babeczkami poukładanymi na białym talerzu.

– Proszę, jedzcie. I ty, Mosze, też, skoro tak się o nie dopominałeś – rzuciła Ruta.

– Tato. Z tego, co pamiętam, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sowieckie służby miały tworzyć komanda, które w imię antysyjonizmu miały likwidować przeciwników politycznych. W grupie tej byli Palestyńczycy, Saudyjczycy, Syryjczycy, Egipcjanie, Irakijczycy, a nawet Persowie – wtrącił się Aaron. – Oni chcieli połączyć ogień z wodą, sunnitów z szyitami. Dostarczyli im broń, szkolili. Fundusze przechodziły przez konta wielu arabskich szejków znad Zatoki Perskiej.

– Całkiem możliwe – potwierdził Kleiner.

– Od początku ich celem stali się nie tylko wybrani obywatele Izraela, ale i oficerowie oraz domniemani współpracownicy naszych służb. Podszywali się często pod różne organizacje. Potem w dobie pierestrojki wymknęli się spod kontroli Moskwy – dodał Aaron.

– I co? Rozpłynęli się wraz z upadkiem ZSRR? – zapytał Łodyna.

– Niektórzy pomarli, inni zginęli, a część jest do dzisiaj aktywna. Być może tacy ludzie są na twojej liście. Ale w realiach Bliskiego Wschodu ważniejsze będą nazwiska szejków czy nazwy rodów organizujących transfer pieniędzy.

– I jeszcze jedno, mój przyjacielu – wtrącił Kleiner. – Ci ludzie zbudowali swoje imperia gazowe, naftowe oraz budują miasta na pustyniach, a pieniądze czerpią z działalności terrorystycznej. Wielu z nich awansowało. Są dowódcami w wojsku, szefami znanych firm. Rosjanie właśnie na nich mogą próbować odbudowywać swoją pozycję w tym rejonie świata.

– Dlatego dla Rosjan ujawnienie tej listy byłoby kompromitujące. Nie mówiąc o stratach operacyjnych – podsumował Łodyna.

– Nie mam do was sił. Znowu o jednym – przerwała Ruta. – Ty, Mosze, się zastanów, jakie są twoje plany. Ja ci coś powiem. Zamiast przygotowywać się na

wycieczkę w jedną stronę na kirkut, to może na tym swoim wózku na jakąś operację wywiadowczą wybierzesz się do Damaszku?

– Ruta. Ty jesteś dobra kobieta, ale nic nie rozumiesz – odpowiedział Kleiner, delektując się babeczkami. – Moje lwowskie babeczki, moje kochane – dodał.

– Panie Marcinie, dobre? – zapytała żona Kleinera, celowo przerywając rozmowę.

– Pyszne, pani Ruto.

– Panowie przepraszam, ale ja widzę, że ten mój Mosze zgłupiał do końca. Myśli, że jest jakimś młodzieniaszkiem. Dajmy mu odpocząć – zasugerowała Ruta.

– Oczywiście – zgodził się Łodyna.

Zbliżał się już wieczór, gdy obiad u Kleinerów się skończył. Humory im dopisywały. Aaron przysunął do fotela ojca wózek inwalidzki. Razem z Łodyną pomogli mu się przesiąść. Syn zawiózł ojca do sąsiedniego pokoju i pomógł mu położyć się do łóżka. Łodyna pożegnał się ze wszystkimi i wyszedł na zewnątrz.

Od morza wiała przyjemna chłodna bryza. Postanowił wykorzystać ostatnie godziny pobytu w Izraelu i powolnym krokiem ruszył w kierunku mariny. Przypomniał sobie spacer w tym miejscu z Ewą. Następnego dnia rano miał samolot powrotny do Warszawy.

Rozdział 25

Langley VA, Frederick MD (USA) – zima
2013/2014

Pokój Kate w Centrali CIA w Langley nie różnił się niczym specjalnym od innych: granatowa wykładzina podłogowa, szerokie nowoczesne biurko, ekran sieciowego komputera z dostępem do Internetu i trzy mniejsze systemy łączności specjalnej oraz stacjonarny aparat telefoniczny z kilkunastoma przyciskami. Jedynymi elementami wystroju wnętrza, odróżniającymi go od innych pomieszczeń służbowych, były różnego rodzaju osobiste pamiątki zgromadzone w czasie misji wywiadowczych za granicą.

Kate patrzyła na nie i zastanawiała się, jak ma to wszystko spakować. Za miesiąc wyjeżdżała do Szwajcarii, do stacji CIA w Genewie. Stamtąd miała się zajmować rozpracowywaniem rosyjskich operacji pieniężnych w bankach i innych instytucjach finansowych w tym kraju oraz Luksemburgu i Liechtensteinie. Szczególnie miała się skoncentrować na zdobywaniu informacji na temat finansów rosyjskich oligarchów związanych z Kremlenem oraz służb specjalnych Rosji. Z zamyślenia wyrwał ją Montana, który, jak to on, wszedł do pokoju energicznym krokiem. W dłoni ścisnął granatową teczkę na dokumenty z wytłoczonym złotym symbolem CIA. Siadł na krześle. Kate popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

- A ty co tak wpadasz, jak, nie przymierzając, huragan Katrina?
- Mam informacje z naszej stacji w Kopenhadze. Nie ma ich jeszcze w systemie. To jest spory materiał. Trochę fotografii, nagrania z kamer

monitoringu oraz różne wyniki badań kryminalistycznych i tym podobne.

Montana zaczął przeglądać dokumenty.

– Patrz, tu jest *memo* od naszych duńskich wojskowych z Forsvarets Efterretningstjeneste. – Wskazał na plik kartek ze stylizowanym symbolem flagi duńskiej w kole. – Ale to za chwilę – dodał. – Słuchaj Kate, co Big Edd pisze: ... w wyniku prowadzonych od dłuższego czasu wspólnie z *Politiets Efterretningstjeneste* działań operacyjnych EF uzyskało potwierdzone informacje, że obywatel Danii Eric Sørensen, lat czterdzieści, pracuje dla obcej służby specjalnej. Ze względu na przedmiot sprawy, czyli prowadzenie rozpoznania jednostek morskich państw NATO, w tym rozpoznania elektronicznego z wykorzystaniem wysokozaawansowanego sprzętu, przypuszcza się, że chodzi o rosyjskie służby specjalne. Ponadto informuję, że w dniu... ciało Erica Sørensen zostało wyłowione w rejonie przystani przy Standpark w Aalborgu. Według duńskich specjalistów przed śmiercią przez utonięcie Sørensen spożył nieznaną substancję powodującą całkowite zakłócenie pracy centralnego układu nerwowego. Brak jakichkolwiek oznak walki... Dalej Big Edd opisuje tę substancję i prosi o pomoc naszych ekspertów w jej identyfikacji, albo kolegów z FBI.

– Pamiętam. Ta sprawa ciągnie się już trochę. Słyszałam o niej jeszcze przed wyjazdem do Bagdadu. Kiedyś przypadkowo przy burcie któregoś z duńskich okrętów odkryto jakieś urządzenie czy coś takiego...

– Tak, tak. Ale słuchaj dalej: ...po zakrojonych na dużą skalę sprawdzeniach ustalono, że Sørensen prawdopodobnie krótko przed śmiercią został odwiedzony na swoim jachcie przez nieznanego mężczyznę. Z kamer monitoringu wynika, że nn. zaparkował swoje białe volvo v40 przy placu zabaw na Gadegårdsvej...

– Tom, do rzeczy – przerwała Kate.

– ...ustalono, że dzień wcześniej nn. zameldował się w hotelu Gestus w centrum miasta, legitymując się ukraińskim paszportem na nazwisko Naryszkin. W załączeniu przesyłam przekazane przez duńskie FE i PET zdjęcie

Naryszkina z prośbą o pomoc w jego identyfikacji. Patrz, Kate! Znasz go? – Montana wyciągnął kilka fotografii.

– *O, fuck!* – krzyknęła.

– *Poznajesz go? To jeden z tej dwójki na leżakach nad basenem, zrobiliśmy im fotki w hotelu Playa El Agua na Margaricie!*

– *Obstawa Aleksandrowa.*

– *Tak!*

– *Kapitan Wiktor...*

– *Fiedotow, od paru lat w SWR, wcześniej w GRU, a nie żaden Naryszkin.*

Nasz bohater z nagrania w ich lokalu konspiracyjnym w Pampatar – dokończył Montana.

– *Kurwaaa, jak by powiedzieli Polacy – rzuciła Kate.*

– *Ale to nie wszystko. W tej sprawie jest odprysk szwedzki: ...w wyniku prowadzonych wspólnych ustaleń ze szwedzką Säkerhetspolisen ustalono, że w tym samym czasie na obszarze prowadzonych działań operacyjnych zidentyfikowany został obywatel Szwecji Kjell Carlsson, lat sześćdziesiąt osiem, który wcześniej pojawiał się w różnych raportach służb norweskich i duńskich. Zawsze w kontekście obiektów militarnych tych państw, ale bez jakichkolwiek jednoznacznych wskazań na działalność szpiegowską. Brak jest jakichkolwiek elementów, które łączyłyby obie te sprawy.*

– *Okej, Tom. Trzeba wysłać informację do Kopenhagi i do naszej stacji w Sztokholmie. Niech szwedzkie SAPO trochę popracuje nad tematem, bo śmierdzi mi to zimną wojną i nielegałem.*

– *Kate, nie za dużo ich ostatnio? Ta niby-marszandka w podeszłym wieku z Frederick, teraz dziadek ze Szwecji!*

– *A właśnie, i co z nią? Ma w końcu sprawę w sądzie za ten zatrzymany obraz?*

– *Z tego, co mi mówił nieoficjalnie agentka nadzorująca jej sprawę, doszli z nią do porozumienia. Pomógł w tym jej adwokat. Formalnie umorzą sprawę.*

I chyba wcale nie chodzi o jakiś obraz... Ale coś mi podpowiada, że poszła z nimi na układ.

– A co na nią jeszcze znaleźli?

– Przeanalizowali wszystko od jej przyjazdu do USA. No i zaczęło się to układać w całość. Chodkowsky niedawno kontaktowała się z jakimś Rosjaninem w Nowym Jorku. Podobno spotkania odbywały się regularnie. Koleżanka z FBI uważa, że sprawa jest rozwojowa.

– Hmm. Ale jeśli Chodkowsky, jak podejrzewała Magda, to faktycznie nielegal radziecki, to zgodnie z ich logiką powinni coś z nią zrobić. A oni tak ją zostawili?

– Dziwne, prawda, Kate? Może w grę wchodzi coś innego?

– Być może coś w tym jest? Tak czy inaczej, sypią się Rosjanom kadry. Ciekawe, jak z nowymi!? Może Polacy coś by pomogli? Tylko z kim tam rozmawiać?

– Pamiętaj Kate o sprawie rosyjskiego agenta w Warszawie. Nie możemy się formalnie zwrócić do nich o pomoc. Wiesz, kto tam teraz zawiaduje kierunkiem wschodnim. Ten facet to wrzutka polityczna z kontrwywiadu. Trzeba nieoficjalnie pogadać z Magdą. Chociaż z Marcinem może być łatwiej, bo będzie w Bukareszcie. Magda mówiła, że zdjęli go z kierunku bliskowschodniego dla jego bezpieczeństwa.

* * *

Sokołow wjechał do Frederick międzystanową numer 270, potem na autostradę numer 15, by po chwili skręcić w Rosemont Avenue. Jechał typową ulicą amerykańskich przedmieść. Wolno stojące sklepy, warsztaty i myjnie samochodowe, co jakiś czas strefy przemysłowe. Potem pojawiły się tereny zielone, teraz przyprószone śniegiem. Minał las. Dotarł do niewielkiego ronda. Wiedział, gdzie jest. Nieraz jeździł do domu Nadii. Ale zawsze z innego kierunku. Po chwili znalazł się przy parku i zobaczył gładką taflę jeziora Whitter. Wszędzie panowała zimowa cisza. Objechał jezioro od północy.

Białego dodge'a journey, wypożyczonego w Hertz, zatrzymał przy stylowej latarni. Był na wysokości wjazdu w Wetherburne Way. Do domu Nadii miał około trzystu metrów. Wsiadł z samochodu i w dużej, okrągłej wiacie nad brzegiem jeziora zapalił papierosa. Zaczął lustrować okolicę. Był po ponadczterogodzinnej trasie sprawdzeniowej. Nie licząc trzygodzinnej drogi pociągiem z Nowego Jorku do Waszyngtonu i dwudziestominutowego przejazdu z Union Station na Connecticut Avenue do wypożyczalni.

Sokołow nie lubił palić, ale papieros pozwalał mu na spokojne sprawdzenie, czy ktoś go nie obserwuje. Nie zauważył nic niepokojącego w okolicy. „Ale tu musi być pięknie latem” – pomyślał i zgasił papierosa. Po kilku minutach dojechał przed drzwi dwupiętrowego, wąskiego budynku Nadii przy zakończonej ślepo Wynfield Court.

Chodkowsky usłyszała dzwonek. Ciężko wstała z fotela. Sokołow miał na sobie długi, elegancki płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem, a na dłoniach ciemne skórzane rękawiczki.

Czule się przywitali.

– No, Sierioża. *Prigłaszaju*. – Rozpromieniła się.

Pułkownik SWR wszedł do mieszkania i otrzepał buty.

– Zaraz będzie gorąca herbata, bo zimo się u nas ostatnio zrobiło. – Poszła do obszernej kuchni, umeblowanej w stylu lat dziewięćdziesiątych.

Spojrzała przez wielkie okno na zaśnieżony taras oraz pobliskie boisko sportowe, na którym chłopcy rozgrywali mecz piłki nożnej. Sokołow w tym czasie rozebrał się i rozejrzał po salonie.

– Jak sobie radzisz, Dinka? – zapytał głośno, bo gospodyni była w innym pomieszczeniu.

Nadia po ostatnich wydarzeniach związanych z zatrzymaniem wstawionego na aukcji obrazu zrobiła się nieufna. Zaczęła trochę podupadać na zdrowiu. Coraz częściej nachodziły ją myśli depresyjne.

Sokołow podszedł do kredensu i wziął butelkę ormiańskiego koniaku Ararat. Wyjął dwa kryształowe kieliszki, napełnił je alkoholem i postawił na niewielkim

stoliku w stylu rokokowym.

Nadia przyniosła szklanki parującej herbaty, umieszczone w metalowych koszyczkach.

– Gorący *czaj*. Zupełnie jak u nas – powiedziała i usiadła na obitym fioletowym pluszem fotelu.

– Dinka. Pytałem, jak sobie radzisz?

– Sieriożka. A jak ja mogę sobie radzić? – odpowiedziała. – Starość. Niebawem będę musiała zatrudnić kogoś do pomocy.

– Nikt cię nie odwiedza? A dzieci?

– Przeważnie jestem sama. Córka w Kalifornii, a syn na Florydzie. Dobrze im, ciepło. Co będą tu przyjeżdżać zimą? Do mnie, starej. Może do jakiegoś domu opieki na Florydzie się przeniosę?

– Dinka, a powiedz mi... Federalni nie przychodzili do ciebie?

– A co oni mogą zrobić starej!? Zabrali jeden obraz i *wsio*.

– Dużo pytali?

– Coś tam pytali. Chyba sprawdzali moje dokumenty sprzed pół wieku. Odpytywali, jak się dostałam do *Sojediennych Sztatow*, co robiłam przed przyjazdem, czym się zajmowałam przez te lata.

– I co, Dinka? Wszystko w porządku?

– *Da, da. Wsio charaszo.*

Nadia wstała i podeszła do szafy z ubraniami. Uchyliła w nich drzwi. Wysunęła dolną szufladę i równocześnie nacisnęła dwie plastikowe atrapy zawiasów. Plecy szafy lekko odskoczyły. Kobieta otworzyła je. Za nimi, w ścianie, znajdował się sejf, przypominający taki, w jakie wyposażone są hotelowe pokoje. Otworzyła go i wyjęła kilka paczek banknotów oklejonych banderolą.

– Tak jak się umawialiśmy. Dwieście tysięcy. – Podała je Sokołowowi.

– To za ile poszedł ten rysunek?

– Za trzysta tysięcy. Cud, że jego nie wyłapali i nie zatrzymali.

– Mówiłem ci przecież w Nowym Jorku, że on nie był nigdzie rejestrowany. Był czysty. Od tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku leżał sobie w jednej z tych walizek, które masz u siebie na poddaszu.

– Walizek?

– W tych hardiggach Igor schował kufer i dwie walizki.

– Oj, mój kochany Igor. Czy wyjaśniło się coś z jego śmiercią?

– Nie. Nic nie wiemy. Chciałem zobaczyć te przesyłki.

– Tak, oczywiście. Ale na poddasze pójdziesz sam. Ja już nie mam siły wchodzić po tych stromych schodkach.

Sokołow powoli wszedł na drugie piętro. Przy wejściu do łazienki pociągnął za łańcuch i opuścił schody. Niewielkie, wąskie poddasze wypełniały domowe rupiecie. Mocno zgarbiony podszedł do trzech wysłużonych skrzyń. Przeciął nożem plastikowe plomby. Wyjął z kieszeni kartkę i porównał numery z plomb. Wszystko się zgadzało. Pozrywał nalepki spedytora z Maracaibo zakrywające zamki. Miał pewność, że nikt się do nich nie dobierał. Otworzył je jedną po drugiej. Wyjął dwie drewniane walizki i stary podróżny kufer. Zniósł je po opuszczonych schodach na korytarz na piętrze, a następnie zatargał do salonu. Otworzył walizkę. W salonie uniósł się zapach nafty i stęchlizny.

– Może otworzę okno, Sierioża? Bo smrodu narobiłeś! – Wstała i podeszła do rozsuwanych tarasowych drzwi.

Sokołow był podekscytowany może nawet bardziej niż za pierwszym razem. Wykonane na próbę dokumenty dotyczące obrazów sprawdziły się bez zarzutu. Stał wpatrzony w skarby. Po kilku minutach pobieżnego przeglądania wnętrza walizek i kufra wyjął wszystkie woreczki z poprzecinanymi białoczerwonymi sznurkami i skruszonymi lakowymi plombami. Zaczął je opróżniać. Na dywan wysypały się pieczętki urzędowe sygnowane orłem z koroną. Potem obok na dywanie zaczął rozkładać i od razu segregować różne dokumenty, które znajdowały się w innych, podobnie zabezpieczonych workach.

– Popatrz na to, Dinka! Popatrz! Możemy na nowo pisać traktaty, umowy międzynarodowe, noty dyplomatyczne, a nawet wyroki sądowe. Nie mówiąc

o aktach notarialnych, darowiznach i nadaniach.

– A masz coś tu ciekawego dla mnie? Będziemy dalej coś sprzedawali?

– Będziemy, będziemy, Dinka. I będziesz, jak zawsze, uczciwie coś z tego miała. Wierz mi.

Pułkownik SWR wyjął z walizki rycinę Albrechta Dürera, która przedstawiała studium ludzkiego oka. Podniósł ją wysoko, popatrzył i zachwycił się jeszcze raz: „*Job twoju mat*’. Jakby doskonale znał anatomię człowieka. Prawdziwy mistrz”. Na górze arkusza znajdował się charakterystyczny znak – duża litera „D”, pod którą ustawione było mniejsze „a” oraz data powstania.

Po segregacji dokumentów Sokołow podszedł do kredensu i podał kobiecie kieliszek koniaku.

– Wypijmy za dobrą robotę. Twoją, Dinka, i Igora – wzniósł toast.

– Zdrowie, Sieriożka – dodała.

Następnie wychyliła kieliszek i wypiała alkohol jak wódkę.

– Przepraszę cię na chwilę.

Poszła do łazienki. Gdy po kilku minutach wróciła, Sokołow pakował swoje skarby z powrotem do walizek i kufra. Na rokokowym stoliku stały ponownie napełnione koniakiem kieliszki.

– Sieriożka, podaj mi insulinę z lodówki. Muszę ją zaraz wziąć.

Sokołow poszedł do i podał jej szklaną ampułkę.

„Co ona taka ciepła? Po wyjęciu z lodówki powinna być zimna” – przemknęło kobiecie przez myśl. Zaraz jednak zapytała:

– Kiedy sprzedajemy następny obraz?

– Już niebawem przyjdzie do ciebie kolejna partia z naszego magazynu. Tym razem przesyłka przybędzie z Pragi. Bądź gotowa. A teraz toast za nasze spotkanie i kolejne transakcje.

Podniósł kieliszek i stuknął nim o kieliszek Nadii. Wypili do dna.

– Na dzisiaj koniec. Nie ten wiek i nie to zdrowie. A wiesz, Sierioża, że tam kiedyś byłam.

– Gdzie byłaś?

– W Pradze. Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy jechałam z misją specjalną do Monachium. Piękne miasto. Wiesz, takie wąskie uliczki, kamienice, stary most, zamek na wzgórzu.

Nadia usiadła w fotelu, odsunęła kawałek swetra i lekko odwróciła się od Sokołowa. Dwoma palcami zebrała skórę z brzucha, a drugą ręką wbiła w nią igłę i nacisnęła tłoczek. Insulina dostała się do jej organizmu. W momencie gdy odkładała na stolik pustą strzykawkę, jakby straciła oddech. Strzykawka wypadła jej z dłoni i rozbiła się. Kobieta zastygła w bezruchu. W ustach poczuła suchość, ale nie miała siły wstać. Na jej twarzy pojawił się grymas, a źrenice się rozszerzyły. Po chwili jednak poczuła się rozluźniona. Sokołow siedział naprzeciwko niej i obserwował. W pewnym momencie odniósł wrażenie, jakby nie dowierzała, co się stało, i w niemy sposób pytała, co się dzieje, mój Sieriożka? Zaczęła coś bełkotać pod nosem, ale Sokołow nie zrozumiał, co chciała powiedzieć. Wstał, nachylił się nad nią i zaczął mówić:

– Spokojnie, spokojnie, zaraz to minie. Wszystko będzie dobrze. To zaraz minie.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Głowa opadła bezwładnie na pierś. Pułkownik trzymał ją za wiotką dłoń. Dwoma palcami sprawdził puls na szyi, a potem, dla pewności, na przegubie nadgarstka. Nie żyła. Ogarnął go smutek.

– Żegnaj, Dinka, наша bohaterko – powiedział szeptem.

Potem zaczął myśleć już chłodno. Umył i schował do kredensu swój kieliszek. Podobnie postąpił ze szklanką po herbacie. Następnie zaczął wycierać wszystkie miejsca, gdzie mógł zostawić odciski palców. Zaczął od poddasza. Po półgodzinie uporał się z pracą. W kuchni wypił prawie jednym haustem litrową butelkę wody mineralnej. Następnie podszedł do szafy, gdzie znajdował się sejf. Znał szyfr, więc bez problemu go otworzył. Wyjął wszystkie dokumenty i część pieniędzy. Zostawił w nim kilkanaście tysięcy dolarów. Przed wyjściem z domu szerzej rozsunął drzwi na taras. „Niech mróz zrobi swoje. Nie będzie wiadomo, kiedy zmarła” – pomyślał. Włożył płaszcz i postawił kołnierz. Naciągnął

rękawiczki. Następnie wyniósł do samochodu walizki. Wychodząc z kufrem, zatrzasnął drzwi wejściowe.

Gdy wsiadł do dogde'a, wyjął paczkę podwójnie miętowej gumy Wrigley's, rozpakował ze sreberka jeden listek, po czym włożył go do ust. Włączył odtwarzacz CD. Wewnątrz była płyta z ubiegłorocznego koncertu chóru Aleksandrowa w Polsce. Miał nadzieję, że ta muzyka zagłuszy jego myśli o tym, co się przed chwilą stało. Przez całą drogę powrotną do Nowego Jorku myślał o kobiecie, którą znał przez większość swojego życia i z którą pracował jeszcze jego ojciec. Miał przed sobą ponad sześć godzin jazdy.

Rozdział 26

Mołdawia, Bukareszt (Rumunia) – wiosna 2014

Wypożyczone w ostatniej chwili przez Sierpecką w Luxcar Moldova w Kiszyniowie czarne bmw X5 minęło dwa sklepy wolnoćlowe. Wjechała na graniczny most na rzece Prut. Towarzyszył jej Montana. Byli już w Rumunii.

Spotkanie z pozostałymi członkami zespołu z rumuńskiego wywiadu SIE umówione było około dziewięćdziesięciu kilometrów od granicy, w miejscowości Barlad, w restauracji hotelu Moldova. Oficerowie Serviciul de Informații Externe mieli defensywnie zabezpieczać operację Polaków i Amerykanów. Rumuni dysponowali kilkoma samochodami. Rozstawili parę czasowych punktów kontrolobserwacyjnych, aby wyłapać ewentualną rosyjską obserwację. Przez ostatnich kilka tygodni realizowali działania z zakresu wywiadu radioelektronicznego na południu Mołdawii. Celem była zarówno Republika Naddniestrzańska, jak i południe Ukrainy.

Amerykanie obserwowali rozwój sytuacji w związku z rosyjską agresją na Krym, zastanawiali się, czy możliwe jest zajęcie Odessy przez tak zwanych separatystów. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że z samozwańczego Naddniestrza, naszpikowanego wojskami z Operacyjnej Grupy Wojsk Rosyjskich, może wyjść uderzenie na Ukrainę. Pozostawiony sprzęt i zapasy amunicji dawnej 14 Armii wystarczałyby do przeprowadzenia takiej kampanii.

Operacja specjalna CIA, Agencji Wywiadu i SIE rozwijała się pomyślnie. Wszystkie stacje nasłuchowe zbierały interesujące informacje. W połączeniu z analogicznymi działaniami NSA w Turcji oraz US Navy i Fortęle Navale

Române na Morzu Czarnym dawało to pełen obraz sytuacji militarnej w całym regionie. Na razie nie obserwowali niepokojących ruchów w Naddniestrzu. Za to ruch okrętów Floty Czarnomorskiej i jednostek zaopatrzeniowych był znaczny, również do baz rosyjskich w Syrii.

Zwykle raz na dwa, trzy tygodnie Montana i Sierpecka jechali do Bukaresztu, gdzie była ich baza wypadowa oraz zarejestrowana firma przykryciowa stworzona przez SIE. W stolicy Rumunii dokonywali bieżącego przeglądu sytuacji, konsultowali się i koordynowali działania. Spotkania odbywały się zarówno w siedzibie SIE, jak i w ambasadzie amerykańskiej. Ich działania zabezpieczał też Łodyna, od początku roku przebywający na polskiej placówce dyplomatycznej w Bukareszcie.

Do Rumunii przyjechała z nim Ewa i Michał. Wynajmowali mieszkanie w zadbanej, pamiętającej jeszcze przedwojenne lata, dzielnicy. Sierpecka ze trzy razy odwiedziła ich w mieszkaniu. Zjawiała się wówczas późno w nocy, bez uprzedzenia, ale za to z kartonem butelek mołdawskiego czerwonego wina ze szczepu pino noir. Domowa atmosfera dawała jej zastrzyk pozytywnej energii.

* * *

W pokoju hotelowym, z czarnej tuby przenośnego głośnika JBL, sączyła się *Wiosna z Czterech pór roku* Vivaldiego. Sierpecka otworzyła szeroko okno. Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na stojące w korku samochody na Piata Unirii. „To nie jest dobry mikroklimat” – pomyślała. Popatrzyła na zielony park, wokół którego górowały szare bloki mieszkalne z wielkiej płyty, wybudowane za czasów komunistycznego satrapy Nicolae Ceaușescu. Miały one zasłonić cerkwie i niskie secesyjne kamienice. Szary obraz okolicy łamał podświetlony napis *Pull & Bear* na centrum handlowym oraz kanał z niemal stojącą wodą. Dalej dostrzegła podświetlone neoklasycystyczne kamienice, które jakimś cudem przetrwały urbanistyczno-kulturalną rewolucję komunistów. Życie nocne dzielnicy Lipscani, starej części stolicy Rumunii, powoli zaczynało się rozkręcać.

Magda wyszła z pokoju i zatrzymała się przy balustradzie nad patiem hotelu Europa Royale. Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze trochę czasu do spotkania z Łodyną, tym razem nie u niego w domu, ale na mieście. „Gdzie to ja mam się z nim spotkać?! Czerwona kanapa w klubie Bordello. To tylko on mógł wymyślić” – pomyślała. Zjechała windą do lobby. Zatrzymała się przy witrynie z hotelowymi pamiątkami. Dyskretnie się rozejrzała. Nikogo nie było. Wyszła z hotelu i ruszyła na trasę sprawdzeniową. Był ciepły wiosenny wieczór. Taką porę, między zachodem słońca a nocą, lubiła najbardziej. Niepokoilo ją, że trasa jest zbyt krótka. Nie miała czasu na dłuższą jazdę po mieście czy wyjazd pociągiem z Gara de Nord do nadmorskiej Konstancy.

Sierpecka skierowała się do zabytkowej Strada Franceza. Po prawej minęła cerkiew i ruiny – pozostałości rzymskich murów. Dotarła do skrzyżowania i skręciła w prawo. Szła powoli brukowaną uliczką, którą rozjaśniały szyldy licznych nocnych klubów, aż znalazła się na rozwidleniu. Poznała ze zdjęcia otrzymanego od Łodyny klub Vintage, po prawej zaś bar Habibi Kebab. Uliczka zrobiła się wąska. Po minięciu kamienicy z czarnym szyldem z gwiazdkami *Magic Club* usłyszała rozmowy, a w zasadzie nagabywanie w języku polskim.

– Zapraszamy pana i kolegów. Za trzydzieści euro pijesz, ile chcesz. Mamy największy wybór dziewczyn, od XS do XXL. Proszę na górę. Pięknie tańczą! – krzyczała dziewczyna skąpo ubrana pod rozpiętym białym kożuskiem.

– *Spasibo, spasibo. Nie mieszaj, dziewczuszka, nie mieszaj* – odpowiedział mężczyzna kilka metrów za plecami Sierpeckiej.

Słyszając za sobą język rosyjski, poczuła się trochę nieswojo. Jakby straciła pewność siebie. W tym momencie stanęły przed nią dwie dziewczyny szybko mówiące po polsku i gestykulujące.

– Ty, ten mój narzeczony ma mnie za kurwę, bo mówi, że tylko takie tańczą na rurze w nocnych klubach – powiedziała ta bardziej przy kości.

– A za trzysta euro poszłabyś z facetem?! – zapytała rezolutnie jej szczupła koleżanka.

– No pewnie.

Sierpecka ominęła Polki. Po kilku minutach przepychania się w tłumie Rumunów i turystów z innych krajów, szukających nocnych atrakcji, dostrzegła z prawej strony podświetlany, pionowy szyld z napisem *Bordello*. Okna klubu przysłonięte były czerwonymi kotarami. W sporej witrynie tańczyła na parapecie zgrabna dziewczyna o ciemnej karnacji i demonicznym wyglądzie. Była ubrana seksownie w stylu bondage. Przy każdym jej kocim ruchu oczko na jednej z pończoch jakby powiększało się, co budziło uśmiech i zainteresowanie mężczyzn.

Sierpecka dostrzegła Łodynę. Siedział, a w zasadzie nieco leżał na czerwonej pluszowej kanapie, paląc cienką cygaretkę. Z wnętrza *Bordello* oraz z sąsiednich lokali docierały głośne dźwięki muzyki pomieszane z gwarem gości. Łodyna dostrzegł koleżankę. Ta poprawiła mocno rozjaśnione włosy, uśmiechnęła się do jakiegoś przechodzącego faceta i spojrzała w lewo, na duży baner z napisem *Life is a Bordello*. Potem ponownie popatrzyła w kierunku kolegi. To był znak. Odpowiedzią Łodyny było przełożenie cygaretki do drugiej ręki i uniesienie szklanki do ust.

Łodyna leniwie, jakby od niechcienia, wstał i ruszył za nią. Sierpecka szła i przyglądała się tańczącym dziewczynom w kolejnych witrynach klubów. Przy nadarzającej się okazji omiatała wzrokiem swoje otoczenie. Jednak nie widziała nikogo, kto mógł ją obserwować. Co jakiś czas wstępowała na krótko do miejsc typu *Escape room*, *Red room* czy *Carasse massage*. Pytała o coś i po paru minutach wychodziła. Za każdym razem Łodyna przyglądał się przechodniom.

Po półtoragodzinnym spacerze wąskimi uliczkami i zakamarkami starej części Bukaresztu Polka dotarła do grill baru. Nad wejściem górował szyld z siedzącą w wielkiej szklance z limonkami półnągą Meksykanką w sombrero. Po zakupie na wynos ciepłej, parującej i pachnącej tortilli w *La Bonita* Sierpecka na moment się zatrzymała. Popatrzyła jeszcze na zdjęcia dziewiętnastowiecznych kurtyzan w czarnych i czerwonych gorsetach. Rozejrzała się i dostrzegła Łodynę, który czekał pod czerwonym napisem *massage*. Wyjął cygaretkę, zapalił ją, po czym odwrócił się i skierował do

monastynu Stavropoleos. Sierpecka wiedziała, że jej kolega niczego podejrzanego nie zauważył. Podążyła za nim.

* * *

Monastyr Stavropoleos był wciśnięty pomiędzy olbrzymie dziewiętnastowieczne kamienice. Obok znajdowało się niewielkie lapidarium z kamiennymi krzyżami i pomnikami oraz ciężkimi donicami pełnymi roślin. Otoczone było podcieniami podtrzymywanymi przez rząd kolumn zakończonych rzeźbionym portykiem. Spokoju pilnowali święci spoglądający na pielgrzymów z delikatnie oświetlonych fresków. Wewnątrz pod ścianami stało kilka kamiennych ław. Wszędzie panował półmrok, a w niektórych zakamarkach niemal absolutna ciemność. Cisza przerywana była ledwie słyszalnym, wielogłosowym śpiewem liturgicznym dochodzącym z wnętrza niewielkiej świątyni. Dokoła roznosił się zapach palonych woskowych świec, kadzidła i mirry. Łodyna usiadł na jednej z kamiennych ław. Po chwili dołączyła do niego Sierpecka. Nikt za nią nie szedł.

– Niezłą huśtawkę emocjonalno-wizualną mi zafundowałeś. Od klubów go-go po *sacrum* prawosławnej świątyni. Tylko ty mogłeś coś takiego wymyślić. –

Uśmiechnęła się do kolegi. – Znam już cenniki usług masażystek oraz masażystów, zapewne masujących nie tylko w celach zdrowotnych.

– W końcu zdrowie najważniejsze. Dobrze, że już jesteś, bo sprawy nabierają tempa – odpowiedział. – A w tym sklepie z aniołem wymalowanym na witrynie, jak mu tam... Sex shop Amsterdam, to co kupiłeś w ramach legendowania? Bo trochę dłużej tam zabawiłaś.

– A jak myślisz? Mało inspiracji zafundowałeś mi na trasie?! Dobrze wybrałeś miejsce spotkania. Inne otoczenie, inne towarzystwo. Nas nie widać, a my wszystko widzimy, a nawet słyszymy...

– Magda, jak sprawy w Mołdawii? Jak współpraca z Amerykanami i SIE? Jakieś sukcesy na horyzoncie? Jak z bezpieczeństwem operacji?

Sierpecka przez następne kilka minut opowiadała mu o ostatnich tygodniach pracy w Kiszyniowie i na pograniczu z Naddniestrzem i Ukrainą.

– Czyli, jak rozumiem, wszystko zgodnie z planem. A właśnie, Ruscy was tam nie namierzali?

– Rosjanie raczej nie. To znaczy, partnerzy z SIE nie wyłapali nic szczególnego, ale... Nie chodzi o Rosjan.

– A o kogo?

– Według mnie mogli się nami zainteresować Ukraińcy – sprecyzowała.

– Służba Wywiadu Zagranicznego Ukrainy? Czy może wojskowi z Głównego Zarządu Wywiadu?

– Tego nie wiem. Niepokoi mnie ta sprawa, u nich nie wiadomo, kto dla kogo pracuje. Czy już dla swojego państwa, czy jeszcze dla Moskwy. A jakby tego było mało, to nakłada się na to skomplikowana sytuacja wewnętrzna Ukrainy. Choćby czyszczenie struktur siłowych z ludzi Janukowycza. A to kurewsko zamazuje obraz.

– To prawda. Ale wydarzyło się coś konkretnego? Czy to tylko twoje wrażenia?

– Czasami to tylko takie podskórne przeczucie. Jakby czyjeś napięcie przenosiło się na mnie. A czasem widzę duchy, jakieś spojrzenia w otoczeniu, dziwne sytuacje, nowo poznani ludzie, ich dziwne pytania. Sama już czasem nie wiem, czy nie za bardzo kombinuję.

– Uważaj. Wiesz, jak to jest z tymi duchami.

– Wiem. Dlatego nie mam pewności. Nie podnoszę żadnego alarmu.

– Magda, mówiłaś o swoich... powiedzmy, odczuciach Montanie i Rumunom?

– Dałam delikatnie do zrozumienia Tomowi. Teraz mamy omawiać sprawy bezpieczeństwa. Ustalono było na górze, że zrobimy przegląd związanych z tym tematów. Poza tym odnoszę wrażenie, że Amerykanie są pewni tego kreta u nas. Myślę, że jest to dla nich główny punkt odniesienia, gdy poruszamy sprawy możliwych zagrożeń.

– Magda. Cholera, uważaj na siebie. – Łodyna jakby bezwiednie dotknął jej dłoni i mocno ścisnął.

– Uważam.

– Posłuchaj. – Zawiesił głos. – Kilka dni temu dostałem szyfrówkę z pionu bezpieczeństwa wewnętrznego. Wiesz od kogo?

– Od Tomka?

– Tak. Dziwny zbieg okoliczności, nie? Pytali szczegółowo o sprawy związane z bezpieczeństwem operacji w Mołdawii. Nawet za bardzo szczegółowo jak na mój gust, ale szyfrówka była wysłana z podpisem Czuchy i pionu kierunkowego. Muszę jutro odpowiedzieć.

– Rozumiem. Mam prośbę. Napisz to jak najbardziej ogólnikowo. Bez szczegółów operacyjnych i tego, o czym ci mówiłam. Wiesz, o czym myślę?

– Tak. O tym samym, o czym Amerykanie. Nie wiem, czy to kupią. Będą cisnąć. W każdym razie zyskasz trochę czasu.

Przez chwilę oboje siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w dochodzące dźwięki liturgii.

* * *

Sierpecka przeciągnęła się w łóżku. Już nie spała, gdy zadzwonił jej telefon. „Dzisiaj mam wolne. W końcu się wyśpię. Nic, kurwa, nie robię. Zamówię śniadanie do pokoju. Posłucham muzyki” – przeleciały jej przez głowę myśli. Odebrała.

– Magda? – W smartfonie odezwał się po polsku głos mężczyzny z charakterystycznym wschodnim zaśpiewem.

Sierpecka szybko spojrzała na wyświetlacz. „Numer rumuński. Co jest?” – pomyślała.

– Kto mówi?

– Poznaliśmy się w Kiszyniowie, w Mołdawii. Widzieliśmy się tam kilka razy. Ostatnio rozmawialiśmy o pewnych sprawach w barze hotelu Radisson Blue Leograd. Po tej konferencji... Chciałbym się z tobą spotkać. To bardzo pilna sprawa.

– A, to ty, Stanisław! Tak, pamiętam! Faktycznie wypiliśmy ostatnio parę szklanek whisky... W czym mogę ci pomóc? – zapytała, starając się zachować obojętność.

Podniosła się energicznie na łóżku. Doskonale pamiętała swojego rozmówcę – Stanisława Burdenkę, drugiego sekretarza ambasady Ukrainy w Kiszyniowie. Burdenka zrobił na niej dobre wrażenie. Zachwycił się Polską, jej osiągnięciami ekonomicznymi, drogą, jaką Polska pokonała do struktur europejskich i euroatlantyckich, ale przede wszystkim doskonale znał miejscowe uwarunkowania. Niekiedy był jednak zbyt łatwowierny i naiwny. Sierpecka szybko się zorientowała, że szczególnie interesował się sprawami separatystycznej republiki Naddniestrza. Odnosiła również wrażenie, że może być oficerem SWRU. To właśnie on powiedział jej o wpływach rosyjskich w resortach siłowych, w tym w służbach specjalnych Ukrainy. Wtedy początkowo zbywała go w rozmowie. Sądziła, że może to być jakaś prowokacja, być może sposób rozpoznania jej aktywności w regionie. Ale nie miała też powodu, aby mu nie wierzyć. Dlatego zaproponowała, że może skontaktować go z dziennikarzami w Polsce zajmującymi się tymi sprawami. Umówiła się, że jak będzie miał coś konkretnego, to niech się do niej odezwie. Z uzyskanej wówczas informacji od Stanisława Sierpecka sporządziła obszerną notatkę, którą Łodyna wysłał pilną szyfrówką do Centrali.

– Musimy się zobaczyć. Przyjechałem do Rumunii – mówił dalej Stanisław.

– Czy jesteś... w Bukareszcie?

– Tak. Proponuję spotkać się przy Strada Academiei. Zatrzymam się samochodem przy takiej niewielkiej cukierni na wyjściu z pasażu angielskiego. Powiedzmy... za godzinę. Niebieski ford focus na rumuńskich numerach. – Sygnał telefonu się urwał.

Sierpecka próbowała oddzwonić, ale nikt nie odbierał. W pierwszym odruchu wybrała numer do Łodyny, ale się rozłączyła. „Co mogło się stać? W końcu to ja tu dowodzę, a Łodyna w tej operacji nie uczestniczy” – pomyślała. Zeskoczyła z łóżka. Na biurku napisała na firmowej kartce z czerwono-czarnym hotelowym

nadrukiem: *Moniuszko, ostatnia notatka*. Szybko wzięła prysznic. Przesuszyła pobieżnie wilgotne końcówki włosów. Związała je frotką. Wróciła do pokoju i zrobiła szybki makijaż. Wyciągnęła z walizki białe brazyliany i stanik. Wciągnęła na siebie błękitne dżinsy i T-shirt. Przy drzwiach włożyła ulubione, niebieskie sneakersy. Chwyciła z wieszaka szary płaszcz i popatrzyła na wyświetlacz smartfona. Miała jeszcze ponad trzydzieści minut. Zeszła do hotelowej restauracji. Była chyba ostatnim śniadaniowym gościem. Położyła na talerz croissanta, słony biały ser i kilka oliwek. Nalała z dozownika do szklanki sok pomarańczowy. Usiadła przy stoliku z widokiem na restaurację Hanu' Lui Manuc. Sprawdziła czas. Na miejsce spotkania miała pieszo około piętnastu minut. Zjadła i wyszła z hotelu. Skręciła w lewo.

Po kwadransie przeszła przez wąski pasaż Macca-Vilacrosse, przeciskając się między stolikami licznych otwieranych właśnie kawiarenek i restauracji. Towarzyszył jej gwar rozmów i pokrzykiwań do kelnerek. „To ostatnia moja szansa na sprawdzenie” – pomyślała, kończąc mocno improwizowaną i zbyt krótką trasę sprawdzeniową. Po kilku minutach wyszła z deptaku i weszła Calae Vicroriei w kierunku pasażu angielskiego zwanego Pasajul Englez. Miała jeszcze do przejścia kilkaset metrów. Minęła hotel Capitol. Po lewej stronie dostrzegła szklany budynek z pozostawionym zabytkowym frontem – hotel Novotel. Naprzeciwko było wejście do pasażu. Kilkanaście metrów przed sobą dostrzegła białego minivana stojącego przy chodniku na światłach awaryjnych. Sierpecka skręciła w prawo. Weszła przez bramę do zaniedbanego patia i zatrzymała się. Parter dziewiętnastowiecznego budynku był pomalowany na rudy kolor. Ściany miał obdrapane, z bazgrołami i graffiti, wejścia i drzwi były zakratowane. Spojrzała w górę na poprzeczne stalowe belki i długie balkony z balustradami na trzech piętrach. Na końcu dostrzegła szklaną ścianę z charakterystycznymi, małymi, industrialnymi okienkami mogącymi świadczyć o przemysłowej historii tego miejsca.

Panował lekki półmrok. Unoszący się kwaśny smród wskazywał, do czego wykorzystywane jest to miejsce. „Mogłaby to być perełka architektoniczna.

Wymarzone miejsce na film szpiegowski” – pomyślała i uśmiechnęła się, dodając sobie nieco odwagi. W tym momencie usłyszała za sobą szybkie kroki. Odwróciła się gwałtownie. Dwóch mężczyzn biegło w jej kierunku. Wyrwała do przodu jak z bloków startowych. Kierowała się do wyjścia na Strada Academiei. „Żeby dopaść chociaż do cukierni! Tam są ludzie, tam czeka Stanisław...”

Nagle poczuła silny skurcz mięśni. Jej ciało przeszył elektryczny impuls z paralizatora. Była oszołomiona, ale wciąż świadoma. Oddychała. Czuła jednak, że traci kontrolę nad swoim układem nerwowym. Nogi zrobiły się jak z waty. Złapała się odruchowo jakiejś kraty od drzwi. Ale dłonie zupełnie osłabły. Puściła. Opadła na podłogę z popękanych płyt lastriko. Wtedy poczuła ponowny silny ból w plecach. Jakby ktoś strzelił do niej z przyłożenia. Zza krat z plakatu patrzyła na nią jakaś blondynka. Magda poczuła słodką woń z cukierni. „Bakława z pistacjami” – zdążyła jeszcze pomyśleć. Przed sobą widziała jeszcze rozmazaną postać mężczyzny, skąś znała tę sylwetkę. Straciła przytomność.

Ocknęła się na chwilę, gdy silne ręce prowadziły ją do zaparkowanego przed wejściem do pasażu angielskiego auta. Przed sąsiednią bramą stał mężczyzna z tabletem w dłoni. Spojrzał na nią, chyba się do niej uśmiechnął. Jak przez mgłę przypomniawszy sobie jego uśmiech... Wenezuela. Janek.

Walerij Aleksandrow.

Rozdział 27

Bukareszt (Rumunia) – wiosna 2014

Łodyna pocałował Ewę w lekko rozchylone usta i delikatnie wysunął się z pościeli. Odruchowo spojrzął na leżący na stoliku przy łóżku smartfon. Świeciła się czerwona dioda. Wziął go do dłoni i wpisał kod odblokowujący. Na wyświetlaczu miał jedno nieodebrane połączenie.

„Magda! Co ona chciała z rana? Byliśmy umówieni dopiero później. Mieliśmy jej pokazać skansen wsi rumuńskiej”.

Wziął aparat i wyszedł do kuchni, aby nie przeszkadzać Ewie. Włączył ekspres i po chwili miał filiżankę pachnącej, gęstej kawy *la creme*. Usiadł na stołku barowym i wybrał numer Sierpeckiej.

– ...*numărul este în afara acoperirii rețelei* – usłyszał automatyczną odpowiedź.

– Co jest, kurwa!?! Jak to poza zasięgiem!?! – krzyknął i ponownie wybrał numer, ale znowu usłyszał ten sam komunikat.

Czasami zdarzało się, że sieć zanikała, zwłaszcza w bukareszcieńskim metrze. „Ale nigdzie się nie wybierała. Zwłaszcza metrem. Zresztą... chciała odpocząć, wyspać się” – zastanawiał się. Po kilkunastu minutach ponownie próbował nawiązać z nią kontakt. I nic.

– Kochanie, do kogo tak wydzwaniasz? – zapytała Ewa, przeciągając się w krótkiej satynowej koszulce.

– Do Magdy!

– A co? Coś się zmieniło? Nie idziemy na spacer i obiad do La Barrier?

– Ewa. Magda już prawie od godziny nie odbiera. W zasadzie to jej telefon jest poza zasięgiem. A wiesz, jak jest. Ma mieć cały czas włączony. Kurwa, mogło się coś stać! Mam złe przeczucia!

– Może śpi albo ma kaca? Zadzwoń do hotelu, kochanie. Idę zrobić śniadanie...

– Masz rację. – Łodyna wybrał numer hotelu Europa Royale. Po chwili połączył się z recepcją. – Tak. Magda Sierpecka. *Polonia*. Tak. Jest pan pewien? Na pewno? Dziękuję. – Rozłączył się. – Ewa, coś się musiało stać! Wyszła parę minut po dziesiątej. To już ponad dwie godziny temu. Kurwa! Idę się ogarnąć i jadę do jej hotelu.

– Ale co oni ci powiedzą? Wiesz, że wyszła.

– Mam drugą kartę do jej pokoju. Sprawdzę.

Po godzinie był na miejscu. Wjechał na czwarte piętro i wszedł do pokoju Sierpeckiej. Cały czas miał nadzieję, że zobaczy ją zaspaną w łóżku i rozładowanego smartfona na szafce. Niestety. W pokoju nikogo nie było. „Chyba się spieszyła. Wszystko porozrzucane. Taki bałagan. Niepodobny do niej”. Nagle spojrzał na kartkę z napisem *Moniuszko. Ostatnia notatka*. Wziął ją do ręki. „Moniuszko, Moniuszko... ostatnia notatka – zastanawiał się. – Stanisław! Kurwa, to ten Ukrainiec!” Zabrał też resztę pustych kartek, porwał je, wrzucił do muszli klozetowej i spuścił wodę. Wyszedł z hotelu. Usiadł przy stoliku w kawiarni. Wybrał numer oficera SIE, który odpowiadał za operację w Mołdawii w rumuńskiej centrali wywiadu.

– Tak, czekam na ciebie. Tak. To dobrze, że nie pojechałeś za miasto. Mam szczęście, tak. Jestem pewien. Sprawdziłem w pokoju. Europa Royale. Czekam na zewnątrz. – Rozłączył się. – *Bere te rog, Timisoreana* – rzucił do kelnerki i zapalił cygaretkę.

Po czterdziestu minutach do stolika Polaka przysiadł się oficer SIE kapitan Daniel Petrescu.

– Dobrze, że dzisiaj jest niedziela, bo trudno byłoby mi się tak szybko przedrzeć przez korki. Co się stało, kolego? Rozumiem, że to coś poważnego,

skoro mnie odrywasz od niedzielnego stołu.

Łodyna opowiedział mu całą sekwencję zdarzeń od wczoraj. Nie pominął odkrycia w pokoju koleżanki.

– Tak. Kojarzę tego Stanisława. Kręcił się koło Magdy. Nasza grupa obserwacyjna go namierzyła. Nawet śledzili go parę razy, ale on tylko do ambasady i do domu. Nie odnotowali innych kontaktów. Rozumiem, że wykluczasz tematy... obyczajowe?

– No tak. Posłuchaj, Daniel. To wcześniej się nigdy nie zdarzyło. Czuję, a to mnie nigdy nie zawiodło, że Magdzie mogło coś się stać... Potrzebuję twojej pomocy.

– Okej. Dawaj jej numer telefonu, z którego tutaj korzystała. Czekaj. Skontaktuję się z kolegami i zaraz sprawdzimy, gdzie ostatnio się logował.

Kapitan zadzwonił do dyżurnego SIE, aby ten przekazał sprawę do służby wewnętrznej SRI o pilną lokalizację telefonu Sierpeckiej. Po dwudziestu minutach na smartfona dostał dokładne namiary i godzinę ostatniego logowania się aparatu w sieci.

– *10.45, Calae Vicroriei, zona de număr: 37B Sector 1.*

– Co tam jest?

– Gdzieś koło hotelu Novotel. Mogła tam być? Poznała jakiegoś faceta? Zresztą sprawdzimy u nich. Może mają coś z kamer monitoringu? To blisko, podjedźmy tam moim samochodem. – Wskazał na zaparkowanego przy Strada Halelor bordowego nissana qashkai.

Po kilku minutach byli na miejscu. Łodyna usiadł w fotelu w hotelowym lobby Novotelu. Daniel poszedł do szefa ochrony. Po kilkunastu minutach wrócił.

– Marcin. Magdy nie było w hotelu. Ale jedna z kamer stacjonarnych uchwyciła twoją koleżankę, jak szła wzdłuż ulicy. Natomiast z nagrania drugiej kamery wiemy, że do skrzyżowania ze Strada Ion Câmpineanu już nie dotarła. Wiesz, to w zasadzie na obrzeżach zasięgu kamer.

– Czyli zniknęła na odcinku... – Łodyna popatrzył na mapę w swoim smartfonie – ...na odcinku jakichś stu, stu pięćdziesięciu metrów.

– Tak wychodzi. Mogła na przykład wsiąść do samochodu. Da się to sprawdzić na nagraniach kamer miejskich. Ale mogła też przejść na drugą stronę jednym z pasażerów: angielskim albo Victoria. I tam wsiadła do auta albo najzwyczajniej poszła dalej. A może weszła do jakiejś kamienicy i ciągle tam jest? Możemy zacząć poszukiwania, ale sam rozumiesz, jest niedziela. Poza tym musimy mieć oficjalne zgłoszenie o zaginięciu. Tylko wtedy ruszą procedury policyjne. A jej nie ma zaledwie od kilku godzin. Twoje przeczucia to za mało. Ja cię rozumiem, biorąc pod uwagę, co realizujemy...

– To co proponujesz, Daniel?

– Tylko działania operacyjne. Poza tym, jeśli doszło do porwania w tym rejonie, to porywacze wciąż mogą obserwować teren. A fakt, że ruszyłyby tu poszukiwania na szeroką skalę, byłby dla nich sygnałem, że Magda jest dla nas bardzo cenna. Dlatego pod żadnym pozorem nie możesz się tu kręcić. Postaramy się coś ustalić. Czekać na telefon ode mnie.

* * *

Łodyna siedział w lobby hotelu Sierpeckiej, co chwila spoglądając na ekran smartfona. Jednak ten milczał. Po półgodzinie bicia się z myślami postanowił zatelefonować do Montany. W kilku zdaniach opisał sytuację. Poprosił o szybkie spotkanie. Zapropował restaurację Hanu' Lui Manuc.

– Marcin, będę jak najszybciej. Trzymaj się, przyjacielu. Do godziny na pewno się wyrobię. Czekać na mnie. To poważna sprawa!

Zaraz po rozmowie z Montaną usłyszał dźwięk przychodzącego połączenia. To był Daniel.

– Posłuchaj. Zabezpieczyliśmy materiał z pobliskich kamer miejskiego monitoringu. Mamy wstępnie ponad czterdzieści samochodów, które w tym czasie mogły przejeżdżać koło miejsca ostatniego logowania się jej telefonu.

Ponadto mamy ponad trzysta pojazdów w promieniu stu pięćdziesięciu metrów od miejsca logowania się. Wiesz, parkujących, poruszających się i tak dalej.

– Rozumiem, że to szukanie igły w stogu siana.

– Niestety. W końcu do czegoś dojdziemy, ale minie dużo czasu. Aha, mam coś jeszcze. Z analizy nagrania z jednej z kamer w rejonie pasażu Macca-Vilacrosse, przez który przeszła Magda, wynika, że była spokojna. Jakby niczego się nie obawiała i szła po prostu na spacer. Za to z analizy nagrania z jej hotelu wynika, że była bardzo nerwowa i spieszyła się. Zachowywała się tak, jakby miała zaplanowane wyjście. A potem ten spokój. Marcin, czy ona realizowała trasę sprawdzeniową?

– Na to wychodzi, Daniel.

– A czy nie miała się spotkać z tym Ukraińcem, skoro przekazała ci taką informację? Wiedziała, że wszelka komunikacja może być monitorowana. Ale podkreślam, jeśli w ogóle coś się stało. Może z nim gdzieś pojechała?

– Można go namierzyć?

– Najpierw musimy wiedzieć, czy w ogóle jest w Rumunii. Na to wszystko potrzebny jest czas, a jego jest mało. Czekaj na informację. Przekażę sprawę formalnie do SRI. To ułatwi działania. Choć to nie będzie proste, bo muszę ukryć sprawę realizacji przez nią czynności operacyjnych na naszym terenie.

– Może być dym, Daniel?

* * *

Restauracja Hanu' Lui Manuc znajdowała się obok hotelu Sierpeckiej. Łodyna podświadomie chciał być blisko miejsca, gdzie jeszcze dzisiaj mieszkała. Może liczył, że przypadkowo ją spotka i wszystkie problemy nagle się rozwiążą. Spojrzał na pobliską cerkiew, a potem rozejrzał się po placu przed restauracją. Nie zauważył nic niepokojącego. Ale zdawał sobie sprawę, że robi to raczej odruchowo. Nie miał czasu. Sprawy nabierały tempa.

Wszedł po drewnianym bruku do sporej bramy. Minął wielkie, uchylone żelazne wrota. Zatrzymał się na dziedzińcu wypełnionym stolikami i stylowymi

metalowymi krzesłami. Uroku dodawało kilka drzew, wielkie kamienne donice i liczne pnącza. Wszędzie zwisały suszone papryczki splecione w warkocze. Orientalnego klimatu nadawały ażurowe metalowe lampy. Z rogu patia dolatywał intensywny zapach mięsa przygotowywanego na grillu. Podeszedł do uśmiechniętej kelnerki, która kierowała gości do stolików na patio lub na piętro, w zależności od ich preferencji. Oceniał, że na tym pierwszym będzie zbyt widoczny, wybrał piętro i stół w rogu. Nie przeszkadzało mu, że ludowa kapela grała różne karpackie melodie. Do spotkania miał jeszcze pół godziny.

– *One bottle of Timisoreana bear, please* – powiedział do czarnookiej kelnerki w ludowym stroju, która podeszła do jego stołu.

– Coś jeszcze? – zapytała i uśmiechnęła się do Łodyny, który zaczął przyglądać się jej długim, sięgającym za pośladki czarnym, prostym włosom.

– Jeszcze, jeszcze... Zastanowię się. Może mix grill dla dwóch osób. Ale to dopiero tak za pół godziny – odpowiedział, ciągle podziwiając długie włosy dziewczyny. – Skąd pani pochodzi? Czy tam wszystkie dziewczyny są takie urodziwe?

– Dziękuję za komplement. Z Bukowiny. To przy granicy z Ukrainą.

Dziewczyna się uśmiechnęła. Po chwili wróciła z dwoma butelkami z niebieskimi nalepkami, które zasyczały po otwarciu kapsli.

– Prosiłem o jedno.

– Drugie, proszę pana... dla ochłonięcia. – Na jej karminowych ustach pojawił się szeroki uśmiech.

Łodyna powoli sączył zimne piwo. Słuchał piosenki wykonywanej przez niewielką kapelę. Wokalistka ubrana w krótką, kwiecistą sukienkę co jakiś czas uśmiechała się do niego. Łodyna nie miał jednak nastroju do zabawy. W głowie wciąż kołatała mu myśl „Co z Magdą?”. Zabierał się do drugiego piwa, kiedy zobaczył wchodzącego Montanę.

– *Hi*, Marcin. Przepraszam za kilkunastominutowe spóźnienie. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Niezły klimat. Zupełnie jak jakaś karawanseraj na Bliskim Wschodzie.

– Zamówiłem półmisek mięs, w tym słynne kotlety z Rumuna, jak kiedyś nazywaliśmy pewne danie w szkole w Kiejkutach.

– Jakie kotlety?!

– Z Rumuna. Mniejsza o to, Tom. Sprawy mają się tak. Na razie nieoficjalne działania przez SIE, a oni...

– Zanim zaczniesz. Natychmiast poinformowałem naszych. Dostałem zgodę na kontakt z górą w SRI. To ich teren. To będzie najlepszy partner w tej sytuacji. No i mam pierwszy trop.

– Co?!

– Od dłuższego czasu prowadzimy z miejscowymi zakrojone na dość szeroką skalę pewne działania. Dwa dni temu koledzy z SRI przesłali nam w formie elektronicznej listy pasażerów z lotnisk i z przejść granicznych – lądowych i morskich. Porównaliśmy to z naszymi danymi w Langley. I coś nas zaniepokoiło. A w zasadzie chodzi o jedną osobę. Pojawił się tu pewien facet, Rosjanin, który był... na Margaricie latem ubiegłego roku, czyli dokładnie wtedy, kiedy i my.

– Tom? Czy ja dobrze rozumiem...? Kurwa!

– U nas, w bazie danych w Langley, ten facet występuje jako kapitan SWR, wcześniej GRU, Wiktor Fiedotow. Dlatego, kiedy powiedziałaś mi o Magdzie, to skojarzenia miałem jednoznaczne.

– Myślisz, że on stoi za zniknięciem Magdy?

– Jeśli zakładamy, że Magda została uprowadzona, to tak. Tym bardziej że nasz kapitan przybył do Bukaresztu tydzień przed przyjazdem Magdy. Nie sądzę, że to przypadek... Poza tym wyobraź sobie, że Fiedotowa namierzyliśmy kilka miesięcy temu w Danii.

– W Danii? A gdzie dokładnie?

Montana wyjął swojego smartfona i wszedł w jakiś plik.

– Aalborg na północy Danii. Jutlandia.

– Aalborg, mówisz. Hmm. A czy nie przewija się w tej sprawie facet o nazwisku... Sørensen?

– Czekaj, sprawdzę... *Oh shit!* Faktycznie jest! Niewyjaśniona śmierć. Skąd znasz tę sprawę?

– Pamiętasz, jak w ubiegłym roku rozmawialiśmy w Langley? Prosiliśmy was wtedy o pomoc w związku z wysyłką dzieł sztuki do USA. Sprawa tego zabójstwa wyszła nam przy okazji. Sfałszowano bardzo profesjonalnie dokumentację wysyłkową. Nawet zbyt profesjonalnie.

Montana ponownie spojrział w plik, który miał otworzony w smartfonie.

– Posłuchaj, to informacja otrzymana przez nas z laboratorium FBI: ... *w pobranych próbkach z ciała ofiary znaleziono minimalną ilość substancji chemicznej z grupy alkaloidów tropanowych – zmodyfikowaną mieszankę, w której skład wchodzi między innymi śladowa ilość atropiny. Mieszanka ta znana jest naszym naukowcom pod kryptonimem MAT-11A. Została wyprodukowana w jednym z podmoskiewskich laboratoriów. Mogła wywołać zatrzymanie akcji serca i częściowy paraliż. Jej działanie spowodowało, że ofiara nie była zdolna się bronić i utonęła. Charakterystyczne dla niej jest to, że szybko rozkłada się w organizmie. Wychodzi na to, że zlikwidował go Fiedotow. Modus operandi by się zgadzał. Wiemy przecież, że Rosjanie wykorzystują chemię. A skoro on tu jest, to rozumiesz... Magda.*

– Nie musisz kończyć, Tom...

– Tylko widzisz, Marcin. To niejedyny dziwny zgon, który prowadzi do towarzysza kapitana Fiedotowa.

– Nie dobijaj mnie, Tom.

– Kiedyś zapytaliście nas o sprawę tej... Nadii Chodkowsky. Puściliśmy temat do FBI, a ci zaczęli mocno chodzić przy sprawie. Tym bardziej że sami już wcześniej coś na nią mieli. Wychodzi na to, że wasze podejrzenia, że może to być jakiś stary nielegał, były w pełni uzasadnione.

– Nie mów. Zgadnę. Też nie żyje? Jak ten Sørensen?

– Tak. – Montana z uwagą spojrział na Łodynę.

– W jaki sposób zmarła?

– Śmierć z przyczyn naturalnych. Była już stara i miała problemy z cukrem.

– Jesteś tego pewien? Tak normalnie umarła?

– Z tego, co pamiętam, ciało znaleziono dopiero pod koniec stycznia. Było trochę, delikatnie mówiąc, zmrożone, bo drzwi na taras w swoim domu zostawiła otwarte. Spowodowało to problemy z ustaleniem czasu zgonu.

– Kolejny przypadek? Przed śmiercią chciała pooddychać świeżym, mroźnym powietrzem? – przerwał z ironią Łodyna.

– Może masz rację. Obie sprawy mogą się wiązać. *Fuck!* Trzeba będzie przeprowadzić ponowną sekcję zwłok, tym razem pod kątem poszukiwania w ciele denatki środków chemicznych. Muszę pilnie przekazać to do naszej Centrali. Niech pchną to do FBI. Szkoda, że wcześniej nie powiedziałeś o waszych ustaleniach w Danii.

– Szkoda, że wcześniej nie poinformowaliście nas o swoim odkryciu i w ogóle o tej całej sprawie w Danii – odgryzł się Łodyna.

– Dziwisz się? Dla was to sprawa zaginionych dzieł sztuki, a dla nas – operowania w USA siatki nielegalów rosyjskich. Poza tym to wygląda na sprzątanie niewygodnych świadków.

– Zapominasz o porwaniu Magdy.

– Nie.

– Mówiłeś, że ten Fiedotow przyjechał do Bukaresztu tydzień temu. To może oznaczać, że Rosjanie już wcześniej wiedzieli o przybyciu tutaj Magdy i przysłali tego *umnogo ubijca*.

– A wiesz, co to znaczy, Marcin? To znaczy, że znowu jest przeciek.

– Kurwa, Tom! Na Margaricie nie było! W każdym razie operacja się udała. – Łodyna powiedział to z naciskiem.

– Dlaczego nie było i wszystko nam wyszło, to sami sobie odpowiedzcie na te pytania. Może to rosyjskie źródło u was wyjechało albo było na dłuższym zwolnieniu i nie miało pełnego dostępu do informacji? Może przerwał im się kanał łączności?

– Gdzie on, kurwa, teraz jest, Tom?

– Kto? Kret czy Fiedotow?

– Pieprzyć teraz tego kreta. Fiedotow! Gdzie on może być?

– Według tego, co przekazali partnerzy ze SRI, to tutaj, w Bukareszcie. Dostałem dziś rano informację, że kamery namierzyły go w rejonie hotelu... Novotel. I potwierdzili, że tam mieszkał, ale wymeldował się... wcześniej rano. Ale czekaj, czekaj... *Fuck!*

– *Calae Victoriei, zona de număr: 37B Sector 1* – Łodyna powtórzył dane otrzymane od rumuńskiego oficera.

– Słucham?

– To adres Novotelu i adres rejonu ostatniego logowania się telefonu Magdy w momencie jej zniknięcia...

– Ja myślę, Marcin, że oni się odezwą... Ale do ciebie. Nie wiem, co z tym zrobisz. Załóżmy, że Rosjanie postępują racjonalnie i chcą coś osiągnąć. Wiedzą, że nie możesz o wszystkim raportować. To, o czym piszesz do Warszawy, mogą mieć zweryfikowane od kogoś od was, z wewnątrz. Możesz mieć... przejebane. Tak myślę.

– Dobrze kombinują. Za dobrze. Wychodzi, że wierzysz w tego kreta.

– *Wake up, man!* Gdybyś sam w niego nie wierzył, już dawno powiedziałbyś swoim o liście! – wypalił Montana.

Zapadła cisza. Łodyna zmierzył Amerykanina ciężkim spojrzeniem. Czyli o to chodziło.

– Wiedząc to wszystko – zaczął jeszcze raz Tom, próbując zapanować nad głosem – wydaje mi się, że w całej tej sprawie z Magdą może im chodzić właśnie o tę twoją cholerną M-listę. Mówiliśmy ci z Kate na Margaricie, że nie odpuszczą. Wiesz, że nasza oferta jest wciąż aktualna.

– Co ty powiesz, Tom!? *Really!?* – odgryzł się Łodyna. Słowa Montany zaboląły go tym bardziej, że Amerykanin mógł mieć rację.

– Rosjanie dążą do zdobycia listy, ponieważ chcą wiedzieć, kto na niej jest i jakie stanowi dla nich zagrożenie. Czy są tam wypisani ich agenci, nielegalowie czy też terroryści? Kto jest bezpieczny, a kto nie!

– Magda jest dla mnie ważniejsza niż ta pierdolona M-lista!

Zamilkli. Gwar gości, czasami ich śpiew wymieszany z muzyką ludową, nie docierał do nich. Myślni znaleźli się w zupełnie innych miejscach. Potem, jakby na komendę, wypili ze szklanych fiolek mocną rakiję. Łodyna popatrzył kolejny raz na imponujące włosy kelnerki z Bukowiny. Znowu się zamyślił.

– Tom. Wy róbcie swoje przez miejscowych z SRI. Może ci z wywiadu z SIE też coś pomogą? W końcu to jest wspólna operacja w tym całym bajzlu w Mołdawii i na Ukrainie. Jestem pewien, że jeżeli Rosjanie tak nas podeszli, to Rumuni też coś spierdolili w zabezpieczeniu naszych działań. Ale mniejsza o to. Ja robię swoje. Może wkrótce będę wiedział coś więcej.

– A jak chcesz to przeprowadzić? Sam? Nie możesz przecież olać miejscowych, bo będzie dym! A to nie pomoże Magdzie.

– Pierdolę to. Teraz ty, Tom, *listen to me*. Oficjalnie współpracujemy z ich Serviciul Român de Informatii, ale mamy, a w zasadzie mam, tu pewne możliwości... jeszcze z bardzo dawnych czasów.

– *Fuck*, nie wierzę! – Montana pokręcił głową. – Wyjedziesz mi tu zaraz z tą waszą armią... Andersa, czy jak mu tam było! Nasłuchałem się o nich w Iraku, aż mi bokiem wychodziło. A teraz tutaj! *Fuck!*

– No widzisz, Tom, jak ty mnie dobrze znasz!

– Aha. Zapomniałem. Kate jeszcze dzisiaj przylatuje do Bukaresztu. Specjalnie kierują ją tutaj w trybie alarmowym z naszej stacji z Genewy. Kontaktowałem się z nią. Ona, tak jak i ja, uważa, że powinieneś przekazać nam tę listę...

– Wiem, wiem. Mówiłeś. Wasza propozycja z Margarity jest aktualna.

– *Exactly!*

– Teraz wszystko zależy od tego, co się stanie z Magdą. Po pierwsze, jeśli odnajdziemy ją całą i zdrową, lista jest wasza. Ruscy jej nie dostaną. Ale będę miał jeszcze jeden warunek. Postaracie się pomóc mi znaleźć pewne dokumenty i różne przedmioty. Nasze przedwojenne. Ale to ma zostać tylko między nami.

– *Okay, deal...* To już nie zaginione obrazy czy rysunki!?

– To też. Ale tamto... chyba jest teraz ważniejsze. Wiesz, chodzi o paliwo do wojny informacyjnej. Obawiam się, że Rosjanie mogli już na nich położyć łapę. A obrazy i rysunki nie znikną. W ogóle, Tom, to dziękuję za pomoc w sprawie tej całej Nadii. Nie było okazji tego oblać... A chyba rozjaśniło nam to kilka tematów.

– Ale jak się okazało, nie wszystko sobie wyjaśniamy. Ale wiesz, jak z wami jest. U nas na górze są, delikatnie mówiąc, mocno powściągliwi przez tego... – Nie dokończył.

– Tom. Masz rację, zakładając, że on jest u nas, a nie... u was.

– To wyklucziliśmy na sto procent. Sprawdziliśmy wszystko.

– Pieprzysz! Nigdy nie ma pewności na sto procent... Ale zresztą mniejsza o to.

– Za sprawę Nadii podziękuj Kate. Ona nakręciła to razem z FBI. Okej? Jak będziesz miał jakąś informację od tego twojego... *general Anders source*, to daj znać. W takich sprawach każda informacja jest ważna. Twoja zgoda na przekazanie M-listy otwiera przed nami większe możliwości działania. Wiesz o tym. – Tom się uśmiechnął. – Jestem dobrej myśli, mimo wszystko.

– Jasne, jasne....

– A pewnie! Jak Kate się dowie o twojej decyzji, to nie odstąpi cię na krok. Nie poznasz jej. Zrzuciła parę kilo i znów jest blondynką. Nawet szkła kontaktowe nosi bardziej niebieskie.

– Coś sugerujesz?

– Nie, no coś ty! Jak się chce pracować wśród rosyjskich oligarchów i bankierów w Szwajcarii czy Luksemburgu, to konieczny jest słowiański image.

– Puścił do niego oko i zabrał się do dokończenia rumuńskich mięsnych przysmaków.

– Tom, odpal już łączność awaryjną i czekaj na sygnał ode mnie. Ja będę czekał na coś od ciebie. Bułgarskie karty SIM, pamiętaj. I jak najszybciej ustal, przez waszą stację w Kiszyniowie, co z tym Burdenką. Nie wiem, czy SRI da radę zrobić to na *cito*. Być może to jest klucz do odnalezienia Magdy?

– Pamiętam. Stanisław Burdenko, drugi sekretarz ich ambasady w Kiszyniowie.

– Ale Magda uważa, że to oficer SWRU.

– Pewnie się nie myli. Jak wrócę do hotelu, zadzwonię natychmiast do twojego znajomego Edda w Kiszyniowie.

Łodyna opadł na oparcie. Musiał teraz napisać natychmiastowa szyfrówkę do Centrali AW. Układał sobie w głowie jej treść. Jednego był pewien. Nie mógł nic wspomnieć o ustaleniach Amerykanów w sprawie Fiedotowa.

* * *

Łodyna siedział na czerwonej pluszowej kanapie w klubie Bordello. Nerwowo spoglądał na wyświetlacz smartfona. Od pół godziny sączył z małej butelki piwo Ursus. Wiedział, że musi być w dobrej formie. Po wysłaniu informacji do Centrali wrócił w okolice hotelu Sierpeckiej. Z baneru naprzeciwko przyglądały mu się z czarno-białych zdjęć nagie dziewczyny z okresu belle époque.

„Bordello. Dostawca dobrych czasów” – przeczytał napis i w tym momencie na jego smartfonie wyświetlił się numer z prefiksem +972.

– Tak, panie Mieczysławie! To ja. Wiem. Nic nie szkodzi. Czekałem cierpliwie...

Po kilku minutach milczenia i wsłuchiwania się w słowa Kleinera oficer wyjął kartkę papieru, długopis i zaczął notować.

– Tak, Romek Srebrny, obecnie Roman Argent... Strada Roma... Tak, zapisałem numer domu... Jutro na mnie czeka, naprawdę!? Tak, powołam się na pana. Na pewno się dobrze skończy. Życzę zdrowia, panie Mieczysławie. Tak, mam też numer telefonu do Aarona... Postaram się z Ewą i małym Michałkiem pana odwiedzić... Tak, pozdrowię Ewę... Wszystko opowiem... Tak... Na pewno przylecimy... Do widzenia. I dziękuję bardzo.

Łodyna czekał na ten telefon. Liczył na to, że uzyskane informacje przybliżą go do odnalezienia Magdy. Myślał o koleżance, dziewczynie, którą poznał jeszcze w licealnych czasach w warszawskiej winiarni Marywil, a po latach

spotkał w Zarządzie Wywiadu UOP. „Magda, co z tobą? Daj jakiś znak” – prosił w myślach.

Wstał i ruszył w kierunku hotelu Sierpeckiej. Staął na parkingu taksówek przy Strada Halelor. Pękata, żółta dacia pojechała w kierunku dzielnicy Aviatorilor. Po dwudziestu minutach Łodyna znalazł się pod swoim domem. Był już późny wieczór. Czuł się bardzo zmęczony. Marzył o kąpieli, łóżku i o ciszy. „Czy zrobiłem wszystko, co mogłem?” – pomyślał. Miał wejść do windy, gdy usłyszał sygnał przychodzącego połączenia. Spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił generał Czucha.

– Mów – usłyszał przez słuchawkę.

Rozmowa trwała dziesięć minut, szef AW pytał o okoliczności zaginięcia Magdy, ale w jego głosie dało się słyszeć, że jest pod jakąś presją. Starał się wyciągnąć od Łodyny wszystkie informacje o tym, jakie znaleziono ślady i kto mógł za tym stać. Major podskórnie czuł, że tak dokładne informacje do niczego nie są mu potrzebne. Aż wreszcie Czucha wyartykułował, że musi napisać notatkę do prokuratury, która zajmie się porwaniem, a także Romańczuka, bo chce wszcząć wewnętrzne postępowanie.

– Oswajaj się z myślą, że niebawem wrócisz do Warszawy, kilka spraw musimy wyjaśnić – powiedział na koniec generał.

„To jakaś groźba? Jestem na celowniku?” – zastanawiał się Łodyna, ale teraz nie miał do tego głowy.

Rozdział 28

Rumunia (Bukareszt) – wiosna 2014

„Piękny!” – powiedział do siebie Łodyna i zatrzymał się przed budynkiem przy cichej o tej porze Strada Roma. Dom sprawiał wrażenie niemieckiego albo austriackiego dziewiętnastowiecznego pensjonatu z alpejskiego kurortu. Nieduża wieżyca, łamany, spadzisty dach, wykończenia z ciemnego drewna. Dotknął dzwonka przy furcie. Magnetyczny zamek puścił. Wszedł na posesję. Po chwili stał przy drzwiach. Otworzyła je kobieta w średnim wieku, z włosami spiętymi w kok. Uśmiechnęła się i powiedziała po angielsku z wyraźnym francuskim akcentem:

– Proszę, dziadek na pana czeka. W prawo, proszę. Do salonu.

Łodyna wszedł do obszernego pokoju z kominkiem i wysoką mosiężną menorą stojącą na niewielkiej kamiennej półce. Stare, ciężkie drewniane meble pasowały idealnie do wystroju wnętrza. W fotelu siedział staruszek. Jego rzadkie, siwe włosy znajdowały się w nieładzie. Przypominał trochę Alberta Einsteina ze słynnego zdjęcia, tyle że włosy miał krótsze. Nogi nakrył czerwono-biało-czarnym kocem w typowo ludowe rumuńskie wzory. Uśmiechnął się do Łodyny, który przedstawił się i uściśnął wątlą dłoń mężczyzny.

– Proszę, młody człowieku. Niech pan usiądzie, niech pan spocznie, niech pan się rozgości... – powiedział łamaną polszczyzną z lekkim akcentem jidisz.

– Jestem... przyjacielem pana Mieczysława Kleinera...

Łodyna pierwszy raz powiedział o Kleinerze jako o swoim przyjacielem. Poczł się pewniej. Zawiesił głos i popatrzył na starego polskiego Żyda,

dawnego oficera izraelskiego Mosadu. Czuł lekką ekscytację. Przypomniał sobie niedawne spotkanie z Kleinerem w Tel Awiwie. Znowu stykał się z żywą historią. Zauważył, że mężczyzna się wzruszył. Przymknął oczy i pokiwał głową.

– Proszę mi wybaczyć. Nie przypuszczałem, że ktoś jeszcze mnie odwiedzi i to od tego skurczybyka Kleinera. Jakby żyła moja żona Georgina, na pewno przygotowałyby coś do zjedzenia. Coś od nas, z warszawskich Nalewek... Śmieliśmy się kiedyś z Mosze, to znaczy z Kleinerem, że nauczyliśmy nasze żony polskiej kuchni. Bo ta żydowska mdła... Co to ja chciałem? Aha... Wie pan. Żonę poznałem, jak jeszcze mieszkałem w Szwajcarii. Pochodziła z mieszanej i dosyć laickiej żydowskiej rodziny z Bukaresztu. Uciekła z komunistycznego raju Geniusza i Słońca Karpat... W Szwajcarii najpierw pracowałem w firmie spedycyjnej Ego. Na początku lat dziewięćdziesiątych, zaraz po rewolucji, przyjechaliśmy do Rumunii – rozgadał się staruszek.

– Czym się pan tu zajmował, panie Romanie?

– Byłem jednym z dyrektorów filii banku *Crédit Lyonnais*. Żona odziedziczyła tę piękną willę przy Strada Roma. Teraz odwiedzam tu wnuki. Wprawdzie mam dom w Genewie, ale tęsknię za moją piękną Georginą i tu chcę umrzeć. Czuję się już słabo. Chcę być pochowany razem z nią, na cmentarzu Bellu w jej rodzinnym grobowcu.

– Pewnie pan wie, panie Romanie, że tu niedaleko jest nasza ambasada. W sumie jesteśmy sąsiadami. Też od niedawna mieszkam w Bukareszcie. Co za zbieg okoliczności! To pewnie jeszcze nieraz się spotkamy...

– Spotkamy się albo i nie spotkamy. Bóg jeden raczy wiedzieć... Dziewięćdziesiąt lat skończyłem i lada dzień przeniosę się na łono Abrahama... Pamiętam tę jazdę ciężarówką z Bagdadu, ucieczkę do *Erec Israel*, do naszej ziemi obiecanej. Mosze... Ale co ja tu panu opowiadam. Przecież przyszedł pan do mnie z konkretną sprawą.

– Nie chciałem przerywać, ale rzeczywiście, mam trudną sytuację. Porwana została moja koleżanka. Podejrzewam, że mogą za tym stać Rosjanie – zaczął

Łodyna.

– Dam telefon do naszego człowieka. On panu pomoże. Ma tu duże możliwości. Jeszcze dzisiaj się z panem skontaktuje. Skoro Kleiner prosił, to musi być ważna sprawa. On panu bardzo ufa, a to rzadkość u niego. Stary drań Mosze – powiedział uśmiechnięty Roman Argent.

– Tak, bardzo ważna sprawa. Moja koleżanka to oficer polskiego wywiadu – tłumaczył Łodyna.

– Tak myślałem, cały Mosze, cały Kleiner. Znajdzie się w grobie i jeszcze będzie łącznikował agentów i koordynował jakieś akcje specjalne. Jak się z nim spotkam w innym świecie, to mu powiem to i owo... Aha, a jeśli chodzi o tę drugą sprawę. Mam te dokumenty. Przygotowałem je od razu po telefonie od Kleinera.

– Tak, to jeszcze inna sprawa, panie Romku. Chociaż pan wie, jak to jest w tej robocie. Zwłaszcza że siedzą w tym też Rosjanie.

Argent *vel* Srebrny wyjął ze starej tekturowej teczki gruby plik dokumentów, opisujących różne osoby i grupy, które w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mogły mieć związek z radzieckimi służbami specjalnymi.

– W związku z tym, że były to luźne, niepowiązane ze sobą organizacje, czasami o przeciwstawnych interesach, to mieliśmy z nimi sporo kłopotów. Byli to różni ludzie. Nie tak łatwo było ich infiltrować. – Mężczyzna uchylił teczkę, a Łodyna dostrzegł, że są tam również zdjęcia.

– Interesujące jest to, co pan mówi.

– Może pan, młody człowieku, coś tutaj znajdzie. Levi Mazower. Pamiętam, że palił aromatyzowane papierosy. Z dokumentów wynika, że wyjechał z Wiednia do Palestyny na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, a potem był kurierem i z Iraku przewoził polskich Żydów od Andersa. Po wojnie cały czas jeździł do Wiednia i robił podejrzane interesy. Podobno jakoś już na początku lat sześćdziesiątych miał kontakt z towarzyszami radzieckimi.

– Dobrze słyszę? Pracował dla Sowieców?!

– Tak, tak... Na pewno już wtedy coś dla nich robił. Nie wiedzieliśmy, co z nim począć, bo wciąż był dla nas użyteczny. On zawsze mówił, że pieniądz nie śmierdzi, nawet radziecki dolar.

– Rozumiem.

– Mosze namierzył go w Wiedniu, właśnie na początku lat sześćdziesiątych. Levi robił interesy z jakimś Polakiem, który otworzył wtedy duży antykwariat. Tam będzie jego nazwisko. Jakoś na „B”. Ale miał również kontakty z ambasadą polską, pewnie z oficerami wywiadu, czyli jak pamiętam, z waszego Departamentu I MSW. Wiem, że Kleiner chyba ze dwa razy skorzystał z tych układów, powiedzmy prywatnie.

– W jakim sensie prywatnie? Jeśli mogę zapytać.

– Levi przerzucał ludzi i różne rzeczy z Polski przez zieloną granicę, ale i pociągami w różnych schowkach albo na mocnych lewych papierach. Pamiętam słynny dworzec Wien Südbahnhof. Jak lokomotywa wtaczała się powoli i ciągnęła za sobą polskie, ciemnozielone wagony.

– Kilka lat temu został zburzony.

– Szkoda. Lubilem go... Jakie to wtedy było podniecenie, kto dojechał, która skrytka nie została odkryta. Pamiętam, że kiedyś jeden schowek był zorganizowany w wagonie pod toaletą. Ale ten facet śmierdział, jak go wyciągnęliśmy na bocznicę. Levi nie używał takich rozwiązań. On pakował skrzynie gdzieś na Śląsku. Pamiętam jak dzisiaj, że zawsze na nich pisał to samo: *Geldner Mieczysław. Hajfa. Izrael*. Nikt tego w zasadzie nie ruszał. Raz tylko jakiś nadgorliwy polski pogranicznik zatrzymał przesyłkę. Kleiner drwił, że Levi chyba nie dogadał się z bezpieczeńką na kasę. Ale poza tym jednym razem od Leviego nigdy nikt nie wpadł. Wszystko dochodziło do Wiednia. O czym to ja mówiłem...?

– O Levim Mazowerze.

– Aaa... Levi czasem przedstawiał się jako handlarz dzieł sztuki i antykwariusz.

– A pamięta pan może, jakimi przedmiotami się interesował?

– Ja dużo pamiętam, ale nie aż tak dużo, młody człowieku. Tam w tych dokumentach będzie wymienionych parę rzeczy. Mosze opowiedział mi kiedyś, że Levi miał weryfikować u tego na „B”... Barylczyka! Tak miał na nazwisko. I ten Barylczyk miał wiele polskich dzieł sztuki i sporo historycznych dokumentów. Ale on też nie wiedział, co to było. Więcej o nim powiedziałyby Aaron Levin, który z Mosze pracował kilka dobrych lat. On tego Barylczyka znał chyba z Polski.

– A ten Aaron Levin żyje? Można się jakoś z nim skontaktować?

– Nie, nie żyje. Aaron zginął jeszcze przed wojną sześciodniową. Przerzucili go, o ile pamiętam, w kwietniu, za kanał, a potem do Kairu. Pewnie go namierzyli, bo został zastrzelony w mieszkaniu. Ma tylko jakiś symboliczny grób w Hajfie. – Mężczyzna umilkł i chwilę intensywnie nad czymś myślał. –

A właśnie! Przypominam sobie. Ten Barylczyk miał nie tylko antykwariat. Podobno zorganizował sekretny magazyn z dziełami sztuki, a Sowieci je sprzedawali i zasilali fundusz operacyjny KGB. Ale nie trafiliśmy na jego lokalizację. Czy to było w ogóle w Austrii? Nie wiem.

– A czy to możliwe, że ten magazyn funkcjonuje do dziś? – spytał Łodyna.

– Czy on do dzisiaj istnieje? Tego to ja nie wiem. Tyle lat w końcu minęło. Ale że to Rosjanie, to pewnie jest zachowana jakaś ciągłość działania. Więc nie wykluczam, że przejęła ten temat SWR. No właśnie, Aaron wtedy, to znaczy na początku lat sześćdziesiątych, był na placówce w Wiedniu. Może to Sowieci go sprzątnęli w Kairze? Mogli go przecież rozpracować właśnie w czasie jego pobytu w Austrii.

Mężczyzna przerwał i przymknął oczy. Wydawało się, że przysnął. W tym momencie weszła wnuczka Srebrnego, wnosząc na tacy filiżanki i dzbanek z herbatą.

– Dziadek tak cały dzień. Trochę pośpi, trochę porozmawia. Ale wie pan, już dawno nie był tak ożywiony. To po tym telefonie z Izraela. Widzę, że jest już zmęczony. Coraz bardziej.

– Tak. Ja już nie będę przeszkadzał. Proszę go ode mnie pożegnać. Może przyjdę jutro albo pojutrze. Mieszkam niedaleko.

– Zapraszamy. W zasadzie cała rodzina jest w Szwajcarii. Tylko ja z mężem tutaj mieszkamy. On pracuje w rumuńskim MSZ i często wyjeżdża za granicę. Ostatnio był dwa lata w Bagdadzie. Teraz przebywa na rocznej delegacji w Kijowie.

– Czyżby kolejny przypadek? Ja też byłem na placówce w Iraku. A jak ma na imię mąż?

– Aleksandru Stefanescu. Zna go pan? O ile wiem, to polska ambasada znajduje się w *International Zone*. Nasza była, jak to mój Aleksandru mawiał, w... czerwonej zonie.

– Może akurat się wyminęliśmy. Często wyjeżdżałem na północ do Kurdystanu, czasem do Kuwejtu i Turcji. Wie pani, jak to bywa w takich wojennych krajach.

Kłamał. Łodyna doskonale znał Aleksandru, który był oficerem rumuńskiego wywiadu. Nie wiedział tylko, czy to będzie miało jakiś wpływ na sprawę. „Trochę za dużo tych wywiadów spod różnych flag. To zaciera obraz” – pomyślał.

Łodyna wyszedł od Srebrnego i ruszył w kierunku swojego domu. Dzielnica, w której mieszkał, była niedaleko. Miał jakieś półtora kilometra. Szedł przez willowe okolice Dorobanti. Jasne wiosenne liście drzew tworzyły jakby zielony tunel. Niskie domy i cisza uzupełniały nieco uzdrowski klimat tego miejsca.

I wtedy przy chodniku zatrzymał się granatowy ford mondeo. Uchyliła się ciemna boczna szyba od strony pasażera. Za kierownicą siedział mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna o blond włosach, niebieskich oczach i jasnej karnacji. Na nosie miał okulary w owalnych metalowych oprawkach. Uśmiechnął się.

– Pan Marcin? Z polskiej ambasady? – powiedział po polsku z wyraźnym akcentem, który był dla Łodyny jakiś bliski, ale i nieokreślony zarazem.

Łodyna w pierwszym odruchu chciał skoczyć w bok, za tył forda. W mgnieniu oka ocenił sytuację. Cofnął się. Był gotowy do ucieczki.

– Panie Marcinie! Ja od *monsieur* Romana Argenta i... Mosze Kleinera. Przepraszam, że w ten sposób, ale czas goni. Pan wsiada, pan się nie denerwuje. Co będzie pan tak piechotą szedł do domu. Zapraszam na krótką przejażdżkę, podwozę. Porozmawiamy – rzucił szybko, widząc zaskoczenie u Polaka.

Łodyna nie miał już wątpliwości, kim może być kierowca. W pełni uspokoił się, gdy usłyszał nazwisko przyjaciela. Poza tym wydawało mu się, że gdzieś go już widział. „Jakieś przyjęcie?” – pomyślał odruchowo. Jednak nie mógł znaleźć odpowiedzi. Był już zmęczony. Jednak miał świadomość, że każda minuta jest ważna i może mieć znaczenie w poszukiwaniu Magdy. Jeszcze raz spojrzął badawczo na mężczyznę i wsiadł do samochodu.

– Alex, Alex Baruh. Ambasada Izraela w Bukareszcie. – Wyciągnął rękę.

– Skądś pana kojarzę – odparł Łodyna i podał mu dłoń.

– Może ze spotkania łączników w siedzibie SIE? Ale do rzeczy. Macie problem. Wiem o tym. Sprawa już się trochę rozniosła. Dostaliście wsparcie Amerykanów, to też wiem.

– Może pan pomóc?

– Tak. Już co nieco ustaliliśmy.

– Tak szybko?

– Po pierwsze, to nie zostawiamy bez pomocy przyjaciół naszych przyjaciół, a Kleiner nie jest naszym zwykłym obywatelem. To wciąż żyjąca legenda. On tworzył fundamenty naszego państwa, naszej siły. Jego prośba to dla nas rozkaz – mówił nieco górnolotnie. – A poza tym w takich sytuacjach liczy się też solidarność wśród służb. A politycy, wasi czy nasi...

– To co z tymi politykami? Wie pan, ale to oni nam wydają rozkazy.

– Wie pan, historia może nas dzielić, ale Polska zawsze będzie dla nas ważna.

Ford Alexa po kilku minutach zatrzymał się w okolicy domu Łodyny. Alex wyłączył silnik. Sięgnął ręką do schowka. Otworzył go. Przesunął w nim pistolet Jericho 941 i wyjął tablet. Wbił kilka cyfr odblokowujących urządzenie. Na

ekranie ukazała się strona wyszukiwarki internetowej. Kliknął zapisany link. Pojawił się folder oznaczony napisem *B2014*. Wyjął z kieszeni rodzaj jakiegoś powerbanka. Podłączył go kablem przez micro USB z tabletem. Odczekał kilka chwil. Wyświetliło się podłużne okienko. Wpisał kilkunastocyfrowe hasło. Powtórzył je. Wcisnął enter.

– Niech pan spojrzy! – podał tablet Łodynie. – Na pierwszym i na następnych.

Na zdjęciach widać było biały minivan peugeot partner. Na burcie miał napis *Sixt*.

– Zdjęcia wykonano przy Calae Vicrorieii – dodał Alex.

Łodyna rozpoznał to miejsce. W tym momencie poczuł suchość w gardle. Na następnych ujęciach ten sam samochód odjeżdżał.

– Jak pan widzi, to zdjęcia operacyjne. Niestety nie wyłapaliśmy momentu, gdy wciągali do samochodu pana koleżankę. Tam panuje duży ruch. A samochód zatrzymał się dosłownie na chwilę. Znam to tylko z opisu naszej ekipy realizacyjnej – spokojnie opisywał Alex. – Ale udało się nam zainstalować podrzutkę w momencie, gdy zatrzymali się na następnym skrzyżowaniu ze światłami.

– A skąd wiedzieliście?

– Zupełny przypadek. Prowadzimy rozpoznanie pewnej rosyjskiej ekipy w Konstancy. Nie jesteśmy do końca przekonani, jaka to służba. Kręcą się w rejonach portu, terminali promowych i kontenerowych. Zwłaszcza kiedy są duże transporty do portów syryjskich. No i interesuje ich baza marynarki rumuńskiej. Nagle zostawili wszystko i kilka dni temu przenieśli się do Bukaresztu. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Sądziłyśmy, że może zwijają się albo nas namierzili. Ale po tej akcji koło pasażu angielskiego szybko skojarzyliśmy sprawę z wami.

– Dokąd pojechali?

– Bellu. Cmentarz Bellu. Mam dla pana wydruk tych zdjęć. Do koperty włożyłem także numery telefonów, z których korzystają ci z peugeotota. To tyle,

kolego. Spieszcie się. Aha. Zostaje to między nami – zakończył.

– To oczywiste. Dziękuję panu – odpowiedział Polak. Wsiadł szybko z samochodu i skierował się do domu.

Przy wejściu do budynku Łodyna zajrzał do swojej skrzynki pocztowej. Otworzył ją. Wśród kolorowych reklamówek znalazł kopertę. W środku było zdjęcie Ewy wykonane w Warszawie i Magdy w jakiejś piwnicy. Była brudna, a na twarzy widniały ślady pobicia. Na odwrocie ktoś napisał po polsku: *Czekaj jutro na kontakt.*

Pod Łodyną ugięły się nogi. Usiadł na schodach na półpiętrze. Zakrył dłońmi twarz...

– Kurwa! Kurwa! – zerwał się i pobiegł na górę. – Ewa! Jesteś!?! – krzyknął.

Zaczął biegać po ponadstumetrowym mieszkaniu. Otwierał kolejne drzwi.

– Ciszej! Usypiam dziecko! – odpowiedziała szeptem Ewa. – Co się stało?

Łodyna w krótkich słowach opowiedział jej o Magdzie, o jej zniknięciu.

– Pakuję się i wyjeżdżam. Pierdolę te wasze *szpiońskie igry!*

– Poczekaj! Ewa! To się zaraz skończy. Posłuchaj, kochanie. Bierz tylko niezbędne rzeczy i jedziemy do ambasady do pokoju gościnnego. Załatwię to zaraz z Arturem, z naszym administracyjnym. Tam będziesz bezpieczna. Wszystko się ułoży.

– Co się ułoży!?! No powiedz, co!?! Nie wierzysz chyba w to, co mówisz! To się nie skończy! Teraz cały czas, jak pójdę na spacer czy do sklepu, będę się za siebie oglądać! Wolałam Bagdad i te pieprzone katusze. Tam przynajmniej wiadomo było, o co chodzi. A tu? Mogą nas dopaść na ulicy, mnie, Michałka? – W jej oczach pojawiły się łzy.

Łodyna objął ją, zakrył dłonią jej usta i wyszli razem na balkon, z którego rozpościerał się widok na parterową zabudowę dzielnicy. Pogłaskał ją po jasnych włosach.

– Popatrz, jak tu ładnie. Niedaleko mamy do parków Kisieleff i Herastrau. Możemy wyskoczyć sobie w góry do Sibiu albo Braszowa. Na weekend nad morze do Bułgarii, na naszą ulubioną plażę Silistar. Co to jest czterysta

kilometrów?! A dokąd byś pojechała w Bagdadzie? Do Dojo, do sklepiku, na bazarek, do Amerykanów na basen?! Pamiętasz, ile się naszukaliśmy, żeby znaleźć odpowiednie mieszkanie w tej okolicy, żeby nie brzęczeli w ambasadzie i na Szucha, bo mają jakieś pieprzone normy i limity. Najchętniej zakwaterowaliby nas w jakimś komunistycznym, szarym blokowisku – mówił uspokajającym tonem.

– Nie mogę żyć w takim napięciu. Rozumiesz?

– Rozumiem, Ewa, rozumiem. Ale na pewno jakoś się to poukłada. – Mocniej ją przytulił. Stali oboje w milczeniu i patrzyli na wiosenną zieleń drzew.

– Pakuj się, pakuj Michała. Ja dzwonię do Artura. Samochód zaparkuję przed ambasadą.

Po godzinie obydwójce byli w budynku polskiej placówki. Po krótkiej rozmowie z kierownikiem administracyjnym weszli do niewielkiego mieszkania. Zwykle było ono wykorzystywane przez gości ambasadora albo ekspertów z kraju przyjeżdżających w delegację.

„Teraz Centrala i Montana. Ale się wkurwią na Miłobędzkiej” – pomyślał i poszedł do pokoju łączności. Po piętnastu minutach szyfrówka do Centrali Agencji Wywiadu była gotowa. Łodyna pominął oczywiście temat listy i spotkania z izraelskim informatorem. Wymienił tylko, że są pewne niepotwierdzone informacje, gdzie może być przetrzymywana Magda. „W końcu i tak to kiedyś wyjdzie, ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie. Jebał to pies, teraz tylko Magda się liczy” – kalkulował. Wyjął dotychczas nieużywany smartfon z bułgarską kartą SIM i uruchomił go. Wybrał z pamięci numer Montany.

– Tom!?! Posłuchaj. Mam coś! Tak, to pewne. Szykuj już ekipę! Miejscowych też, koniecznie. Załatwcie to. Kate już jest? Okej, to czekam na was w restauracji Elzada, na górze, nad jeziorem Tineretului. Za godzinę. Tak, informacja jest z dobrego źródła. – Rozłączył się.

* * *

Łodyna wyszedł ze stacji metra Eroii Revolutiei i skierował się ulicą Șoseaua Olteniței na wschód. Minął po lewej biały budynek z bramą wejściową na cmentarz Bellu. Przypomnił sobie życzenie Romka Srebrnego, aby pochowano go tutaj w rodzinnym grobowcu jego żony. „Faktycznie, piękny cmentarz. Trochę jak nasze Powązki” – pomyślał, spoglądając przez bramę neoklasycyistycznego budynku. Po piętnastu minutach skręcił w lewo do parku Tineretului i doszedł do krawędzi wzgórza. W dole zobaczył jezioro. Powinien poczekać na Toma i Kate w restauracji Elzada, jednak tak jak miał to w zwyczaju, chciał rozejrzeć się po okolicy. „Nigdy nic nie wiadomo” – pomyślał. Skręcił w lewo i poszedł kilkaset metrów wzdłuż muru cmentarza. Przysiadł na moment na ławce. Popatrzył na niebieską taflę jeziora. Głęboko wciągnął zapach kwitnących drzew i świeżej wiosennej trawy. Śpiew ptaków działał relaksująco. Zamknął na chwilę oczy. Potrzebował chwili spokoju, bo od wielu godzin żył w ciągłym napięciu. Nadchodził wieczór. Łodyna powoli wstał i zawrócił. Dokładnie lustrował otoczenie. Poszedł w kierunku restauracji. Usiadł przy stoliku w ogródku i zamówił piwo. „Teraz to tylko czekanie. Najgorsze w tej robocie”. Kelnerka przyniosła mu butelkę piwa Ciuc, bo nie było jego ulubionego Timisoreana. Wypił je do połowy. W tym momencie usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. Popatrzył na ekran. To był Montana.

– *Lima Charlie. On site?*

– *Load and clear. Copy. Arrived venue* – odpowiedział Łodyna.

* * *

Sierpecka leżała skrepowana na betonowej posadzce z workiem na głowie. Pomieszczenie było wilgotne. Odór stęchlizny i moczu mieszał się z zapachem świec. Skojarzyło jej się to z monastylem w centrum Bukaresztu, gdzie niedawno spotkała się z Łodyną.

„Gdzie ci chuję mnie wrzucili?” – zastanawiała się i próbowała obliczyć, ile godzin już tu jest. Ponownie próbowała się szarpnąć, ale dłonie miała sklezione taśmą naprawczą. Usta również zakleili jej taśmą. Chciała wstać, ale nogi miała

związane i przymocowane sznurem do ściany. Dopiero po chwili poczuła, że w kroczu ma mokre spodnie. Wiedziała, że to jej mocz, a w nogawkach jest też kał. „Jebane ćwiczenia to jedno, a rzeczywistość drugie. Nigdy nie da się wszystkiego przewidzieć. Kurwa, kurwa!” Łzy napłynęły jej do oczu. Po chwili zapadła w letarg. Ocknęła się. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Usłyszała głosy. Wydawało się jej, że to pojedyncze słowa jakiegoś kaukaskiego języka pomieszane z rosyjskim. Głosy się zbliżały.

Nagle ktoś zerwał jej kaptur z głowy i skierował na nią silny snop światła z taktycznej latarki podwieszanej pod AKS 74U – skróconej wersji kałasznikowa. Zmrużyła oczy. Odwróciła głowę do ściany, ale światło podążało za nią.

– *Chwacit, chwacit, Andriej. Ona charoszaja dziewczuszka* – powiedział jeden z nadzorców.

Sierpeckiej wydawało się, że już kiedyś słyszała ten głos. Jednak dziwna akustyka pomieszczenia zniekształcała dźwięki. Ciągłe nie wiedziała, czy to, czego doświadczała, dzieje się naprawdę. Była oszołomiona. Stali nad nią mężczyźni w czarnych kominiarkach.

– *No bliat'. Posmatri na eti snimki* – powiedział i pokazał Sierpeckiej zdjęcia.

Na fotografiach był Łodyna i Ewa. Zdjęcia zrobiono w Warszawie. „Nie ma dziecka. Nie wiedzą, kurwy, o nim?!”

– *Posłuszaj. Jak twój kolega nie przyniesie tego, o co nam chodzi, to nie tylko ty, ale i ta prijatielnica ze zdjęcia zaginie i nikt waszych ciał nie znajdzie. A szczególnie twojego zaszczanego i zasranego. Nasz komandir już się o to postara. Ponimajesz, kurwa!*

Mężczyźni oddalili się od Sierpeckiej. Weszli na pokruszone kamienne schodki. Jeden nachylił się i szeptem powiedział:

– Andriej, daj jej coś do żarcia.

– Kurwa, Iwan, nic przy sobie nie mam.

– Kolega zaraz przyniesie ci coś do picia i jedzenia. Odlać musisz się znowu bez naszej pomocy – zwrócił się głośno do Sierpeckiej, po czym dodał szeptem

do kolegi: – To rusz dupę. Naprzeciwko jest duży sklep i stacja benzynowa. Kup jej jakiś batonik. Tylko pospiesz się, bo niedługo zjawi się *komandir*. Mówił, żeby jej włos z głowy nie spadł. Dostał od kogoś z góry wyraźny rozkaz. Ten ktoś, pewnie ten ważniak z Margarity, ma tu być, znaczy w Bukareszcie, niedługo.

Andriej zdjął kominiarkę i wcisnął za pas pistolet – wysłużonego Stieczkina APB. Poprawił roboczy kombinezon. Wyglądał jak robotnik na budowie. Wszedł po stromych schodkach na górę. Gdy był na zewnątrz, zamknął za sobą ciężkie metalowe drzwi grobowca. Przykryty kopułą pomnik zwieńczony kamiennym krzyżem znajdował się w północnej części nekropolii, blisko muru od strony skarpy i jeziora Tineretului. Mężczyzna skierował się do głównej alei cmentarza Bellu.

– Ktoś zmierza do głównej alei. Mija teraz grób z płaską płytą, bez pionowego pomnika. Idzie powoli, nie spieszy się. Może to grabarz, bo ma ubrudzone spodnie, zarost. Nie wygląda podejrzanie – tłumaczył na język angielski rumuński oficer łącznikowy SRI – Serviciul Român de Informații – słowa dowodzącego akcją. Łodyna i Montana milczeli i wpatrywali się w monitor.

– Myślicie, że Rosjanie to idioci!? Znają się na swojej robocie. A w czym mają tu paradować?! W papachach i walonkach czy w garniturach od Hugo Bossa?! – rzucił poirytowany Łodyna. – Tom! Kate jest gotowa, żeby zabezpieczyć z ekipą wszystko to, co pozostanie po akcji? Rozumiem, że dogadane z miejscowymi.

Montana pokiwał głową.

W wozie dowodzenia operacjami antyterrorystycznymi wszyscy w ciszy wpatrywali się w ekrany monitorów z obrazem z zakamuflowanych kamer rozstawionych w kilka minut ad hoc w różnych miejscach na cmentarzu.

– Tak, rozumiem. Przyjąłem – powiedział dowodzący operacją oficer z Brigada Antiterorista. – Wyszedł z grobowca, prawie przy samym murze

zewnątrznym. Dobra lokalizacja. Mogli tam spokojnie wchodzić od strony parku i skarpy. Czekamy – dodał do siedzących obok funkcjonariuszy SRI.

– To on! Ja go, kurwa, pamiętam! Już mnie kiedyś odwiedził! – krzyknął Łodyna.

– Jest pan pewny?! – zapytał dowódca.

Tom i łącznik popatrzyli na Polaka. Zapadła grobowa cisza.

– Tak!

– Masz dobre oko i pamięć – szepnął Montana, nachylając się lekko do Polaka.

– Za ile możecie być pod grobowcem? – zapytał przez radio dowodzący. – Okej. Jak grabarz wyjdzie na zewnątrz, to wy wchodzicie do grobowca. Dwójka! Zwijacie go zaraz za bramą, gdy wyjdzie na ulicę. Pamiętajcie, że naprzeciwko jest stacja benzynowa OMV i butle z gazem. Wszystko jasne?! Teraz cisza w eterze! – rzucił.

Wewnątrz wozu dowodzenia wyczuwalne było napięcie. Łodyna czuł silny ucisk w żołądku. Każdy zdawał sobie sprawę, że stawka jest wysoka.

* * *

Niewielki zabytkowy budynek cmentarny otoczyło kilkunastu funkcjonariuszy jednostki antyterrorystycznej SRI, którzy do tego momentu ukrywali się w pobliżu między zabytkowymi pomnikami grobów. Po chwili stare drzwi grobowca wyrwały z zawiasów dwa gwałtowne wybuchy. Kute wrota odleciały kilka metrów i upadły z łoskotem na cmentarną alejkę. Granaty hukowe i dymne wpadły do środka. Nastąpiło kilka nieco przytłumionych eksplozji. Przez otwór wejściowy i niewielkie boczne okienka zaczął wydobywać się gęsty biały dym. W tym samym czasie do grobowca wbiegło trzech antyterrorystów. Dźwięk kilku dubletów z karabinków zakończył akcję wewnątrz. Wszystko trwało zaledwie kilkanaście sekund. W tym samym czasie w bramie został śmiertelnie postrzelony Andriej. W dłoni wciąż ścisnął swojego stieczkina, z którego na Kaukazie zabił kilku Czeczenów. Jego gęsta krew zaczęła spływać powoli po

białej ścianie budynku z cmentarną bramą. Jeden z antyterrorystów zabrał mu pistolet. Sygnał karetek pogotowia był coraz głośniejszy.

– Tak, drugą dawać pod grobowiec. Tak, niech wjedzie na koniec głównej alejki. Przepuścić czarnego SUV-a. Niczego nie ruszać. *Curva*, to rozkaz! Zwijać się! RTB! – krzyczał przez radio dowodzący akcją, nakazując powrót do bazy.

Łodyna i Montana w obstawie dwóch członków Grupy Operacji Specjalnych CIA wyskoczyli z chevroleta i pobiegli do grobowca. Pierwszy do środka wbiegł Łodyna. Precyzyjnie się wąskim przejściem. Zbiegł w dół po stromych kamiennych schodkach. Nerwowo omiół światłem latarki wnętrze grobowca, szukając koleżanki. Gdy skierował promień w narożnik, zobaczył kilka przed chwilą rozbitych urn z prochami skremowanych zmarłych. Wysypał się z nich szary pył, który falował w powietrzu w promieniu ostrego, zimnego światła. Łodyna ujrzał siedzącą, zmalretowaną i popłakującą Sierpecką. Podbiegł do niej, potykając się o ciało zastrzelonego mężczyzny. W czasie akcji Sierpecka intuicyjnie, na tyle, na ile pozwalała jej linka, przesunęła się w narożnik grobowca.

– To ja, Madziu, to ja. Wszystko w porządku?! – mówił i po omacku szukał jej skrępowanych rąk.

Wyjął swojego spyderco i delikatnie zaczął ciąć taśmę. Odciął również linkę mocującą jej nogi do ściany. Złapał ją pod rękę i pomógł wstać. Pogłaskał po głowie. Zaczął sprawdzać, czy nie ma jakichś ran, złamań. Wydawało mu się, że wszystko jest w porządku. Sierpecka wstała. Przez moment popatrzyła na mężczyznę siedzącego na kamiennej posadzce grobowca i opartego o półkę z trumnami. Łodyna okrył ją swoją granatową marynarką, wyprowadził z grobowca i przeprowadził szybko do SUV-a.

– Śmierdę, Marcin – powiedziała Magda po wypiciu całej butelki wody podanej przez Kate.

– Żyjesz. W dupie ze smrodem. Jedziemy do szpitala?

– Nie. Wszystko w porządku. Chcę jechać się wykapać, spać... Estończyk.

– Co. Magda, o co chodzi?

– On tu był...

Urwała i opadła bez sił na ramię Łodyny.

– Kate. Wszystkie jej rzeczy przeniosę do hotelu Intercontinental. Zawieźcie nas tam. Rozumiem, że obstawa jest na miejscu?

Kate pokiwała głową.

– Ja się nią zajmę, a wy bierzcie tych dwóch. Może coś ciekawego przy nich znajdziecie. Może jest coś w ich telefonach. Nie zapomnijcie zdjąć odcisków palców. *End the mission, security comes.* – Uśmiechnął się do Kate.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki, którą miała na sobie Magda, złożoną na pół jasnobrązową kopertę. Wręczył ją Kate.

– Ja też dotrzymuję słowa.

* * *

Kapitan Wiktor Fiedotow wyszedł spokojnym krokiem ze stacji metra Eroj Revolutiej. Chciał się skierować w stronę stacji benzynowej OMV, gdzie miał się spotkać z Andriejem. Jednak już z daleka dostrzegł niebieskie światła karetek pogotowia i policyjnych radiowozów.

– *Bliad* – zaklął pod nosem i szybko zawrócił. Wybrał numery Andrieja, a potem Iwana. Nie odpowiadały. Nie miał wątpliwości, co się stało. – No i chuj – dodał i splunął.

Do spotkania z przełożonym miał jeszcze dwie godziny. Wyjął smartfona z ukraińską kartą SIM. Wybrał numer oficera kierującego akcją w Kiszyniowie, Konstancji i Bukareszcie. Od hotelu Palatul Suter, gdzie zatrzymał się pułkownik Walerij Aleksandrow, dzieliło go pół godziny spacerkiem.

Rozdział 29

Kiszyniów (Mołdawia), Żyrardów (Polska),
Bukareszt (Rumunia) – wiosna 2014

Ambasada Ukrainy w Kiszyniowie mieściła się przy ulicy Vasile Lupu 17 w czteropiętrowym budynku przykrytym spadzistym dachem z brązowych dachówek. Do hotelu Cosmos Burdenko miał pieszo ponad cztery kilometry. Obliczył, że pokonując trasę sprawdzeniową z kilkoma mocnymi punktami maskującymi i kontrolnymi, zajmie mu to dwie godziny. Przez całą drogę był dość zdenerwowany. Zaniepokoiła go rozmowa telefoniczna, jaką odbył trzy godziny wcześniej z nieznanym mężczyzną mówiącym płynnie po rumuńsku, ale z amerykańskim akcentem. Mężczyzna powołał się na znajomość z Magdą Sierpecką z rumuńskiej firmy spedycyjnej i poprosił o bardzo pilne spotkanie. Burdenko był przekonany, że musiało się coś z nią stać, skoro nie przyszła na spotkanie i nie odbierała od niego telefonów.

Burdenko spojrział na granitowy, lekko różowy pomnik rosyjskiego i radzieckiego kawalerzysty, generała Grigorija Kotowskiego. Mierziło go to nawiązywanie i podtrzymywanie radzieckiej historii w Mołdawii. Raziło go to już wtedy, kiedy przyjeżdżał na praktyki językowe z Wydziału Filologii Romańskiej Uniwersytetu Iwana Franki we Lwowie. A najbardziej właśnie postać tego *sowietskiego gieroja*, który brał udział w likwidacji jednostek wiernych carowi, a potem uczestniczył w wojnie z Polską w 1920 roku. Jak przystało na realia Kraju Rad, został zastrzelony w niewyjaśnionych okolicznościach.

Na tle pomnika sterczał ponaddziesięcioletni, kiedyś zapewne o białej, a teraz szarej fasadzie, budynek hotelu Cosmos. Wszedł do lobby. Zatrzymał się za rozsuwanymi szklanymi drzwiami, na żółtej wykładzinie, na wysokości granatowego logo hotelu. Z brązowego, głębokiego fotela machnął do niego dłonią i podniósł się mężczyzna z krótką czarną brodą. W zasadzie nie wyróżniał się niczym szczególnym. Można było powiedzieć, że wygląda na przeciętnego Mołdawianina. Ukraińiec przywitał się i usiadł naprzeciwko w skajowym, mocno zużyтым fotelu.

– Pan Stanisław Burdenko? – zapytał dla pewności mężczyzna.

– Tak.

– Nazywam się Edd Consantinescu. Pracuję w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Kiszyniowie.

– Stąd pana akcent.

– Tak. Moi dziadkowie pochodzą z Bukaresztu. Jeszcze przed wojną wyemigrowali za ocean. Ale do rzeczy, panie Stanisławie. To chyba polskie imię?

– Tak. Moja rodzina jest mieszana. Dziadkowie ze strony ojca byli Polakami i pochodzili z okolic Poczajowa i Krzemieńca na wschód od Lwowa, a ze strony mamy byli Ukraińcami z Połtawy.

– To bardzo dobrze się składa. Bo mam pytanie o naszą wspólną znajomą z Polski, Magdę Sierpecką. Zanim pan odpowie, coś wyjaśnię... ona została porwana. A ja wiem, że była z panem umówiona blisko miejsca, skąd ją uprowadzono – wycedził powoli Amerykanin, nie mówiąc, że udało się ją już odbić. – Sprawa jest bardzo poważna. Rozumie pan. Ujawnienie tej okoliczności może skończyć się dla pana co najmniej skandalem – dodał.

Burdence krew napłynęła do twarzy. Oparł się mocniej o fotel. Uciekał wzrokiem, jakby czegoś szukał. Przygryzł wargi. Milczał. Edd, widząc to, kontynuował:

– Ale proszę się nie denerwować. O tym wiemy tylko my. Oczekujemy jedynie współpracy przy odnalezieniu porwanej.

– My, czyli kto? A właściwie dlaczego interesuje was ta Polka?

– Panie Stanislawie, a właściwie panie kapitanie Służby Wniesznej Razwiedki Ukrainy. My, czyli Centralna Agencja Wywiadowcza. A dlaczego? To pana, jako eksperta od Naddniestrza i całego regionu, akurat nie powinno dziwić. Mamy tu z naszymi sojusznikami wspólne interesy. To oczywiste. Prawda?

– Nie dziwi mnie to.

– Ponieważ sprawa jest pilna, to jeszcze coś panu powiem. Bardzo nam zależy, żeby na Ukrainie nie było rosyjskiej agentury na taką skalę. A zwłaszcza u was w siłach zbrojnych, służbach specjalnych i w ministerstwach. Widzi pan. My też mamy wspólne interesy – dodał. – Może się pan czegoś napije? – zaproponował. – Zapraszam do baru. Przy recepcji kręci się za dużo ludzi.

Podeszli do baru i usiedli na wysokich stołkach. Edd zamówił dwie whisky z lodem.

– Za spotkanie.

Burdenko popatrzył uważnie na Amerykanina i jakby zawahał się przed wypiciem alkoholu. Edd to zauważył.

– Proszę się nie obawiać. My nie Rosjanie, niczego do drinków naszym... rozmówcom nie dosypujemy. – Uśmiechnął się do Ukraińca. – Edd jestem.

– Stanislaw. – Stuknęli się szklankami.

– To opowiedz mi, proszę, jak to było z tą Polką. *Inčã două whisky vă rog* – rzucił do barmana.

– Wczoraj wczesnie rano zadzwonił do mnie mój znajomy, pułkownik Onyszkewycz – zaczął powoli Burdenko, jakby zbierał myśli.

– A skąd on wiedział, że jesteś w Bukareszcie?

– To nie była w ambasadzie żadna tajemnica. Wziąłem kilka dni urlopu. Mógł to ustalić sam albo przez jakiegoś pracownika placówki. Znałem go od kilku lat. Kiedyś pełnił służbę w naszej kijowskiej Centrali. Potem oddelegowano go do zarządu jakiejś dużej firmy spedycji morskiej w Odessie. Prosił, aby umówić nas na spotkanie z panią Magdą.

– Przy cukierni na Strada Academiei? Nie dziwiło cię, że taka forma zaproszenia i takie miejsce? Duże pieniądze ci obiecał za kontakt z tą Polką?

– Skąd wiesz, że obiecał mi pieniądze?

– Bo o co innego by chodziło? Nie szkolili was w tej akademii SWRU? – Edd nieco się uniósł, ale po chwili pokiwał głową z politowaniem i wypił drinka jednym haustem. – *Incă două whisky vă rog* – rzucił ponownie do barmana. – Dobra, zresztą to teraz nieistotne. I co dalej?

– Zadzwoń do pani Magdy i poproś o spotkanie. To wszystko.

– Nie zaniepokoiłeś się, że ona nie przyszła i ten Onyszkewycz też nie dotarł?

– Trochę. Ale komórka mi się rozładowała. Wiesz, trochę już jest wiekowa i nie...

– Pierdolicie, kapitanie. Obleciał cię strach i wiedziałeś, że popełniłeś błąd.

– Niezupełnie. Z komórką to prawda. Rzeczywiście mi się rozładowała. Gdy podładowałem ją w samochodzie, a pani Magda kilkakrotnie nie odbierała połączenia, coś mnie tknęło. Skontaktowałem się z kolegą z naszej Centrali. No i on mi powiedział, że Onyszkewycz niedawno, już po Majdanie, zdradził czy zdezerterował. Okazało się, że pracuje dla Rosjan. Teraz podobno przebywa w Sewastopolu na Krymie. Nie wiedziałem o tym.

– Oj, Stanisław, Stanisław...

– Wiem. Wystawiłem ją. Dałem się podejść jak uczniak... – Na twarzy ukraińskiego oficera pojawił się rumieniec.

– To prawda.

– I co teraz będzie?

– Zobaczymy, Stanisław. Zobaczymy. Tymczasem mam do ciebie inną sprawę.

* * *

– Marcin! Jest natychmiastówka do ciebie! – krzyknął szyfrant przez uchylone drzwi pokoju.

Łodyna właśnie wrócił z hotelu Intercontinental, gdzie spotkał się z Magdą oraz Kate i Montaną. Przy wspólnym śniadaniu Amerykanie zrelacjonowali rozmowę ich oficera z Burdenką w Kiszyniowie. Poinformowali Łodynę i Sierpecką, że poprzez Edda mają kontakt z Ukraińcem. Ale poprosili, aby Polacy zachowali tę informację dla siebie.

Minął dzień od akcji na cmentarzu Bellu. Sierpecka szybko doszła do siebie. Łodyna nie pozwolił, żeby od razu wróciła do Polski. Chciał, żeby dopięła sprawy, które mogły się pojawić po jej porwaniu i strzelaninie na cmentarzu. Wiedział, że wszelkie ustalenia z Amerykanami będą łatwiejsze, jak załatwią je na miejscu. Poza potwierdzeniem fałszywego wywołania spotkania Magda niewiele wniosła do wyjaśnienia sprawy. Natomiast szybka analiza materiału z zabezpieczonych telefonów i laptopa oraz danych biometrycznych porywaczy wskazała, że jeden z nich był Czeczenem, byłym funkcjonariuszem ochrony prezydenta Kadyrowa. Pełnej tożsamości drugiego nie ustalono. Potwierdzono jedynie, że obaj w przeszłości pracowali dla Oddziału Realizacji Zadań Specjalnych GRU, a potem podjęli służbę w SWR. Kate otrzymała też informację, że na ich ślady natrafiono również w Szwajcarii. Obaj zabici na cmentarzu wiązani byli z próbą wykradzenia danych z laboratorium Światowej Agencji Antydopingowej. Montana i Kate zdążyli też wymienić parę słów z Łodyną na temat więzień CIA w Rumunii oraz w Polsce i na Litwie. O tym donosiły wszystkie media.

Idąc do punktu łączności, Marcin myślał o wieczornej rozmowie telefonicznej z Kleinerem, któremu dziękował za pomoc. „Aleksowi podziękuję osobiście. Jak zdążę, to jeszcze dzisiaj może podejść do pana Romka. A oficjałki do SRI i SIE niech śle Centrala”. Łodyna otworzył laptopa i zaczął czytać informację z Warszawy podpisaną przez szefa Agencji Wywiadu:

...W związku z rozwojem sytuacji i kwestiami Pańskiego bezpieczeństwa, a także bezpieczeństwa realizowanych zadań przez Agencję Wywiadu na podległym Panu operacyjnie terenie odwołuję Pana z zajmowanego dotychczas stanowiska. Termin powrotu określam na siedem dni. Obowiązki kierownika

rezydentury przekazuje Pan następcy. O terminie jego przyjazdu do Bukaresztu poinformujemy niebawem w oddzielnej korespondencji.

Łodyna wcisnął się głęboko w obrotowy fotel. „Kurwa, czego on ode mnie chce?” Z szafy pancерnej wyjął zieloną butelkę dwunastoletniego Glenfiddicha i postawił na biurku. Wybrał numer kierownika administracyjnego placówki.

– Artur? Jesteś już po pracy? Wpadnij do mnie z lodem. Weź dwie szklanki. Wszystko opowiem u mnie. Tak, mam parę spraw do ciebie – powiedział spokojnie.

* * *

Droga z ambasady polskiej w Bukareszcie do Aeroportul Internațional Henri Coandă zajęła Łodynie prawie godzinę. Gdy jego toyota minęła terminal przykryty półkolistymi dachami i wjeżdżała na parking, poczuł w kieszeni wibrację smartfona. Odczytał wiadomość: *Popołudniowy samolot LOT-u do Warszawy będzie punktualnie. Spokojnego lotu. Artur.*

Z bagażnika wyjął wózek i jedną dużą torbę.

– Nie martw się, Ewa. Wszystko jutro zapakuję do samochodu. Złożę tylne siedzenia. Wszystko wejdzie. A jak nie, to reszta pójdzie na dach. Dobrze, że zabierzesz wózek Michała, bo on zajmował najwięcej miejsca.

– Proszę cię. Uważaj, jak będziesz jechać do Polski. Nie spiesz się. Zdecydowałeś którądy?

– Tak. Pojadę przez Ukrainę, żeby się po Karpatach nie ciągnąć. Wiesz, jakie mają tu drogi. Czerniowce, Kołomyja, Lwów i granica polska – wyjaśnił Ewie. –

Pamiętaj, będzie czekał na ciebie na Okęciu imiennik naszego syna, zapewne w jakiejś fioletowej koszulce w serek. Wiesz który? – dodał.

– Przecież jego rodzinie mieszkają obok nas.

Z dzieckiem w wózku weszli do obskurnego terminalu. Z daleka dostrzegli nad stanowiskiem napis *check-in Varşovia*. Podeszli. Nadali wózek. Ewa poprawiła trzymanego na biodrze Michała, a Łodyna zarzucił jej na ramię torbę. Pożegnali się przy stanowisku ochrony.

– Zadzwoń, jak będziecie siedzieli w samolocie. I daj znać, gdy wylądujecie!
– krzyknął jeszcze, a Ewa przesłała mu całusa.

* * *

Pięćdziesięciolatek z krótkimi wąsami i przerzedzonym jasnym jeżem wziął do ręki jednorazową chusteczkę. Wytarł usta zabrudzone wymiocinami. Przygładził delikatnie włosy, sprawdził, czy nie otrzymał informacji. Po kilkunastu minutach siedział już przed rozgrzanym kominkiem w salonie. Był zadowolony. Przed chwilą przekazał informację oficerowi prowadzącemu z moskiewskiej Centrali SWR.

...wymieniona w waszym ostatnim zadaniu osoba będzie jechać pojutrze do Lwowa. Planowany wyjazd w godzinach porannych. Ma się zatrzymać w hotelu George. Informacja potwierdzona, jednoźródłowa. Surfer.

Wziął do ust kilka tabletek przygotowanych przed wyjściem przez jego żonę, która pojechała na zakupy do centrum Żyrardowa. Popił je wodą. Położył się na kanapie i patrzył na wiszącą nad nim lampę. W tej pozycji najmniej doskwierał mu ból.

Od niechcenia spojrzął na telewizor, który miał przyciszony dźwięk. Rosija 1 nadawała relację z Ukrainy, z której wynikało, że po niedawnym referendum Rosjanie już w pełni kontrolowali Krym. Dziennikarz opowiadał o włączeniu tego regionu w struktury Federacji Rosyjskiej. Druga relacja dotyczyła Donbasu. Przysnął na chwilę. Nagle obudziły go jakieś dźwięki płynące z telewizora. Rosjanie pokazywali materiał z zachodniej Ukrainy, gdzie odbywały się demonstracje zwolenników nowego rządu. Ochotnicy wstępowali do wojska. Niektórzy z nich prócz niebiesko-żółtych kokard nosili czerwono-czarne wstążeczki, które, jak podkreślał narrator w materiale filmowym, wprost nawiązywały do wojennej faszystowskiej symboliki OUN. W pewnym momencie pokazano przejście graniczne z Polską. W pobliżu na trasie z Medyki do Lwowa odbywały się protesty. Demonstrowały matki powoływanych do wojska. Nie chciały wysyłać swoich synów na wojnę. Mężczyzna poczuł, że ból

brzucha minął. Przymknął oczy i znów zasnął. Nie słyszał wchodzącej z zakupami żony.

Rozdział 30

Seret (Rumunia), Lwów (Ukraina) – wiosna 2014

Po siedmiu godzinach jazdy Łodyna zatrzymał toyotę za Seretem. Postanowił zatankować samochód jeszcze w Rumuni. Po chwili minął po prawej stronie biały budynek hotelu ze spadzistym czerwonym dachem. Pojawiły się tablice informujące o zbliżającej się granicy z Ukrainą. Zjechał na prawy pas. Trzymał się blisko terminalu granicznego z lewej strony. Na krawędzi dachu budynku widniała biało-niebieska tablica z napisem *CD*. Kontrola przebiegła sprawnie. Paszport dyplomatyczny umożliwił szybki przejazd. Po chwili był po stronie ukraińskiej.

Do Lwowa zostało mu ponad trzysta kilometrów. Minęła dopiero szósta. Początkowo miał zamiar ruszyć wcześniej rano, co było uzgodnione z szefem placówki. Jednak zdecydował, że z punktu widzenia bezpieczeństwa wyjedzie jeszcze wieczorem. Całą drogę do granicy zastanawiał się nad tym, co się wydarzyło w ostatnich dniach. Gdzie zostały popełnione błędy? Czy można było im zapobiec? Jak to możliwe, że przeciwnik zdołał wyprzedzić ich ruchy?

Żałował jedynie, że nie mógł się pożegnać z Romanem Srebrnym, który trafił do szpitala uniwersyteckiego na oddział anestezjologii i intensywnej terapii. Pojechali nawet z jego wnuczką i Aleksem na Bulevardul Mărăști, ale lekarz dyżurny poinformował, że pacjent jest nieprzytomny i w ciężkim stanie. Łodyna, stojąc za szybą z napisem *Sectie Clinica Anestezie Terapie Intensiva* i patrząc na podłączonego do respiratora oficera izraelskiego wywiadu, uzmysłowił sobie, że była to ostatnia operacja specjalna staruszka.

Jak to często bywało w ostatnich latach w AW, Centrala nie zdążyła wyznaczyć jego następcy. Takie sytuacje zdarzały się wcześniej wielokrotnie. W delegację wysłana została Ela, która kiedyś była łącznikiem w Bukareszcie. Przejęła od Łodyny jego obowiązki. Na jej barki spaść miało przygotowanie wizyty Czuchy, który miał odznaczyć oficerów SIE i SRI za znalezienie i odbicie porwanej Magdy Sierpeckiej. Z Alekssem i Amerykanami ustalił, że o ich zaangażowaniu mieli wiedzieć wyłącznie Łodyna i Sierpecka. Dwójka polskich oficerów zdawała sobie sprawę, że zarówno Mosad, jak i CIA za dużo mają do stracenia. Obie służby nie chciały narażać swoich operacji wywiadowczych w tym regionie na możliwość dekonspiracji.

Łodyna zastanawiał się nad tym, jak Kate i Montana załatwią sprawę z M-listą. Obiecali mu, że operacyjnie wykreują sytuację, w której Rosjanie uzyskają informację, że lista jest już w rękach Amerykanów. To miało zdjąć z Marcina, jego bliskich i Magdy jakiegokolwiek podejrzenia i potencjalne zagrożenia ze strony Moskwy. Trzy dni wcześniej, kiedy razem odwozili Sierpecką na lotnisko, przypomniał im, żeby sprawę M-listy potraktowali priorytetowo. Czas grał olbrzymią rolę. Kate obiecała, że będzie to kwestia najwyżej kilkunastu dni. Miała się tym zająć w Genewie.

Po rozmowie ze Srebrnym i przejrzeniu dokumentów, które od niego otrzymał, Łodyna myślał już tylko o materiałach, które miał odnaleźć w Wenezueli. Mimo że Amerykanie niczego jeszcze nie sprawdzili, intuicja podpowiadała mu, że zawartość walizek znalazła się już w rękach Rosjan. Jeśli się nie mylił, było więcej niż pewne, że Rosjanie wykorzystają je w wojnie informacyjnej przeciwko Polsce. „Kiedy uderzą?” – myślał, mijając Czerniowce i okolice Kołomyi.

Do Lwowa wjechał od wschodu. Droga H02 prowadziła przez rejon Łyczakowski. Minął po lewej stronie park. Wiedział, że dalej kryją się cmentarze: Łyczakowski i Orląt Lwowskich. Miał jeszcze około dwóch kilometrów do hotelu. Okrążył plac Mickiewicza i podjechał pod hotel George. Zawsze chciał się zatrzymać w tym eleganckim, chociaż teraz nieco

zaniedbanym zabytku z czasów monarchii austro-węgierskiej. Jego różowe, nieco wypłowiałe ściany i szare, kiedyś zapewne białe, zdobione wykończenia wokół okien, balkonów i balustrad przypominały o dawnej świetności. Niektóre ze skrzydeł i framug okiennych były wypaczone i odpadały z nich resztki białej farby. Zaparkował samochód pod skosem, na przyległej uliczce. Zabrał z sobą tylko czarny plecak.

Jasna posadzka, secesyjne elementy wnętrza, przestrzeń i szerokie schody robiły wrażenie. Podszedł do drewnianego kontuaru recepcji, za którym stała uśmiechnięta, młoda, drobna dziewczyna. Okrągły zegar na grawerowanej metalowej płycie wskazywał czternastą. Przy wejściu kręcił się ochroniarz w kamizelce kuloodpornej i z pistoletem przy pasie. Łodyna spodziewał się, że wbrew wskazaniom GPS-u, ze względu na słaby stan techniczny ukraińskich dróg, będzie jechać dłużej. Załatwił wszelkie formalności i poszedł do swojego pokoju. Najbardziej zależało mu na dużym łóżku, na którym mógł się w końcu wyspać. Rzucił się na nie ciężko i przez duże okno zobaczył pomnik Mickiewicza. Napisał na WhatsAppie wiadomość do Ewy, że jest już na miejscu i w tym hotelu, gdzie planował. „Czyje duchy mogły spacerować po schodach tego budynku: Casanovy, szacha perskiego, Balzaca, Piłsudskiego czy Gagarina. A kto mógł mieszkać w tym pokoju, pić szampana, kochać się?” – zastanawiał się, zanim zasnął.

Po godzinie Łodynę zbudził sygnał w smartfonie, w aplikacji WhatsApp. „Alex? Dziwne” – pomyślał, patrząc na wyświetlacz.

– Dzień dobry. Co się stało?

– Dzień dobry, panie Marcinie. Mam informację, która pana zainteresuje.

– Tak. Słucham.

– Pamięta pan, że w akcji w pasażu angielskim brało udział trzech ludzi. Dwóch zostało wyeliminowanych. Pozostał jeden, zapewne kierujący przedsięwzięciem.

– Tak. Jakby rozpląnął się albo został uprzedzony. Cholera wie.

– Niezupełnie. Po akcji na cmentarzu nasi namierzyli w bezpośrednim rejonie faceta z pasażu angielskiego. Ruszyli za nim. Po półgodzinie doprowadził nas do hotelu Palatul Suter. Tam w lobby z kimś się spotkał. Chyba z Rosjaninem, rozmawiali płynnie po rosyjsku.

– Macie ich zdjęcia?

– Tak. Mamy obu. Wyślę je zaraz. Ale to nie wszystko. Z hotelu pojechał w rejon lotniska białą skodą kodiaq. Okazało się, że wynajął willę o nazwie... Charming Apartment. Samochód jest z pobliskiej wypożyczalni Sixt. Tej samej, gdzie wynajęto peugeota partnera.

– Czy to pewne?

– Tak. Sprawdziliśmy. Skodę wypożyczył na nazwisko Naryszkin.

– Jak nazwisko? Naryszkin?

– Tak, a co?

– Nic. Proszę, mów dalej.

– Obywatel Ukrainy. Udało nam się podrzucić do jego skody nadajnik GPS. I teraz najważniejsze. W dniu pana wyjazdu z Bukaresztu, nad ranem, a w zasadzie jeszcze w nocy, ten Naryszkin przyjechał do hotelu Palatul Suter. Był razem z tym, z którym się wcześniej spotkał. W pośpiechu ruszyli do Konstancy. Po drodze, przed obwodnicą, zatrzymali się tylko raz na stacji MOL, żeby zatankować. Po dwóch godzinach byli już w niedużym nadmorskim pensjonacie przy bulwarze Regina Elisabeta. Mamy stamtąd potwierdzenie.

– Chwileczkę. Zanotuję wszystko... – powiedział Łodyna. – Tak, słucham dalej – dodał po dłuższej chwili.

– To w zasadzie tyle w tej sprawie. Skoro oni są w Konstancy, a pana tam nie ma, to jest pan bezpieczny.

– Na to wychodzi. Tak, nie ma mnie w Konstancy.

– Ale mam jeszcze bardzo smutną wiadomość. Dzisiaj nad ranem w szpitalu uniwersyteckim zmarł *monsieur* Roman Srebrny. Niestety, przykro mi. Niech się pan trzyma.

– Pan też.

Łodyna rozłączył się i położył na łóżku. Jego myśli uciekły do niedawnej rozmowy ze Srebrnym. „To jednak była jego ostatnia operacja wywiadowcza w życiu. Może właśnie na taki koniec czekał? Ciekawe, co tam u Kleinera?” Po paru minutach na smartfonie pojawiła się wiadomość z załącznikami od Alexa. Otworzył je. Na przesłanych zdjęciach Łodyna rozpoznał dwóch mężczyzn. Doskonale ich znał.

Przed wyjściem na miasto Łodyna postanowił wziąć prysznic. Idąc do łazienki, usłyszał dźwięk dzwonka, ale nie w smartfonie, tylko w samsungu z bułgarską kartą SIM. Na małym wyświetlaczu pojawiła się litera *M*.

– Cześć, Tom! Nie spodziewałem się ciebie! Coś się stało?

– Stało. Jesteś we Lwowie?

– Tak. Tak jak ci mówiłem. Zatrzymałem się w hotelu George. Myślę, że zabawię tu ze dwa dni.

– Dostałem właśnie informację od Daniela Petrescu. Znacie się?

– Tak.

– Dzisiaj w południe nasi znajomi z Margarity, Aleksandrow i Fiedotow, przekroczyli granicę rumuńsko-ukraińską w Serecie. Poruszali się volkswagenem passatem koloru brązowy metalic na rosyjskich numerach rejestracyjnych.

– To niemożliwe! Oni są... gdzie indziej. W Konstancy!

– To pewna informacja. Wewnętrzni zgodnie z ustaleniami przytrzymali ich trochę na granicy. Ruszyła przed nimi wyprzedzająco jedna sekcja obserwacji, ale nie ciągnęli ich dalej. Odpuścili przed Kołomyją.

– To niemożliwe...

– O czym ty mówisz?! Marcin, oni zasuważą do ciebie do Lwowa!

– Myślę o takiej sztuczce, którą ich zieloni stosują od lat.

– Posłuchaj. Mamy jednak w całej tej sytuacji trochę szczęścia. W Poczajowie koło Krzemieńca, to takie miasteczko około siedemdziesięciu kilometrów na wschód od Lwowa, jest twój dobry znajomy, Edd. Ma się tam spotkać z tym

młodym z Kiszyniowa, co go Magda nam wystawiła. On pojechał na krótki urlop do domu. Jest niedaleko, u rodziny...

– Tom, mówi ci coś nazwisko Naryszkin? – Łodyna nagle przerwał rozmówcy.

– Skąd znasz to nazwisko?!

– Znasz czy nie? Proste pytanie, Tom!

– *Fuck*. Znam. To legalizacyjne nazwisko... Fiedotowa. Pod takim występował w Danii przy sprawie Sørensen.

– No to całość się zamyka...

– Słuchaj. Nigdzie nie wychodź. Czekał na telefon od Edda. On już jedzie. Będzie się z tobą kontaktować pod tym numerem. Rozumiesz?

– Rozumiem. Tylko skąd oni wiedzą, że jestem we Lwowie?!

– Marcin, mówiłeś komuś poza nami, gdzie się zatrzymasz?

– Tak. Tylko Ewie. Ale ona to wie od kilku dni.

– Jesteś jej pewny?!

– Kurwa, Tom, pojebało cię?!

– Jeśli wiedzą, że jesteś w tym hotelu, to sam sobie odpowiedz na to pytanie.

Uważaj na siebie.

– *Copy* – rzucił Łodyna do słuchawki i się rozłączył.

Stojąc na środku pokoju w białym szlafroku, zastanawiał się, co ma teraz zrobić. Wziął do ręki smartfona. Spojrzał na błyszczący w słońcu pomnik Mickiewicza, a potem na aplikację z mapą Rumunii. Przybliżył ją i kliknął na *Street View*. Przekręcił ujęcie. Zastanowił się chwilę, po czym wybrał numer Alexa.

– Alex?

– Co się stało?

– Muszę pana rozczarować. Ci dwaj panowie z hotelu Palatul Suter pograli z wami i potraktowali was jak wioskowego *duraka*.

– Nie bardzo rozumiem...

– Oni są teraz na zachodniej Ukrainie. To pewne.

– Niemożliwe. Siedzimy w Konstancy i mamy ich na oku.

– Alex, niech pan posłucha. Mówił mi pan o stacji MOL, na której się zatrzymali. Jak macie dojście do miejscowych, to niech załatwią wam nagranie z monitoringu. Szukajcie brązowego volkswagena passata na rosyjskich numerach. Według mnie oni tam zrobili w martwym polu podmiankę. Do białej skody wsiedli podobni, tak samo ubrani, ale już inni mężczyźni. A ci z Palatul Suter pojechali na Buzau i do granicy w Serecie.

– Jest pan tego pewien?

– Raczej tak. Już kiedyś zaobserwowałem u nich podobne zachowanie. Też zrobili nas w... wała. Ale za to wiemy, kim są.

– *Kusemek!* Przepraszam. Pieprzone kozaki. Podeśle nam pan informację o nich?

– Tak. Sprawa jest poważna i najlepiej będzie, jak tym razem przekażę informacje przez waszego łącznika w Warszawie. Proszę go uprzedzić. Aha. Z całą pewnością za operację w Bukareszcie odpowiada SWR. No i wychodzi na to, że w Konstancy to też ich działania. Wiem, kim jest ten wasz Naryszkin.

– W porządku. Tylko bez żadnych szczegółów, poza ich danymi. Pamiętaj pan nasze ustalenia?

– Tak. Proszę dać znać, jak potwierdzicie moje przypuszczenia. Będziecie mieli materiał szkoleniowy.

Rozdział 31

Lwów (Ukraina) – wiosna 2014

Brązowy passat, już na ukraińskich numerach rejestracyjnych, zatrzymał się w centrum Lwowa przy ulicy Iwana Franki.

– Klucze do biura są w schowku w samochodzie. Dołączona jest do nich koperta, a w niej kartka z systemem aktualnych zabezpieczeń, hasłem i loginem do tabletu oraz kodem dostępowym do systemu – powiedział Aleksandrow do Fiedotowa. – Aha, nie zapomnij o odbiorze i wysłaniu maili. Adresatów i treści też masz w kopercie. Resztę znasz – rzucił już w otwartych drzwiach.

– Tak jest, *komandir* – odpowiedział krótko.

Aleksandrow trzymał w ręku niedużą torbę. Profilaktycznie ruszył na krótką, ponadgodzinną improwizowaną trasę sprawdzeniową. Z kolei prowadzący samochód kapitan Fiedotow skierował się w stronę ulicy Chmielnickiego. Po chwili szukania miejsca zaparkował pojazd. Rozejrzał się, ale nic podejrzanego nie zauważył. Czuł się pewnie. Zmęczenie jednak dawało mu w kość. Musiał odpocząć. Było już późne popołudnie. Warunki na rumuńskich i ukraińskich drogach nie pozwoliły na szybką jazdę. Fiedotow wciąż się zastanawiał, dlaczego tak długo kontrolowano ich na przejściu granicznym. „Ale przecież niezbyt dokładnie” – doszedł do wniosku. Musiał jeszcze sprawdzić pewne miejsce w drodze do niewielkiego hoteliku. Kapitan lubił takie klimatyczne miejsca. W przeciwieństwie do Aleksandrowa, który zatrzymał się w Grand Hotelu przy Prospekcie Svobody, oddalonym od niego jakieś dziesięć minut jazdy samochodem. Ale również trzysta metrów od hotelu George, o czym

Fiedotow nie wiedział, a co było właśnie powodem wyboru przez Aleksandrowa akurat tego miejsca.

Fiedotow przekręcił klucz w brązowych, metalowych, nieco odrapanych drzwiach. Popchnął je. Brama, w której osadzono drzwi, pamiętała jeszcze czasy przedwojenne. Budynek ze swoimi strzelistymi wieżyczkami i wysokimi wąskimi oknami wyglądał jak neogotycki pałac. Gdzieś spód odpadającego całymi kawałami tynku wystawał mur z czerwonej cegły. Przypominał włoskie *palazzo*. Przez wiele lat znajdowała się tam jedna z wielu w tym rejonie Lwowa fabryka wódek i likierów Józefa Kronika, jednego ze znaczących producentów alkoholi w Galicji. Po wojnie, gdy Lwów stał się sowiecki, produkowano w tym zakładzie dzemy i marmolady.

Budynek był zaniedbany i w związku z tym nie odróżniał się od pozostałych w pobliżu. Mieszczące się w nim pomieszczenia biurowe wynajmowane były przez trzy firmy, które zajmowały się handlem detalicznym i hurtowym. W garażach i pomieszczeniach magazynowych składowane były między innymi wina, brandy, wódka oraz papierosy.

W dzień powszedni panował tu spory ruch. Co jakiś czas podjeżdżały i odjeżdżały ciężarówki. Pracownicy uwijali się z wózkami, którymi wozili towar przez wąską bramę. Pod budynek podjeżdżały także kilka razy dziennie samochody osobowe kontrahentów. Natomiast po całej okolicy włóczyli się narkomani, którzy próbowali znaleźć w jej zakamarkach miejsce, gdzie można kupić towar.

Od trzech lat jedno z biur wynajmowała firma Ukromodruswin. Nikogo nie dziwiła obecność tak wielu rosyjskich pracowników i handlowców. Spółka zajmowała się bowiem eksportem doskonałego mołdawskiego wina na chłonny rosyjski rynek. W rzeczywistości była to jednak firma przykryciowa rosyjskiego wywiadu.

Zapadał zmierzch. Fiedotow wszedł na neogotycki dziedziniec. Spotkał dwóch znajomych ochroniarzy siedzących na ławce, machnął im na powitanie, skręcił w lewo, do pobliskiej klatki schodowej. Ruszył na pierwsze piętro.

Ściany klatki były poobijane, a schody i zdobione poręcze mocno wysłużone. Mimo to miały swój urok. Ile razy tu przyjeżdżał, odnosił wrażenie, że podróżuje trochę w czasie.

Stanął przed dawnym pomieszczeniem, w którym kiedyś mieściła się kasa fabryki. Było ono solidnie zbudowane i właśnie dlatego je wybrano. Lekko dotknął palcami otworu zamka. Delikatnie wyciągnął z niego cieniutką igłę. Następnie włożył klucz. Przekręcił go i uruchomił ukryty we wnętrzu solidnych metalowych drzwi system zapadek i bolców, które chroniły je przed wyłamaniem z mocno osadzonych i wzmocnionych futryn. Wszedł do środka. Zatrzasnął drzwi, potem znowu je otworzył i powtórnie zatrzasnął. Później szybko się schylił i podważył drewnianą, lekko obluzowaną płytkę parkietu. Pod nią ukryty był panel blokady alarmu. Miał minutę na wbicie kodu zapisanego na kartce. Na wyświetlaczu pojawiła się data i godzina ostatniego uruchomienia systemu. Porównał ją z tą zapisaną na kartce. Wszystko się zgadzało. Uspokoił się.

Stanął na środku pokoju. Czuł wyraźnie wilgoć i stęchliznę. Otworzył wszystkie zakratowane z zewnątrz okna. Mimo to pomieszczenie było nadal mroczne. Włączył oświetlenie. Rozejrzał się badawczo. Na środku zobaczył dwa biurka z obrotowymi krzesłami. Na ich blatach stały monitory komputerów. W rogu umieszczono kuchenkę elektryczną i mikrofalówkę. Pod oknami znajdowały się piecyki olejowe. Fiedotow postanowił je włączyć. Uruchomił również urządzenia UPS, a następnie komputery. Przeszedł do pokoju obok. Tam też uchylił okno i włączył ogrzewanie. Stały tam dwie duże kanapy i kilka wygodnych foteli. W rogu pokoju z sufitu zwisał na łańcuchu worek treningowy.

Podszedł do starego kredensu stojącego po prawej stronie okna i wysunął z niego chowaną deskę do krojenia. Uniósł ciężki blat z białego marmuru i postawił go na podłodze. Wyjął z kieszeni składany nóż. Z główek czterech śrub mocujących szeroką deskę zeskrobał cieniutką ledwie dostrzegalną warstwę zaschniętej substancji. Była nienaruszona. Odkręcił je i podniósł deskę. W schowku znajdował się tablet z zasilaczem, zapakowany w filcową osłonę

zamykaną na suwak. Obok, w podobnym, ale większym futerale, leżał pistolet SR-1 Wektor i dwa puste osiemastonabojowe magazynki, kabura z zielonej cordury oraz cztery pudełka nabojów. W płaskim styropianowym pudełku znalazł jeszcze skaner częstotliwości. Fiedotow zabrał wszystko i zamknął schowek.

Usiadł na kanapie. „Lubię tego gnata” – pomyślał, sprawdzając pistolet. Załadował nabojami dwa magazynki. Jeden z nich podpiął do broni, a drugi schował do kieszeni kurtki. Następnie uruchomił tablet. Zalogował się. Kliknął na pulpicie w ikonkę z grecką literką delta. Pojawiło się podłużne okienko. Fiedotow przepisał z kartki siedemnastoelementowy ciąg cyfr, liter i znaków interpunkcyjnych. Wszedł do systemu komunikacyjnego. Nie było żadnej informacji, ani od Aleksandrowa, ani od trzech pozostałych członków grupy, którzy wcześniej rano mieli dotrzeć do Lwowa. Wylogował się i wyłączył urządzenie. Wcisnął się w miękkie poduchy.

Poczuł ból w boku. To było wspomnienie z nieudanego lądowania samolotem kilka miesięcy temu w Polsce, gdy jakiś metalowy element wbił się w jego ciało.

Po kilku minutach tablet i broń wrzucił do płaskiego czarnego plecaka na laptopa firmy Helly Hansen. Wrócił do pokoju biurowego. Otworzył zainstalowane na komputerach skrzynki e-mailowe. Zgodnie z obowiązującą dla tego konspiracyjnego lokalu legendą poza ustaloną korespondencją przez godzinę otwierał różne strony internetowe poświęcone spedycji i winiarstwu.

Z biura Fiedotow miał blisko do swojego hoteliku. Po drodze spojrzął na passata, którym przyjechał. Po dotarciu na miejsce wszedł do obszernego wynajętego pokoju. Rozebrał się. Ubranie poukładał, jak przystało na rosyjskiego oficera, równo na krześle stojącym obok łóżka. Pod nim postawił buty. Na oparciu powiesił skórzaną kurtkę i plecak.

Rzucił się na miękką, zimną pościel. Delikatnie dotknął swojego boku. Popatrzył na niego. Zwykle różowa blizna była teraz nieco zaczerwieniona. Położył się i z ulgą zamknął oczy. Widział tylko przesuwające się białe słupki wzdłuż drogi. Zasnął.

* * *

Pułkownik Siergiej Sokołow zszedł stromymi, wąskimi schodami do piwnicy przy ulicy Iwana Franka. Znajdował się tu znany lwowski pub Christopher. Minął zawieszony na ścianie wielki obraz świętego Krzysztofa namalowany przez właściciela lokalu, który był uznanym lwowskim malarzem. Tworzył on między innymi także freski w cerkwiach i kościołach. Przeszedł przez salę z długimi, ciężkimi stołami. Minął bar, na którym odbywała się właśnie prezentacja kilkunastu lokalnych odmian piw. Wokół kłębili się ich miłośnicy i zachwalający je przedstawiciele handlowi. Wszedł do niewielkiej sali w głębi pubu. Usiadł na drewnianej ławie w pobliżu kominka. Na ścianie za nim wisały obrazy o tematyce religijnej. Przedstawiały świętych i sceny biblijne. Pod stołem, przy swojej nodze, postawił skórzaną, elegancką czarną teczkę, zamykaną z wierzchu na dwa zamki szyfrowe. W pobliżu nikt nie siedział. Głosy dobiegające od baru mieszały się z ostrą muzyką metalową, która kontrastowała z sakralnym wystrojem wnętrza. U kelnera zamówił lagera z miejscowego browaru. Wprawdzie nie przepadał za takim alkoholem, ale nie miał wyboru. Po chwili zobaczył zbliżającego się Aleksandrowa.

– *Kak żizn, towariszcz połkownik?* – zapytał spokojnym głosem Aleksandrow, który wszedł do sali z kupionym już przy barze kuflem ciemnego piwa. – Zamówiłem po drodze talerz z przystawkami – dodał, przysiadając się do stołu.

– *Pust budziet, Aleksandrow. Pust budziet* – odpowiedział.

Obaj oficerowie nie przepadali za sobą. Sokołow przy różnych okazjach z racji swojego wieku, doświadczenia i stanowiska traktował Aleksandrowa z góry. Ponadto wywodzili się oni z dwóch rosyjskich służb konkurujących ze sobą o informacje i względy Putina. Prezydent sam ich konfliktował, testując w ten sposób ich lojalność. Mimo to teraz polecenia z samej góry były jasne. Mieli wspólnie doprowadzić do pozytywnego dla Kremla zakończenia operacji. Szefowie obu służb zdawali sobie sprawę, że rozgrywka z Europą i USA

powinna się zacząć między innymi od Polski, która stawała się zwornikiem dla *Pribaltyki*, Ukrainy, a może nawet i chwiejnej Białorusi Łukaszenki.

Część elementów była już gotowa do uruchomienia. Brakowało im jednak jeszcze materiałów dotyczących Bliskiego Wschodu. Nie wiedzieli, na kogo tam liczyć, kogo jeszcze nie ujawniono, a kto mógł zdradzić. W grę wchodziło zarówno podsycanie sytuacji politycznej i doprowadzanie do konfliktów poprzez ruchy dżihadystyczne i odśrodkowe, jak i sterowanie rynkiem surowców energetycznych.

– Dostałem polecenie, aby natychmiast się tu stawić. Jak rozumiem, cel macie już namierzony. Tak przynajmniej wynikało z informacji, jaka dotarła do Jaseniewa. Zachodnia Ukraina to dobry teren na taką operację. Tu na szczęście jest wciąż chaos po tym ich całym zasranym Majdanie. – Sokołow pociągnął łyk piwa, po czym palcem wytarł pianę, która została mu na ustach.

– Tak. Mamy wszystko ustalone. Siły i środki zabezpieczone.

– To bardzo dobrze. Boję się tylko, żeby ci banderowcy nie weszli nam w paradę. Nie możemy nie dostrzegać tego zagrożenia, mimo tego ich *bardaku*.

– Co proponujesz, *połkownik*?

– Posłuchajcie, Aleksandrow. Musicie przede wszystkim obstawić hotel, w którym mieszka ten Polak. Nie sądzę, żeby jego sentymentalny pobyt w tym ich polskim Lwowie trwał długo. Nie mamy czasu.

– Wiemy już, w którym pokoju mieszka.

– *Choroszo*. Jesteś pewny, że ma ze sobą listę?

– Według mnie ma kopię, a oryginał oddał Amerykanom. Musiał się przecież jakoś zabezpieczyć. Wiecie, jak u nich jest w *razwiedkie na Miłobędzkoj*. Nikt nie zna dnia ani godziny. W czym i wy, i my nieźle im pomagamy.

– Skąd ta pewność, Aleksandrow?

– Zpełnej pewności w tej robocie nigdy nie ma, sami dobrze o tym wiecie. Ale ja właśnie tak bym na jego miejscu zrobił. Zabezpieczyłbym sobie taką kopię na... *czirnyj dien*'. A poza tym... – Aleksandrow urwał i pociągnął spory łyk ciemnego piwa. – Czy on nam to ot tak odda?

– Mam ze sobą coś, co może go do tego skłonić. Taką przynętę. Nie wiem na pewno, ale warto spróbować – odpowiedział pewnym głosem Sokołow. – Nie można niczego przeoczyć i nie wykorzystać szansy. A zwłaszcza nie doceniać ludzkich namiętności, marzeń, życiowych wyborów i celów. Stawka jest wysoka. Pamiętaj!

– Pamiętam. A cóż to takiego?

– Coś, co Polacy połkną jak ryba haczyk z tłustym robakiem. Tam u nich w *inostranych dielach* mają trochę na tym punkcie... obsesję.

– Powiedz mi, co się stało z pułkownikiem Pospiechowem – Aleksandrow zmienił temat.

– A co? To cię interesuje?

– Ktoś mu pomógł w gwałtownej śmierci na Karaibach?

Sokołow westchnął, zmęczonym wzrokiem spojrzął na rozmówcę, pociągnął łyk piwa.

– Dobrze radzę, nie zajmuj się tym. Lepiej będziesz sypiał.

Kelner wniósł talerz z grillowanymi skrzydełkami, smażonymi plastrami boczku i opiekаныmi ziemniakami. Zapach rozszedł się po pustej sali.

– *Wkusnyje*. Teraz obgadamy szczegóły – powiedział Sokołow, wgrzyzając się w kawałek kurczaka.

Rozdział 32

Lwów (Ukraina), Kraków, Warszawa (Polska) –
wiosna 2014

Łodyna leżał na łóżku w hotelu George. Zgodnie z prośbą Montany czekał na informację od Edda. Gdy kończył właśnie drugą buteleczkę Johnnie Walkera z minibarku, usłyszał sygnał telefonu z bułgarską kartą SIM.

– Cześć – powiedział do swojego amerykańskiego kolegi.

– Cześć. Jesteś na miejscu? – spytał Edd.

– Zgodnie z sugestią.

– Bardzo dobrze. Na razie nigdzie się nie ruszaj. Jakby się coś zmieniło, to daj znać. Posłuchaj, mam jak zawsze coś dla ciebie. Rozumiesz?

– Rozumiem. Krótki podpiąłeś czy długi?

– Jak zawsze i krótki, i długi.

Następnie Łodyna w milczeniu wysłuchał, w jaki sposób oficer CIA dostarczy mu broń do hotelu. Poinformował Polaka, że przez Burdenkę porozumieli się z miejscowymi wewnętrznymi z SBU. Wszystko nadzorowała stacja CIA w Kijowie. Powiedział też, że sprawa ma dla Ukraińców priorytet. Zapewnił, że będą go pilnować we Lwowie. Dodał także, że ruszyły intensywne poszukiwania dwóch oficerów SWR. Jednak Edd, znając lokalne realia, powątpiewał w skuteczność takich poszukiwań. Sytuacja ciągle była niestabilna. Jak podkreślił, SBU nie za bardzo może oprzeć się na swoich miejscowych.

– *Copy!*

Edd się rozłączył.

Minęła prawie godzina i w małym samsungu znowu rozległ się sygnał, ale po chwili zamilkł. Łodyna spojrzął na wyświetlacz i usłyszał pukanie do drzwi. Spojrzął przez wizjer. Zobaczył młodego mężczyznę, średniego wzrostu, o blond włosach i niebieskich oczach. Łodyna przez chwilę zawahał się. „Ja go chyba skądś znam? Gdzieś już go musiałem spotkać. Ale gdzie?!” Niepewnie otworzył drzwi. Mężczyzna na jego widok jakby zastygł, też był zaskoczony. Do krótkiej skórzanej rozpiętej kurtki, przypięte miał niebiesko-żółte wstążki. Na rękach trzymał dwa duże pudełka z pizzą.

– *Szanownyi panie, wieczieria?* – powiedział po ukraińsku po chwili milczenia i ledwie widocznie się uśmiechnął.

– Bardzo chętnie... Oleksij – odpowiedział ściszym głosem i wziął wyjątkowo ciężkie pudełka. – Widzę, że dużo dodatków dołożyliście, tak jak prosiłem. *Wielkie diakuju...*

Mężczyzna kiwnął głową, odwrócił się, po czym skierował w stronę szerokich schodów.

Łodyna był już pewien, że funkcjonariusze grupy specjalnej „A” Służby Biepopastosti Ukrainy, czyli oddziału Alfa, są na miejscu. Nie wiedział tylko, czy jest to grupa z regionalnego departamentu SBU ze Lwowa, czy z Kijowa. Oleksija poznał na jednym z przyjęć w ambasadzie Ukrainy w Bagdadzie – dowodził ochroną placówki. Powiedział mu wtedy, że pochodzi ze Lwowa.

* * *

Tego dnia we Lwowie była piękna, słoneczna pogoda. Majowe zapachy z kwitnących drzew i kwiatów unosiły się przy placach, skwerach i ogrodach. Niestety mieszały się one ze smrodem dieslowskich spalin wyrzucanych z rur wydechowych zdezelowanych ciężarówek.

Sokołow od godziny spacerował po lwowskich zakątkach. Nie zauważył, aby ktokolwiek się nim interesował. Był zdenerwowany, że za bardzo musi improwizować. Z wieloletniego doświadczenia wiedział bowiem, że taka sytuacja jest obarczona ryzykiem błędu. Skręcił w plac Soborny, a następnie

zajrzał do niewielkiego butiku. Po krótkiej chwili wyszedł i cofnął się do wcześniejszego sklepu z podobnym asortymentem. Chwilę porozmawiał ze sprzedawczynią. Kupił damskie, robione na szydełku, beżowe koronkowe rękawiczki. Stanął na schodkach sklepu. Rozejrzał się. Wyglądał na turystę, który się zastanawia, dokąd ma teraz iść. Powolnym krokiem przeszedł na drugą stronę ulicy. Minął zaparkowane samochody i skręcił w prawo w Serbską. Przy ulicy Archiwnej Sokołów wstąpił do cukierni i kupił kawałek ciasta drożdżowego. Napił się też chłodnego, orzeźwiającego kwasu chlebowego. Po wyjściu z lokalu wszedł w bramę starej kamienicy, a następnie zszedł schodkami do sporego antykwariatu.

Ciężkie drzwi uderzyły o dzwonek i o solidną, uchyloną na bok kratę. Zza regału ze starymi książkami i gazetami wychyliła się brodata głowa Andrija Kuzniecowa. Mężczyzna założył na nos rogowe okulary i przyjrzał się klientowi. W niewielkim pomieszczeniu czuć było kwaśny zapach papieru, na który nakładała się nuta lawendy z elektrycznego odświeżacza powietrza. Na ścianach wisały obrazy, ryciny i oprawione w solidne ramy mapy. Na sporej komodzie stały w jednym rzędzie dziewiętnastowieczne zegary. Nieco dla kontrastu w trzech rogach pomieszczenia Sokołów dostrzegł czujki ruchu instalacji alarmowej oraz kamerę skierowaną wprost na drzwi wejściowe.

Pułkownik SWR nieprzypadkowo wybrał to miejsce. Wiedział, że stąd co jakiś czas wypływają na europejskie rynki cenne zabytkowe przedmioty. Czasem były bez pełnej dokumentacji ich pochodzenia. Miał również informacje, że Kuzniecow bezpośrednio lub przez podstawionych ludzi licytuje je na zagranicznych aukcjach.

– Zapraszam. Proszę. – Kuzniecow wskazał ręką na krzesło w stylu rokoko, które stało przy politurowanym stole.

Oficer usiadł i delikatnie pogładził dłonią lśniąca powierzchnię mebla.

– Art déco? Naprawdę piękna robota. Miło posiedzieć przy takim stole.

– Tak. To prawda. Jest do sprzedania. Mam cały zestaw z sześcioma krzesłami i kredensem. Wykonany został na zamówienie w prywatnym polskim

warsztacie w latach trzydziestych. Niedawno właściciel wstawił go u mnie w komis. Szanowny pan jest zainteresowany?

– Nie, dziękuję.

– Zatem czym mogę służyć?

Sokołow położył na stole skórzaną teczkę, otworzył zamek i wyjął z niej dwie złożone tektury zawiązane sznurkiem. Położył je na blacie i odwiązał. Spomiędzy sztywnych kart delikatnie wyjął rysunek Albrechta Dürera.

– Chciałbym, aby pomógł mi pan to wycenić, a może nawet sprzedać.

Antykwariusz włożył płócienne rękawiczki, wziął do ręki lupę i pochylił się nad rysunkiem. Przysunął bliżej lampę i uważnie się przyjrzał.

– Skąd pan go ma?

– Odziedziczyłem. Ostatni z mojej kolekcji – skłamał Sokołow. – Ile może być wart? – dodał, patrząc na pochylonego wciąż nad ryciną Kuzniecowa.

– Hmm. Potrzebuję czasu, aby oszacować jego wartość. To nie jest takie proste.

Kuzniecowa delikatnie podniósł kartę i spojrział na znajdujące się na odwrocie pieczęcie, które mogły wskazywać, kto w przeszłości był jej właścicielem. Jedna sygnatura wzbudziła jego szczególne zainteresowanie.

– Na pierwszy rzut oka wygląda na oryginał, ale chciałbym to potwierdzić u eksperta, historyka sztuki. Znam taką osobę – powiedział Kuzniecowa.

Sokołow położył na stoliku pięćset dolarów.

– To za dyskrecję.

– Muszę pana rozczarować, ale nie praktykuję takiego załatwiania sprawy. Proszę schować pieniądze. Zaraz spiszemy umowę przekazania rysunku w depozyt. Proszę wrócić tutaj, hmm... powiedzmy za siedem godzin, przed zamknięciem antykwariatu. Będę wiedział więcej. Wtedy usłyszysz pan moją propozycję.

Antykwariusz wyjął spod blatu kwestionariusz umowy i poprosił o wpisanie danych.

– Może pan mi zaufać, panie... Sokołow. – Kuzniecowa podniósł wzrok na klienta.

– Mam nadzieję, że mogę. Ma pan dobrą reputację nie tylko na europejskim rynku. – Rosyjski oficer schował umowę do teczki i wyszedł z antykwariatu.

Kuzniecowa spojrzął na monitor otwartego laptopa. Cofnął nagranie i wykonał stop-klatkę twarzy klienta. Mężczyzna delikatnie ujął w palce rycinę i przeniósł ją na zaplecze. Położył na stole, nad którym na stelażu zainstalowany był wysokiej klasy aparat fotograficzny. Ręce mu nieco drżały. Usta miał suche. Już dawno nie był tak podekscytowany.

– Spokojnie. Tylko spokojnie, Andriej – powiedział do siebie i wykonał serię zdjęć ryciny, a także znaków znajdujących się na jej odwrocie.

Następnie schował kartę do sejfu. Jej zdjęcia zgrał z aparatu na laptopa. Wysłał dwa e-maile. Jeden do krakowskiego historyka sztuki – profesora Andrzeja Tarnowskiego, znawcy malarstwa renesansowego. Znali się z różnych spotkań, wykładów i sympozjów naukowych. Nigdy jednak nie gościł go u siebie we Lwowie. Drugi e-mail przesłał do podpułkownika Dmytra Kłyczko z lwowskiego SBU. Poza zdjęciem rysunku załączył jeszcze fotografię twarzy Sokołowa. Następnie dla pewności zatelefonował do oficera SBU.

Kuzniecowa podpułkownika Kłyczko pamiętał jeszcze z czasów ZSRR. To on pozyskał go do współpracy z KGB. Ten doświadczony oficer od wielu lat zajmował się rynkiem dzieł sztuki. Kuzniecowa miał zapewnioną przez niego zawsze ochronę, nawet przy nie zawsze legalnych transakcjach. Pod koniec ubiegłego roku załatwiał dla Kłyczki dwa pasy słuckie, które prezydent Janukowycz przekazał w prezencie prezydentowi Łukaszence.

* * *

Tarnowski otworzył wiadomość kilka minut po jej otrzymaniu. Założył okulary i czytając informację od Kuzniecowa, zamarł przed monitorem swojego komputera.

...według mnie rycina ta pochodzi z prywatnej kolekcji Lubomirskich z Przeworska, albo z ich lwowskiego muzeum. Panie profesorze, to niebywałe, że takie dzieło zachowało się w tak doskonałym stanie. Sprawa bardzo pilna. Proszę o szybką odpowiedź.

Tarnowski przygryzł zębami koniuszek siwych wąsów. Wstał i podszedł do szafy. Wyjął z niej grubą teczkę z różnymi notatkami i zaczął ją przeglądać.

– Mam. Jest – mruknął pod nosem.

Spojrzał na napisany w 1946 roku przez księcia Andrzeja Lubomirskiego list do Augusta Krasickiego z Leska. Ordynat przeworski pisał o planach podróży do Brazylii, ale też wspomniał w nim o rycinach Dürera, które przekazał pewnemu oficerowi przed wybuchem wojny.

...dlatego, drogi Auguście, spróbuj wydobyć w moim imieniu depozyt, który przekazałem temu zacnemu oficerowi latem 1939 roku. Jak zrozumiałem z jego słów, miał udać się później do ciebie. Zapewne zabezpieczył też twoje dokumenta rodzinne. Poniżej podaję jego imię, nazwisko, stopień i ostatni przydział służbowy... – czytał profesor. W dalszej części listu Lubomirski wymienił tytuły przekazanych oficerowi rysunków. „Czyżbym trafił właśnie na ten depozyt? Krążyły o nim dotąd tylko plotki. Jakoby zawierał też, oprócz dzieł sztuki, niezwykle ważne dla państwa dokumenty”. Profesor szukał w pamięci informacji na ten temat.

Nie zastanawiając się długo, wybrał numer telefonu do swojego dobrego znajomego, wiceministra spraw zagranicznych Wiatra. Całkiem niedawno w prywatnej rozmowie z nim dowiedział się, że na prośbę polskiego MSZ Agencja Wywiadu szukała w ubiegłym roku na Bliskim Wschodzie *Portretu młodzieńca* Rafaela Santi.

Wiatrowi nie trzeba było mówić dwa razy. Od razu zrozumiał, że sprawa jest wyjątkowa. Natychmiast poinformował o rozmowie i znalezisku ministra Jaskólskiego. Otrzymał od niego zielone światło, aby zainteresować tym Miłobędzką.

- Jeśli to wszystko prawda, to teraz liczy się dosłownie każda godzina. A mamy ich, jak rozumiem, sześć i pół – skomentował szef polskiej dyplomacji.
- Jeśli uda nam się to przejąć, to będzie światowa sensacja – dodał Wiatr.

* * *

Chwilę potem Wiatr zadzwonił z zabezpieczonego telefonu do generała Czuchy i poinformował o odkryciu. Przypomniał o ubiegłorocznej operacji w Iraku i oficerze, który ją nadzorował na miejscu.

- Przysyłam już materiały naszym systemem – dodał i rozłączył się.

Generał Czucha natychmiast zatelefonował do Sierpeckiej.

- Jak się czujesz? Wypoczęłaś trochę? Jak sprawy w Wydziale? – Za wszelką cenę starał się zrobić na niej dobre wrażenie.

„Oho, czegoś chce i próbuje się podlizać” – pomyślała Magda i uśmiechnęła się do siebie.

- U mnie wszystko w porządku. Wciąż piszę raport zarówno z ostatnich, jak i wcześniejszych działań w regionie. Do tego notatki informacyjne... – dodała.

- To proszę cię do mnie, jak najszybciej – powiedział i rozłączył się.

Czucha poinformował Sierpecką o rozmowie z Wiatrem.

- Rozumiesz, nie mogłem mu odmówić – starał się tłumaczyć. – Jednak zastanawia mnie jedna rzecz. Ten dziwny zbieg okoliczności. Łodyna we Lwowie, w drodze do Polski i nagle ten rysunek. I te jego zainteresowania sztuką... Skontaktuj się z nim jakoś i przekaz mu wszystko. Może coś ustali. Ja za moment prześlę ci zdjęcia, więcej informacji otrzymasz z Szucha.

- Faktycznie, dziwne – odpowiedziała i odmeldowała się.

„Kurwa, czy to przypadek? Ja pierdolę! W co on się znowu wpakował?” – myślała, zbiegając po schodach z siódmego piętra do swojego wydziału.

Usiadła w swoim gabinecie przed komputerem. Wsunęła kartę i zalogowała się. Otworzyła jeden z załączników wiadomości od Czuchy. Powiększyła fotografię. Nacisnęła prawy klawisz myszki i otworzyła właściwości zdjęcia. Szybko zorientowała się, że zostało wykonane tego samego dnia, ledwie dwie

godziny wcześniej. Z danych umieszczonych na cyfrowym zdjęciu wynikało, że zostało zrobione profesjonalnym aparatem fotograficznym H4D-60 firmy Hasselblad. Pamiętała, że takie aparaty i ich optyka służą do wykonywania zdjęć wysokiej rozdzielczości.

Zaczęła przeglądać metadane zdjęcia. Nie namyślając się, wybrała numer Łodyny.

– Cześć, Marcin. Mam ważną sprawę. Wiem, że jesteś we Lwowie.

– Skąd wiesz?!

– Widziałam się kilka dni temu z Ewą. Mówiła mi o twoich planach. Mniejsza o to. Posłuchaj.

Następnie za pomocą tylko im znanych kodów, pólówek, przezwisk i slangu opisała w miarę dokładnie zaistniałą we Lwowie sytuację. Łodyna słuchał uważnie, lustrując przez okno trzeciego piętra otoczenie placu Mickiewicza, gdzie akurat snuły się pojedyncze grupki kobiet protestujących przeciwko wojnie. Mieszały się one z młodymi mężczyznami z niebiesko-żółtymi i czarnoczerwonymi szturmówkami w dłoni.

– Na WhatsAppie przesyłam ci zdjęcie i dokładną lokalizację. Sprawdziłam, co jest pod tym adresem. Sprawa jasna. Sam zobaczysz – powiedziała i rozłączyła się.

Spojrzał na fotografię na wyświetlaczu smartfona i miał już pewność, że jest to element większej układanki. Błyskawicznie przeleciały mu przez głowę wszystkie informacje związane ze skarbami Januskiewicza, jak je nazywał w myślach, a które Pospiechow sprzątnął mu sprzed nosa na Margaricie. Po chwili rozległ się sygnał połączenia. To znowu była Magda.

– Napatrzyłeś się? Wystarczy. Marcin, uważaj na siebie. To może być jakaś pułapka, ale tym razem na ciebie. Wiesz, że u nas palcem nie kiwną, bo się boją jak zawsze. Do miejscowych nie uderzą, bo jeden geniusz tutaj uważa, że tam u nich sami ruscy agenci. Wiesz, jaki ten *kontrazwiedzczik* ma pogląd na naszą pracę za granicą?

– Wiem. Pieprzyć ich. Magda, ale musisz coś jeszcze wiedzieć. Tylko ty.

– No, wal!

– Dotarł tu prawdopodobnie... twój Janeczek z pomocnikiem – powiedział, po czym zapadło krótkie milczenie. – Ale posłuchaj. Twój znajomy, który nie zjawiał się w cukierni, no wiesz, ten Moniuszko, nawiązał kontakt i pomaga naszym partnerom. Jedni i drudzy zaangażowali się w działania. Intensywnie szukają od wczoraj naszych... znajomych z Karaibów.

– Kurwa, Marcin. Jak się tu u nas na górze dowiedzą, to masz...

– Przejebane? Znowu to słyszę. Poradzę sobie. Zresztą to ważna rzecz dla Polski. Wyjaśnię ci w Warszawie. A skąd masz w ogóle tę lokalizację?

– Opowiem ci, jak się spotkamy. Teraz to nieistotne.

– Magda. Czy ty się domyślasz, skąd tamci dowiedzieli się o moich planach? Poza Montaną i Kate nikt wcześniej o tym nie wiedział. No i poza moją Ewą i tobą...

– Przepraszam, ale musisz coś wiedzieć. Na odprawie kierownictwa, przy omawianiu sprawy związanej ze mną, powiedziałam im, jakie masz plany. Dlatego teraz padło na górze na ciebie, rozumiesz, żeby ciebie wykorzystać do tej sprawy. Ale czuję, że to może nie być przypadek. Za bardzo to wszystko układa się w całość.

– Magda, ja pierdołę. Wiesz, co to oznacza?! To żaden zbieg okoliczności! Kret! Teraz jestem już pewien.

– W tym momencie i tak nic na to nie poradzimy. Melduj na bieżąco – zakończyła i rozłączyła się.

Łodyna wybrał numer telefonu Edda i szybko opisał mu sytuację.

– Za pół godziny ruszam. Na miejscu będę za jakieś półtorej godziny od wyjścia z hotelu. Zdążycie się rozstawić?

– Tak.

– Posłuchaj, jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa. Powiedz Montanie, że... ta osoba, o której myśli, jest wśród pięciu, może sześciu osób u nas na górze. Tak dokładnie przekaż. Niech działa.

– *Copy* – potwierdził krótko amerykański oficer, po czym rzucił do siedzącego obok w fotelu kapitana ukraińskiego wywiadu: – Stanislaw, podaj przez radio do Oleksija, że zaczynamy za pół godziny. Ja jadę pod George’a.

Z hotelu Lwów Amerykanin miał prawie kilometr. Po porannym spotkaniu Stanisława z Oleksijem Edd trochę się uspokoił. Jeszcze wczoraj po południu prawie cały oddział Alfa został przerzucony samolotem z Kijowa. Dla zalegędowania ich obecności na tym terenie wobec lokalnych struktur SBU poinformowano, że ich przybycie związane jest z przygotowaniem do ćwiczeń ze słuchaczami szkoły służby pogranicznej z Iwano-Fankiwska.

Łodyna otworzył pudełko po pizzy. Wyjął z niego pistolet maszynowy MP-5K. Z kolei krótki magazynek z drugiego pudła podpiął do swojego kurza. Ten dłuższy wcisnął z tyłu spodni. Przełożył czarny szeroki pasek z cordury przez szyję i ramię. Do karabińczyka podpiął broń i poprawił ją pod pachą. Włożył niebieską bluzę z softshellu. Energicznie zapiął jej suwak. Wyszedł z pokoju i ruszył schodami w dół. Po drodze, na półpiętrze minął wyjątkowego uroku obraz w stylu Młodej Polski. Był to namalowany na szkle wizerunek długowłosej kobiety z przymkniętymi oczami, ubranej w lekką sukienkę. Wyszedł z hotelu. Zatrzymał się na moment i założył okulary przeciwsłoneczne. Rozejrzał się leniwie. Dopiął suwak bluzy pod szyję. Sekwencja ruchów stanowiła sygnał dla Edda.

Przed dojściem do antykwariatu Łodyna musiał zrealizować krótką trasę sprawdzeniową. Nie mógł jej jednak wcześniej dostatecznie przygotować. Musiał improwizować. Przedpołudniowy ruch na ulicy Mickiewicza się wzmacniał. Po wyjściu z George’a skręcił w prawo w prospekt Szewczenki. Doszedł do Puzatej Chatki. Zatrzymał się przed wejściem do restauracji i spojrzął na wywieszone menu. Poczł ssanie w żołądku. Nie jadł od śniadania. Usiadł przy stoliku w głębi sali, tak aby móc obserwować wejście do lokalu. Zamówił jajko sadzone z ćwiartkami ziemniaków, pomidorami i ogórkiem. Do tego sok pomidorowy. Zjadł i po kwandrasie wyszedł. Zawrócił w kierunku

hotelu. Wydawało mu się, że wśród przechodniów mignęła mu znajoma twarz. Przeszedł obok hotelu i podziemnym przejściem dotarł na drugą stronę ulicy.

* * *

...obiekt ruszył powoli w Wałową. Przeszedł teraz Halicką. Jest koło pomnika Daniela Halickiego. Zatrzymał się. Wokół czysto.

– *Ja prijniaw* – rzucił przez radio kierujący akcją Oleksij, a następnie przekazał telefonicznie informację do kapitana Burdenki.

* * *

Łodyna szedł jak zawsze spokojnie, jednostajnym tempem. Czuł, że znajduje się pod obserwacją. Jednak tym razem jej celem nie było śledzenie jego poczynań. Chodziło o prowadzenie kontrobservacji, mającej na celu wyłapanie obcych działań i jego ochronę.

Na chwilę usiadł przy stoliku w kawiarni Lwowska Manufaktura. Podświadomie coś go zaniepokoiło, ale nie wiedział co. Może to efekt obecności ludzi Oleksija... albo kogoś jeszcze. Wypił małe espresso. Sprawdził na smartfonie mapę. Po blisko dziesięciu minutach ruszył w dalszą drogę. Dotarł do ulicy Archiwnej. Był już na miejscu. Rozejrzał się uważnie. W pobliskiej bramie dostrzegł szyld antykwariatu. „Tak jak mówiła Magda. To tu. Jak ona to znalazła?” Wszedł do bramy. Zobaczył okna sutereny, a w nich reprodukcje w cienkich ramkach, przedstawiające stary Lwów.

* * *

...obiekt wszedł do bramy. Mężczyzna spod Manufaktury idzie jakieś sto metrów za nim. Mamy już potwierdzenie, że pod hotelem kontaktował się z kierowcą brązowego passata na naszych numerach rejestracyjnych – brzmiał komunikat w radiu Oleksija.

– Nie wchodzić. Cisza w *efirii*. Żadnych komunikatów. Czekamy! – wydał polecenie do wszystkich członków zespołu, a sam ponownie wybrał numer Burdenki.

* * *

– Dzień dobry. Pan Kuzniecowa? Andrij Kuzniecowa? – zwrócił się Łodyna do brodacza.

– Tak. W czym mogę pomóc szanownemu panu?– odpowiedział, słysząc wyraźny polski akcent w jego rosyjskim.

– Jestem polskim dyplomata. Dostałem polecenie ze swojego ministerstwa, aby wyjaśnić pewną sprawę – powiedział i położył na blacie wizytówkę z czerwonym paskiem i wypukłym orzełkiem. Kuzniecowa wziął w dłoń kartonik i zaczął go uważnie studiować.

– To szanowny pan nie od was, z Ivana Franka, ale z konsulatu w Bukareszcie?

– Właśnie jadę tam z urlopu w kraju. Zatrzymałem się na dzień we Lwowie – skłamał. – Zajmowałem się wiele lat dyplomacją kulturalną, a w szczególności polskimi dziełami sztuki zaginionymi w czasie wojny... i w ministerstwie przy okazji postanowili wykorzystać moje doświadczenie – dodał.

– Czyli pan... od profesora Tarnowskiego?

– Pośrednio. Wiem tylko, że pan profesor rozmawiał o sprawie w naszym ministerstwie...

– Przyznam, że jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że tak szybko ktoś się u mnie zjawi – przerwał mu antykwariusz.

– Panie Andriju. To zwykły zbieg okoliczności. Przypadek. Czasem tak bywa w życiu. – Łodyna próbował przekonać sam siebie.

– Bywa, bywa – odpowiedział i wskazał ręką na zaplecze.

Kuzniecowa otworzył sejf i delikatnie wyjął rycinę Dürera. Przez plecy Łodyny przeszedł dreszcz. O tej chwili myślał od miesięcy. Niekiedy nawet wyobrażał sobie, jak będzie wyglądał ten moment, gdy wreszcie dotrze do

jakiegoś z przedmiotów z walizek Januszkiewicza. Antykwariusz położył kartę na stole i dokładnie ją oświetlił. Po chwili odwrócił ją na drugą stronę i wskazał palcem pieczęć Lubomirskich.

– Po konsultacji z profesorem i według mojej wiedzy nie ma wątpliwości, że jest to oryginał. Jeden z tych, które zaginęły w czasie wojny – stwierdził krótko.

– Proszę mi powiedzieć, czy osoba, która go przyniosła, miała jeszcze coś ze sobą?

Ukrainiec pogładził brodę. Chwilę milczał.

– Nie. Tylko ten rysunek.

– Informował pan kogoś o tym, nazwijmy to, znalezisku? Kogoś z władz ukraińskich?

– To żadne znalezisko. Po prostu transakcja handlowa. Nie ma powodu, żeby kogokolwiek informować. Tak naprawdę to już nie moja sprawa, jakie jest jego pochodzenie. Ktoś chciał dokonać wyceny. A może to było jego? Tego ani pan, ani ja, ani wasze ministerstwo nie wie – bezpiecznie próbował wybrnąć z sytuacji. – A nasze władze... mają zapewne teraz inne zmartwienia – dodał.

– Kto to był? Ten, który przyniósł tego Dürera?

– Pan wybaczy. Nie mogę podać jego danych. To tajemnica handlowa. Ale jeśli byłby pan zainteresowany, to mogę panów umówić na spotkanie.

– Bardzo chętnie.

– Proszę przyjść za trzy godziny, przed zamknięciem antykwariatu. Tymczasem mogę panu pokazać jego twarz na stop-klatce. Chwileczkę.

Kuzniecowa uderzył kilka razy w klawiaturę laptopa, a następnie przekręcił go w stronę Polaka.

– Mogę zrobić jego zdjęcie?

– Bardzo proszę.

– Dziękuję – powiedział Łodyna.

Po chwili mężczyźni się pożegnali.

Po wyjściu Polaka antykwariusz wziął rycinę i poszedł z nią do sejfu. Kuzniecowa coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że to nie jest zwykła transakcja.

„Mogłem Tarnowskiemu nic nie mówić. Połakomiłem się na dobre pieniądze. Zaćmiło mnie? Teraz muszę jakoś z tego wybrnąć. Kłyczko obiecał, że pomoże. Przecież przez tyle lat mnie nie zawiódł. A dzisiaj powiedział, że mam robić tylko to, co mówi, a będzie dobrze”.

* * *

Łodyna wyszedł na podwórko i wciągnął suche gorące powietrze. Zadzwoił do Magdy.

– Mam zdjęcie człowieka, który przyniósł to do antykwariatu. Zaraz je wyślę. Sprawdź, czy coś o nim wiemy... Tak, uważam na siebie... – Rozłączył się, po czym wysłał jej zdjęcie.

Tym razem wybrał numer Edda. Usłyszał:

– Sę. Uważaj.

– *Copy* – odpowiedział polski oficer.

Łodyna czuł się teraz trochę jak wtedy, w górach irackiego Kurdystanu, kiedy ekipa z GRU, pędząc za nim w nissanie krętą drogą nad Doliną Śmierci, chciała go zlikwidować. „Czy tutaj mam większe szanse? Nie jestem przecież sam! Ale teraz też jestem wystawiony na strzał!” Poprawił pod pachą broń, jednocześnie ją odbezpieczając. Ruszył w drogę powrotną do hotelu.

* * *

– Jak to, kurwa, teraz był!? *Job twoju mat'*, Kłyczko, co ty mi tutaj pierdolisz!? – krzyczał do telefonu Sokołow. – Jak się dowiedział? Miał być za trzy, cztery godziny, a nie teraz! Jesteś pewny starego?!

– Tak, jestem pewny. Ale czuję, że stary się wystraszył. Nie wiem tylko, jak do tego doszło! – powiedział ukraiński oficer.

– To co, Duch Święty spłynął na tego Polaczka? Oświeciło go cudownie?! Ta ich Matka Boska Ostrobramska dała namiary?! Jedź natychmiast do starego i załatw sprawę. *Poniał!?* – powiedział z wściekłością Sokołow i rozłączył się.

W tym momencie wyświetlił się na jego smartfonie numer Aleksandrowa.

– Co tam się dzieje? Co spierdoliliście, *połkownik*? Polak przed chwilą był na miejscu – powiedział spokojnie Aleksandrow. – Skąd on znał tę lokalizację przed przekazaniem mu informacji? To nie tak miało być! Czy miejscowi coś przy tym działają?

– Nie wiem, co się stało. A miejscowi nic nie działają.

– Jesteś pewien, Siergiej? – dopytywał Aleksandrow.

– Tak! Mam ich pod kontrolą. Siedzą na swoich banderowskich *żopach* – odpowiedział Sokołow.

– To przynajmniej tyle dobrego. Rozumiesz, Siergiej, że teraz działamy bez tej twojej tajemniczej przynęty.

– Tak! Działajcie. *Poka*. – Rozłączył się.

@@

Fiedotow co chwila spoglądał na skaner częstotliwości. Na pasmach używanych przez SBU nic nie wyłapywał, żadnego natężenia sygnałów występujących zwykle przy działaniach z obserwacją czy przed przygotowaniem do zatrzymania figuranta. Jednak to, co usłyszał od Aleksandrowa na temat Polaka, poważnie go zaniepokoiło. „Cisza w eterze. Nic się nie dzieje. Może znowu jest jak w Wenezueli z tym... Pospiechowem? Znowu, kurwa, waźniaki w coś pogrywają?”

Od stolika ustawionego po drugiej stronie ulicy, w kawiarni Glory Cafe, obserwował już dłuższy czas drzwi wejściowe hotelu George. Miał przed sobą rozłożoną gazetę, rosyjskojęzyczne wydanie „Zierkało Niedieli”, z szerokim niebieskim paskiem na pierwszej stronie. Rosjanin usłyszał dźwięk przychodzącego połączenia.

– Jestem. Co tam?

– Idzie od placu. Zbierajcie się. – Rozmówca się rozłączył.

Po paru minutach po drugiej stronie placu Mickiewicza pojawił się wysoki mężczyzna. Zaczął przeciskać się przez hałasujący tłum rozhisteryzowanych kobiet oraz wykrzykujących do nich młodych mężczyzn z czerwono-czarnymi

flagami. Jednak Łodyny Fiedotow już nie zobaczył. Zaraz po telefonie od Aleksandrowa szybko wstał, zwinął gazetę i wsadził ją pod pachę – to był sygnał dla drugiego zespołu. Trzeci i czwarty podążał za Polakiem. Fiedotow przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do hotelu. Przed schodami skręcił w lewo i wmieszał się w tłum gości.

Kilka minut po nim do hotelu wszedł Łodyna. W lobby minął gestykulujące trzy młode atrakcyjne kobiety z mocnym makijażem. Przy recepcji tłoczyła się jakaś wycieczka z Niemiec. Łodyna przecisnął się między nimi. Z recepcji odebrał klucz i wszedł na szerokie marmurowe schody, które z obydwu stron omijały wejście do restauracji. Nie chciał korzystać z windy, bo była wyjątkowo zdezelowana. W czasie jazdy chybotąca się na wszystkie strony, jak wagoniki nowojorskiego metra. Słyszał w recepcji, że awarie zdarzały się niemal codziennie. Poza tym w tym momencie kilka osób stało do niej w kolejce. Piętra były wysokie. Na półpiętrze minął elegancko ubraną parę, która całowała się pod szklanym wizerunkiem pięknej kobiety. Wszedł na trzecie piętro, skręcił w prawo i szybkim krokiem, po bordowej wykładzinie, podszedł do swojego pokoju. W tym momencie znajdujące się po drugiej stronie korytarza drzwi do wspólnej toalety, pozostałości po sowieckich porządkach, skrzypnęły i uchyliły się. Łodyna odruchowo spojrzął za siebie. Zobaczył w nich mężczyznę z wycelowanym w niego pistoletem.

– Żadnych gwałtownych ruchów. Wejdziemy do środka – nakazał spokojnie Rosjanin. Łodyna od razu go poznał. Widział go kilka miesięcy temu, jak siedział przy basenie hotelu Playa El Agua na Margaricie, przed rozmową Magdy z Aleksandrowem.

– Klucz mam schowany w wewnętrznej kieszeni – powiedział Łodyna, a Fiedotow kiwnął głową. Polak rozpiął bluzę i włożył klucz do zamka. W tym momencie z hukiem otworzyły się i trzasnęły o ścianę drzwi starej windy, z której wyszło kilkoro głośno rozmawiających Niemców.

Fiedotow odruchowo spojrzął w ich stronę. Łodyna wykorzystał ten moment, podniósł błyskawicznie i wycelował w Fiedotowa swojego kurza. Seria kilku

pocisków z pistoletu maszynowego rzuciła Rosjanina na ścianę. Fiedotow wypuścił z dłoni pistolet. Powoli osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie kilka czerwonych, rozmazanych smug krwi.

Krzyk niemieckich turystów, którzy albo schowali się w windzie, albo zaczęli uciekać po schodach, wywołując ogólne zamieszanie, wyprowadził z równowagi drugiego napastnika, który celował w Łodynę z makarowa. W momencie gdy już miał do niego strzelić potężna seria z subkarabinka AKS-74U odrzuciła go gwałtownie na półpiętro, prawie pod same stopy całującej się jeszcze niedawno pary. Młodzi zaczęli krzyczeć z przerażenia, przyciskając się plecami do ściany. Dwóch Niemców przykucnęło na schodach, kurczowo trzymając się poręczy. Ciemna, gęsta plama krwi z roztrzaskanej głowy martwego mężczyzny zaczęła sączyć się na mozaikową podłogę.

Oleksij, ubrany w zieloną koszulkę polo i kamizelkę kuloodporną, z żółtym napisem SBU, opuścił broń. Podbiegł do Łodyny. Kiwnął mu głową i skierował się na półpiętro.

– Policja. Proszę o spokój. Proszę iść do swoich pokojów –mówił głośno po angielsku, a po chwili powtórzył to samo po ukraińsku.

Oleksij przekręcił swoją bejsbolówkę tył na przód i przetarł dłonią czoło. Przez radio podał meldunek. Po chwili przybiegło jeszcze trzech funkcjonariuszy Alfy.

Łodyna przyglądał się napastnikowi. Kopnął broń Rosjanina. Nie spuszczał z niego wycelowanej broni. Ponownie, ale już powoli, podszedł do niego Oleksij. Nachylił się nad Rosjaninem i sprawdził jego puls.

– Nie żyje, *gospodin diplomat* – powiedział i ledwo zauważalnie uśmiechnął się do Łodyny.

– Fiedotow, co tam się, kurwa, u was dzieje?! Macie to? Miał to ze sobą? – Ze słuchawki dobiegł znajomy głos. Łodyna podniósł telefon i bez słowa zakończył połączenie.

* * *

Chwilę potem przed hotel podjechały dwie karetki pogotowia i kilka samochodów policji.

Aleksandrow odczekał dziesięć minut i zobaczył, jak z budynku sanitariusze wnoszą na noszach dwa ciała w czarnych workach. Wstał od stolika kawiarni Glory Cafe i szybkim krokiem skierował się do swojego brązowego passata. Po półgodzinie mijał Stryj i kierował się do Użhorodu na przejście graniczne ze Słowacją. W tym samym czasie radio Lwowska Chwila podało informację o ewakuacji hotelu George. Dziennikarz mówił o strzelaninie i lokalnych porachunkach gangsterskich.

– Kapitanie Burdenko. Do antykwariatu Kuzniecowa weszli nasi z lwowskiego SBU. Kuzniecowa nie żyje. Ktoś go zastrzelił. Z nasłuchu radiowego wiemy, że to był prawdopodobnie napad rabunkowy, bo sejf został opróżniony – zaczął Oleksij.

– Zaraz to sprawdzę...

– Ale kapitanie. Jeden z naszych, który tam został na czujce, widział, jak z antykwariatu wychodził pewien facet. Ponieważ chłopak jest stąd, twierdzi, że to jest starszy oficer z lwowskiego SBU.

– Kurwa! To na razie zostaje między nami. Niech w Kijowie to dalej ustalają. Rozumiemy się?

– Tak jest.

– Zbierajcie się i wracajcie jeszcze dzisiaj do Kijowa. Zaraz załatwię to z waszą centralą. Dobra robota, poruczniku. Dziękuję. – Rozłączył się.

Rozdział 33

Warszawa (Polska) – wiosna 2014

Ciemne pluszowe zasłony nie tylko oddzielały niewielki pokój w siedzibie Agencji Wywiadu przy ulicy Miłobędzkiej od dziennego światła, ale i wygłuszały wszelkie dźwięki, które mogłyby w jakiś sposób przeszkadzać w badaniu na poligrafie.

Amerykańskie urządzenie firmy Texas Instruments było gotowe. Arek powoli dociskał sterczące wtyczki z metalowymi końcówkami. Ustawiał po kolei we właściwych pozycjach liczne pokręta oraz sprawdził poziom tuszu w czterech plastikowych pojemnikach.

– To co? Jesteś wypoczęty? Jak się czujesz? Usiądź wygodnie. Podepnę cię.

– A jak się mogę czuć?! – odgryzł się Łodyna. – Jak zawsze źle przy tych durnych drutach. Moje zdanie od lat nic się nie zmieniło, szczególnie po tym, jak kiedyś trzy dni z rzędu miałem wariograf. Pamiętasz, za jakich czasów?

– To który raz cię podłączamy? Liczyłeś?

– Sorry, Arek, ale straciłem rachubę. Masz to zapisane.

– Ale ciekaw byłem, czy ty pamiętasz. Wiesz, że to standardowa procedura po przyjeździe z placówki zagranicznej. Okej. Wygodnie siedzisz? – zapytał poligrafer i jeszcze raz sprawdził stopień naciągnięcia grubej, elastycznej rurki na piersiach Łodyny.

– Wygodnie.

– Czyli zaczynamy. Będą to pytania, które omówiliśmy wcześniej. Pierwsze natury ogólnej. Potem przejdziemy do zasadniczych. Sam wiesz.

Rysiki zaczęły nanosić wykresy w różnych kolorach na sztywnym papierze, odwijającym się z rolki ukrytej pod metalicznożółtą pokrywą urządzenia. Arek zaznaczał długopisem interesujące go, reprezentatywne fragmenty zapisu. Po półgodzinie zapytał:

– Jakaś przerwa? Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Jedziemy dalej.

Rysiki po krótkiej przerwie, sprawdzeniu i skalibrowaniu urządzenia powtórnie ruszyły w swój taniec.

– Czy ukrywałeś coś przed swoimi przełożonymi? Coś, co mogło mieć wpływ na realizowane działania wywiadowcze za granicą? – padło pytanie.

Łodyna zawahał się w myślach, ale trwało to ułamek sekundy. O ułamek sekundy za długo.

– Nie.

– Czy utrzymywałeś nieformalne kontakty z funkcjonariuszami służb partnerskich i czy przekazywałeś im nieautoryzowane przez wyższych przełożonych informacje?

– Nie.

– Czy wykorzystywałeś wyjazdy służbowe do realizacji nieuzgodnionych z wyższymi przełożonymi działań lub przynoszących korzyści inne niż służbowe?

– Nie.

– Czy zajmowałeś się handlem dziełami sztuki?

– Nie.

Po czterdziestu minutach wydawało mu się, że zna już wszystkie drobne rysy, dziurki i nierówności na ścianie naprzeciwko. Po następnych kilkunastu minutach miał wrażenie, że ściana ta to się przybliżyła, to od niego oddała. Przypomniał sobie pewnego gamonia, którego wysoko postawiony politycznie wujek wcisnął do wywiadu, a który zasnął w czasie badania.

– Jak wrażenia po? Jak się czujesz? Jakies uwagi?

– Odpowiem jak zawsze. Czuję się chujowo.

Arek uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Postaraj się jak najszybciej zrobić opis, proszę. Nie lubię być w zawieszeniu, jak zresztą każdy.

– Zanim coś napiszę, muszę najpierw iść do dyrektora. Tak mi polecił.

– Pierdolisz? Do którego dyrektora?

– Do mojego, od spraw wewnętrznych. Co się dziwisz? Takie otrzymałem oficjalne polecenie od Romańczuka. Nic nie poradzę, Marcin.

– Wiesz co, Arek. Zawsze się zastanawiałem, czy to przypadek, że przy wejściu do tego pokoju wisi szalik Liverpoolu z hasłem: *You'll Never Walk Alone*.

– Hmm. Czy ja wiem... Może i nie przypadek.

– Tak myślałem – odpowiedział Łodyna i pożegnał się z poligraferem.

Łodyna znał Arka od kilkunastu lat. Wiedział, że jest rzetelny. Tak jak i on, miał parę potknięć osobistych i służbowych. Może dlatego był najbardziej wiarygodnym z poligraferów. Przynajmniej dla Łodyny. Ale to, co przed chwilą powiedział, poważnie go zaniepokoiło. Nawet bardziej niż zadawane pytania. W pionie wewnętrznym, gdy mieli na kogoś jakieś haki, to cierpliwie czekali na wyniki badań na wykrywaczu kłamstw albo rezultaty testów psychologicznych. „A teraz chcą taki materiał *sauté*?”

* * *

Łodyna ocknął się nagle. Podświadomie czuł jakiś niepokój. Spojrzał na zegarek. Była godzina ósma trzydzieści. Ewa cicho oddychała. Spojrzał na jej rozpuszczone blond włosy i zamknięte oczy. Wiedział, że czuje się przy nim bezpiecznie. To dla niej było najważniejsze, oczywiście oprócz Michała. Chwilę leżał i próbował znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytanie. Jak to możliwe, że został namierzony przez Rosjan we Lwowie. „Kto zdradził? Kiedy?” Bo że tak się stało, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Po chwili obudziło się dziecko. Nie płakało. Stało w łóżeczku i coś gaworzyło. Łodyna wstał, nachylił się nad Michałem i wziął go na rękę.

Uśmiechnął się, a ten małymi rączkami złapał go za brodę.

Major spojrział przez okno na Wisłę. Powoli budził się dzień. Przez uchylone okno wdzierał się szum samochodów sunących Trasą Łazienkowską. W tym momencie usłyszał jakiś dziwny ruch za drzwiami wejściowymi. Zastygł. Postawił syna w łóżeczku. Spojrzął delikatnie przez wizjer. Zobaczył Lidkę, koleżankę z wydziału wewnętrznego AW. Trochę się uspokoił. W tym momencie usłyszał dzwonek. Otworzył drzwi.

– Cześć, Marcin. Departament Postępowań Karnych ABW ma nakaz prokuratorski przeszukania twojego mieszkania – powiedziała i kiwnęła głową na trzech mężczyzn, którzy stali na zewnątrz.

– Kapitan Majszczyk. A to moi koledzy do przeprowadzenia czynności – powiedział jeden z nich, wyjął legitymację służbową, a następnie dokument wystawiony przez Prokuraturę Okręgową w Warszawie.

– Zaczniemy od protokołu – dodał. – Czynności prowadzone są w związku ze śledztwem z artykułu 130. paragraf 1 Kodeksu Karnego. Czyli chodzi o szpiegostwo – powiedział drugi mężczyzna.

– Szpiegostwo? Chyba kogoś nieźle pojebało! – Łodyna zwrócił się do koleżanki, która wzruszyła tylko ramionami.

– Słuchaj, Marcin. Nie wiem, o co chodzi. Dostałam polecenie od Romańczuka.

– Powiedz, że go zajebię, jak go spotkam. Nawet jeśli będzie już na emeryturze. Magda o tym wie?

– Tak. Właśnie ją o tym poinformowano – odpowiedziała, patrząc na zegarek. Funkcjonariusze ABW spoglądali to na siebie, to na Łodynę, to na jego koleżankę. Nie byli pewni, co się dzieje i do kogo przyszli.

– Zanim zaczniemy przeszukiwanie, muszę zadać parę pytań – odezwał się Majszczyk.

W tym momencie Michał się rozplakał, a Ewa obudziła. Stała w drzwiach pokoju, trzymając dziecko na rękach.

– To pan nie jest w domu sam?! – zapytał kapitan.

– Jak pan widzi.

– Marcin, kim są ci ludzie? – spytała Ewa.

– Mamy gości z ABW. Chcą robić rewizję.

– A co to jest, to... ABW?

– Takie KGB, a dokładnie FSB. Albo takie wasze SBU. – Łodyna podszedł do Ewy i przytulił ją. – Jak będzie już po wszystkim, wytłumaczę ci, kochanie. Ewuniu, to nie zależy ode mnie. Ubierz Michała i idź do sąsiadki.

Łodyna starał się trzymać nerwy na wodzy i zachowywać spokojnie, ale w środku się gotował.

– Mówiłam ci. Nienawidzę tych... *szpionskich* gier. Tak nie da się żyć. – Zamknęła za sobą drzwi do sypialni, a po chwili wyszła z pokoju z Michałem na rękę i składanym wózkiem.

– Idę na spacer. Mam nadzieję, że jak wrócę, to już ich, tych... nie będzie. Zadzwoń do Magdy – powiedziała.

Minęła funkcjonariuszy ABW. Wiedzieli, że być może to błąd, że nie zareagowali, ale nie byli w stanie jej zatrzymać. W końcu to matka z małym dzieckiem na rękę. Koleżanka Łodyny nie patrzyła na tę scenę. Odwróciła się do okna i obserwowała sznur samochodów na Trasie Łazienkowskiej. Łodyna czuł wściekłość, która stopniowo zamieniała się w bezradność. Co mógł zrobić? Funkcjonariusze ABW przystąpili do przeszukania.

– Aha, zapomniałem zapytać – rzucił Majszczyk. – Ma pan może broń?

– Tak. Mam.

– Proszę przynieść.

Lidka zbladła. Wprawdzie do tej pory nie miała do czynienia z takimi sprawami, ale szybko domyśliła się, że tak się nie postępuje. Łodyna wyjął ze schowka w szafie swojego browninga. Wypiął magazynek i przyniósł broń do pokoju. Energicznie przeładował pistolet prawie przed nosem kapitana ABW, a potem skierował lufę w podłogę. Po pokoju rozszedł się dźwięk głuchego stuknięcia iglicy. Majszczyk zastygł.

– No co, strzał kontrolny! – rzucił beczelnie Łodyna i położył broń obok protokołu.

– Panie kapitanie, chyba coś mamy! Niech pan podejdzie! – dobiegł go głos z przedpokoju. Majszczyk wstał i po chwili wrócił, trzymając legitymację służbową AW Łodyny.

– Skąd pan to ma?! – zapytał śledczy.

– Jak to skąd? Chyba umie pan czytać? Kto jest podpisany w niej jako wydający szmatę? Czyje są dane i zdjęcie?

– To kim pan jest? Gdzie pan pracuje? – zapytał kapitan i popatrzył na zdziwionych kolegów. – Poproszę panią na bok – zwrócił się do Lidki.

Tymczasem dwaj pozostali przeglądali osobiste rzeczy jego i Ewy. Zajrzeli nawet pod materac małego Michała i do szafy. Przeglądali też różne papiery, zwykle domowe rachunki za prąd, czynsz, gaz. Kartkowali książki, tak jakby szukali jakichś dokumentów. Potem zgarnęli wszystkie pendrive'y, na których Łodyna miał głównie rodzinne zdjęcia, i wyjęli kartę z aparatu fotograficznego.

– Ej, ty! Zostaw to! Tego nie można – zaprotestował ostro, gdy jeden z funkcjonariuszy ABW wziął do ręki laptopa. – To jest komputer mojej żony. Ma na nim ważne dane personalne pacjentów, wyniki ich badań lekarskich. Ona jest lekarzem! Rozumiesz, kolego?

– Zabezpieczamy wszystkie nośniki elektroniczne. Takie mamy polecenie z prokuratury z Chocimskiej – odpowiedział bez emocji Majszczyk.

Łodyna odniósł wrażenie, że funkcjonariusze ABW nie przeszukiwali mieszkania ze szczególnym zaangażowaniem. Starali się zachować pozory profesjonalizmu, ale powoli domyślali się, że gra idzie o coś innego.

Rewizja trwała niecałe dwie godziny. Na koniec kapitan wypełnił protokół przeszukania, na którym Łodyna musiał się podpisać. Wynikało z niego, że na poczet prowadzonego postępowania zabezpieczają dwa laptopy, trzy pendrive'y oraz kartę pamięci z aparatu fotograficznego.

– Wiecie, ilu ludzi będzie miało problemy po zabraniu komputera żony? Jak ona się z tego wytłumaczy w szpitalu? Dociera to do was czy nie? Poza tym, co

to za dodatkowe artykuły Kodeksu Postępowania Karnego, na które się powołujecie? Dlaczego ich tyle jest? – mówił Łodyna do milczących funkcjonariuszy ABW.

– Marcin, wszystko się wyjaśni. Zobaczysz – włączyła się milcząca dotychczas Lidka.

– Jestem pamiętliwy, kochana. Wiesz o tym – dodał.

Łodyna zamknął drzwi za ekipą śledczą. Usiadł w kuchni i tępym wzrokiem patrzył w kubek z niedopitą kawą. „Kurwa, oni widzą we mnie przestępcę. Tom i Kate mieli rację. Kto u nas wpadł na ten pomysł!? Chuj by go strzelił i święta ziemia pochłoneła jak najszybciej”. Na smartfonie wybrał numer Ewy.

– Tak. Poszli już. Możecie wracać. – Rozłączył się.

Niebawem Ewa weszła do mieszkania z dzieckiem cała zapłakana.

– Rozmawiałam z Magdą. Mówiła, że u ciebie w pracy też zrobili rewizję. Marcin, czego oni od ciebie chcą? Za kogo oni cię mają?

– Kochanie, wszystko się wyjaśni. Zobaczysz. Najgorsze, że zabrali twojego laptopa.

– Jak to?! Ale dlaczego? To bezprawne! Jak ja będę pracowała? Przecież mam tam ważne informacje o pacjentach, sprawozdania, zalecenia od profesora. Co ja mu powiem? Że jakaś *jobana* bezpieka mi wszystko zabrała? Wywalą mnie! A tak się starałam, żeby właśnie u niego pracować.... – Znowu się rozplakała.

– Ewa, spokojnie. Jak chcesz, to z nim porozmawiam. Wyłumaczę. Poza tym postaram się, aby zwrócili ci go jak najszybciej. A teraz wychodzę. Muszę coś załatwić z Magdą. Nikomu nie otwieraj – powiedział i wyszedł z mieszkania.

Wsiadł do swojego samochodu. Wyjął smartfona i połączył się z Sierpecką. Umówili się w kawiarni Lotos przy Belwederskiej. Gdy wszedł do lokalu, rozejrzał się. Zobaczył ją z daleka. Widać było, że ona też jest przybita takim obrotem spraw.

– Przesłuchiwali mnie w twojej sprawie. Wychodzi na to, że coś wyszło nie tak z poligrafu, albo szukają tylko pretekstu, żeby cię zajebać.

– Wierzysz mi?

– Nie mam powodu, aby myśleć inaczej. Rozmawiałam z Ewą. Bardzo to przeżyła. Musisz ich jakoś chronić przed tym całym syfem.

– Wiem. Magda, rozmawiałaś z Arkiem?

– Nie.

– Pogadaj z nim, proszę. Jeżeli były jakieś naciski na wynik badania wariograficznego, to tobie powie.

– Okej.

– Ty, widzisz tych dwoje przy stoliku w rogu?

– Tak. Ich samochody stoją na zewnątrz. Jeden tu, a drugi przy Chełmskiej. To ekipa ściągnięta z Delegatury ABW w Radomiu. Pracowałam z nimi w zeszłym roku.

– Jak atmosfera w firmie? Coś się rozeszło?

– Tak. Wiesz, korytarz trochę o tym huczy. Podejrzewam, że ktoś specjalnie puścił informację. Ale ludzie nie wierzą, że sprzedałeś się ruskim.

– Chociaż tyle.

– Jest jedna dobra informacja. Nasi amerykańscy partnerzy będą jutro u Czuchy. Chcą z nim porozmawiać. Rano dzwoniła Kate, już z Warszawy. Właśnie przyleciała z Genewy. Lens dotrze dzisiaj wieczorem. Po południu przyjdzie zapewne od nich memo, ale nic w nim więcej nie będzie.

– Masz jakiś dojazd do prokuratury przy Chocimskiej? Muszę dotrzeć do prokuratora Czerwińskiego. To on prowadzi moją sprawę.

– Nie, ale zorientuję się. A twoja znajoma, słynna pani sędzia? Może ona? Najwyżej nasi się mocno wkurwią. W końcu to była minister.

– O właśnie. Muszę się z nią spotkać jeszcze dzisiaj. Ale niezależnie od tego spróbuj, proszę. Chodzi również o laptopa Ewy. Ma w nim ważne dane służbowe. W zasadzie to dopiero wczoraj tak naprawdę zaczęła pracować. I od razu taka afera!

– Jest załamana. Długo z nią rozmawiałam.

– Ale co ja, kurwa, mogę zrobić, Magda? – urwał. – Powiedz mi. Skąd ty miałaś taki dokładny adres tego lwowskiego antykwariusza? Cały czas mnie to męczy. Nie pytałem wcześniej, bo nie było okazji.

– Posłuchaj. Gdy facet, ten antykwariusz we Lwowie, robił zdjęcie rysunku Dürera, miał ustawiony w aparacie GPS. Może sam o tym nie wiedział. Lokalizacja zapisała się w cyfrowych metadanych fotografii. I to cała tajemnica. Nie możesz wpadać w paranoję. Wydaje mi się, że oni nic na ciebie nie mają. Nic nie mogą z tego ukręcić. Czekają, żebyś popełnił jakiś błąd. Na przykład przypierdolił na korytarzu Romańczukowi.

Rozdział 34

Warszawa (Polska) – wiosna 2014

Romańczuk z trudem wszedł do gabinetu generała Czuchy. Usiadł na krześle i rzucił na stół teczkę. Wyglądał źle. Jego twarz była zmęczona, a cera żółtawa. Ostatnio schudł parę kilogramów. Zdarzały mu się wymioty i podwyższona temperatura ciała. W gabinecie siedzieli już zastępca szefa AW do spraw operacyjnych Marek Matecki i zastępca do spraw informacyjnych Dominik Gajda.

– Tomek, jak twoje zdrowie? Źle wyglądasz – powiedział Czucha i z niepokojem spojrzał na kolegę odpowiedzialnego za pion bezpieczeństwa wewnętrznego.

– Niezbyt dobrze. Jutro idę do szpitala, o tam. – Wskazał ręką na budynek szpitala MSW przy Wołoskiej. – Jak dostanę pokój z widokiem na Miłobędzką, to będziemy mogli sobie pomachać przez okno. Jutro rano kładę się i lekarze zdecydują, co dalej. Właśnie w teczce jest zwolnienie na tydzień. – Zawiesił głowę i z trudem wciągnął powietrze.

– Jasne. Rozumiem. To do rzeczy. Co z tym Łodyną?

– Wnioskowałbym o zawieszenie go w czynnościach na czas prowadzonego postępowania przez prokuraturę okręgową.

– Dlaczego?

– Wyniki badania na poligrafie są niepokojące. Być może nawet celowo zakłócał przebieg badania. Analizując je, można dojść do wniosku, że Łodyna miał nieujawnione kontakty z obcymi służbami specjalnymi. I to co najmniej

kilkoma. Mógł też prowadzić nieautoryzowane działania. Nie wyklucza się też, że handlował dziełami sztuki na skalę międzynarodową.

– Co? Chyba z tą skalą międzynarodową to przesadziłeś – wtrącił Gajda.

– Poligraf to za mało. To nie jest dowód dla prokuratury, a tym bardziej dla sądu. Z kim miałyby współpracować? Z jakimi służbami i to w dodatku z kilkoma?! Co miałyby robić nieautoryzowanego? – zapytał Czucha.

– Tomek. Kto to wymyślił z tym handlem? Pewnie nasz Edward Nożycoręki. Bo nie wierzę, że Arek. Jeśliby tak było, to Łodyna kupiłby cały nasz budynek razem z tym szpitalem obok. Wiesz, o jakich ty pieniądzach mówisz? – odezwał się prześmiewczo Matecki.

– Tak wynika z badań. Mamy to udokumentowane.

– Może i wynika. Nie zmienia to jednak mojej opinii, że jest dobrym, kreatywnym oficerem – dodał Matecki i jak zwykle wyluzowany założył nogę na nogę.

– Moje zdanie jest zupełnie inne. Po pierwsze, coś przed nami ukrywa. Po drugie operacje, w których uczestniczył, przeważnie kończyły się fiaskiem. Efekty są mizerne... – tłumaczył Romańczuk.

– Przesadziłeś – przerwał mu Matecki.

– Posłuchajcie. Jutro w sprawie operacji w Wenezueli i w Mołdawii przyjeżdża szef Operacji Specjalnych CIA z szefową ich stacji w Genewie.

– W Mołdawii? Tego nie wiedziałem – zdziwił się Romańczuk.

– Jak prowadziliśmy ustalenia co do Mołdawii, to byłeś na delegacji. Kontrolowałeś nasze rezydentury w Moskwie, a potem w Sankt Petersburgu. Tak się złożyło – wtrącił Matecki.

– Dlaczego nie poinformowano mnie o szczegółach tej operacji? – drążył Romańczuk.

– Tomek, jakie to ma znaczenie. Zapytaj swoją zastępczynię. Chyba ona wtedy reprezentowała twój pion, albo naczelnik – powiedział poirytowanym głosem Gajda.

– Wracając do meritum. Co dało przeszukanie? – Czucha zwrócił się do Romańczuka.

– To będzie wiedział zapewne niebawem prokurator.

– Nie przesadzasz, kolego? To od czego ty tu, kurwa, jesteś!? Za co odpowiadasz w firmie? Jak to ty nie wiesz? – Matecki odwrócił twarz do okna.

– Z mojej wiedzy wynika, że nic specjalnego. Biegły będzie szukać na nośnikach. Na jednym pendrivie napisane było: *flepy*. To może wskazywać, że tam są jakieś niejawne dokumenty.

– Tomek. Ty idź już lepiej na te badania – prychnął Matecki.

– Marek! Spokojnie – wtrącił Czucha.

– Szefie. Bo z czym przychodzi do nas pion bezpieczeństwa? Na razie wygląda na to, że nic nie ma poza jakimiś przy-pusz-cze-nia-mi – Matecki powoli przesyłabizował ostatnie słowo. – Nie ma mowy o żadnym zawieszeniu. Wraca do zwykłych zadań. Takie jest moje zdanie – dodał.

– Marek, niech Sierpecka powie majorowi, żeby ze dwa tygodnie odpoczął. Ma pewnie ze sto dni zaległego urlopu. Taka jest moja decyzja. Dziękuję państwu – zakończył odprawę Czucha. – Aha. Tomka jutro nie będzie, ale z lasu wróci Paweł. Dominik i Marek jutro rano u mnie. Czekaście, bo może będzie potrzebna wasza pomoc.

* * *

Czarny SUV chevrolet wyjechał spod ambasady USA w Warszawie. Kate patrzyła przez okno na wiosenne miasto. Obok z tyłu siedział Henry Lens, szef Departamentu Operacji Specjalnych CIA. Przejechali przez plac Konstytucji, minęli plac Unii Lubelskiej i skręcili w Rakowiecką. Po kilku minutach Amerykanie podjechali pod szlaban i wjazd do siedziby Agencji Wywiadu przy ulicy Miłobędzkiej. Czekala już na nich z przepustkami oficer z gabinetu szefa. Przeszli przez otwartą bramkę. Wjechali na siódme piętro.

Usiedli w sali konferencyjnej zabezpieczonej przed podsłuchami i ulotem elektronicznym. Na długim stole stały przekąski – paluszki, orzeszki ziemne,

butelki z wodą i soki Hortexu w pękatych butelkach, a w srebrnych termosach – kawa i herbata.

Czucha był zdenerwowany, bo wizyta została zaanonsowana zaledwie dwa dni wcześniej, autoryzowana w dodatku przez samego dyrektora CIA. W przekazanej mu pilnej informacji z Waszyngtonu znajdowały się jedynie kryptonimy dwóch wspólnych operacji oraz prośba, aby rozmowa odbyła się jedynie z Czuchą.

Lens pochodził z New Jersey, z rodziny o tradycjach pracy w służbach. Jego ojciec był długoletnim funkcjonariuszem FBI. Oficer CIA był średniego wzrostu, wysportowany. Ktoś z zewnątrz mógłby ocenić, że należał do ludzi o sympatycznej fizjonomii. W rzeczywistości był wymagającym, a wobec podwładnych niekiedy wyjątkowo ostrym oficerem, chociaż uśmiech nigdy nie znikał z jego twarzy.

– Witaj, Henry. Witaj, Kate. – Czucha przywitał gości w niewielkim korytarzu.

– Generale. Miło mi pana znowu widzieć.

– Co tak pilnego sprowadza was do Warszawy? – zapytał Czucha, nalewając kawę.

– Chodzi o realizowane ostatnio dwa wspólne przedsięwzięcia. Choć tak naprawdę to nie tylko. Dlaczego? To zaraz wyjaśnimy – zaczęła Kate.

Następnie w skrócie opisała wspólne działania podjęte w Wenezueli oraz Mołdawii. Poinformowała o ich bardzo dobrych wynikach. Zwróciła uwagę na duży profesjonalizm obojga polskich oficerów. Czucha z kolei podziękował Amerykanom za pomoc w odbiciu Sierpeckiej w Bukareszcie. Zaznaczył, że ze względu na charakter sprawy wciąż jest prowadzona jej analiza. Dodał, że o rezultatach poinformuje drogą oficjalną.

– W Wenezueli osiągnęliśmy wszystkie założone cele. Zdobyliśmy jednoznaczne dowody wskazujące na rosyjską aktywność wojskową na wyspach Morza Karaibskiego. Natomiast nasze działania w Mołdawii, mimo incydentu z porwaniem waszej oficer, rozwijają się – wtrącił Lens. – Ja, jak również Kate,

chciałbym wyrazić podziękowanie za wielkie zaangażowanie oficerów polskiego wywiadu w prowadzone operacje. Ale o tym jeszcze za chwilę. Wystąpiliśmy do dyrektora CIA o nadanie obojgu oficerom naszych odznaczeń – dodał.

Czucha słuchał i miał jakieś wewnętrzne przekonanie, że coś się tu nie zgadza. Amerykanie komplementowali Sierpecką i Łodynę, gdy tymczasem raporty pionu bezpieczeństwa wewnętrznego wskazywały, że popełniono wiele błędów i doszło do dekonspiracji. Nie rozumiał, co się dzieje. „Jaki cel miałiby Amerykanie w tym, żeby mnie oszukiwać?” – zastanawiał się.

– Ale chyba nie po to przyjechaliście do Warszawy, aby mi to powiedzieć? W dodatku tak nagle, niemal w trybie alarmowym – odezwał się po chwili Czucha.

– Naturalnie, że nie. Jest inna sprawa, o której chcielibyśmy porozmawiać. Ona jest głównym powodem naszego pośpiechu – odpowiedział Lens. – To może ty, Kate.

– Odnotowujemy od pewnego czasu aktywność tak zwanych zespołów specjalnych SWR. W czasie obu ostatnich wspólnych operacji również zauważyliśmy ich obecność. Nie wiemy, czy była to jedna, czy kilka grup. Jedno jest pewne, odnaleźliśmy ślady ich działalności w Danii, Szwajcarii, u nas w USA, na Bliskim Wschodzie, Wenezueli, Rumunii, a ostatnio na Ukrainie i... tutaj w Polsce.

– U nas? Jesteście tego pewni? I jeszcze na Ukrainie? Zaraz mi zakomunikujecie, że na przykład we Lwowie. Rozumiem, że macie potwierdzone informacje i powiecie mi, na czym polega ich działalność? – rzucił z lekką ironią Czucha.

– Tak, mamy potwierdzone. I chodzi również o Lwów. Ale po kolei – odpowiedziała Kate.

Czucha, słysząc to, jakby zapadł się nieco w sobie. Spoważniał, a w zasadzie zamarł.

– To działalność wielopłaszczyznowa, bardzo profesjonalna i nastawiona na realizację zapewne perspektywicznych celów. O efektach cząstkowych

przekonałiśmy się już niejednokrotnie. Dostaniecie niebawem od nas pełną informację w tej sprawie, a w zasadzie dogłębną analizę ze wszystkimi danymi. W tym osobowymi. Może uda się wam coś ustalić. Szczerze mówiąc, bardzo na to liczymy, bo nie wszystkie cele rosyjskiej operacji są dla nas do końca jasne. Wracając do meritum. To, co nas sprowadza w takim trybie do Warszawy, to werbowanie przez Rosjan do tej operacji agentury w służbach specjalnych. – Lens zrobił przerwę i popatrzył uważnie na skupionego Czuchę.

Czucha poczuł jeszcze większy niepokój. Wiedział, do czego zmierzają partnerzy i że być może będzie musiał stanąć za moment przed trudnym wyborem. Przed sytuacją, która zadecyduje o jego losie. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego pozycja u premiera jest słaba, bo ten nie przepada za służbami specjalnymi. Obawiał się, że wykorzysta każde jego potknięcie, aby się go pozbyć. Różnymi kanałami docierało do niego, co się o nim mówiło nieoficjalnie, i jakie plotki chodziły w sejmowej komisji do spraw służb specjalnych i w Alejach Ujazdowskich. „Czucha, jako człowiek kontrwywiadu, ma trzymać AW w ryzach, aby nie była za bardzo aktywna. Za granicą aktywnie mają działać jedynie służby dyplomatyczne bliskiego premierowi ministra Jaskólskiego”.

– Wiemy, że niedawno we Lwowie wasz oficer w coś się wplątał, zapewne przypadkowo. Rozmawiałam z nim w Bukareszcie i wiem, że planował powrót do Polski.

– Widzę, że dużo wiecie na nasz temat. Czy to od niego? Od tego oficera?

– Nie, on nie miał o niczym pojęcia. To nam wyszło, powiedzmy przy okazji. Trochę przypadkowo. Właśnie w czasie namierzenia jednego ze zidentyfikowanych wcześniej zespołów SWR. Zresztą tego samego, który stał za porwaniem waszej oficer w Bukareszcie – wtrącił zdecydowanie Lens.

– Przekładkowo? Nie chce mi się wierzyć. – Czucha wyprostował się na krześle.

– A jednak w naszym fachu również czasem zdarzają się przypadki. I tu dochodzimy do sedna sprawy – dodała Kate. – Posiadane przez nas wiarygodne

i potwierdzone informacje wskazują, że w szeregach Agencji Wywiadu Rosjanie umieścili swojego agenta.

W pokoju zapadła cisza. Amerykanie spokojnie patrzyli na Czuchę, jego twarz zastygła.

– To teraz może przedstawię, generale, szczegóły naszych ustaleń – dodała po dłuższej chwili Kate, dając szefowi polskiego wywiadu czas na ochłonięcie. Ze swojej teczki wyjęła plik dokumentów.

Gdy chevy na niebieskich tablicach rejestracyjnych z oficerami CIA wyjechał z siedziby AW na ulicę Miłobędzką, Kate wzięła ze schowka pozostawionego w samochodzie smartfona. Włączyła go i wybrała numer Sierpeckiej.

– Możesz być gdzieś z Marcinem, powiedzmy... przypadkowo, za trzy godziny? – zapytała. – Doskonale. Znajdę. Do zobaczenia. – Rozłączyła się, a Lens spojrział na nią wymownie.

* * *

Łodyna pierwszy przyszedł do Bierhalle przy Nowym Świecie. Wszedł wąskimi schodami na antresolę nad barem, zamawiając po drodze trzy niepasteryzowane pszeniczne piwa. Miejsce było doskonałe. Spokojnie mógł obserwować drzwi restauracji i ulicę, a jednocześnie sam był niewidoczny i schowany nieco w głębi, za balustradą. Miał na sobie rozciągniętą czarną bluzę z kapturem, ciemne spodnie i granatowe buty New Balance. Jego włosy od czasu pobytu w Wenezueli trochę już pociemniały.

Był po prawie dwóch godzinach intensywnego spaceru. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ekipa obserwacyjna z Radomia, nawet jeśli była wspomagana przez lokalne siły z Rakowieckiej, nie będzie znała wszystkich przejść i zakamarków, których używali oficerowie CIA czy BND w latach osiemdziesiątych. Już dawno z Agencji odeszli doświadczeni wywiadowcy betki, czyli dawnego Biura B, a w czasach UOP-u przemianowanego na Biuro Obserwacji. Marcin wiedział, że wyszedł spod obserwacji wyjątkowo szybko, już na początku manewru – w układzie bram, podwórek i przejść między

Warecką a Alejami Jerozolimskimi. Po drodze zauważył postać starszego mężczyzny w prochowcu, który intensywnie mu się przyglądał, ale zniknął po chwili w jednej z bram. Późniejsza trasa, która wiodła przez parki na dawnej wiślanej skarpie i po zakamarkach Powiśla, utwierdziła go w tym przekonaniu. Był przybity tym, co spotkało go w ostatnich dniach. Najbardziej tym, że z Miłobędzkiej nie docierały do niego żadne dobre wieści. Nie wiedział, co będzie dalej i kiedy wróci z przymusowego urlopu. Jak długo w ogóle potrwa czas tego zawieszenia? „Tydzień, dwa, miesiąc czy może nawet rok?” – zastanawiał się.

Po wielu latach pracy w wywiadzie, na finiszu sprawy, która wydawała mu się cholernie ważna, ktoś próbował tak skrępować jego ruchy, aby nie mógł jej dopiąć. Był o krok od rozwiązania tajemnicy Januszkiewicza. Jednak w kierownictwie Agencji nikt teraz nie chciał go słuchać. Co gorsza, niektórzy patrzyli tam na niego prawie jak na zdrajcę.

Do restauracji weszła Magda w obcisłym, zapiętym pod szyję, czarnym softshellu i sportowych okularach. Na głowie miała niebieską bejsbolówkę, a na nią założone duże słuchawki Marshalla. Włosy związała w koński ogon. Kiedy wchodziła po schodkach, w drzwiach pojawiła się Kate w mocno poprzecieranych modnych dżinsach z dziurami i błękitnym żakiecie. Włosy spięła w kok. Jej twarz zakrywały wielkie okulary przeciwsłoneczne Dolce & Gabbana. Wszyscy ubrali się w podobnym stylu.

– *Hi*, kochani – powiedziała Kate i dosiadła się do Polaków. – Co pijecie w tych wysokich szklankach?

– Piwo pszeniczne świeże. Trzecia dla ciebie – zdecydował za nią Łodyna.

– O, dziękuję, Marcin. – Wzięła szklankę i pociągnęła spory łyk. – Smaczne. Tom prosił o przekazanie pozdrowień. Jak żyjecie? – zapytała.

– Kate, szkoda gadać. Po powrocie do kraju wszystko się popieprzyło – powiedział z rezygnacją Łodyna.

– ABW zrobiło u Marcina w domu przeszukanie. Obserwacja na nim siedzi. Chcą go udupić. Rozumiesz? – wtrąciła Sierpecka.

– Powinam się mocno zdziwić, ale nie zaskoczyliście mnie. Wyprowadzili mocny cios w Marcina. To nie było przypadkowe, to się nam układa... – Kate nie dokończyła.

– Nic się nie układa! Powiem ci coś. Mieliście z Tomem rację. Mam przejebane – wycedził i zamilkł.

Kate z wewnętrznej kieszeni wyjęła niewielką kartkę z jakimś wydrukiem.

– Marcin, spójrz. – Przesunęła ją delikatnie po stole.

Na karcie znajdowało się pięć wierszy z danymi cyfrowymi w tabelce: numer telefonu, data połączenia i dane lokalizacyjne GPS.

– Masz mojego smartfona. Otworzę ci aplikację z mapą. Lepiej, abyście nie włączali swoich, bo was namierzają.

Łodyna wprowadzał po kolei dane lokalizacyjne z kartki. Magda i Kate w milczeniu, ale z wyczuwalnym napięciem obserwowały Marcina. Po chwili na ekranie smartfona Kate pojawiło się pięć punktów.

– Poznajesz? – zapytała Amerykanka.

– ...okolice Ustrzyk Dolnych, okolice Żyrardowa, Miłobędzka, szpital MSW przy Wołoskiej – wyliczał powoli Marcin i jednocześnie zaczął przybliżać mapę, która ukazywała szczegóły. – To jest... moja wieś! Kurwa, Kate! Co jest?!

– Us-trzy-ki Dol-ne, Łodyna. Połamię sobie język na tych waszych nazwach. Marcin, opowiadałeś nam kiedyś o włamaniu do twojego domu letniskowego i tym dziwnym wypadku lotniczym w okolicy. Sprawdziliśmy i porównaliśmy parę danych.

– Kate, a co łączy te wszystkie miejsca? – zapytała Magda, patrząc na wyświetlacz smartfona. – Tu jest lokalizacja naszej firmy! A te pozostałe? Ten Żyrardów, szpital?

– I tu zbliżamy się do rozwiązania zagadki. Ponieważ od pewnego czasu niepokoiły nas różne przypadki, postanowiliśmy im się dokładnie przyjrzeć. Po Sewastopolu byliśmy już pewni, że Rosjanie mają swojego agenta u nas albo u was. Informacje uzyskane przez Marcina od Pospiechowa jednoznacznie jednak wskazały na waszą Agencję.

– Czyli wiecie, kto to jest? – zapytała Sierpecka.

– Zrobiliśmy analizę, kto u was mógł mieć dostęp do informacji na temat poszczególnych spraw. Na jakim etapie i kiedy następowała dekonspiracja oraz kiedy realizowaliśmy je z powodzeniem. Słowem, chcieliśmy ustalić, kiedy następowało gnicie – dodała obrazowo Kate. – Wyszło nam, że wchodzi w rachubę następujące osoby: Czucha, Matecki, Koźlak, Romańczuk oraz Gajda.

– Prawie cała nasza wierchuszka. Kate, jak zwykle mocno bijesz – wtrącił Łodyna i wychylił do połowy szklanę mętnego piwa.

– W wyniku szerokiej analizy pod kątem miejsc zamieszkania, przebywania i tak dalej wszystkich tych oficerów znaleźliśmy jeden element, który połączył je z... okolicą domu letniskowego i miejscem rozbicia się... tego łotewskiego samolociku. Jakiś czas po wypadku, tylko na moment, zalogował się w tym rejonie do sieci GSM pewien numer i połączył się z drugim. Ten drugi, jak ustaliliśmy, dość regularnie logował się i wylogowywał z sieci. Jednak nigdy nie przemieszczał się i nie miał innych połączeń. Ponadto namierzaliśmy w tym rejonie i w tym samym czasie transmisję z telefonu satelitarnego. Ustalenie jego dokładnej lokalizacji nie było problemem. To okolice... Ży-rar-dow? To tyle. Przekazaliśmy wszystko waszemu szefowi – powiedziała Amerykanka.

– Ale co przekazaliście? Co z tego wynika? – dopytywał Łodyna.

– Marcin. Kurwa, nie wiesz, kto tam mieszka?! – wybuchnęła Sierpecka.

– A skąd mogę wiedzieć? To nie moje towarzystwo! – zachnął się. – Ale... O, kurwa! – rzucił i popatrzył na Kate. – Ja pierdołę, Romańczuk? – powiedział jakby z niedowierzaniem ściszonego głosem i zakrył twarz dłońmi.

– W telefonie Rosjanina, który zginął we Lwowie, widniał pod kryptonimem Surfer – dodała Kate.

– Pamiętasz, wysłałeś mi ze Lwowa zdjęcie gościa, który pojawił się w antykwariacie. Wiesz, kim był? – wtrąciła się Magda. – Niejaki Siergiej Sokołow, pułkownik SWR, syn Kazimira Sokołowa, oficera NKWD z polsko-ukraińskiej rodziny. Kazimir był polskim żołnierzem.

Łodyna, gdy przed wyjazdem do Wenezueli przeglądał w Centralnym Archiwum Wojska w Rembertowie, a także Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie materiały archiwalne dotyczące 2 Korpusu, w jednym z pamiętników oficera Dwójki, w tak zwanej *blok kniżce*, natrafił na opis pewnej operacji specjalnej w Palestynie w 1943 roku. Tam właśnie pojawiło się nazwisko Sokołow, który według tego oficera był sowieckim agentem.

– Sokołow dysponował informacjami z okresu postsowieckiej transformacji, w tym uwłaszczenia się na majątku państwa współpracowników Putina. I ma ciekawe zainteresowania historyczne, jest szefem Związku Historyków Wojskowości Federacji Rosyjskiej – wtrąciła Kate.

– Wychodzi zatem, że jego ojciec był oficerem radzieckiego wywiadu. Rodzinna tradycja, klasyka – dodał Łodyna.

* * *

W tym samym czasie w sekretariacie szefa AW panowała nerwowa atmosfera. Do jego gabinetu docierali członkowie kierownictwa Agencji. Kilku naczelników oczekiwało z różnymi dokumentami. Nawet odpowiadający za archiwum ścisnął parę opasłych tomów starych spraw operacyjnych.

– Marek, nie wiesz, po co generał wszystkich nas ściąga? – dopytywał Koźlak pierwszego zastępcę szefa AW. – Miałem położyć się jak Tomek na badania do szpitala. Tak mi zalecił lekarz... a tu to... trochę mi pewne sprawy komplikuje.

– Sekretarka mówiła tylko, że po wizycie Amerykanów Czucha pojechał do KPRM-u. Jak wrócił, nie wychodził od siebie ze dwie godziny. Naczelnicy donoszą do jego gabinetu sprawy z kilku pionów.

– Dominik? A ty nie wiesz, o co chodzi? – drążył Koźlak.

– Nie mam pojęcia, Paweł. Widziałem tylko, że ta zastępczyni Romańczuka jest jakaś przerażona. Potem przyszedł dyrektor kadr i razem weszli do szefa – odpowiedział.

– Może ją w końcu wypierdolą? – wtrącił Matecki, który niewzruszenie sprawiał wrażenie wyluzowanego.

– Tak coś mi się wydaje, bo potem koleżankę wezwał naczelnik z wewnętrznego. Też w obecności dyrektora kadr – dodał, nie odwracając spojrzenia od okna.

– A w ogóle nie wiecie, co z Tomkiem? Podobno nieźle mu wyszły te badania. – Koźlak zmienił temat.

– Nie, nie ma żadnej informacji. Ale to chyba dobrze. W tym wypadku brak wiadomości to dobra wiadomość. A ty co dzisiaj taki pytający? – rzucił Gajda.

Po kilku minutach do zabezpieczonej sali konferencyjnej, w obecności pani naczelnik z pionu bezpieczeństwa wewnętrznego i dyrektora kadr, wszedł Czucha. Wszyscy wstali.

– Witam panią i panów. Siadajcie. Mam wam do zakomunikowania bardzo przykrą wiadomość – zaczął Czucha i pociągnął ze szklanki łyk wody. – Dzisiaj rozmawiałem z premierem o zaistniałej sytuacji – dodał, ale jakby wstrzymał dalszą wypowiedź.

Wszyscy patrzyli na niego z uwagą. Nawet Matecki zdjął nogę z nogi, a Koźlak, który znał najdłużej Czuchę, bo razem byli na roku w Kiejkutach, jakby zbladł. Gajda, najmłodszy, który nie uczestniczył w jakichkolwiek grach podjazdowych w kierownictwie Agencji, siedział spokojnie. Pani naczelnik i dyrektor kadr mieli kamienne miny, ale na ich twarzach widać było jakiś ukryty strach. Jakby w ostatnich kilkunastu minutach ktoś przedstawił im katastroficzną wizję przyszłości.

– Dzisiaj poinformowałem premiera, że w szeregach Agencji Wywiadu ujawniony został współpracownik rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego. Chodzi o pułkownika Tomasza Romańczuka – wycedził Czucha.

W sali konferencyjnej, jeśli nie liczyć szumu klimatyzatora, panowała niemal absolutna cisza. Tak jakby uczestnicy spotkania na komendę wstrzymali oddech. Rozbiegane oczy Koźlaka szukały jakiegoś punktu zaczepienia za oknem. Twarz Mateckiego zastygła w dziwnym grymasie, Gajda patrzył na Czuchę, jakby nie rozumiał, co ten przed chwilą powiedział.

– Panowie i pani. – Czucha spojrział na podwładnych. – Jest jeszcze druga smutna wiadomość. Gdy referowałem sprawę premierowi, otrzymałem informację od ordynatora Kliniki Onkologii i Hematologii szpitala MSW, że pułkownik Romańczuk, mimo nie najgorszych rokowań, nagle zmarł. Mam nadzieję, że niejasności wyjaśni zarządzona sekcja zwłok.

– Szefie, w tej sytuacji ta ostatnia wiadomość jest... w zasadzie dobra – przerwał milczenie Matecki.

– Niezupełnie. Ktoś z was ostatnio odwiedzał w szpitalu Romańczuka?

– Tak... – Koźlak nie miał pewności, czy dobrze zrobił, przyznając się.

– Zgadza się. O tym wiem już od ordynatora. Rozmawiałeś z nim...

– Tak. Ale dosłownie tylko chwilę. Tomek nie wyglądał na takiego, który miałby nagle odejść.

– Paweł. Czekam w takim razie na dokładną notatkę w tej sprawie. Ale jest coś jeszcze. W rozmowie ze mną ordynator dodał, że był u niego ktoś inny. Jakiś starszy mężczyzna. Podobno twierdził, że jest jego bratem, a ja wiem, że Tomek nie miał brata... – Zawiesił głos. – Poprosiłem więc pion wewnętrzny o natychmiastowe zwrócenie się do dyrektora szpitala o udostępnienie pełnego zapisu z kamer monitoringu. Musimy się dowiedzieć, kim był ostatni gość u Romańczuka. Jadę na Rakowiecką zreferować sprawę szefowi ABW. Na razie to wszystko. – Czucha energicznie odsunął fotel, dając znać, że odprawa zakończona.

– Czyli są niejasności co do okoliczności jego śmierci? – zapytał Gajda.

Czucha nie odpowiedział, tylko zmierzył go wzrokiem.

– Aha. Jeszcze jedno. Sprawy prowadzone przez Tomka... to znaczy przez pułkownika Romańczuka, przejmie pani naczelnik. Pani dyrektor pionu bezpieczeństwa wewnętrznego została zawieszona – zadysponował Czucha. – Jutro o godzinie dziewiątej odprawa. Proszę do tego czasu przygotować szczegółowe analizy pod kątem kontrwywiadowczym wszystkich spraw, do których wgląd miał, z racji nadzoru czy realizacji, pułkownik Romańczuk. Do jutra wszystko, co ode mnie tutaj usłyszeliście, ma zostać w tajemnicy.

– Szefie, rozumiem, że mam też przygotować informację związaną z dzisiejszym szyfrogramem z naszej rezydentury w Moskwie o przygotowywanej prowokacji? – zapytał Gajda już na korytarzu.

– Tak. A kiedy oni to mają odpalić?

– Myślę, że w poniedziałek do południa.

– Możemy coś z tym zrobić informacyjnie?

– Trudna sprawa, szefie – odpowiedział z lekkim zacięciem Gajda i pokręcił z rezygnacją głową.

– Co wiesz? Ale szybko.

– Z dobrego źródła wiemy, że mają ujawnić coś, co skompromituje nasz kraj w oczach międzynarodowej opinii publicznej. Jakiś dokument, historia wojenna.

– Jesteś pewien?

– Tak.

* * *

Tego samego dnia późnym wieczorem zadzwoniła do Czuchy żona Romańczuka. Rozdygotanym głosem poinformowała, że było u niej włamanie. Zauważyła je może godzinę, dwie po opuszczeniu jej domu przez ekipę śledczą ABW, która na polecenie Prokuratury Okręgowej w Warszawie dokonała przeszukania.

– Ktoś wyłamał drzwi do budynku gospodarczego. Bałam się głębiej wchodzić. Ale widziałam, że porozrzucane były kawałki drewna. Nie wiem, czy coś ze sprzętu zginęło. Poza tym nic nie słyszałam, jestem na lekach uspokajających. Pies nie ujadał. Może coś dostał, bo cały czas śpi. Akurat byłam wtedy sama, bo siostra z synami pojechali już do domu, a córka z mężem lądują dopiero dzisiaj w nocy w Warszawie. Jakby wiedzieli o tym – powiedziała. I dodała: – Boję się, panie generale. Czego tam ktoś mógł szukać? Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzić... – Rozpłakała się do słuchawki.

Czucha odczekał chwilę.

– Proszę się nie denerwować, pani Ryszardo. To pewnie jacyś drobni, miejscowi złodzieje... W takim razie jeszcze dzisiaj przyślę do pani swoich

ludzi. Oni wszystkim się zajmą. Poza tym przyjedzie z nimi pani naczelnik z kadr celem załatwienia wszelkich spraw formalnych pana pułkownika.

– To nie powiadamiać policji? – spytała wciąż płacząca kobieta.

– Nie, absolutnie nie. Zajmiemy się wszystkim – odpowiedział zdawkowo Czucha.

* * *

Łodyna trzymał na kolanach Michała i spoglądał na program informacyjny TVN24. Zdziwił się, bo na początku programu puszczono coś o katastrofie smoleńskiej, potem także o zbrodni katyńskiej. Pomyślał, że może to coś związane z niedawną kwietniową rocznicą. Nieco podnieconym głosem korespondent w Moskwie, trzymając w dłoni jakiś dokument, mówił o konferencji prasowej, która właśnie się zakończyła. Łodyna zastygł, odstawił chłopca do łóżeczka i wrócił szybko na fotel. W pierwszej chwili nie dowierzał temu, co widzi i słyszy. To była relacja ze spotkania z dziennikarzami zastępcy szefa rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Jurija Mieszkowa.

Łodyna patrzył na twarz mężczyzny, który siedział obok rosyjskiego wiceministra. Pułkownik Siergiej Sokołow. Dla pewności spojrział jeszcze na zdjęcie z monitoringu lwowskiego antykwariusza, które miał zapisane w smartfonie.

– Oto dekret ministra spraw wewnętrznych Rzeczypospolitej Polskiej, generała Felicjana Sławoja Składkowskiego, z dwudziestego szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku odnaleziony przez grupę pasjonatów historii ze Związku Historyków Wojskowości. Na wstępie od razu zaznaczę, aby rozwiać wszelkie wątpliwości, że dokument ten jest oryginalny. Został szczegółowo sprawdzony przez naszych ekspertów. Zbadane zostały między innymi pieczęcie, pismo i papier. Wyniki badań laboratoryjnych zostaną rozdane po konferencji – oznajmił przedstawiciel rosyjskiej dyplomacji. Proszę, panie pułkowniku, o przedstawienie go – dorzucił i wskazał na Sokołowa.

– Dodam jeszcze do tego, co pan minister powiedział, że autorem wspomnianych badań jest niekwestionowany autorytet w dziedzinie kryminalistyki akademik profesor Andriej Puchalczyk. Nadmieniam również, że jesteśmy gotowi przekazać go do dyspozycji niezależnej międzynarodowej komisji celem zbadania w dowolnym laboratorium kryminalistycznym – zaczął Sokołow. – Proszę państwa. Z odnalezionego polskiego dekretu wynika, że w razie niemieckiej agresji na Polskę zostaną utworzone obozy odosobnienia i internowania ludności żydowskiej, ukraińskiej i białoruskiej. Budowa i nadzór nad tymi obozami spocząć miały na polskim Korpusie Ochrony Pogranicza. Mowa jest w nim również o tym, że jeśli obiekty te znalazłyby się na terenach zajętych przez armię niemiecką, to poszczególni dowódcy obozów mieliby podejmować rozmowy o utrzymaniu lub przekazaniu nadzoru nad nimi niemieckim władzom okupacyjnym. Ponadto, w załączniku do tego dekretu, wymienione są lokalizacje, gdzie obozy takie miały powstać. Między innymi: Białystok, Lublin, Lwów, Brześć. Oczywiście kopię załącznika również prześlemy państwu po konferencji – zakończył Sokołow.

– Proszę państwa. Odnaleziony dokument świadczy dobitnie o słuszności podjętej decyzji o bratniej pomocy dla narodów białoruskiego, a przede wszystkim ukraińskiego udzielonej przez rząd Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku. Trudno sobie wyobrazić, jakie byłyby konsekwencje utworzenia takich obozów. Byłoby to przygotowanie gruntu pod działanie grup specjalnych gestapo. Przecież dla każdego jest chyba oczywiste, że ci ludzie byliby od razu skazani na zagładę – dodał głośno i górnolotnie Mieszkow, jakby próbując przebić się przez szum na sali, który powstał po wypowiedzi Sokołowa.

Łodyna w tym momencie pobladał. Był wściekły. Wyłączył telewizor. „Kurwa, wiedziałem, czułem, że tak to się skończy! To tak nas postanowili rozegrać?”

Godzinę później informacje na temat tego dokumentu podały wszystkie liczące się agencje prasowe od Jerozolimy po Waszyngton. Polski MSZ i Instytut Pamięci Narodowej milczały.

Łodyna stał na balkonie ze szklanką whisky w dłoni. Patrzył na rozwijające się na warszawskim niebie wiosenne cumulonimbusy. Czuł się tak, jakby nagle wypadł z rollercoastera. Gdy widział już koniec jazdy, ktoś przeciął mu pasy bezpieczeństwa. „Ile czasu minie, nim odklei się ode mnie to błoto? Może czas z tym wszystkim skończyć? Dać im tę satysfakcję? Nie! Jeszcze, kurwa, nie!” – zdecydował w myślach i pociągnął łyk szkockiej. Spojrzał na wyświetlacz odłożonego na parapecie i wyciszonego smartfona. Zauważył dwa nieodebrane połączenia, jedno z prefiksem +972, drugie z imieniem Aaron. Natychmiast wybrał numer telefonu do syna Kleinera.

– Witaj, Aaron. Telefonowałeś do mnie. Co się stało? – zapytał, po czym nastąpiło długie milczenie. – Daj mi chwilę. Zadzwoń za godzinę. Wtedy mi wszystko opowiesz. – Rozłączył się.

– Kochanie, z kim rozmawiałeś? – zapytała Ewa, która stanęła obok niego na balkonie.

Łodyna przyciągnął ją do siebie.

– Pan Mieczysław zmarł godzinę temu w szpitalu w Tel Awiwie.

Posłowie

Operacja Singe jest kontynuacją *Operacji Rafael*, choć autorzy zadbali o to, by nowi czytelnicy mogli odnaleźć się w tekście bez problemu. To powieść szpiegowska z elementami historycznymi, dlatego nie może być traktowana jako dokument. Wątek współczesny oparty jest na doświadczeniu zdobytym przez jednego z autorów, byłego oficera Agencji Wywiadu. Duża część książki to efekty pracy reporterskiej drugiego autora, dziennikarza „Rzeczpospolitej”, który zajmuje się m.in. tematyką restytucji zaginionych polskich dzieł sztuki.

Przygotowując publikację, autorzy starali się zachować staranność w opisywaniu wydarzeń historycznych towarzyszących jej bohaterom. Korzystali ze zbiorów zgromadzonych w Centralnej Bibliotece Wojskowej w Warszawie, Centralnym Archiwum Wojskowym Wojskowego Biura Historycznego i Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy. By opisywane realia były jak najbardziej wiarygodne, sięgnęli również do publikacji Instytutu Pamięci Narodowej m.in. *Studia nad wywiadem i kontrwywiadem Polski w XX wieku* i *Wywiad cywilny Polski Ludowej w latach 1945–1961* pod redakcją Witolda Bagieńskiego. Studiowali odtajnione dokumenty amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA). Zapoznawali się z materiałami na temat polskiej Straży Granicznej i Wojsk Ochrony Pogranicza. Ponadto korzystali z publikacji historyków: Anthony’ego Beevora, Rogera Moorhouse’a, Iana Kershawa oraz Grzegorza Rossolińskiego-Liebe.

Autorzy składają podziękowania dla osób, które pomogły im w zrozumieniu mechanizmów nielegalnego obrotu dziełami sztuki oraz trudnej, powojennej historii: doktor Monice Kuhnke, doktorowi Bogusławowi Winidowi, profesorowi

Wojciechowi Kowalskiemu, Markowi Skulimowskiemu oraz doktorowi Łukaszowi Wolakowi. Osobne podziękowania należą się również redaktor Annie Ruszczyk z „Gazety Śledczej”, która pomogła dotrzeć autorom do specjalistów z zakresu kryminalistyki.

Swoją pomoc okazały placówki dyplomatyczne RP w Caracas i Ramallah. Wielu wskazań udzieliły osoby duchowne przebywające w polskich zgromadzeniach misyjnych na terenie Jerozolimy. Ciekawe informacje uzyskano dzięki zaangażowaniu się Pauliny Kroc z portalu kolejowego KOLEO oraz Karoliny Wirowskiej z agencji marketingowej PUNKT. Wiele osób prywatnych służyło swoimi historiami rodzinnymi i historiami ich przyjaciół. Autorzy dziękują za nie Kacprowi Krasickiemu, Ani Dragun i Łukaszowi Sobotce. Inne osoby, mieszkające zarówno w Polsce, jak i za granicą, inspirowały swoją osobowością, gestami, czasem wyglądem, urywkami wspomnień oraz doświadczeniem zawodowym niekiedy również w siłach zbrojnych i w wywiadzie. Za co też wielki ukłon w ich kierunku ze strony autorów.

Trzeba również zaznaczyć, że swoje wsparcie zapewnili byli oficerowie polskiego wywiadu (Departament I MSW, Zarząd Wywiadu UOP, Agencja Wywiadu), którzy między innymi pamiętali sprawy operacyjne i warunki ich prowadzenia w latach sześćdziesiątych na terenie Austrii. Podziękowania autorów w tym zakresie kierowane są również do Vincenta V. Severskiego.

Jak przystało na klasyczną powieść szpiegowską, może ona służyć jako swoisty przewodnik po wielu miejscach na świecie, w których rozgrywa się akcja: Wenezuela, Austria, Dania, Rumunia, Mołdawia, Ukraina, Czechosłowacja, USA, Izrael, Brytyjskie Terytorium Mandatowe w Palestynie, Irak i iracki Kurdystan oraz Iran.